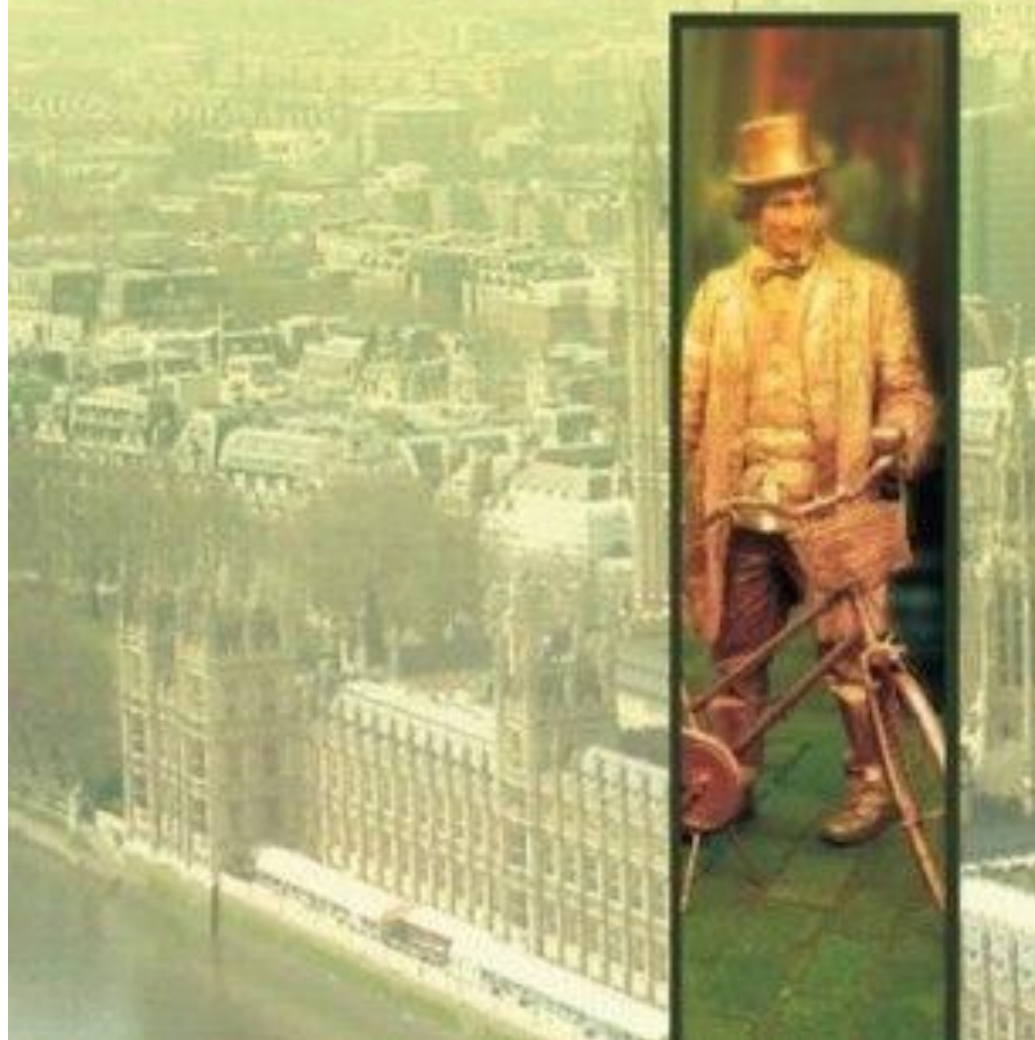


spectrum poleca

Kate Fox
Przejrzenie Anglików
UKRYTE ZABADY ANGIELSKIEGO ZACHOWANIA



Kate Fox

Przejrzeć Anglików



Dla Henry'ego,
Williama, Sarah
i Katharine

Wstep

Antropologia na gruncie domowym

Siedzę w pubie niedaleko stacji Paddington, ściskając w ręce małą brandy. Jest dopiero wpół do dwunastej - trochę za wcześnie na drinka, ale kupiłam go sobie częściowo w nagrodę, częściowo dla kurażu. W nagrodę za wyczerpujący poranek, który spędziłam, niby to niechcący wpadając na ludzi i licząc, ilu z potrąconych powiedziało „przepraszam”; dla kurażu, bo w tej chwili mam zamiar wrócić na dworzec i przez kilka godzin grzeszyć śmiertelnie, czyli wpychać się do kolejek.

Wcale nie chcę tego robić. Wolałabym przyjąć moją zwykłą metodę, czyli do łamania uświęconych zasad społecznych namówić niewinnego asystenta, a sama obserwować z bezpiecznej odległości. Jednak postanowiłam, że tym razem to ja będę królikiem doświadczalnym. Wcale nie czuję się dzielna. Jestem przerażona. Od eksperymentów z wpadaniem na ludzi mam siniaki na ramionach. Mam ochotę dać sobie spokój z tym głupim badaniem angielskości, iść do domu, zrobić sobie herbaty i żyć normalnie. A już na pewno nie chcę przez całe popołudnie wpychać się gdzieś bez kolejki.

Po co ja to robię? Jaki jest sens tego niedorzecznego wpadania i wpychania (że nie wspomnę o równie bezsensownych rzeczach, jakie będę robić jutro)? Dobre pytanie. Może w takim razie wyjaśnię.

„Gramatyka” zachowania Anglików

Ciągle się słyszy, że Anglicy utracili swoją tożsamość narodową, że nie ma czegoś takiego jak „angielskość”. Wydano ostatnio masę książek, których autorzy lamentują nad owym rzekomym kryzysem tożsamości. Ich tytuły wahają się od tęsknego *Anyone for England?* do niepokieszonego *England: An Elegy*. Jako ktoś, kto spędził prawie całe ostatnie dwanaście lat, badając różne przejawy angielskiej kultury i zachowań społecznych - w pubach, na wyścigach, w sklepach, w nocnych lokalach, w pociągach i na ulicach - jestem przekonana, że coś takiego jak „angielskość” *istnieje* i że doniesienia o upadku tego pojęcia są mocno przesadzone. Przeprowadzając badania do niniejszej książki, postawiłam sobie za cel poznanie ukrytych, niepisanych zasad angielskiego zachowania i tego, co mówią one o naszej tożsamości narodowej.

Chciałam ustalić, czy istnieją cechy wspólne zasad porządkujących zachowanie Anglików - nieoficjalne regulaminy, które wykraczają poza klasę, wiek, płeć, region, subkulturę oraz inne kategorie społeczne. Na przykład członkinie kół gospodyń i odziani w skóry członkowie gangów motocyklowych mogą mieć pozornie niewiele ze sobą wspólnego, jednak nie ulegając „etnograficznemu osłepieniu”¹ powierzchownymi różnicami, odkryłam, że zarówno te dwie, jak i inne grupy zachowują się zgodnie z tymi samymi niepisanymi

zasadami - zasadami, które określają naszą tożsamość narodową i narodowy charakter. Jestem też skłonna podtrzymać to, co twierdził George Orwell, że tożsamość owa „trwa, rozciąga się na lata przysze i minione, jest w niej coś, co się utrzymuje, jak w żywej istocie”.

Inaczej mówiąc, postanowiłam opisać „gramatykę” zachowania Anglików. Człowiek, który posługuje się danym językiem od urodzenia, zwykle nie potrafi wyjaśnić jego reguł gramatycznych. Na tej samej zasadzie tym, którzy są najbardziej „biegli”, jeśli chodzi o rytuały, zwyczaje i tradycje danej kultury, przeważnie brakuje dystansu, nieodzownego, aby w zrozumiały sposób objaśnić „gramatykę” tych procedur. I po to właśnie mamy antropologów.

Ludzie zazwyczaj nie są świadomi istnienia niepisanych zasad obowiązujących w danym społeczeństwie i przestrzegają ich instynktownie. Dla przykładu, rano zwykle ubieramy się automatycznie i nie musimy sobie świadomie przypominać, że istnieje niepisana zasada etykiety, zabraniająca wychodzenia do pracy w piżamie. Ale gdyby mieszkał z nami antropolog, który badałby nasze zachowanie, zadałby nam następujące pytania: „Co by się stało, gdybyś poszedł do pracy w piżamie?”, „Czego jeszcze nie wolno ci wkładać do pracy?”, „Dlaczego w piątki jest inaczej?”, „Czy wszyscy w twoim zakładzie pracy się do tego stosują?”, „Dlaczego wyższe kierownictwo nie przestrzega zwyczaju «piątek dniem bez krawata»?”. I tak dalej, i tak dalej, aż mielibyśmy serdecznie dość. Następnie antropolog poszedłby obserwować i przepytawać innych ludzi - członków innych grup społeczeństwa, w którym żyjemy - i po zadaniu setki wścibskich pytań i poczynieniu obserwacji przedstawiłby „gramatykę” ubioru w naszej kulturze (zob. rozdział *Ubiór*).

Obserwacja uczestnicząca i związane z nią frustracje

Antropologów uczy się, aby stosowali metodę o nazwie „obserwacja uczestnicząca”: naukowiec uczestniczy w życiu i kulturze ludzi badanych w celu uzyskania wtajemniczenia w ich zachowanie i zwyczaje, a jednocześnie obserwuje ich z punktu widzenia bezstronnego, obiektywnego badacza. No cóż, to teoria. W praktyce przypomina to dziecięcą zabawę, w której próbuje się jednocześnie jedną ręką klepać się po głowie, a drugą masować brzuch. Trudno się chyba dziwić, że prowadząc badania w terenie, antropolodzy często tracą obiektywizm: tak bardzo angażują się i wnikają w kulturę tubylców, że nie udaje im się zachować niezbędnego dystansu naukowego. Najsłynniejszym przykładem takiej nadmiernej optymistycznej etnografii jest Margaret Mead, ale też Elizabeth Marshall Thomas, która napisała książkę pt. *The Harmless People* (Nieszkodliwy naród), o plemieniu, w którym wskaźnik zabójstw okazał się wyższy niż w Chicago.

Metoda obserwacji uczestniczącej i rola uczestniczącego obserwatora jest dla

antropologów źródłem udręki i dyskutując o niej, uwielbiają oni dzielić włos na czworo. W mojej ostatniej książce, *The Racing Tribe*, zażartowałam sobie z tego; zapożyczyłam pseudopsychologiczny żargon od autorów poradników książkowych i opisałam problem jako ciągłą walkę między moim Wewnętrznym Uczestnikiem a Wewnętrznym Obserwatorem. Opisałam złośliwe kłótnie, w których oba te głosy wewnętrzne odzywały się za każdym razem, gdy zaistniał konflikt między mną, jako honorowym członkiem plemienia, a mną jako obiektywnym naukowcem. (Ponieważ w podobnych dyskusjach używa się zwykle tonu śmiertelnie poważnego, mój brak szacunku graniczył z herezją, dlatego też byłam zaskoczona i zirytowana, gdy dostałam list od pewnego wykładowcy uniwersyteckiego, który napisał mi, że wykorzystuje *The Racing Tribe*, aby uczyć studentów metody obserwacji uczestniczącej. Człowiek stara się jak może zasłużyć na miano niezależnego obrazoburcy, a oni robią z tego podręcznik!).

Podajcie częściej spotykane (a w każdym razie ostatnio bardzo modne) zaleca poświęcić co najmniej jeden rozdział własnej książki lub doktoratu na udręczoną, samokrytyczną rozprawę o etycznych i metodologicznych trudnościach związanych z obserwacją uczestniczącą. Chociaż „uczestnicząca” sugeruje zrozumienie danej kultury z perspektywy „tubylca”, w dobrym tonie jest porozwodzić się na co najmniej trzech stronach nad tym, iż nasze nieświadome etnocentryczne uprzedzenia, jak i różne inne bariery kulturowe, najprawdopodobniej to uniemożliwiają. Następnie należy zakwestionować całą podstawę moralną terminu „obserwacja” oraz, jeśli to możliwe, wyrazić poważne zastrzeżenie, czy cała współczesna „nauka” zachodnia jest w ogóle w stanie wyjaśnić cokolwiek.

W tym miejscu zdziwiony czytelnik ma pełne prawo zadać pytanie, dlaczego nie przestaniemy wykorzystywać metody, która jest, jak widać, wątpliwa moralnie, niewiarygodna albo i taka, i taka. Sama się nad tym zastanawiałam, aż doszłam do wniosku, że owo żalosne wyliczanie zagrożeń i minusów naszej metody badawczej to rodzaj mantry ochronnej, rytualnej pieśni, podobnej do sympatycznej praktyki plemion indiańskich, które przed wyruszeniem na polowanie czy przed ścięciem drzewa śpiewały pełne skruchy pieśni żałobne, aby udobruchać ducha zwierzęcia, które mieli zabić, lub drzewa, które mieli ścinać. A oto wytłumaczenie mniej wielkoduszne: antropolodzy śpieszą z nieszczerą samokrytyką, uprzedzając ewentualne reakcje negatywne, przyznając się do niedoskonałości, jak samolubny i niedbały kochanek, który mówi: „Ach, taki jestem samolubny i niedbały, zupełnie nie wiem, jak ty ze mną wytrzymujesz”, by wywołać w nas wrażenie, że ta samokrytyka i szczere wyznanie winy to już prawie niewinność.

Jakiegokolwiek są motywy autora, świadome czy nie, ów standardowy rozdział, w którym biadoli on na temat roli uczestniczącego obserwatora, jest zwykle strasznie nudny, dlatego ja zrezygnuję z zaklepania sobie ewentualnego rozgrzeszenia, jakie mogłabym w ten sposób uzyskać, i powiem po prostu: owszem, obserwacja uczestnicząca ma swoje minusy, jednak to dość niezgrabne połączenie zaangażowania i obiektywizmu wciąż pozostaje najlepszą ze znanych metod badania złożoności ludzkich kultur, będziemy więc musieli się nią zadowolić.

Dobrzy, źli i speszeni

Dla mnie problemy z „uczestniczeniem” są nieco mniejsze, jako że postanowiłam zbadać zawiloci własnej kultury. Nie dlatego, że uważam Anglików za bardziej interesujących niż inne nacje, ale dlatego, że jestem istotą słabą, mającą awersję do brudu, dyzenterii, zabójczych owadów, okropnego jedzenia i prymitywnych warunków sanitarnych, które charakteryzują mieszkające w lepiankach społeczeństwa plemienne, badane przez mych bardziej odważnych kolegów.

W etnografii, która jest domeną „prawdziwych mężczyzn”, moje unikanie niewygód i niezrozumiałe preferowanie kultur posiadających w domach kanalizację, uważane jest za niedopuszczalną słabość, dlatego też starałam się do niedawna trochę zrehabilitować, badając mniej przyjemne aspekty życia Anglików: zbierałam materiały w pełnych agresywnych typów pubach, podejrzanych lokalach nocnych, zapyziałych punktach przyjmowania zakładów itp. Mimo to, po tylu latach badań nad agresją, chaosem, przemocą, przestępczością i innymi przejawami dewiacji i dysfunkcji, z których wszystkie bez wyjątku występują w nieprzyjemnych miejscach i o niedogodnych porach, widzę, że w ocenie etnografów od lepianek, nawykłych do warunków daleko gorszych, ciągle nie awansowałam ani o jeden stopień.

Skoro nie przeszedłam próby „terenowej” i nie zdałam egzaminu inicjacyjnego, doszłam do wniosku, że równie dobrze mogę skierować swoją uwagę na temat, który mnie naprawdę interesuje, a mianowicie: przyczyny *dobrego* zachowania. Jest to fascynujące pole do badań, niemal całkowicie zaniedbane przez specjalistów od nauk społecznych. Z kilkoma chlubnymi wyjątkami², badacze społeczni mają zwykle obsesję na punkcie zachowań dysfunkcyjnych, a nie pożądanых, i poświęcają całą swoją energię na badanie przyczyn zachowań, których nasze społeczeństwo chciałoby uniknąć, a nie takich, które aprobeuje.

Gdy okazało się, że Peter Marsh, który razem ze mną kieruje SIRC (Ośrodkiem Badania Problemów Społecznych), także jest rozczarowany i sfrustrowany podejściem nauk społecznych do spraw trudnych, postanowiliśmy skupić się na badaniu pozytywnych

aspektów kontaktów międzyludzkich. Gdy ustaliliśmy ten nowy obiekt badań, już nie musieliśmy dłużej wyszukiwać pubów mordowni; mogliśmy zacząć spędzać czas w tych przyjemnych (mają one też ten plus, że łatwiej do nich trafić, bo przecież większość pubów jest sympatyczna i bezpieczna). Zamiast wypytywać ochroniarzy i detektywów sklepowych o metody działania złodziejasków i wandalii, mogliśmy obserwować zwyczajnych, praworządnych obywateli na zakupach. Do nocnych lokali chodziliśmy obserwować flirty, nie bójki. Gdy zauważyłam wyjątkowo towarzyskie i uprzejme zachowanie ludzi w tłumie na wyścigach konnych, natychmiast rozpoczęłam zbieranie materiałów, które przekształciło się w trzyletnie badania na temat czynników wpływających na dobre maniery amatorów wyścigów. Zbieraliśmy także dane na takie tematy jak: uroczystości, randki internetowe, wakacje letnie, skrępowanie, biznesmeni a gościnność, kierowcy ciężarówek, podejmowanie ryzyka, Maraton Londyński, seks, plotki przez telefon komórkowy oraz zależność między piciem herbaty a majsterkowaniem (ten ostatni temat podejmuje palący problem społeczny: „Ile filiżanek herbaty potrzebuje przeciętny Anglik, żeby zamontować półkę?”).

W ciągu minionych dwunastu lat dzieliłam swój czas mniej więcej równo między badanie mrocznych aspektów społeczeństwa angielskiego, jak i zgłębianie jego bardziej atrakcyjnych, pozytywnych elementów (w połączeniu z międzykulturowymi badaniami porównawczymi w innych zakątkach świata), więc chyba mogę śmiało stwierdzić, że badania do niniejszej książki rozpoczęłam ze spojrzeniem racjonalnie wyważonym.

Moja rodzina i inne króliki doświadczalne

Mój status „tubylca” dał mi więc nieco przewagi na starcie, jeśli chodzi o słowo „uczestnicząca”, ale co z „obserwacją”? Czy potrafię się zdobyć na dystans niezbędny, aby stanąć z boku i obserwować moją własną rdzenną kulturę jak obiektywny naukowiec? Chociaż badać miałam głównie stosunkowo nieznaną mi subkulturę, to jednak ciągle chodziło o moich ziomków. Obawiałam się więc, że nie będę w stanie traktować ich jak króliki doświadczalne (choć tylko połową mojej rozdwojonej jaźni - klepiącym się po głowie obserwatorem w odróżnieniu od gładzącego się po brzuchu uczestnika).

Nie martwiłam się jednak zbyt długo, ponieważ znajomi, koledzy, wydawcy i agenci ciągle mi przypominali, że w końcu przez ponad dziesięć lat drobiazgowo analizowałam zachowanie moich rodaków, wykazując, jak to ujęli, mniej więcej tyle emocji, ile naukowiec w białym kitlu, z pincetką, pochylony nad szalką Petriego. Rodzina przypominała mi także, że mój ojciec - Robin Fox, znakomity antropolog - przygotowywał mnie do tej roli od wczesnego dzieciństwa. W odróżnieniu od większości niemowląt, które spędzają początek życia, leżąc w wózku lub łóżeczku i gapiąc się w sufit lub na karuzelę ze zwierzątkami, ja

byłam w pozycji pionowej przypinana paskami do kołyski Indian Cochiti, abym w strategicznych punktach obserwacyjnych w naszym domu mogła studiować typowe modele zachowań rodziny angielskich naukowców.

Ojciec był dla mnie także pierwszym wzorem naukowego obiektywizmu. Gdy matka powiedziała mu, że jest ze mną w ciąży, a byłam ich pierwszym dzieckiem, natychmiast zaczął ją przekonywać, żeby pozwoliła mu nabyć małe szympaniątko i wychowywać nas razem w ramach eksperymentu: studium porównawcze rozwoju ssaka z rzędu naczelnych i istoty ludzkiej. Matka stanowczo się sprzeciwiła i wiele lat później opowiedziała mi o tym zdarzeniu, podając je jako przykład ekscentrycznego i niepraktycznego podejścia mojego ojca do bycia rodzicem. Nie doceniłam morału tej historii i wykrzyknęłam: „Ach, co za świetny pomysł - to by było fascynujące!”. Matka skomentowała to, nie po raz pierwszy zresztą, że jestem „całkiem jak mój cholerny tatuś”. Znowu nie zrozumiawszy istoty sprawy, uznałam to za komplement.

Zaufaj mi, jestem antropologiem

Zanim wyjechaliśmy z Anglii, kiedy to rozpoczęłam dość chaotyczną edukację w przypadkowych szkołach w Ameryce, Irlandii i Francji, ojciec mężnie ukrył rozczarowanie co do szympaniego eksperymentu i postanowił szkolić mnie na etnografa. Miałam tylko pięć lat, ale wspaniałomyślnie zignorował tę drobną niedogodność: byłam wprawdzie trochę mniejsza niż inni jego studenci, ale to nie powinno mi przeszkadzać w zrozumieniu podstawowych prawideł metodologii badań etnograficznych. Do najważniejszych, jak się nauczyłam, należało poszukiwanie zasad. Gdy znaleźliśmy się w jakiejś nieznannej kulturze, miałam szukać prawidłowości i konsekwentnych schematów w zachowaniu tubylców oraz starać się rozpracowywać zasady ukryte - konwencje lub zbiorowe porozumienia - rządzące owymi schematami.

Z czasem to polowanie na zasady staje się procesem niemal nieświadomym - odruchem lub (według niektórych moich angielsko-cierpliwych znajomych) patologicznym natręctwem. Na przykład dwa lata temu Henry, mój narzeczony, zabrał mnie ze sobą, gdy jechał odwiedzić znajomych w Polsce. Ponieważ jechaliśmy angielskim samochodem, powierzył mi, jako pasażerce, zadanie informowania go, kiedy może bezpiecznie wyprzedzić. Dwadzieścia minut po przekroczeniu polskiej granicy zaczęłam mówić: „Teraz jedź, jest bezpiecznie”, nawet gdy zbliżały się do nas z naprzeciwka samochody na drodze z dwoma pasami ruchu.

Gdy dwa razy zahamował raptownie, w ostatniej chwili rezygnując z wyprzedzania, wyraźnie zaczął powątpiewać w moją ocenę. „Co ty wyprawiasz? Wcale nie było

bezpiecznie! Nie widziałaś tego tira?”. „Tak - odpowiedziałam. - Ale tu, w Polsce, są inne zasady. Najwyraźniej wszyscy tu traktują szeroką drogę z dwoma pasami, jakby miała ich trzy, więc gdy wyprzedzasz, kierowca przed tobą i jadący z naprzeciwka usuną się na bok, aby ci zrobić miejsce”.

Henry uprzejmie zapytał, skąd to wiem, skoro jestem tu krócej niż pół godziny, a nigdy wcześniej w Polsce nie byłam. Moja odpowiedź - że obserwuję polskich kierowców i że wszyscy wyraźnie przestrzegają tej zasady - została przyjęta z dość zrozumiałym sceptycyzmem. To, że dodałam: „Zaufaj mi, jestem antropologiem”, też raczej nie pomogło, i minęło trochę czasu, zanim Henry dał się przekonać do sprawdzenia mojej teorii. Gdy to zrobił, pojazdy zaczęły się posłusznie rozstępować jak Morze Czerwone, żeby stworzyć dla nas „trzeci pas”, a później jeszcze nasz polski gospodarz potwierdził, że faktycznie istnieje nieoficjalna etykieta, która zawiera takie zasady.

Moje poczucie triumfu osłabiła jednak siostra gospodarza, która dodała, że jej rodacy słyną także z nieostrożnej i niebezpiecznej jazdy. Okazało się, że gdybym była bardziej spostrzegawcza, zauważyłabym przydrożne krzyże oplecione u podnóża kwiatami, ustawiane przez rodziny w miejscach wypadków drogowych, w których doszło do ofiar śmiertelnych. Henry wielkodusznie powstrzymał się od komentarza na temat zaufania do antropologów, za to zapytał, dlaczego nie mogłam się zadowolić samą obserwacją i analizą polskich obyczajów: dlaczego musiałam się narażać, nawiasem mówiąc, narażać przy tym także i jego, *biorąc w tym aktywny udział*.

Wyjaśniłam, że ten przymus to w jakimś stopniu efekt podszeptów mojego Wewnętrznego Uczestnika, ale upierałam się, że w moim pozornym szaleństwie jest metoda. Zaobserwowawszy jakąś prawidłowość lub schemat w zachowaniu tubylców, etnograf może zastosować różne „testy” w celu potwierdzenia, czy istotnie jest to reguła. Można poinformować reprezentatywną grupę tubylców, że zauważyło się schematy ich zachowań, i zapytać ich, czy trafnie rozpoznało się regułę, konwencję lub zasadę leżącą u podstaw tych schematów. Można złamać tę (hipotetyczną) zasadę i czekać na oznaki dezaprobaty czy wręcz „sankcje”. W niektórych wypadkach, jak polska zasada „trzeciego pasa”, można przetestować regułę, przestrzegając jej i obserwując, czy otrzymuje się za to „nagrodę”.

Nudne, ale ważne

Niniejsza książka nie jest pisana dla innych badaczy nauk społecznych, ale raczej dla tych trudnych do zdefiniowania istot, które wydawcy nazywali kiedyś „inteligentnymi laikami”. Moje nieakademickie podejście nie może jednak usprawiedliwiać mętnego rozumowania, niedbałego języka czy niewyjaśniania terminów. Ponieważ jest to książka o

„zasadach” angielskości, nie mogę tak sobie po prostu założyć, że wszyscy wiemy, co oznacza słowo „zasada”, i nie wyjaśnić znaczenia (lub znaczeń), w jakich tego terminu używam.

A używam dość szerokiej interpretacji tego pojęcia, opierając się na czterech definicjach z *Oxford English Dictionary*, a mianowicie:

prawidło, przepis lub maksyma rządząca indywidualnym postępowaniem;

norma używana do rozróżniania lub oceny; kryterium, sprawdzian, miara;

przykładowa osoba lub rzecz; wzór do naśladowania;

fakt lub stwierdzenie faktu, które obowiązuje powszechnie; normalny lub zwykły stan rzeczy.

Tym samym moja próba ustalenia zasad angielskości nie ogranicza się do poszukiwania konkretnych reguł postępowania, ale obejmuje zasady w szerszym znaczeniu: standardów, norm, ideałów, zasad przewodnich i „faktów” dotyczących „normalnego lub zwykłego” angielskiego zachowania.

W tym ostatnim znaczeniu używamy słowa „zasada”, mówiąc: „Anglicy z zasady mają tendencję do bycia X (lub preferowania Y, bądź nielubienia Z)”. Gdy używamy terminu „zasada” w ten sposób, nie mamy na myśli - uwaga, to ważne - że wszyscy Anglicy zawsze lub bez wyjątku przejawiają daną cechę, tylko że jest to schemat zachowania na tyle powszechny czy na tyle wyraźny, żeby był zauważalny i znaczący. Co więcej, fundamentalnym wymogiem zasady społecznej - pomijając definicje - jest to, że można ją łamać. Zasady postępowania (czy też normy, czy reguły) tego rodzaju nie są, jak prawa naukowe czy matematyczne, stwierdzeniem wymaganego stanu rzeczy; są z definicji względne. Gdyby na przykład wepchnięcie się gdzieś bez kolejki było całkowicie niewyobrażalne i niemożliwe, niepotrzebna byłaby zasada zabraniająca tego zachowania³.

Mówiąc zatem o niepisanych zasadach angielskości, oczywiście nie sugeruję, że są one powszechnie przestrzegane przez społeczeństwo angielskie czy też że nie można trafić na żadne wyjątki i odstępstwa. Byłoby to niedorzeczne. Twierdzę tylko, że te zasady są na tyle „normalne i zwykłe”, iż pomagają w zrozumieniu i określeniu naszego narodowego charakteru.

Często wyjątki i odstępstwa mogą pomóc „udowodnić” (w sensie „przetestować”) jakąś zasadę. Dzieje się tak, gdy zaskoczenie lub oburzenie wywołane odstępstwem jest tak wielkie i powszechne, że potwierdza ważność zasady i „normalność” zachowania, które ona zaleca. Wielu z tych ekspertów, którzy przedwcześnie pogrzebali angielskość, popełnia zasadniczy błąd i na dowód stwierdzenia jej zgonu powołuje się na przykłady łamania jej

tradycyjnych zasad (takie, powiedzmy, jak niesportowe zachowanie piłkarza czy krykciecisty), zapominając przy tym o reakcjach opinii publicznej na takie zachowanie, które wyraźnie dowodzą, że jest ono uważane za nienormalne, niedopuszczalne i nieangielskie.

Natura kultury

Moja analiza angielskości skupi się na zasadach („regułkach”), ponieważ uważam, że jest to najprostsza droga do opracowania „gramatyki” angielskości. Jednak ponieważ terminu „zasada” używam w bardzo szerokim znaczeniu, moje poszukiwanie zasad angielskości będzie w praktyce próbą zrozumienia i zdefiniowania angielskiej kultury. To kolejny termin, który wymaga określenia: przez słowo „kultura” rozumiem sumę schematów zachowań, obyczajów, stylu życia, idei, opinii i systemu wartości jakiejś grupy społecznej.

Nie sugeruję przez to, że postrzegam kulturę angielską jako jednorodną całość, że nie spodziewam się znaleźć żadnego urozmaicenia w schematach zachowań, obyczajach, opiniach itd., nie sugeruję też, że „zasady angielskości” są przestrzegane powszechnie. Podobnie jak w wypadku zasad, spodziewam się odkryć wiele różnorodności w kulturze angielskiej, ale mam też nadzieję, że odkryję pewien wspólny rdzeń, zestaw podstawowych schematów, które pomogą mi zdefiniować angielskość.

Jednocześnie jestem świadoma, że istnieje większe niebezpieczeństwo, ryzyko międzykulturowego „etnograficznego oślepienia” (niedostrzegania podobieństw między kulturą angielską a innymi). W ferworze definiowania „charakteru narodowego” łatwo jest skupić się nadmiernie na rzucających się w oczy cechach danej kultury i zapomnieć, że wszyscy należymy do tego samego gatunku⁴. Na szczęście kilku wybitnych antropologów opracowało spisy „międzykulturowych pojęć ogólnych” - praktyk, obyczajów i przekonań spotykanych we wszystkich społecznościach ludzkich - które powinny pozwolić mi ominąć tę pułapkę. Nie ma wśród antropologów wyraźnego konsensusu co do tego, jakie dokładnie obyczaje i temu podobne powinny się znaleźć w tej kategorii (ale czy naukowcy kiedykolwiek byli co do czegoś zgodni?)⁵. Na przykład Robin Fox proponuje następującą listę:

Prawa dotyczące własności, reguły określające małżeństwo i kazirodztwo, obyczaje związane z tabu i unikaniem, metody rozstrzygania sporów przy minimalnym rozlewie krwi, wierzenia dotyczące sił nadprzyrodzonych i obyczaje z nimi związane, hierarchia społeczna i sposoby wyrażania statusu społecznego, ceremonie inicjacji młodych mężczyzn, obyczaje dotyczące zalotów i związane z nimi ozdoby kobiece, sposoby symbolicznego ozdabiania ciała, niektóre działania zarezerwowane dla mężczyzn, a wykluczające udział kobiet, różne rodzaje hazardu, wytwórstwo narzędzi i broni, mity i legendy, taniec, cudzołóstwo, różnego

rodzaju zabójstwa, samobójstwa, homoseksualizm, schizofrenia, psychozy i neurozy oraz różne profesje wykorzystujące lub leczące te ostatnie, w zależności od tego, jak są one postrzegane.

George Peter Murdoch podaje o wiele dłuższą i bardziej szczegółową listę uniwersaliów⁶, w wygodnym porządku alfabetycznym, choć mniej atrakcyjnie sformułowaną:

Biesiadowanie, dawanie prezentów, edukacja, eschatologia, etnobiologia, etyka, etykieta, folklor, fryzury, gesty, gościnność, handel, hierarchia wiekowa, higiena, imiona, interpretacja snów, język, kalendarz, koncepty duszy, kontrola pogody, kosmologia, kuchnia, leczenie, liczby, magia, małżeństwo, mieszkania, mitologia, muzyka, nauka czystości, nomenklatura dotycząca pokrewieństwa, obrzędy pogrzebowe, obrzędy religijne, obyczaje związane z osiągnięciem dojrzałości płciowej, odstawianie od piersi, ofiary przebłagalne dla sił nadprzyrodzonych, operacje chirurgiczne, opieka poporodowa, organizacja życia we wspólnocie, ozdabianie ciała, podział pracy, pokrewieństwo, polityka urodzeń, położnictwo, pory posiłków, powitania, prawa własności, prawo, restrykcje dotyczące współżycia płciowego, rodzina, rozpalanie ogniska, składanie wizyt, sport, system kar, system rządów, sztuka dekoracyjna, tabu dotyczące jedzenia, tabu dotyczące kazirodztwa, taniec, uzdrawianie modłami, wróżbiarstwo, wspólna praca, wstydlivość związana z fizjologią, wyrób narzędzi, zabawa, zaloty, zasady dotyczące zamieszkiwania, zasady dziedziczenia, zróżnicowanie ze względu na status, zwyczaje związane z ciążą, żałoba, żarty.

Choć nie znam z autopsji wszystkich istniejących kultur ludzkich, spisy tego typu pomagają mi upewnić się, że skupiam się konkretnie na tym, co jest unikalne czy charakterystyczne, jeśli chodzi o angielski system klasowy, a nie na fakcie, że taki system mamy, jako że wszystkie kultury mają „system statusu społecznego i sposoby wyrażania go”. Może się to wydawać dość oczywiste, ale inni autorzy nie spostrzegli tego wcześniej⁷, a wielu z nich także regularnie popełnia związany z tym błąd, zakładając, że pewne cechy typowe dla angielskiej kultury (jak np. związek alkoholu z przemocą) są cechami uniwersalnymi wszystkich społeczeństw ludzkich.

Tworzenie zasad

W powyższych spisach brakuje jednej ważnej rzeczy⁸, chociaż oba zawierają wyraźną do niej aluzję, a mianowicie „tworzenia zasad”. Rodzaj ludzki jest uzależniony od tworzenia zasad. Każda bez wyjątku czynność ludzka (w tym naturalne funkcje biologiczne, takie jak jedzenie czy seks) obwarowana jest skomplikowanymi zestawami zasad i regulaminami, które dyktują szczegółowo, kiedy, gdzie, z kim i w jaki sposób dana czynność może być wykonana. Zwierzęta te rzeczy po prostu *robią*; ludzie wyczyniają z nimi ceregiele i nazywają je

„cywilizacją”.

Zasady mogą się różnić w różnych kulturach, ale zawsze istnieją. Jedzenie różnych potraw może być zabronione w różnych społeczeństwach, ale wszystkie społeczeństwa wykształciły pewne tabu dotyczące jedzenia. Zasady dotyczą wszystkich dziedzin życia. W przytoczonych wyżej spisach każde słowo czy zwrot można by poprzedzić słowami „zasady dotyczące” (na przykład: zasady dotyczące dawania prezentów, zasady dotyczące fryzur, zasady dotyczące tańca, powitania, gościnności, żartów, odstawiania od piersi itd.). Zatem moje skupienie na zasadach nie wynika z jakiegoś dziwnego osobistego kaprysu, tylko z uznania znaczenia zasad (i ich tworzenia) dla psychiki ludzkiej.

Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, wszyscy odróżniamy jedną kulturę od drugiej po zasadach. Pierwszą rzeczą, jaką zauważamy, jadąc na wakacje czy w interesach za granicę, jest fakt, że tam „robi się różne rzeczy inaczej”, przez co rozumiemy zwykle, że zasady dotyczące, powiedzmy, jedzenia, pór posiłków, ubioru, powitań, higieny, handlu, gościnności, żartów, rozróżniania statusu itd., różnią się od naszych własnych zasad dotyczących tych pojęć.

Globalizacja i organizacja plemienna

To zaś wiąże się nieodłącznie z problemem globalizacji. Podczas prowadzenia badań do tej książki często byłam pytana (przez członków wykształconej klasy wyższej), jaki jest sens pisania o angielskości, czy właściwie o tożsamości dowolnego narodu, gdy nieubłagana ekspansja kultury amerykańskiej niedługo odłoży ten problem do lamusa? Mówiono mi: przecież już żyjemy w uproszczonym, zhomogenizowanym McŚwiecie, w którym bogaty kalejdoskop różnorodnych i odrębnych kultur ulega zamazaniu za sprawą wszechogarniającego konsumpcjonizmu Nike, CocaColi, McDonald's, Disneya i innych międzynarodowych kapitalistycznych gigantów.

Czyżby? Będąc typową lewicowoliberalną, czytając „Guardiana”, przedstawicielką pokolenia antythatcherystów, nie żywię wrodzonej sympatii do rekinów biznesu, ale jako obserwator trendów społecznych i kulturalnych mam obowiązek donieść, że wieści o ich potędze są przesadzone - albo raczej błędnie interpretowane. Głównym efektem globalizacji, o ile mi wiadomo, jest *pogłębienie* się nacjonalizmów i plemienności, wzmożenie walk o niepodległość, decentralizację władzy i samostanowienie oraz odrodzenie się obaw o tożsamość etniczną i kulturową niemal we wszystkich zakątkach świata, również w tak zwanym Zjednoczonym Królestwie.

No dobrze, może nie „efektem” - współzależność to nie to samo co związek przyczynowy, jak wie każdy naukowiec - ale trzeba przynajmniej uznać, że związek tych

ruchów ze wzrostem globalizacji stanowi uderzający zbieg okoliczności. To, że ludzie na całym świecie chcą nosić sportowe buty marki Nike i pić colę, nie znaczy od razu, że zmniejsza się ich zainteresowanie własną tożsamością kulturową - wielu z nich jest wręcz gotowych walczyć i ginąć za swój naród, religię, terytorium, kulturę czy jakikolwiek inny aspekt tożsamości „plemiennej”, który ich zdaniem jest zagrożony.

Wpływy ekonomiczne amerykańskich gigantów biznesu rzeczywiście mogą być przytłaczające, a nawet zgubne, ale ich wpływy kulturowe są chyba słabsze, niż wydaje się im samym czy ich wrogom. Biorąc pod uwagę nasze głęboko zakorzenione instynkty plemienne i coraz częstszy podział narodów na coraz mniejsze jednostki kulturowe, nie ma sensu argumentować, że świat składający się z sześciu miliardów ludzi staje się ogromną monokulturą. Postępująca globalizacja niewątpliwie wprowadza zmiany w kulturach, do których dociera, ale przecież kultury te i wcześniej nie stały w miejscu, więc zmiany niekoniecznie oznaczają rezygnację z tradycyjnych wartości. Co więcej, nowe media globalne, takie jak internet, są skutecznym środkiem promowania tradycyjnych kultur - podobnie jak globalna subkultura antyglobalistów.

W Wielkiej Brytanii, mimo oczywistych wpływów kultury amerykańskiej, widać o wiele więcej dowodów na wzrost „plemienności” niż na zmniejszanie się różnorodności kulturowej. Zapału i siły szkockich i walijskich nacjonalistów nie wydaje się specjalnie osłabiać ich upodobanie do amerykańskich filmów, napojów czy niezdrowego jedzenia. Przeciwnie, to mniejszościom etnicznym w Wielkiej Brytanii zależy coraz bardziej na utrzymaniu odrębnej tożsamości kulturowej, natomiast Anglicy coraz częściej narzekają na własny kulturowy „kryzys tożsamości”. W Anglii patriotyzm lokalny jest powszechny, a nawet się nasila (kornwalijskich „nacjonalistów” słychać coraz głośniejsze, a ostatnio spekuluje się też półzartem, że hrabstwo Yorkshire będzie kolejnym regionem, który zażąda własnego parlamentu), zaznacza się również wyraźna opozycja przeciw byciu częścią Europy, nie mówiąc już o byciu częścią jakiegokolwiek globalnej monokultury.

Dlatego też nie widzę powodu, aby z powodu ostrzeżeń o zbliżającej się zagładzie tej czy innej kultury zniechęcać się do próby zrozumienia angielskości.

Klasa i rasa

Gdy dopiero planowałam tę książkę, prawie każdy, z kim o tym rozmawiałam, pytał, czy umieszczę w niej rozdział o podziałach klasowych. Ja od początku uważałam, że osobny rozdział byłby nie na miejscu: podziały klasowe przenikają wszystkie aspekty życia i kultury Anglików i jako takie będą się przewijać we wszystkich rozdziałach książki.

Chociaż Anglia jest społeczeństwem bardzo klasowym, sposób, w jaki Anglicy

faktycznie postrzegają klasę społeczną - i określają pozycję danej osoby w strukturze klasowej - nie ma wiele wspólnego ani ze zbyt uproszczonym trypoziomowym modelem (klasa wyższa, średnia, robotnicza), ani z dość abstrakcyjnym podziałem alfabetycznym (A, B, C1, C2, D, E), opartym całkowicie na wykonywanych zawodach, preferowanym przez specjalistów od badań rynku. Formalnie rzecz biorąc, zarówno nauczyciel, jak i pośrednik w obrocie nieruchomościami należą do „klasy średniej”. Mogą nawet obaj mieszkać w szeregowcu, jeździć volvo, pić w tym samym pubie i zarabiać mniej więcej tyle samo. Jednak klasę społeczną ocenia się po szczegółach o wiele bardziej subtelnych i złożonych: po tym, jak ktoś swój szeregowiec urządzi, umebluje i ozdobi; nie tylko po marce samochodu, ale po tym, czy myje go samodzielnie w niedzielę, zabiera do myjni czy też liczy, że najgorszy brud spłucze za niego angielski deszcz. Analogiczne subtelne różnice dotyczą tego, co, gdzie, kiedy, jak i z kim się je i pije; słów, których się używa, i sposobu, w jaki się je wymawia; gdzie i w jaki sposób robi się zakupy; tego, jakie ubrania się nosi; zwierząt, które trzyma się w domu; jak spędza się wolny czas; na które strony randkowe wchodzi się w internecie i tak dalej.

Każdy Anglik (czy się do tego przyznaje, czy nie) świadom jest wszystkich delikatnych podziałów i kalibracji zawartych w takich ocenach i jest na nie bardzo wyczulony. Dlatego nie próbuję prezentować ogólnej „taksonomii” angielskich klas społecznych i ich cech charakterystycznych, ale postaram się przekazać niuanse postrzegania podziałów klasowych przez pryzmat tematów wymienionych wyżej. Niemożliwa jest dyskusja o klasach społecznych bez odwołania się do domów, ogrodów, samochodów, ubioru, zwierząt domowych, jedzenia, napojów, seksu, rozmów, hobby itd., nie jest też możliwe zgłębianie zasad któregośkolwiek z tych aspektów życia Anglików bez nieustannego wpadania na wielkie klasowe bariery czy potykania się o mniejsze, mniej oczywiste. Dlatego też zajmę się tymi liniami demarkacyjnymi wówczas, gdy mi akurat wejdą w drogę.

Jednocześnie postaram się unikać „oślepienia” różnicami klasowymi, pamiętając, co mówił Orwell, że takie różnice „znikają w chwili, gdy dwóch Brytyjczyków spotyka Europejczyka” i że „nawet różnice między bogatymi i biednymi trochę się zmniejszają, gdy patrzy się na ten naród z zewnątrz”. Jako że jestem osobą z własnego wyboru patrzącą z zewnątrz - można powiedzieć, że gram tu rolę cudzoziemki - moim celem w dążeniu do zdefiniowania angielskości jest szukanie podstawowych cech wspólnych, nie ekscytowanie się powierzchownymi różnicami.

Trudniejszy problem stanowi rasa, o którą także pytało wielu znajomych i kolegów. Gdy dowiadawali się, że w wygodny dla siebie sposób unikam kwestii narodowych

tożsamości: szkockiej, walijskiej i irlandzkiej, ograniczając moje badania do „Anglików” zamiast „Brytyjczyków” czy „mieszkańców Zjednoczonego Królestwa”, kolejne pytanie - pewne jak w banku - brzmiało: czy w mojej definicji angielskości znajdzie się miejsce dla Azjatów, czarnoskórych osób pochodzenia karaibskiego i członków innych mniejszości etnicznych.

Na to pytanie odpowiedzi jest kilka. Pierwsza: mniejszości etniczne z *definicji* bierze się pod uwagę przy każdej próbie zdefiniowania angielskości. To, w jakim stopniu populacja imigrantów adaptuje się, przyswaja kulturę i obyczaje goszczącego ich kraju, a następnie sama wywiera na nie wpływ, zwłaszcza na przestrzeni kilku pokoleń, to problem złożony. Badania zwykle koncentrują się na adaptacji i przyswajaniu (najczęściej wrzucając je do jednego worka z napisem „akulturacja”) kosztem równie interesującej i ważnej kwestii - wpływów. To dziwne: dopuszczamy, że turyści bawiący gdzieś przejazdem mogą wywrzeć głęboki wpływ na kulturę kraju, który odwiedzają (co więcej, badanie towarzyszących temu zjawisku procesów społecznych stało się wręcz ostatnio modną dyscypliną nauki), ale nie wiedzieć czemu naszych naukowców mniej interesują procesy, dzięki którym kultura mniejszości okrzepłych imigrantów może kształtować schematy zachowań, obyczaje, idee, przekonania i systemy wartości w krajach ich osiedlania. Choć mniejszości etniczne stanowią tylko około sześciu procent populacji Wielkiej Brytanii, ich wpływ na wiele aspektów angielskiej kultury jest znaczny. Każda „fotografia” zachowania Anglików, uwieczniająca obecną rzeczywistość, taka, jaką ja spróbuję tutaj wykonać, nieuchronnie zabarwiona będzie tym wpływem. Mimo że bardzo niewielu Azjatów, Afrykanów i osób pochodzenia karaibskiego mieszkających w Anglii nazwałoby siebie samych Anglikami (większość mówi o sobie jako o Brytyjczykach, co jest uważane za termin bardziej ogólny), mają oni swój wyraźny wkład w „gramatykę” angielskości.

Moja druga odpowiedź na pytanie dotyczące rasy odnosi się do lepiej poznanego tematu „akulturacji”. Tu schodzimy do poziomu raczej grupy i jednostki niż całej kultury danej mniejszości. Ujmując to najprościej - być może upraszczając - niektóre grupy i jednostki mniejszości etnicznych są bardziej „angielskie” niż inne. To znaczy, niektóre, z własnego wyboru czy też zmuszone okolicznościami, czy może z obu tych powodów, przyswoiły sobie więcej obyczajów, wartości i wzorców zachowań kultury kraju gospodarza niż inne. (Problem komplikuje się w wypadku kolejnych pokoleń imigrantów, kultura bowiem danego kraju gospodarza nosi już wówczas, przynajmniej do pewnego stopnia, ślady wpływów ich przodków).

Przy takim spojrzeniu na te sprawy przestaje to być problem rasy. Gdy mówię, że

niektóre grupy i jednostki należące do mniejszości etnicznych są bardziej „angielskie” niż inne, nie mam, rzecz jasna, na myśli koloru ich skóry czy kraju pochodzenia; mówię o stopniu „angielskości”, który wykazują przez swoje zachowanie, sposób bycia i obyczaje. Tak samo mogę opisać białe „anglosaskie” grupy i jednostki.

Wszyscy to robimy. Określamy grupę społeczną, osobę, czy nawet, powiedzmy, tylko jedną z reakcji czy charakterystycznych cech tej osoby, jako „bardzo angielską” lub „typowo angielską”. Rozumiemy, co ma na myśli ktoś, kto mówi: „Niektóre z moich przyzwyczajzeń są bardzo angielskie, ale inne wcale”, czy też „Jeśli chodzi o tę sprawę, ty jesteś bardziej angielski niż ja”. Mamy wizję „skali” angielskości. Na co dzień świetnie orientujemy się w niuansach angielskości „częściowej” czy wręcz fragmentarycznej lub wyselekcjonowanej. Uznajemy, że możemy wszyscy, przynajmniej do pewnego stopnia, „wybrać” naszą skalę angielskości. I chcę podkreślić, że te pojęcia mogą być równie dobrze stosowane do mniejszości etnicznych.

Zaryzykowałabym nawet stwierdzenie, że angielskość jest *bardziej* kwestią wyboru w wypadku mniejszości narodowych w Anglii niż nas, tubylców. W świadomości kogoś, kto nie miał wcześniej bezpośredniego kontaktu z inną kulturą, niektóre aspekty angielskości mogą być tak głęboko zakorzenione, że praktycznie nie jest w stanie się od nich uwolnić, nawet jeśli leży to wyraźnie w jego interesie (dobrym przykładem jestem ja, gdy staram się przeprowadzać próby w warunkach naturalnych, jak wpychanie się do kolejek). Imigranci mają przewagę, bo mogą wybierać z większą swobodą, często przyswajając sobie bardziej aprobowane społecznie angielskie dziwactwa i zwyczaje, a ostrożnie unikając tych groteskowych.

Osobiście doświadczyłam takiej selekcji kulturowej. Moja rodzina wyemigrowała do Ameryki, gdy miałam pięć lat, i mieszkaliśmy tam przez lat sześć, w którym to okresie konsekwentnie odmawiałam przyswojenia sobie choćby śladu amerykańskiego akcentu, argumentując, że jest mi niemiły pod względem estetycznym („brzmi okropnie” - tak to wtedy ujmowałam, będąc paskudnym zarzumialcem), mimo że chętnie przyjęłam większość innych elementów tamtej kultury. Jako nastolatka mieszkałam przez cztery lata na francuskiej wsi. Chodziłam do lokalnej szkoły państwowej i moja mowa, zachowanie i sposób bycia były nie do odróżnienia od innych nastolatków z Briançon. Z tym, że wiedziałam, że jest to kwestia wyboru i że mogę świadomie pozbyć się tych elementów francuskości, które irytowały moją matkę, gdy wracałam wieczorem ze szkoły - lub też celowo je uwypuklać, aby ją rozżłościć (niektóre zachowania nastolatków są uniwersalne) - i odrzucić te, które okazały się niekorzystne pod względem towarzyskim, gdy wróciliśmy do Anglii.

Imigranci mogą, oczywiście, podjąć świadomą decyzję o asymilacji i niektórzy w tym kraju stają się „bardziej angielscy niż Anglicy”. Dwaj z moich przyjaciół, których bez wahania opisałabym jako „bardzo angielskich”, to hinduski imigrant w pierwszym pokoleniu i polski uchodźca w pierwszym pokoleniu. Obaj świadomie zdecydowali, jak bardzo angielscy chcą się stać, i choć angielskość stała się od tego czasu ich drugą naturą, nadal potrafią stanąć z boku i przeanalizować swoje zachowanie - i wyjaśnić zasady, których nauczyli się przestrzegać - czego nie potrafiłaby większość z nas, rodowitych Anglików, ponieważ dla nas zazwyczaj są one oczywiste.

Moja siostra miała podobne doświadczenie, gdy poślubiła Libańczyka i wyemigrowała do Libanu (z Ameryki) około ośmiu lat temu. Bardzo szybko stała się dla swojej rodziny i sąsiadów z doliny Bekaa w pełni zasymilowaną gospodynią domową z libańskiej wioski, potrafi jednak przełączyć się z powrotem na angielskość (czy amerykańskość, a nawet swą nastoletnią francuskość) z taką samą swobodą, z jaką przechodzi na inny język - często w połowie zdania. Jej dzieci są amerykańskimi Arabami z domieszką angielskości i równie sprawnie przełączają się na inny język, sposób bycia czy obyczaje w zależności od sytuacji.

Wielu z perorujących na temat „akulturacji” nie docenia owego elementu wyboru. Często sugeruje się, że kultura „dominująca” jest po prostu *narzucana* nieświadomym, biernym mniejszościom, a nie bierze się pod uwagę, do jakiego stopnia jednostki całkiem świadomie, celowo, sprytnie, a nawet wykazując poczucie humoru, wybierają sobie zachowania i zwyczaje kultury kraju gospodarza. Zgadzam się, że pewien stopień akulturacji czy podporządkowania się angielskim obyczajom jest często „wymagany” czy w praktyce „wymuszany” (choć to samo można powiedzieć o kulturze każdego kraju gospodarza, chyba że ktoś przyjeżdża do danego kraju jako najeźdźca w celu podbicia go lub przejazdem jako turysta) i trzeba mówić o dobrych i złych stronach konkretnych wymogów. Ale chodzi mi o to, że podporządkowanie się takim wymogom mimo wszystko pozostaje świadomym procesem, a nie, jak sugerują niektóre opisy akulturacji, formą prania mózgu.

Próbując zrozumieć ten problem, zakładam, że każdy imigrant przybywający do Wielkiej Brytanii jest co najmniej tak bystry i sprytny jak ja wówczas, gdy moja rodzina wyemigrowała do Francji, i tak samo zdolny do ćwiczenia silnej woli i zachowywania własnej tożsamości kulturowej podczas dostosowywania się do wymogów lokalnej kultury, nawet irracjonalnych czy niesprawiedliwych. Mogłam „podkręcić” lub stonować moją francuskość, subtelnie i stopniowo, w całkowicie przemyślany sposób. Moja siostra potrafi regulować i kalibrować swoją arabskość, a moi zaprzyjaźnieni imigranci potrafią robić to

samo ze swoją angielskością, czasem dla praktycznych celów społecznych, jak unikanie izolacji, ale także dla czystej rozrywki. Być może poważni naukowcy zgłębiający tajniki akulturacji po prostu nie chcą dostrzec, że ich „badane obiekty” wszystko sobie wykombinowały, rozumieją naszą kulturę lepiej niż my i przeważnie się z nas po cichu śmieją.

Powinno być już oczywiste (jednak powiem to wyraźnie), że gdy mówię o angielskości, nie wartościuję, nie wynoszę jej ponad jakąkolwiek inną „-skość”. Mówiąc, że niektórzy imigranci są bardziej angielscy niż inni, nie sugeruję (w odróżnieniu od Normana Tebbita i jego niesławnego „testu krykietowego” - zob. rozdział *Rozrywka*), że osoby te są w jakimkolwiek sensie lepsze lub że ich prawa czy status obywatelski powinny być inne od praw tych, którzy są mniej angielscy. A gdy mówię, że każdy *potrafi* - przy odrobinie czasu i wysiłku - „nauczyć się” angielskości lub sobie ją „przyswoić”, nie sugeruję, że *powinien* to zrobić.

To, w jakim stopniu od imigrantów i mniejszości etnicznych oczekuje się adaptacji i dopasowania do kultury angielskiej, jest kwestią do dyskusji. Jeśli chodzi o imigrantów z dawnych kolonii brytyjskich, być może skala wymaganej akulturacji powinna odpowiadać tej, którą my osiągnęliśmy, panosząc się w ich krajach. Ze wszystkich narodów Anglicy mają najmniejsze prawo wypowiadać się o znaczeniu adaptacji do obyczajów kultury kraju gospodarza. Nasze własne osiągnięcia w tej dziedzinie są beznadziejne. Gdziekolwiek osiedlamy się w dowolnej liczbie, nie tylko tworzymy enklawy całkowicie wyizolowanej angielskości, ale także często jeszcze próbujemy narzucać nasze obyczaje i normy kulturowe tubylcom.

Ale ta książka ma opisywać, nie nakazywać. Interesuje mnie zrozumienie angielskości w obecnym status quo, ze wszystkimi jej wadami i zaletami. Zadaniem antropologa nie jest moralizować i rozprawiać o tym, jak opisywane przez niego plemię powinno traktować swych sąsiadów czy członków własnej społeczności. Mogę mieć swój osobisty pogląd na te sprawy, ale nie ma on związku z moją próbą odkrycia zasad rządzących angielskością. Może się zdarzyć, że mimo wszystko wyrażę ten pogląd (to moja książka, więc mogę robić, co mi się podoba), ale postaram się czynić wyraźne rozróżnienie między opinią a obserwacją.

Angielskość i brytyjskość

Właściwie w tym miejscu powinnam przeprosić wszystkich Szkotów i Walijszczyków, którzy (a) mimo wszystko uważają się za Brytyjczyków i (b) zastanawiają się, czemu piszę o angielskości zamiast o brytyjskości (nawiasem mówiąc, mam tu na myśli prawdziwych, urodzonych i wychowanych w swoim kraju Szkotów i Walijszczyków, a nie Anglików - jak np.

ja sama - którzy lubią się pochwalić kroplą walijskiej lub szkockiej krwi przy odpowiedniej okazji).

Odpowiadam, że opisuję angielskość, a nie brytyjskość:

częściowo z czystego lenistwa;

częściowo dlatego, że Anglia to naród, a więc można logicznie oczekiwać, że będzie posiadać jakiś rodzaj spójnej i odrębnej kultury narodowej lub narodowego charakteru, natomiast Wielka Brytania jest tworem czysto politycznym, złożonym z kilku nacji o własnych odrębnych kulturach;

częściowo dlatego, że choć być może kultury te w dużym stopniu się zazębiają, bez wątplenia nie są identyczne i nie powinny być traktowane jako takie przez wrzucenie ich do worka z napisem „brytyjskość”;

i wreszcie, ponieważ „brytyjskość” wydaje mi się terminem raczej bezsensownym: ludzie używają go prawie wyłącznie w znaczeniu „angielskość”. Nie mówi się, że ktoś jest okropnie szkocki lub walijski.

Czasu i energii mam akurat tyle, żeby spróbować zrozumieć jedną z tych kultur, i wybrałam moją własną, kulturę Anglików.

Zdaję sobie sprawę, że jeśli ktoś by zechciał, może przyczepić się do tych argumentów - chociażby dlatego, że „naród” to twór bardzo sztuczny - i kornwalijscy „nacionaliści”, a nawet zagorzali patrioci lokalni z innych części Anglii (przychodzą mi od razu na myśl Yorkshire i Norfolk) na pewno będą się upierać, że oni także mają swoją własną odrębną tożsamość i nie powinno się ich wrzucać do jednego worka z pozostałymi mieszkańcami Anglii.

Problem w tym, że praktycznie każdy naród ma wiele regionów, z których każdy bez wyjątku uważa się za inny i ważniejszy niż wszystkie pozostałe. Tak jest we Francji, Włoszech, Stanach, Rosji, Meksyku, Hiszpanii, Szkocji, Australii - i właściwie w każdym innym miejscu, jakie nam przyjdzie do głowy. Mieszkańcy Petersburga mówią o moskwianach, jakby ci byli przedstawicielami innego gatunku; Amerykanie ze Wschodniego Wybrzeża i Środkowego Zachodu praktycznie także pochodzą z innych planet, tak samo Toskańczycy i neapolitańczycy, Meksykanie z północy i południa itd.; nawet mieszkańcy Melbourne i Sydney uważają, że mają radykalnie odrębne charaktery - a dyskusji o Edynburgu i Glasgow może lepiej w ogóle nie zaczynajmy. Patriotyzm lokalny nie jest wcale zjawiskiem specyficznie angielskim. Jednak w każdym z tych przypadków mieszkańcy tych bardzo indywidualnych regionów i miast mimo wszystko mają ze sobą wystarczająco wiele wspólnego, aby można ich było rozpoznać jako Włochów, Amerykanów, Rosjan, Szkotów

itd. Mnie interesują właśnie te cechy wspólne.

„No cóż, mam nadzieję, że wyjdiesz poza stereotypy” - to był kolejny popularny komentarz, który padał, gdy mówiłam, że robię badania do książki o angielskości. Prawdopodobnie brał się z założenia, że stereotyp jest niejako z definicji „nieprawdziwy”, że prawda leży gdzie indziej - nieważne gdzie. Trochę mnie to dziwi, bo przecież stereotypy o Anglikach na pewno zawierają jeśli nawet nie „prawdę, całą prawdę i tylko prawdę”, to co najmniej jedno lub dwa jej ziarnka. Przecież w końcu nie biorą się znikąd, z *czegoś* musiały wykiełkować i wyrosnąć.

Tak więc moja standardowa odpowiedź brzmiała: nie, nie mam zamiaru wychodzić poza stereotypy, mam zamiar spróbować je rozbić od środka. Nie będę ich specjalnie szukać, ale będę na nie otwarta; a jeśli moje badania wykażą, że pewne schematy angielskich zachowań mają powiązanie z danym stereotypem, włożę ten stereotyp pod mikroskop, rozłożę go na czynniki pierwsze, poddam jego składniki różnym testom, rozplączę jego DNA i, hm, ogólnie rzecz biorąc, będę tak długo w nim grzebać i głowić się nad nim, aż znajdę te ziarnka (czy geny) prawdy.

No dobrze, może pomieszałam tu trochę metafor, mam też pewnie dość mgliste pojęcie o tym, co prawdziwi naukowcy robią w laboratoriach, ale chyba orientujecie się, o co mi chodzi. Wiele rzeczy pod mikroskopem wygląda zupełnie inaczej, i jak można się było spodziewać, odkryłam, że takie etykiety jak angielska „rezerwa”, „uprzejmość”, „rozmowy o pogodzie”, „chuligaństwo”, „hipokryzja”, „umiłowanie prywatności”, „antyintelektualizm”, „upodobanie do stania w kolejkach”, „skłonność do kompromisu”, „fair play”, „humor”, „klasowość”, „ekscentryczność” i tak dalej, nie są całkiem tym, czym wydają się być - i że wszystkie posiadają skomplikowane warstwy zasad i systemów, niewidoczne gołym okiem. Choć nie chciałabym nadużywać metafor laboratoryjnych, myślę, że moją pracę o angielskości można traktować jako próbę określenia sekwencji genomu kultury angielskiej - złamania kodów kulturowych, dzięki którym jesteśmy tacy, jacy jesteśmy.

Taaak. Określenie Sekwencji Genomu Kultury Angielskiej - zapowiada się na przedsięwzięcie poważne, ambitne i imponująco naukowe. Takie, które może potrwać trzy razy dłużej niż okres ustalony w umowie z wydawcą, zwłaszcza gdy się uwzględni wszystkie przerwy na herbatę.

Termin ukuty przez mego ojca, antropologa Robina Foksa, oznaczający niemożność ujrzenia faktycznych podobieństw między grupami ludzi i całymi kulturami z powodu „oślepienia” o wiele wyraźniejszymi różnicami powierzchownymi.[⁴]

Np. psychologa społecznego Michaela Argyle’a, który badał szczęście, i antropologa

Lionela Tigera, który jest autorem książek na temat optymizmu i przyjemności i prowadzi kurs zatytułowany „Antropologia przyjemności i zabaw”.[4]

Tak naprawdę mamy pewne zasady zabraniające zachowań, które, nawet jeśli nie są nie do pojęcia, są mało prawdopodobne lub nawet nienaturalne - zob. np. pracę Robina Foksa na temat tabu kazirodztwa - chodzi o przypadki, gdzie rzeczowe stwierdzenie „tego się nie robi” zostaje sformalizowane jako zakazujące „nie będziesz...” (mimo że filozofowie utrzymują, iż logicznie niemożliwe jest wyprowadzenie „powinien” od „jest”), jednak zazwyczaj są to zasady uniwersalne, nie zaś zasady właściwe dla danej kultury, o których tu mówimy.[4]

Chociaż dostałam ostatnio uroczą skądinąd książkę, wydaną w 1931 r. i zatytułowaną: *The English: Are They Human?* (Czy Anglicy to ludzie?). Pytanie jest retoryczne, jak można się spodziewać. Autor (G.J. Renier) „doszedł do wniosku, że świat jest zamieszkały przez dwa gatunki istot: rodzaj ludzki i Anglików”.[4]

Istnieje spora różnica zdań co do tego, czy takie „uniwersalia” powinno się uważać za najważniejsze cechy natury ludzkiej, jednak od tej dyskusji także się odżegnam - z tego powodu, że nie ma ona bezpośredniego związku z naszą dyskusją na temat angielskości. Sama uważam, o ile to kogoś interesuje, że cała ta debata na temat „natura a wychowanie” jest przedsięwzięciem dość bezsensownym, w które angażujemy się, bo jak wykazał LéviStrauss, umysł ludzki lubi rozumować w kategoriach przeciwieństw binarnych (czarne - białe, lewa - prawa, mężczyzna - kobieta, oni - my, natura - kultura itd.). Dlaczego tak robimy, to temat do dyskusji, jednak to binarne rozumowanie leży u podstaw wszelkich ludzkich instytucji i obyczajów, w tym debat na przyjęciach naukowców i wykształconej klasy średniej.[4]

Gwoli sprawiedliwości, Fox przytoczył *przykłady* ludzkich uniwersaliów, natomiast Murdoch dokonał próby sporządzenia wyczerpującej listy.[4]

Ale nie Hegel, który uchwycił esencję tego problemu, mówiąc, że „Duch narodu jest... duchem uniwersalnym w konkretnym kształcie”. (Zakładając, że dobrze go zrozumiałam - Hegel nie zawsze jest tak jasny, jak by się chciało).[4]

Tak naprawdę dwóch: ta druga to „używanie substancji zmieniających nastroj lub świadomość”, praktyka obecna we wszystkich kulturach ludzkich, której szczególna angielska wersja będzie omawiana w innym miejscu tej książki.[4]

Część pierwsza
Kody konwersacyjne

Pogoda

Jak każda angielska rozmowa, także i dyskusja na temat angielskich rozmów musi się zacząć od pogody. A więc trzymając się ducha tego tradycyjnego protokołu, rozpocznę tak jak wszyscy inni autorzy piszący o angielskości, czyli od słynnego cytatu z doktora Johnsona, który powiedział: „Gdy spotykają się dwaj Anglicy, najpierw zaczynają rozmawiać o pogodzie”, i pozwolę sobie wtrącić, że uwaga ta jest tak samo aktualna dziś, jak ponad dwieście lat temu.

Większość komentatorów w tym miejscu albo kończy dyskusję, albo próbuje - bez powodzenia - podać przekonujące wyjaśnienie angielskiej obsesji na punkcie pogody. Bez powodzenia, ponieważ przyjmują błędnie, że nasze rozmowy o pogodzie są rozmowami o pogodzie. Innymi słowy, zakładają, że rozmawiamy o pogodzie, ponieważ wykazujemy gorliwe (wręcz patologiczne) zainteresowanie tym tematem. Następnie większość z nich próbuje zgłębić, co w tej angielskiej pogodzie jest takiego fascynującego.

Bill Bryson na przykład dochodzi do wniosku, że pogoda angielska wcale nie jest interesująca. Zdaje się, że nasza obsesja na jej punkcie jest dla niego niewytłumaczalna: „Dla obcokrajowca najbardziej uderzające w angielskiej pogodzie jest to, że nie ma jej wiele. Wszystkie te fenomeny, które gdzie indziej czynią naturę bardziej ekscytującą, nieprzewidywalną i niebezpieczną - tornada, monsuny, szalejące śnieżyce, groźne dla życia gradobicia - są prawie zupełnie nieznane na Wyspach Brytyjskich”^a.

Jeremy Paxman, w nietypowym i zapewne nieświadomym przypiływie patriotyzmu, czuje się urażony lekceważącymi uwagami Brysona i dowodzi, że angielska pogoda *jest* w istocie fascynująca:

Bryson nie pojmuje sedna sprawy. Angielska obsesja na punkcie pogody nie ma nic wspólnego z melodramatem - podobnie jak angielska wieś, pogoda jest przeważnie dramatycznie pozbawiona dramatyzmu. Zainteresowanie nasze dotyczy w mniejszym stopniu samych zjawisk, a bardziej *niepewności*... jedna z niewielu rzeczy, które można stwierdzić o Anglii z absolutną pewnością, to ta, że pogody jest tu obfitość. Nie ma może tropikalnych cyklonów, ale jak życie na krawędzi oceanu, tak i życie na krawędzi kontynentu oznacza, że nigdy nie można być naprawdę pewnym, co nas spotka.

Moje badania przekonały mnie, że sedna sprawy nie pojmuje ani Bryson, ani Paxman. Nasze rozmowy o pogodzie tak naprawdę wcale nie dotyczą pogody: jest to rodzaj kodu, wynaleziony po to, by pomóc nam pokonać naszą wrodzoną rezerwę, żebyśmy w ogóle mogli się do siebie odzywać! Każdy wie, na przykład, że „Ładny dzień, prawda?”, „Ale zimno, nie?”, „Ciągle pada, co?” i inne wariacje na ten temat, to nie pytania o dane meteorologiczne;

to rytualne powitania, zagajenia i standardowe „wypełniacze”. Inaczej mówiąc, rozmowa Anglików o pogodzie to rodzaj „dialogu integracyjnego” - ludzkiego ekwiwalentu towarzyskich zabiegów higienicznych naszych kuzynów, naczelnych, które poświęcają całe godziny na iskanie sobie nawzajem futer, nawet gdy te są idealnie czyste - w celu tworzenia więzi społecznych.

Regulamin rozmów o pogodzie

Reakcja

Jeremy Paxman nie może zrozumieć, dlaczego „blondynka w średnim wieku”, którą spotkał przed Instytutem Meteorologii w Bracknell, zwróciła się do niego: „Ale zimno, prawda?”, i przypisuje jej irracjonalną, specyficzną angielską „zdolność nieograniczonego dziwienia się pogodzie”. W rzeczywistości „Ale zimno, prawda?”, tak samo jak „Ładny dziś dzień, prawda?” i temu podobne, to angielski kod oznaczający „Chcę z tobą porozmawiać - porozmawiasz ze mną?” lub też, jeśli ktoś woli, po prostu alternatywny sposób powitania. Nieszczęsna kobieta próbowała po prostu nawiązać rozmowę z panem Paxmanem. Niekoniecznie długą rozmowę - chodziło po prostu o wzajemną akceptację, przyjęcie do wiadomości istnienia tej drugiej osoby, wymianę pozdrowień. Zgodnie z regulaminem rozmów o pogodzie, on miał tylko odpowiedzieć „Mhm, właśnie” lub udzielić jakiegokolwiek innej banalnej odpowiedzi, czyli przekazać zaszyfrowaną wiadomość: „Tak, rozmawiam z tobą/przywitam się z tobą”. Nie odpowiedziawszy nic, Paxman naruszył nieco etykietę, przekazując dość niegrzeczny komunikat: „Nie, nie wymienię z tobą pozdrowień”. (Nie było to jednak poważne wykroczenie, ponieważ ważniejsze od zasad etykiety są zasady zachowania prywatności i powściągliwości; rozmawianie z nieznanymi nigdy nie jest obowiązkowe).

Kiedyś mieliśmy jeszcze jedno rozwiązanie, przynajmniej w niektórych sytuacjach towarzyskich, mianowicie pozdrowienie *How do you do?*, jednak dziś zwrot ten (na który poprawną, pozornie nedorzeczną odpowiedzią jest również *How do you do?*) uważany jest za nieco archaiczny i nie stanowi już uniwersalnego standardowego pozdrowienia. Dialog zaczynający się od „Ładny dziś dzień, prawda?” należy jednak postrzegać w tym samym duchu, a nie brać dosłownie; *How do you do?* (Jak się masz?) nie jest prawdziwym pytaniem o czyjeś zdrowie czy samopoczucie, a „Ładny dziś dzień, prawda?” nie jest prawdziwym pytaniem o pogodę.

Uwagi na temat pogody wyrażane są w formie pytań (czy też z intonacją pytającą), ponieważ wymagają odpowiedzi - ale chodzi tu o *reakcję*, a nie o treść. Każda uwaga jest dobra, by zainicjować dialog, a każde wymamrotane potwierdzenie (albo nawet powtórzenie

tego samego, np. „Tak, prawda?”) wystarczy za odpowiedź. Rytuały angielskich rozmów o pogodzie często do złudzenia przypominają katechizm albo wezwania i odpowiedzi wymieniane między księdzem a wiernymi w kościele: „Panie, zmiłuj się nad nami”, „Chryste, zmiłuj się nad nami”; „Zimno, prawda?”, „Tak, prawda?” i tak dalej.

Nie zawsze jest to tak oczywiste, jednak każda angielska rozmowa o pogodzie ma charakterystyczną strukturę, wyraźny schemat rytmiczny, co dla antropologa wyróżnia je od razu jako „rytuał”. Wyraźnie odnosi się wrażenie, że są to ukierunkowane wymiany zdań (z własną „choreografią”), przeprowadzane w zgodzie z niepisanymi, acz milcząco akceptowanymi zasadami.

Kontekst

Bardzo ważna zasada dotyczy kontekstu, w którym można przeprowadzać rozmowy o pogodzie. Inni autorzy twierdzą, że Anglicy rozmawiają o pogodzie bez przerwy, że jest to narodowa obsesja czy fiksacja, ale to niedokładne spostrzeżenie: w rzeczywistości istnieją trzy dość konkretne konteksty, w których zaleca się o niej rozmawiać. Rozmawiać o pogodzie można zatem:

w ramach zwykłego przywitania;

aby przełamać lody, zanim przejdzie się do rozmowy na inne tematy;

traktując ją jako temat domyślny, zastępczy lub „wypełniacz”, gdy rozmowa na inne tematy się nie klei i zapada niezręczna, niewygodna cisza.

Trzeba przyznać, że ta reguła pozwala na częste rozmowy o pogodzie - stąd wrażenie, że o niczym innym nie rozmawiamy. Typowa angielska rozmowa może rozpocząć się od pozdrowienia, w którym wspomnimy o pogodzie, przejść do etapu przełamywania lodów, również z wykorzystaniem aktualnego stanu pogody, a później odwoływać się do pogody regularnie co jakiś czas. Łatwo zrozumieć, dlaczego wielu cudzoziemców, a nawet wielu angielskich komentatorów uważa, że musimy mieć na tym punkcie obsesję.

Nie twierdzą, że nie interesujemy się w ogóle samą pogodą. Wybór pogody jako szyfru, który pomaga odgrywać owe niezbędne role społeczne, nie jest całkiem przypadkowy i w tym sensie Jeremy Paxman ma rację: zmienny i nieprzewidywalny charakter angielskiej pogody czyni z niej wyjątkowego sprzymierzeńca w kontaktach społecznych. Gdyby pogoda nie była tak zmienna, musielibyśmy pewnie znaleźć inne medium dla naszych komunikatów towarzyskich.

Jednak zakładając, że rozmowy o pogodzie wskazują na przemożne nią zainteresowanie, Paxman i inni popełniają ten sam błąd, co dawni antropolodzy, przekonani, że niektóre zwierzęta czy rośliny wybierane są na totemy plemienne dlatego, że członkowie

danego plemienia darzą je wyjątkowym szacunkiem czy zainteresowaniem. W rzeczywistości, jak w końcu wyjaśnił LéviStrauss, totemy to symbole używane do określania struktury społecznej oraz stosunków społecznych. Fakt, że jakiś klan ma za totem czarną kakadu, nie wynika z żadnego głębokiego znaczenia przywiązywanego do czarnych kakadu *per se*, tylko z chęci ustalenia i wyznaczenia granic stosunków z innym klanem, którego totemem jest biała kakadu. Wybór kakadu nie jest wprawdzie kompletnie przypadkowy: totemy zwykle przedstawiają zwierzęta czy rośliny z najbliższego otoczenia, które członkowie plemienia dobrze znają, nie są to symbole abstrakcyjne. Wybór totemów nie jest zatem dziełem przypadku jak wtedy, gdy mówimy: „Dobra, to wy będziecie drużyną czerwonych, a my niebieskich”; prawie zawsze do opisanie i wytyczenia granic świata społecznego symbolicznie wykorzystywany jest dobrze znany świat przyrody.

Przytakiwanie

Anglicy najwyraźniej wybrali na czynnik sprzyjający kontaktom towarzyskim bardzo odpowiedni aspekt naszego własnego znajomego świata przyrody; kapryśny i zmienny charakter naszej pogody gwarantuje, że zawsze coś nas może zaskoczyć, zawsze coś da się skomentować, zawsze jest na co ponarzekać, o czym spekulować czy, i to jest chyba najważniejsze, co do czego się *zgodzić*. To zaś wiąże się z inną ważną zasadą angielskich rozmów o pogodzie: zawsze przytakuj. Zasadę tę zauważył humorysta węgierski George Mikes, który pisał, że w Anglii „nigdy nie należy nikomu zaprzeczać w rozmowie o pogodzie”^b. Ustaliliśmy już, że na powitanie czy zagajenie wykorzystujące temat pogody, jak „Zimno, prawda?”, należy zareagować, ale etykieta wymaga także, by zgodzić się z rozmówcą, mówiąc na przykład: „Uhm, właśnie” albo „Tak, bardzo zimno”.

Nieprzytaknięcie jest poważnym naruszeniem etykiety. Gdy ksiądz mówi „Panie, zmiłuj się nad nami”, nie odpowiadamy „Ale właściwie po co?”. Intonujemy posłusznie „Chryste, zmiłuj się nad nami”. Na tej samej zasadzie, byłoby bardzo niegrzecznie na „Ale zimno, prawda?” odpowiedzieć „Nie, tak naprawdę jest całkiem ciepło”. Jeśli słucha się uważnie, tak jak ja, setek angielskich dialogów o pogodzie, widać, że takie odpowiedzi są niezwykle rzadkie, wręcz niesłychane. Rozmówcy nie mają pojęcia, że postępują zgodnie z jakimś regulaminem: po prostu nie zaprzeczają się, i tyle.

Jeśli ktoś celowo złamie tę zasadę (jak ja, świadomie, kilka razy, w interesie nauki), poczuje, że atmosfera staje się dość napięta i niezręczna, a rozmówcy nawet nieco urażeni. Nikt się nie poskarży ani nie zrobi awantury (mamy wszak zasady dotyczące narzekania i robienia scen), ale obecni będą dotknięci i w subtelny sposób to okażą. Może zapaść niezręczna cisza, potem ktoś może powiedzieć obrażonym tonem: „No cóż, *mnie jest zimno*”

albo „*Naprawdę? Tak uważasz?*”, lub (co najbardziej prawdopodobne) zgromadzeni zmieniają temat względnie będą kontynuować rozmowę o pogodzie między sobą, uprzejmie, acz lodowato ignorując twoje faux pas. W środowiskach, w których ceni się uprzejmość, ludzie mogą starać się zatuszować twój błąd i uznać go bardziej za przejaw gustu lub indywidualny ekscentryzm niż coś, co wynika ze sfery faktów. Wśród bardzo grzecznych rozmówców reakcją na twoje „Nie, tak naprawdę jest całkiem ciepło” może być, po lekko zakłopotanej pauzie: „Och, może ty po prostu nie czujesz zimna - całkiem jak mój mąż: zawsze mówi, że mu ciepło, gdy ja się trzęsę z zimna i narzekam. Może kobiety odczuwają zimno bardziej niż mężczyźni, jak sądzisz?”.

Wyjątki od zasady przytakiwania

Takie łaskawe rozmydlenie problemu jest możliwe, ponieważ zasady angielskich rozmów o pogodzie są skomplikowane, mają wiele wyjątków i subtelnych wariantów. W wypadku zasady przytakiwania, wariant główny dotyczy osobistego upodobania lub różnic związanych z wrażliwością na pogodę. Zawsze należy przytaknąć „rzeczowym” twierdzeniom o pogodzie (które są niemal z reguły sformułowane jak pytanie, ale jak już ustaliliśmy, to dlatego, że wymagają towarzyskiej *reakcji*, a nie racjonalnej odpowiedzi), nawet gdy są wyraźnie niezgodne z prawdą. Wolno nam jednak okazywać nasze osobiste upodobania, które różnią się od upodobań naszych towarzyszy, czy wyrażać niezgodę w kategoriach osobistych dziwactw i indywidualnej wrażliwości.

Jeśli więc uważamy, że absolutnie nie możemy się zgodzić z czyimś „Ale zimno, prawda?”, poprawną reakcją jest: „Tak, ale ja nawet lubię taką pogodę - jest całkiem rześko, nieprawdaż?” albo „Tak, ale wiesz, ja zwykle nie czuję zimna - dziś jest mi nawet ciepło”. Zauważmy, że obie odpowiedzi zaczynają się od przytaknięcia, nawet jeśli w drugim wypadku następuje po nim jawny sprzeciw: „Tak... jest mi nawet ciepło”. Takie zaprzeczenie samemu sobie jest jak najbardziej dopuszczalne, bo etykieta jest o wiele ważniejsza niż logika, jednak jeśli już naprawdę nie możemy się zdobyć na rozpoczęcie od zwyczajowego „Tak”, zastąpmy je pozytywnie brzmiącym „Uhm” i skinieniem głowy - jest to ciągle wyraz zgody, nawet jeśli mniej dobitny.

Jeszcze lepsza byłaby tradycyjna reakcja pod hasłem „nie narzekam”: „Tak (lub «Uhm» plus skinienie), ale przynajmniej nie pada”. Jeśli lubimy zimno albo nie uważamy, że jest zimno, taka reakcja praktycznie gwarantuje, że i my, i nasz trzęsący się z zimna znajomy osiągniemy sympatyczne porozumienie. Wszyscy zawsze zgodzą się, że zimny słoneczny dzień jest bardziej pożądanym niż dzień deszczowy - a w każdym razie tak się przyjęło uważać.

Ów wariant związany z indywidualnym gustem/wrażliwością jest właściwie bardziej

modyfikacją zasady przytakiwania niż wyjątkiem od niej: dobitne zaprzeczenie „rzecowego” stwierdzenia to wciąż tabu; możemy je złagodzić, tylko jeśli dopuścimy istnienie różnic we wrażliwości lub gustach indywidualnych (pod warunkiem, że jasne jest, iż chodzi właśnie o nie).

Istnieje mimo to jeden kontekst, w którym od dyskutujących o pogodzie Anglików wcale nie wymaga się przestrzegania zasady przytakiwania: chodzi o wymianę zdań między mężczyznami, a zwłaszcza męską dyskusję w pubie. Ten kontekst będzie się tu pojawiał często, a szczegółowo opisany jest w rozdziale *Język pubu*, ale na razie najważniejsze jest to, że w męskich dyskusjach Anglików (zwłaszcza tych prowadzonych w specyficznym otoczeniu pubu) nieustanny, wyraźny sprzeciw - nie tylko co do pogody, ale i każdego innego tematu - jest sposobem okazywania sympatii i tworzenia wspólnoty.

Hierarchia pogodowa

Wspomniałam wyżej, że niektóre uwagi na temat pogody, takie jak „Przynajmniej nie pada” wypowiedziane w zimny dzień, praktycznie gwarantują porozumienie. To dlatego, że istnieje nieoficjalna angielska hierarchia dotycząca pogody, z którą zgadzają się właściwie wszyscy. W porządku malejącym, od najlepszego do najgorszego, hierarchia ta wygląda następująco:

- słonecznie i ciepło/letnio;
- słonecznie i chłodno/zimno;
- pochmurno i ciepło/letnio;
- pochmurno i chłodno/zimno;
- deszczowo i ciepło/letnio;
- deszczowo i chłodno/zimno.

Nie twierdzę, że wszyscy w Anglii wolą słońce od chmur czy ciepło od zimna, po prostu inne preferencje są uważane za odstępstwa od normy¹. Nawet nasze telewizyjne pogodynki wyraźnie podpisują się pod tymi zasadami: gdy zapowiadają deszcz, przybierają przeproszający ton, ale często starają się wpleść nutę wesołości, dodając, że przynajmniej będzie trochę cieplej, bo wiedzą, że pogoda deszczowa i ciepła jest bardziej pożądana niż deszczowa i zimna. Podobnie mrocznego tonu używa się do zapowiadania zimnej pogody, ale rozjaśnia go perspektywa towarzyszącego słońca, bo wszyscy wiemy, że dzień słoneczny i zimny jest lepszy niż pochmurny i zimny. Jeśli więc pogoda nie jest zarazem deszczowa i zimna, zawsze pozostaje nam odpowiedź: „Ale przynajmniej nie jest...”.

Jeśli jest zarazem mokro i zimno, albo gdy po prostu nie mamy humoru, możemy dać upust czemuś, co Jeremy Paxman nazywa naszą „fenomenalną zdolnością do cichego

narzekania”. Podoba mi się ta uwaga, dodałabym tylko, że to angielskie rytualne narzekanie na pogodę spełnia ważną misję społeczną, bo stwarza szansę na przyjazne porozumienie, a w tym wypadku dodatkową korzyścią jest istnienie podziału: „oni i my”, gdzie „oni” to albo sama pogoda, albo jej zapowiadacze. Rytualne narzekanie to demonstracja jedności (jak również dowcipu i humoru). Wytwarza ono poczucie solidarności przeciw wspólnemu wrogowi - a to wszystko mocno sprzyja tworzeniu się więzi towarzyskich.

Równie dopuszczalną, choć bardziej pozytywną reakcją na pogodę z dolnego końca hierarchii jest przepowiednia rychłej poprawy. W odpowiedzi na „Okropna pogoda, prawda?” można stwierdzić: „Tak, ale mówią, że po południu się przejaśni”. Jeśli jednak nasz towarzysz jest w nastroju Kłapouchego², jego riposta może brzmieć „Tak, ale wczoraj mówili to samo i lało cały dzień”. W tym momencie można równie dobrze zrezygnować z pogodnej postawy Polyanny i pozwolić sobie na odrobinę cichego narzekania. Tak naprawdę to nieważne: chodzi o to, żeby się porozumiewać, zgadzać, mieć ze sobą coś wspólnego; a wspólne narzekanie równie skutecznie stymuluje kontakty towarzyskie i więzi społeczne, jak wspólne spekulacje, optymizm czy stoicyzm.

Ci, których gusta prywatne różnią się od nieoficjalnej hierarchii pogodowej, powinni pamiętać, że im niżej w hierarchii leżą ich preferencje, tym bardziej będą musieli modyfikować swoje komentarze, zgodnie z klauzulą o osobistym guście/wrażliwości. Na przykład przedkładanie zimna nad ciepło jest bardziej dopuszczalne niż jawne rozkoszowanie się deszczem. Jednak nawet najdziwaczniejsze gusta mogą zostać zaakceptowane jako nieszkodliwa ekscentryczność, pod warunkiem że przestrzega się regulaminu.

Śnieg i zasada umiaru

Śnieg nie jest wymieniony w hierarchii, częściowo dlatego, że występuje względnie rzadko, w porównaniu z innymi rodzajami pogody, które spotyka się na okrągło, często w ciągu jednego dnia. Śnieg jest także pod względem towarzyskim i konwersacyjnym przypadkiem specyficznym i niezręcznym, jako że jest estetycznie miły, ale praktycznie niewygodny. Zawsze jednocześnie podnieca i niepokoi. Stąd też jest wspaniałą pożywką dla konwersacji, ale powszechnie akceptowany jest tylko wtedy, gdy pada na Boże Narodzenie, czyli prawie nigdy. Nieustająco jednak mamy nadzieję, że to nastąpi, i każdego roku zostawiamy u bukmacherów tysiące funtów w zakładach, czy Boże Narodzenie będzie „białe”.

Jedyną zasadą konwersacji, którą można zastosować bezpiecznie do śniegu, jest ogólna i typowo angielska „zasada umiaru”: za dużo śniegu, jak za dużo wszystkiego, zasługuje na ubolewanie. Nawet ciepło i słońce są do przyjęcia tylko w umiarkowanych

dawkach: zbyt wiele następujących po sobie gorących słonecznych dni, i wypada zacząć zadrećcać się wizją suszy, narzekając na zakaz używania węzów ogrodowych, i przypominać sobie wzajemnie, tonem wieszczącym zagładę, lato tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego.

Być może Anglicy mają, jak twierdzi Paxman, „zdolność nieograniczonego dziwienia się pogodzie”, ma on też rację, zauważając, że lubimy być przez nią zaskakiwani. Ale my do tego *spodziewamy się*, że zostaniemy zaskoczeni: jesteśmy przyzwyczajeni do zmienności naszej pogody i oczekujemy, że będzie się ona zmieniać dość często. Jeśli jakiś stan pogody utrzymuje się dłużej niż kilka dni, zaczynamy się czuć nieswojo: ponad trzy dni deszczu i zaczynamy się martwić wizją powodzi; więcej niż parę dni śniegu i ogłaszamy stan klęski żywiołowej, a cały kraj wpada w poślizg i zostaje sparaliżowany.

„Pogoda jak rodzina”

My możemy godzinami narzekać na pogodę, cudzoziemcom krytykować jej nie wolno. Pod tym względem traktujemy angielską pogodę jak członka rodziny: człowiek może narzekać na zachowanie własnych dzieci lub rodziców, ale nawet cień krytyki ze strony osoby z zewnątrz jest niedopuszczalny i świadczy o braku wychowania.

Mimo że mamy świadomość stosunkowo niedramatycznego charakteru angielskiej pogody - braku ekstremalnych temperatur, burz, śnieżyc, tornad i monsunów - stajemy się okropnie drażliwi i defensywni w obliczu każdej sugestii, że nasza pogoda jest w związku z tym gorsza lub nudna. Chyba najgorszym grzechem przeciw regulaminowi jest ten, który popełniają głównie cudzoziemcy, zwłaszcza Amerykanie, czyli lekceważenie angielskiej pogody. Gdy temperatura w lecie dochodzi do dwudziestu kilku stopni i narzekamy „Uff, ale upał, prawda?”, nie jesteśmy zachwyceni, gdy turyści amerykańscy czy australijscy śmieją się z nas i kpiąco mówią: „T o ma być upał? To jest *nic*. Przyjedźcie do Teksasu (Brisbane), to dopiero zobaczycie prawdziwy upał!”.

Takie uwagi są nie tylko poważnym naruszeniem zasady przytakiwania oraz zasady „pogoda jak rodzina”, ale do tego reprezentują one karygodnie *ilościowe* podejście do sprawy, co my uważamy za pospolite i w złym guście. Rozmiar, zauważamy z pogardą, to nie wszystko, a angielska pogoda zasługuje na należyte uznanie jej subtelnych zmian i niuansów, a nie na prymitywną obsesję na punkcie ilości i wielkości.

Co więcej, pogoda jest chyba jedną z niewielu rzeczy, co do których Anglicy wykazują otwarty i bezwstydnym patriotyzm. Podczas moich badań angielskości, których naturalnym elementem było wiele rozmów o pogodzie, co i rusz spotykałam się z tą drażliwą defensywnością co do naszej pogody, wśród przedstawicieli wszystkich klas i środowisk

społecznych. Pogarda dla amerykańskiej obsesji na punkcie ilości była powszechna - jeden z moich informatorów (właściciel pubu) wyraził otwarcie nastroje większości, mówiąc mi: „U Amerykanów zawsze «nasze jest większe», jeśli chodzi o pogodę czy cokolwiek innego. Oni są tacy prymitywni. Większe steki, większe budynki, większe śnieżyce, więcej gorąca, więcej huraganów, więcej wszystkiego. Zero subtelności, k... oto jest ich problem”. Jeremy Paxman bardziej elegancko, ale równie patriotycznie zbywa wszystkie monsuny, szalejące śnieżyce, tornada i gradobicia jako „melodramat”. Przytyk bardzo w angielskim stylu.

Rybacka prognoza pogody

Osobliwe przywiązanie Anglików do własnej pogody znajduje najbardziej wymowny wyraz w postawie wobec typowo angielskiej instytucji narodowej: rybackiej prognozy pogody. Szperając ostatnio w pewnej księgarni nad morzem, znalazłam atrakcyjną ilustrowaną książkę dużego formatu, z pejzażem morskim na okładce, zatytułowaną *Po południu deszcz. Dobra (Rain Later, Good)*. Uderzyła mnie myśl, że niemal wszyscy Anglicy natychmiast rozpoznają to dziwne, na pozór bezsensowne, a nawet nielogiczne wyrażenie, jako część tajemniczej, nastrojowej i w jakiś sposób głęboko kojącej mantry nadawanej bezpośrednio po wiadomościach w stacji radiowej BBC4.

Rybacka prognoza pogody to prognoza przybliżona z dodatkowymi informacjami na temat siły wiatru i widoczności dla jednostek rybackich, statków wycieczkowych i frachtowców na morzach wokół Wysp Brytyjskich. Informacje te nie są ani trochę przydatne, ani istotne dla słuchających ich milionów ludzi, którzy nie odbywają akurat podróży morskiej, ale słuchać, wszyscy słuchamy z wielką uwagą, zahipnotyzowani spokojną, rytmiczną, znajomą recytacją listy nazw stref morskich, po których następują informacje na temat wiatru, pogody, widoczności - ale z pominięciem głównych słów (wiatr, pogoda, widoczność), w wyniku czego brzmi to następująco: „Viking, North Utsire, South Utsire, Fisher, Dogger, German Bight. Zachodni lub południowozachodni, trzy do czterech, w ciągu dnia na północy wzrastający do pięciu. Po południu deszcz. Dobra przechodząca w umiarkowaną, miejscami złą. Faroes, Fair Isle, Cromarty, Forties, Forth. Północny zmieniający kierunek na zachodni, trzy do czterech, w ciągu dnia wzrastający do sześciu. Przelotne opady. Dobra”. I tak dalej, i tak dalej, miarowym, beznamiętnym tonem, aż zostanie omówione wszystkie trzydzieści jeden stref morskich, a miliony angielskich słuchaczy³, z których większość nie ma pojęcia, gdzie się one znajdują ani co oznaczają te słowa i liczby, wyłączają wreszcie radia, czując się dziwnie pokrzepieni, a nawet podniesieni na duchu tym, co poeta Sean Street nazwał „zimną poezją informacji” rybackiej prognozy pogody.

Niektórzy z moich cudzoziemskich informatorów - głównie imigranci i turyści, od

jakiegoś czasu mieszkający w Anglii - natknęli się na ten osobliwy rytuał, i wielu z nich uznało go za dziwaczny. Przede wszystkim, w jakim celu ktoś chciałby wysłuchiwać tych list nieznanymi miejsc i nieistotnych danych meteorologicznych, nie mówiąc już o upieraniu się, aby wysłuchiwać tej bezsensownej litanii do końca, i traktowaniu każdego, kto odważy się ją wyłączyć, jak gdyby dopuścił się świętokradztwa? Byli skonsternowani widokiem nagłówków w krajowej prasie, telewizji i radiu i zażartymi dyskusjami, gdy zmieniona została nazwa jednej z morskich stref (z Finisterre na FitzRoy), a byłiby też niewątpliwie równie zdumieni ogólnokrajowymi protestami, które nastąpiły, gdy BBC miała czelność zmienić porę nocnej emisji, przesuwając ją, bagatelka, na godzinę o piętnaście minut wcześniejszą („Ludzie nie posiadali się z oburzenia”, jak to ujął rzecznik Instytutu Meteorologii).

„Myślałby kto, że chcieli zmienić tekst *Ojciec nasz!*” - skomentował jeden z moich amerykańskich informatorów wrzawę wokół problemu Finisterre/FitzRoy. Próbowałam wyjaśnić, że tu nie chodzi o przydatność czy stosowność informacji, że dla Anglików słuchanie rybackiej prognozy pogody *jest* jak słuchanie dobrze znanej modlitwy - coś głęboko krzepiącego, nawet dla niewierzących - i że jakakolwiek modyfikacja tak ważnego rytuału będzie dla nas zawsze traumatyczna. Możemy nie wiedzieć, gdzie są te akweny, mówiłam, ale ich nazwy są wyryte w narodowej psychice: ludzie nawet nazywają od nich swoje zwierzaki. Możemy sobie żartować z rybackiej prognozy pogody (autor książki *Po południu deszcz. Dobra*⁴ zauważa, że niektórzy ludzie „rozmawiają” z nią - „Burza dobra? Chyba nie”), ale w końcu my żartujemy ze wszystkiego, nawet, a może zwłaszcza z rzeczy, które są dla nas najświętsze. Jak nasza Pogoda i nasza Rybacka Prognoza Pogody.

Rozmowy o pogodzie a angielskość

Zasady angielskich rozmów o pogodzie mówią nam całkiem sporo o samej angielskości. Zanim nawet jeszcze zaczniemy badać szczegółowo inne angielskie kody konwersacyjne i zasady postępowania, już sama pogoda dostarcza nam wielu wskazówek co do „gramatyki” angielskości.

W zasadach reakcji i kontekstu widzimy wyraźne oznaki rezerwy i zahamowań towarzyskich, ale także pomysłowe użycie czynników wspomagających przewyciężenie tych ułomności. Zasada przytakiwania i wyjątki od niej dowodzą wagi uprzejmości i unikania konfliktów (a także aprobaty konfliktu w specyficznych kontekstach towarzyskich) - oraz nadrzędności etykiety nad logiką. W wariantach zasady przytakiwania i w klauzulach do zasady hierarchii pogodowej znajdujemy oznaki przyzwolenia na ekscentryczność i pewne ślady stoicyzmu, dla których przeciwwagą jest upodobanie do narzekania na modłę Kłapouchego. Zasada umiaru ujawnia niechęć i dezaprobatę wobec ekstremów, a zasada

„pogoda jak rodzina” ukazuje dość zaskakujący patriotyzm, razem z dziwacznym uznaniem dla subtelności uroku. Rytuał rybackiej prognozy pogody świadczy o głęboko zakorzenionej potrzebie bezpieczeństwa i ciągłości - oraz o tendencji do irytacji, gdy owe wartości są zagrożone - a także wskazuje na angielskie umiłowanie słów i nieco ekscentryczne upodobanie do zagadkowych i z pozoru irracjonalnych czynności i hobby. W podtekście daje się wszędzie wyczuć humor i niechęć do brania rzeczy zbyt poważnie.

Oczywiście, na ustalenie, czy owe cechy znajdują się wśród „definiujących cech charakterystycznych angielskości”, które postanowiliśmy odkryć, potrzebujemy dalszych dowodów, ale przynajmniej widzimy już, w jaki sposób badania nad naszymi niepisаныmi zasadami mogą pomóc nam zrozumieć angielskość.

Dialogi integracyjne

W poprzednim rozdziale opisałam rozmowy o pogodzie jako formę „dialogów integracyjnych” czy też nawet „pielęgnacyjnych”. Właściwie ludzka zdolność do produkowania mowy złożonej w większości przekłada się na rozmowy tego typu - są one werbalnym odpowiednikiem wzajemnego wybierania sobie pcheł z futra czy drapania po grzbiecie.

Przywitanie

Dialogi integracyjne zaczynają się od przywitania. Tu przydaje się pogoda, ponieważ powitania i przedstawianie się stanowią dla Anglików duży problem, szczególnie bolesny od czasu zaniku *How do you do?*, używanego jako powitanie standardowe i dobre w każdej sytuacji. Zwrot *How do you do?* (na który stosowną reakcją jest nie odpowiedź na pytanie, ale powtórzenie: *How do you do?*, jak echo lub papuga⁵) jest nadal w użyciu wśród klasy wyższej i górnych warstw klasy średniej, natomiast dla całej reszty powitanie jest gehenną, bo nigdy nie wiedzą, co powiedzieć. Zamiast szydzić ze staroświeckiego *How do you do?*, lepiej byśmy zrobili, organizując kampanię na rzecz jego odrodzenia; rozwiązałoby to wiele problemów.

Skrepowanie

A tak - witamy się i przedstawiamy na ogół niezgrabnie i bez wdzięku. Między dobrymi znajomymi niezręczności jest mniej, choć często i wówczas nie jesteśmy pewni, co zrobić z rękami, czy kogoś przytulić, czy pocałować. Francuski zwyczaj całowania w oba policzki przyjął się wśród liberalnej inteligencji i w pewnych kręgach właściwej klasy średniej oraz jej warstwy wyższej, ale przez członków innych grup społecznych uważany jest za głupi i pretensjonalny, zwłaszcza gdy przybiera formę cmoknięcia w powietrze. Kobiety, które używają tej odmiany pocałunku (bo używają jej tylko kobiety, mężczyźni nie cmokają na odległość, chyba że są gejami zachowującymi się w stereotypowy sposób, a nawet wtedy robią to „ironicznie”), są pogardliwie nazywane, od wydawanego odgłosu, „młamła”. Nawet w tych kręgach społecznych, gdzie akceptuje się całowanie w policzek, nigdy nie można mieć całkowitej pewności: całować raz czy dwa. Następuje więc długa chwila niezręcznego wahania, a potem zderzamy się twarzami, usiłując odgadnąć intencje drugiej osoby.

Uściski dłoni są obecnie normą, jeśli chodzi o przedstawianie się w kontekście biznesowym - lub raczej są normą, gdy biznesmeni są sobie przedstawiani po raz pierwszy. Paradoksalnie, pierwsza prezentacja, kiedy wymaga się pewnej oficjalności, jest najłatwiejsza. (Łatwo jednak zauważyć, że uścisk dłoni Anglika jest zawsze nieco niezręczny, bardzo krótki, wykonywany „na wyciągnięcie ręki” i bez zaangażowania drugiej dłoni - czyli

żadnego obejmowania, klepania po ramieniu itd., jakie spotyka się wśród mniej zahamowanych nacji).

W trakcie kolejnych spotkań, zwłaszcza w miarę jak nasi biznesmeni poznają się lepiej, uścisk dłoni przy powitaniu często zaczyna wydawać się *zanadto* oficjalny, ale z kolei całowanie w policzek byłoby zbyt nieoficjalne (lub pretensjonalne, zależnie od kręgu społecznego), a tak czy inaczej niedozwolone między mężczyznami, więc wracamy do tradycyjnego pełnego zakłopotania chaosu, gdzie nikt nie jest pewien, co robić. Wyciąga się dłonie do połowy, a potem wycofuje lub zmienia gest w coś w rodzaju niewyraźnego machnięcia; może nastąpić niezgrabny, niezdecydowany ruch sugerujący chęć cmoknięcia w policzek albo potrzebę innego rodzaju fizycznego kontaktu, jak dotknięcie ramienia - bo całkowity brak kontaktu wydaje się trochę nieprzyjazny - ale z nich także rezygnuje się w połowie drogi. To jest tak nieznośnie angielskie: zbytńia oficjalność jest kłopotliwa, ale zbytńia swoboda też (znowu problem ze skrajnościami).

Tylko bez nazwisk

W sytuacjach czysto towarzyskich problemy są jeszcze większe. Tu nie obowiązuje uniwersalne zalecenie, by podczas pierwszej prezentacji uścisnąć komuś dłoń. Mogłoby to nawet zostać odebrane jako zbyt „biznesowe” - a biznesowy zwyczaj podawania w tej sytuacji swojego nazwiska też uważa się za niestosowny. Nie podchodzi się do kogoś na przyjęciu (czy w jakiejś innej sytuacji towarzyskiej, gdzie dopuszczalna jest konwersacja z nieznanymi, na przykład przy ladzie barowej w pubie) i nie mówi się „Cześć, jestem John Smith” ani nawet „Cześć, jestem John”. Właściwie jedyne, co można wtedy zrobić, to nie przedstawiać się w ogóle, tylko znaleźć jakiś inny sposób rozpoczęcia konwersacji... na przykład zrobić uwagę na temat pogody.

Metoda „obcesowych Amerykanów”: „Cześć, jestem Bill z Iowa”, zwłaszcza w połączeniu z wyciągniętą dłonią i promiennym uśmiechem, powoduje, że Anglik wzdryga się i kuli w sobie. Amerykańscy turyści, z którymi rozmawiałam w trakcie moich badań, byli zaskoczeni i urażeni taką reakcją. „Nie pojmuję tego - stwierdziła jedna kobieta. - Mówisz swoje imię, a oni jakoś tak marszczą nos, jakbyś powiedziała im coś zbyt osobistego i krępującego”. „Właśnie - dodał jej mąż. - A potem uśmiechają się słabo przez zaciśnięte wargi i mówią: «Cześć» - jakby specjalnie nie chcieli podać swojego imienia, żeby ci dać do zrozumienia, że popełniłeś okropną gafę towarzyską. Na litość boską, co jest tak strasznie osobistego w podaniu komuś swojego *imienia*?”

Musiałam wyjaśniać, tak, żeby ich nie urazić, że Anglik nie chce znać twojego imienia ani wyjawiać ci swojego, dopóki nie osiągniecie o wiele większego stopnia zażyłości... na

przykład, gdy będzie wydawał za ciebie swoją córkę. Zamiast podawać swoje imię, zasugerowałam, lepiej zagaic jakąś uwagą na temat pogody (ewentualnie przyjęcia, pubu czy miejsca, w którym się znajdujecie). Nie należy tego robić zbyt głośno, a ton powinien być lekki i swobodny, nie poważny i głęboki. Celem jest niewinne, jakby przypadkowe, nawiązanie rozmowy. Nawet jeśli druga osoba wydaje się nastawiona do pogawędki życzliwie, mimo wszystko powściągamy chęć zdradzenia się ze swoim imieniem.

Kiedyś może wreszcie nadejść okazja do wzajemnego przedstawienia się sobie, pod warunkiem że nastąpi to w swobodny, niewymuszony sposób - choć zawsze najlepiej jest poczekać, aż inicjatywę przejmie ta druga osoba. Gdy dotrzesz do końca długiego, miłego wieczoru, nie przedstawisz się, możesz przy pożegnaniu powiedzieć: „Do widzenia, miło było cię poznać, ach - nie dosłyszałem twojego imienia?” - jakbyś dopiero teraz zauważył niedopatrzenie. Twój nowy znajomy powinien wówczas wyjawic swoje imię, a wtedy ty możesz wreszcie sam się przedstawić - ale od niechcienia, jakby to w ogóle nie było ważne: „Aha, przy okazji, jestem Bill”.

Pewna spostrzegawcza turystka holenderska, po wysłuchaniu moich wyjaśnień na temat tej procedury, skomentowała je tak: „Aha, już wiem. To jak w *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*: wszystko robisz odwrotnie”. Nie przyszłoby mi do głowy rekomendować Alicji jako przewodnika po angielskiej etykiecie, ale to chyba całkiem niezły pomysł.

Problem z „Miło mi poznać”

Podczas niewielkiego spotkania towarzyskiego, takiego jak na przykład proszony obiad, gospodarz może rozwiązać problem przedstawiania się, podając przy wzajemnej prezentacji gości ich imiona; nie unikniemy jednak niezręcznych sytuacji, ponieważ zanik *How do you do?* oznacza, że nikt nie jest całkiem pewien, co mówić, gdy ktoś nas sobie w ten sposób przedstawia. Zwrot *How are you?*, mimo że znaczy mniej więcej to samo (Jak się masz?/Jak się pan/pani ma?) i również jest uznawany za zwrot niepytający (właściwą odpowiedzią jest „Bardzo dobrze, dziękuję” albo „Dzięki, świetnie”, bez względu na to, jaki jest stan naszego ciała i umysłu), nie nadaje się na pierwszą prezentację, ponieważ tradycyjnie można go używać tylko jako powitania między ludźmi, którzy już się znają. Chociaż *How are you?* nie wymaga szczerzej odpowiedzi, jest pytaniem stanowczo zbyt osobistym i poufałym jak na pierwszy kontakt.

Dziś najpopularniejszym rozwiązaniem jest „Miło mi poznać” lub coś w podobnym stylu. Jednak w niektórych kręgach - głównie od wyższej warstwy klasy średniej wzwyż, choć problem pojawia się także na szczycie średniej warstwy klasy średniej - ta popularna

odpowiedź jest uważana za pospolitą, za zwrot w stylu klasy niższej. Ludzie, którzy tak uważają, raczej nie ujmą tego w ten sposób, prędzej stwierdzą, że zwrot „Miło mi poznać” jest „niewłaściwy”, i rzeczywiście, można znaleźć podręczniki *savoir-vivre*’u, które to potwierdzają. Niektóre z nich wyjaśniają kwestię w następujący sposób: nie powinno się mówić „Miło mi cię/pana/panią poznać”, ponieważ jest to oczywiste kłamstwo; nie można być w takiej chwili pewnym, czy poznanie danej osoby sprawia nam przyjemność, czy nie. Biorąc pod uwagę tradycyjną nieracjonalność i hipokryzję angielskiej etykiety, takie tłumaczenie wydaje się niepotrzebnie i dziwnie skrupulatne.

Bez względu na to, jakie jest pochodzenie i wątpliwa logika uprzedzenia do zwrotu „Miło mi poznać”, jest on nadal bardzo rozpowszechniony, często wśród ludzi, którzy nie wiedzą, dlaczego uważają ten zwrot za niezręczny. Mają po prostu niejasne wrażenie, że coś jest z nim nie tak. Jednak nawet ci, którzy nie mają uprzedzeń klasowych wobec „Miło mi poznać”, którzy uważają, że jest to reakcja właściwa i uprzejma, rzadko używają tej formuły z całkowitą pewnością siebie: zazwyczaj mamrocą ją niezręcznie i najszybciej jak się da - „Miłmipanpoznać”. Paradoksalnie, niezręczność może wynikać właśnie z faktu, że ludzie uważają, że mówią „właściwą” rzecz. Oficjalność jest krępująca. Ale nieoficjalność też. Wszystko jest krępujące.

Zażenowanie

Na dobrą sprawę, jedyną pewną zasadą w całym tym zamieszaniu z powitaniem i przedstawianiem jest ta, że aby być nienagannie angielskim, należy wykonywać te rytuały *źle*. Należy wydawać się skrępowanym, sztywnym, niezręcznym, a nade wszystko zażenowanym. Gładkość, wygadanie i pewność siebie są niestosowne i nieangielskie. Wahanie, brak zdecydowania i nieudolność są, choć to może zaskakujące, zachowaniem właściwym. Prezentacji należy dokonywać jak najszybciej i jak najmniej umiejętnie. Nazwisko, jeśli się je w ogóle ujawnia, należy wymamrotać; dłoń trzeba niepewnie wyciągnąć, a następnie niezgrabnie wycofać; przyjętą reakcją słowną jest coś w rodzaju „Yy... jak się... mm... miłmi... yy... dzień dobry?”.

Jeśli jest się obytym towarzyszko albo też pochodzi się z kraju, gdzie te sprawy załatwia się w bardziej rozsądny, bezpośredni sposób (to znaczy wszędzie indziej na planecie), być może trzeba będzie trochę poćwiczyć, żeby osiągnąć pożądaną stopień skrępowanej, sztywnej nieudolności.

Plotki

Gdy przebrniemy przez zwyczajowe niezręczne prezentacje i skrępowane powitania oraz parę uwag o pogodzie dla przełamania lodów, przechodzimy do kolejnych form dialogu

integracyjnego. („Trzeba przecież coś mówić - jak powiedziała Elżbieta do Darcy’ego. - Wyglądaloby dziwnie, gdybyśmy milczeli przez bite pół godziny”^c).

Nieznające się osoby mogą trzymać się pogody i innych względnie neutralnych tematów niemal bez końca (choć właściwie pogoda jest jedynym tematem całkowicie bezpiecznym - wszystkie inne są potencjalnym zagrożeniem, przynajmniej w niektórych sytuacjach, i wszystkie niosą ze sobą pewne ograniczenia co do tego, kiedy, gdzie i z kim można je podejmować). Natomiast między znajomymi, w Anglii i poza nią, najpopularniejszą formą dialogu integracyjnego jest plotkowanie. Anglicy zdecydowanie są narodem plotkarzy. Ostatnie badania udowodniły, że około dwóch trzecich czasu poświęconego na konwersację zajmują nam tematy towarzyskie, to znaczy: kto robi co z kim, kto jest modny, kto już nie i dlaczego, jak sobie radzić z trudnymi sytuacjami towarzyskimi, zachowanie i stosunki pomiędzy znajomymi, krewnymi i znanymi osobistościami, nasze własne problemy z rodziną, znajomymi, kochankami, kolegami i sąsiadami, najdrobniejsze szczegóły codziennego życia towarzyskiego - słowem - plotki⁶.

Jeśli ktoś życzy sobie bardziej oficjalnej definicji plotki, najlepsza, jaką znalazłam, to ta Noona i Delbridge’a (1993): „Proces nieformalnego przekazywania znaczących informacji na temat członków jakiegoś kręgu towarzyskiego”. Nie obejmuje ona wszystkich aspektów plotek - na przykład wyklucza te o znanych ludziach, chyba że koncept „członków kręgu towarzyskiego” ma w intencji obejmować gwiazdy filmu, piosenki, członków rodziny królewskiej i polityków, co wydaje się niezbyt prawdopodobne. Ale bądźmy sprawiedliwi, plotkując o gwiazdach, w pewnym sensie rzeczywiście traktujemy je tak, jakby były częścią naszej własnej grupy społecznej. Nasze rozmowy o konfliktach między bohaterami oper mydlanych, problemach uczuciowych topmodelek oraz małżeństwach, karierze i dzieciach gwiazd filmowych często nie różnią się niczym od plotek o rodzinie, znajomych i sąsiadach - toteż w tym względzie wierzę na słowo autorom powyższej definicji.

Podoba mi się ona między innymi dlatego, że do kręgu osób, o których przekazywane są plotkarskie informacje, zalicza samych plotkarzy. Badania wykazały, że przez około połowę „czasu plotkowania” omawia się działania własne lub najbliższego audytorium, a nie osób postronnych. Ta definicja wskazuje także na *oceniający* charakter plotek. Choć, jak wykazano, krytyka i oceny negatywne zajmują tylko pięć procent czasu plotkowania, plotki przeważnie opierają się na wyrażaniu opinii lub odczuć. Plotkujący Anglicy owe opinie czy odczucia często mogą raczej sugerować niż wyrażać wprost, albo przekazywać je bardziej subtelnie, tonem głosu, rzadko jednak zdarza się, by omawiali „kto robi co z kim”, w ogóle nie sygnalizując własnych poglądów na daną sprawę.

Prywatność

Przedstawiając rezultaty badań nad wszechobecnością angielskich plotek, nie sugeruję, że Anglicy plotkują bardziej niż przedstawiciele innych kultur. Jestem pewna, że badania przeprowadzone wszędzie indziej wykazałyby, że dwie trzecie czasu konwersacji poświęca się tym samym tematom towarzyskim. Naukowiec odpowiedzialny za wyniki badań angielskich (psycholog Robin Dunbar) jest przekonany, że plotkowanie to uniwersalna cecha ludzka, i utrzymuje, że język ewoluował po to, aby ludzie mogli plotkować⁷, zastępując w ten sposób fizyczne sposoby kontaktów towarzyskich naszych przodków - naczelnych; w o wiele szerszych ludzkich kręgach społecznych straciły one sens.

Sugeruję tu, że plotkowanie może być szczególnie ważne dla Anglików ze względu na naszą obsesję na punkcie prywatności. Gdy przeprowadzałam rozmowy o plotkach z Anglikami w różnym wieku i z różnych środowisk społecznych, widać było wyraźnie, że przyjemność, jaką czerpią z plotek, ma duży związek z zawartym w nich elementem „ryzyka”. Mimo że większość naszych plotek jest dość nieszkodliwa (krytyka i oceny negatywne to tylko pięć procent czasu poświęconego na plotkowanie), są to jednak rozmowy o życiu prywatnym innych ludzi, w związku z czym ma się wrażenie, że robi się coś niestosownego lub zakazanego.

„Naruszenie prywatności” związane z plotkowaniem ma szczególne znaczenie dla pełnych rezerwy i zahamowań Anglików, dla których prywatność jest sprawą niesłychanie poważną. Znaczenia prywatności w kulturze angielskiej nie da się przecenić. Jeremy Paxman zauważa: „Troska o prywatność przenika każdy aspekt organizacji kraju, od założeń, na których opiera się nasze prawo, do budynków, w których mieszkają Anglicy”. George Orwell twierdzi: „Najbardziej zniechęcającym przymiotnikiem dla angielskiego ucha jest «wścibski»”.

Dodałabym od siebie, że ogromna liczba naszych najważniejszych zasad społecznych i popularnych powiedzeń dotyczy zachowania prywatności: od dziecka uczy się nas, żeby pilnować własnego nosa, nie wściubiać nosa w nie swoje sprawy, trzymać się z daleka, nie robić zamieszania, nie robić scen, nie zwracać na siebie uwagi i nigdy nie prać brudów publicznie. Warto tu zauważyć, że pytanie *How are you?* (Jak się masz?) jest traktowane jako „prawdziwe” pytanie tylko wśród bardzo dobrych znajomych lub krewnych; w każdej innej sytuacji automatyczna, rytualna odpowiedź to „Dzięki, w porządku”, „Nie mogę narzekać”, czy coś w tym guście, bez względu na nasz stan fizyczny i umysłowy. Jeśli ktoś jest śmiertelnie chory, dopuszczalna jest odpowiedź „W sumie nie tak źle”.

Ponieważ oczywiście działa efekt owocu zakazanego, jesteśmy narodem ludzi

podglądających zza firanki, nieodmiennie zafascynowanych objętymi tabu prywatnymi żywotami „członków naszego kręgu towarzyskiego”. Anglicy może nie plotkują dużo więcej niż inne narody, ale dzięki naszym zasadom prywatności plotka znacznie zyskuje na *wartości*. Dzięki zasadom podaży i popytu, dla Anglików plotka jest cennym towarem towarzyskim. Informacje „prywatne” nie są powierzone lekko i swobodnie wszystkim bez wyjątku, ale tylko tym, których znamy i którym ufamy.

To jedna z przyczyn, dla których cudzoziemcy często narzekają, że Anglicy są zimni, powściągliwi, niezyczliwi i nieprzystępni. W większości innych krajów ujawnienie podstawowych danych osobowych - jak się nazywasz, gdzie pracujesz, czy masz żonę/męża i dzieci, gdzie mieszkasz - to nic nadzwyczajnego; w Anglii wyciąganie tych pozornie banalnych informacji od nowego znajomego może być jak wrywanie zęba - każde pytanie sprawia, że krzywimy się i wzdrygamy.

Zgadujzgadula

Na przykład uważa się, że niezbyt uprzejme jest zagadnięcie kogoś wprost: „Kim jesteś z zawodu?”, mimo że trudno sobie wyobrazić bardziej oczywiste pytanie skierowane do nowo poznanej osoby, a poza tym jest to najprostszy sposób, żeby zacząć rozmowę. Ale oprócz skrupułów co do prywatności, my, Anglicy, czujemy chyba jakąś perwersyjną potrzebę, żeby sobie utrudniać życie towarzyskie, więc etykieta wymaga, by znaleźć bardziej okrężną drogę ustalenia, jak ktoś zarabia na życie. Można się nieźle ubawić, słuchając, ile trudu potrafią zadać sobie Anglicy, żeby odkryć zawód nowego znajomego, nie zadając ostatecznie zakazanego pytania. Na niemal wszystkich spotkaniach towarzyskich klasy średniej, gdzie niektórzy poznają się po raz pierwszy, odbywa się ta zabawa w odgadywanie zawodu danej osoby po wskazówkach zawartych w komentarzach na inne tematy.

Na przykład na uwagę o strasznych korkach w okolicy można zareagować: „O, tak, to koszmar - a w godzinie szczytu jest jeszcze gorzej: czy jeździ pan samochodem do pracy?”. Rozmówca świetnie wie, jakie pytanie się pod tym kryje, i z reguły posłusznie udziela odpowiedzi zarówno na pytanie zadane, jak i niezadane, mówiąc coś w rodzaju: „Tak, ale ja pracuję w szpitalu, więc przynajmniej nie muszę przejeżdżać przez centrum”. Pytającemu wolno teraz zadać pytanie wprost: „Ach, w szpitalu - więc jest pan lekarzem?” (Gdy w grę wchodzi kilka zawodów, wypada wymienić na pierwszym miejscu zawód o najwyższym statusie - lekarza przed pielęgniarką, recepcjonistką czy studentem medycyny; adwokata przed sekretarką. Poza tym, mimo że na tym etapie dozwolona jest próba odgadnięcia wprost, najlepiej wyrazić ją jako stwierdzenie z intonacją pytającą niż pytanie bezpośrednie).

Zasady tej zabawy znają wszyscy i większość ludzi zwykle podrzuca na początku

rozmowy pomocne „wskazówki”, aby ułatwić jej dalszy przebieg. Nawet jeśli ktoś jest nieśmiały, wstydy się swojej pracy albo chce pozostać tajemniczy, nadmierne przedłużanie etapu tropienia śladów uważa się za niegrzeczne, i gdy rozmówca wyrazi już trafne przypuszczenie, mamy obowiązek ujawnić swój zawód. Prawie tak samo nieuprzejme jest ignorowanie oczywistych śladów zostawianych przez nowego znajomego. Jeśli (kontynuując temat medyczny) wspomni on mimochodem: „Mój gabinet jest tuż za rogiem”, mamy święty obowiązek zaryzykować stwierdzenie: „Ach, czyli jest pan lekarzem?”.

Gdy już profesja zostanie ujawniona, w dobrym tonie jest, bez względu na to, jak banalny jest to zawód, wyrazić zdumienie. Standardową odpowiedzią na „Tak, jestem lekarzem (nauczycielem, księgowym, informatykiem, sekretarką itd.)” jest „Och, *naprawdę?!*”, jakby ta informacja była niespodziewana i fascynująca. Potem przeważnie następuje pełna zakłopotania chwila ciszy, bo desperacko szukamy stosownego komentarza lub pytania na temat zawodu rozmówcy - on tymczasem usiłuje wymyślić w odpowiedzi coś skromnego, zabawnego, ale w jakiś sposób też robiącego wrażenie.

Podobne techniki często stosowane są, aby dowiedzieć się, gdzie ktoś mieszka, jaki jest jego stan cywilny, do jakiej chodził szkoły, gdzie studiował, i tak dalej. Niektóre pytania wprost są mniej uprzejme od innych. Grzeczniej jest na przykład zapytać „Gdzie pan mieszka?” niż „Gdzie pan pracuje?”, nawet jednak i to względnie niewinne pytanie lepiej sformułować bardziej oględnie, na przykład „Czy mieszka pan niedaleko?” lub jeszcze ostrożniej: „Czy musiał pan tu przyjechać z daleka?”. Bardziej dopuszczalne jest pytanie, czy ktoś ma dzieci niż czy ma żonę/męża, a więc pytania pierwszego zwykle używa się jako drogi okръżnej, by skłonić rozmówcę do zostawienia tropów, które udzielą odpowiedzi na pytanie drugie. (Wielu żonatych Anglików nie nosi obrączek, więc pytanie o dzieci jest często używane przez niezamężne panie, by zachęcić panów do ujawnienia swojego stanu cywilnego). Jednak może to nastąpić wyłącznie w odpowiednim kontekście konwersacyjnym, ponieważ zadanie ni stąd, ni zowąd pytania o dzieci byłoby zbyt oczywistą próbą ustalenia dostępności danego pana.

Rytuály zgadywanki pozwalają nam w końcu wyciągnąć od rozmówców podstawowe dane typowe dla formularza spisu powszechnego, zgodnie jednak z angielskimi zasadami prywatności, wszelkie ciekawsze szczegóły dotyczące naszego życia i związków są zarezerwowane dla bliskich przyjaciół i rodziny. Są to informacje dla „uprzywilejowanych”, o których nie trąbi się na lewo i prawo. Anglicy czerpią z tej cechy pewną dumę i szydzą ze stereotypowych Amerykanów, którzy „w pięć minut od poznania cię opowiedzą ci wszystko o swoim rozwodzie, psychoterapii i histerektomii”. Ten stereotyp, choć nie całkiem

pozbawiony podstaw, chyba mówi nam więcej o Anglikach i naszych zasadach prywatności niż o Amerykanach.

Nawiasem mówiąc, angielskie zasady prywatności, zwłaszcza tabu związane ze „wścibskością”, potrafią bardzo utrudnić życie nieszczęsnej badaczce stosunków społecznych, która niezwykle ważne dane może uzyskać wyłącznie poprzez nieustanną wścibskość. Wiele odkryć dla potrzeb niniejszej książki uzyskano wskutek działań trudniejszych niż wyrywanie zębów lub też, częściej, przez wynajdywanie podstępów i forteli, które pomogły obejść zasady prywatności. A jednak proces wymyślania takich sztuczek i eksperymentowania z nimi sprawił, że odkryłam niespodzianie pewne interesujące zjawiska, jak na przykład zasadę dystansu.

Dystans

Anglicy plotkują o własnych prywatnych poczynaniach tylko z bliskimi przyjaciółmi, o życiu prywatnym przyjaciół i krewnych w nieco większym kręgu towarzyskim, na temat spraw osobistych znajomych, kolegów z pracy i sąsiadów - w większej grupie; a o intymnych szczegółach z życia osób publicznych i gwiazd praktycznie z każdym. To jest zasada dystansu. Im bardziej przedmiot plotki jest od nas oddalony, tym szerszy jest krąg ludzi, z którymi można o tej osobie rozmawiać.

Zasada dystansu pozwala plotkom spełniać zasadnicze funkcje społeczne, czyli tworzenie wspólnoty, orientację co do rangi i statusu, ocenę i wydawanie opinii, przekazywanie form towarzyskich, norm i wartości - bez nadmiernej inwazji w prywatność. Co ważniejsze, pozwala także wścibskim antropologom formułować swoje wścibskie pytania w tak okrężny sposób, aby obejść zasady prywatności.

Jeśli, na przykład, chcemy dowiedzieć się, jakie są poglądy Anglika na jakąś delikatną kwestię, powiedzmy małżeństwo, nie pytamy go o jego własny związek - rozmawiamy o małżeństwie kogoś innego, najlepiej jakiejś nieznaney nam obojgu osoby publicznej. Gdy jesteśmy w większej zażyłości ze swoim rozmówcą, możemy z nim omówić osobiste problemy kolegi lub sąsiada, a może nawet przyjaciela czy krewnego. (Jeśli nie znamy nikogo ze stosownymi problemami małżeńskimi, zawsze możemy takie osoby wymyślić).

Wzajemne odsłanianie

Gdy postanowimy zgłębić stosunki małżeńskie naszego nowego angielskiego znajomego lub jakieś inne „prywatne” jego sprawy, prawdopodobnie będziemy musieli się uciec do strategii wzajemnego odsłaniania. Istnieje mniej więcej uniwersalna reguła, zgodnie z którą ludzie podświadomie starają się osiągnąć w rozmowie pewien poziom równowagi czy symetrii, tak że jeśli powiemy im coś o swoim własnym prywatnym życiu, będą czuli się

zobligowani, choćby tylko przez odruchową uprzejmość, aby się odwzajemnić wyznaniem porównywalnie intymnym. Potem można stopniowo zwiększać poziom zażyłości, zdradzając coś nieco bardziej osobistego, w nadziei na uzyskanie podobnej reakcji, i tak dalej.

Jednakże w przypadku Anglików radziłabym zacząć od ujawnienia czegoś banalnego, niezbyt ważnego - czego właściwie nie można nawet nazwać „osobistym”, co można wtrącić do rozmowy mimochodem - i rozwijać strategię, krok po kroku, od tego niewinnego punktu wyjścia. Strategia wzajemnego odsłaniania to procedura żmudna i mozolna, ale często jest to jedyny sposób, żeby podstępem zmusić Anglika do złamania tabu prywatności.

Jeśli ktoś ma ochotę poeksperymentować, może wybrać sobie najbardziej pełnych rezerwy i zamkniętych w sobie Anglików, jakich uda mu się znaleźć, i sprawdzić, do jakiego stopnia można zmusić ich do rozluźnienia się przy użyciu tej techniki. Jako że sama jestem Angielką, często łatwiej mi było przy takich okazjach wymyślać jakieś „osobiste rewelacje” niż ujawniać prawdziwe fakty z mojego prywatnego życia. Przepraszam, że okrywam niesławą moją profesję, przyznając się do takich oszustw, ale bez tego raport z moich badań byłby nieuczciwy.

Wyjątek od zasad prywatności

Istnieje ciekawy wyjątek od powyższych zasad, który choć dotyczy tylko pewnej dość uprzywilejowanej grupy społeczeństwa angielskiego, wart jest przytoczenia, ponieważ mówi nam coś o angielskości. Ja go nazywam „wyjątkiem słowa drukowanego”. Otóż drukiem (w gazetach, czasopismach, książkach itd.) możemy ogłaszać prywatne sprawy, o których niechętnie lub z zakłopotaniem rozmawialibyśmy na przykład z nowo poznaną osobą na przyjęciu. Może się to wydawać dziwactwem lub nawet perwersją, jednak jakoś bardziej do przyjęcia jest zdradzanie szczegółów życia prywatnego w książce, felietonie gazety lub artykule w czasopiśmie niż na o wiele mniej publicznym forum niewielkiej imprezy towarzyskiej.

Właściwie jest to jeden z tych wyjątków, które potwierdzają regułę, ponieważ wynika z niego, że moda na dziennikarstwo „buduarowe” i inne nieprzemilczające niczego pisarstwo nie wpłynęła specjalnie na zasady zachowania Anglików na co dzień. Felietonistka gazety lub czasopisma może opowiadać milionom nieznanym czytelnikom o swym trudnym rozwodzie, raku piersi, anoreksji czy cellulicie, ale nie będzie zachwycona, gdy zada jej osobiste pytania na te tematy ktoś na prywatnym przyjęciu. Łamanie tabu przez nią samą ma charakter czysto zawodowy; w prawdziwym życiu zachowuje ona angielskie zasady prywatności i dystansu jak wszyscy inni, intymne sprawy omawiając wyłącznie z bliskimi znajomymi i uważając podobne pytania ze strony kogokolwiek spoza tego ścisłego grona za

impertynenckie i wścibskie. Tak jak nie poprosilibyśmy profesjonalnej modelki topless, żeby zdjęła górę w czasie niedzielnego lunchu w gronie rodzinnym, tak nie prosimy osoby, która zajmuje się wyznaniem zawodowo, o obnażanie duszy nad talerzem kanapek na przyjęciu prywatnym.

„Wyjątek słowa drukowanego” czasem rozciąga się na inne przekazy medialne, takie jak filmy dokumentalne czy reportaże radiowe oraz talkshow. W tych jednak kontekstach zawodowi angielscy obnażacze dusz generalnie ujawniają raczej mniej niż za pomocą druku. Na przykład dokument telewizyjny o nieżyjącym już Johnie Diamondzie i jego walce z rakiem gardła był o wiele bardziej dyskretny i mniej osobisty niż jego gazetowe felietony na ten sam temat. Czasem można też zaobserwować osobliwe zjawisko, gdy angielski autor książki czy felietonu, w którym naprawdę bardzo się odsłania, staje się wstydlivy i skrępowany, ucieka się do eufemizmów i nerwowych żarcików, gdy pyta się go o to w wywiadzie podczas talkshow. To nie znaczy, że wszyscy są w takich kontekstach bardziej powściągliwi i zahamowani, istnieje jednak subtelna, choć zauważalna różnica, gdy idzie o brak zahamowań, pomiędzy słowem pisanym a mówionym. Nawet ci, którzy nie przestrzegają tego subtelnego rozróżnienia i swobodnie rozmawiają o swoich prywatnych sprawach w programach dokumentalnych i talkshow, mimo wszystko przestrzegają zasad prywatności poza anteną.

Oczywiście i w Anglii, jak wszędzie na świecie, są ludzie, którzy zrobią, powiedzą czy ujawnią niemal wszystko i wszędzie, żeby zdobyć swoje piętnaście minut sławy, ośmieszyć kogoś czy zarobić pieniądze. Ci jednak, którzy łamią zasady prywatności (a mówię tu o wyraźnych naruszeniach, nie odstępstwach) w tak rażący sposób, stanowią nieznaczną mniejszość, a ich wybryki spotykają się z dezaprobatą i kpina ze strony reszty społeczeństwa, co dowodzi, że przestrzeganie tych zasad nadal jest normą.

Różnica płci a plotki

Badacze⁸ odkryli, że wbrew obiegowej opinii, mężczyźni plotkują tyle samo co kobiety. Jedna z angielskich ankiet wykazała, że obie płci poświęcają tę samą ilość (około 65 procent) czasu rozmowy tematami towarzyskim, takim jak stosunki osobiste; w innej różnica okazała się bardzo mała, bo plotki zajmowały 55 procent czasu rozmów męskich i 67 procent damskich. Ponieważ, jak wykazano, około 10 procent czasu rozmów zajmują sport i rozrywka, możliwe, że odpowiedzialne za tę różnicę są dyskusje na temat futbolu.

Okazało się, że mężczyźni wcale nie są bardziej skłonni niż kobiety do rozmów na tematy „ważne” czy „intelektualne”, takie jak polityka, praca, sztuka i kultura - chyba że (i to jest uderzająca różnica) w obecności kobiet. Mężczyźni, gdy są sami, plotkują, poświęcając

nie więcej niż pięć procent czasu rozmowy na tematy takie jak praca czy polityka. Tylko w towarzystwie mieszanym, gdy obecne są panie, na których można zrobić wrażenie, czas męskich rozmów poświęcony tematом bardziej „intelektualnym” wydłuża się znacząco, do 15-20 procent.

Ostatnie badania wykazały zaledwie jedną znaczącą różnicę merytoryczną między plotkami mężczyzn i kobiet: mężczyźni o wiele częściej mówią o sobie. Mężczyźni dwie trzecie czasu rozmowy o związkach towarzyskich poświęcają na dyskusję o własnych sprawach, natomiast kobiety mówią o sobie tylko przez jedną trzecią tego czasu.

Mimo tych odkryć, nadal szeroko rozpowszechniony jest mit, zwłaszcza wśród mężczyzn, że oni, rozmawiając, rozwiązują problemy tego świata, podczas gdy kobiety plotkują w kuchni. W trakcie przeprowadzonych przeze mnie wywiadów większość angielskich mężczyzn początkowo twierdziła, że nie plotkuje, natomiast większość kobiet chętnie przyznawała, że one tak. Przy dalszych jednak pytaniach okazywało się, że różnica jest tu kwestią bardziej semantyki niż praktyki - to, co kobiety bez wahania nazywały „plotkowaniem”, mężczyźni określali jako „wymianę informacji”.

Wygląda na to, że angielskim mężczyznom z plotkowaniem kojarzy się jakieś piętno. Niepisana zasada brzmi więc: nawet jeśli to jest plotkowanie, trzeba to nazwać inaczej. Co więcej: powinno to *brzmieć* jak coś innego. Badając temat, odkryłam, że główna różnica między plotkowaniem kobiet i mężczyzn jest taka, że plotki kobiet w istocie brzmią jak plotki. Chodzi tu o trzy zasady: tonu, szczegółów i reakcji.

Ton

Wszystkie Angielki, z którymi rozmawiałam, zgodziły się z ogólną opinią, że do plotek potrzebny jest szczególny ton głosu. Ton plotkowania powinien być wysoki i szybki, czasem jak teatralny szept, ale zawsze wielce ożywiony. Jedna z kobiet wyjaśniła: „Plotkowanie musi się zaczynać mniej więcej tak (szybki, wysoki, podekscytowany ton głosu): «Och, wiesz, co się stało? Nie uwierzysz!» albo: «Hej, słuchajcie (szybki, natarczywy szept «sceniczny») - wiecie, co słyszałam?»...» - Inna powiedziała mi: „Trzeba sprawiać wrażenie, że wiadomość jest zaskakująca lub bulwersująca, nawet jeśli tak nie jest. I zwykle mówi się: «Nie mów nikomu, ale...» - nawet jeśli to wcale nie jest jakaś wielka tajemnica”.

Wiele moich rozmówczyń narzekało, że mężczyźni nie przybierają stosownego tonu i relacjonują plotki w ten sam płaski, pozbawiony emocji sposób, jak inne wydarzenia, tak że „nie można nawet stwierdzić, czy to plotka”. Oczywiście, mężczyznom właśnie o to chodzi.

Szczegóły

Kobiety podkreślały też znaczenie szczegółów, i znowu użalały się na niedociągnięcia

mężczyzn w tej materii, twierdząc, że mężczyźni „nigdy nie potrafią podać szczegółów”. „Mężczyźni nie relacjonują, co powiedział ten, a co tamta - zauważyła jedna informatorka - a jaki jest sens plotkować, jeśli się tego nie wie?”. Inna stwierdziła: „Kobiety zwykle snują więcej domysłów... Zastanawiają się, *dlaczego* ktoś coś zrobił, dorabiają do sytuacji tło”. Dla kobiet ta szczegółowa spekulacja na temat potencjalnych motywów i przyczyn, która wymaga wyczerpującego roztrząsania „tła”, jest zasadniczym elementem plotek, tak samo jak szczegółowa spekulacja co do ewentualnych rezultatów. Angielscy mężczyźni uważają, że te wszystkie szczegóły są nudne, nieistotne i, oczywiście, niemęskie.

Reakcja

Angielki są przekonane, że bycie „dobrym plotkarzem” wymaga czegoś więcej niż ożywionego tonu i dbałości o szczegóły; potrzebujemy także dobrego audytorium, czyli pełnych uznania słuchaczy, którzy odpowiednio reagują. Zasada reakcji w damskich plotkach wymaga, żeby słuchacze wykazywali co najmniej takie ożywienie i entuzjazm jak mówiący. Najprawdopodobniej chodzi tu o uprzejmość - osoba dostarczająca plotek postarała się, żeby informacja zabrzmiała zaskakująco i bulwersująco, słuchacz więc może wykazać tyle dobrej woli, żeby się odwzajemnić i sprawiać wrażenie osoby odpowiednio zbulwersowanej. Moje rozmówczynie zgodnie twierdzą, że angielscy mężczyźni nie pojmują tej zasady. Nie rozumieją, że oczekuje się od ciebie, że powiesz: „NIE! *Naprawdę?*” i „O, mój BOŻE!”.

Mimo to moje rozmówczynie zgodziły się, że mężczyźni, który reagowałby w tradycyjny kobiecy sposób, sprawiałby wrażenie zniewieściałego. Nawet geje, z którymi rozmawiałam, uważali, że reakcja typu: „NIE! *Naprawdę?*”, została odebrana jako zdecydowanie przesadna afektacja. Niepisane zasady etykiety angielskiego plotkowania wprawdzie pozwalają mężczyznom na wyrażenie szoku czy zaskoczenia w reakcji na jakąś szczególnie pikantną plotkę, powszechnie jednak przyjmuje się, że wśród mężczyzn takie zaskoczenie lepiej wyraża stosowne przekleństwo.

Mężczyźni, ożywienie i zasada trzech emocji

Możliwe, że to owe różnice płci w zasadach plotkowania są odpowiedzialne za utrzymywanie się mitu, że „plotkują tylko kobiety”. Jeśli opinia publiczna stawia znak równości między plotką a wysokim, szybkim, ożywionym tonem głosu i częstym użyciem zwrotów takich jak: „Wiesz co? Nie uwierzysz!” oraz „NIE! *Naprawdę?*”, to męskie rozmowy, przynajmniej w Anglii, rzadko brzmią jak plotkowanie, mimo że ich treść można tak określić. Plotkujący angielscy mężczyźni sprawiają wrażenie, że rozmawiają o „ważnych sprawach” (czy to samochodach, czy piłce nożnej) - co jest, oczywiście, dokładnie ich intencją.

Niektóre z tych zasad i różnic płci mogą być charakterystyczne nie tylko dla Anglików. Na przykład zasada szczegółu może nawet być uniwersalną cechą kobiet, ponieważ powszechnie wiadomo, że kobiety zwykle są bardziej elokwentne od mężczyzn. Myślę też, że podobne badania w Ameryce i być może w Australii także wykazałyby wyższy poziom ożywienia w plotkach damskich, zarówno jeśli chodzi o prezentację, jak i reakcję. Są to jednak kraje pozostające, przynajmniej do pewnego stopnia, pod wpływem kultury angielskiej, a moje, co prawda bardziej ograniczone, badania w innych krajach europejskich dowodzą, że mężczyźni tam są o wiele mniej powściągliwi i wykazują znacznie więcej ożywienia, dyskutując na tematy towarzyskie. Na przykład: *NON! C'est pas vrai? Ah, mon Dieu!* - to z całą pewnością normalna i dopuszczalna męska reakcja na bulwersującą plotkę we Francji, a słyszałam mężczyzn plotkujących z podobnym ożywieniem we Włoszech, Hiszpanii, Belgii, Polsce, Rosji i Libanie.

Nie chodzi o to, że mężczyźni w tych krajach obawiają się mniej niż Anglicy, że zostaną uznani za zniewieściałych. Obawa, że ktoś oceni ich jako „niemęskich”, jest niewątpliwie uniwersalną cechą mężczyzn we wszystkich kulturach. Rzecz w tym, że tylko Anglicy mężczyźni (i nasi „kolonialni potomkowie”) uważają ożywiony ton i pełne ekspresji reakcje za zniewieściale.

Nie twierdzą też, że angielskie kody konwersacyjne nie pozwalają mężczyznom wyrażać emocji. Angielskim mężczyznom wolno wyrażać emocje. No, niektóre. Dokładnie trzy: zaskoczenie (pod warunkiem że za pomocą przekleństw), złość (podobnie) i uniesienie /triumf, co także często polega na krzyczeniu i przeklinaniu. Tak więc czasem może być trudno odróżnić, którą z trzech dozwolonych emocji Anglik próbuje właśnie wyrazić.

Rozmowy zacieśniające więzi uczuciowe

Rozmowy mające na celu zacieśnianie więzi uczuciowych (inny rodzaj dialogów integracyjnych) także są specyficzne dla danej płci; wyglądają i brzmią całkiem inaczej wśród mężczyzn niż wśród kobiet, choć kilka głównych zasad łączy wspólne wartości, które można uznać za „definiujące cechy charakterystyczne” angielskości.

Kobiety: odwzajemnienie komplementu

Tego typu rozmowy między kobietami często zaczynają się od rytualnej wymiany komplementów. Właściwie rytuał ten można zaobserwować podczas prawie każdego zebrania towarzyskiego, w którym biorą udział przynajmniej dwie kobiety. Podsluchiwałam wymianę komplementów między kobietami w pubach, restauracjach, kawiarniach i nocnych klubach, ponadto na wyścigach i innych imprezach sportowych, a także w teatrach, na koncertach, zebraniach kół gospodyń i zlotach rowerzystów. Słuchałam ich w centrach handlowych i na

ulicach, w autobusach i pociągach, na boiskach szkolnych, w uniwersyteckich bufetach i biurowych stołówkach. Odkryłam, że w towarzystwie mężczyzn kobiety zwykle prezentują nieco skróconą wersję tego rytuału, choć często wycofują się do damskich toalet, żeby dokończyć dialog (owszem, szłam za nimi); natomiast w grupach złożonych tylko z kobiet można być świadkiem pełnej wersji.

Obserwując wiele odmian tego rytuału, częstokroć biorąc w nim udział, zauważyłam, że komplementy nie są wymieniane chaotycznie, ale według wyraźnego wzoru, zgodnie z tym, co nazwałam sobie „zasadą odwzajemnienia komplementu”. Model jest następujący. Pierwsza kwestia może być albo komplementem wprost, na przykład „Świetną masz fryzurę!”, lub połączeniem komplementu i samokrytycznego komentarza: „Świetną masz fryzurę; chciałabym mieć takie wspaniałe włosy - moje są takie mysie i bezbarwne”. Zasada odwzajemnienia komplementu wymaga, by zaprzeczyć, umniejszając nasze własne zalety, oraz odwzajemnić komplement, na przykład: „Ach, nie! Moje włosy są okropne. Tak mi się strasznie skręcają - chciałabym móc nosić krótkie, jak ty, ale moja twarz się do tego nie nadaje; ty masz świetne kości policzkowe”. Tę wypowiedź należy skontrolować kolejną samokrytyczną uwagą i kolejnym komplementem, co prowokuje do jeszcze jednego autokrytycznego protestu i jeszcze jednego „odbitego” komplementu, i tak dopełnia się rytuał. Robiąc dowcipne samokrytyczne uwagi, zbiera się towarzyskie „punkty” - niektóre Angielki mają ten rodzaj żartobliwej autoironii doprowadzony do perfekcji, a w ich samokrytykach można wręcz dostrzec element licytacji.

Konwersacja może zejść z włosów na uda, buty, dokonania zawodowe, sprawność fizyczną, atrakcyjność towarzyską, powodzenie wśród mężczyzn, dzieci, zdolności i osiągnięcia - ale formuła pozostaje niezmienna. Żadnego komplementu się nie akceptuje; żadnej samokrytycznej uwagi nie pozostawia bez reakcji. Gdy komplement jest zbyt ewidentnie zasłużony, by odbić go tradycyjnym stanowczym lub żartobliwym zaprzeczeniem, reaguje się zakłopotanym, pośpiesznym: „Och, dziękuję, ee...”, po czym robi się jakieś skromne zastrzeżenie albo przynajmniej próbuje zmienić temat.

Pytałam Angielek, dlaczego nie mogą po prostu przyjąć jakiegoś konkretnego komplementu. Odpowiadając mi, wzbraniały się przed jego przyjęciem i często przy tym próbowały przemycić komplement dla mnie. Nie na wiele mi się to przydało, chyba do potwierdzenia, że zasada jest głęboko zakorzeniona, próbowałam więc formułować moje pytanie bardziej ogólnie, mówiąc, jakie schematy zaobserwowałam w ich rozmowie, i pytając, co by sobie pomyślały, gdyby jakaś kobieta po prostu przyjęła komplement bez zastrzeżeń, nie oferując żadnego w zamian. Typowa odpowiedź brzmiała: byłoby to

niegrzeczne, niezyczliwe i aroganckie - „prawie tak okropne, jak przechwałki”. Otoczenie uznałoby, że ta osoba „bierze siebie trochę zbyt serio”. Jedna z kobiet odpowiedziała (przysięgam, że to prawda i że wcale jej nie podpuściłam): „No cóż, byłoby jasne, że to nie jest Angielka!”.

Mężczyźni: „Moje jest lepsze”

Zasada odwzajemniania komplementów jest typowo angielska, ale także typowo kobieca. Nie można sobie nawet wyobrazić, że w taki dialog angażują się mężczyźni. Pomyślcie tylko. „Chciałbym grać w bilard tak dobrze jak ty, ja jestem w tym beznadziejny”. „Och nie, ja gram jak noga, serio, po prostu udało mi się trafić - ty za to wspaniale grasz w rzutki!”. Jeśli nadal nic dziwnego w tym nie widzicie, spróbujcie sobie wyobrazić coś takiego: „Jesteś takim świetnym kierowcą - mnie zawsze gaśnie silnik i mylą mi się biegi!”. „Ja? Nie, ze mnie kierowca do kitu - a w ogóle twój samochód jest o wiele lepszy niż mój, szybszy i o większej mocy”. Mało prawdopodobne...

Mężczyźni mają inne sposoby zacieśniania kontaktów towarzyskich, na pierwszy rzut oka oparte na założeniach diametralnie różnych niż odwzajemnianie komplementów. Angielki zajmują się prawieniem sobie duserów, Anglicy natomiast zwykle docinają sobie, rywalizując w rytuale, który nazywam zabawą w „moje jest lepsze”.

„Moje”, w tym kontekście, może być cokolwiek: marka samochodu, drużyna piłkarska, partia polityczna, miejsce, w którym spędza się wakacje, rodzaj piwa, teoria filozoficzna - przedmiot nie ma większego znaczenia. Anglicy potrafią sprowadzić niemal każdą rozmowę do zabawy w „moje jest lepsze”. Kiedyś wysłuchałam czterdziestoośmiominutowej (tak, mierzyłam czas) rozmowy pod hasłem „moje jest lepsze” na temat zalet golenia się przy użyciu pędzla w porównaniu z goleniem się maszynką elektryczną. Dyskusje na tematy bardziej „intelektualne” niewiele się różnią: ostatnia długotrwała listowna debata na temat Foucaulta na łamach dodatku literackiego „Timesa”, odbywała się dokładnie według tego samego szablonu, z wykorzystaniem praktycznie takich samych argumentów *ad hominem* jak dyskusja na temat golenia się.

Zasady gry są następujące: zaczyna się albo od pochwały wybranej kategorii „moje” (golarki elektryczne, Manchester United, Foucault, niemieckie samochody, cokolwiek), albo od podważenia czyjejś sugestii lub aluzji, że „jego” jest najlepsze. Oświadczenie takie zawsze zostanie skontrowane lub podważone, nawet jeśli ten drugi mężczyzna (lub mężczyźni) po cichu się z nim zgadza albo, racjonalnie rzecz biorąc, nie powinien się nie zgodzić. Nawet trudno sobie wyobrazić rozmowę mającą na celu umocnienie męskiej przyjaźni, w której na wypowiedź typu: „Nie wiem, po co ktoś miałby kupować ten japoński chłam, skoro można

mieć bmw”, ktoś odpowiedziałby „Jasne, masz rację”. To by było niewyobrażalne, bezprecedensowe złamanie etykiety macho.

Taka wymiana zdań może być dość hałaśliwa, może zawierać sporo przekleństw i wyzwisk, niemniej jednak gra w „moje jest lepsze” jest całkiem dobroduszną i przyjacielską, zawsze z ukrytą nutą humoru; obie strony rozumieją, że różnic opinii nie powinno się brać zbyt poważnie. Przekleństwa, szyderstwa i obelgi są dozwolone, a nawet spodziewane, ale na przykład obrażać się czy wypadać z pomieszczenia jak burza nie wolno. W tej zabawie chodzi o udawany gniew, fałszywe oburzenie, żartobliwe udowadnianie własnej wyższości. Bez względu na to, jak mocno ktoś wierzy w swoją opinię na temat produktu, drużyny, teorii czy metody golenia, której broni, nie może sobie pozwolić na okazanie tych uczuć. Śmiertelna powaga jest niedozwolona; nadgorliwość jest niemęska; obie są nieangielskie i prowokują do kpin. I mimo że nazwa, jaką nadałam tej zabawie, może sugerować chępliwość, chwalić się także nie należy. Zalety ulubionego samochodu, golarki, poglądów politycznych czy szkoły teorii literackiej można wychwalać pod niebiosa i uzasadniać w najdrobniejszych szczegółach, ale nie wolno sugerować wprost, że takie preferencje świadczą o naszym dobrym guście czy inteligencji. Wszelka ostentacja czy autokreacja są bardzo źle widziane, chyba że nasze aluzje są ironiczne, tak przesadne, że wyraźnie widać, iż żartujemy.

Wszyscy także rozumieją, że w tej grze właściwie nie ma wygranych. Nikt nie kapituluje ani nie przejmuje punktu widzenia drugiej osoby. Uczestników po prostu w końcu nudzi lub męczy ta dyskusja, więc zmieniają temat, może tylko kręcąc głowami ze współczuciem nad głupotą przeciwników.

Zabawa w „moje jest lepsze” jest domeną mężczyzn. Towarzyszące im kobiety czasem psują zabawę, bo nie rozumieją zasad i próbują wprowadzić element rozsądku. Często, znudzone przewidywalnością rytuału, mogą nawet zrobić coś nie do pomyślenia, na przykład zapytać uczestników, czy nie mogliby po prostu ustalić, że mają odmienne opinie. Takie wtręty są zazwyczaj ignorowane. Rozdrażnione kobiety nie potrafią pojąć, że w tych sporach nie ma rozwiązań racjonalnych i że nikomu nawet o to nie chodzi. Z prawdziwą dyskusją mają one tyle wspólnego, co śpiewy kibiców rywalizujących drużyn, a przecież kibice nie oczekują, że ich rytualne pieśni skłonią przeciwników, żeby się z nimi zgodzili. (Nie chcę przez to powiedzieć, że kobiece rytuały zacieśniania więzi są zawsze słodkie i uprzejme. Może są mniej nastawione na rywalizację niż męskie, ale zdarzyło mi się już zapisywać sesje damskie - głównie wśród młodszych kobiet, ale z wszystkich klas społecznych - które składały się niemal w całości z wymiany niesłychanie ironicznych pseudowyzwisk i w których wszystkie uczestniczki odnosiły się do siebie z dużą i ewidentną

czułością - per „suka” czy „zdzira”).

Te dwa przykłady rozmów mających na celu umocnienie przyjaźni - „odbijanie” komplementów i „moje jest lepsze” - na pierwszy rzut oka wydają się bardzo różne i rzeczywiście mogą odzwierciedlać jakieś głęboko zakorzenione uniwersalne różnice pomiędzy kobietami a mężczyznami. Ostatnie badania socjolingwistyczne biorą te podziały pod lupę. Bez odwoływania się do bardziej ekstremalnych teorii „genderlectu” (o tym, że język kobiet różni się zasadniczo od języka mężczyzn) jasne jest, że męskie rozmowy tego typu często mają tendencję do rywalizacji, kobiece natomiast polegają zazwyczaj w większym stopniu na „upodobnianiu” i współpracy.

Jednakże rytuały rozmów jednego i drugiego typu mają również pewne ważne cechy wspólne, jeśli chodzi o fundamentalne zasady i wartości, które mogą przybliżyć nam nieco angielskość. Oba na przykład zawierają zakaz chwalenia się i nakaz żartowania. Oba także wymagają pewnej uprzejmej hipokryzji - a przynajmniej ukrywania swoich prawdziwych opinii czy emocji (udawany podziw w rytuale odwzajemniania komplementów, fałszywa beztroška gry w „moje jest lepsze”) - i w obu wypadkach etykieta triumfuje nad prawdą i rozsądkiem.

I wreszcie... długie pożegnanie

Rozpoczęliśmy ten rozdział od przywitań, więc stosownie będzie zakończyć na pożegnaniach. Bardzo chciałabym zakończyć czymś pozytywnym i stwierdzić, że tu Anglicy wypadają lepiej, ale prawda jest taka, że nasze pożegnania z reguły są równie niezręczne, pełne zażenowania i nieudolne jak powitania. Znowu nie ma jasności, co robić i co mówić, czego skutkiem są takie same niedokończone uściski dłoni, niezgrabne zderzanie się policzków i urywane zdania, jak podczas procesu witania się. Jediną różnicą jest to, że powitania są zwykle pośpieszne - przedzieramy się przez nie, rozpaczliwie starając się mieć je jak najszybciej za sobą - natomiast pożegnania, jakbyśmy się chcieli zrehabilitować, są często zmusznie przeciągane.

W pierwszą fazę procesu żegnania się wpisany często jest niestosowny (i obłudny) pośpiech; nikt nie chce wyjść ostatni, z obawy przed „zasiedzeniem się” (czyli poważnym naruszeniem zasad prywatności). Dlatego też skoro tylko jedna osoba, para lub rodzina wstaje i zaczyna przepaszając mamrotać coś o tłoku na ulicach, babysitterkach czy też późnej godzinie, wszyscy pozostali natychmiast spoglądają na zegarki, wydają zdumione okrzyki, zrywają się, szukają okryć i torebek i wstępnie się żegnają. (Chociaż „Miło mi poznać” jako hasło powitalne jest kontrowersyjne, teraz dopuszcza się zwrot „Miło mi było pana/panią poznać”, jeśli żegnamy się z ludźmi, którym zostaliśmy niedawno przedstawieni - nawet gdy

wymieniliśmy z nimi nie więcej niż tylko kilka wymamrotanych zwrotów powitalnych). Odwiedzając dom Anglika, należy mieć w zapasie co najmniej dziesięć minut - a równie dobrze może to być piętnaście lub nawet dwadzieścia - od tego wstępnego pożegnania do ostatecznego wyjścia.

Jest taki stary skecz Dudleya Moore'a - parodia ekstrawaganckich, nieznających umiaru kompozytorów romantycznych - w którym gra on na fortepianie pewien utwór, i za każdym razem, gdy wydaje się, że już skończył (pa pa PAM), utwór ciągnie się dalej, tryłem prowadzącym do kolejnego dramatycznego „zakończenia” (taram, taram, pam, PAM, PAPAM), i tak dalej, bez końca. Ten skecz zawsze mi przypomina typowy obrazek: grupę Anglików usiłujących się ze sobą pożegnać. Gdy już wydaje się, że wypowiedziano ostateczne słowa pożegnania, zawsze ktoś zaczyna całą procedurę na nowo, kolejnym „No to do zobaczenia wkrótce...”, co prowokuje jeszcze jeden chórek głosów: „Och, tak, musimy się spotkać... no to... do widzenia...”, „Do widzenia”, „Jeszcze raz dziękujemy”, „Było bardzo miło”, „Ach, drobiazg, dziękuję”, „No to do widzenia...”, „Tak, musimy już iść - potem będzie trudno stąd wyjechać...”, „Nie stój tak, bo zmarzniesz!”, „Nie, w porządku...”, „No to trzymaj się...”. Wtedy ktoś mówi: „Teraz ty musisz nas odwiedzić...” albo „To przyślę ci jutro emaila...”, i znowu zaczynają się akordy końcowe.

Goście bardzo chcą już wyjść, a gospodarze, którzy sterczą na progu, tylko marzą o tym, żeby zamknąć za nimi drzwi, ale dać to do zrozumienia, nawet delikatnie, byłoby nietaktem, więc wszyscy muszą brać udział w przedstawieniu pt. „Ach, jak nam się trudno rozstać”. Nawet gdy już przebrzmia naprawdę ostatnie słowa pożegnania i wszyscy już siedzą w samochodzie, często jeszcze opuszcza się szybę, żeby powiedzieć kilka pożegnalnych słów. Gdy goście odjeżdżają, zawsze jakaś dłoń unosi się do ucha z wyciągniętym kciukiem i małym palcem, w geście słuchawki, czyli obietnicy, że będziemy w kontakcie. Następnie jest w zwyczaju, aby obie strony długo do siebie machały, aż samochód zniknie z oczu. Gdy gehennę długiego pożegnania mamy wreszcie za sobą, wszyscy, wyczerpani, wydajemy z siebie westchnienie ulgi.

W tym momencie przeważnie natychmiast zaczynamy utyskiwać na tych samych ludzi, od których przecież chwilę wcześniej nie mogliśmy się oderwać. „Boże, już myślałem, że nigdy sobie nie pójdą!”, „Jonesowie są bardzo mili i w ogóle, ale ona trochę przynudza...”. Nawet jeśli bardzo dobrze się bawiliśmy podczas przyjęcia, nasze pełne uznania komentarze po długim pożegnaniu będą przemieszane z narzekaniem, jak to jest już późno, jak bardzo jesteśmy zmęczeni, jak bardzo potrzebujemy teraz filiżanki herbaty/mocnego drinka - i jak dobrze jest znowu mieć dom tylko dla siebie (czy wracać do domu do własnego łóżka).

A jednak, jeśli z jakiejś przyczyny długie pożegnanie uległo skróceniu, czujemy się niezręcznie, jesteśmy niezadowoleni - i albo mamy poczucie winy, jeśli to my naruszyliśmy zasadę, albo urazy, jeśli to druga strona zbyt szybko się pośpieszyła z pożegnaniem. Możemy nie być całkiem świadomi faktu, że została złamana jakaś zasada, ale mamy niejasne poczucie niespełnienia; wiemy, że w jakiś sposób nie pożegnaliśmy się „jak należy”. Aby zapobiec takim uczuciom, angielskie dzieci są indoktrynowane, jeśli chodzi o etykietę rytuału długiego pożegnania, od najmłodszych lat: „Pożegnaj się teraz z babcią”. „Co się mówi? Mówi się, dziękuję, babciu!”. „I pożegnaj się jeszcze z ciocią Jane”. „Ale ŁADNIE się pożegnaj!”. „I powiedz papa Mruczkowi”. „Już wychodzimy, powiedz jeszcze raz do widzenia”. „No, chodź już, pomachaj, zrób papa!”⁹.

Anglicy w swojej wersji zwrotu „pożegnać się” często używają liczby mnogiej - *to say one's goodbyes* zamiast *goodbye* (dosłownie: wypowiedzieć swoje pożegnania). Rozmawiałam o tym z turystą amerykańskim, który powiedział: „Wiesz, pierwszy raz, gdy usłyszałem ten zwrot, właściwie nie zauważyłem tej liczby mnogiej - a może myślałem, że chodzi o to, że każdy się żegna osobno, czy coś w tym guście. Teraz wiem, że chodzi o WIELE pożegnań”.

Dialogi integracyjne a angielskość

Zasady rozmów na temat pogody dały nam już pewne pojęcie o „gramatyce” angielskości, a zasady dialogów integracyjnych mogą nam teraz pomóc ustalić kilka innych cech charakterystycznych, których szukamy.

Zasady obowiązujące przy witaniu się potwierdzają odkrycia dokonane przy okazji rozmów o pogodzie, z ich problemami rezerwy i zahamowań towarzyskich, i pokazują, że bez „podpórek” czy „protez” jesteśmy praktycznie niezdolni do pokonania tych przeszkód. W tym momencie musimy do naszej „gramatyki” włączyć skłonność do niezręczności, skrępowania i ogólny brak obycia towarzyskiego - to ważny czynnik, ponieważ skłonność ta ma bez wątpienia duży wpływ na wszystkie aspekty angielskich stosunków społecznych.

Zasada „tylko bez nazwisk” podkreśla troskę Anglików o ich prywatność oraz pewną nietowarzystką, podejrzliwą sztywność. Ta zasada zapowiada także zawyły, nieracjonalny charakter angielskiej etykiety, jak w *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*. Problem ze zwrotem „Miło mi poznać” dostarcza nam pierwszego dowodu na to, jak bardzo klasowość przenika każdy aspekt życia i kultury Anglików, ale także odsłania naszą niechęć do uznania tego problemu.

Zasady plotkowania ujawniają wiele ważnych cech charakterystycznych, z których najbardziej uderzająca jest, znowu, angielska obsesja na punkcie prywatności - uwypuklona

przez zasadę zgadujzgaduli, zasadę dystansu oraz wyjątku, który potwierdza regułęzasadę słowa drukowanego. Różnice płci w zasadach plotkowania przypominają nam, że w każdej kulturze nie wszystkich obowiązują te same zasady. Następna rzecz jest dość oczywista, ale często była ignorowana przez wczesnych antropologów, a i współcześni komentatorzy angielskości przechodzą czasem nad nią do porządku dziennego: obie grupy mianowicie mają tendencję do zakładania, że zasady „męskie” są zasadami dominującymi. Każdy, kto na przykład uważa, że Anglicy nie są zbyt pobudliwi ani ożywieni podczas rozmów codziennych, najwyraźniej nigdy nie słyszał plotkujących ze sobą dwóch Angielek. Tradycyjne zasady powściągliwości i rezerwy w tym przypadku mają zastosowanie wyłącznie do plotkujących mężczyzn.

Zasady rozmów umacniających przyjaźń między mężczyznami i kobietami potwierdzają to, co już ustaliliśmy, że nie wszystkich obowiązują te same zasady, ale spod jaskrawych (potencjalnie nawet oślepiających) różnic powierzchownych wyłaniają się kluczowe cechy wspólne, w tym zakaz chełpliwości, nakaz żartowania i wstręt do śmiertelnej powagi, uprzejma hipokryzja i triumf etykiety nad rozsądkiem.

Wreszcie, zasada długiego pożegnania zwraca uwagę (po raz kolejny) na znaczenie zażenowania i skrepowania w angielskich stosunkach towarzyskich - naszą najwyraźniej wrodzoną niezdolność do opanowania tak prostych spraw jak witanie się i żegnanie z konsekwencją i elegancją - ale także daje niezwykle przykłady irracjonalnego nadmiaru angielskiej uprzejmości.

Humor

W języku angielskim oryginalny tytuł tego rozdziału, *Humour Rules*, można zrozumieć dwojako: „zasady dotyczące humoru” lub, jak na graffiti, „humor rządzi!”. Właściwie to drugie jest bardziej odpowiednie, bo jeśli chodzi o humor w rozmowach Anglików, najwyraźniejszą i najważniejszą cechą jest jego dominacja i wszechobecność. Humor panuje. Humor rządzi. Humor jest wszechobecny i wszechwładny. Nawet nie miałam początkowo zamiaru pisać osobnego rozdziału na temat humoru, ponieważ wiedziałam, że podobnie jak kwestia społeczeństwa klasowego, przenika on każdy aspekt życia i kultury Anglików i dlatego będzie się przewijać w sposób naturalny przez całą książkę. I rzeczywiście, problem jednak w tym, że humor angielski jest tak wszechobecny, że aby stosownie opisać jego rolę w naszym życiu, musiałabym wspominać o nim w co drugim akapicie, co w końcu stałoby się nużące - więc jednak otrzymał swój własny rozdział.

Na temat angielskiego poczucia humoru mówi się wiele bzdur, w tym często próbuje się udowodniać w duchu patriotycznym, że nasze jest nie wiedzieć czemu wyjątkowe i lepsze niż poczucie humoru innych nacji. Wielu Anglików wydaje się wierzyć, że mamy coś w rodzaju globalnego monopolu, jeśli nie na sam humor, to przynajmniej na pewne jego odmiany - te ekskluzywne, jak inteligentny dowcip, a zwłaszcza ironia. Z moich badań wynika, że choć może faktycznie istnieje coś, co humor angielski wyróżnia, rzeczywistą „cechą definiującą” jest *wartość*, jaką przypisujemy humorowi, jego absolutnie centralne znaczenie w angielskiej kulturze i stosunkach społecznych.

W innych krajach na humor jest „czas i miejsce”; tam jest to specjalny, osobny rodzaj języka. W rozmowie Anglików zawsze kryje się nuta humoru. Nie umiemy nawet powiedzieć „cześć”, czy zrobić uwagi na temat pogody, bez robienia sobie z tego żartów. Większość angielskich konwersacji zawiera przynajmniej pewną dozę przekomarzania, docinków, aluzji, ironii, żartobliwej autoironii, kpiny czy po prostu wygłupów. Humor to, inaczej mówiąc, nasz „tryb domyślny”; nie musimy go świadomie włączać i nie możemy go wyłączyć. Dla Anglików zasady humoru są kulturowym odpowiednikiem praw natury - przestrzegamy ich automatycznie, mniej więcej tak jak prawa grawitacji.

Byle nie zbyt serio

Fundamentalną zasadą wszelkich angielskich rozmów jest zakaz bycia „serio”. Choć może nie mamy monopolu na humor, czy nawet ironię, prawdopodobnie jesteśmy bardziej niż którykolwiek inny naród wyczuleni na różnicę między powagą a namaszczeniem, między szczerością a patosem.

To rozróżnienie jest kluczowe dla zrozumienia angielskości. Będę to powtarzać do

znudzenia: jeśli ktoś nie jest w stanie pojąć tych subtelnych, ale zasadniczych różnic, nigdy nie zrozumie Anglików - i nawet mówiąc płynnie po angielsku, nigdy nie będzie się czuł swobodnie, ani sprawiał wrażenia swobodnego, rozmawiając z Anglikami. Jego angielski może być bez zarzutu, ale gramatyka jego zachowania będzie pełna rażących błędów.

Gdy ktoś już uwrażliwi się na owe różnice, zasada „byle nie zbyt serio” staje się całkiem prosta. Powaga jest dopuszczalna, namaszczenie zakazane. Szczerłość jest dozwolona, patos surowo wzbroniony. Pompa i nadęcie są skazane na banicję. Można rozmawiać na poważnie o poważnych sprawach, ale nie wolno brać *siebie samego* zbyt poważnie. Zdolność do podrzucania z samych siebie, choć może wywodzić się z pewnej formy arogancji, jest jedną z najbardziej ujmujących cech Anglików (a przynajmniej mam nadzieję, że się nie mylę: jeśli przeceniam naszą umiejętność kpiania z samych siebie, ta książka będzie raczej niepopularna).

Żeby posłużyć się przykładem świadomie ekstremalnym - ten rodzaj egzaltowanej, a nawet nawiedzonej „sieriozności” i pompatycznego namaszczenia, z kładzeniem ręki na sercu, który uwielbiają niemal wszyscy amerykańscy politycy, u nas nigdy nie zdobyłby ani jednego głosu wyborczego - oglądamy te ich wystąpienia z obojętnym rozbawieniem i pewną wyższością, zastanawiając się, jak te wiwatujące tłumy mogą być tak naiwne, żeby dawać się nabrać na tego rodzaju bzdury. Albo skręcamy się z zażenowania: jak tym politykom przechodzą przez usta takie karygodnie pompatyczne banały, wypowiedane groteskowo nawiedzonym tonem? Oczywiście, nie dziwi nas, że politycy mówią banały - nasi wcale nie są pod tym względem lepsi - tylko nie możemy zdzierżyć całego tego patosu. Tak samo jest w przypadku wylewnych, płaczliwych mów wygłaszanych przez aktorów amerykańskich podczas gali oscarowej czy innych ceremonii rozdania nagród, na których widok i dźwięk angielscy widzowie w całym kraju jak jeden mąż reagują gestem „palec w gardło”, czyli „zaraz zwymiotuję”. Rzadko widzi się, by angielscy laureaci Oscara pozwalali sobie na takie manifestacje emocji - ich mowy zwykle są albo krótkie i pełne godności, albo autoironiczne, i nawet wtedy prawie zawsze udaje im się sprawiać wrażenie skrzepowanych i zakłopotanych. Gdy któryś angielski aktor odważy się złamać te niepisane zasady, jest wyśmiewany i dostaje etykietkę „laluś”.

W dodatku Amerykanie, choć są jednym z najłatwiejszych obiektów do kpinek, wcale nie są jedynym celem naszego cynicznego potępienia. Równie drwiąco i pogardliwie jest przez Anglików traktowany sentymentalny patriotyzm przywódców i pompatyczne namaszczenie pisarzy, malarzy, aktorów, muzyków, ekspertów oraz innych osób publicznych wszelkich narodowości. Potrafimy wyczuć na odległość najmniejszy przejaw zadufania w

sobie, nawet na maleńkim ekranie telewizyjnym i w niezrozumiałym języku.

„Daj spokój!”

Angielski zakaz śmiertelnej powagi, a zwłaszcza zakaz brania zbyt poważnie samego siebie, oznacza, że los naszych polityków i innych osób publicznych jest wyjątkowo ciężki. Spostrzegawcza angielska opinia publiczna jest jeszcze mniej tolerancyjna, jeśli chodzi o naruszanie tych zasad na gruncie domowym, i nawet najmniejsze uchybienie, każdy nieznaczny sygnał, że mówca zaczyna się zbyt „wczuwać” i jest bliski przekroczenia cienkiej granicy między szczerym zaangażowaniem a sztywną powagą - zostaje natychmiast wychwycony i wytknięty, z towarzyszeniem pogardliwego okrzyku: „Ach, daj spokój!”.

W zwyczajnych codziennych rozmowach jesteśmy dla siebie tak samo surowi jak dla osób publicznych. Gdyby każdy kraj miał jakieś własne narodowe hasło, dla Anglii zaproponowałabym „Daj spokój!”. Myślę, że mogłoby zrobić karierę. Jeremy Paxman sugeruje: „Znam swoje prawa” - no, może nie nazywa tego zdania hasłem, ale często się do niego odnosi, i jest to jedyne takie zdanie, które umieszcza na swojej osobistej liście cech definiujących angielskość. Rozumiem go, bo deklaracja „Znam swoje prawa” idealnie oddaje swoiście angielski rodzaj upartego indywidualizmu i mocne poczucie sprawiedliwości. Ja jednak utrzymywałabym, że kanapowy cynizm zdania „Daj spokój!” prawdziwiej odzwierciedla angielską psychikę niż wojowniczy aktywizm sugerowany przez „Znam swoje prawa”. Być może to dlatego, jak ktoś kiedyś stwierdził, Anglicy mają satyrę zamiast rewolucji.

Naturalnie w przeszłości dzielne jednostki walczyły o prawa i swobody, którymi teraz się możemy cieszyć, ale większość przeciętnych Anglików dziś raczej uważa je za coś oczywistego i woli dogadywać, sarkać i zrędzić z boku na wszelkie przejawy aktywnego zaangażowania w ich obronę lub utrzymanie. Wielu z nas nawet nie chce się głosować w wyborach powszechnych, choć ankieterzy i eksperci jakoś nie potrafią się zgodzić, czy naszą haniebnie niską frekwencję wyborczą przypisywać cynizmowi, czy apatii - a może, co chyba jest najbardziej prawdopodobne, jednemu i drugiemu. Większość z tych, którzy głosują, wybiera „najlepszego z tej całej bandy” czy „mniejsze zło”, w duchu wielce sceptycznym, bynajmniej nie z błyszczącymi oczami, z żarliwym przekonaniem, że ta czy tamta partia naprawdę naprawi świat. Podobna sugestia zostałaby skwitowana tradycyjnym „Daj spokój!”.

Młodzież i ludzie, którzy starają się nadać za nowoczesnym slangiem, być może zamiast „Daj spokój” stwierdzą ironicznie: „Taaa, jasne” - ale zasada jest ta sama. Podobnie ten, który łamie zasadę „byle nie zbyt serio”, może zamiast zadufanym w sobie być nazwany bufonem czy waźniaczą, a w momencie, gdy będziecie to czytać, być może w obiegu będą

jeszcze inne, nowe słowa, chodzi jednak o to, że zasady są fundamentalne, a wartości głęboko zakorzenione, i pozostają niezmiennie.

Ironia

Anglicy z reguły nie mają skłonności do patriotycznych przechwałek - i patriotyzm, i przechwałki uważane są wręcz za niestosowne, dlatego też połączenie tych dwóch grzechów jest podwójnie obrzydliwe. Istnieje wszakże jeden ważny wyjątek od tej zasady, a jest to patriotyczna duma, którą odczuwamy z powodu naszego poczucia humoru, zwłaszcza z powodu naszej biegłości w ironii. Popularnie uważa się, że mamy lepsze, bardziej subtelne, o wiele bardziej rozwinięte poczucie humoru niż którykolwiek inny naród, a już na pewno, że wszystkie inne nacje są nużąco dosłowne i niezdolne do zrozumienia czy docenienia ironii. Prawie wszyscy Anglicy, z którymi rozmawiałam, podpisywali się pod tym poglądem, a wielu cudzoziemców, dość zaskakująco, pokornie się z tym godziło.

Choć najwyraźniej udało nam się przekonać samych siebie i wielu innych o naszym lepszym wyczuciu ironii, ja, jak już mówiłam wcześniej, pozostaję nie całkiem przekonana. Humor jest uniwersalny; ironia jest uniwersalnie ważnym składnikiem humoru i żaden kraj nie może zawłaszczać sobie na nią monopolu. Moje badania sugerują, że, znowu, kwestia ironii jest kwestią skali - sprawą raczej ilościową niż jakościową. Wyjątkowa w angielskim humorze jest wszechobecność ironii i znaczenie, jakie jej przypisujemy. Ironia jest dominującym składnikiem humoru angielskiego, a nie tylko pikantną przyprawą. Ironia rządzi. Anglicy, według przenikliwego obserwatora najdrobniejszych przejawów angielskości¹⁰, są „płodzeni w ironii. Jesteśmy w niej zanurzeni już w łonie matki. Ironia to wody płodowe (...) Żartowanie, ale bez żartów. Przejmowanie się, ale bez przejęcia. Poważnie, ale bez powagi”.

Trzeba powiedzieć, że wielu moich zagranicznych informatorów uważa ten aspekt angielskości za nie zabawny, lecz frustrujący. „Problem z Anglikami polega na tym - skarżył mi się pewien amerykański biznesmen - że nigdy nie wiesz, kiedy żartują. Nigdy nie wiesz, czy mówią serio, czy nie”. Jego towarzyska, Holenderka, przez chwilę z wytężeniem myślała, aż wreszcie nieśmiało podsumowała: „Zdaje się, że przeważnie żartują... mam rację?”.

Miała. I szkoda mi było ich obojga. Podczas rozmów z cudzoziemcami odwiedzającymi nasz kraj odkryłam, że angielskie upodobanie do ironii stanowi większy problem dla ludzi biznesu niż dla turystów i innych osób przyjeżdżających tu dla przyjemności. J.B. Priestley zauważył: „Atmosfera, w której żyją Anglicy, sprzyja humorowi. Często jest mgła i bardzo rzadko wszystko jest wyraźne”. I umieścił „talent do ironii” na

szczyt swojej listy składników angielskiego humoru. Nasza sprzyjająca żartom atmosfera jest bardzo fajna, gdy się jest na wakacjach, ale gdy negocjuje się umowy o wartości setek tysięcy dolarów, jak to robili moi nieszczęśliwi rozmówcy cytowani powyżej, ten mglisty, przesiąknięty ironią klimat kulturowy może zdecydowanie przeszkadzać¹¹.

Ci, którzy starają się zaaklimatyzować w tej atmosferze, muszą zapamiętać najważniejszą „zasadę”: że ironia występuje endemicznie - jak humor w ogóle, ironia to *constans*, pewnik, normalny element zwyczajnej codziennej konwersacji. Anglicy może nie żartują bez przerwy, ale zawsze są w *stanie gotowości do* żartów. Nie zawsze mówimy coś odwrotnego do tego, co mamy na myśli, ale zawsze jesteśmy wyczuleni na *potencjalną* ironię. Gdy zadamy komuś proste pytanie (np. „Jak tam dzieciaki?”), jesteśmy w równym stopniu przygotowani na prostą odpowiedź („Dobrze, dzięki”), co na ironiczną („Ach, wspaniale - urocze, uczynne, schludne, pilne...”). Na co z pewnością ktoś odpowie: „O, kurczę. Widzę, że masz zły dzień?”).

Niedomówienie

Wstawiam je jako podtytuł rozdziału o ironii, bo niedomówienie (bardzo oględne wyrażenie czegoś) jest raczej formą ironii niż odrębnym i osobnym typem humoru. Dodajmy, formą bardzo angielską - zasada niedomówienia jest bliską kuzynką zasady „byle nie zbyt serio”, zasady „Daj spokój!” i różnych zasad dotyczących powściągliwości i skromności, które regulują nasze codzienne stosunki społeczne. Niedomówienie, oczywiście, wcale nie jest wyłącznie angielską formą humoru; znowu mówimy tutaj bardziej o ilości niż jakości. George Mikes napisał: „Niedomówienie, dalej tu praktykowane, jest nie tylko szczególną cechą angielskiego poczucia humoru, lecz także stylem życia”. Anglicy słusznie słyną ze swego użycia niedomówienia nie dlatego, że to myśmy je wynaleźli czy stosujemy je lepiej niż inni, ale dlatego, że robimy to *tak często*. (No, może faktycznie ciut lepiej - choćby tylko dzięki częstszej praktyce).

Przyczyny naszego powszechnego „niedopowiadania” nietrudno odkryć: nasze rygorystyczne zakazy namaszczenia, wylewności, zbytnej emocjonalności oraz chępliwości wymagają prawie nieustannego używania niedomowień. Żeby uniknąć posądzenia o choćby ślad niedozwolonej pompatyczności, zbytnej emocji czy nadmiernego zapału, popadamy w przeciwną skrajność i udajemy obojętność. Zgodnie z zasadą niedomówienia, wycieńczająca, bolesna, przewlekła choroba musi być określana jako „mała niedyspozycja”; naprawdę przerażające przeżycie to „no cóż, nie całkiem to, czego się spodziewałem”; piękny widok zapierający dech w piersiach jest „całkiem ładny”; wybitne wykonanie lub osiągnięcie jest „niezłe”; akt odrażającego okrucieństwa „niezbyt przyjemny”, a niewybaczalnie głupia opinia

„niezbyt mądra”. Antarktyka jest „dość zimna”, a Sahara „ciut za gorąca jak na mój gust”; każdy wyjątkowo zachwycający przedmiot, osoba lub zdarzenie, w innych krajach wywołujące powódź superlatywów, zwykle kwitowane są jako „ładne/miłe” albo, jeśli chcemy wyrazić bardziej żarliwy entuzjazm, „bardzo ładne/miłe”.

Rzecz jasna, angielskie niedomówienie to kolejna cecha, która u wielu cudzoziemców wywołuje niesłychaną konsternację i poirytowanie (lub jakbyśmy to określili my, Anglicy, „lekką dezorientację”). „Nie rozumiem! - wykrzyknął pewien mój informator doprowadzony do rozpacz. - To ma być śmieszne? Jeśli to ma być śmieszne, to dlaczego oni się nie śmieją - albo przynajmniej nie uśmiechną? Skąd, do cholery, mam wiedzieć, kiedy «niezłe» znaczy «absolutnie wspaniałe», a kiedy po prostu «okay»? Czy oni używają przy tym jakichś tajemnych znaków? Dlaczego nie mogą po prostu powiedzieć tego, co myślą?”.

To jest problem z angielskim humorem. Spora jego część, w tym, a może zwłaszcza, niedomówienie, nie jest tak naprawdę bardzo zabawna - albo przynajmniej nie w oczywisty sposób, nie tak, żeby śmiać się na głos, i na pewno nie śmiesz ludzi we wszystkich krajach. Nawet sami Anglicy, którzy niedomówienie rozumieją, słysząc je, nie pękają ze śmiechu. Zgrabne i zaserwowane w odpowiednim momencie, w najlepszym razie zostaje skwitowane nieznacznym uśmieszkiem. Ale, z drugiej strony, przecież o to chodzi w niedomówieniu: jest zabawne, ale tylko w niedopowiedziany sposób. Jest to humor, ale w swojej powściągliwej, wyrafinowanej, subtelnej odmianie.

Nawet ci cudzoziemcy, którzy doceniają angielskie niedomówienie i uważają je za zabawne, mimo wszystko mają problemy, gdy przychodzi im go użyć. Ojciec opowiadał mi o swoich znajomych Włochach, gorliwych anglofilach, którzy strasznie chcieli być tak angielscy, jak tylko się da - mówili płynnie po angielsku, nosili angielskie ubrania, nawet polubili angielską kuchnię. Ale skarżyli się, że „nie wychodzi im” angielskie niedomówienie, i naciskali na niego, żeby im udzielał instrukcji. Pewnego dnia jeden z nich opisywał, szczegółowo i z pasją, jakiś koszmarny posiłek w lokalnej restauracji - dania były niejadalne, lokal odrażająco brudny, obsługa niewyobrażalnie gburowata itd., itp. „Ach - odezwał się mój ojciec pod koniec tej tyrady. - Rozumiem, że raczej byś jej nie polecał?”. „WIDZISZ? - krzyknął jego włoski przyjaciel. - To jest właśnie to! Jak ty to robisz? Skąd wiesz, jak to robić? Skąd wiesz, kiedy?”. „Nie wiem - odparł ojciec przepraszająco. - Nie potrafię wyjaśnić. My to po prostu robimy. To nam przychodzi naturalnie”.

To inny problem z angielskim niedomówieniem: jest to zasada, ale zasada w czwartym znaczeniu podawanym przez *Oxford English Dictionary*, „normalny lub zwykły stan rzeczy” - nie jesteśmy świadomi, że jej przestrzegamy; w jakiś sposób jest ona

podłączona do naszych umysłów. Nikt nas nie uczy użycia niedomówienia, uczy się go przez osmozę. Niedomówienie „przychodzi naturalnie”, ponieważ jest głęboko wrośnięte w naszą kulturę, jest częścią angielskiej psychiki.

Niedomówienie także ciężko „złapać” cudzoziemcom, ponieważ w gruncie rzeczy jest to dowcip zrozumiały tylko dla wtajemniczonych w temat naszych niepisanych zasad humoru. Opisując, powiedzmy, straszliwe, bolesne i traumatyczne przeżycie jako „niezbyt przyjemne”, składamy hołd tabu śmiertelnej powagi oraz zasadom ironii, ale jednocześnie wyśmiewamy nasze nedorzeczenie sztywne posłuszeństwo tym kodom. Zachowujemy rezerwę, ale z taką przesadą, że (po cichu) kpimy z siebie samych. Parodiujemy sami siebie. Każde niedomówienie jest małym prywatnym żarcikiem z angielskości.

Autoironia

Podobnie jak angielskie niedomówienie, również angielską autoironię można postrzegać jako formę ironii. Zwykle polega ona nie na autentycznej skromności, ale na mówieniu czegoś odwrotnego do tego, co naprawdę mamy na myśli - lub przynajmniej odwrotnego do tego, co chcemy, żeby zrozumiał rozmówca.

Kwestia angielskiej skromności będzie się w tej książce pojawiać co i rusz, więc powinnam od razu wyjaśnić wszelkie nieporozumienia. Mówiąc o „zasadach skromności”, mam na myśli właśnie zasady; nie to, że Anglicy są z natury bardziej skromni i powściągliwi niż inne narody, ale że mamy surowe zasady, które mówią, że *należy wydawać się skromnym*. Są to zarówno zasady „negatywne”, takie jak zakaz wszelkiego przechwalania się i zarozumiałstwa, jak i zasady „pozytywne”, nakazujące kpiny z samych siebie i umniejszanie własnej wartości. Już sama obfitość tych niepisanych zasad sugeruje, że Anglicy *nie* są z natury czy instynktownie skromni: najlepsze, co można o nas powiedzieć, to, że przykładamy dużą wartość do skromności, że do niej *aspirujemy*. Skromność, którą w istocie okazujemy, jest generalnie fałszywa - lub, ujmując rzecz łaskawiej, ironiczna.

I w tym tkwi humor. I znów, nie mówimy o rzeczach jawnie śmiesznych, z których przyczyny klepiemy się po udach: humor angielskiej autoironii, jak humor niedomówienia, jest powściągliwy, często do tego stopnia, że niemal niedostrzegalny - a dla nieobeznanych z zasadami angielskiej skromności - praktycznie niezrozumiały.

Aby wykazać, jak to działa, przytoczę dość ewidentny przykład. Mój narzeczony jest neurochirurgiem. Gdy się poznaliśmy, zapytałam, co go skłoniło do wyboru tej profesji. Odpowiedział: „W Oksfordzie studiowałem filozofię, nauki polityczne i ekonomię, ale stwierdziłem, że sobie z nimi nie radzę, więc, hm, pomyślałem, że lepiej wezmę się do czegoś łatwiejszego”. Roześmiałam się, ale potem (czego na pewno oczekiwał) zaprotestowałam, bo

przecież neurochirurgii nie sposób uznać za łatwy wybór. To dało mu kolejną szansę na autoironiczny komentarz. „Ach, wcale nie trzeba do niej takiej mądrości; szczerze mówiąc, działamy właściwie trochę na chybił trafił. To po prostu hydraulika, naprawdę, hydraulika pod mikroskopem - z tym, że hydraulika jest trochę bardziej precyzyjna”. Później wydało się, a musiał wiedzieć, że się wyda, że nie tylko „radził sobie” z intelektualnymi wymogami Oksfordu, ale zaczynał ze stypendium naukowym, a skończył z najwyższą oceną na dyplomie. „Byłem wstrętnym kujonem” - wyjaśnił.

A więc, czy mówiąc to, był naprawdę skromny? Nie, ale też jego humorystycznych autoironicznych odpowiedzi nie można nazwać celową, wykalkulowaną „falszywą” skromnością. Po prostu przestrzegał zasad. Żeby poradzić sobie z zażenowaniem własnymi sukcesami i prestiżem, zrobił z nich umniejszający własną wartość żart, jak to u nas jest w zwyczaju. I o to chodzi, w jego taktownych kpinkach z siebie nie było nic nadzwyczajnego czy niezwykłego: po prostu zachował się jak Anglik. Wszyscy to robimy, automatycznie, bez przerwy. Nawet ci z nas, którzy nie mają tak imponujących osiągnięć czy kwalifikacji do ukrycia. Ja sama mam szczęście - wiele osób nie wie, co robi antropolog, a ci, którzy wiedzą, z reguły uważają nas za najniższą formę życia naukowego, istnieje więc bardzo niewielkie ryzyko, że ktoś uzna mnie za chwalipiętę, gdy pyta mnie, gdzie pracuję. Ale na wszelki wypadek, gdyby ktoś podejrzewał mnie o bycie (lub roszczenie sobie pretensji do bycia) „intelektualistką”, zawsze szybko wyjaśniam tym, którzy nie znają terminu „antropolog”, że „to tylko wyszukane słówko na określenie kogoś, kto wściubia nos w sprawy innych”, a ludziom wykształconym, że to, co robię, to w gruncie rzeczy „tylko antropologia w stylu pop”, nie zaś bohatera odmiana „terenowa” z prawdziwego zdarzenia.

Wśród Anglików system działa perfekcyjnie: wszyscy rozumieją, że typowa autoironia oznacza mniej więcej przeciwieństwo tego, co ktoś mówi, i są pod stosownym wrażeniem zarówno osiągnięć mówiącego, jak i jego niechęci do chełpienia się nimi. (Nawet w moim własnym przypadku, gdy moja wypowiedź z trudem może uchodzić za autoironię, bo jest, niestety, zgodna z prawdą, ludzie często niesłusznie zakładają, że to, co robię, nie może być przecież tak głupie, jak brzmi). Problemy zaczynają się, gdy próbujemy grać w tę grę z ludźmi spoza naszej własnej kultury, którzy nie rozumieją zasad, nie potrafią docenić ironii, i w związku z tym mają niefortunną tendencję do przyjmowania naszych autoironicznych deklaracji za dobrą monetę. My coś tam mamroczyliśmy skromnie na swój temat, niewtajemniczeni cudzoziemcy akceptują naszą rzekomo niską ocenę własnych osiągnięć i pozostają niewzruszeni. Nie możemy przecież wówczas zmienić frontu i powiedzieć: „Nie, zaczekaj, teraz powinieneś się uśmiechnąć domyślnie i sceptycznie, okazując, że zdajesz

sobie sprawę, że żartuję, używam autoironii, że nie wierzysz w ani jedno słowo i jeszcze bardziej podziwiasz moje osiągnięcia i moją skromność”. Nie wiedzą, że taka jest przepisowa angielska reakcja na przepisową angielską autoironię. Nie wiedzą, że gramy w zawiłą grę, polegającą na blefowaniu. Mimowolnie zmuszają nas do wyłożenia kart, i cała zabawa godzi w nas rykoszetem. I szczerze mówiąc, dobrze nam tak, bo po co się wygłupiamy.

Humor i komedia

Ponieważ te dwa pojęcia często są mylone i łączone w jedno, warto zauważyć, że mówię tu wyraźnie o zasadach angielskiego humoru, nie o angielskiej komedii. To znaczy, chodzi mi bardziej o nasze wykorzystanie humoru w życiu codziennym, zwykłych rozmowach, niż o humorystyczną powieść, wiersz, skecz, monolog satyryczny, komediową sztukę, film czy dowcip rysunkowy. Żeby zanalizować te ostatnie, trzeba byłoby napisać osobną książkę - i musiałby to zrobić ktoś bardziej kompetentny niż ja.

Nie udaję więc, że jestem ekspertem w tej materii, wydaje mi się jednak jasne, że angielska komedia podlega wpływom i opiera się na naturze codziennego angielskiego humoru, tak jak go tu opisałam, i na niektórych innych „zasadach angielskości”, zidentyfikowanych w innych rozdziałach, jak na przykład zasada skrępowania (większość angielskich komedii obraca się zasadniczo wokół skrępowania). Angielska komedia, jak można się spodziewać, przestrzega zasad angielskiego humoru, a także odgrywa ważną rolę społeczną, ponieważ przekazuje je i umacnia. Praktycznie we wszystkich najlepszych angielskich komediach kpimy z siebie samych.

Nie powiedziałabym, że angielska komedia jest lepsza od komedii innych krajów, jednakże fakt, iż nie istnieje u nas concept osobnego „czasu i miejsca” dla humoru, że humor przenika świadomość Anglików, oznacza, że angielscy komediowi pisarze, artyści i wykonawcy muszą się nieźle natrudzić, żeby nas rozśmieszyć. Muszą dokonać czegoś więcej i wyjść poza humor obecny we wszystkich naszych codziennych kontaktach. To, że Anglicy mają „poczucie humoru”, nie znaczy, że łatwo nas rozbawić - wprost przeciwnie: nasze wyostrzone, wyczulone poczucie humoru i przesycona ironią kultura prawdopodobnie sprawiają, że rozbawić nas jest trudniej niż większość innych nacji. Czy w rezultacie tego mamy lepszą komedię, to inna sprawa; niewątpliwie efektem całej sytuacji jest niesamowita mnogość komedii - dobrych, złych i nijakich; jeżeli Anglików coś nie bawi, to na pewno nie jest to wina braku starań ze strony naszych rozlicznych humorystów.

Przemawia przeze mnie autentyczne zrozumienie, bo szczerze mówiąc, ten rodzaj antropologii, który uprawiam, nie jest zbyt odległy od monologów satyrycznych „na stojaka” - a przynajmniej ich nurtu opartego na żartach zaczynających się od: „Czy zauważyli

państwo, że ludzie zawsze...?”. Najlepsi monologujący komicy niezmiennie kończą to zdanie jakąś celną, bystrą uwagą na temat niuansów ludzkiego zachowania i stosunków społecznych. Badacze z dziedziny nauk społecznych, tacy jak ja, usiłują robić to samo, ale jest różnica: komikowi musi się udać. Jeśli jego uwagi nie zabrzmiały przekonująco, czy nie uderzą we właściwą strunę, widzowie nie będą się śmiać, a jeśli będzie się to powtarzać, nie zarobi on na życie. Naukowcy zaś mogą gadać bzdury przez całe lata i mimo to spłacać kredyt w banku. W najlepszej swej formie jednak nauki społeczne czasem potrafią być tak odkrywczymi, jak dobry monolog „na stojaka”.

Humor a klasa

Chociaż w innych rozdziałach tej książki skrupulatnie opisuję różnice w przestrzeganiu zasad przez poszczególne klasy społeczne, może zwrócić uwagę fakt, że w tym rozdziale nie wspominam nic o klasie. To dlatego, że „zasady przewodnie” angielskiego humoru są ponadklasowe. Tabu śmiertelnej powagi oraz zasady ironii, autoironii i niedomówienia przekraczają wszelkie klasowe bariery. Żadna zasada społeczna nie jest przestrzegana uniwersalnie, ale zasady humoru wśród Anglików są rozumiane i akceptowane powszechnie (aczkolwiek podświadomie). Bez względu na kontekst klasowy, każde ich naruszenie jest dostrzegane, odrzucane i wyśmiewane.

Mimo że zasady angielskiego humoru są ponadklasowe, trzeba powiedzieć, że spora część codziennego angielskiego humoru bierze na tapetę problemy różnic klasowych. To nie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę naszą narodową obsesję na punkcie klasy i naszą skłonność do robienia ze wszystkiego obiektu drwin. Bez przerwy śmiejemy się z nawyków i słabostek związanych z przynależnością do danej klasy, wyśmiewamy aspiracje i żenujące gafy snobów i stroimy sobie żarty ze społeczeństwa klasowego.

Humor a angielskość

Co zasady humoru mówią nam o angielskości? Powiedziałam, że samo znaczenie, jakie przywiązujemy do humoru, jego centralna rola w angielskiej kulturze i dialogach jest bardziej „cechą definiującą” niż jakaś konkretna cecha humoru. Jednak mimo wszystko trzeba zadać pytanie, czy w angielskim humorze oprócz jego dominacji i wszechobecności jest też coś charakterystycznego, czy mówimy tu nie tylko o ilości, ale też o jakości. Moja odpowiedź to ostrożne „tak”.

Zasada „byle nie zbyt serio” to nie tylko inaczej wyrażone hasło „humor rządzi”; chodzi tu o cienką granicę między powagą a pompą, i wydaje mi się, że nasze wielkie wyczulenie na tę różnicę i nasza nietolerancja dla patosu są typowo angielskie.

Jest też coś typowo angielskiego w sposobie, w jaki reagujemy na patos. Zasada „Daj

spokój!” zawiera osobliwie angielską mieszanekę kanapowego cynizmu, ironicznego dystansu, odrazy do sentymentalizmu, determinacji, by nie dać się oszukiwać i nabierać na finezyjne pustosłowie, a także złośliwego upodobania do przekłuwania balonów nadęcia i zarozumialstwa.

Rozważyliśmy także zasady ironii i jej podzasady - niedomówienie i zartobliwą autoironię, i sądzę, że możemy wysnuć wniosek, że choć żadna z tych form humoru nie jest sama w sobie unikalna dla Anglików, skala ich użycia w angielskiej konwersacji nadaje „typowo angielski” smak naszym żartom. A skoro ćwiczenie czyni mistrza, Anglicy, chcąc nie chcąc, musieli trochę lepiej opanować ironię i jej bliskie relacje z komizmem niż inne narody z mniejszą obsesją na punkcie humoru. Więc, bez przechwałek czy patriotycznych uniesień, sądzę, że możemy śmiało stwierdzić, że ironię, autoironię i niedomówienie mamy opanowane, ogólnie rzecz biorąc, całkiem nieźle.

Językowe kody klasowe

Nie sposób mówić o angielskich kodach konwersacyjnych, nie wspominając o klasach społecznych. W Anglii nie można się odezwać, żeby nie zdradzić natychmiast swojej przynależności klasowej. Być może do pewnego stopnia jest tak na całym świecie, jednak najpopularniejsze aforyzmy na ten temat są angielskie - od Bena Jonsona: „Język najbardziej pokazuje człowieka. Mów, żebym mógł cię zobaczyć”, do George’a Bernarda Shawa, cytatu o wiele wyraźniej odnoszącego się do klasy: „Wystarczy, że jeden Anglik otworzy usta, żeby drugi natychmiast go znenawidził lub zaczął nim pogardzać”. Wolelibyśmy myśleć, że dziś mamy mniejszą obsesję na punkcie klas, a jednak uwaga Shawa jest dziś równie prawdziwa, jak dawniej. Wszyscy Anglicy, czy się do tego przyznają, czy nie, są wyposażeni w pewnego rodzaju społeczny GPS, który, gdy tylko nasz rozmówca otworzy usta, informuje nas o jego pozycji na mapie klasowej.

Dla ustalania tej pozycji kluczowe są dwa czynniki: terminologia i wymowa - słowa, których się używa, i sposób, w jaki się je wymawia. Bardziej wiarygodnym wskaźnikiem jest wymowa (terminologii innej klasy stosunkowo łatwo jest się nauczyć), zacznę więc od niej.

Samogłoski kontra spółgłoski

Pierwszy wskaźnik klasy dotyczy tego, który rodzaj liter faworyzuje się w wymowie - lub raczej, który rodzaj się w wymowie opuszcza. Ci, którzy znajdują się na szczycie drabiny społecznej, lubią myśleć, że ich sposób mówienia jest „prawidłowy”, ponieważ jest wyraźny, zrozumiały i precyzyjny, natomiast język klas niższych jest „nieprawidłowy”, jest to mowa „leniwa” - niewyraźna, często niezrozumiała i w ogóle zła. Dowód rzeczowy numer jeden tej argumentacji to niepoprawne wymawianie spółgłosek przez klasy niższe, w szczególności zwarcie krtaniowe - pomijanie (połykanie, opuszczanie) „t” i opuszczanie „h”. Można jednak powiedzieć: „przyganiał kocioł garnkowi”. Ludzie z niższych sfer może i opuszczają niektóre spółgłoski, ale za to grzechem sfer wyższych jest opuszczanie samogłosek. Pewnie jest to szalenie eleganckie, ale jednak brzmi jak SMS, i jeśli ktoś nie jest do tego przyzwyczajony, ta mowa wcale nie jest bardziej zrozumiała niż przy połykaniu spółgłosek przez klasy niższe. Jedyną zaletą tej SMSowej mowy jest to, że nie trzeba przy niej zbytnio otwierać ust, co pozwala mówiącemu na utrzymanie wyniosłego wyrazu kamiennej twarzy oraz tzw. sztywnej górnej wargi.

Klasa wyższa oraz wyższa i średnia warstwa klasy średniej przynajmniej wymawiają prawidłowo spółgłoski (choć tyle, zważywszy, że gubią połowę samogłosek), natomiast klasa niższa często wymawia „th” jak „f”, czasem jak „v”. „G” na końcu wyrazu może zamienić się w „k”. Wymowa samogłosek także mówi nam sporo o przynależności klasowej.

Klasa niższa często wymawia „ej” jak długie „aj”, np. imię Dave - „Dajw” zamiast „Dejw”, Tracey - „Trajsi” zamiast „Trejsi”. (Mieszkańcy północnej Anglii o pochodzeniu robotniczym mają tendencję do przedłużania „ej” i mogą także ujawnić swoje pochodzenie, mówiąc „nasz Deeejw” i „nasza Treeejsi”). Z kolei „aj” w wykonaniu klasy robotniczej może brzmieć jak „oj”, podczas gdy w najwyższych sferach czasem mówi się „or” zamiast „o”. Klasa wyższa nie lubi używać zaimka *I* (czyli „ja”); o wiele bardziej woli, jeśli to możliwe, mówić o sobie, używając formy bezosobowej *one*. Nawiasem mówiąc, jej członkowie w ogóle nie przepadają za zaimkami, opuszczając je, razem z przedimkami i spójnikami, gdzie się tylko da - jakby wysyłali szalenie kosztowny telegram. Mimo wszystkich tych osobliwości, klasa wyższa pozostaje przeświadczona, że jej sposób mówienia jest jedyny prawidłowy; jej mowa jest normą, a wszyscy inni mówią „z akcentem” - a gdy klasa wyższa twierdzi, że ktoś mówi „z akcentem”, ma na myśli akcent klasy robotniczej.

Chociaż mowa klasy wyższej z reguły nie jest wcale bardziej zrozumiała niż mowa klas niższych, faktem jest, że błędne wymawianie niektórych słów jest często sygnałem przynależności do klasy niższej i świadczy o tym, że mówiący jest mniej wykształcony. Istnieje jednak różnica między mową klasy wyższej a mową ludzi „wykształconych” - to niekoniecznie to samo. Istnieje wyrażenie „angielski z BBC” czy „angielski z Oksfordu” - oznacza to rodzaj mowy ludzi wykształconych - ale raczej z wyższej warstwy klasy średniej niż z samej klasy wyższej: brak w niej charakterystycznych dźwięków, połykania samogłosek i fobii na punkcie zaimków, typowej dla klasy wyższej, poza tym jest zdecydowanie bardziej zrozumiała dla niewtajemniczonych.

Mimo że ogólnie uważa się, iż błędna wymowa świadczy o „niskim” pochodzeniu (w tym błędna wymowa zagranicznych słów i nazw), silenie się na zbyt *cudzoziemską* wymowę popularnych wyrażen i nazw miejsc to jeszcze inna historia. Na przykład próby imitowania gardłowego francuskiego „r” w zwrocie *en route* lub wymawianie nazwy „Barcelona” z seplenionym hiszpańskim „s”, albo mówienie wszystkim, że jedzie się do Firenzy zamiast do Florencji - nawet jeśli wymawia się tę nazwę prawidłowo - jest afektowane i pretensjonalne, i prawie zawsze świadczy o pochodzeniu z niższej lub średniej warstwy klasy średniej. Członkowie wyższej warstwy klasy średniej, klasy wyższej i klasy robotniczej nie czują zwykle potrzeby popisywania się w ten sposób. Używanie prawidłowej zagranicznej wymowy tych słów jest być może usprawiedliwione, jeśli mówi się biegle w danym języku - jednak o wiele bardziej skromne (i angielskie) byłoby powstrzymanie się przed prezentowaniem tych umiejętności.

Często słyszymy, że w dzisiejszych czasach akcenty regionalne stały się o wiele

bardziej akceptowane - nawet pożądane, jeśli marzy się o karierze w mediach - i że osoba z akcentem, powiedzmy z Yorkshire, Liverpoolu, Newcastle czy południowozachodniej części Wielkiej Brytanii, nie jest już automatycznie klasyfikowana jako osoba z klasy niższej i traktowana z pogardą. Tak... no... może. Ja nie jestem o tym przekonana. Fakt, że obecnie wielu prezenterów popularnych programów radiowych i telewizyjnych mówi z regionalnym akcentem może oznaczać, że jest to atrakcyjne dla słuchaczy, ale nie dowodzi, że w jakiś cudowny sposób zanikły skojarzenia między akcentem a przynależnością klasową. Może nam się podobać jakiś akcent regionalny, możemy nawet uważać, że jest on czarujący i melodyjny, ale jednak rozpoznajemy go jako akcent klasy robotniczej. Jeśli tak naprawdę chodzi o to, że w wielu niegdyś snobistycznych profesjach bardziej akceptuje się dziś przynależność do klasy robotniczej, to tak powinno się to ująć, a nie serwować nam uprzejme (nieszczere) eufemizmy na temat akcentów regionalnych.

Dobór słownictwa - powtórka z rzeczowników

W artykule w „Encounter” z 1955 roku Nancy Mitford ukuła frazę „słowa «u» i «nieu»,, od pierwszej litery wyrazu *upper* (class) - klasa wyższa, i chociaż niektóre z przytoczonych przez nią słów, świadczących o przynależności do danej klasy, są już przestarzałe, zasada się nie zmieniła. Być może niektóre hasła rozpoznawcze uległy zmianie, nadal jednak jest ich w bród, a my ciągle oceniamy pochodzenie człowieka po tym, czy na posiłek w środku dnia mówi *lunch* czy *dinner*.

Prosty dwuczłonowy model wprowadzony przez Mitford nie jest jednak wystarczająco subtelny jak na moje potrzeby: niektóre zwroty mogą po prostu oddzielać klasę wyższą od innych, ale inne bardziej konkretnie oddzielają klasę robotniczą od niższej warstwy klasy średniej, czy też średnią warstwę klasy średniej od niższej warstwy klasy średniej. W kilku przypadkach użycie słów przez klasę robotniczą i klasę wyższą jest zdumiewająco podobne, a różni się znacznie od klas pośrednich.

Siedem grzechów głównych

Jest jednak siedem słów, które angielscy członkowie klasy wyższej i wyższej warstwy klasy średniej uważają za niezawodne hasła rozpoznawcze. Użyjmy któregoś z tych „siedmiu grzechów głównych” w obecności kogoś z wyższych sfer, a jego radar wykrywający pochodzenie natychmiast zacznie piszczeć i błyskać: bezzwłocznie zostaniemy zdegradowani do średniej warstwy klasy średniej (w najlepszym razie), a być może niżej - a w niektórych przypadkach automatycznie zakwalifikowani jako klasa robotnicza.

Słucham?

Najbardziej znanym z tych słów, szczególnie obmierzłym dla klasy wyższej i wyższej

warstwy klasy średniej, jest *pardon*?. Jilly Cooper wspomina, jak jej syn powiedział do kolegi: „Mama mówi, że *pardon* to o wiele gorsze słowo niż *fuck*”. Miał sporo racji: dla wyżej wymienionych wyraz o niewątpliwym pochodzeniu z klasy niższej jest gorszy niż przekleństwo. Niektórzy nawet określają zamieszkaną przez niższe warstwy klasy średniej przedmieścia jako „Pardonię”. A oto dobry test klasowy, który można przeprowadzić, rozmawiając z Anglikiem: celowo powiedzcie coś zbyt cicho, żeby nie usłyszał. Człowiek z niższej lub średniej warstwy klasy średniej zareaguje słówkiem *Pardon*?; ktoś z wyższej warstwy klasy średniej powie *Sorry*? (a może *Sorry - what?* lub *What - sorry?*); ale zarówno przedstawiciel klasy wyższej, jak i robotniczej powiedzą zgodnie: *What*?. Członek klasy najniższej może przy tym opuścić „t” - *Wha*’? - ale to będzie jedyna różnica. Niektórzy ludzie z wyższej warstwy klasy robotniczej z aspiracjami do klasy średniej mogą nierozsądnie użyć słowa *pardon*, żeby wydać się „z wyższej sfery”.

Toaleta

Toilet to kolejne słowo, na którego dźwięk klasy wyższe się wzdrygają - lub wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, jeśli wypowiada je parweniusz z pretensjami. Prawidłowy termin używany przez wyższą warstwę klasy średniej i klasę wyższą oznaczający toaletę to *loo* lub *lavatory*. Czasem dopuszczalne jest słowo *bog*, ale tylko wtedy, gdy wypowiada się je w ewidentnie ironicznożartobliwy sposób, jakby w cudzysłowie. Klasa robotnicza mówi *toilet*, podobnie jak większość niższej i średniej warstwy klasy średniej, z tą jedną różnicą, że klasa robotnicza opuszcza końcowe „t”. (Klasa robotnicza może także czasem użyć słowa *bog*, tyle że bez ironicznego cudzysłowu). Jednak członkowie niższej i średniej warstwy klasy średniej z pretensjami lub aspiracjami, mogą zrezygnować ze słowa *toilet* na rzecz „wytwornych” eufemizmów rodem z przedmieścia, jak *gents*, *ladies*, *bathroom*, *powder room*, *facilities* i *convenience*; lub żartobliwych eufemizmów jak *latrines*, *heads* i *privy* (te ostatnie preferują mężczyźni, poprzednie kobiety).

Serwetka

Serviette - tak mieszkańcy Pardonii nazywają serwetkę stołową. Jest to kolejny przykład „wytworności” z pretensjami - w tym wypadku nierozsądna próba podwyższenia własnego statusu przez użycie wymyślnego francuskiego słowa zamiast zwyczajnego starego angielskiego. Kiedyś pojawiła się sugestia, że *serviette* przyjęli wybredni przedstawiciele niższej warstwy klasy średniej, stwierdziwszy, że angielskie słowo *napkin* (serwetka) trochę za bardzo przypomina słowo *nappy* (pielucha) i zapragnęli czegoś, co ma bardziej wyrafinowane brzmienie. Niezależnie od swego pochodzenia słowo *serviette* jest teraz uważane za nierozzerwalnie związane z klasą niższą. Matki z klasy wyższej i wyższej warstwy

klasy średniej bardzo się irytują, gdy ich dzieci uczą się mówić *serviette* od działających w dobrej wierze nian z klasy niższej, i mozolnie ćwiczą je w mówieniu *napkin*.

Obiad

W samym słowie *dinner* nie ma nic złego, poza tym, że świadczy ono o pochodzeniu robotniczym, jeśli się go używa w odniesieniu do posiłku południowego, który należy nazywać lunchem. O tym samym świadczy nazywanie wieczornego posiłku *tea*; górne warstwy społeczne mówią na ten posiłek *dinner* lub *supper*. (Formalnie rzecz biorąc, *dinner* jest trochę bardziej uroczysty niż *supper*: jeśli ktoś nas zaprasza na *supper*, najprawdopodobniej będzie to nieoficjalny posiłek w gronie rodzinnym, spożywany w kuchni - czasem daje się to do zrozumienia otwarcie, mówiąc *family supper* lub *kitchen supper*. Członkowie klasy wyższej i wyższej warstwy klasy średniej używają terminu *supper* częściej niż ci ze średniej i niższej warstwy klasy średniej). *Tea*, dla klasy wyższej, jest spożywana około czwartej po południu i składa się z herbaty, ciastek lub babeczek zwanych *scones*, i być może małych kanapek. Klasy niższe nazywają ten posiłek *afternoon tea*. Wszystko to może stanowić pewien problem dla cudzoziemców: jeśli ktoś nas zaprasza na *dinner*, czy powinniśmy przyjść w południe, czy wieczorem? Czy „przyjdź na *tea*” znaczy przyjdź o czwartej, czy o siódmej? Na wszelki wypadek trzeba zapytać, o której godzinie gospodarz nas oczekuje. Odpowiedź pomoże nam umiejscowić zapraszających na drabinie społecznej.

Kanapa

Można też zapytać gospodarzy, jak nazywają swoje meble. Jeśli tapicerowane siedzenie dla dwóch lub więcej osób nosi u nich nazwę *settee* lub *couch*, pochodzą co najwyżej ze średniej warstwy klasy średniej. Jeśli mówią na nie *sofa*, należą do wyższej warstwy klasy średniej lub klasy wyższej. Istnieją rzadkie wyjątki od użycia tego słowa, które nie jest aż tak dokładnym wskaźnikiem klasy jak *pardon*. Czasem młodzież z wyższej warstwy klasy średniej, pod wpływem amerykańskich filmów i programów telewizyjnych, może mówić *couch* - chociaż raczej nie użyje słowa *settee*, chyba że żartem lub żeby zdenerwować swoich rodziców, niepokojących się o wizerunek swojej klasy. Kto chce, może się zabawić w zgadywanke, w oparciu o inne, dodatkowe wskaźniki klasy, jak te opisane dalej w rozdziale *Dom*. Na przykład: jeśli dany mebel jest częścią nowiutkiego kompletu wypoczynkowego (kanapa i dwa fotele) w tym samym kolorze, który dodatkowo jest dobrany do zasłon, jego właściciele prawdopodobnie nazywają go *settee*.

Salon

A jak nazywają pokój, w którym znajduje się *settee/sofa*? Kanapę zwaną *settee* możemy znaleźć w pomieszczeniu zwanym *lounge* lub *living room*, a kanapę zwaną *sofa* w

sitting room lub *drawing room*. *Drawing room* (skrótowa wersja *withdrawing room*) kiedyś był jedynym „prawidłowym” terminem, ale wielu przedstawicieli klas wyższych uznało za trochę pretensjonalne i niemądre nazywanie tak, powiedzmy, niewielkiego pokoiku w zwyczajnym szeregowcu, zaakceptowano więc *sitting room*. Czasem można usłyszeć, jak ktoś z wyższej warstwy klasy średniej mówi *living room* (choć nie jest to dobrze widziane), jednakże tylko w średniej warstwie klasy średniej i niżej mówi się *lounge*. To słowo jest szczególnie przydatne, jeśli chce się wytropić snobów ze średniej warstwy klasy średniej, którzy usiłują uchodzić za wyższą warstwę klasy średniej - nawet jeśli nauczyli się już, że nie mówi się *pardon* i *toilet*, często nie są świadomi, że *lounge* to także grzech śmiertelny.

Deser

Podobnie jak „obiad”, słowo to także samo w sobie nie jest wskaźnikiem klasy, ale staje się nim, gdy jest źle używane. Klasy wyższe upierają się, że słodkie danie pod koniec posiłku nazywa się *pudding* - nigdy *sweet*, *afters* czy *dessert*, z których wszystkie są niedopuszczalne i degradujące społecznie. *Sweet* można używać swobodnie w znaczeniu przymiotnikowym „słodki”, natomiast jako rzeczownik oznacza wyrób cukierniczy, to, co Amerykanie nazywają *candy* (czyli cukierek) - i nic poza tym. Danie pod koniec posiłku to zawsze *pudding*, bez względu na to, z czego się składa: puddingiem będzie nawet kawałek ciasta czy sorbet cytrynowy. Pytanie „Kto chce *sweet*?” pod koniec posiłku natychmiast zakwalifikuje nas jako średnią warstwę klasy średniej lub niżej. *Afters* także uruchomi radar wykrywający klasę i przyczyni się do naszej społecznej degradacji. Niektórzy młodzi członkowie wyższej warstwy klasy średniej pod wpływem amerykańszczyzny zaczynają mówić *dessert* i dlatego jest to najmniej nieprzyzwoite słowo z tych trzech - i najmniej wiarygodny wskaźnik klasy. Może także wywołać zamieszanie, dla klas wyższych bowiem *dessert* tradycyjnie oznacza wybór świeżych owoców, podawanych na samym końcu posiłku zwanego *dinner*, po puddingu, spożywanych za pomocą noża i widelca.

Smart i common

Owe „siedem grzechów” to najbardziej ewidentne i wiarygodne wskaźniki klasy, ale nasze niezwykle czułe radary wyłapią także wiele innych słów. Jeśli chcemy mówić jak wyższe sfery, to przede wszystkim musimy przestać używać słowa *posh*, które oznacza „z wyższych sfer”; prawidłowym terminem używanym przez wyższe sfery jest *smart*, dosłownie „elegancki”. W kręgu klas wyższych można użyć słowa *posh*, ale tylko ironicznie, przybierając żartobliwy ton głosu, żeby zaznaczyć, że wiemy, że jest to słowo z niższych sfer.

Przeciwieństwem słowa *smart* jest używany przez wszystkich od średniej warstwy klasy średniej wżwyż przymiotnik *common* (pospolity) - snobistyczny eufemizm oznaczający

„z klasy robotniczej”. Ale uwaga: używanie tego terminu zbyt często świadczy niezbicie o kompleksach charakterystycznych dla średniej warstwy klasy średniej. Nieustanne nazywanie rzeczy i ludzi „pospolitymi” sprawia wrażenie, że sami za bardzo się przed tym bronimy i zbyt usilnie próbujemy zdystansować się od klas niższych. Tylko niepewni siebie zdradzają się w ten sposób ze swoim snobizmem. Lepszym wyjściem jest słowo *naff* jako termin mniej jednoznaczny, który może oznaczać to samo co *common*, czyli „pospolity”, ale także „kiczowaty, w złym guście”. Stał się ostatnio ogólnym wielofunkcyjnym wyrażeniem dezaprobaty i niechęci: nastolatki często używają słowa *naff* wymiennie ze słowami *uncool* (obciachowy, wieśniacki) i *mainstream* (konwencjonalny), które w ich języku są ulubionymi obelgami.

Dzieci i młodzież, które są *common*, nazywają swoich rodziców Mum i Dad, natomiast te, które są *smart*, mówią Mummy i Daddy (niektóre mówiły dawniej Ma i Pa, ale te słowa dzisiaj są uważane za staroświeckie). Mówiąc o swoich rodzicach, „pospolite” dzieci określają ich *my Mum* i *my Dad* (lub nawet *me Mum* i *me Dad*), natomiast dzieci z rodzin eleganckich mówią *my mother* i *my father*. Nie są to nieomyślne wskaźniki, ponieważ niektóre dzieci z klas wyższych mówią dziś Mum i Dad, a niektóre bardzo małe dzieci z rodzin robotniczych mogą mówić Mummy i Daddy; ale jeśli dziecko ma ponad dziesięć lat, no, na wszelki wypadek powiedzmy dwanaście, i wciąż mówi na swoją matkę Mummy, jest to dość wyraźny sygnał, że pochodzi z klasy wyższej. Dorośli, którzy wciąż mówią Mummy i Daddy, prawie na pewno należą do wyższej warstwy klasy średniej lub wyżej.

Matki nazywane Mum noszą torebki, na które mówią *handbag*; matki nazywane Mummy, po prostu *bag*. Mum stosuje *perfume*, Mummy nazywa je *scents*. Rodzice nazywani Mum i Dad, udając się na wyścigi konne, mówią o nich *horseracing*, eleganccy Mummy i Daddy idą na *racings*. Wybierając się na imprezę, pospolici obywatele mówią, że idą na *do*, średnia warstwa klasy średniej nazywa ją *function*, a sfery eleganckie po prostu *party*. Przekąski serwowane na *functions* klasy średniej nazywają się *refreshments*, natomiast górne warstwy społeczne na swoich *parties* mają *food and drink*. Niższa i średnia warstwa klasy średniej spożywają jedzenie w kolejnych *portions*; wyższa warstwa klasy średniej i wyżej dobierają sobie *helpings*. Pospolici ludzie zaczynają posiłek od dania zwanego *starter*, eleganccy od *first course* (choć to ostatnie jest kryterium mniej wiarygodnym).

Niższa i średnia warstwa klasy średniej mówią na swój dom *home* lub *property*, natomiast klasy wyższe nazywają go *house*. Domy ludzi pospolitych mają patio, a domy ludzi eleganckich - *terrace*. Przedstawiciele klasy robotniczej mówią *indoors*, mając na myśli „w domu”. Ta lista absolutnie nie jest wyczerpująca: klasa przenika wszystkie aspekty

angielskiego życia, dlatego w niemal każdym rozdziale tej książki znajdzie się jeszcze więcej werbalnych wskaźników klasowych - jak również dziesiątki sygnałów niewerbalnych.

Zaprzeczenie klasy

W gruncie rzeczy dziś jesteśmy tak samo świadomi podziałów klasowych jak dawniej, jednak w tych politycznie poprawnych czasach wielu z nas coraz bardziej odczuwa zakłopotanie z powodu owej świadomości i stara się, jak może, zaprzeczyć jej lub ją ukryć. Największy dyskomfort z tego powodu odczuwa klasa średnia, a najbardziej przeczulona jest (powodowana najlepszymi intencjami) wyższa warstwa klasy średniej. Czego to jej członkowie nie zrobią, żeby uniknąć nazwania kogoś czy czegoś „robotniczym”? Wymyślają uprzejme eufemizmy, jak „grupa o niższych dochodach”, „mniej uprzywilejowani”, „zwykli ludzie”, „warstwy mniej wykształcone”, „przeciętny, szary człowiek”, „czytelnicy prasy brukowej”, „pracownik fizyczny”, „szkoła państwowa”, „osiedle domów komunalnych”, „ludowy”. (Czasem, między sobą, używają eufemizmów mniej uprzejmych, jak „Sharon i Tracey”, „Kevin”, „Essex Man” i „Mondeo Man”).

Ta przesadnie taktowna wyższa warstwa klasy średniej może nawet starać się w ogóle unikać słowa „klasa”, ostrożnie mówiąc o czymś „środowisku”. Ja zawsze wtedy wyobrażam sobie postać wyłaniającą się ze sceny ulicznej Lowry’ego czy z portretu państwa z dworu Gainsborough lub Reynoldsa, zależnie od tego, o jakim „środowisku” tu mówimy. (To zawsze wynika jasno z kontekstu: „Cóż chcesz, biorąc pod uwagę, że to takie *środowisko*, trzeba być wyrozumiałym...” - to bardziej Lowry; „Wolimy, żeby Saskia i Fiona utrzymywały kontakty z dziewczętami z tego samego środowiska...” - Gainsborough/Reynolds).

Jednakże wszystkie te dyplomatyczne eufemizmy są całkiem niepotrzebne, ponieważ Anglicy o pochodzeniu robotniczym generalnie nie mają problemu z tym newralgicznym słowem i nie mają nic przeciwko nazywaniu ich klasą robotniczą. Także Anglicy z klasy wyższej przeważnie traktują kwestię klasy dość bezceremonialnie i rzeczowo. Nie chodzi o to, że te dwie klasy, najniższa i najwyższa, nie mają takiej świadomości klasowej jak te pośrodku; po prostu ludzie z grup krańcowych zwykle nie są tak podszyci niepokojem i zakompleksieni na tym punkcie. Również w wielu wypadkach ich świadomość klasowa jest wyraźnie mniej subtelna i złożona niż klasy średniej: zazwyczaj nie dostrzegają aż tylu warstw czy niuansów. Ich radar rozpoznaje w najlepszym razie trzy klasy: robotniczą, średnią i wyższą; a czasem tylko dwie, przy czym klasa robotnicza dzieli świat na „nas i wyższe sfery (*the posh*)”, a klasa wyższa widzi tylko „nas i plebs”.

Nancy Mitford jest tu dobrym przykładem, że swoim prostym podziałem społeczeństwa na „u” i „nieu”, który nie uwzględnia subtelnej gradacji między niższą, średnią

i wyższą warstwą klasy średniej, nie mówiąc już o mikroskopijnych niuansach odróżniających, powiedzmy, „pewnych siebie członków wyższej warstwy klasy średniej o ustalonej pozycji” od „zakompleksionych członków wyższej warstwy klasy średniej «z pogranicza»,,, bo te detale interesują już tylko udręczoną klasę średnią. Oraz wścibskich antropologów.

Językowe kody klasowe a angielskość

A więc co owe kody mówią nam o angielskości? We wszystkich kulturach istnieje hierarchia społeczna i sposoby sygnalizowania statusu społecznego; co więc, poza naszą być może rozdmuchaną świadomością podziałów klasowych, jest charakterystyczne w angielskim systemie klasowym i jego sygnałach?

Przede wszystkim kody językowe, które opisaliśmy, wskazują na to, że klasa w Anglii nie ma nic wspólnego z pieniędzmi i bardzo mało z zawodem. Najważniejsza jest mowa. Osoba z akcentem klasy wyższej, używająca typowego dla tej klasy słownictwa, rozpoznawana jest jako osoba z klasy wyższej, nawet jeśli dochody ma na granicy minimum socjalnego, wykonuje podejrzaną, niewymagającą kwalifikacji pracę i mieszka w zapuszczonym mieszkaniu komunalnym. Może nawet być bezrobotna, bezdomna i żyć w nędzy. Analogicznie, człowiek z wymową charakterystyczną dla klasy robotniczej, który na kanapę mówi *settee*, a na południowy posiłek *dinner*, utożsamiany jest z klasą robotniczą, nawet jeśli jest multimilionerem i mieszka w okazałej wiejskiej rezydencji. Są także inne sygnały klasy, takie jak gust dotyczący ubrań, mebli, wystroju wnętrza, samochodów, zwierząt domowych, książek, hobby, jedzenia i picia - jednak mowa zdradza klasę najprędzej i jest wskaźnikiem najbardziej wiarygodnym.

Znaczenie mowy w tym kontekście może wskazywać na jeszcze inną charakterystyczną cechę Anglików: nasze umiłowanie słów. Często nazywa się nas kulturą bardziej werbalną niż wizualną, mówi się, że jesteśmy o wiele bardziej znani ze swojej literatury niż sztuki, czy nawet muzyki. Nie jesteśmy także specjalnie „manualni” czy ekspresyjni fizycznie, nie mamy skłonności do dotykania i gestykulacji, polegając bardziej na komunikacji werbalnej niż niewerbalnej. Naszym ulubionym medium są słowa, więc chyba nic dziwnego, że to one są naszym głównym sposobem sygnalizowania i rozpoznawania statusu społecznego.

Ogromne znaczenie sygnałów językowych oraz nieistotność profesji i poziomu zamożności jako wskaźników klasy przypominają nam też, że nasza kultura nie jest merytokracją. Akcent i słownictwo świadczą o klasie, w której przyszło się na świat i zostało wychowanym, nie o tym, co osiągnęło się dzięki własnemu talentowi i wysiłkom. A

obojętnie, co osiągniemy, nasza pozycja na drabinie społecznej będzie zawsze rozpoznawalna dzięki naszemu sposobowi mówienia, chyba że mozolnie wyćwiczymy się w używaniu wymowy i słownictwa innej klasy.

Już sama ta złożoność zasad językowych świadczy o zawilej naturze angielskiego systemu klasowego - wszystkie te warstwy, wszystkie te drobne różnice; gra planszowa w awans społeczny. A zasada zaprzeczenia klasy sugeruje nam osobliwie angielskie przewrażliwienie na tym punkcie. Owo skrępowanie może być bardziej widoczne wśród klasy średniej, ale w jakimś stopniu jest to przypadłość większości z nas - chętnie udawalibyśmy, że różnice klasowe nie istnieją, lub nie są już dzisiaj ważne, albo przynajmniej, że my sami nie mamy żadnych uprzedzeń klasowych.

To zaś łączy się z kolejną typowo angielską cechą: hipokryzją. Nie twierdzę, że nasze zakłamanie i zaprzeczanie obsesji na punkcie klasy jest świadomie obliczone na wprowadzenie kogoś w błąd - to raczej kwestia oszukiwania samych siebie niż celowego nabierania innych; może coś w rodzaju zbiorowego autooszukiwania? Mam przeczucie, że ten wyraźnie angielski rodzaj hipokryzji pojawi się jeszcze, a nawet może się okazać jedną z „cech definiujących”, których szukamy.

Komórka - garść nowych zasad

Dziś prawie wszyscy w Anglii mają telefony komórkowe, ale ponieważ jest to wynalazek stosunkowo nowy, nie powstała jeszcze etykieta rządząca kwestiami, kiedy, jak i w jaki sposób go używać. Musimy wymyślać i testować te nowe zasady niejako „w praniu” - fascynujące jest obserwowanie tego procesu, a szczególnie ekscytujące dla badacza nauk społecznych, ponieważ nieczęsto ma się okazję do badania nowego zestawu niepisanych zasad społecznych w procesie ich formowania.

Na przykład: odkryłam, że większość Anglików, jeśli się ich o to zapyta, zgadza się, że głośna rozmowa na banalne tematy czy o sprawach domowych przez komórkę w pociągu jest niegrzeczna i świadczy o nieliczeniu się z innymi. A jednak wiele osób to robi, a współpasażerowie, mimo że wzdychają i wznoszą oczy ku niebu, bardzo rzadko występują otwarcie przeciw winowajcom - jako że to oznaczałoby złamanie innych tradycyjnych angielskich zasad oraz przewyciężenie własnych zahamowań w rozmowach z nieznanymi (przed robieniem scen czy ściąganiem na siebie uwagi). Winni, mimo częstych publicznych dyskusji na ten temat, wydają się nieświadomi efektów swego zachowania, podobnie jak ludzie, którzy dłubiąc w nosie czy drapiąc się pod pachami w swoich samochodach, wyraźnie zapominają, że nie są niewidzialni.

Jak zostanie rozwiązany ten pozorny impas? Są już pierwsze oznaki, że wyłaniają się nowe zasady dotyczące używania telefonów komórkowych w miejscach publicznych, i jest szansa, że głośne rozmowy pod hasłem „jestem w pociągu” czy komórki dzwoniące w kinach i teatrach z czasem staną się równie niedopuszczalne jak wpychanie się do kolejek, ale jeszcze nie można mieć co do tego pewności, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę zahamowania Anglików przed jawnym protestem. Niestosowne używanie telefonów komórkowych w pociągach i innych miejscach publicznych jest problemem społecznym, którego wszyscy jesteśmy dziś świadomi. Ale są też inne aspekty „rodzącej się” etykiety komórkowej, jeszcze bardziej niejasne i kontrowersyjne.

Nie uzgodniono na przykład dotychczas zasad etykiety na temat używania komórek w czasie spotkań biznesowych. Czy wyłączyć dyskretnie telefon przy wejściu na zebranie? Czy wziąć go ze sobą i zrobić przedstawienie, ostentacyjnie go wyłączając, w przypochlebny geście pod tytułem: „Zobacz, jak się z tobą liczę: wyłączam dla ciebie mój telefon”? A potem, czy położyć swój wyłączony telefon na stole, żeby przypominał o naszej uprzejmości i statusie naszego klienta czy kolegi? Jeśli zaś nie wyłączać, to trzymać go przy sobie czy zostawić w teczce? Czy odbierać rozmowy podczas spotkania? Moje wstępne obserwacje wskazują, że biznesmeni niższego szczebla zazwyczaj są mniej grzeczni, próbują

pokazywać swoją ważność, nie wyłączając komórki i odbierając telefony podczas spotkań, natomiast ci na wyższych stanowiskach kierowniczych, którzy nie muszą niczego udowadniać, zwykle bardziej liczą się z innymi.

A co z lunchem? Czy dopuszczalne jest ponowne włączenie telefonu w czasie roboczego lunchu? Czy musimy podać powód? Przeprosić? Tutaj znów moje wstępne obserwacje i rozmowy sugerują podobny model. Ludzie o niższym statusie, niepewni swojej pozycji, zwykle odbierają, a nawet sami dzwonią podczas roboczego lunchu - często przepraszając i usprawiedliwiając się, ale w tak zarozumiały sposób („Jestem taki zajęty i niezastąpiony”), że ich „przeprosiny” to w gruncie rzeczy ukryta przechwałka. Ich koledzy z wyższego szczebla (bez kompleksów) albo zostawiają telefony wyłączone, albo jeśli koniecznie muszą mieć je z jakiegoś powodu włączone, z zakłopotaniem przepraszają w szczyry, często autoironiczny sposób.

Istnieje wiele innych, dużo bardziej subtelnych sposobów wykorzystania telefonów komórkowych w kontekście społecznym. Czasem nie chodzi nawet wcale o rozmowy. Komórka może na przykład służyć jako oznaka statusu wśród rywalizujących nastolatków lub jako rekwizyt do popisów „moje jest lepsze” (substytut samochodu) wśród dorosłych mężczyzn, gdzie dyskusje na temat względnych zalet różnych marek, sieci i opcji zajmują miejsce bardziej tradycyjnych konwersacji na temat kół z obręczami z lekkich stopów, przyśpieszenia, mocy silnika itp.

Zauważyłam także, że wiele kobiet, które przychodzą same do kawiarni i innych miejsc publicznych, używa dziś komórki jako „bariery”, w zastępstwie tradycyjnej gazety czy czasopisma, żeby zasygnalizować swoją niedostępność i zaznaczyć osobiste „terytorium”. Komórka, nawet jeśli w danej chwili nie jest używana, położona na stole spełnia rolę skutecznego symbolicznego ochroniarza, zabezpieczenia przed niechcianym kontaktem towarzyskim: kobiety dotykają telefonu lub podnoszą go, gdy zbliża się potencjalny „intruz”. Jedna z kobiet wyjaśniła: „Po prostu czujesz się pewniej, gdy ją masz - na stoliku, pod ręką... Właściwie jest lepsza niż gazeta, bo są w niej prawdziwi ludzie - to znaczy, prawdziwi ludzie, do których możesz zadzwonić lub wysłać SMS, jak będziesz chciała. Czujesz się jakoś bezpieczniej”. Poczucie, że sieć towarzyskiego wsparcia w postaci naszych przyjaciół i rodziny jest w pewien sposób „w środku” telefonu, sprawia, że nawet dotykanie lub trzymanie telefonu w ręce daje nam wrażenie ochrony - i jest sygnałem dla innych, że nie jesteśmy same i bezbronne.

Ten przykład wskazuje na ważniejsze funkcje społeczne telefonu komórkowego. Pisałam o tej kwestii szczegółowo gdzie indziej¹², ale warto także wyjaśnić to krótko tutaj.

Uważam, że komórka stała się współczesnym odpowiednikiem opłotków lub wiejskiej drogi. Ultranowoczesna technologia telefonów komórkowych pozwala nam na powrót do bardziej naturalnych i ludzkich wzorców komunikacyjnych z czasów przedindustrialnych, gdy mieszkaliśmy w małych, stabilnych społecznościach i często braliśmy udział w „dialogach integracyjnych” z mocno zżytą siecią społeczną rodziny i przyjaciół. W pędzącym współczesnym świecie zarówno intensywność, jak i jakość komunikacji z naszą siecią społeczną znacznie się pogorszyła. Większość z nas już nie angażuje się w przytulne pogaduszki przy płocie ogródka. Często nie wiemy nawet, jak nazywają się nasi sąsiedzi, a komunikacja jest ograniczona do przelotnego, lekko nieśmiałego skinienia głową, jeśli w ogóle. Krewni i znajomi są porzucani po świecie, a nawet jeśli mieszkają niedaleko, często jesteśmy zbyt zajęci albo zbyt zmęczeni, żeby ich odwiedzić. Ciągłe jesteśmy w ruchu, większość czasu spędzając w drodze do pracy i z pracy - wśród nieznanym w pociągach i autobusach, albo sami i odizolowani we własnych samochodach. Te czynniki są szczególnie kłopotliwe dla Anglików, ponieważ jesteśmy z reguły bardziej powściągliwi i zahamowani towarzysko niż inne kultury; nie rozmawiamy z nieznanymi i nie zawieramy znajomości szybko i łatwo.

Telefoniczne linie naziemne pozwalają nam się ze sobą porozumiewać, ale nie tak często, swobodnie i spontanicznie jak w tradycyjnych niewielkich społecznościach, do życia w których przystosowała nas ewolucja i w jakich większość ludzi żyła w czasach przedindustrialnych. Telefony komórkowe - zwłaszcza możliwość wysyłania krótkich, częstych, tanich wiadomości tekstowych - przywracają nam poczucie łączności i wspólnoty oraz oferują antidotum na alienację i stresy współczesnego miejskiego życia. Są swego rodzaju „towarzystwą linią bezpieczeństwa” w podzielonym i izolującym świecie.

Wyobraźmy sobie typową, krótką rozmowę na wiejskiej drodze: „Witaj, co tam u ciebie?”. „W porządku, idę do sklepu - a jak twoja mama?”. „Dzięki, już lepiej”. „O, to dobrze, pozdrów ją ode mnie. To na razie!”. Przypomina mi to „dialekt SMSowy” - komunikat jest skąpy - życzliwe pozdrowienie, strzęp wiadomości - ale zostaje nawiązane osobiste połączenie, ludzie przypominają sobie, że nie są samotni. Do czasu pojawienia się wiadomości tekstowych w komórkach wielu z nas musiało żyć bez tej drobnej, ale z punktu widzenia psychologicznego i społecznego bardzo ważnej formy komunikacji.

Jednakże ta nowa forma wymaga nowego zestawu niepisanych zasad, a negocjacje w sprawie ich ustalenia powodują pewne napięcia i konflikty - szczególnie kwestia, czy wiadomości tekstowe to odpowiednie medium dla pewnego typu rozmów. Podrywanie i flirtowanie przez SMS jest akceptowane, nawet mile widziane, ale niektóre kobiety narzekają,

że mężczyźni używają SMSów, żeby uniknąć rozmowy. Zerwanie z kimś przez SMS jest powszechnie uważane za tchórzostwo i rzecz absolutnie niedopuszczalną, ale ta zasada jeszcze nie okrzepła na tyle, żeby powstrzymać niektórych przed kończeniem związku w ten sposób.

Mam nadzieję zdobyć fundusze na wykonanie porządnych badań nad etykietą komórkową, na monitorowanie wszystkich tych nowo powstających zasad, jak dojrzewają i stają się niepisanymi prawami, więc może będę w stanie dostarczyć uaktualnionych informacji w przyszłych wydaniach tej książki. A na razie mam nadzieję, że zidentyfikowanie bardziej ogólnych, stałych „zasad angielskości” pomoże nam przewidzieć, przynajmniej do pewnego stopnia, najbardziej prawdopodobny rozwój tego procesu.

Żeby odkryć te cechy definiujące, najpierw musimy zbadać zasady o wiele bardziej stabilnej, okrzepłej formy angielskiej komunikacji: rozmów w pubie.

Język pubu

Pub to zasadniczy element angielskiego życia i kultury. Może to brzmieć jak zdanie z banalnego przewodnika, ale mówię szczerze: znaczenia pubu w kulturze angielskiej nie sposób przecenić. Ponad trzy czwarte dorosłych Anglików chodzi do pubów, a ponad jedna trzecia to stali bywalcy, którzy odwiedzają pub co najmniej raz w tygodniu. Dla wielu jest on drugim domem. Pub także przedstawia idealną „próbę reprezentatywną” angielskiej populacji dla każdego badacza nauk społecznych, ponieważ do pubów uczęszczają ludzie w różnym wieku, z różnych klas społecznych, o różnym poziomie wykształcenia i wykonujący wszelkie możliwe zawody. Nie da się nawet *próbować* zrozumieć angielskości bez spędzenia sporej ilości czasu w pubach. Można też się sporo o niej nauczyć, w ogóle z pubu nie wychodząc.

Mówię „sporo”, a nie wszystko, bo pub - jak wszystkie miejsca, gdzie się pije, we wszystkich kulturach - jest otoczeniem wyjątkowym, z własnymi zasadami i dynamiką społeczną. Moi koledzy z SIRC i ja przeprowadziliśmy dość szczegółowe międzykulturowe badania na temat miejsc, gdzie pije się alkohol¹³ (no, ktoś musiał), które wykazały, że picie jest, we wszystkich społeczeństwach, czynnością w zasadzie społeczną, i że większość kultur posiada specjalne, wydzielone miejsca do wspólnego picia. Nasze badania ujawniły trzy ważne międzykulturowe podobieństwa, czy też „aksjomaty”, jeśli chodzi o miejsca, w których się pije:

We wszystkich kulturach miejsce takie jest środowiskiem specyficznym, odrębnym światem społecznym z własnymi zwyczajami i systemem wartości.

Miejsca te zazwyczaj są środowiskami integrującymi towarzysko, egalitarnymi, lub przynajmniej takimi, w których różnice w statusie opierają się na innych kryteriach niż te obowiązujące w świecie zewnętrznym.

Główną funkcją takiego miejsca jest ułatwienie zacieśniania więzi towarzyskich.

A więc, chociaż pub jest w dużym stopniu częścią angielskiej kultury, ma także swój własny „mikroklimat społeczny”¹⁴. Jak wszystkie miejsca, w których pije się alkohol, jest pod pewnymi względami strefą „progową”, stanem niejednoznacznym, na krawędzi, na granicy, w którym człowiek doświadcza pewnej „remisji kulturowej”, przez co rozumiem zorganizowane, chwilowe rozluźnienie czy zawieszenie tradycyjnych społecznych ograniczeń (znane również jako „usankcjonowana dewiacja” lub „efekt przerwy w grze”). To częściowo z powodu tego zastrzeżenia badanie zasad rozmów w pubie powinno powiedzieć nam sporo o angielskości.

Angielskie rozmowy w pubach

Towarzystwo

Pierwsza zasada angielskich rozmów w pubach mówi nam, dlaczego puby są tak ważną częścią naszej kultury. Jest to zasada towarzyskości: lada barowa w pubie to jedno z bardzo niewielu miejsc w Anglii, gdzie dopuszczalne pod względem towarzyskim jest nawiązanie rozmowy z kimś zupełnie obcym. Przy barze tradycyjne zasady prywatności i powściągliwości zostają zawieszane, następuje tymczasowa „remisja” naszych konwencjonalnych społecznych zahamowań, i przyjacielska pogawędka z nieznanymi jest uważana za zachowanie całkiem stosowne i normalne.

Cudzoziemcom z reguły trudno jest zaakceptować fakt, że w angielskich pubach nie ma obsługi kelnerskiej. Faktycznie, latem jednym z najżałośniejszych widoków w Anglii (albo najzabawniejszych, zależnie od naszego poczucia humoru) jest grupa spragnionych turystów, którzy cierpliwie siedzą przy stoliku w pubie i czekają, aż ktoś przyjdzie i weźmie od nich zamówienie.

Moja pierwsza reakcja na ten widok była bezdusznie naukowa: wyjęłam stoper i zaczęłam mierzyć czas. Interesowało mnie, jak długo zajmie turystom różnych narodowości zorientowanie się, że nie ma obsługi kelnerskiej. (Gwoli ścisłości, najszybszy czas - dwie minuty dwadzieścia cztery sekundy - należał do bystrej pary Amerykanów; najdłuższy - czterdzieści pięć minut i trzynaście sekund - do grupy młodych Włochów, chociaż, prawdę mówiąc, byli oni pochłonięci ożywioną dyskusją o futbolu i nie wydawali się zbytnio zaniepokojeni brakiem obsługi. Para Francuzów wymaszerowała z pubu, mruczając pod nosem gorzkie uwagi o marnej obsłudze i w ogóle o *les Anglais*, po dwudziestu czterech minutach czekania). Gdy już jednak zaspokoiliam ciekawość naukową, ogarnęło mnie współczucie, do tego stopnia, że napisałam nawet broszurkę na temat etykiety pubu angielskiego dla turystów. Badania terenowe do tej książeczki - dziewięciomiesięczna wędrówka krajoznawcza od pubu do pubu - zaowocowały również użytecznym materiałem na temat angielskości.

W książeczce na temat etykiety pubów wyjaśniam, że zasada towarzyskości ma zastosowanie wyłącznie przy barze, dlatego też fakt, że trzeba podejść do baru, żeby kupić drinki, daje Anglikom cenną okazję do kontaktów towarzyskich. Zwracam uwagę, że obsługa kelnerska odizolowałaby ludzi przy osobnych stolikach. Może to nie problem dla bardziej z natury otwartych i towarzyskich nacji, których przedstawiciele nie potrzebują pomocy, żeby nawiązać znajomość z kimś siedzącym obok, ale, jak argumentuję dość defensywnie, Anglicy są nieco powściągliwi i zahamowani, każdy więc rodzaj wsparcia jest na wagę złota. O wiele łatwiej jest nam się wciągnąć niezobowiązująco w „przypadkową” pogawędkę, czekając przy barze, niż z premedytacją wtrącić się do rozmowy przy sąsiednim stoliku. System bez obsługi jest zaprojektowany tak, by wspierać towarzyskość.

Ale bynajmniej nie spontaniczną czy rozbuchaną. „Remisja kulturowa” to nie tylko wymyślny naukowy zwrot na „wyluzowanie”. Nie oznacza, że wyzbywamy się wszystkich zahamowań i idziemy na żywioł. Oznacza całkiem konkretne, zorganizowane, skonwencjonalizowane rozluźnienie tradycyjnych konwencji towarzyskich. W angielskich pubach zawieszenie normalnych zasad prywatności jest ograniczone do lady barowej, a w niektórych wypadkach, w mniejszym stopniu, do stolików usytuowanych bardzo blisko baru (stojące najdalej od niego są powszechnie uważane za najbardziej „prywatne”). Odkryłam kilka innych wyjątków: zasada towarzyskości działa też w bardziej ograniczonym stopniu (i podlega dość surowym zasadom pierwszego kontaktu) wokół tarczy do gry w rzutki i stołu bilardowego, ale odnosi się tylko do osób *stojących* blisko graczy; stoliki w sąsiedztwie tych gier są wciąż „prywatne”.

Anglicy potrzebują ułatwienia towarzyskiego w postaci „usankcjonowanej dewiacji” przy barze, ale mimo wszystko cenimy sobie swoją prywatność. Podział pubu na strefę „prywatną” i „publiczną” jest idealnym, i bardzo angielskim, kompromisem: pozwala nam na łamanie zasad, ale gwarantuje, że robimy to w sposób bezpiecznie uporządkowany i regulowany zasadami.

Niewidzialna kolejka

Zanim w ogóle zaczniemy zgłębiać skomplikowaną etykietę rozmów w pubie, potykamy się o kolejną zasadę zachowania. Wymaga ona krótkiej dygresji od naszego głównego tematu, czyli zasad konwersacji, ale pomoże nam udowodnić (w prawidłowym znaczeniu słowa „przetestować, sprawdzić”) jedną z „zasad angielskości”. Chodzi o stanie w kolejce. Bar w pubie jest jedynym miejscem w Anglii, gdzie wszystko sprzedaje się bez formowania kolejki. Wielu komentatorów kultury angielskiej zauważa, że stanie w ogonku jest niemal narodowym hobby Anglików, którzy odruchowo ustawiają się w uporządkowane kolejki na przystankach autobusowych, przy kasach sklepowych, budkach z lodami, wejściach, wyjściach, windach - a także, według relacji niektórych zdeorientowanych turystów, czasem na pustkowiu, bez wyraźnego powodu.

Według George’a Mikesa: „Anglik, nawet gdy jest sam, ustawia się w porządną jednoosobową kolejkę”. Gdy przeczytałam ten komentarz po raz pierwszy, uznałam, że to zabawna przesada, ale potem zaczęłam obserwować ludzi uważniej i przekonałam się, że to prawda, i co więcej, że sama też to robię. Gdy czekam samotnie na autobus lub na taksówkę, nie wążęsam się tu i tam bez celu po przystanku, jak ludzie w innych krajach - ustawiam się dokładnie pod znakiem, z twarzą zwróconą w odpowiednim kierunku, dokładnie tak, jakbym stała na czele kolejki. Ustawiam się w porządną jednoosobową kolejkę. Jeśli jesteś

Anglikiem, prawdopodobnie postępujesz tak samo.

Jednakże w przybytkach, gdzie pija się alkohol, wcale nie tworzymy porządných kolejek: gromadzimy się w nieuporządkowany sposób wzdłuż lady barowej. Najpierw uderzyło mnie to jako coś przeciwnego wszelkim angielskim instynktom, zasadom i zwyczajom, aż uświadomiłam sobie, że tak naprawdę tam jest kolejka, choć niewidzialna, i że zarówno barmani, jak i klienci są świadomi pozycji każdej osoby w tej kolejce. Każdy wie, kto jest następny: osoba, która dotarła do lady przed tobą, będzie obsłużona przed tobą, wszelkie ewidentne próby wymuszenia obsługi poza kolejką zostaną przez barmanów zignorowane, a pozostali klienci będą na nie patrzeć bardzo krzywym okiem. Innymi słowy, zostaną one potraktowane jako wpychanie się do kolejki. System nie jest niezawodny, jednak angielscy barmani wykazują niezwykle zdolności, jeśli chodzi o rozpoznawanie, kto jest następny w niewidzialnej kolejce. Lada barowa jest „wyjątkiem potwierdzającym regułę”, jeśli chodzi o angielskie kolejki: jest to tylko pozorny wyjątek - oraz kolejny przykład uporządkowanego charakteru angielskiego nieuporządkowania.

Pantomima

Zasady angielskich rozmów w pubie regulują zarówno komunikację werbalną, jak i niewerbalną - właściwie to niektóre z nich wręcz zakazują używania słów, na przykład zasada pantomimy. Barmani starają się, jak mogą, żeby zagwarantować wszystkim obsługę w prawidłowej kolejności, mimo to należy przyciągnąć ich uwagę i uświadomić im, że czekamy, by nas obsłużono. Istnieje jednak surowa etykieta przyciągania uwagi barmanów: należy to robić bez słów, bez wydawania żadnych dźwięków i bez uciekania się do impertynencji wyraźnych gestów. (Tak, znowu jesteśmy w Krainie Po Drugiej Stronie Lustra. Prawda o angielskiej etykiecie jest naprawdę dziwniejsza niż najdziwniejsza fikcja).

Zalecane podejście najlepiej określić jako coś w rodzaju subtelnej pantomimy - nie takiej jak w teatrze na Gwiazdkę, bardziej takiej jak w filmach Bergmana, gdzie jedno uniesienie brwi jest niezwykle wymowne. Celem jest nawiązanie kontaktu wzrokowego z barmanem. Jednak wołanie go jest zabronione; równie źle widziane są prawie wszystkie inne dobrze znane sposoby zwracania uwagi, jak stukanie monetą w ladę, strzelanie palcami czy machanie ręką.

Można dać znak obsłudze, że się czeka, trzymając w dłoni pieniądze lub pustą szklankę. Zasada pantomimy zezwala na przechylenie pustej szklanki albo na obracanie jej powoli w kółko (niektórzy wytrawni bywalcy pubów mówili mi, że to oznacza upływ czasu). Tutaj etykieta jest przerażająco precyzyjna: wolno, na przykład, oprzeć na barze łokieć, z pieniędzmi albo pustą szklanką w wyciągniętej dłoni, ale już nie podnieść całe ramię i

wymachiwać banknotami czy szklanką.

Zasada pantomimy wymaga przyjęcia wyczekującego, pełnego nadziei, nawet nieco zatroskanego wyrazu twarzy. Jeśli klient wygląda na zbyt zadowolonego, obsługa może założyć, że już jest obsługiwany. Ci, którzy czekają na obsłużenie, muszą pozostawać czujni i przez cały czas obserwować barmanów. Gdy już zostanie nawiązany kontakt wzrokowy, szybki ruch brwi, czasem z towarzyszeniem lekkiego uniesienia podbródka i pełnego nadziei uśmiechu, daje znać obsłudze, że czekamy. Obsługa odpowiada na te pantomimiczne sygnały uśmiechem lub skinieniem głowy, uniesieniem palca lub dłoni, i czasem podobnym ruchem brwi. Ten kod oznacza: „Widzę, że czekasz, i obsłużę cię, najszybciej jak się da”.

Anglicy wykonują tę pantomimę w odpowiedniej kolejności instynktownie, nieświadomi, że przestrzegają jakiejś sztywnej etykiety, i nigdy nie kwestionują tych nadzwyczajnych utrudnień (nie mówić, nie machać, nie wydawać dźwięków, być non stop wyczulonym na subtelne niewerbalne sygnały), narzucanych przez wspomnianą zasadę. Cudzoziemców pantomima z unoszeniem brwi zbija z tropu - sceptyczni turyści często mówią mi, że nie pojmują, jak Anglikom w ogóle udaje się kupić drinka - jest ona jednak zaskakująco skuteczna. Każdy zostaje obsłużony, zazwyczaj w odpowiedniej kolejności i bez zbędnego zamieszania, hałasu czy sporów.

Prowadzenie badań nad zasadą pantomimy (i innymi niepisаныmi zasadami zachowania w pubie) było dla mnie samej pewnego rodzaju testem, na ile jestem zdolna stanąć obok moich rodaków i obserwować ich z dystansu, jak obiektywny naukowiec. Jako Angielka i bywalczyni pubów, zawsze wykonywałam ten rytuał automatycznie, jak wszyscy inni, nigdy nie kwestionując ani nawet nie zauważając jego dziwnych i skomplikowanych zasad. Ale żeby napisać książkę o pubowej etykiecie, musiałam na siłę stać się „profesjonalną cudzoziemką”, nawet w moim własnym lokalnym pubie. Jest to całkiem interesujące (choć lekko niepokojące) ćwiczenie - oczyścić umysł ze wszystkiego, co zwykle uznaje się za naturalne, po czym analizować, rozkładać na czynniki i kwestionować każdy szczegół rutynowej procedury, która jest niemal tak swojska, bezmyślna i mechaniczna jak mycie zębów. Gdy ukazała się moja broszurka o etykiecie pubów, niektórzy angielscy czytelnicy mówili mi, że czytanie o rezultatach tego ćwiczenia było równie niepokojące.

Wyjątek od zasady pantomimy

Istnieje jeden ważny wyjątek od zasady pantomimy i jak zwykle jest to wyjątek rządzony regułami. Czekając na obsłużenie przy barze w pubie, można usłyszeć, jak ktoś woła do barmanów: „Hej, jest jakaś szansa, że dostanę mojego cholernego drinka jeszcze w tym tysiącleciu?”, albo: „Ruszcie się, tkwią tutaj od zeszłego czwartku!”, lub też popełnia

inne wykroczenia od zasady pantomimy. Radzimy ich nie naśladować: odzywać się w ten sposób mają prawo wyłącznie stali bywalcy danego pubu, te niegrzeczne uwagi są robione w kontekście specjalnej etykiety, która reguluje stosunki między obsługą a stałymi klientami.

„Proszę” i „dziękuję”

Natomiast zasady rządzące zamawianiem drinków odnoszą się do wszystkich. Po pierwsze, w Anglii jest taki zwyczaj, że z całej grupy podchodzi do baru jeden jej członek (lub co najwyżej dwóch), żeby zamówić drinki dla pozostałych, i ten jeden płaci za zamówienie. (Tej zasady nie wymyślono tylko po to, żeby ułatwić życie obsłudze albo żeby uniknąć tego, czego Anglicy tak nie znoszą, „zamieszania”. Jest ona powiązana z innym zestawem zasad: etykietą stawiania kolejek, o której będzie mowa później). Po drugie, prawidłowym sposobem zamawiania piwa jest: *A pint of bitter* (lub *lager*), *please* (Proszę duże ciemne/jasne). W przypadku małego piwa (*halfpint*), zwykle skraca się to do *Half a bitter* (lub *lager*), *please*” (Małe ciemne/jasne, proszę).

„Proszę” jest bardzo ważne: cudzoziemcom lub nowicjuszom wybacza się pomyłki w pozostałych elementach zamówienia, ale opuszczenie słowa „proszę” to poważne wykroczenie. Bardzo ważne jest też pamiętanie o „dziękuję” (lub „dzięki”, lub w najgorszym wypadku przynajmniej o jego odpowiedniku niewerbalnym, jak kontakt wzrokowy, skinienie głową i uśmiech), gdy dostaniemy już swoje drinki, i jeszcze raz, gdy wydadzą nam resztę.

Ta zasada ma zastosowanie nie tylko w pubach, ale przy zamawianiu lub kupowaniu czegokolwiek, w całej Anglii: w sklepach, restauracjach, pociągach, autobusach i hotelach, obsługa oczekuje uprzejmego traktowania, czyli mówienia proszę i dziękuję. Uprzejmość jest obustronna: barman czy ekspedient powie: „Cztery pięćdziesiąt, proszę” i zazwyczaj „dziękuję” (lub coś podobnego), gdy wręczymy pieniądze. Ogólna zasada jest taka, że każda prośba (czy to ze strony obsługi, czy klienta) musi kończyć się słowem *please*, a każde spełnienie prośby (jak wyżej) wymaga *thank you*.

Zgłębiając tajniki angielskości, pilnie zliczałam wszystkie „proszę” i „dziękuję” podczas każdego zakupu, i odkryłam, że na przykład typowa transakcja w kiosku z gazetami lub pobliskim sklepiku (taka jak, powiedzmy, moje tradycyjne zakupy czekoladowego batonika, gazety i paczki papierosów) zazwyczaj zawiera dwa „proszę” i trzy „dziękuję” (choć na „dziękuję” nie ma limitu i często zdarzało mi się naliczyć pięć). Prosty zakup drinka i paczki chipsów w pubie także zazwyczaj wymaga dwóch „proszę” i trzech „dziękuję”.

Choć Anglia jest społeczeństwem o wysokiej świadomości podziałów klasowych, owe zasady uprzejmości dowodzą, że nasza kultura jest również pod wieloma względami niezwykle egalitarna - lub przynajmniej, że nie wypada zwracać uwagi na różnice w statusie.

Choć personel obsługujący często pochodzi z niższej klasy społecznej niż klienci (a językowe wskaźniki klasy gwarantują, że jeśli tak jest, obie strony są tego świadome), w ich postawie rzuca się w oczy brak służalczości, a niepisane zasady wymagają, by traktować ich grzecznie i z szacunkiem. Jak wszystkie zasady, także i te są czasem łamane, ale gdy tak się dzieje, jest to zauważane i źle odbierane przez innych.

„I jeden dla pana?”. Uprzejmy egalitaryzm

Odkryłam, że w specyficznym społecznym mikroklimacie pubu zasady egalitarnej uprzejmości są jeszcze bardziej skomplikowane i jeszcze surowiej się ich przestrzega. Na przykład, nie ma zwyczaju dawania napiwków właścicielowi pubu lub obsługującym nas barmanom. Zamiast tego, zazwyczaj kupuje się im drinka. Danie napiwku barmanowi byłoby niegrzeczną aluzją do jego „służebnej” roli, gdy natomiast oferujemy drinka, traktujemy go jak równego sobie. Zasady mówiące, w jaki sposób proponować takie drinki, odzwierciedlają zarówno uprzejmy egalitaryzm, jak i typowo angielskie przewrażliwienie na punkcie pieniędzy. Etykieta zaleca, by pod koniec składania zamówienia zwrócić się do barmana: „I jeden dla pana?” lub: „Napije się pan?”. Propozycja musi być wyraźnie sformułowana jak pytanie, nie polecenie, i należy ją zrobić dyskretnie, nie wykrzykiwać, niestosownie manifestując naszą hojność.

Nawet jeśli nie zamawia się drinków, dopuszczalne jest zapytanie barmana lub właściciela pubu: „Napije się pan?”, choć o wiele bardziej preferuje się wersję: „I jeden dla pana?”, które sugeruje, że klient i barman napiją się razem, że barman jest ujęty w „kolejce”. Zauważyłam, że Anglicy mają też tendencję do unikania słowa „kupować”. Pytanie „Mogę panu kupić drinka?” byłoby teoretycznie dopuszczalne, ale w praktyce słyszy się je rzadko, ponieważ zawiera ono sugestię, że w grę wchodzi pieniądze. Anglicy świetnie wiedzą, że w grę wchodzi pieniądze, ale nie lubią zwracać na ten fakt publicznej uwagi. Wiemy, że właściciel pubu i jego podwładni świadczą nam usługę w zamian za pieniądze - i właściwie rytuał „I jeden dla pana?” jest nieco zawilim sposobem wręczenia im napiwku - byłoby jednak w złym guście podkreślać aspekty pieniężne tej wzajemnej relacji.

A obsługa baru odpowiada tym samym. Jeśli propozycja „I jeden dla pana?” zostanie przyjęta, zgodnie ze zwyczajem barman mówi: „Dzięki, wezmę małe (albo coś innego)”, i dodaje cenę swego wybranego drinka do ogólnego kosztu zamówienia. Następnie wyraźnie podaje nową cenę ogólną: „Pięć dwadzieścia, proszę” - w ten okrężny sposób dając nam znać, za ile wybrał sobie drink, który mu właśnie postawiliśmy, bez podawania ceny (która i tak nie będzie duża, bo niepisane reguły wymagają, żeby wybierali drinki stosunkowo niedrogo). Przez podanie zaktualizowanej ceny, również w subtelny i okrężny sposób obsługa

uświadamia klientowi swój wstrzemięźliwy wybór napoju.

To, że wszyscy rozumieją, iż nie jest to napiwek, ale zaproszenie do „wspólnego” picia z klientem, widać też w zachowaniu obsługi baru przy konsumpcji tego drinka. Zawsze unoszą kufel/kieliszek w kierunku klienta i mówią „Zdrowie!” albo „Dzięki!”, co jest normalną praktyką wśród znajomych, po otrzymaniu drinka w ramach „kolejki”. Gdy w barze jest wielki ruch, obsługa może nie mieć czasu, żeby sobie nalać i wypić drinka od razu. W tych okolicznościach dopuszcza się, żeby obsługa przyjęła propozycję „I jeden dla pana?”, dodała cenę drinka do zamówienia klienta i cieszyła się swoim drinkiem później, gdy bar jest mniej zatłoczony. Jednakże nalewając sobie tego drinka, nawet kilka godzin później, członek obsługi dołoży starań, by złapać wzrok danego klienta i unieść szklankę w geście wdzięczności, ze skinieniem głowy i uśmiechem - i zwrotem „Zdrowie!”, jeśli klient znajduje się w zasięgu słuchu.

Można by się tu spierać, że to jednostronne „współbiesiadowanie” - dawanie bez otrzymywania czegokolwiek w zamian - choć bardziej egalitarne niż konwencjonalne napiwki, jest mimo wszystko sygnałem dominacji. Moglibyśmy rozważyć ten argument, gdyby nie to, że gest ten jest często odwzajemniany przez właściciela pubu i barmanów, którzy zwykle nie pozwolą, żeby klient, zwłaszcza stały, kupował im wiele drinków bez próby rewanżu. W ostatecznym rozrachunku mimo wszystko pozostanie pewna asymetria, ale takich rozrachunków się nie dokonuje, i nawet okazjonalny rewanż ze strony właściciela pubu lub obsługi służy podtrzymaniu wrażenia przyjacielskiej wymiany między równymi sobie.

Dla wielu cudzoziemców rytuał „I jeden dla pana?” wydaje się niepotrzebnie ogłędną i skomplikowaną drogą dawania napiwku - gestem realizowanym prawie wszędzie indziej na świecie po prostu przez wręczenie kilku monet. Skonsternowany Amerykanin, któremu wyjaśniałam tę zasadę, wyraził niedowierzanie co do „iście bizantyjskiego” charakteru etykiety angielskiego pubu, a Francuz bez ogródek skwitował całą procedurę jako „typowo angielską hipokryzję”.

Chociaż inni cudzoziemcy mówili mi, że uważają nasze zagmatwane uprzejmości za czarujące, mimo że trochę dziwne, muszę przyznać, że te dwa przykłady krytyki są zasadne. Angielskie zasady uprzejmości niewątpliwie są dość skomplikowane i w swoich zawiłych próbach zaprzeczenia lub ukrycia różnic w statusie bezsprzecznie pełne hipokryzji.

Ale z drugiej strony, przecież uprzejmość w ogóle jest formą hipokryzji: niemal z definicji zawiera ona pewien fałsz. Socjolingwiści Brown i Levinson twierdzą, że uprzejmość, „zakładając z góry pewien potencjał agresji między stronami, stara się je rozbroić i umożliwić ich wzajemną komunikację”. Jeremy Paxman w kontekście dyskusji na temat agresji

zauważa, że wygląda na to, iż nasze surowe etykiety i kodeksy manier „wymyślili Anglicy, żeby bronić się sami przed sobą”.

Jesteśmy, prawdopodobnie bardziej niż inne kultury, głęboko świadomi różnic klasowych i różnic w statusie. George Orwell słusznie opisywał Anglię jako „najbardziej opanowany przez klasę kraj pod słońcem”. Nasze pokrętne zasady i regulaminy uprzejmego egalitaryzmu to kamuflaż, misterna farsa, ciężki zbiorowy przypadek tego, co psychoterapeuci nazwaliby „zaprzeczaniem”. Nasz uprzejmy egalitaryzm nie jest wyrazem autentycznych relacji społecznych, podobnie jak uprzejmy uśmiech rzadko jest demonstracją autentycznej przyjemności, czy uprzejme skinienie głowy sygnałem prawdziwej zgody. Okraszanie wszystkich wypowiedzi słowem „proszę” udaje, że rozkazy i polecenia to prośby; nasze ciągłe dziękowanie podtrzymuje iluzję serdecznej równości; rytuał „I jeden dla pana?” polega na niezwykłym akcie wspólnego samooszukiwania, zgodnie z którym wszyscy zgadzamy się udawać, że kupno drinków przy barze nie ma nic wspólnego z czymś tak wulgarnym jak pieniądze ani tak poniżającym jak „służenie”.

Hipokryzja? Z jednej strony oczywiście tak: nasza uprzejmość to zwykła fikcja, pozory, symulacja - sztuczna fasada harmonii i równości, przykrywająca całkiem inną rzeczywistość społeczną. Ale w moim rozumieniu termin „hipokryzja” sugeruje świadome, celowe oszukiwanie innych, natomiast angielski uprzejmy egalitaryzm wydaje się polegać na zbiorowym, nawet zespołowym oszukiwaniu samych siebie. Nasza uprzejmość ewidentnie nie jest odbiciem szczerych, płynących z głębi serca przekonań, ale nie jest też cyniczną, wykalkulowaną próbą oszustwa. I może rzeczywiście potrzebny nam jest ten uprzejmy egalitaryzm, żeby nas bronić przed nami samymi - żeby nie dopuścić, by nasza dotkliwa świadomość różnic klasowych wyrażała się w sposób mniej dyplomatyczny.

Język stałych klientów

Wspomniałam wyżej, w kontekście zasady pantomimy, że istnieje specjalna etykieta regulująca zachowanie i język stałych klientów danego pubu, która prócz innych przywilejów, pozwala im na łamanie zasady pantomimy. Nie pozwala im ona jednak na wpychanie się do niewidzialnej kolejki - ponieważ to naruszyłoby generalną angielską zasadę stania w kolejce, która sama w sobie podlega nadrzędnej zasadzie angielskości dotyczącej „bycia fair”. Warto baczniej przyjrzeć się zasadom języka stałych bywalców, ponieważ reprezentują one „skonwencjonalizowane odchylenie od konwencji”, co powinno dostarczyć nam dalszych wskazówek pomocnych w poszukiwaniu cech definiujących angielskość.

Powitanie

Gdy stały klient wchodzi do pubu, często wita go serdeczny chórek innych stałych

bywalców, właściciela pubu i obsługi. Właściciele i barmani zawsze zwracają się do stałych klientów po imieniu, a stali klienci zawsze zwracają się po imieniu do właściciela, barmanów i do siebie nawzajem. Zauważyłam nawet, że w pubie imion używa się częściej, niż potrzeba, jakby w celu podkreślenia poufałości i osobistych relacji między członkami tego niewielkiego „plemienia”. Uderza to zwłaszcza w kontraście z głównym nurtem angielskich kodów konwersacyjnych, zgodnie z którym imion używa się znacznie rzadziej niż w innych kulturach, a ich nadużywanie jest źle widziane, jako ckliwie amerykańskie.

Efekt więzi między stałymi klientami pubu jeszcze bardziej podkreśla używanie przezwisk - puby zawsze pełne są ludzi nazywanych „Mały”, „Yorkshire”, „Doktorek”, „Długi” itp. Zwracanie się do kogoś jego przezwiskiem wskazuje na wysoki stopień poufałości. Zazwyczaj robią to tylko członkowie rodziny i przyjaciele. Częste używanie „ksywek” przez stałych klientów, właściciela i obsługę daje im poczucie przynależności - a nam cenny wgląd w charakter relacji towarzyskich w angielskich pubach¹⁵. Warto zauważyć w tym kontekście, że niektórzy stali klienci danego pubu mają „przydomek pubowy”, którego nie używają ich przyjaciele i krewni poza pubem i którego mogą nawet nie znać. Przydomki te są często ironiczne: na przykład bardzo niski klient może być znany jako „Długi”, czyli „wysoki”. W moim własnym lokalnym pubie, choć normalnie byłam znana jako „Stick” (Tyczka) - aluzja do mojej chudej sylwetki - był czas, gdy właściciel pubu nazywał mnie „Pillsbury” (tłusty chłopiec - symbol amerykańskiej firmy spożywczej).

Zasady powitania wymagają, by właściciel, obsługa i inni stali klienci zareagowali na wejście stałego klienta chórkami: „Cześć, Bill”, „Serwus, Bill”, „Jak tam, Bill?”, „To samo, co zwykle, Bill?” i tak dalej. Nowo przybyły musi odpowiedzieć na każde pozdrowienie, zwykle zwracając się do pozdrawiającego jego imieniem lub przezwiskiem: „Cześć, Doktorku”, „Serwus, Joe”, „Jakoś leci, Długi”, „To samo, dzięki, Mandy”. Zasady nie zalecają, jakich dokładnie słów używać w tych dialogach, często więc słychać odzywki pomysłowe, humorystyczne lub nawet pozornie impertynenckie, takie jak: „W samą porę, żeby nam kupić kolejkę, Bill!” czy „Ty znowu tutaj, Doktorku? Domu nie masz czy co?”.

Kody rozmów w pubie

Jeśli spędza się setki godzin, siedząc w pubie, można zauważyć, że wiele rozmów posiada własną „choreografię”, w tym sensie, że odbywają się według zalecanego wzoru i prowadzone są zgodnie z surowymi regułami - mimo że uczestnicy rozmowy nie są tego świadomi i przestrzegają reguł instynktownie. Choć zasady tych kierowanych przez niewidzialnego choreografa rozmów mogą nie być oczywiste dla kogoś z zewnątrz, udaje się za nimi nadążać i całkiem dobrze je rozumieć. Ale jeden rodzaj rozmowy pubowej jest

kompletnie niejasny dla osób postronnych i rozumieją go tylko stali klienci konkretnego pubu. To dlatego, że stali klienci posługują się kodem, używając prywatnego języka. Oto mój ulubiony przykład zakodowanego dialogu, z broszurki o etykiecie pubu:

Tło akcji: pora lunchu w zatłoczonym lokalnym pubie, niedziela. Kilku STAŁYCH KLIENTÓW stoi przy barze, gdzie obsługuje WŁAŚCICIEL. Wchodzi STAŁY KLIENT, mężczyzna, i zanim dochodzi do baru, WŁAŚCICIEL już zaczyna mu nalewać „to co zwykle”, duże piwo. WŁAŚCICIEL stawia piwo na ladzie przed STAŁYM KLIENTEM, który szuka w kieszeni pieniędzy.

STAŁY KLIENT 1: Gdzie kotlet z surówką?

WŁAŚCICIEL: Nie wiem, stary - już tu powinien być.

STAŁY KLIENT 2: Może się bawi w Harry'ego!

(wszyscy się śmieją)

STAŁY KLIENT 2: Wstaw mu na razie do beczki - a dla ciebie?

WŁAŚCICIEL: Dzięki, na razie ruch.

Aby odkodować tę rozmowę, należałoby wiedzieć, że pierwsza kwestia, o „kotlecie z surówką” to nie prośba o posiłek, ale pytanie o to, gdzie jest inny stały klient, o przezwisku „Kotlet z surówką” z powodu swojej dość beznamietnej, konserwatywnej natury (jako że mięso z dwoma rodzajami warzyw to najbardziej tradycyjny, banalny angielski posiłek). Takie dowcipne przezwiska są powszechne: w innym pubie jest stały klient znany jako ATL, co jest skrótem od Akronim z Trzech Liter, z powodu jego zamiłowania do żargonu szkoły biznesu.

Przydałoby się także wiedzieć, że w tym pubie „bawić się w Harry'ego” jest kodem oznaczającym „zgubić się, zabłądzić”. Harry to inny stały klient, nieco roztargniony, któremu raz, trzy lata wcześniej, udało się zgubić po drodze do pubu i któremu wciąż się z tego powodu dokucza. „Wstaw mu do beczki” to lokalna wersja bardziej typowego pubowego wyrażenia, oznaczającego „zarezerwuj duże piwo dla niego, które mu dasz, gdy przyjdzie, a ja teraz za nie zapłacę” (bardziej typowe wyrażenie to „Odłóż mu...” lub „Zostaw dla niego...”; „Wstaw mu do beczki...” to regionalna odmiana, zwykle występująca gdzieniegdzie w Kent). Wyrażenie „a dla ciebie?” to skrót od „i jeden dla pana/ciebie?”, ustalonej formuły oferowania drinka. „Na razie ruch” oznacza „wypiję, gdy się trochę rozluźni”.

Czyli: Stały klient kupuje drinka, który zostanie podany tradycyjnie „Kotletowi z surówką”, gdy ten przyjdzie (zakładając, że nie powtórzył błędu Harry'ego i się nie zgubił), i oferuje właścicielowi drinka, którego ten przyjmuje, ale skonsumuje go dopiero później, gdy będzie mniej zajęty. To naprawdę proste - pod warunkiem że jest się członkiem tego

szczególnego pubowego plemienia i zna się wszystkie jego legendy, przezwiska, dziwactwa, szyfry, skróty i dowcipy dla wtajemniczonych.

Podczas naszych naukowych wędrówek po pubach odkryliśmy, że każdy pub ma swój własny kod, składający się z prywatnych żartów, przezwisk, zwrotów i gestów. Podobnie jak „prywatne języki” innych grup społecznych, takich jak rodziny, pary, szkolni przyjaciele i koledzy z pracy, zakodowany język pubu podkreśla i wzmacnia więzi towarzyskie między stałymi jego klientami. Podkreśla także i wzmacnia poczucie *równości* między nimi. W pubie nasza pozycja w hierarchii społecznej „głównego nurtu” jest nieważna: akceptacja i popularność w tym progowym świecie opiera się na całkiem innych kryteriach, które związane są z osobistymi cechami, dziwactwami i przyzwyczajeniami. „Kotlet z surówką” może być dyrektorem banku albo bezrobotnym murarzem. Jego serdeczne, choć złośliwe przezwisko jest aluzją do jego konwencjonalnego gustu, jego dość konserwatywnego światopoglądu. W pubie jest lubiany i wykpiwany za te swoiste słabostki; jego klasa społeczna i status zawodowy są nieistotne. „Harry” może być roztargnionym nauczycielem lub roztargnionym hydraulikiem. Gdyby był nauczycielem, mógłby mieć przezwisko „Profesorek” (a słyszałam o wielu hydraulikach, których niefortunnym przydomkiem był „Lejek”), ale to roztargnienie Harry’ego, nie jego zawód, jest cechą, z której jest znany, za którą go lubią i z której żartują sobie Pod Różą i Koroną.

A więc zaszyfrowany język pubów ułatwia budowanie więzi towarzyskich i wzmacnia egalitarne wartości. Wcześniej wspominałam jednak, że główną rolą *wszystkich* miejsc, w których pije się alkohol, we wszystkich kulturach, jest wzmacnianie więzi towarzyskich i że wszystkie te miejsca są zwykle środowiskami integrującymi towarzysko, egalitarnymi - czy jest więc coś typowo angielskiego, jeśli chodzi o tworzenie więzi i egalitaryzm w kodowanej rozmowie pubowej?

Pewne aspekty tej rozmowy wydają się typowo angielskie, na przykład celebrowanie ekscentryczności, zawsze obecny podtekst humorystyczny, dowcip i pomysłowość językowa. Natomiast cechy „uniwersalne”, jak wzmacnianie więzi i egalitaryzm, tu rzucają się w oczy tylko dlatego, że *tak bardzo* odbiegają od kultury głównego nurtu, która charakteryzuje się większą rezerwą i zahamowaniem towarzyskim, i świadomością klasową bardziej wszechobecną i głęboką niż w wielu innych społeczeństwach. Nie chodzi o to, że towarzyskość i równość można spotkać w Anglii tylko tam, gdzie pije się alkohol, ale o to, że na tle naszych konwencjonalnych norm kontrast ten jest bardziej uderzający i że, być może, mamy większą niż inni potrzebę posiadania takich miejsc, sprzyjających egalitaryzmowi towarzyskiemu, takich światów progowych, w których tradycyjne zasady są zawieszane.

Sprzeczką w pubie

Wcześniej wspominałam, że stali klienci są nie tylko zwolnieni z zasady pantomimy, ale także wolno im robić uwagi takie jak: „Hej, Spadge, jak już skończysz swoje pogaduszki, nie pogardzę jeszcze jednym piwem, jeśli to, do cholery, nie za duży dla ciebie kłopot!”. Przekomarzanie się, odszczekiwanie i udawane obelgi (często z użyciem mocnej ironii) to standardowa cecha konwersacji między stałymi klientami i obsługą przy barze, a także wśród stałych klientów między sobą.

Sprzeczką w pubie, które są inne niż „prawdziwe” spory w „prawdziwym świecie”, należą do tej samej rodziny przekomarzanek. Sprzeczką się to chyba najpopularniejsza forma rozmów w pubach, zwłaszcza wśród mężczyzn. Sprzeczką pubowe potrafią sprawiać wrażenie bardzo gorących. Większość z nich jednakże jest prowadzona zgodnie z surową etykietą, opartą na tym, co należy uważać za Pierwsze Przykazanie pubowego kodeksu: „Nie będziesz brał niczego zbyt serio”.

Zasady sprzeczek pubowych wynikają z reguł zawartych w czymś, co można nazwać niepisaną konstytucją, normującą wszystkie wzajemne relacje towarzyskie w tym specyficznym otoczeniu. Konstytucją ta nakazuje równość, wzajemność, dążenie do bliskości i cichy pakt o nieagresji. Uczni badający relacje międzyludzkie rozpoznają, że są to zasady leżące u podstaw wszelkich więzi społecznych - i wydaje się, że istotnie to osiągnięcie wspólnoty jest celem sprzeczką pubowej.

Wszyscy wiedzą, choć o tym się nie mówi, że sprzeczką w pubie (tak jak rytuał „moje jest lepsze” opisany wcześniej) jest zasadniczo rozrywką. Stałym klientom pubu do angażowania się w ożywione dyskusje niepotrzebne są skrajne opinie ani głębokie przekonania - tak naprawdę byłyby one przeszkodą. Stali klienci często rozpoczynają spór na jakikolwiek temat, albo bez przyczyny, dla czystej zabawy. Znużony klient potrafi celowo rozniecić sprzeczką, wygłaszając jakieś bulwersujące lub kontrowersyjne oświadczenie, a następnie usiąść wygodnie i czekać na nieuchronny okrzyk: „Bzdury!”. Wtedy prowokator musi zacząć gorąco bronić swojego twierdzenia, które jak skrycie wie, jest nie do obrony. Przystępuje wtedy do kontrataku, oskarżając swoich rozmówców o głupotę, ignorancję lub coś jeszcze mniej uprzejmego. Taki dialog często ciągnie się przez jakiś czas, choć ataki i kontrataki nierzadko odbiegają od pierwotnego problemu, kierując się w stronę innych kwestii spornych - a potrzeba spierania się wśród mężczyzn¹⁶ przychodzących do pubu jest tak wielka, że kwestią sporną może stać się niemal każdy temat, nawet najbardziej niewinny.

Wyjątkowy talent do wywoływania sporu „z kapelusza” mają stali bywalcy. Podobnie jak zdesperowani licytatorzy przyjmują oferty od „urojonych” kupujących, ci mogą

gwałtownie odpiierać zarzuty, których nikt nie postawił, lub kazać milczącemu towarzyszowi, żeby się zamknął. Uchodzi im to na sucho, ponieważ pozostali także szukają pretekstu do sprzeczki. Oto przykład, nagrany w moim własnym lokalnym pubie (całkiem typowy):

STAŁY KLIENT 1 (*oskarżycielsko*): Co?

STAŁY KLIENT 2 (*zdziwiony*): Nic nie mówiłem.

STAŁY KLIENT 1: Mówiłeś!

STAŁY KLIENT 2 (*wciąż skonsternowany*): Nie!

STAŁY KLIENT 1 (*wojowniczo*): Powiedziałeś, że teraz moja kolejka - a to nieprawda!

STAŁY KLIENT 2 (*który „załapał”, o co chodzi*): Do cholery, nic nie mówiłem, ale jeśli już o tym wspominasz, to faktycznie jest twoja kolejka!

STAŁY KLIENT 1 (*z udawanym oburzeniem*): Chrzaniś - to kolejka Joeya!

STAŁY KLIENT 2 (*drwiąco*): No to czemu się mnie czepiasz, co?

STAŁY KLIENT 1 (*teraz już świetnie się bawiąc*): Ja się czepiam? To ty zacząłeś!

STAŁY KLIENT 2 (*tak samo*): Wcale nie!

STAŁY KLIENT 1: Tak!

I tak dalej. Gdy tak sobie tam siedziałam, sącząc swoje piwo i uśmiechając się tolerancyjnie, acz z pewną wyższością, uśmiechem charakterystycznym dla kobiet cierpliwie wysłuchujących męskich sprzeczek pubowych, spór potoczył się dalej w kierunku innych problemów, ale oponenti przez cały czas kupowali sobie nawzajem drinki i pod koniec wszyscy już, jak zwykle, zapomnieli, czego miała dotyczyć sprzeczka. Zasady mówią, że w sprzeczce pubowej nikt nigdy nie ma ostatecznie racji, ale też nikt się nigdy nie poddaje. (Sprzeczka pubowa jest jednym z tych kontekstów, których dotyczy wciąż aktualny, typowo angielski dżentelmeński dekret, że „ważne jest, by brać udział, a nie by wygrywać”). Antagoniści pozostają najlepszymi kumplami, i wszyscy świetnie się bawią.

Może się wydawać, że ten rodzaj bezprzedmiotowego, dziecinnego szukania zwady jest naruszeniem „konstytucji” pubu, z jej nakazem nieagresji i dążenia do bliskości, ale jednak sprzeczanie się jest dla angielskich mężczyzn głównym sposobem „dążenia do bliskości”. Sprzeczka w pubie pozwala im wykazać zainteresowanie sobą nawzajem, wyrazić emocje, ujawnić swoje osobiste poglądy, przekonania i aspiracje - i poznać je u swoich towarzyszy. Pozwala im na zbliżenie się i większą zażyłość, bez przyznawania, że taki właśnie jest ich cel. Sprzeczka w pubie pozwala im osiągnąć poczucie wspólnoty, zakamuflowane jako samcza rywalizacja. Skłonność angielskiego faceta do agresji zostaje skanalizowana w nieszkodliwą werbalną wersję walki na pięści, a symboliczny uścisk dłoni w

postaci kupowania kolejnych kolejek ma zapobiec eskalacji w przemoc fizyczną¹⁷.

Podobne sprzeczki mające umacniać męską przyjaźń oczywiście odbywają się też poza pubem - wśród kolegów z pracy, członków drużyn i klubów sportowych albo po prostu w gronie przyjaciół - i praktycznie według takich samych reguł. Jednakże sprzeczka pubowa jest najlepszym (najbardziej archetypowym) przykładem angielskiej sprzeczki zacieśniającej męskie więzi. Ma ona też sporo elementów wspólnych z podobnymi praktykami w innych kulturach: wszystkie takie „rytualne spory” opierają się na cichym pakcie o nieagresji; na przykład wszyscy mają świadomość, że żadnych obelg i ataków nie należy brać nazbyt serio. Wydaje mi się, że to, co w wersji angielskiej jest typowo angielskie, to to, że nasza naturalna awersja do zbytniej powagi - a w szczególności nasze upodobanie do ironii - sprawia, że tę świadomość jest o wiele łatwiej zdobyć i utrzymać.

Swobodne skojarzenia

W pubie nawet trzymanie się tego samego tematu dłużej niż kilka minut może zostać wzięte za objaw nadmiernej powagi. Psychoanalitycy używają „techniki swobodnych skojarzeń”, w której terapeuta prosi pacjenta, aby mówił, cokolwiek przychodzi mu na myśl w skojarzeniu z konkretnym słowem lub wyrażeniem. Jeśli spędzi się trochę czasu, podsłuchując rozmowy w pubie, można zauważyć, że angielski język pubów często wykazuje takie same cechy jak owe sesje swobodnych skojarzeń. Może to tłumaczyć jego terapeutyczne (w sensie towarzyskim) działanie. W pubie zwykle powściągliwi i ostrożni Anglicy pozbywają się niektórych zahamowań i wypowiadają każdą myśl, która przyjdzie im do głowy.

Według zasady swobodnych skojarzeń, konwersacje w pubie nie muszą toczyć się w żaden logiczny czy uporządkowany sposób; nie trzeba trzymać się tematu, nie trzeba dochodzić do żadnych wniosków. Gdy klienci pubu są w nastroju do wolnych skojarzeń (czyli prawie zawsze), próby skłonienia ich, aby skupili się na konkretnym temacie przez więcej niż kilka minut są bezowocne, i można się tylko narazić.

Zasada swobodnych skojarzeń pozwala dialogom w pubie płynąć w tajemniczy sposób - zwykle na drodze pozornie chaotycznych dygresji. Uwaga na temat pogody jakimś cudem wywołuje krótką sprzeczkę na temat futbolu, która skłania do przewidywań co do losu bohatera telewizyjnej opery mydlanej. Te prowadzą do dyskusji o bieżącym skandalu politycznym, która przechodzi w przekomarzenie się na temat życia erotycznego barmana, przerwane przez któregoś ze stałych klientów, domagającego się natychmiastowej pomocy przy haśle do krzyżówki. To z kolei prowadzi do komentarzy na temat groźnej choroby, którą straszą w telewizji, te zaś jakimś cudem przeradzają się w dyskusję o urwanym pasku od

zegarka innego stałego klienta, a potem w przyjacielski spór o to, czyja teraz kolejka, i tak dalej. Czasem widać w tych skojarzeniach jakąś mglistą logikę, przeważnie jednak zmiany tematu są przypadkowe i biorą się ze swobodnego skojarzenia kogoś z uczestników z jakimś słowem czy wyrażeniem.

Zasada swobodnych skojarzeń nie jest tylko kwestią unikania powagi. To licencja na odejście od konwencjonalnych norm społecznych, na chwilową utratę czujności. U Anglików ten rodzaj luźnej, swobodnej, chaotycznej konwersacji, podczas której ludzie są zrelaksowani i czują się na tyle komfortowo, by mówić, co im przyjdzie do głowy, na ogół ma miejsce wyłącznie między bliskimi przyjaciółmi lub rodziną. Zauważyłam jednak, że w pubie rozmowa z użyciem swobodnych skojarzeń wydaje się toczyć naturalnie nawet między nieznanymi. Najczęściej spotykana jest wśród stałych klientów, ale przy barze także nieznanymi dają się wciągać w nieplanowaną pogawędkę. W każdym razie trzeba tu sobie uświadomić, że ludzie, którzy regularnie przychodzą do tego samego pubu, niekoniecznie są, a właściwie zazwyczaj nie są, bliskimi znajomymi w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Bardzo rzadko się zdarza, na przykład, żeby klienci tego samego pubu zapraszali się nawzajem do domu, nawet jeśli spotykają się i rozmawiają o tym i o owym codziennie od wielu lat.

A więc: schematy konwersacyjne angielskich klientów pubu, oparte na swobodnych skojarzeniach, nawet między stosunkowo słabo znającymi się ludźmi, przypominają rozmowy między zżytymi ze sobą członkami rodziny - co wydaje się przeczyć tradycyjnemu postrzeganiu Anglików jako powściągliwych, sztywnych i zahamowanych. Gdy jednak przypatrzyłam się bliżej i posłuchałam trochę uważniej, dostrzegłam ograniczenia i restrykcje. Odkryłam, że jest to jeszcze jeden przykład ściśle regulowanej kulturowej remisji. Zasada swobodnych skojarzeń pozwala nam odejść od tradycyjnych kodów konwersacji „publicznej” i cieszyć się pewną swobodą rozmowy „prywatnej” czy „intymnej” - ale nie do końca. Wskazówką jest tu słowo „schematy”. *Struktura* rozmowy w pubie, opartej na swobodnych skojarzeniach, jest taka jak rozmowy prywatnej między bliskimi przyjaciółmi czy rodziną, ale *treść* podlega restrykcjom. Współtowarzysze z pubu, nawet jeśli mają nastrój do swobodnych skojarzeń, ale nie są równocześnie bliskimi przyjaciółmi, nie otwierają przed sobą nawzajem serc; nie ujawniają - chyba że niechcący - osobistych obaw lub sekretnych pragnień.

Właściwie to w ogóle nie wypada rozmawiać o sprawach „osobistych”, chyba że można je przedstawić w sposób niepoważny, zgodnie z Pierwszym Przykazaniem. *Żarty* na temat własnego rozwodu, depresji, choroby, problemów w pracy, źle zachowujących się dzieci czy innych prywatnych kłopotów są w porządku; nawet gorzkie żarty z tragedii

życiowych są standardową cechą dialogów w pubie. Ale szczere wywnętrzanie się nie jest mile widziane. Oczywiście, takie skropione łzami rozmowy też mają miejsce w pubie, ale są to rozmowy prywatne, między przyjaciółmi, parą partnerów czy rodziną; nie uważa się za stosowne prowadzić ich przy ladzie barowej, i co najważniejsze, te prywatne rozmowy należą do tych niewielu, które *nie* podlegają zasadzie swobodnych skojarzeń.

Język pubu a angielskość

A więc. Czego się nauczyliśmy? Co zasady rozmów w pubie mówią nam o angielskości?

Zasada towarzyskości potwierdza cechę ujawnioną przez zasady rozmów o pogodzie - kontekstu i reakcji - mianowicie pomysłowego użycia „podpórek” w celu przełamania naszej naturalnej rezerwy i zahamowań. Ale ta zasada uzupełnia temat o kilka nowych rzeczy. Po pierwsze, okazuje się, że Anglicy jak najbardziej są za towarzyskością, ale starannie unikają poświęcania swej prywatności. Po drugie, surowe ograniczenia i zastrzeżenia do zasady towarzyskości świadczą o tym, że nawet odchodząc od konwencji, robimy to w kontrolowany, uporządkowany sposób.

W zasadzie niewidzialnej kolejki znajdujemy jeszcze jeden przykład „uporządkowanego chaosu” oraz dowód, jak ważne jest dla nas stanie w kolejce, co sygnalizuje nasz stosunek do sprawiedliwości (tradycyjna angielska cześć dla fair play jest jednak chyba wciąż silniejsza, niż każą nam wierzyć ci, co wieszczą zagładę). W zasadzie pantomimy znowu widać nadrzędność etykiety nad logiką - oraz wyraźną niechęć do wywoływania zamieszania, robienia hałasu i ściągania na siebie uwagi, co potwierdza wcześniejsze dowody na to, że zahamowania towarzyskie prawdopodobnie znajdują się wśród cech definiujących angielskość.

Zasady „proszę” i „dziękuję” potwierdzają nadrzędne znaczenie uprzejmości oraz nasze przeczulenie na punkcie zwracania uwagi na różnice klasowe i różnice w statusie. Zasada „I jeden dla pana?” odsłania zarówno zalety, jak i hipokryzję angielskiego „uprzejmego egalitaryzmu”.

Odchylenia od konwencji zawarte w zasadach języka stałych klientów są wyjątkowo bogatym źródłem wskaźników angielskości. Przesadnie częste używanie imion (i przezwisk), nakazane przez zasady powitania, pozostaje w ostrym kontraście do tradycyjnych angielskich kodów konwersacyjnych, w których nadużywanie imion jest źle widziane jako zbyt sentymentalnie poufałe. Być może nasza oficjalna, nadęta pogarda dla takiej poufałości po prostu maskuje jej skrytą potrzebę, wyrażaną tylko w strefach progowych.

Oprócz ułatwiania nam nietypowej dla nas towarzyskości, zasady kodowanego języka

pubów uwypuklają jeszcze jedną „dewiację”: ucieczkę od tradycyjnych hierarchii społecznych. Widzimy, że choć towarzyskość i egalitaryzm to uniwersalne cechy miejsc, w których pija się alkohol, ich kontrast z konwencjonalnymi normami jest szczególnie uderzający w przypadku Anglików (dorównują nam w tym tylko Japończycy, również nacja znana z rezerwy, oficjalności i przewrażliwienia na punkcie różnic w statusie, i również, co jest może nie bez znaczenia, społeczeństwo okupujące małą ciasną wyspę). W kodowanym języku pubów i zasadach tamtejszych sprzeczek odkrywamy także ten podtekst humorystyczny, który charakteryzuje większość angielskich rozmów, razem z ostrym dowcipem i kreatywnością językową. Wreszcie zasada swobodnych skojarzeń jest kolejnym przykładem na uregulowane rozregulowanie, uporządkowany bałagan, metodę w (pozornym) szaleństwie.

Podsumujemy to wszystko później, gdy już przebadamy dość aspektów kultury angielskiej, by stworzyć reprezentatywną próbę jej niepisanych zasad, z której będziemy mogli wydestylować naszą „kwintesencję angielskości”. Zgłębiając najdrobniejsze szczegóły kodów konwersacyjnych, już zaczynamy rozpoznawać pewne powracające motywy, musimy być jednak bezwzględni: czy motywy te pojawią się ponownie w innych kontekstach, jak sposób urządzania domów, zachowanie w pociągach i autobusach, zwyczaje i rytuały miejsc pracy, zasady jedzenia, picia, zakupów i seksu?

Na poparcie tego twierdzenia (i na dowód ogromnego znaczenia rozmów o pogodzie) przytoczę fakt, że w słowniku synonimów angielskich z siedmiu synonimów słowa „ładny” aż pięć jest związanych wyłącznie z pogodą, a mianowicie: pogodny, jasny, letni, bezchmurny, słoneczny.[⁴]

Dla tych, którzy nie znają bliżej kultury angielskiej: Kłapouchy to smutny osioł pesymista z *Kubusia Puchatka*. [⁴]

Nie tylko przedstawiciele skłonnych do nostalgii starszych pokoleń; rybacka prognoza pogody ma wielu młodych miłośników, a ostatnio aluzje do niej pojawiły się w tekstach piosenek popowych. Spotkałam 19-letniego barmana, który nazwał swego psa Cromarty, od nazwy jednej ze stref morskich. [⁴]

Warto może też zauważyć, że książka *Po południu deszcz. Dobra*, po raz pierwszy wydana w 1998 roku, doczekała się już trzech kolejnych wydań, w latach 1999, 2000 i 2002 (wtedy trzeba było opublikować wydanie drugie poprawione, z powodu owej kontrowersyjnej zmiany nazwy Finisterre). [⁴]

Gwoli ścisłości, powinnam zauważyć, że choć zwrot *How do you do?* z formalnego punktu widzenia jest pytaniem, i pisany jest jak pytanie, *wypowiada* się go jak twierdzenie -

bez wzrastającej, pytającej intonacji na końcu - a więc zwyczaj odpowiadania tym samym nie jest aż tak absurdalny, jak mogłoby się wydawać (trochę, ale nie całkiem).[4]

A były to badania przeprowadzane w sposób, który aprobuję, nie na drodze kwestionariusza czy eksperymentów w laboratorium, ale przez podsłuchiwanie autentycznych rozmów w naturalnych warunkach, możemy więc do pewnego stopnia tym wynikiom wierzyć.[4]

Istnieją oczywiście inne teorie ewolucji języka, z których najbardziej atrakcyjna jest sugestia Geoffreya Millera, że język ewoluował jako narzędzie zalotów - aby umożliwić nam flirtowanie. Na szczęście teoria ewolucji językowej „podrywu” nie przystaje do teorii „plotek”, chyba że zaakceptuje się, że plotka ma wielorakie funkcje, w tym pokaz statusu dla celów zalotów.[4]

W tym zespół profesora Robina Dunbara i grupa zaangażowana w mój własny projekt w SIRC, badający plotkowanie przez telefony komórkowe.[4]

Może nie jest zaskoczeniem, że niektóre dzieci się buntują; zwłaszcza nastolatki przechodzą czasem etap odmowy uczestniczenia w tym rytuale i często prowokują starszych, wybierając przeciwną skrajność, gdzie pożegnanie składa się z wykrzykniętego „To nara!” i trzaśnięcia drzwiami. Złotego środka chyba nie ma.[4]

Chodzi o dramaturga Alana Bennetta - a właściwie postać z jego sztuki *The Old Country*. [4]

Rolą ironii w kulturze biznesu zajmę się bardziej szczegółowo w rozdziale *W pracy*. [4]

Zob. K. Fox, *Evolution, Alienation and Gossip: the role of mobile telecommunications in the 21st century* (2001). (Było to sprawozdanie z badania zamówionego przez Telekomunikację Brytyjską, opublikowane także na stronie internetowej SIRC - www.sirc.org. Jest o wiele mniej pompatyczne, niż może sugerować jego tytuł). [4]

Zob. K. Fox, *Social and Cultural Aspects of Drinking*, The Amsterdam Group, London 2000. [4]

„Społeczny mikroklimat” jest konceptem, który wprowadziłam w książce *The Racing Tribe*, gdzie sugerowałam, że tak jak mówi się, że pewne miejsca geograficzne (wyspy, doliny, oazy itd.) „kreują swoją własną pogodę”, pewne środowiska społeczne (np. tory wyścigowe, puby, uniwersytety itd.) także mają charakterystyczny „mikroklimat”, ze schematami zachowań, normami i wartościami, które mogą różnić się od głównego nurtu kulturowego. [4]

Ksywek można oczywiście używać do mniej życzliwych celów, np. wyrażenia wrogości, podziałów społecznych i kontroli społecznej, ale to nie jest ich funkcja w pubie.[4]

Kobiety czasem biorą udział w tych przekomarzankach pubowych, ale o wiele rzadziej i zazwyczaj ze znacznie mniejszym entuzjazmem niż mężczyźni. Gdy kobiety się sprzeczą, to przeważnie „na serio”.[4]

Oczywiście, niektóre sprzeczki w pubie eskalują do przemocy fizycznej, ale spory typu opisanego tutaj mają miejsce *bez przerwy* i nasze badanie wykazało, że przemoc fizyczna jest bardzo rzadka, zdarza się tylko w niektórych sytuacjach, gdy ktoś łamie opisaną powyżej zasadę. Problemem agresji, przemocy i ich związkiem z alkoholem zajmiemy się bardziej szczegółowo w dalszych rozdziałach.[4]

Część druga
Kody zachowań

Dom

Do odkrycia niektórych zasad angielskości wcale niepotrzebne są lata badań. Na przykład zasady prywatności są tak oczywiste, że można je zauważyć z helikoptera, nie stawiając nawet stopy na angielskim lądzie. Gdyby pokrążyć parę minut w powietrzu nad jakimkolwiek angielskim miastem, zobaczylibyśmy, że dzielnice mieszkaniowe składają się niemal w całości z rzędów pudełeczek, z których każde ma swój własny skrawek zieleni. W niektórych rejonach kraju pudełeczka będą popielate, w innych czerwonobrazowe. W dzielnicach bogatszych będą one ustawione dalej od siebie, a skrawki zieleni będą większe. Ale zasada jest jasna: wszyscy Anglicy chcą mieszkać we własnym pudełeczku z prywatnym skrawkiem zieleni¹.

Most zwodzony i fosa

To, czego nie widać z helikoptera, zobaczymy, gdy tylko spróbujemy odwiedzić Anglika w domu. Możemy mieć adres i plan miasta, ale ze znalezieniem właściwego budynku będą spore kłopoty. Węgierski humorysta George Mikes twierdził, że „angielskie miasto to wielkie przedsięwzięcie konspiracyjne, mające na celu wywiedzenie cudzoziemców w pole”. Miał na myśli, że - nie da się ukryć - nasze ulice nigdy nie są proste, że gdy tylko jakaś ulica zakręca, dostaje inną nazwę (chyba że zakręt jest tak ostry, że istotnie powoduje, iż mamy do czynienia z dwiema różnymi ulicami), że mamy co najmniej sześćdziesiąt wprowadzających w błąd synonimów słowa „ulica” w adresach (może to być *street*, ale też *place*, *mews*, *crescent*, *terrace*, *rise*, *lane*, *gate* itd.), a już na pewno nazwy ulic są zawsze dokładnie ukryte. Nawet jeśli uda nam się znaleźć właściwą ulicę, numeracja domów będzie beznadziejnie niekonsekwentna i subiektywna, skomplikowana jeszcze bardziej przez to, że wiele osób zamiast numerów nadaje swoim domom nazwy.

Dodałabym do tego, że numery i nazwy domów są zwykle co najmniej tak zakamuflowane, jak nazwy ulic, co świadczy o tym, że prawdziwym powodem tego całego bałaganu jest raczej obsesja na punkcie prywatności niż jakiś specjalny spisec mający na celu zmylenie Węgrów. Nie możemy, nawet gdybyśmy chcieli, zburzyć i przeprojektować naszych chaotycznych miast, stosując amerykańską zasadę siatki - ale gdybyśmy chcieli ułatwić innym odnalezienie naszego domu, moglibyśmy przynajmniej namalować nazwę lub numer wyraźnie i w takim miejscu, gdzie byłyby widoczne z ulicy.

A jednak tego nie robimy. Numery naszych domów są w najlepszym razie bardzo dyskretne, a w najgorszym - kompletnie ukryte pod pnączami, za werandami, albo nawet w ogóle ich nie ma, pewnie zgodnie z założeniem, że nasz numer da się wydedukować na podstawie numerów domów najbliższych sąsiadów. Podczas badań do tej książki nabrałam

zwyczaju pytania taksówkarzy, dlaczego tak się dzieje. Wleczenie się wzdłuż krawężników i wyglądanie przez okno samochodu w poszukiwaniu dobrze ukrytego lub nieistniejącego numeru zabiera im tyle czasu, że pomyślałam, iż musieli się nieraz zastanawiać nad tą kwestią, więc może doszli do jakichś interesujących wniosków.

Co do zastanawiania się, miałam rację. Ich pierwszą reakcją było nieodmiennie: „Kurczę, dobre pytanie!”, lub coś w tym rodzaju. Problem w tym, że często był to dla nich sygnał do rozpoczęcia tyrady i narzekania na wyblakłe, schowane i nieobecne numery domów. Zazwyczaj kończyli mniej więcej tak: „Można by pomyśleć, że robią to celowo!”, a od tego przecież na dobrą sprawę zaczęliśmy. Próbując bardziej przebiegłej taktyki, pytałam ich wtedy, czy ich własne domy są wyraźnie oznakowane. Na to większość przybierała trochę zmieszany wyraz twarzy i przyznawała, że nie, jak się nad tym zastanowić, numery i nazwy ich własnych domów też nie rzucają się szczególnie w oczy. Dlaczego? Dlaczego nie namalowali numeru czy nazwy swojego domu dużymi, wyraźnymi literami na drzwiach wejściowych lub na słupie bramy? No cóż, to by wyglądało trochę dziwnie, jakby na pokaz; wyróżniałoby się, przyciągało uwagę; a poza tym oni praktycznie nigdy nie jeżdżą taksówkami, ich dom nietrudno znaleźć, wszyscy znajomi i krewni wiedzą, gdzie oni mieszkają - plus inne kulawe wykręty (szczerze mówiąc, bardzo podobne do tych, jakie otrzymywałam, gdy zadawałam to pytanie właścicielom domów nietaksówkarzom).

Oprócz przypomnienia mi, że nasza niechęć do ujawniania numerów domów jest związana z typowo angielską rezerwą oraz obsesją na punkcie prywatności, moje początkowe rozmowy z taksówkarzami nie okazały się zbyt pomocne. Nie poddawałam się jednak, i w końcu jeden z nich dał mi bystrą i zwięzłą odpowiedź. Wyjaśnił: „Dom Anglika jest jego twierdzą, prawda? Nie może tak naprawdę mieć mostu zwodzonego i fosy, ale może za to cholernie utrudnić do niego dostęp”. Odtąd postrzegam angielską praktykę ukrywania numerów domów jako „zasadę mostu zwodzonego i fosy”.

Jednak dom Anglika to coś więcej niż tylko jego twierdza, ilustracja zasady prywatności, to także jego tożsamość, główny wskaźnik statusu i główna obsesja. Dotyczy to w równym stopniu mężczyzn jak i kobiet. To dlatego dom nie jest czymś, co się biernie „ma”, to jest coś, co się „tworzy”, nad czym się „pracuje”.

Budowanie gniazda

A ta myśl naprowadza mnie na temat angielskiej manii „ulepszania domów” albo inaczej „zrób to sam”. Gdy Pevsner^d opisywał „przysłowiowego Anglika” jako „pracującego własnymi rękami w domu, ogrodzie i garażu”, trafił w samo sedno. Zapomnijcie o futbolu, bo to dopiero jest prawdziwa narodowa obsesja. Jesteśmy narodem budującym gniazda. Prawie

cała populacja jest mniej lub bardziej zaangażowana w majsterkowanie. W ankiecie przeprowadzonej przez moich kolegów około piętnastu lat temu tylko 2 procent angielskich mężczyzn i 12 procent kobiet stwierdziło, że nigdy nie majsterkowało w domu.

Ostatnio zaktualizowaliśmy wyniki tych badań, gdy SIRC dostał zlecenie przeprowadzenia badań na temat domorosłych majsterkowiczów od pewnej firmy herbaciarskiej. (To wcale nie taki głupi pomysł, jak się zdaje: odkryliśmy, że każde zadanie typu „zrób to sam” wymaga konsumpcji ogromnej ilości herbaty). Okazało się, że w kategoriach liczbowych niewiele się zmieniło, poza tym, że chyba zwiększył się odsetek majsterkujących kobiet. I okazało się, że Anglicy mają jeszcze większą obsesję na punkcie budowania swoich gniazd².

Nie byłem bezpośrednio zaangażowana w te badania, ale przeprowadzono je w sposób, który aprobuję - ankieterzy nie odfajkowali odpowiedzi na pytania przez telefon, tylko wybrali się do „świątyni” majsterkowiczów, marketów takich jak Homebase, DoItAll, B & Q itp., i odbyli z klientami szczegółowe rozmowy na temat ich motywacji, obaw, stresów i radości. Mój kolega Peter Marsh, sam gorliwy majsterklepka, uznał, że potencjalnych rozmówców do odpowiedzi na pytania trzeba czymś specjalnie skusić. Wymyślił genialne rozwiązanie: herbata i pączki - znajomy, tradycyjny element rytuału majsterkowania - rozdawane za darmo z furgonetki zaparkowanej strategicznie przy supermarkecie z narzędziami dla majsterkowiczów.

To był strzał w dziesiątkę. Przerwa na herbatkę jest do tego stopnia integralnym elementem procedury majsterkowania, że osobnicy budujący gniazda, którzy w życiu nie pozwoliliby typowemu ankieterowi przeszkodzić sobie w zbieraniu gałązek, z wielką radością zebrawi się wokół minibusa SIRC, po czym wlewali w siebie kolejne kubki herbaty, żuli pączki i opowiadali naszym badaczom wszystko o swoich planach ulepszenia domu, nadziejach, obawach i porażkach.

Znakowanie terytorium

Jako główną motywację do majsterkowania nasi budowniczości gniazd podawali „odciśnięcie osobistego piętna na własnym domu”. To niepisana zasada właścicieli domów i główny element rytuału przeprowadzki, który często polega na zniszczeniu jakichkolwiek śladów oznakowania terytorium przez poprzedniego właściciela. „Jak się wyprowadzasz, trzeba coś wypruć - wyjaśnił jeden młody człowiek. - Na tym ta zabawa polega, nie?”.

Miał rację. Poobserwujmy którąkolwiek ulicę w Anglii przez jakiś czas, a zauważymy, że krótko po zniknięciu szyldu „na sprzedaż” pojawia się kontener na gruz, który zapelnia się często całkiem zdatnymi jeszcze do użytku rzeczami z wyprutej kuchni czy

łazienki, razem z wyprutymi dywanami, szafkami, obramowaniem kominka, półkami, kafelkami, balustradami, drzwiami, a nawet ścianami i sufitami.

Ta zasada to coś więcej niż „zauważalna prawidłowość w zachowaniu”: ten rodzaj obsesyjnego znaczenia terytorium jest dla większości Anglików obowiązkiem, czymś, co czujemy się zmuszeni zrobić: „*Trzeba* coś wypruć...”.

Może to być problem dla tych, którzy wprowadzają się do swoich pierwszych nowiuteńkich domów czy innych nowych mieszkań, gdzie absurdem byłoby zaczynać od „wypruwania” dziewiczych łazienek i nieskazitelných kuchni. Jednakże w przybytkach dla majsterkowiczów spotkaliśmy tłumy ludzi gotowych dodać wszelkie możliwe „osobiste akcenty”, aby oznaczyć swoje nowe bezbarwne terytorium. Nawet jeśli nie da się niczego wypruć, trzeba *coś* zrobić: dom, przy którym się nie pomajstrowało, na dobrą sprawę nie jest domem.

Klasa społeczna a dom

Angielska obsesja na punkcie ulepszania domów nie objawia się oczywiście tylko znakowaniem terytorium. Chodzi tu też o wyrażenie siebie w szerszym sensie: nasz dom to nie tylko nasze terytorium, to główny wyraz naszej tożsamości. A przynajmniej tak lubimy o tym myśleć. Prawie wszyscy przepytывani przez nas majsterkowicze uważali, że wykorzystują swoje kreatywne talenty, a inne rozmowy z „budowniczymi gniazd” w sklepach meblowych, domach towarowych i domach prywatnych potwierdzają, że chociaż „zrób to sam” bierze się u niektórych jedynie z potrzeby ekonomicznej, wszyscy postrzegamy urządzenie, umeblowanie i wystrój naszych domów jako wyraz naszego niepowtarzalnego osobistego gustu i artystycznego polotu.

I tak jest, ale tylko do pewnego stopnia. Im dogłębniej badałam ten problem, tym wyraźniej widziałam, że sposób, w jaki urządzamy, meblujemy i ozdabiamy nasze domy, jest zdeterminowany naszym pochodzeniem społecznym. Nie ma to wiele, a może nawet nic wspólnego z poziomem zamożności. Domy klasy wyższej i wyższej warstwy klasy średniej najczęściej są zaniedbane i zapuszczone w sposób, którego nie tolerowałby żaden członek średniej lub niższej warstwy klasy średniej, a domy najbogatszych nuworyszy pochodzenia robotniczego pełne są niezwykle kosztownych przedmiotów, które klasy wyższe uważają za szczyt wulgarności. Nowiutkie skórzane kanapy i krzesła do jadalni imitujące antyki, ukochane przez średnią warstwę klasy średniej, mogą kosztować dziesięć razy więcej niż ich odpowiedniki w domach ludzi z wyższej warstwy klasy średniej, którzy pogardzają skórą i imitacjami.

W domach średniej warstwy klasy średniej oraz warstw niższych, w salonie

(przypominam, nazywanym przez nich *lounge*) prawdopodobnie zobaczymy wykładzinę dywanową (w przypadku starszych osób z klasy robotniczej może to być wzorzysty dywan, a u nuworyszy - dywan z puszystym włosiem). Kasty wyższe preferują gołe deski podłogowe, często zarzucone starymi perskimi dywanikami. Salon średniej warstwy klasy średniej może mieć barek, a jadalnia barek na kółkach. To, co kryje „pokój od ulicy” niższej warstwy klasy średniej i czasem wyższej warstwy klasy robotniczej, jest często zasłonięte firankami (które są przydatne jako wskaźnik klasy, ale stanowią nieznośną przeszkodę dla podglądających naukowców), zazwyczaj jednak będzie to wielki telewizor, a w przypadku starszych pokoleń, wyszywane lub koronkowe serwety na poręczach foteli oraz starannie wyeksponowane kolekcje bibelotów (łyżek, szklanych zwierzątek, hiszpańskich laleczek, figurynek) przywiezionych z wczasów lub zamówionych poprzez katalogi wysyłkowe.

Młodszy członkowie niższej warstwy klasy średniej i wyższej klasy robotniczej nierzadko preferują mniejsze przeładowanie w swoich salonach, które często są do tego stopnia pozbawione sprzętów, że kojarzą się z ponurą sterylnością gabinetu dentystycznego (być może aspirując do wytwornego minimalizmu, nigdy jednak się do niego nie zbliżając). Ów brak różnorodności wizualnej gospodarze rekompensują sobie jeszcze większym niż u wcześniej wspomnianych szerokoekranowym telewizorem, który nazywają *TV* lub *telly* i który zawsze jest centralnym punktem pomieszczenia (i tak się składa, że obecnie pokazuje co najmniej sześć programów tygodniowo o domach, przeróbkach i remontach), oraz najnowocześniejszym sprzętem grającym z dużymi głośnikami. Także wiele domów członków wyższej warstwy klasy średniej ma duże telewizory i wieże, ale zazwyczaj ukryte w innym pokoju dziennym (*sitting room*), który czasem nazywany jest *back room* (pokojem na zapleczu) lub *family room* (pokojem, w którym toczy się życie rodzinne) (ale nie *music room*; gdy wyższa warstwa klasy średniej mówi *music room*, ma na myśli pomieszczenie z pianinem, nie z wieżą hifi).

Podkładki z korka pod szklanki to kolejny przydatny wskaźnik klasy: raczej nie znajdzie się ich w domach wyższej warstwy klasy średniej lub klasy wyższej, również nieczęsto widzi się je w domach niższej warstwy klasy robotniczej. Podkładki są domeną średniej i niższej warstwy klasy średniej oraz wyższej warstwy klasy robotniczej - albo raczej, mówiąc ściślej, tych spośród wyższej warstwy klasy robotniczej, którzy aspirują do statusu klasy średniej.

Nowe i pod kolor

Sanitariaty niższej warstwy klasy średniej i klasy robotniczej (które oni nazywają *toilets*), na ogół mają dopasowane kolorystycznie sedesy i umywalki, nazywane przez

właściciele zestawem łazienkowym, a nawet papier toaletowy pod kolor. W przypadku wyższej warstwy klasy średniej i wyżej prawie zawsze są one gładkie i białe, chociaż czasem można trafić na drewnianą deskę sedesową.

Na najwyższym i najniższym krańcu skali (wyższa warstwa klasy średniej i wyżej, niższa warstwa klasy robotniczej i niżej) znajdziemy stare, porysowane i niedopasowane do siebie meble, natomiast klasy pośrednie preferują nowiutkie „komplety” dobranych kolorystycznie kanap (*settees!*) i foteli, zestawy składające się ze stołów jadalnych i krzeseł, oraz „komplety” mebli sypialnianych, do których kolorystycznie dobrane są narzuty, poduszki ozdobne i zasłony. (Owo starannie zharmonizowane wyposażenie może zawierać rustykalne motywy kwiatowe, „prostotę” rodem z Ikei czy Conrana lub „tematy przewodnie” inspirowane telewizją, ale zasada jest ta sama). Górne warstwy społeczne, dumne ze swych eklektycznych antyków, kpią z dobranych „kompletów”; warstwy najniższe, które wstydzą się źle dobranych używanych rzeczy, do „kompletów” aspirują.

Właściwie klasę społeczną Anglika można natychmiast ustalić, biorąc pod uwagę jego nastawienie wobec drogich nowych mebli: jeśli uważa, że są *posh*, jego pochodzenie to w najlepszym razie nie wyżej niż średnia warstwa klasy średniej; jeśli sądzi, że są *naff*, należy do górnej warstwy klasy średniej lub klasy wyższej. Pewien konserwatywny poseł z klasy wyższej, drwiąc raz z partyjnego kolegi Michaela Heseltine’a, wyraził się, że Heseltine „musiał sobie kupić wszystkie meble” - przykreść aluzji polegała na tym, że jedynie nuworysze muszą sobie kupować meble; klasa wyższa meble dziedziczy.

Ściana przechwałek

Kolejnym użytecznym wskaźnikiem klasy jest lokalizacja czegoś, co Amerykanie nazwaliby „ścianą przechwałek”. W którym pomieszczeniu w domu wystawiamy otrzymane prestiżowe nagrody czy zdjęcia, na których naszą dłoń ściskają znane osoby? Jeśli jesteśmy ze średniej warstwy klasy średniej lub niższych, przedmioty te będą dumnie eksponowane w salonie, w korytarzu przy wejściu lub innym honorowym miejscu. Jednakże dla wyższej warstwy klasy średniej i wyżej, jedynym dopuszczalnym miejscem na taką wystawkę jest toaleta na parterze.

To sprytna sztuczka: najprawdopodobniej goście prędzej czy później skorzystają z tej właśnie toalety i nasze osiągnięcia zrobią na nich stosowne wrażenie, ale wystawiając je tam, jednocześnie sobie z nich żartujemy, i w ten sposób nie można nas posądzić o przechwalanie się czy branie samych siebie zbyt serio.

Antena satelitarna

Nawet jeśli ktoś nie zna się na semiotyce klasowej roślin i kwiatów, do czego przejdę

później, to stojąc przed angielskim domem, może pobieżnie ocenić klasę społeczną właściciela na podstawie obecności (klasy niższe) lub nieobecności (klasy wyższe) anteny satelitarnej. Nie jest to wskaźnik idealny - choć wiele osób klasyfikuje całe dzielnice, zliczając występujące w nich anteny satelitarne - ale dom z talerzem zalicza się do niższego krańca drabiny społecznej, chyba że dzięki jednoznacznym cechom wskazującym na szczeble wyższe okaże się, że to pomyłka.

Talerz anteny na bardzo okazałym starym domu w dzielnicy klasy wyższej może mimo wszystko być znakiem zasiedlenia przez nowobogackich. Jednak żeby się upewnić, musielibyśmy wejść do środka i poszukać barku, grubego dywanu, nowiutkiej skórzanej sofy, okrągłej wanny i złotych kurków. Jeśli zamiast tego znajdziemy wyblakłe kolory, bezcenne acz wytarte orientalne dywaniki, sfatygowaną adamaszkową sofę pokrytą psią sierścią oraz popękaną drewnianą deskę sedesową, przyjdzie nam zrewidować wstępne ustalenia; przesuniemy lokatorów wyżej w hierarchii społecznej i uznamy, że mają oni jakiś stosowny powód do oglądania telewizji satelitarnej - może na przykład pracują w mediach (sprawdźmy wtedy, czy w toalecie na dole nie ma nagród BAFTA) lub żywią ekscentryczną namiętność do koszykówki, sitcomów czy jakiegoś innego aspektu kultury popularnej.

Ekscentryczność

I tu mamy kolejny czynnik komplikujący sprawę: w kategoriach społecznych gust często jest oceniany nie według czynu, a według jego sprawcy. Dom osoby o bezpiecznej, stabilnej pozycji członka konkretnej klasy może wykazywać wiele wyjątków od zasad, które wymieniłam, bez niebezpieczeństwa reklasyfikacji w dół czy w górę. Czytałam gdzieś, że dom księżniczki Anny, Gatcombe Park, jest zagracony wszelkimi prezentami, jakie kiedykolwiek dostała, jak na przykład kiczowate laleczki w strojach narodowych i tanie afrykańskie rzeźby, zwykle widywane tylko w „pokojach od ulicy” klasy robotniczej. Wśród klasy wyższej, a nawet mocno zakorzenionej wyższej warstwy klasy średniej, takie oznaki plebejskiego gustu są zwykle uznawane za nieszkodliwe dziwactwo.

Działa to także w drugą stronę. Miałam koleżankę o rodowodzie nieskazitelnie robotniczym (była sprzątaczką w szkole, mieszkała w zapuszczonym osiedlu domów komunalnych), której pasją był typowy dla klasy wyższej sport hipiczny, „wszechstronny konkurs konia wierzchowego” (także, przypadkowo, uprawiany chętnie przez księżniczkę Annę). Koleżanka trzymała konia (za darmo, w zamian za sprzątanie stajni) w pobliskiej szkółce jeździeckiej, a jej kuchnia w budynku komunalnym była przyozdobiona rozetkami i fotografiami jej samej uczestniczącej w lokalnych rozgrywkach z udziałem koni używanych do polowań i w różnych innych imprezach. Jej „robotniczy” znajomi i sąsiedzi zaakceptowali

jej hobby „z wyższych sfer” i te ozdoby jako niewinne dziwactwo, nieco ekscentrycznego „konika”, który w żaden sposób nie wpływa na jej status osoby społecznie im równej.

Owa „klauzula ekscentryczności” sprawdza się najlepiej na szczycie i na samym dole drabiny społecznej. Strefy pośrednie są bardziej narażone na reklasyfikację z powodu odchylenia od normy klasowej. Jedno uchybienie, jeśli chodzi o gust w urządzeniu wnętrz, można im wybaczyć lub zignorować, ale już dwa i więcej mogą im zaszkodzić. Nawet tym mniej wrażliwym radzimy wybrać sobie dziwactwo z klasy na przeciwległym końcu skali, a nie z tej sąsiadującej z ich własną. Na przykład członek wyższej warstwy klasy średniej, wykazujący dowody gustu typowego dla średniej warstwy tej samej klasy, będzie traktowany bardziej podejrzliwie i prędzej może zostać zdegradowany społecznie niż osoba z wyższej warstwy klasy średniej z zamiłowaniem do czysto „proletariackich” mebli czy ozdób.

W przypadkach granicznych pewne prezenty, nawet podyktowane najlepszymi intencjami, mogą stanowić problem dla świadomych klasowo Anglików. Raz podarowano mi bardzo ładne drewniane podkładki pod szklanki, a ponieważ nie mam żadnych stołów, które warto byłoby chronić przed plamami z napojów - no i, muszę to przyznać, nie chcę, żeby podejrzewano mnie o instynkty drobnomieszczańskie - używam ich do blokowania okien. Mogłabym oczywiście zlecić naprawę popękanych ram, ale co wtedy zrobiłabym z podkładkami? Bycie Anglikiem czasem nie jest łatwe.

Jak rozmawiać o domach

Bez względu na klasę społeczną istnieją zasady normujące nie tylko to, co musimy *zrobić* po wprowadzeniu się do nowego domu, ale także jak powinniśmy o tym mówić - a ściślej biorąc, jak powinniśmy na to narzekać.

„Koszmar!”

Mówiąc o przeprowadzce, należy zawsze opisywać ją jako przeżycie traumatyczne, najeżone trudnościami i kłopotami, nawet jeśli tak naprawdę proces przebiegał gładko i bezstresowo. Ta zasada dotyczy szukania domu, jego kupna, przeprowadzki, wszelkich przeróbek wykonanych po wprowadzeniu się oraz roboty „fachowców”; powszechnie wiadomo, że to wszystko to „koszmar”. Opowiadanie o tym w tonie choć trochę bardziej pogodnym lub nawet neutralnym zostałoby odebrane jako dziwne, może nawet aroganckie - mogłoby sugerować, że jesteśmy odporni na stres i zdenerwowanie, na które podatni są wszyscy nabywcy domów.

Tutaj w podtekście jest też zasada skromności. Im bardziej okazała lub godna podziwu jest nasza nowa rezydencja, tym bardziej musimy podkreślać kłopoty, niedogodności i „koszmary” związane z jej kupnem i remontem. Nie wypada się chwalić nabyciem pięknego

domku w Cotswold czy nawet zamku we Francji; trzeba narzekać na okropnych agentów nieruchomości, niedbałość firmy od przeprowadzek, tępotę lokalnych budowlanców lub oplakany stan kanalizacji, dachu, podłóg i ogrodu.

Takie biadolenie, odgrywane ze stosownym cierpiętniczym humorem, może być bardzo przekonujące i wielce skuteczne, jeśli chcemy odwrócić uwagę zazdrośników. Ja sama złapałam się na współczuciu - szczerym współczuciu - dla znękanych nabywców domków klejnocików i ogromnych pałaców. Nawet jeśli im nie wierzymy, a nawet jeśli gotujemy się z zazdrości, niechęci lub słusznego oburzenia, wypada wyrazić współczucie: „Jakie to irytujące!”, „Musicie być wykończeni!”, „Co za koszmar!”.

W jakimś sensie to rytualne narzekanie jest, rzecz jasna, zawołowaną przechwałką - pretekstem do rozmowy o nowej posiadłości i omówienia jej atrakcji bez sprawiania wrażenia, że się chwalamy. Jednak można je też potraktować jako kolejny przejaw angielskiego uprzejmego egalitaryzmu, przyjemniejszą formę hipokryzji. Narzekający, podkreślając przyziemne detale i trudności z nabywaniem domu lub przeprowadzką, skupiają się na problemach, które dotyczą zarówno ich, jak i ich słuchaczy, na sprawach, z którymi wszyscy możemy się identyfikować, i uprzejmie odwracają uwagę od wszelkich potencjalnie kłopotliwych różnic w statusie czy poziomie zamożności. Mogłam współczuć moim znajomym nabywającym zamek, ponieważ ich skargi koncentrowały się na jedynym elemencie ich sytuacji, który można było porównać z moimi własnymi skromnymi przeprowadzkami z jednego taniego mieszkania do innego. Tę jednak praktykę stosują wszystkie klasy, i to w kontekście o wiele mniej dramatycznej nierówności dochodów. Tylko najbardziej prostacy nuworysze łamią tę zasadę i opowiadają historie o przeprowadzkach, które w ewidentny sposób reklamują ich bogactwo.

Rozmawiamy o pieniądzach...

Podobne zasady skromności obowiązują w dyskusjach na temat cen nieruchomości. Tu dochodzi jeszcze typowe dla Anglików przewrażliwienie na punkcie mówienia o pieniądzach. Mimo że konwersacje o cenach domów stały się głównym tematem przyjęć klasy średniej, prowadzone są zgodnie z subtelną etykietą. *Nie wolno* pytać wprost, ile ktoś zapłacił za dom (lub jakikolwiek przedmiot w tym domu): to jest prawie tak niewybaczalne, jak pytanie, ile zarabia.

W interesie nauki celowo zламаłam tę zasadę kilka razy. Cóż, jeśli mam być szczerą, to tak naprawdę dwa. Pierwsza próba się nie liczy, bo tak się przy tym składałam, usprawiedliwiałam i przepraszałam (wymyśliłam sobie znajomego, który chciałby kupić dom w tej okolicy), że nie mogło to zostać uznane za pytanie wprost. A jednak doświadczenie nie

poszło na marne, ponieważ reakcja moich nieświadomych królików doświadczalnych dowiodła, że moje przeprosiny i usprawiedliwienia nie były bynajmniej niepotrzebne czy nie na miejscu.

W tych zaś dwóch przypadkach, gdy udało mi się zebrać się w sobie, wziąć głęboki oddech i zapytać o cenę domu jak należy (lub raczej jak nie należy), króliki zareagowały z - przewidywalnym - zażenowaniem. Odpowiedziano na moje pytanie, ale w niezręczny, niezdarly sposób: mężczyzna zmusił się do wymamrotania przybliżonej ceny, a potem pośpiesznie zmienił temat; kobieta roześmiała się nerwowo i wymieniła cenę, zakrywając ręką usta, podczas gdy inni goście patrzyli na mnie z ukosa, niespokojnie pokasływali i unosząc brwi, wymieniali spojrzenia przez stół. No dobrze: uniesione brwi i zakłopotane chrząkanie to najgorsze, co może nam się przydarzyć, gdy naruszymy etykietę angielskiego przyjęcia, więc moje eksperymenty mogą nie wydawać się szczególnie heroiczne. Może trzeba być Anglikiem, by pojąć, jak bardzo te brwi i to chrząkanie potrafią zabołec.

Według zasad rozmów o domach, nie wypada też wymieniać w rozmowie ceny własnego domu bez ważnej przyczyny i odpowiedniego wstępu. Cena domu może być wspomniana wyłącznie „w kontekście”, a i wtedy - tylko jeśli da się to zrobić w sposób autoironiczny lub przynajmniej tak, żeby było jasne, że nie chcemy ostentacyjnie popisywać się bogactwem. Możemy na przykład wspomnieć cenę domu, jeśli kupiliśmy go wiele lat temu, za sumę, która teraz wydaje się śmiesznie mała.

Obecna *wartość* naszego domu, z jakiegoś niezbadanego powodu, to inna sprawa, która może być tematem niekończących się dyskusji i spekulacji - choć aktualne ceny nieruchomości, w tym przybliżoną wartość naszego własnego domu, należy zawsze określać jako „niepoważne”, „szalone”, „absurdalne” lub „oburzające”. Może to jest wskazówka, dlaczego wartość domu można omawiać, a ceny nie: prawdopodobnie aktualną wartość domu uważa się za sprawę kompletnie poza naszą kontrolą (trochę jak pogodę), natomiast cenę faktycznie zapłaconą za wyraźny wskaźnik finansowego statusu właściciela.

...i o przeróbkach

Niezależnie od naszej klasy czy statusu finansowego, i niezależnie od wartości domu, do którego się wprowadzamy, wypada skrytykować gust poprzedniego lokatora. Jeśli brakuje nam czasu, zdolności lub funduszy, aby „wypruć” wszystkie dowody złego gustu poprzedniego właściciela, musimy, oprowadzając znajomych po nowym domu, głęboko wzdychać, przewracać oczami lub krzywić się i mówić: „No cóż, my byśmy tego nie wybrali, oczywiście, ale przez jakiś czas będziemy musieli to znosić”, albo, bardziej zwięźle: „Za ten pokój się jeszcze nie braliśmy”. Oszczędzi to także naszym gościom kłopotliwej sytuacji,

kiedy to po wygłoszeniu komplementów pod naszym adresem w związku z pokojem, który jeszcze nie został „przerobiony”, musieliby wycofywać się z niezręcznymi komentarzami, żeby zachować twarz: „Ach, oczywiście, mówiąc «śliczne» miałam na myśli proporcje, ee, widok z okna, mmm... to znaczy, ten pokój ma taki *potencjał*...”.

Pokazując gościom rezultaty własnego majsterkowania czy mówiąc o własnych ulepszeniach na przyjęciu lub w pubie, należy się stosować do surowej zasady skromności. Nawet jeśli mamy spore talenty, zawsze musimy bagatelizować własne osiągnięcia i jeśli to możliwe, wyolbrzymiać najbardziej krępujące błędy i wpadki. Badania pracowników naszego instytutu w sklepach dla majsterkowiczów, jak i moje własne w domach towarowych plus podsłuchiwanie rozmów w pubach, wykazały niezmienną tę zasadę - bohaterowie usiłowali niemal licytować się, jeśli chodzi o autoironiczne uwagi, próbując przebić zabawne opowieści innych o ich katastrofalnej nieudolności. „Mnie się udało podczas układania dywanu przedziurawić tylko trzy rury!”. „Ja zniszczyłem drogi dywan, bo obciąłem cztery cale za krótko, więc musiałem wstawić kilka regałów, żeby zakryć dziurę”. „Ja jakimś cudem zamontowałem zlew tyłem do przodu - i zanim się spostrzegłem, położyłem wszystkie kafelki”. „To ja zrobiłem jeszcze lepiej: godzinę mocowałem wieszak na ubrania - poszły trzy filiżanki herbaty - a potem okazało się, że powiesiłem go do góry nogami!”. „No więc zamalowałem ten trefny kawałek i próbowałem udawać, że tak miało być, ale moja dziewczyna na mnie napadła: «Ty ciężki idioto!»,».

Rozmowy o domach - warianty klasowe

Rozmowy o domach, jak wszystko inne w Anglii, podlegają zasadom klasowym. Orowadzanie wycieczek gości po domu czy zapraszanie ich na inspekcję naszej nowej łazienki, aneksu kuchennego, zaadaptowanego strychu czy świeżo odnowionego „pokoju od ulicy” jest uważane za zwyczaj klas niższych. No, chyba że dopiero się wprowadziliśmy i „oblewamy” nową siedzibę, lub przypadkiem mieszkamy w szczególnie dziwnym czy niezwykłym domu (na przykład w przerobionej latarni morskiej czy kościele). Członkowie średniej warstwy klasy średniej i niższych mają skłonność do takich rytualnych pokazów - potrafią nawet zapraszać znajomych, specjalnie żeby się popisać swoją nową werandą lub kuchnią - ale w wyższej warstwie klasy średniej i wyżej, jest to w złym tonie. W najwyższych sferach angielskiego społeczeństwa zarówno od gości, jak i od gospodarzy wymaga się udawanego braku zainteresowania; niestosownie jest, odwiedzając kogoś w domu, zwracać uwagę na otoczenie, a już komplementy uważane są za zdecydowanie *naff*, jeśli nie po prostu impertynencję. Podobno pewien książę po wizycie nowego sąsiada fuknął ze złością: „Ten człowiek pochwalił moje krzesła, co za tupet!”.

Pewne ślady tego przewrażliwienia klas wyższych na punkcie „domu na pokaz” przeciekły w dół, przynajmniej do warstw średnich; pozwalają sobie one czasem na popisywanie się oszklonymi werandami itp., ale często z pewną niezręcznością czy zakłopotaniem. Zaprowadzą nas do nowej kuchni, która jest ich dumą i radością, ale postarają się sprawiać wrażenie lekceważących lub obojętnych, robiąc skromne uwagi, takie jak: „No cóż, musieliśmy *coś* z nią zrobić - była już w strasznym stanie”, chwając się bez przekonania: „Przynajmniej teraz ze świetlikiem jest jaśniej”, lub skupiając się na nieuniknionych trudnościach („koszmarach”), które wystąpiły przy remoncie: „Miał trwać tydzień, ale mieliśmy tu gips, pył i totalny chaos przez ponad miesiąc”.

Jednak w odróżnieniu od kast wyższych, ci skromni członkowie klasy średniej nie obrażą się za pochwałę, choć ogólnie zaleca się komplementy raczej zawoalowane niż konkretne. Anglicy zwykle są bardzo drażliwi na punkcie swoich domów, i jeśli mówimy za bardzo „wprost”, zawsze istnieje ryzyko skomplementowania nie tych aspektów przeróbek, co trzeba, lub pochwały nieodpowiednimi słowami - na przykład gdy nazwiemy pokój „przytulnym” lub „wesołym”, gdy celem naszych gospodarzy było stworzenie aury wytwornej elegancji. Lepiej trzymać się ogólnych wyrazów aprobaty, takich jak „piękne” albo „bardzo ładne”, chyba że znamy tych ludzi na tyle dobrze, że możemy pozwolić sobie na większą bezpośredniość.

Ten okropny agent

Ta krańcowa drażliwość - dowód na to, jak bardzo z naszym domem wiąże się nasza tożsamość - może nam wyjaśnić powszechną i chyba dość irracjonalną niechęć Anglików do agentów handlu nieruchomościami. W Anglii rzadko słyszy się dobre słowo o przedstawicielach tej profesji. Nawet ludzie, którzy nigdy z nimi nie mieli do czynienia, mówią o nich z pogardą. Istnieje niepisana zasada, że z agentów należy bez przerwy drwić, potępiać ich i obrażać. Zrównuje się ich w tym z funkcjonariuszami służb parkingowych i akwizytorami wciskającymi nam na przykład podwójne szyby - jednakże grzechy tych dwóch ostatnich grup są oczywiste, nikt natomiast, jak odkryłam, nie potrafi sprecyzować, czym właściwie zasłużyli sobie na oczernianie pośrednicy w obrocie nieruchomościami.

Gdy prosiłam rozmówców, by uzasadnili swoją awersję do agentów, odpowiedzi były niewyraźne, niekonsekwentne i często sprzeczne; agenci obrotu nieruchomościami są wyśmiewani jako głupie i niekompetentne „pacany”, ale także atakowani jako osobnicy chytry, pazerni, podstępni i zwodniczy. Ponieważ trudno mi było zrozumieć, w jaki sposób agent może być jednocześnie ograniczony umysłowo i sprytnie przebiegły, w końcu przestałam naciskać na racjonalne wyjaśnienie ich niepopularności i spróbowałam szukać

tropów, badając szczegółowo mechanizm naszych z nimi kontaktów. Co zatem właściwie robią agenci handlu nieruchomościami? Przychodzą dokonać oględzin naszego domu, toczą po nim obiektywnym okiem, wyceniają jego wartość, dają o nim ogłoszenie, oprowadzają po nim ludzi i próbują go sprzedać. Co w tym jest takiego obraźliwego? No cóż - wszystko, jeśli słowo „dom” zastąpi się słowem „tożsamość”, „osobowość”, „status społeczny” czy „gust”. Agenci obrotu nieruchomościami wydają opinię nie o jakiejś neutralnej nieruchomości, ale o *nas*, o naszym stylu życia, pozycji społecznej, naszym charakterze, o naszym własnym ja. I przyczepiają na tym metkę z ceną. Nic dziwnego, że nie możemy ich znieść. Robiąc sobie z nich obiekt żartów i pogardy, redukujemy ich moc ranienia naszych uczuć; jeśli wszyscy się zgadzamy, że agenci obrotu nieruchomościami są głupi, nieudolni i nieszczerzy, ich opinie i osądy tracą na znaczeniu, ich wtargnięcie w naszą sferę prywatności staje się mniej traumatyczne.

Ogród

Z naszego helikoptera na początku rozdziału widzieliśmy, że wszyscy Anglicy chcą mieszkać we własnych pudełeczkach z prywatnym skrawkiem zieleni. To nasze upieranie się przy własnym kawałku „zielonego” jest, paradoksalnie, główną przyczyną profanacji angielskiej wsi przez tworzenie „nieokiełzanych zielonych przedmieść” i zniszczenie środowiska i zanieczyszczenia, które one za sobą pociągają. Anglicy po prostu nie chcą mieszkać w mieszkaniach czy dzielić podwórek z innymi, jak mieszkańcy miast w obcych krajach. My musimy mieć nasze prywatne pudełka i skrawki zieleni.

Niezależnie od wielkości, skrawek zieleni jest co najmniej tak ważny jak pudełko. Małe spłachetki ziemi, które niemal wszędzie indziej na świecie uznano by za zbyt małe, żeby sobie nimi zawracać głowę, są traktowane jak wspaniałe wiejskie posiadłości. Nasze fosy i mosty zwodzone mogą być wyimaginowane, ale zamek każdego Anglika ma swoje miniaturowe „tereny zielone”. Weźmy typową, niczym się niewyróżniającą ulicę na przedmieściach lub w dzielnicy mieszkaniowej, na ogół z dwoma rzędami niedużych, nijakich bliźniaków lub szeregowców - taką ulicę, przy jakiej mieszka ogromna większość Anglików. Każdy dom zwykle posiada małe ogródek od frontu i większy kawałek zieleni z tyłu. W nieco bardziej zamożnych dzielnicach „kawałek” od frontu jest trochę większy, a dom cofnięty o kilka stóp w głąb. W dzielnicach uboższych ogródek z przodu domu może się skurczyć do rozmiarów symbolicznego skrawka, choć wciąż może mieć bramkę wejściową, ścieżkę prowadzącą parę kroków do drzwi frontowych i jakieś rośliny lub odrobinę zieleni po obu stronach ścieżki, na dowód, że jednak kwalifikuje się jako „ogródek od frontu”. (Ogródek taki, ze swoją ścieżką, może także być uważany za rodzaj symbolicznej fosy i mostu

zwodzonego).

„Własnym ogródkiem frontowym cieszyć się nie wolno”

Na wszystkich typowych ulicach tego rodzaju wszystkie ogródki, czy to od frontu, czy od tyłu, są otoczone murkiem lub ogrodzeniem. Murek wokół ogródka frontowego jest zwykle niski, tak żeby każdy mógł do niego zajrzeć, a ten z tyłu - wysoki, żeby nikt nie mógł. Ogródek z przodu jest z reguły staranniej zaprojektowany i utrzymany niż ogród z tyłu. Nie dlatego, że Anglicy spędzają więcej czasu, upajając się swymi ogródkami frontowymi. Wprost przeciwnie: w ogródkach od frontu Anglicy w ogóle nie przebywają, poza czasem koniecznym do pielienia, podlewania i dokładania starań, by były „ładne”.

To jedna z najważniejszych zasad dotyczących ogródków: nigdy, przenigdy nie *siedzimy* w naszych ogródkach frontowych. Nawet jeśli jest tam miejsce na jakąś ławkę, nigdy jej się nie widuje. Nie tylko byłoby to nie do pomyślenia, żeby ktoś siedział w swoim ogródku frontowym, dziwne byłoby nawet, gdyby tam przez dłuższy czas *stał*, nie kucając, żeby wyrwać chwast, czy nie pochylając się, by przyciąć żywopłot. Jeśli ktoś nie kuca, nie pochyla się, nie zgina czy nie wygląda na zajętego pracą w inny sposób, jest co najmniej podejrzany.

Ogródki z przodu domu, nieważne jak piękne i skłaniające do relaksu, są wyłącznie na pokaz; są po to, żeby podziwiali je inni, nie ich właściciele. Ta zasada zawsze przypomina mi prawa społeczeństw plemiennych o skomplikowanym systemie wymiany darów, według którego ludziom zabrania się konsumowania owoców własnej pracy: „Własnych świń jeść nie wolno...” to najsłynniejszy i najczęściej cytowany przykład; odpowiednikiem angielskim jest „Własnym ogródkiem frontowym cieszyć się nie wolno”.

Dostępność towarzyska w ogródku frontowym. Metoda „gąbki”

Gdy jesteśmy w swoim ogródku frontowym i rzeczywiście kucamy, schylamy się i przycinamy, możemy się przekonać, że jest to jedna z bardzo niewielu okazji, gdy odzywają się do nas sąsiedzi. Osoba zajęta pracą w swoim ogródku frontowym jest uważana za towarzysko „dostępną” i wtedy sąsiedzi, którym do głowy by nie przyszło zapukać do naszych drzwi frontowych, mogą zatrzymać się na pogaduszki (niemal zawsze zaczynając od komentarza na temat pogody lub uprzejmej uwagi pod adresem naszego ogródka). Znam wiele ulic, na których ludzie mający do omówienia jakąś ważną sprawę z sąsiadem (na przykład podanie o zezwolenie na budowę) lub wiadomość do przekazania, będą cierpliwie czekać - czasem całe dni czy tygodnie - aż dany sąsiad zacznie pracować w swoim ogródku frontowym, zamiast „nachodzić” go, naciskając dzwonek przy jego drzwiach.

Owa dostępność towarzyska ogrodników frontowych okazała się bardzo pomocna dla

moich badań, jako że mogłam podchodzić do nich z niewinnym pytaniem o drogę, następnie w celu przełamania lodów zagajać na temat pogody i komentować ich ogródki, a wreszcie stopniowo wciągać ich w rozmowę na temat ich zwyczajów ogrodowych, remontów domowych, dzieci, zwierzaków itd. Czasem udawałam, że ja, moja matka, siostra czy kuzynka mamy zamiar przeprowadzić się do tej dzielnicy, co dawało mi pretekst do zadawania bardziej wścibskich pytań o sąsiedztwo, lokalne puby, szkoły, sklepy, kluby, organizacje i imprezy - i odkrywania wielu informacji na temat związanych z nimi niepisanych zasad społecznych. Podczas tych rozmów, choć czasem skupiałam się na jakiejś mojej aktualnej obsesji, powiedzmy na agentach obrotu nieruchomościami, często nasiąkałam całą masą przypadkowych danych na rozmaite tematy, w nadziei, że kiedyś później je sobie uporządkuję. Nie jest to wcale taka głupia metoda badawcza, jak się wydaje - może nawet ma jakąś naukową nazwę, ale nigdy nie mogę sobie przypomnieć stosownego terminu, więc nazywam ją „metodą gąbki”.

Wyjątek: ogrodowa sofa kontrkultury

Istnieje zaledwie jeden wyjątek mniejszościowy od zasady „własnym ogródkiem frontowym cieszyć się nie wolno”, który jak zwykle potwierdza regułę. Ogródki frontowe niedobitków hipisów, New Age’owców i przedstawicieli wielu innych „kontrkultur” czasem szczycą się starą, zapadniętą wersalką, na której siedzą mieszkańcy danego domu, świadomie przeciwstawiając się konwencji i czerpiąc autentyczną radość ze swojego ogródka (który, też w ramach buntu przeciw konwencji, jest zazwyczaj zaniedbany i zarośnięty).

Ten „wyjątek” od zasady „w ogródku frontowym się nie siedzi” jest wyraźnie aktem celowego nieposłuszeństwa: ludzie ci siedzą zawsze na kanapie, nigdy na drewnianej ławce, plastikowym krześle czy jakimkolwiek innym meblu stosownym do postawienia przed domem. Owa wysiedziana, często zawilgocona i w rezultacie gnijąca kanapa jest deklaracją, taką, która zwykle występuje w połączeniu z innymi deklaracjami, jak picie herbaty ziołowej, jedzenie organicznej wegańskiej żywności, palenie marihuany, ubieranie się w stylu wojujących ekologów, ozdabianie okien plakatami z hasłem „«Nie» dla modyfikacji genetycznej”... tematyka i trendy mogą się różnić, ale wiecie, co mam na myśli: te typowe kontrkultury.

Wygniatający ogrodową kanapę osobnicy mogą być obiektem dezaprobaty ze strony bardziej konserwatywnych sąsiadów, zgodnie jednak z tradycyjnymi angielskimi zasadami narzekania, podglądacze zza firanki wydziwiają zwykle tylko we własnym gronie, zamiast stawić czoło winowajcom. Tak naprawdę, dopóki kanapowcy trzymają się swego kontrkulturowego zestawu jasnych zasad i konwencji i nie robią nic dziwnego ani

niepokojącego - to znaczy nie wstępują do lokalnego koła gospodyń ani nie zaczynają grać w golfa - są ogólnie tolerowani, z tą niechętną, bierną wyrozumiałością, do której Anglicy mają szczególny talent.

Ogród na tyłach

Ogród z tyłu domu, ten, którym wolno nam się cieszyć, jest często dość niechlujny lub, przynajmniej, kompletnie bez wyrazu, i tylko zupełnie wyjątkowo bywa tą piękną, wielobarwną kompozycją róż, malw, bratków, treliazy, ozdobnych furteczek i Bóg wie czego jeszcze, jaką wszyscy uważają za typowy angielski ogród. To, co powiem, graniczy z bluźnierstwem, ale muszę zauważyć, że prawdziwie typowy angielski ogród „tylny” jest w istocie dość nudnym prostokątem trawy z jakimś brukowanym „patio” na jednym końcu i szopą bez szczególnej wartości estetycznej czy architektonicznej na drugim, ścieżką z jednej strony i czasem grządką krzewów i kwiatów zasadzonych raczej bez fantazji wzdłuż drugiej.

Występują oczywiście odmiany tematyczne. Ścieżka może biec wzdłuż grządki kwiatowej lub przez środek trawiastego prostokąta, z grządkami wzdłuż obu murów. Zdarzyć się może parę drzew. Czasem jakieś krzaki czy donice, lub może rośliny pnące na murach. Brzegi klombów mogą być wygięte lub proste. Podstawowy jednak model konwencjonalnego angielskiego ogrodu - szablon: wysokie mury, kawałek bruku, kawałek trawy, ścieżka, klomb, szopa - jest natychmiast rozpoznawalny, krzepiąco wyraźny, kojąco swojski. Ten schemat musi być jakoś wryty w angielskiej duszy, ponieważ jego wierne kopie, z niewielkimi tylko odchyleniami i wariacjami, widać z tyłu prawie wszystkich domów na każdej ulicy w kraju³.

Turyści nie mają szans na zobaczenie zwykłego, typowego angielskiego „tylnego” ogródka. Te jakże prywatne miejsca ukryte są przed ulicą z tyłu naszych domów, a nawet ukryte przed sąsiadami dzięki wysokim murom, żywopłotom czy ogrodzeniom. Nigdy nie widnieją w ilustrowanych albumach o ogrodzie angielskim i nigdy nie wspomina się o nich w przewodnikach dla turystów czy w ogóle w jakichkolwiek innych publikacjach o Anglii, które powtarzają jak papuga powszechną opinię, że Anglicy to naród kreatywnych geniuszy sztuki ogrodowej. To dlatego, że autorzy tych książek nie prowadzą badań, łażąc po domach zwykłych ludzi, wspinając się na dachy i mury z tyłu standardowych przedmiejskich bliźniaków i gapiąc się przez lornetkę na rzędy normalnych, przeciętnych angielskich ogrodów. (No to teraz już wiecie: myśleliście, że to włamywacz lub podglądacz, a to byłam ja). Trzeba jasno stwierdzić: z estetycznego punktu widzenia, nabierani turyści, anglofile i entuzjaści ogrodnictwa, którzy czytają te wszystkie rzeczy o angielskim ogrodzie, raczej wiele nie tracą.

A jednak jestem trochę niesprawiedliwa. Przeciętny angielski ogród, nieważne, jak

wtórny czy banalny, jest właściwie, w pogodny słoneczny dzień, dość przyjemnym miejscem, gdzie można posiedzieć, wypić filiżankę herbaty, rzucić chleb ptakom i cicho utyskiwać na ślimaki, prognozę pogody, rząd i kota sąsiadów. (Zasady rozmów w ogrodach wymagają, by takie narzekanie równoważyć bardziej pogodnymi uwagami, na przykład, jak to ładnie się w tym roku udały irysy i orliki).

I trzeba też powiedzieć, że nawet w najbardziej przeciętnym angielskim ogrodzie widać, że Anglicy wkładają weń znacznie więcej pracy, niż inwestuje w swe poletka większość innych nacji. Na przykład typowy ogród amerykański nawet nie zasługuje na tę nazwę, słusznie więc jest określany słowem *yard* [które w brytyjskim angielskim oznacza „podwórko”], a większość zwykłych ogrodów europejskich to po prostu miejsca porośnięte trawą⁴. Jedyne starania Japończyków - podobnych do nas mieszkańców innej zatłoczonej wysepki - można porównać z naszymi, i pewnie nie jest przypadkiem, że bardziej „trendy” angielscy ogrodnicy, o większej świadomości estetycznej, często pozostają pod wpływem stylów japońskich (patrz aktualna moda na drewniane dachy, kamyki i urządzenia wodne). Ale awangardowi ogrodnicy są niewielką mniejszością; wydaje mi się, że nasza reputacja „narodu ogrodników” musi brać się z naszej *obsesji* na punkcie naszych skrawków trawy, naszej *miłości* do ogrodów, a nie z jakiegoś wyjątkowego artystycznego polotu, jeśli chodzi o ich wygląd.

KTOO

Nasze zwyczajne ogródki na tyłach domów może nie są szczególnie piękne, ale niemal wszystkie świadczą o zainteresowaniu, uwadze i staraniach właścicieli. Ogrodnictwo jest bodaj najpopularniejszym hobby w tym kraju - ostatecznie ponad dwie trzecie populacji określiło się jako „aktywni ogrodnicy”. (Czytając te słowa, nie mogę się oprzeć refleksji, na czym mogłoby polegać „ogrodnictwo bierne” - czy da się tu zaliczyć irytację dźwiękiem kosiarek, jak przy biernym paleniu? - ale wiadomo, o co chodzi).

Prawie wszystkie angielskie domy mają jakiś ogródek i prawie wszystkie ogródki są zadbane i wypielęgnowane. Niektóre bardziej starannie i fachowo niż inne, ale rzadko się widzi ogród całkowicie zapuszczony. A jeśli już, to jest po temu jakiś powód: może dom jest niezamieszkały albo wynajmuje go grupa studentów (którzy uważają, że zajmowanie się ogrodem należy do obowiązków właściciela), albo zajmuje go ktoś, dla kogo zaniedbywanie ogrodu stanowi jakiś rodzaj manifestu na temat ideologii lub stylu życia; wreszcie może ktoś bardzo biedny, niepełnosprawny lub ktoś, kto cierpi na depresję i ma ważniejsze problemy na głowie.

To ostatnie można jeszcze, aczkolwiek niechętnie, wybaczyć, ale pozostałe powody są

przedmiotem niezadowolenia i dezaprobaty sąsiadów. Istnieje coś w rodzaju nieoficjalnego Krajowego Towarzystwa Ochrony Ogrodów, dla którego członków zapuszczenie ogrodu to prawie tak ciężki grzech jak znęcanie się nad zwierzętami czy dziećmi.

Zasada KTOO, być może tak samo jak nasze autentyczne zainteresowanie ogrodnictwem, może tłumaczyć, dlaczego czujemy się zobligowani do poświęcania takiej ilości czasu i wysiłku naszym ogródkom⁵.

Ogród a klasa

Historyk ogrodnictwa Charles QuestRitson śmiało odrzuca aktualny, dość pretensjonalny trend studiowania ogrodnictwa jako formy sztuki, a historii ogrodnictwa jako działu historii sztuki. Ogrodnictwo, jego zdaniem, „ma niewiele wspólnego z historią sztuki czy rozwojem teorii estetycznych... Tu chodzi o aspiracje społeczne, styl życia, pieniądze i klasę”. Skłonna jestem się z nim zgodzić, ponieważ moje własne badania nad Anglikami i ich ogrodami sugerują, że wygląd i zawartość ogrodu Anglika są zazwyczaj zdeterminowane - lub przynajmniej bardzo mocno inspirowane - trendami obowiązującymi w klasie, do której właściciel ogrodu należy lub do której aspiruje.

„Dlaczego - pyta QuestRitson - setki Angielek z klasy średniej mają ogród biały, ogródek warzywny i kolekcję staroświeckich róż? Ponieważ te rzeczy są eleganckie, lub może były jakieś dziesięć lat wcześniej - nie dlatego, że ich właścicielki sądzą, że są one piękne czy pożyteczne, ale ponieważ zapewniają im dobre samopoczucie, sprawiają, że czują się lepsze od sąsiadów. Ogrody są symbolami statusu społecznego i ekonomicznego”. Ja bym to złagodziła; wydaje mi się, że nie jesteśmy aż tak *świadomi* czynników socjoekonomicznych nadających wygląd naszym klombom, jak sugeruje QuestRitson. Możemy naprawdę uważać, że nasz kierowany przynależnością klasową wybór roślin i projektów jest piękny - choć wcale nie mniej uwarunkowany społecznie.

Wskaźniki klasy i ekscentryczność

Na nasz gust wpływa to, co widzimy w ogrodach znajomych, rodziny i sąsiadów. W Anglii, gdy człowiek dorasta, uczy się, że niektóre kwiaty i ich zestawienia są „ładne” i „w dobrym guście”, a inne „brzydkie” i „ordynarne”. Do chwili założenia własnego ogródka wiemy już, jeśli jesteśmy z wyższych sfer społecznych, na co „instynktownie” kręcić nosem: kiczowate rośliny jednoroczne (jak cynia, szalwia błyszcząca, aksamitki i petunie), ozdobne ogródki skalne, trawę pampasową, wiszące doniczki, niecierpki, chryzantemy, gladiole, ogrodowe krasnale i staw ze złotymi rybkami. Natomiast za miłe dla oka uważamy żywopłoty z bukszpanu, staroświeckie krzewy różane, rabatki z bylin trwałych, powojniki, złotokap, desenie w stylu neoTudorów i ArtsandCrafts oraz kamienne ścieżki w stylu York.

Mody ogrodowe są zmienne, a tak czy inaczej błędem byłoby ustalać klasę społeczną właściciela ogrodu na podstawie paru kwiatków czy ozdób. Także i tutaj znajduje zastosowanie „klauzula ekscentryczności”; jak zauważa QuestRitson: „Gdy właściciel ogrodu raz zdobędzie reputację dobrego ogrodnika, wolno mu już dawać wyraz uwielbienia dla tego, co niemodne, plebejskie i prostackie”. Ja powiedziałabym, że wystarczy mieć mocną i jednoznaczną pozycję jako członka klasy wyższej lub wyższej warstwy klasy średniej, mniejsza o rękę do roślin - ale chodzi mniej więcej o to samo. W takim wypadku pojedynczy krasnal czy cynia raczej nie przyczynią się do degradacji właściciela, a mogą być tolerowane jako indywidualne dziwactwo.

Aby ocenić więc klasę społeczną właściciela ogrodu, zamiast wariować na punkcie semiotyki klasowej poszczególnych roślin, lepiej spojrzeć na ogólny styl ogrodu - zwłaszcza jeśli nie potrafimy odróżnić staroświeckiej róży od odmiany Hybrid Tea. Ogólnie mówiąc, ogrody niższych warstw społecznych są zwykle bardziej krzykliwe (ich właściciele powiedzieliby „kolorowe” lub „wesołe”) i bardziej uporządkowane („schludne”, „zadbane”) niż te ze społecznych wyżyn.

Ogrody klasy wyższej przeważnie mają wygląd bardziej niezobowiązujący, bardziej naturalny, świadczący o mniejszych staraniach, a barwy bardziej wyblakłe lub subtelne. Podobnie jak „naturalny wygląd” w makijażu, osiągnięcie tego efektu może wymagać bardzo dużo czasu i wysiłku - może nawet więcej, niż pochłaniają wykrojone jak ciasteczka klomby i równiutkie grządki w ogrodzie klasy niższej - ale tego wysiłku nie widać; mamy wrażenie uroczonego, niewymuszonego nieładu, przy czym zwykle między roślinami widać niewiele ziemi lub wcale. Nadmierne zadręczanie się i zamartwianie z powodu paru chwastów i nadgorliwe pielęgnowanie trawników jest uważane przez klasy wyższe jako coś w guście klasy niższej.

Zamożniejsze osoby z klasy wyższej do zamartwiania się i pielęgnowania mają oczywiście (pochodzących z klasy niższej) ogrodników, dlatego też ich ogrody mogą czasem wyglądać trochę zbyt schludnie - ale gdy się z nimi rozmawia, okazuje się, że często narzekają na perfekcjonizm swoich ogrodników („Fred to straszny panikarz - dostaje ataku, gdy jakaś stokrotka śmie podnieść swoją brzydką główkę na «jego» trawniku!”) w taki sam protekcyjny sposób, w jaki niektórzy biznesmeni i ludzie „na stanowisku” wyśmiewają schludność swoich supersekretek („Och, mnie nawet nie wolno znaleźć się w *pobliżu* szafki z aktami - mógłbym zburzyć jej cenny system ustawiania według kolorów!”).

Ironiczny krasnal

Abstrahując od proletariackiej schludności gorliwych ogrodników, jeśli już

zauważymy w takim ogrodzie jakiś element nieoczekiwanie i niewątpliwie plebejski, warto o niego zapytać właściciela. Reakcja powie nam o wiele więcej o klasie właściciela niż sam dany przedmiot. Ja kiedyś wyraziłam delikatne zdziwienie obecnością krasnala w ogrodzie człowieka z wyższej warstwy klasy średniej (rzuciłam inteligentną uwagę, coś w stylu: „O, krasnal!”). Właściciel ogrodu wyjaśnił, że krasnal jest „ironiczny”. Zapytałam go, przeprasząc za moją ignorancję, w jaki sposób można stwierdzić, że jego krasnal ogrodowy ma być ironicznym manifestem, a nie po prostu krasnałem. Z pewną wyższością odpowiedział, że wystarczy, iż spojrzę na resztę ogrodu, a stanie się dla mnie oczywiste, że krasnal to żart.

Ale przecież, upierałam się, krasnale ogrodowe zawsze są pewnego rodzaju żartem, w każdym ogrodzie - to znaczy, nikt ich nie bierze na poważnie ani nie uważa za dzieło sztuki. Jego odpowiedź była dość chaotyczna i zawila (nie mówiąc już o urażonym tonie), ale sprowadzała się do tego, że klasy niższe postrzegają krasnale jako autentycznie zabawne, jego krasnal natomiast jest śmieszny li tylko z powodu swojej niestosownej obecności w „eleganckim” ogrodzie. Innymi słowy, krasnale w osiedlach komunalnych to żart, a jego krasnal to żart z gustu mieszkańców osiedli komunalnych, czyli w gruncie rzeczy żart na temat klasy. Subtelna, ale zasadnicza różnica. Nie trzeba chyba dodawać, że nigdy więcej mnie nie zaprosił.

Reakcja tego człowieka na moje pytania jasno określiła go jako członka wyższej warstwy klasy średniej, a nie właściwej wyższej. Praktycznie już sama jego uwaga, że krasnal, którego zobaczyłam, jest „ironiczny”, zdegradowała go o pół klasy w stosunku do mojej początkowej oceny. Autentyczny członek klasy wyższej albo śmiało przyznałby się do pasji do krasnali ogrodowych (i gorliwie pokazywał inne przykłady tego gatunku, rozsiane po jego skądinąd niewymuszenie eleganckim ogrodzie), albo powiedziałby coś w rodzaju: „A, tak, mój krasnal. Bardzo lubię mojego krasnala” - i pozwolił mi wyciągnąć własne wnioski. Klasa wyższa nie dba o to, co wścibska antropolog (ani ktokolwiek inny) o niej myśli, a już na pewno nie potrzebuje ironicznymi krasnami, żeby podkreślić swój status.

Dom a angielskość

Czy te niepisane zasady dotyczące angielskich domów i ogrodów mogą pomóc nam objaśnić, udoskonalić czy rozszerzyć „gramatykę” angielskości? Czy odkryliśmy lub potwierdziliśmy jakieś nowe kandydatki do statusu „cech definiujących”? Biorąc pod uwagę, że nasze domy i ogrody są dwiema naszymi głównymi obsesjami, dziwne byłoby, gdyby analiza ich fundamentalnych zasad nie zaowocowała jakimś użytecznym przyczynkiem do zrozumienia naszego charakteru narodowego.

Wszystkie istoty ludzkie mają instynkt terytorialny, ale angielska obsesja na punkcie domów i mania budowania gniazd wykracza daleko poza niego. Prawie wszyscy komentatorzy wypowiedzieli się na temat tej angielskiej fiksacji, ale żaden jeszcze nie zaproponował satysfakcjonującego wyjaśnienia. Jeremy Paxman jest najbliższy zrozumienia tej cechy charakterystycznej, gdy mówi, że „«Dom» to jest coś, co Anglicy mają zamiast Ojczyzny”⁶, ale to i tak nie tłumaczy naszej neurotycznej obsesji na punkcie domów. Próby przypisania tej fiksacji angielskiemu klimatowi nie są przekonujące - mieszkańcy innych krajów mają warunki pogodowe o wiele bardziej sprzyjające siedzeniu w domu, a nie dzielają naszych fanatycznych tendencji do gniazdowania.

Sądzę, że niektóre spostrzeżenia na temat tej naszej obsesji można znaleźć w „zasadach angielskości”, które ustaliliśmy w tym i poprzednich rozdziałach. W postaci zasady fosy i mostu zwodzonego już po raz piąty objawia się nam angielska fiksacja na punkcie prywatności (przebłąski widoczne są także w zasadzie „ten okropny agent”, w zasadach ogrodu frontowego i ogrodu na tyłach), a już po raz co najmniej dziewiąty czy dziesiąty pojawia się temat rezerwy i zahamowań towarzyskich. Na tym etapie mam przeczucie, że te właśnie cechy będą kwalifikować się jako „cechy definiujące” angielskość i że są one ściśle powiązane ze sobą. Wydaje mi się, że nasza obsesja na punkcie domów jest bezpośrednio związana z naszą niemal patologiczną potrzebą prywatności, a ta z kolei nierozdzielnie łączy się z naszymi zahamowaniami towarzyskimi, powściągliwością i skrępowaniem - naszym brakiem swobody i oglądy towarzyskiej.

Wygląda na to, że Anglicy mają trzy główne sposoby radzenia sobie z tą „chorobą społeczną”^e: jeden to użycie rekwizytów i „protez” ułatwiających pokonanie zahamowań i maskujących brak obycia towarzyskiego; drugi to zachowania agresywne; a ten, który teraz interesuje nas najbardziej, to wycofywanie się w prywatność i azyl naszych domówtwierdz, zamykanie drzwi, podnoszenie wymyślanego mostu zwodzonego i unikanie tematu. Dom istotnie może być dla nas substytutem Ojczyzny, ale na innej płaszczyźnie, stwierdziłabym, że *dom zastępuje Anglikom umiejętności towarzyskie*.

Zasady klasowe ujawniają nowy aspekt naszej wyostrejzonej świadomości klasowej - który nazywam „problemem klas ościennych”. Okazuje się, że lepiej jest wybrać sobie dziwactwo z klasy znajdującej się na przeciwległym krańcu drabiny społecznej niż z sąsiadującej z naszą. Każda klasa angielska wyjątkowo pogardza tą, którą ma zaraz pod sobą, toteż myśl, że ktoś pomyli nas z członkiem klasy ościennej, jest nam wyjątkowo obmierzła.

Zasada „ściany przechwałek” odzwierciedla jeszcze inny rodzaj typowo angielskiej hipokryzji i prowadzi nas znowu do tematu humoru. Tym razem widzimy wykorzystanie

dowcipu i humoru jako czegoś, co usprawiedliwia łamanie zasad skromności i „byle nie zbyt serio”. Jedną z zasad rozmów o domach, zasada „Koszmar!”, przypomina nam znów o angielskim upodobaniu do narzekania, ale jest także kolejnym przejawem zasady skromności, która na pewno mocno aspiruje do statusu „cechy definiującej”. „Koszmar!” jest także pełną hipokryzji „przykrywką”: możemy się chwalić, nie sprawiając wrażenia, że się chwalimy.

Zasady rozmów o remontach uwydatniają ekstremalną wersję ogólnej zasady skromności, nastawionej wręcz na rywalizację, którą da się opisać tylko jako „umniejszanie siebie”. Innym nacjom także nieobca jest taktowna skromność i autoironia (tu natychmiast na myśl przychodzi Japończycy), ale angielskie bagatelizowanie własnych zdolności przy okazji rozmów o domowych przeróbkach wyróżnia się wielką wagą *humoru*: nie wystarczy mówić lekceważąco o własnych nieumiejętnych próbach majsterkowania (podobnie *savoir-vivre* japoński nakazuje deprecjację prezentu, który się wręcza), trzeba to jeszcze robić w dowcipny i zabawny sposób.

Nakaz „niewyraźnej pochwały” wzbudza wiele nieporozumień, jeśli chodzi o angielską „rezerwę” i uprzejmość, trzeba się więc mu przyjrzeć. Istnieje typowo angielska forma beznamietnej, bezbarwnej uprzejmości, która, nawet jeśli w grę wchodzi komplementy, ma na celu bardziej uniknięcie obrażenia kogoś czy wprawienia go w zakłopotanie, niż zrobienie mu autentycznej przyjemności czy wyrażenie naszego podziwu. Ową rezerwę, którą cudzoziemcy często biorą za chłód czy sztywność, należy rozumieć w świetle zasadniczej dla Anglików różnicy między znajomymi a przyjaciółmi i między przyjaciółmi a bliskimi przyjaciółmi. To nie jest tak, że Anglicy są zimni, niezdolni do otwartości i ekspresji, tylko trudniej niż wielu innym narodom przychodzi nam pozbywać się zahamowań w towarzystwie ludzi, których dobrze nie znamy - a ta powściągliwość z kolei oznacza, że zanim poznamy kogoś na tyle, aby zrzucić przy nim pancierz, mija sporo czasu. Błędne koło, którego rezultatem jest, między innymi, problem notorycznego używania słowa *nice*.

Zasada „ten okropny agent” nie tylko podkreśla, do jakiego stopnia identyfikujemy się z własnym domem, ale także, kolejny raz, uwypukla znaczenie humoru w kulturze angielskiej. Agenci stanowią niepożądane zagrożenie dla naszego poczucia tożsamości, „neutralizujemy” więc ich władzę, wyśmiewając się z nich. Do pewnego stopnia jest to uniwersalny mechanizm adaptacyjny; we wszystkich krajach ludzie, których w jakiś sposób się obawiamy, są obiektem defensywnych żartów, Anglicy jednak stosują chyba tę strategię częściej niż ktokolwiek inny. Wykorzystujemy humor, by radzić sobie nie tylko z czymś nieznanym lub groźnym, ale z każdym społecznym czy praktycznym problemem, od

najbardziej banalnych kłopotów po kwestie o znaczeniu narodowym.

Zasady dotyczące zarówno ogrodu frontowego, jak i tego na tyłach, potwierdzają angielską troskę o prywatność. Zasady ogrodu frontowego podkreślają też pokrewieństwo pomiędzy naszymi zahamowaniami a uprzejmością: jeśli „dom” oznacza „nas samych”, ogród frontowy to nasza „twarz publiczna” - oficjalny i zadbany roślinny odpowiednik przylepionego towarzyskiego uśmiechu.

Wyjątek od zasad pod nazwą „ogrodowa sofa kontrkultury” uwypukla znane już nam motywy „uporządkowanego chaosu” oraz bezproduktywnego, choć działającego terapeutycznie narzekania - ale także ujawnia naszą bardziej sympatyczną cechę: typowo angielską zdolność do *tolerancji*. Wprawdzie nasza tolerancja dla sof ogrodowych i innego dziwnego zachowania jest bardziej niechętna i stoicka niż ciepła i serdeczna - ale nawet ta bierna, gderająca wyrozumiałość jest warta odnotowania, a może nawet godna pochwały. Może to być cecha odpowiedzialna za względnie dobre stosunki rasowe w naszym kraju (oczywiście, kluczowym słowem jest tu „względnie”; stosunki rasowe w Anglii są, jak ujmuje to Jeremy Paxman, „ogólnie rzecz biorąc, niezłe” tylko na tle innych o wiele mniej tolerancyjnych narodów).

Zasada ogrodu na tyłach, powiązana z obaleniem kilku zbyt różowych mitów na temat angielskiego ogrodu, podkreśla spokojne, umiarkowane aspekty angielskości, naszą niechęć do rażących skrajności, upodobanie do umiaru, domatorstwa, do tego, co krzepiąco swojskie i znane. Zasada KTOO wskazuje także na silną potrzebę stosowania się do niepisanych zasad i oczekiwań społecznych oraz na poczucie obowiązku. Wreszcie, zasady klasowe, klauzula ekscentryczności oraz zasada ironicznego krasnala, przypominają nam o zawilej naturze angielskich różnic klasowych, a także o skomplikowanych zasadach rządzących angielską ekscentrycznością. Okazuje się, że ekscentryczność wymuszona, na przykład w postaci ironicznego krasnala, może mieć skutek odwrotny: dziwactwo czy niekonwencjonalny gust przyjmowane są pozytywnie tylko jako autentyki, wyłącznie gdy są niesfabrykowanymi produktami szczerego wariactwa.

Zaczynam już dostrzegać pewne schematy. Mam nadzieję, że pomogą mi one sporządzić wykres, na którym ujmę nie tylko cechy definiujące angielskość, ale także współzależności między tymi cechami. Wykresy nie są moją mocną stroną - próbowałam raz zrobić wykres szczególnego rodzaju sieci społecznej, którą badałam, i wyszło mi coś podobnego do sieci uplecionej przez pająka po LSD - ale jeśli następne rozdziały pomogą mi wyjaśnić relacje „gramatyczne” między zasadami angielskości, nawet ja powinnam być w stanie przedstawić je na jakimś wykresie.

Na drodze

Jeśli dom jest tym, co wyspiarskim, zahamowanym Anglikiem zastępuje talenty towarzyskie, jakżeż sobie radzimy, gdy ośmielimy się opuścić naszą twierdzę? Pierwsza odpowiedź, jak można się spodziewać, brzmi: „tak sobie”. Ale po ponad dziesięciu latach obserwacji uczestniczącej na dworcach, w autobusach i na ulicach, powinnam odpowiedzieć trochę konkretniej i złamać tajne kody interesujących nas zachowań. Nazwałam je sobie tutaj w skrócie „kodeksem drogowym”, ale chodzi mi o wszelkie rodzaje transportu - samochody, pociągi, samoloty, taksówki, autobusy, rowery, motocykle, nogi itd. - i o wszystkie elementy procesu przemieszczania się z punktu A do punktu B.

Mówiąc o samochodach, powinnam wspomnieć, że nie umiem prowadzić. Raz próbowałam się nauczyć, ale po kilku lekcjach zgodziliśmy się z instruktorem, że nie jest to dobry pomysł i że mogę oszczędzić życie wielu niewinnych osób, trzymając się komunikacji publicznej. Z punktu widzenia badań ta pozorna niedogodność okazała się błogosławiona w skutkach, ponieważ dzięki niej spędzam wiele czasu, obserwując zachowanie Anglików i prowadząc sprytne eksperymenty terenowe w pociągach i autobusach, oraz przepytując wziętych do niewoli taksówkarzy na temat dziwactw i zwyczajów ich pasażerów. A jeśli już jadę samochodem, prowadzi zawsze jakiś znajomy lub krewny o świętej cierpliwości, co pozwala mi drobiazgowo analizować zachowanie kierowcy i pozostałych użytkowników dróg.

Transport publiczny

Zacznę jednak od zasad zachowania w środkach transportu publicznego, ponieważ one lepiej ilustrują problemy, przed jakimi stają Anglicy, gdy opuszczają bezpieczne zacisze prywatnego domu.

Zaprzeczanie

Nasz podstawowy mechanizm radzenia sobie w środkach transportu publicznego to rodzaj tego, co psychologowie nazywają „zaprzeczaniem”: nie chcemy przyjąć do wiadomości, że znajdujemy się wśród przerażającego tłumu obcych ludzi, staramy się zachować jak najwięcej prywatności, udając, że oni nie istnieją - i przeważnie udając, że nas też nie ma. Według zasady zaprzeczania należy unikać rozmowy z nieznanymi, nawiązywania kontaktu wzrokowego czy w ogóle jakiegokolwiek reakcji na ich obecność, chyba że jest to absolutnie niezbędne. Jednocześnie zasada ta nakłada na nas obowiązek niezwracania uwagi na siebie samych i pilnowania swoich własnych interesów.

Jest zjawiskiem powszechnym i uważanym za całkiem normalne, że Anglicy dojeżdżający codziennie do pracy, przez wiele lat odbywają swoje poranne i popołudniowe

podróże pociągiem z tą samą grupą ludzi, nigdy się do nikogo nie odzywając. Wydaje się to kompletnie nieprawdopodobne, a jednak potwierdzili to wszyscy moi rozmówcy.

Jedna z dojeżdżających powiedziała mi: „Jeśli zawsze widzisz tę samą osobę rano na peronie i na przykład dość często siedzisz naprzeciw niej w pociągu, po jakimś czasie po przyjeździe na peron możecie zacząć się sobie kłaniać, ale to właściwie tyle”. „Ile to jest «jakiś czas»?” - zapytałam. „Okolo roku - to zależy, niektórzy ludzie są bardziej otwarci niż inni, no wiesz?”. „Tak - powiedziałam (zastanawiając się, co właściwie rozumie przez «otwarci»). - Czyli osoba wyjątkowo «otwarta» może zacząć się z tobą witać skinieniem głowy po, ja wiem, paru miesiącach?”. „Nooo, może - moja informatorka nie wydawała się przekonana - ale to byłoby tak naprawdę trochę, no, nachalne, poczułabym się trochę nieswojo”.

Ta młoda kobieta, pracująca jako sekretarka w agencji public relations w Londynie, nie była osobą wyjątkowo nieśmiałą czy wstydliwą. Właściwie powiedziałabym, że wręcz przeciwnie: była życzliwa, energiczna i towarzyska. Cytuję ją tutaj, ponieważ jej odpowiedzi są typowe - prawie wszyscy dojeżdżający, z którymi rozmawiałam, mówili, że nawet przelotne skinienie stanowi dość drastyczną eskalację poufałości, toteż większość z nich jest niesłychanie ostrożna, jeśli chodzi o przechodzenie do tego etapu, ponieważ, jak wyjaśnił kolejny typowy pasażer: „Jak już zaczniesz się tak witać z ludźmi - to znaczy kłaniać im się - jeśli jesteś nie dość ostrożny, może się skończyć na tym, że zaczniecie sobie mówić «dzień dobry» czy coś, a potem może się zdarzyć, że trzeba będzie się do nich *odezwać*”. Nagrałam też wypowiedzi innych pasażerów, którzy używali wyrażen typu „wierzchołek góry lodowej” czy „równia pochyła”, aby wyjaśnić, dlaczego unikają przedwczesnego skinienia głową czy nawet nawiązania kontaktu wzrokowego z innymi pasażerami (kontakt wzrokowy w miejscach publicznych w Anglii nigdy nie trwa dłużej niż ułamek sekundy: jeśli przypadkiem spotkasz się wzrokiem z nieznanym, musisz natychmiast odwrócić wzrok - utrzymywanie kontaktu wzrokowego już choćby przez pełną sekundę może zostać zinterpretowane jako flirt lub agresja).

Ale co by się stało takiego strasznego, zapytałam każdego z moich informatorów, gdyby doszło do krótkiej życzliwej pogawędki ze współpasażerem? Uznali to za wyjątkowo głupie pytanie. To jasne, problem z odezwaniem się do współpasażera polega na tym, że jeśli zrobisz to raz, ten ktoś może oczekiwać, że to się będzie powtarzać. Jeśli raz zareagujesz na czyjąś obecność, nie możesz już się cofnąć i udawać, że ta osoba nie istnieje, i może się skończyć na tym, że będziesz musiał wymieniać z nią uprzejme uwagi *codziennie*. A najpewniej nie macie ze sobą nic wspólnego, więc te rozmowy byłyby bardzo niezręczne i kłopotliwe. W innym razie musiałbyś wynajdywać sposoby na unikanie tego kogoś - na

przykład stawać na drugim końcu peronu albo chować się za kiosk z gorącymi napojami, a potem celowo wybierać inny przedział w pociągu, co byłoby nieuprzejme i równie kłopotliwe. Cała sytuacja zamieniłaby się w koszmar; lepiej nawet o tym nie myśleć.

Najpierw oczywiście się uśmiełam, ale zastanowiwszy się nad sprawą uczciwie, uświadomiłam sobie, że często sama w podobny sposób unikam kontaktu, a przecież mam po temu o wiele słabsze powody. Jak mogę śmiać się z obaw i skomplikowanych strategii uniku stosowanych przez Anglików dojeżdżających do pracy, skoro sama wykorzystuję prawie identyczną taktykę, żeby oszczędzić sobie zaledwie około pół godziny niewygodnej rozmowy podczas jednorazowej podróży? Tymczasem oni mogą być potem „skazani” na kogoś *codziennie* przez *wiele* lat. Mają rację: lepiej nawet o tym nie myśleć. Najlepiej nawet nie kiwać głową przez co najmniej rok, bez dwóch zdań.

Jedyny wyjątek od typowo angielskiego zachowania w środkach transportu publicznego robię wtedy, gdy jestem nastawiona na badania terenowe, to znaczy gdy muszę zapytać ludzi o ważne rzeczy lub przetestować pewne hipotezy, i sama wyszukuję „obiekty” do rozmów lub eksperymentów. Inne formy pracy w terenie, takie jak zwyczajna obserwacja, pozostają jak najbardziej w duchu przesadnego angielskiego unikania kontaktu - notes badacza przydaje się tu jako bariera psychologiczna. Ale żeby rozmawiać z ludźmi albo przeprowadzać eksperymenty terenowe, muszę wziąć głęboki oddech i spróbować pokonać moje lęki i zahamowania. Przepytyując Anglików w środkach transportu publicznego, muszę także przełamać i ich opory. W pewnym sensie wszystkie moje wywiady terenowe z dojeżdżającymi do pracy, jak i innymi pasażerami autobusów, pociągów i metra, były także eksperymentami w łamaniu zasad, jako że w ogóle odzywając się do nich, automatycznie łamałam zasadę zaprzeczania. Dlatego tam, gdzie było to możliwe, próbowałam zminimalizować dyskomfort (dla obu stron), wykorzystując jeden z wyjątków od tej zasady.

Wyjątki od zasady zaprzeczania

Są trzy sytuacje, w których wolno nam złamać zasadę zaprzeczania, dopuścić myśl, że jednak istnieją inni pasażerowie, i wręcz odezwać się do nich wprost.

Uprzejmość

Pierwszą sytuację nazywam „wyjątkiem uprzejmości”. Ma on zastosowanie wtedy, gdy milczenie byłoby większym grubiaństwem niż naruszenie czyjejś prywatności przez odezwanie się - na przykład gdy przypadkowo się kogoś potrąci i trzeba przeprosić albo gdy musi się powiedzieć „przepraszam”, by obok kogoś przejść, albo zapytać, czy miejsce obok jest wolne, lub czy nie będzie komuś przeszkadzać, gdy otworzymy okno. Warto jednak pamiętać, że tych grzeczności *nie* uważa się za próbę przełamania lodów czy uzasadniony

wstęp do dalszej rozmowy; wypowiedziawszy niezbędne przeprosiny lub prośbę, należy natychmiast powrócić do stanu zaprzeczenia, w którym obie strony udają, że ta druga nie istnieje. Wyjątek uprzejmości nie przydaje się więc zbytnio naukowcowi, najwyżej po to, by zorientować się, jak duże zagrożenie czy irytację może spowodować, kontynuując rozmowę. Gdyby reakcja na moje uprzejme przeprosiny czy prośbę była niechętna i monosylabowa lub byłby to wręcz sygnał niewerbalny, jak krótkie skinienie głowy, byłabym mniej skłonna uważać tę osobę za potencjalnego informatora.

Udzielanie informacji

Trochę bardziej skorzystałam na „wyjątku udzielania informacji”, zgodnie z którym można złamać zasadę zaprzeczania, aby zapytać o coś ważnego, na przykład „Czy to jest pociąg do Paddington?” albo „Czy ten zatrzymuje się w Reading?”, lub „Nie orientuje się pan przypadkiem, czy z tego peronu odchodzi pociąg do Clapham Junction?”. Odpowiedzi na takie pytania są często łagodnie żartobliwe; już nie zliczę, ile razy moje panikarskie „Czy to pociąg do Paddington?” wywoływało odpowiedzi typu: „Mam nadzieję!” albo „Jeśli nie, to mam problem!”. Gdy pytam: „Czy to jest pociąg pośpieszny do Londynu?” (co oznacza pociąg bezpośredni, w odróżnieniu od „osobowego”, który zatrzymuje się na wielu małych stacjach), zawsze znajdzie się ktoś o dowcipie Kłapouchego, kto odpowie: „To zależy, co pani rozumie przez «pośpieszny...»..”. Choć formalnie rzecz biorąc, podobnie jak w przypadku wyjątku uprzejmości, oczekuje się, że zaraz po udzieleniu niezbędnych informacji obie strony powrócą do stanu zaprzeczenia, bardziej żartobliwe reakcje mogą czasem wskazywać na chęć zamienienia jeszcze przynajmniej paru słów - zwłaszcza gdy ktoś potrafi subtelnie pokierować rozmową w kierunku kategorii „wyjątek narzekania”.

Narzekanie

Ten wyjątek od zasady zaprzeczania zazwyczaj ma miejsce tylko wtedy, gdy coś jest nie tak - w wypadku ogłoszenia przez głośniki, że pociąg czy samolot jest opóźniony lub odwołany, czy zatrzymania się pociągu /metra gdzieś w środku tunelu bez wyraźnego powodu, przesadnie długiego czekania, aż zmienią się kierowcy autobusu, czy jakiegoś innego nieprzewidzianego problemu lub zakłócenia.

W takich sytuacjach angielscy pasażerowie nagle przypominają sobie o swoim wzajemnym istnieniu. Nasze reakcje są zawsze takie same i przewidywalne co do jednego szczegółu, niemal jakby były kierowane przez choreografa. Zapowiedź opóźnionego pociągu lub gwałtowne szarpnięcie i postój w szczerym polu natychmiast ożywiają towarzyski język ciała: ludzie nawiązują kontakt wzrokowy, głośno wzdychają, wymieniają cierpiętnicze uśmiechy, wruszają ramionami, unoszą brwi i przewracają oczami - po czym niezmiennie

następują rzucając z sarkazmem lub znużeniem uwagi na temat opłakanego stanu kolei. Zawsze ktoś wykrzyknie: „No tak, to *typowe!*”, inny powie: „Co *znowu?*” czy „Na litość boską, co się stało *tym razem?*”, czy też bardziej zwięźle: „Jasna cholera!”.

Dzisiaj prawie zawsze usłyszy się też co najmniej jeden komentarz zawierający wyrażenie „niewłaściwe liście”, aluzję do legendarnej już wymówki podanej przez pracowników kolei, gdy „liście na torach” spowodowały poważne zakłócenia przejazdów w sporej części kraju. Gdy zwrócono im uwagę, że opadłe liście to całkiem normalne zjawisko jesienią i jakoś nigdy wcześniej nie powodowały one zastoju na kolei, stwierdzili, że to były „niewłaściwe liście”. Ta, nie da się ukryć, głupia uwaga znalazła się wtedy w nagłówkach wszystkich gazet i wiadomości i od tej pory jest nieustającym powodem do żartów. Często przystosowuje się ją do okoliczności danego opóźnienia czy zakłóceń; jeśli przez głośnik obwinia się o opóźnienie śnieg, zawsze znajdzie się ktoś, kto powie: „To pewnie niewłaściwy śnieg!”. Kiedyś czekałam na pociąg na stacji w Oksfordzie, gdy ogłoszono opóźnienie z powodu „krowy na torach pod Banbury”⁷ - troje ludzi na peronie odezwało się jednocześnie: „Niewłaściwa krowa!”.

W obliczu takich problemów angielscy pasażerowie natychmiast zaczynają nawiązywać żywy kontakt, niewątpliwie oparty na zasadzie kontrastu „oni i my”. Pokusa, żeby sobie ponarzekać, co więcej, żeby sobie ponarzekać *dowcipnie*, jest nie do odparcia. Orgie narzekania wywoływane przez opóźnione pociągi i inne zakłócenia w transporcie publicznym są bardzo podobne do narzekania na pogodę: kompletnie bezpłodne, ponieważ wszyscy wiemy (i stoicko akceptujemy), że nic nie można zrobić i nic się nie robi, żeby sytuację poprawić, ale przyjemne i bardzo skuteczne jako „protezy” kontaktów towarzyskich.

Wyjątek narzekania okazuje się jednak kolejnym z tych „wyjątków, które potwierdzają regułę”. Choć na pozór, oddając się naszej ulubionej rozrywce, łamiemy zasadę zaprzeczania i czasem możemy nawet wciągnąć się w całkiem długą dyskusję na temat wad i słabości danego środka transportu (a tym samym niekompetencji władz, firm czy ministerstw odpowiedzialnych za jego braki), powszechnie uważa się, że takie rozmowy są jednorazowe. W grę wchodzi tu nie prawdziwe naruszenie zasady zaprzeczania, ale chwilowe jej zawieszenie. Dojeżdżający do pracy wiedzą, że mogą z kimś wspólnie miło ponarzekać na opóźniony pociąg bez obowiązku kolejnej rozmowy z tą osobą następnego ranka czy nawet zareagowania na jej obecność. Zasada ulega zawieszeniu tylko na czas zbiorowego biadolenia. Po jego zakończeniu znowu milczymy i ignorujemy się nawzajem przez kolejny rok - albo do następnej plagi wrednych liści czy krów samobójczyń. Wyjątek narzekania potwierdza regułę właśnie dlatego, że jest wyraźnie postrzegany jako wyjątek.

Chwilowe zawieszenie tej zasady podczas narzekania jest jednak szansą dla nieustraszonej antropolog w starciu z jadącym do pracy zwariowanym na punkcie prywatności Anglikiem - może wtedy zadać kilka potrzebnych pytań bez posądzenia o wtrącanie się czy narzucanie. Musiałam jednak działać szybko, żeby uniknąć wrażenia, że nie rozumiem czysto tymczasowej natury sytuacji i przygotowuję się do dłuższej pogawędki.

Ktoś może pomyśleć, że czekanie na takie zbiegi okoliczności jest dość chybionym i mało wiarygodnym sposobem prowadzenia badań - ale to znaczy, że ten ktoś nie zna kaprysów angielskiej komunikacji publicznej. Każdy, kto tu mieszka, wie, że niewiele podróży udaje się odbyć bez co najmniej jednego opóźnienia czy zakłócenia. A jeśli jesteś Anglikiem (i to wielkodusznym), na pewno będzie ci miło usłyszeć, że w tym kraju jest jedna osoba, którą bardzo cieszą te wszystkie liście, krowy, podtopienia, problemy z silnikiem, zatory na drodze, oddalający się samowolnie kierowcy, wady sygnalizacji, awarie zwrotnic i inne tajemnicze defekty i przeszkody, bo zyskuje na tym jej praca.

W środkach transportu publicznego musiałam również często przeprowadzać „oficjalne” wywiady, to znaczy takie, gdy rozmówcy wiedzieli, że przeprowadza się z nimi wywiad. Moja ulubiona metoda udawania, że wywiad jest zwykłą, swobodną rozmową - technika wielce skuteczna przy ladzie barowej w pubie, na wyścigach, przyjęciach i w innych miejscach, gdzie konwersacja z nieznajomymi jest dozwolona (choć regulowana surowym protokołem) - nie sprawdzała się w otoczeniu zniewolonym zasadą zaprzeczenia. W tych warunkach zamiast próbować łamać zasadę i wciągać ludzi w spontaniczną pogawędkę, lepiej było wyznać prawdę i powiedzieć im, że robię badania do książki, pytając grzecznie, czy zechcieliby mi odpowiedzieć na „kilka pytań”. Oczywiście, naukowiec z notesem w ręku jest utrapieniem, ale o wiele mniej przerażającym niż przypadkowy nieznajomy, usiłujący nawiązać rozmowę bez wyraźnego powodu. Jeśli nagle, ni z tego, ni z owego, zaczniesz gawędzić z Anglikami w pociągach czy autobusach, uznają, że jesteś pijany, naćpany lub szalony⁸. My, badacze nauk społecznych, nie jesteśmy powszechnie lubiani czy doceniani, ale jednak społeczeństwo nieco bardziej akceptuje nas niż alkoholików lub zbiegłych z zakładu szaleńców.

Podójście oficjalne nie było zaś potrzebne w przypadku cudzoziemców, ponieważ oni nie cierpią na angielskie lęki, zahamowania i obsesję prywatności, i z reguły sprawiali wrażenie całkiem zadowolonych, że mogą wziąć udział w niezobowiązującej rozmowie. Właściwie wielu turystów było wręcz zachwyconych, że wreszcie spotkali „towarzyską” i „życzliwą” reprezentantkę tubylców, zwłaszcza że zdradzała autentyczne zainteresowanie ich wrażeniami na temat Anglii i Anglików. Pomijając już moją preferencję do rozmów

nieoficjalnych, incognito, nie mogłam zdobyć się na to, by rozwiać ich złudzenia i zepsuć im urlop, zdradzając moje ukryte pobudki - choć muszę się przyznać, że raz czy dwa poczułam wyrzuty sumienia, gdy rozluźnieni turyści wyznawali, że dzięki mnie zweryfikowali swoją opinię o zimnych i sztywnych Anglikach. Jeśli tylko było to możliwe, starałam się wyjaśnić, że większość Anglików przestrzega w środkach transportu publicznego zasady zaprzeczenia, i próbowałam skierować ich do bardziej towarzyskich miejsc, jak lada barowa w pubie - ale jeśli przypadkiem, Czytelniku, jesteś jednym z tych nieszczęsnych turystów, których zmyliły moje „wywiady”, mogę tylko przeprosić, podziękować Ci za pomoc w moich badaniach i mieć nadzieję, że niniejsza książka rozwieje wszelkie wątpliwości, które wzbudziłam.

Telefon komórkowy - wyjątek strusia

Wspominałam wcześniej, że zasada zaprzeczenia ma dwa aspekty: udawanie, że inni nie istnieją, a także, może przede wszystkim, udawanie, że nas też nie ma. W środkach transportu publicznego nie wypada zwracać na siebie uwagi. Są ludzie, którzy łamią tę zasadę, rozmawiając i śmiejąc się głośno, zamiast w sposób ogólnie aprobowany schować się skromnie za gazetą - ale oni zawsze stanowili nieakceptowaną mniejszość.

A ściślej mówiąc, było tak do czasu pojawienia się telefonu komórkowego, który ujawnia w nas cechy strusia: tak samo jak głupi struś z głową w piasku myśli, że go nie widać, głupi angielski pasażer, rozmawiając przez komórkę, myśli, że go nie słychać. Rozmawiając przez komórkę, ludzie często zachowują się, jakby znajdowali się w prywatnej przezroczystej bańce, niepomni na tłumy dookoła, połączeni tylko z osobą po drugiej stronie. Bez żenady będą omawiać szczegóły swoich spraw domowych czy zawodowych, które zazwyczaj uważa się za prywatne i poufne, na tyle głośno, żeby słyszało ich pół wagonu. Frajda dla podsłuchujących wścibskich naukowców - od „strusi” czerpię masę danych - ale koszmar dla wszystkich innych pasażerów, którzy jednak oczywiście nie reagują, poza cmokaniem, wzdychaniem, wznoszeniem oczu do góry i kręceniem głową.

Nie wszyscy jesteśmy strusiami. Wielu angielskich pasażerów - a nawet większość - jest na tyle mądrych, by zdawać sobie sprawę, że inni słyszą, co się mówi przez komórkę, i starają się jak najbardziej ściszyć głos. Bezmyślni krzykacze wciąż są mniejszością, jednak bardzo zauważalną i denerwującą. Częścią problemu jest to, że Anglicy hałasującej osobie nie zwrócą uwagi wprost, tylko będą się skarżyć po cichu sobie nawzajem, kolegom w pracy, współmałżonkowi lub napiszą list do gazety. Nasze programy komediowe w radiu i w telewizji pełne są zabawnych skeczy na temat irytującej głupoty strusi komórkowych i banału czy kompletnej jałowości ich konwersacji typu „Jestem w pociągu!”. Równie dowcipnie komentują zjawisko felietoniści gazetowi.

W typowo angielski sposób kanalizujemy nasz gniew w inteligentne dowcipy, rytualne narzekanie, całe ryzy papieru i godziny na antenie, ale nie zajmujemy się prawdziwym źródłem problemu. Nikt z nas nie jest na tyle odważny, by podejść do strusia i po prostu poprosić go, żeby ściszył głos. Niektóre przedsiębiorstwa kolejowe, znając problem, wydzieliły pewne części w swoich pociągach jako „strefy cisy”, gdzie używanie telefonów komórkowych jest zabronione. Większość ludzi przestrzega tego zakazu, ale gdy zdarzy się sporadycznie, że jakiś samotny struś zignoruje oznakowanie, nikt nie śmie stawić czoła winowajcy. Nawet w wyznaczonym „cichym” wagonie najgorsze, czego może spodziewać się struś, to wymowne lub piorunujące spojrzenia.

Uprzejmość

Choć wielu cudzoziemców, z którymi rozmawiałam, narzekało na angielską rezerwę, wszyscy przeważnie byli pod wrażeniem naszej uprzejmości. Tę pozorną sprzeczność trafnie wyraża Amerykanin Bill Bryson, zdumiony i w pewnym sensie przestraszony „zdyscyplinowaną ciszą” w londyńskim metrze: „... wszystkie te tysiące ludzi przemieszczają się po ruchomych i zwykłych schodach, wchodzi do zatłoczonych wagoników i z nich wychodzą, przejeżdżają w ciemności z trzęsącymi się głowami i nigdy nie rozmawiają - jak postacie z *Nocy żywych trupów*”. Kilka stron dalej, na innej stacji kolejowej, wychwala grzeczne zachowanie wielkiej grupy kibiców rugby: „Wsiadali oni cierpliwie i bez rozpychania się, przepaszając za każdym razem, gdy ktoś wpadł na kogoś innego lub nieumyślnie naruszył jego prywatność. Podziwiałem ten instynktowny wzgląd na innych i uderzyło mnie, jakie to jest normalne w tym kraju i jak rzadko się to zauważa”^f.

„Uprzejmość negatywna”

Jednakże nasza bardzo oczerniana rezerwa i bardzo podziwiana uprzejmość są, wydaje mi się, dwoma stronami tego samego medalu. Tak naprawdę, na jednym poziomie, nasza rezerwa jest *rodzajem* uprzejmości - tego rodzaju uprzejmości, którą socjolingwiści Brown i Levinson nazywają „uprzejmością negatywną”, mając na myśli troskę o potrzeby innych ludzi, żeby im nie przeszkadzać i nie naruszać ich prywatności (w odróżnieniu od „uprzejmości pozytywnej”, dbania o własną potrzebę przynależności do grupy i aprobaty społecznej). Powściągliwość, ostrożność i unikanie kontaktu przez angielskich pasażerów - sztywność, na którą skarżą się cudzoziemcy - wszystko to są cechy charakterystyczne „uprzejmości negatywnej”. To, co sprawia wrażenie chłodu, to w rzeczy samej wzgląd na uczucia innych; oceniamy innych po sobie i zakładamy, że wszyscy podzielają naszą obsesyjną potrzebę prywatności - pilnujemy więc swego nosa i uprzejmie ich ignorujemy.

We wszystkich krajach praktykuje się obie formy uprzejmości, zwykle skłaniając się

niewiele bardziej w kierunku jednej niż drugiej. Kultura angielska jest zasadniczo kulturą „uprzejmości negatywnej”, natomiast na przykład Amerykanie mają tendencję do preferowania cieplejszej, bardziej serdecznej „uprzejmości pozytywnej”. Choć istnieją elementarne różnice i w obu typach występują odmiany klasowe i subkulturowe, wydaje się prawdopodobne, że turyści z krajów „uprzejmości pozytywnej” będą czuć się urażeni „uprzejmą” wyniosłością Anglików, bo jej nie rozumieją, odwrotnie niż ci z kultur podobnych pod tym względem do naszej. (Według Brown i Levinsona, do krajów „uprzejmości negatywnej” należą Japonia, Madagaskar i niektóre grupy społeczeństwa hinduskiego).

Eksperymentalne potrącanie. Odruch mówienia „przepraszam”

To przypomina mi eksperymenty z wpadaniem na ludzi. Spędziłam kilka zabawnych popołudni w zatłoczonych, ruchliwych miejscach publicznych (dworcach kolejowych, stacjach metra, dworcach autobusowych, centrach handlowych, na rogach ulic itd.), niby to przypadkowo potrącając przechodniów, żeby sprawdzić, czy powiedzą „przepraszam”. Wielu z moich informatorów, Anglików i cudzoziemców, od dawna przytaczało te „odruchowe przeprosiny” jako szczególnie uderzający przykład angielskiej uprzejmości, i byłam pewna, że sama tego w przeszłości doświadczałam - ale czułam się zobligowana, by zachować się profesjonalnie i sprawdzić teorię w paru eksperymentach w terenie.

Pierwszy eksperyment zaczął się niezbyt fortunnie. Kilka początkowych zderzeń technicznie było udanych, to znaczy udało mi się sprawić wrażenie, że są przypadkowe⁹, ale wciąż psułam doświadczenie, bo wrywało mi się „przepraszam”, zanim uszkodzony zdążył otworzyć usta. Jak zwykle, zmieniło się to w sprawdzian mojej własnej angielskości: odkryłam, że nie potrafię wpaść na kogoś, nawet delikatnie, bez automatycznych przeprosin. Po kilku falstartach wreszcie udało mi się opanować odruch przeprosin, bo wpadając na kogoś, mocno i dość boleśnie gryzłam się w język. Udoskonaliwszy technikę, próbowałam nadać moim doświadczeniom charakter jak najbardziej naukowy, wpadając na reprezentatywny przekrój społeczeństwa angielskiego, w reprezentatywnej próbie miejsc. Niejako ku memu zaskoczeniu, Anglicy potwierdzili swoją reputację: około 80 procent moich ofiar powiedziało „przepraszam”, gdy się na nich zatoczyłam, mimo że kolizje wynikały wyraźnie z mojej winy.

Były pewne drobne wariacje w odpowiedziach: odkryłam, że ludzie starsi są nieco bardziej skłonni do przeprosin niż młodszy (najmniej - starsze nastolatki, zwłaszcza w grupie), a Brytyjczycy Azjaci zdają się mieć nieco silniejszy odruch przeprosin niż Brytyjczycy pochodzenia afrokaraibskiego (możliwe, że wynika to z tendencji do „uprzejmości

negatywnej” w kulturze hinduskiej - takie przeprosiny to wyraźny przejaw uprzejmości związanej przede wszystkim z unikaniem narzucania się). Ale te różnice były marginalne: ogromna większość tych, na których wpadłam, z każdej grupy wiekowej, etnicznej i warstwy społecznej, przeproszała, gdy ich „przypadkowo” potrąciłam.

Te eksperymenty powiedziałyby nam niewiele lub zgoła nic o angielskości, gdyby takie same rezultaty uzyskano w innych krajach; aby więc wykonać „doświadczenie kontrolne”, z poświęceniem wpadałam na ludzi we Francji, Belgii, Włoszech, Rosji, Polsce i Libanie. Zdając sobie sprawę, że nie będzie to reprezentatywna próba międzynarodowa, potrącałam też turystów różnych narodowości (Amerykanów, Niemców, Japończyków, Hiszpanów, Australijczyków, Skandynawów) w zatłoczonych miejscach w Londynie i Oksfordzie. Tylko Japończycy (niespodzianka, prawda?) wykazywali coś w rodzaju angielskiego odruchu przeprosin, a w dodatku byli frustrująco trudnym materiałem do eksperymentów, jako mistrzowie w unikaniu prowokowanych przeze mnie „kolizji”¹⁰. Nie znaczy to, że moje ofiary innych narodowości były nieuprzejme czy niemile - większość po prostu mówiła: „Uwaga!” albo „Ostrożnie!” (względnie to samo w swoim własnym języku), wielu reagowało w autentycznie życzliwy sposób, wyciągając pomocne ramię, by mnie podtrzymać, czasem nawet troskliwie sprawdzając przed pójściem dalej, czy jestem cała - jednakże automatyczne „przepraszam” naprawdę wygląda na reakcję specyficznie angielską.

George Orwell stwierdził, że Anglicy to „niepoprawni hazardziści, piją tyle piwa, na ile pozwalają im zarobki, uwielbiają sprośne żarty i używają chyba najbardziej wulgarnego języka pod słońcem”, ale jednak doszedł do wniosku, nie uważając tego za sprzeczność, że „łagodność angielskiej cywilizacji jest chyba jej najbardziej znamiennej cechą”. Jako dowód, obok łagodności naszych kontrolerów w autobusach i nieuzbrojonych policjantów, przytoczył fakt, że „w żadnym kraju zamieszkanym przez białych nie jest łatwiej zepchnąć ludzi z chodnika”. To szczerą prawdą, a jeśli potrącenie wydaje się autentycznie przypadkowe, zepchnięty do rynsztoka może cię nawet przeprosić.

Może czytelnik zastanawia się, czemu Anglicy zakładają, że za każdą przypadkową kolizję to oni są odpowiedzialni, i natychmiast, przepraszając, biorą winę na siebie. To nie tak. Odruchowe przeprosiny są wyłącznie odruchem - automatyczną reakcją, jak odruch kolanowy, a nie przemyślanym przyznaniem się do winy. To zasada głęboko zakorzeniona: gdy zdarzy się jakikolwiek mimowolny, niepożądany kontakt (a dla Anglików prawie każdy kontakt jest z definicji niepożądany), mówimy „przepraszam”.

Narzucanie się i naruszanie prywatności, nieważne jak minimalne czy nieszkodliwe, zawsze wymaga przeprosin. Używamy słowa „przepraszam” jako wstępu do niemal każdej

prośby czy pytania: „Przepraszam, nie wie pan, czy ten pociąg zatrzymuje się w Banbury?”, „Przepraszam, czy to miejsce jest wolne?”, „Przepraszam, która godzina?”, „Przepraszam, ale chyba pani siedzi na moim płaszczu”. Mówimy „przepraszam”, gdy otrzemy się niechcący ramieniem o kogoś w drzwiach; nawet jeśli nie dochodzi do kontaktu fizycznego, często obu stronom wyrywa się automatyczne „przepraszam”. Często mówimy „przepraszam”, gdy mamy na myśli „zejdź mi z drogi”, jak w przypadku gdy prosimy kogoś, żeby się posunął, bo chcemy przejść. „Przepraszam?” z intonacją pytającą oznacza: „Nie dosłyszałem, co pan powiedział - czy może pan powtórzyć?” (albo: „co?”). Oczywiście, wszystkie te „przepraszam” nie są szczerymi, z głębi serca płynącymi przeprosinami. Podobnie jak angielskie słowo *nice, sorry* jest wygodnym, uniwersalnym, wszechstronnym słówkiem, odpowiednim na wszystkie okazje i okoliczności. W razie wątpliwości, powiedz „przepraszam”. Angielskość oznacza przymus mówienia „przepraszam” w *każdej* sytuacji.

„Proszę” i „dziękuję”

Anglicy w środkach komunikacji publicznej może nie mówią zbyt wiele, ale gdy już otworzą usta, oprócz „przepraszam” usłyszymy najprawdopodobniej „proszę” i „dziękuję”. W czasie zbierania materiałów do tej książki zadałam sobie trud liczenia przypadków użycia tych słów. Jadąc autobusem, siadałam lub stawałam jak najbliżej kierowcy (poza centrum Londynu w większości autobusów nie ma już kontrolerów - pasażerowie kupują bilety bezpośrednio u kierowcy), żeby przekonać się, ile osób wsiadających do autobusu, kupując bilet, mówi „proszę” i „dziękuję”. Okazało się, że większość, a większość kierowców i kontrolerów dziękuje też, inkasując pieniądze za bilety.

To jeszcze nie wszystko: wielu pasażerów dziękuje kierowcy jeszcze raz, gdy wysiadają na swoim przystanku. Ten zwyczaj jest mniej powszechny w wielkich aglomeracjach, ale w mniejszych miastach i miasteczkach jest normą. Podczas jednego typowego krótkiego przejazdu z osiedla domów komunalnych na peryferiach Oksfordu do centrum zauważyłam, że wszyscy pasażerowie, wysiadając z autobusu, mówili „dziękuję” - z zauważalnym wyjątkiem zagranicznych studentów, którzy też omijali „proszę” przy kupowaniu biletów. Wielu moich zagranicznych rozmówców komentowało uprzejmość angielskich pasażerów, a z własnych badań międzykulturowych wiem, że uprzejmość o takiej skali jest niezwykła. W innych krajach, gdy widziałam, jak ludzie dziękują kierowcy autobusu, działo się to wyłącznie w bardzo małych społecznościach, gdy znali kierowcę osobiście.

To powiedziawszy, powinnam dodać, że w tych angielskich „proszę” i „dziękuję” nie ma nic specjalnie ciepłego czy życzliwego - zwykle mamrocze się je, bez kontaktu

wzrokowego czy uśmiechu. To, że wyróżniamy się publicznie uprzejmością, nie oznacza, że jesteśmy życzliwi i wielkoduszni. Mamy tylko zasady używania „proszę” i „dziękuję”, których większość z nas z reguły przestrzega. Nasze skrupulatne proszenie i dziękowanie kierowcy autobusu, konduktorowi, taksówkarzowi i tym podobnym, jest tylko kolejnym przejawem uprzejmego egalitaryzmu omawianego wcześniej - odzwierciedla nasze przeczulenie na punkcie zwracania uwagi na różnice w statusie i nasze zażenowanie wszystkim, co ma związek z pieniędzmi. Lubimy udawać, że ci ludzie w jakiś sposób robią nam przysługę, a nie świadczą usługę za wynagrodzeniem.

A oni nam w tym udawaniu pomagają. Zwłaszcza taksówkarze pod koniec jazdy oczekują nie tylko pieniędzy, ale i podziękowań, i czują się urażeni, gdy pasażer po prostu wręcza im pieniądze - choć zwykle są tolerancyjni wobec cudzoziemców, którzy „inaczej nie potrafią”, jak to ujął jeden z londyńskich taksówkarzy, gdy przepytywałam go na tę okoliczność. „U większości Anglików to jest po prostu automatyczne - wyjaśnił. - Mówią «dziękuję» przy wysiadaniu, a ja mówię «dziękuję» w odpowiedzi. Czasem się zdarza jakiś prymityw, który nie podziękuje, ale większość robi to automatycznie”.

Taksówkowe wyjątki od zasady zaprzeczania - rola lusterek

W rewanżu angielscy taksówkarze są zwykle uprzejmi w stosunku do klientów - a często autentycznie życzliwi, nawet do tego stopnia, że łamią normalne zasady „zaprzeczania” prywatności i powściągliwości. Wśród Anglików stałym powodem do żartów jest nadmierna gadatliwość taksówkarzy. W istocie, wielu z nich tę reputację potwierdza. Główny stereotyp przedstawia taksówkarza z pretensjami tabloidowego felietonisty, który zanudza lub drażni pasażerów zajadłymi monologami bez końca na wszystkie tematy, od nieudolności obecnego rządu czy trenera piłkarskiej reprezentacji Anglii do ostatniego skandalu z udziałem jakiejś gwiazdy. Znam ten typ kierowców i jak większość angielskich pasażerów, zwykle jestem zbyt zażenowana, by poprosić ich, żeby się zamknęli, lub polemizować z ich co bardziej kontrowersyjnymi poglądami. Narzekamy, że taksówkarze łamią zasadę zaprzeczania, ale w typowo angielski sposób prędzej zrobimy z tego narodowy dowcip, niż zmierzmy się z problemem wprost.

Jest jednak inny typ gadatliwego taksiarza, który nie wygłasza monologów jak z brukowca, ale raczej próbuje wciągnąć pasażerów do przyjaznej rozmowy. Zwykle zaczyna, zgodnie z angielską etykietą, jakąś uwagą na temat pogody, ale potem zrywa z tradycją, wyrażając zainteresowanie celem podróży pasażera (na przykład dworzec kolejowy często prowokuje pytanie: „co, jedziemy sobie na wakacje?”). Pytania potrafią być bardziej osobiste (lub przynajmniej takie, jakie Anglicy uważają za osobiste - na przykład o pracę lub rodzinę),

ale większość takich taksówkarzy jest niezwykle wyczulona na niuanse tonu głosu i mowy ciała, i nie nalegają, jeśli pasażer zachowuje się jak typowy Anglik i odpowiada monosylabami czy wierci się i zdradza oznaki dyskomfortu. Wielu Anglików uważa te pytania za wścibskie, ale prawie wszyscy jesteśmy zbyt uprzejmi lub zbyt skrępowani, żeby powiedzieć kierowcy, by pilnował swego nosa - jedyne więc, co możemy zrobić, to wysyłać takie sygnały.

W rozmowach z taksówkarzami - i z pewnymi przedstawicielami innych zawodów, jak na przykład fryzjerzy - jest także element „remisji kulturowej” - zgodnie z którą zwyczajowe zasady rezerwy i dyskrecji zostają czasowo zawieszane i można, jeśli się chce, pozwolić sobie na o wiele bardziej osobistą i poufałą pogawędkę, niż to zwykle jest przyjęte między obcymi. Lekarze na pewno życzyliby sobie, żeby takie zawieszenie zasad prywatności miało miejsce w ich gabinetach, gdzie z Anglików zwykle wychodzi ich typowa, zahamowana, skrępowana natura. Mogę im tylko podpowiedzieć, żeby spróbowali rozmawiać z pacjentami „przez lusterko”: albo stojąc za nimi, jak fryzjer, albo montując sobie lusterko wsteczne, jak taksówkarz, bo wygląda na to, że przynajmniej częściowo to właśnie brak bezpośredniego kontaktu wzrokowego twarzą w twarz pozwala Anglikom pozbyć się oporów w takich sytuacjach.

Być może do pewnego stopnia jest to jedna z cech uniwersalnych dotyczących istot ludzkich - księża katolicycy wszystkich narodowości od dawna są świadomi, że parawan sprzyja większej otwartości przy spowiedzi, a i wykorzystanie kozetki przez psychoanalityków, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego z pacjentami, nie może być przypadkiem. Jak zwykle jednak mówimy tu o proporcjach zjawiska; wydaje się, że właśnie Anglikom jest szczególnie trudno „otworzyć się” bez pomocy takich trików i są oni szczególnie podatni na złudzenie anonimowości, którą one zapewniają. Właściwie to radziłabym lekarzom zapomnieć o tych wszystkich modnych teraz szkoleniach pod hasłem „bliżej pacjenta”, gdzie mówi im się, żeby siadali blisko chorego, nie odgradzając się od niego biurkiem, pochylali się w jego kierunku, utrzymywali kontakt wzrokowy i tak dalej - czyli robili wszystko to, co skłania przeciętnego Anglika, by skutecznie i na amen zamknąć się w sobie. Według lekarzy, których o to pytałam, dokładnie w ten sposób reaguje większość angielskich pacjentów: o tym, co im *naprawdę* dolega, mówią lekarzowi dopiero, gdy już mają wychodzić z gabinetu, zwykle odwróceniem do niego plecami i z dłonią na klamce.

Stanie w kolejce

„I rzekł Pan do Mojżesza: «Stań na ich czele!».. I stanął czym prędzej, ale odesłali go na koniec kolejki...

W 1949 roku humorysta węgierski George Mikes określił stanie w kolejce jako naszą „narodową pasję”. „Na Kontynencie - napisał - ludzie czekający na przystanku na autobus kręcą się bezładnie, jakby na nic nie czekali. Kiedy autobus nadjeżdża, rzucają się hurmem ku niemu (...). Anglik, nawet gdy jest sam, ustawia się w porządną jednoosobową kolejkę”. W uaktualnionym wydaniu książki ponad trzydzieści lat później, w 1977 roku, potwierdził, że to wciąż prawda. Minęło kolejne trzydzieści lat i wydaje się, że niewiele się zmieniło - jednak angielskie stanie w kolejce nie jest aż tak proste, jak wydawałoby się po lekturze Mikesa.

Niedawno widziałam nagłówek w jednej z poważnych niedzielnych gazet, lamentujący, że Anglicy „zatracili sztukę stania w kolejce”. Zdziwiona, jako że moje własne obserwacje tego nie potwierdzały, czytałam dalej. Okazało się, że autorka stała w kolejce, do której ktoś próbował się wepchnąć, i zarówno ona, jak i pozostali kolejkowicze byli oburzeni i zdeglustowani - ale nikt nie miał odwagi stawić czoła niesfornemu klientowi (tylko mruzcili i cmokali z dezaprobatą), uszło mu to więc na sucho. Moim zdaniem, to nie tylko nie jest żaden dowód na upadek angielskiej sztuki stania w kolejce, ale wręcz idealny jej opis.

Nigdy wprost

Anglicy oczekują od siebie nawzajem przestrzegania zasad stania w kolejce, czują się wielce obrażeni, gdy te zasady zostają pogwałcone, brak im jednak pewności siebie lub talentów towarzyskich, aby wyrazić irytację wprost. W innych krajach to nie problem: w Ameryce, gdzie wepchnięcie się do kolejki to występki, a nie grzech ciężki, reakcja jest głośna i jednoznaczna: winowajcy mówi się po prostu: „Hej, ty, wracaj do kolejki!”, lub coś podobnego. Na Kontynencie reakcje zwykle są głośne i wywołują sprzeczkę; w innych częściach świata winowajcy mogą zostać bezceremonialnie wepchnięci z powrotem na swoje miejsce - ale rezultat końcowy jest mniej więcej taki sam. Tylko w Anglii, o ironio, gdzie wpychanie się jest uważane za głęboko niemoralne, temu, kto się wpycha, przeważnie uchodzi to na sucho. Narzekamy, patrzymy spode łba, mruzcimy, kipimy świętym oburzeniem, ale bardzo rzadko po prostu mówimy winowajcy, żeby wracał do kolejki.

Jeśli mi nie wierzycie, spróbujcie sami. Ja musiałam, więc nie widzę powodu, czemu ktoś inny nie miałby też pocierpieć. Przepraszam za opryskliwość, ale moje eksperymenty z wpychaniem się do kolejki były najtrudniejsze, najbardziej obrzydliwe i irytujące ze wszystkich łamiących zasady doświadczeń, które przeprowadziłam w ramach badań do tej książki. O wiele gorsze niż wpadanie na ludzi, o wiele gorsze nawet niż pytanie ludzi o cenę ich domu albo jak zarabiają na życie - sama *myśl* o wepchnięciu się do kolejki była tak straszna, że o mało nie zarzuciłam całego projektu, nie chcąc przechodzić takiej gehenny. Po prostu nie mogłam się do tego zmusić. Wahałam się, dręczyłam i odkładałam na później, a

potem, nawet gdy sądziłam, że już jestem gotowa, w ostatniej chwili traciłam zimną krew i chyłkiem przemykałam na tył kolejki, mając nadzieję, że nikt nie zauważył, że w ogóle coś podobnego przeszło mi przez głowę.

Paranoiczna pantomima

Ten ostatni fragment być może brzmi głupio, a może nawet świadczy o paranoi klinicznej, ale szczerze mówiąc, czegoś się przy tym potulnym czajeniu się przy kolejkach nauczyłam, a mianowicie, że Anglicy natychmiast zauważają, gdy ktoś rozważa podobny desant. Zaczynają na delikwenta zerkać z ukosa, podejrzliwie, mrużąc oczy. Potem podsuwają się ciut bliżej osoby stojącej z przodu, na wszelki wypadek, gdyby przyszło ci do głowy usytuować się między nimi. Przyjmują postawę bardziej wojowniczą i zaborczą - kładąc dłoń na biodrze, jakby stawali do walki z potencjalnym zagrożeniem, lub ostentacyjnie odwracając się do ciebie plecami. Mowa ciała jest tu dość subtelna - może nawet niewidoczna dla cudzoziemca nienawykłego do naszych zwyczajów - ale dla Anglika, któremu przyszło do głowy załatwić coś bez kolejki, niewerbalny komunikat jest jasny: „Wiemy, co ci chodzi po głowie, ty wstrętny oszuście, ale nie myśl sobie, że ci się uda, bo mamy cię na oku”.

Trzeba zauważyć, że ten rodzaj paranoicznej pantomimy występuje tylko wtedy, gdy struktura danej kolejki jest niejednoznaczna. Nikomu nie przyszłoby do głowy pchać się na przód pojedynczej, wyraźnej, ewidentnej kolejki. (To jest nie do pomyślenia do tego stopnia, że jeśli coś takiego miałoby miejsce, ludzie uznaliby, że to jakiś dramatyczny nagły wypadek lub cudzoziemiec ignorant). Okazja do wepchnięcia się do kolejki nadarza się tylko wówczas, gdy nie jest jasne, gdzie kolejka się zaczyna i gdzie kończy - bo na przykład jest w niej luka (na drodze coś stoi lub trzeba umożliwić innym przechodzenie) - gdy za ladą obsługują dwie osoby (i nie do końca wiadomo, czy to jedna kolejka, czy dwie osobne) lub występuje jakiś inny powód dezorientacji.

Anglicy mają bardzo silne poczucie sprawiedliwości i to, co w innych krajach uznano by za całkiem słuszny oportunizm - jak na przykład podejście do „wolnej” kasjerki, gdy przed kasą obok czekają dwie inne osoby, które po prostu nie były dość szybkie - u nas uważane jest za czynność równoznaczną z wepchnięciem się do kolejki. Nie twierdzę, że Anglicy nigdy tego nie robią; robią, ale po ich skrępowaniu i nieszczerzej postawie, zwłaszcza po sposobie, w jaki starannie unikają wzroku stojących w kolejce, poznać, że wiedzą, iż oszukują, a reakcje kolejkowiczów dowodzą, że takie zachowanie jest bardzo źle widziane. Widać to w surowym marszczeniu brwi.

Mowa ciała i pomruki

Jednak marszczenie czy unoszenie brwi, piorunowanie wzrokiem i pogardliwe

spojrzenia - którym towarzyszą ciężkie westchnienia, znaczące pokasływanie, lekceważące prychnanie, cmokanie językiem i mrużenie pod nosem („Coś takiego!”, „Jasna cholera!”, „No tak, *typowe!*”, „Co do diabła...”) to zwykle najbardziej radykalne reakcje, z jakimi spotka się ktoś, kto wepchnie się bez kolejki. Kolejkowicze mają nadzieję, że zawstydzą go na tyle, że wycofa się on na koniec. Nie będą łamać zasady zaprzeczania, „robiąc scenę”, „zamieszanie” czy „kierując na siebie uwagę” przez zwrócenie się do niego wprost.

Paradoksalnie, często w tych okolicznościach łamią zasadę zaprzeczania, zwracając się *do siebie nawzajem*. Niewinne wepchnięcie się przez kogoś do kolejki może sprowokować nieznanym do wymiany reakcji takich jak uniesienie brwi, przewracanie oczami, kręcenie głową z zaciśniętymi ustami, cmokanie, wzdychanie, a nawet (ciche) komentarze słowne. Co do tych ostatnich, będą to wspomniane pomruki oraz zwroty, które wyraźnie powinny być adresowane do winowajcy, na przykład: „Halo, tu jest kolejka!”, „Nami proszę się nie przejmować!” i „Jesteśmy niewidzialni, czy jak?”. Od czasu do czasu znajdzie się śmiałek, który uczyni taką uwagę na tyle głośno, żeby winny usłyszał, będzie jednak unikał patrzenia na niego i natychmiast spuści oczy, gdy zdarzy mu się niechcący spotkać wzrokiem z winowajcą.

Te okrężne metody mogą się wydawać słabe i kompletnie nieracjonalne, a jednak często są niesłychanie skuteczne. Tak, być może w Anglii prędzej niż gdziekolwiek indziej wepchnięcie się do kolejki ujdzie nam na sucho, ale tylko pod warunkiem, że potrafimy znieść upokorzenie tych wszystkich brwi, kasłania, cmokania i mrużenia - inaczej mówiąc, tylko jeśli nie jesteśmy Anglikiem czy Angielką. Obserwując kolejki całymi godzinami, zauważyłam, że wielu cudzoziemców po prostu nie ma pojęcia o tych sygnałach, o niemej furii angielskich kolejkowiczów, ale większości wpychających się do kolejek Anglików trudno jest zignorować zaporowy ogień westchnień i spojrzeń spode łba. Gdy już dopuszczają się występku, mogą bezczelnie iść w zaparte, ale widać, że następnym razem głęboko się zastanowią, zanim to powtórzą. W wielu przypadkach wpychanie się do kolejki jest skutecznie „tłumione w zarodku” przez same niewerbalne sygnały. Często widziałam, jak potencjalni „przestępcy” zaczynają się zbliżać, a potem, słysząc ostrzegawczy kaszelek i widząc pogardliwe uniesienie brwi oraz przyjmowanie postawy zaborczej, raptownie zmieniają zdanie i pokornie wycofują się na koniec kolejki.

Czasem uwaga wymruczana dość głośno, żeby usłyszał ją winowajca, ale zwrócona niebezpośrednio do niego, też może mieć pożądaną efekt, nawet w o wiele późniejszym stadium wykroczenia. Odkryłam, że obserwowanie reakcji obu stron w tych sytuacjach jest fascynujące. Ktoś stojący w kolejce mruży (do sąsiada lub w powietrze): „Ależ proszę się

mną nie przejmować!” lub coś innego, z przekąsem. „Przestępca”, udając wielkie zdziwienie, mówi coś w rodzaju: „Och, przepraszam! Pan stał przede mną?” - i natychmiast przesuwa się, ustępując miejsca temu, który się odezwał. Teraz role się odwracają i to ten pierwszy rumieni się, skręca ze wstydu i unika kontaktu wzrokowego. Stopień dyskomfortu jest zazwyczaj proporcjonalny do stopnia impertynencji początkowego przytyku, który nagle okazał się nieuzasadnioną lub przynajmniej bardzo niegrzeczną reakcją na niewinną pomyłkę. Ten, który tak zareagował, zajmuje ponownie swoje legalne miejsce w kolejce, ale ze spuszczoną głową i mamrocząc podziękowania lub przeprosiny - najwyraźniej nie czerpiąc żadnej przyjemności ani satysfakcji ze zwycięstwa. Widziałam nawet przypadki, gdy upokorzeni „mrużący” całkiem zmieniają front, mówiąc: „Och, ee, nie, w porządku, pan pierwszy”.

Niewidzialny choreograf

Oczywiście, można by uniknąć całego tego zażenowania i wrogości, gdyby Anglicy potrafili zdobyć się na asertywność i po prostu powiedzieli wpychającym się: „Przepraszam, tu jest kolejka”. Ale nie. Nasze typowe reakcje są bliższe temu, co psychoterapeuci nazwaliby „bierną agresją”. A psychoterapeuci, którzy czytają ten tekst, pewnie poradziliby, żeby cały naród wysłać na kurs asertywności. I może mają rację: asertywność zdecydowanie nie jest naszą mocną stroną. Jesteśmy zdolni zarówno do przemocy (w tym do otwartej brutalności, a także przewrotnej, nieskutecznej biernej agresji), jak i do czegoś przeciwnego - nadmiernej skromności i stoickiej rezygnacji. Ale miotamy się między tymi dwoma ekstremami: nigdy jakoś nie udaje nam się osiągnąć złotego środka, dochodzić naszych praw w dojrzały, umiejętny towarzysko, racjonalny sposób. Lecz z drugiej strony, świat byłby naprawdę strasznie nudny, gdyby wszyscy zachowywali się poprawnie, rozsądnie i asertywnie, jak uczą kursy komunikacji. I ja nie miałabym tyle uciechy z obserwacji.

A poza tym angielski stosunek do stania w kolejce ma pewien pozytywny aspekt. W razie jakiegoś problemu, jak „dwie kasjerki za jedną ladą”, często rozwiązujemy go sami, po cichu i bez zamieszania - w tym wypadku ustawiając się w pojedynczą uporządkowaną kolejkę, kilka stóp od lady, tak żeby klient z przodu kolejki mógł podejść do jednej lub drugiej kasy, w zależności od tego, która pierwsza będzie wolna.

Jeśli jesteś Anglikiem, pewnie czytasz i myślisz: Tak? No i co z tego? Jasne, że tak robimy. To oczywiste. My uważamy to za naturalne - właściwie robimy to automatycznie, jakby nasze ruchy kontrolował jakiś niewidzialny obiektywny choreograf, ustawiając nas w porządną, demokratyczną kolejkę. Ale wielu cudzoziemców, z którymi przeprowadzałam rozmowy, patrzy na te procedury z wielkim zdumieniem. Bill Bryson w swojej książce o Anglii opowiada w samych superlatywach o tym typowym scenariuszu kolejkowym;

spotkałam amerykańskich turystów, którzy czytali jego książkę i nie uwierzyli mu albo uważali, że przesadza dla efektu komicznego, dopóki nie przyjechali tutaj i nie zobaczyli tego na własne oczy. Jeszcze mniej skłonni byli uwierzyć moim opowieściom o „niewidzialnej kolejce” w pubach - w końcu musiałam ich zaciągnąć do najbliższego pubu, żeby udowodnić, że sobie tego nie wymyśliłam.

Fair play

A są też drobniejsze, bardziej subtelne codzienne grzeczności kolejkowe, których mogą nie zauważyć nawet bystroocy cudzoziemcy. Jeden z moich zapisków na ten temat dotyczy kolejki w kafejce dworcowej.

Mężczyzna stojący przede mną wychodzi na chwilę z kolejki, żeby wziąć kanapkę z chłodziarki. Potem waha się lekko, niepewny, czy przez to nie stracił prawa do miejsca w kolejce. Ja robię krok w tył, dając mu do zrozumienia, że nie stracił, więc on z powrotem zajmuje swoje miejsce przede mną, z niewielkim skinieniem głowy na znak podziękowania. Nie padają żadne słowa, nikt nikomu nie patrzy w oczy.

Inny zapisek z dworca:

Dwóch mężczyzn przede mną, przy ladzie okienka „Informacja”. Nie jest całkiem jasne, który stoi pierwszy (przed chwilą obsługiwały dwie osoby, teraz jedna). Wykonują pantomimę, zerkają z ukosa, ostrożnie podsuwają się do przodu, pozorują postawę zaborczą itd. Bystra kasjerka zauważyła to i pyta: „Kto następny?”. Obaj wyglądają na zakłopotanych. Ten po lewej gestem otwartej dłoni pokazuje drugiemu „proszę bardzo”. Ten po prawej mruczy: „Nie, w porządku, pan pierwszy”. Ten po lewej waha się, „No, ee...”. Osoba stojąca za mną wydaje z siebie pokaskiwanie oznaczające: „No, dalej, pośpieszcie się”. Mężczyzna po lewej mówi szybko: „Ach, no, dobrze - dziękuję panu”, i zadaje pytanie, które miał zadać; wyraźnie czuje się niezręcznie. Mężczyzna po prawej czeka cierpliwie, wygląda na zadowolonego z siebie.

Te incydenty nie były wcale odosobnione czy niezwykłe: wybrałam akurat te opisy z dziesiątek moich zapisków dlatego, że są to najbardziej typowe, najbardziej prozaiczne przykłady z życia codziennego. Teraz widzę, że wspólny mianownik, niepisana zasada rządząca tymi incydentami, jest natychmiast widoczna: jeśli gramy fair i dajemy wyraźnie do zrozumienia, że uznajemy prawa tych przed nami w kolejce - lub wspaniałomyślnie wierzymy im na słowo tam, gdzie jest jakaś wątpliwość - oni natychmiast porzucają wszystkie swoje paranoiczne podejrzenia oraz taktykę biernej agresji i w odpowiedzi potraktują nas sprawiedliwie, a nawet wynagrodzą.

W staniu w kolejce przede wszystkim chodzi o sprawiedliwość. Jak zauważyła Mikes:

„Człowiek w kolejce to człowiek porządny: pilnuje swoich spraw, sam żyje i pozwala żyć innym, dając innym szansę; praktykuje obowiązek, czekając na wyegzekwowanie swoich praw; robi prawie wszystko, co w przekonaniu Anglika należy robić”.

Dramaturgia stania w kolejce

Cudzoziemców zawilóści naszych niepisanych zasad kolejkowych mogą zaskakiwać, ale dla Anglików to ich druga natura. Przestrzegamy wszystkich tych praw instynktownie, nawet o nich nie myśląc. I mimo wszystkich pozornych sprzeczności, całej irracjonalności czy wręcz absurdów, które właśnie opisałam, w rezultacie (który uznaje cały świat) jesteśmy w staniu w kolejce bardzo dobrzy. Trzeba przyznać, że świat nie traktuje tego jako komplementu - gdy ludzie mówią o angielskim talencie do stania w kolejce, zwykle robią to z nieznaczną drwiną, sugerując, że tylko istoty nudne, o mentalności potulnych owieczek, byłyby dumne z tego, że potrafią stać cierpliwie w zdyscyplinowanych kolejkach. („Anglicy poradziliby sobie pod rządami komunistów - śmieją się - tak dobrze czują się w kolejkach”). Nasi krytycy - lub ci, którzy chwalą nas bez przekonania - chętnie przyznają, że człowiek w kolejce jest człowiekiem porządnym, ale zauważą, że raczej nikt nie nazwie go pełnym fantazji czy nawet interesującym.

Ale to dlatego, że nie przyjrzeni się dość dokładnie angielskim kolejkom. To trochę jak obserwowanie mrówek czy pszczoł. Gołym okiem widać, że angielska kolejka wygląda dość nudno i nieciekawie - ot, zdyscyplinowany ogonek ludzi cierpliwie czekających na obsłużenie. Ale jeśli zbadamy angielskie kolejki pod mikroskopem nauk społecznych, odkryjemy, że każda z nich to miniatura dramatyczna - nie tylko zabawna komedia, ale prawdziwy dramat obyczajowy, pełen intryg i spisków, problemów moralnych, honoru i altruizmu, zmieniających kierunek sojuszy, wstydu i prób zachowania twarzy, gniewu i pojednań. W tej chwili patrzę na kolejki do kasy biletowej na stacji Clapham Junction i widzę, no, może nie aż *Wojnę i pokój*, ale... coś nieco bardziej powściągliwego i angielskiego, powiedzmy *Dumę i uprzedzenie*.

Hołd bardzo angielski

W tym, jak media relacjonowały śmierć księżnej Diany, rozbawiło mnie między innymi pełne uniesienia, nieustające zdumienie reporterów „nieangielskością” reakcji publicznej. Była ona niezmiennie opisywana jako „bezprecedensowy niekontrolowany publiczny wybuch żalu” lub też „niespotykana publiczna manifestacja emocji”, za czym szły przesadne prorocтва, że ten niesłychany brak zahamowań zapowiada diametralną transformację angielskiej natury, że nasza „sztywna górna warga” zaczyna drżeć, że wszyscy teraz nosimy serce na dłoni, że odtąd już nigdy nie będziemy tacy sami, itepe, itede.

A na czymże to polegała ta „niespotykana manifestacja emocji”? Popatrzmy na zdjęcia i filmy pokazujące tłumy. Co robią ci wszyscy ludzie? Stoją w kolejkach, ot co. W kolejkach po kwiaty, w kolejkach do złożenia kwiatów, w kilometrowych kolejkach do ksiąg kondolencyjnych, w wielogodzinnych kolejkach, by złapać pociąg czy autobus do domu po całym dniu stania w kolejkach. Potem, jakiś tydzień później, stali w kolejkach, żeby złapać pociąg czy autobus, aby dojechać na pogrzeb; żeby zająć sobie dobre miejsce (czasem pilnowane przez całą noc), aby obejrzeć kondukt; żeby kupić kolejne kwiaty, napoje, flagi, gazety; stali cierpliwie w kolejkach przez całe godziny, czekając, aż przejdzie orszak pogrzebowy; i wreszcie znowu, aby złapać autobus, autokar, metro, pociąg. Były to kolejki spokojne, zdyscyplinowane i pełne godności.

Oczywiście, były łzy, ale nie krzyczeliśmy z bólu, nie zanosiliśmy się od płaczu, nie rozdzielaliśmy szat, nie posypywaliśmy głów popiołem. Obejrzyjcie filmy. Usłyszycie kilka słabych szlochów (w momencie, gdy wynoszono trumnę z bram pałacowych), które wyraźnie od razu zostały uznane za niestosowne, szybko uciszone, i niepodjęte przez resztę tłumu, oglądającego procesję w milczeniu. Pierwsi ludzie, którzy pojawili się w dniu po śmierci Diany, złożyli kwiaty; to uznano za stosowne, więc wszyscy kolejni też posłusznie złożyli kwiaty. Po pogrzebie kilka osób zaczęło rzucać kwiaty na przejeżdżający karawan, i znowu inni posłusznie poszli za ich przykładem. (Oczywiście, nikt nie rzucał kwiatów wcześniej, na trumnę ciągnioną przez konie; niezależnie od tego, jak wielkie, nieangielskie, bezprecedensowe emocje nami powodują, wiemy, że nie należy straszyć koni).

A więc łzy i kwiaty. Ani jedno, ani drugie nie zdumiewa mnie szczególnie jako niezwykła reakcja na czyjąś śmierć czy pogrzeb. Poza tym złożyliśmy Dianie najlepszy angielski hołd z możliwych: wystając w kolejkach.

Samochody

Zanim przyjrzymy się niepisanyemu angielskim zasadom społecznym dotyczącym jazdy samochodami i samym samochodom, oto kilka pojęć ogólnych, które wymagają wyjaśnienia. We wszystkich krajach ludzie mają dziwną i skomplikowaną relację z samochodem. W tym kontekście należy przede wszystkim wyjaśnić, że nie jest to głównie środek transportu - lub raczej, jeśli to brzmi trochę zbyt radykalnie, że nasz związek z samochodem ma bardzo niewiele wspólnego z faktem, że transportuje nas on z punktu A do punktu B. Z A do B przewożą nas pociągi i autobusy; samochody są częścią naszego osobistego terytorium i częścią naszej indywidualnej i społecznej tożsamości. Autobusem możemy pojechać do sklepu i z powrotem, ale nie czujemy się w nim jak w domu, nie czujemy się też jego właścicielem. Pociągiem dotrzemy do pracy, ale pociąg nie jest żadną psychologiczną czy

społeczną deklaracją na nasz temat.

Istnieją zasadnicze, dość oczywiste, wspólne dla wszystkich kultur uniwersalia dotyczące ludzi i samochodów. Ale teraz możemy cofnąć się prosto do dyskusji o angielskości, ponieważ najprawdopodobniej to właśnie Anglicy opierają się, czy nawet gwałtownie zaprzeczają, co najmniej jednemu z tych zasadniczych faktów.

Status nie ma znaczenia

Przede wszystkim Anglicy chcą wierzyć, i często zawzięcie się przy tym upierają, że przy wyborze samochodu w ogóle nie kierują się pozycją społeczną. Na przykład, nawet w czasie, gdy bmw przeżywało szczyt świetności związany z wizerunkiem yuppie, wspinający się po drabinie społecznej Anglicy na kierowniczych stanowiskach twierdzili, że kupują bmw z powodu świetnego niemieckiego wykonawstwa i konstrukcji, komfortu, solidności, szybkości, łatwości w obsłudze, BHP, momentu obrotowego, niskiego współczynnika oporu i innych racjonalnych, praktycznych cech. Absolutnie nie ze względu na wizerunek bmw w oczach innych. Ani na status. Czy próżność. Czy żeby zaimponować kolegom, sąsiadom lub dziewczynie. O, nie. To po prostu cholernie dobre auto.

Angielki i niektórzy Anglicy często twierdzą, że za ich wyborem konkretnego samochodu kryją się powody estetyczne, a nawet emocjonalne. Mężczyźni mówią, że ich olśniewające porsche czy mercedes to „piękny samochód”, kobiety zwierają się, że chciałyby mieć modnego nowego volkswagena beetle, bo jest „taki słodki”, obie płcie mogą nawet wyznać, że „zakochały się” w „cudownym” samochodzie z salonu wystawowego albo że zawsze żywiły „namiętność” do mg albo mini, albo że są „związane uczuciowo” ze swoim zardzewiałym gruchotem.

Czasem posuwamy się jeszcze dalej i przyznajemy, że wybieramy auta, które naszym zdaniem wyrażają naszą indywidualną „osobowość” albo jakiś aspekt naszego wyobrażenia o sobie samych (cool, wyrafinowany, stylowy, zabawny, dziwaczny, ekscentryczny, wysportowany, szykowny, sexy, uczciwy, subtelny, praktyczny, męski, fachowy, poważny itd.). Ale nigdy z powodu naszego statusu społecznego. Nie przyznamy się, że kupiliśmy lub chcielibyśmy mieć samochód konkretnej marki dlatego, że kojarzy się z klasą społeczną lub kategorią, do której (po wyglądzie auta) chcielibyśmy, żeby nas zaliczano.

Klasa

Test fordą mondeo

Jednak prawda jest taka, że przy wyborze auta, jak w wypadku prawie wszystkich innych rzeczy w Anglii, chodzi o klasę społeczną. Jeśli przeprowadza się badania - lub ma się po prostu złośliwy charakter - można podstępem zmusić Anglika, żeby przyznał (choć nie

wprost), jakie były prawdziwe, związane z systemem klasowym powody jego wyboru. Robi się to, nie rozmawiając o marce samochodu, który on ma albo chciałby mieć, ale pytając o marki, których nie lubi i których nigdy by nie kupił. Powiedzmy na próbę „ford mondeo”¹¹ w rozmowie z członkiem średniej lub wyższej warstwy klasy średniej. Natychmiast zrobi on jakąś drwiącą uwagę na temat „ludzi z Essex”⁸ lub agentów ubezpieczeniowych - innymi słowy, na temat tego rodzaju „lumpenludzi”, z dolnej warstwy klasy średniej, którzy kojarzą się z tą konkretną marką samochodu. Eufemizmem używanym obecnie w stosunku do tej grupy społecznej jest „mondeo man”.

Niektórzy przedstawiciele wyższej warstwy klasy średniej nie chcą uchodzić za snobów lub mogą być zbyt dobrze wychowani, żeby kpić z innych wprost, trzeba więc uważnie obserwować ich twarze, żeby zauważyć ten charakterystyczny przelotny grymas czy leciutkie wygięcie warg z niesmakiem, jakie wywoła hasło „mondeo”. U klasy wyższej lub bardziej pewnych siebie reprezentantów wyższej warstwy klasy średniej, reakcja prawdopodobnie będzie łagodniejsza, coś w rodzaju pobłażliwego rozbawienia¹², a sfery najwyższe mogą po prostu nie mieć pojęcia, o czym jest mowa. Odkryłam, że test forda mondeo jest świetnym probierzem, na ile pewnie w swojej klasie czuje się nasz rozmówca; im bardziej pogardliwie i zjadliwie wyraża się o mondeo, tym mniejsze jego poczucie bezpieczeństwa co do własnej pozycji w hierarchii społecznej.

To nie jest kwestia ceny auta. Samochody, którymi jeżdżą pogardzające mondeo klasy wyższe często są o wiele tańsze niż ten odsądzany od czci i wiary ford czy prawie tak samo wyśmiewany vauxhall oraz inne hurtowo kupowane przez firmy auta produkcji brytyjskiej. Bez względu na to, jak tani, niewygodny i zdecydowanie nieluksusowy jest samochód osoby, która pogardza fordem mondeo, raczej na pewno jest produkcji zagranicznej, najchętniej europejskiej (japońskie nie są specjalnie preferowane, choć nieznacznie bardziej dopuszczalne niż ford i vauxhalle). Jedyne wyjątki od reguły „niebrytyjskości” to mini oraz duże, „terenowe” samochody z napędem na cztery koła, jak landrover i rangerover. Ci, którzy uważają, że stoją klasę lub dwie wyżej od „mondeo mana”, mogą też jeździć tanim używanym peugeotem, renaultem, volkswagenem lub fiatem hatchback - a jednak będą odczuwać pewne zadowolenie z siebie i wyższość, gdy minie ich „mondeo man” w swoim większym, szybszym, wygodniejszym wozie.

Test mercedesa

Członkowie wyższej warstwy klasy średniej, którzy pomyślnie przejdą test forda mondeo - to znaczy ci, którzy wykażą zaledwie lekkie rozbawienie naszą sugestią, że mogliby jeździć mondeo - mogą jednak wykazać ukryty niepokój klasowy w wypadku mercedesa. Gdy

już razem pośmiejecie się z mondeo, spróbuj powiedzieć: „Okay, niech zgadnę... pan pewnie jeździ wielkim mercedesem”.

Jeśli przedmiot naszych badań wygląda na urażonego lub zirytowanego i odpowiada dość porywczo, z wymuszonym śmiechem lub robi pogardliwą uwagę na temat „bogatej hołoty” lub „zamożnych biznesmenów”, uderzyliśmy w strunę odpowiedzialną za kompleksy związane z klasą ościenną. Naszemu rozmówcy udało się dostać do kręgów wyższej warstwy klasy średniej („inteligencji”, „kierowniczych stanowisk” lub „ziemiaństwa”) i bardzo mu zależy, aby odciąć się od pogardzanej klasy „kupieckiej” (średnia warstwa klasy średniej), z którą prawie na pewno łączą go powiązania rodzinne. Możemy na przykład odkryć, że jego ojciec (lub nawet dziadek - te uprzedzenia przechodzą z pokolenia na pokolenie) był drobnomieszczaninem z klasy średniej i prowadził jakiś interes - może był niezłe prosperującym właścicielem sklepu, kierownikiem działu sprzedaży lub nawet zamożnym handlarzem samochodami - który posłał swoje dzieci do ekskluzywnej szkoły prywatnej, gdzie nauczyły się lekceważyć drobnomieszczańskich biznesmenów o korzeniach z klasy średniej.

Wielu Anglików powie nam, że odium z czasów Jane Austen, otaczające ludzi związanych z handlem, to już historia. Nie mają racji. I wcale nie tylko mniejszość w postaci arystokracji czy ziemiaństwa kręci nosem na świat kupiecki. Ludzie z wyższej warstwy klasy średniej, wykonujący „szacowne” zawody, jak adwokat, lekarz, pracownik administracji państwowej, oficer, często tak samo zadzierają nosa - a najbardziej ze wszystkich gardzą biznesmenami tzw. klasy paplające (wykształcona wyższa warstwa klasy średniej, ze swoją „fajną robotą” w mediach, sztuce, środowisku akademickim, działalności wydawniczej, charytatywnej, kręgach ekspertów itd.). Bardzo niewielu z nich jeździ mercedesami i większość patrzy na klasy wożące się nimi co najmniej z pewną dozą nieprzychylności, jednak tylko ci niepewni swojej pozycji gorączkują się i obrażają na najmniejszą choćby sugestię, że mogliby być kojarzeni z takim prostackim pojazdem klasy biznesowej.

I znowu nie chodzi tu o cenę samochodu. Pogardzający mercedesem często prowadzą tak samo drogie, droższe lub o wiele tańsze auta niż mercedes, którym tak się brzydzą. Poziom zamożności *per se* również nie jest tu problemem. Lekceważący mercedesy przedstawiciele wyższej warstwy klasy średniej pochodzą ze wszystkich grup zarobkowych; mogą zarabiać tyle, co „prostacki bogaty biznesmen” w swoim „mercu” (jak to on go przeważnie nazywa), a nawet więcej, albo o wiele mniej. Problem klasowy dotyczy tutaj sposobu, w jaki zarabia się te pieniądze i w jaki się to manifestuje. Gardzący mercedesem adwokat lub redaktor naczelny może równie dobrze prowadzić najwyższej jakości audi, które

kosztuje mniej więcej tyle samo co duży mercedes, ale jest uważane za bardziej eleganckie i subtelne.

W tej chwili do pewnego stopnia skażone tą samą etykietką co mercedes jest bmw, choć ogólnie kojarzy się ze stereotypem kogoś młodszego, handlowca z City, yuppie. Jaguar także ucierpiał trochę z powodu skojarzenia z „handlem”, łączony z bogatymi handlarzami używanych samochodów, ludźmi ze slumsów, bukmacherami i podejrzanymi typami z półświatka. Ale jaguar to także oficjalny samochód ministrów, co według niektórych otacza go nimbem szacunku, a według innych tylko potwierdza opinię, że jest podejrzany. W obu wypadkach jednak te skojarzenia mogą być nietrwałe, i nie stwierdziłam, żeby któryś z tych dwóch samochodów był wiarygodnym wskaźnikiem kompleksów klasowych. Gdyby ktoś chciał powtórzyć moje jakże naukowe eksperymenty z kompleksami na tle klasy lub jeśli po prostu chce się podroczyć z drżącymi o swój status społeczny członkami wyższej warstwy klasy średniej - doradzam test mercedesa.

Jak dbamy o samochód. Ozdoby

Jednak różnice klasowe i obawy o własną pozycję nie kończą się na wyborze marki samochodu. Anglicy ocenią nasze miejsce w hierarchii społecznej także po wyglądzie i stanie naszego samochodu - po tym, jak o niego dbamy lub nie dbamy.

Niepisane zasady klasowe dotyczące troski o samochód potrafią powiedzieć nam jeszcze więcej niż te związane z wyborem marki, ponieważ w tym wypadku jesteśmy mniej świadomi, że stosujemy się do jakichś zasad. Wszyscy Anglicy wiedzą, choć nie przyznają się do tego, że wybór samochodu jest wskaźnikiem klasy społecznej; i wszyscy dokładnie wiedzą (choć udają, że nie), które samochody kojarzą się z którą klasą. Ale wielu ludzi nie ma świadomości, że stan i wygląd ich auta może ujawnić o wiele więcej niż marka.

Jak bardzo czysty i lśniący - lub brudny i niechlujny - jest twój samochód? Zasada niemal niezawodna: nieskazitelne, lśniące samochody są wizytówką średniej warstwy klasy średniej, niższej warstwy klasy średniej i wyższej warstwy klasy robotniczej; natomiast brudne i zaniedbane są charakterystyczne dla klas wyższych, wyższej warstwy klasy średniej oraz niższej warstwy klasy robotniczej (a w wielu wypadkach grupy niepracującej - ubogich, bezrobotnych). Inaczej mówiąc, brudny samochód kojarzy się zarówno z najwyższym, jak i najniższym krańcem skali społecznej, czysty - ze środkowymi.

Jednak nie jest to aż takie proste. Różnice dotyczą nie tylko stopnia czystości, ale także tego, dlaczego jest taki czysty. Myjesz i polerujesz go sam, pedantycznie i z czułością, co weekend, na podjeździe lub na ulicy przed domem? W takim razie jesteś prawie na pewno z niższej warstwy klasy średniej albo wyższej robotniczej. Zabierasz go często do myjni?

Więc pochodzisz prawdopodobnie albo ze średniej warstwy klasy średniej, albo niższej warstwy klasy średniej z aspiracjami do średniejsredniej (jeśli pochodzisz z wyższejśredniej, twoje zwyczaje co do dbania o samochód zdradzają korzenie średnieśrednie). A może po prostu zdajesz się na angielską pogodę, czekając, aż splucze za ciebie najgorszy brud, a do myjni lub wiadra uciekasz się tylko wtedy, gdy już nic nie widzisz przez okna albo gdy zaczynają ci na nim pisać „brudas”? W takim wypadku jesteś z klasy wyższej¹³, wyższej warstwy klasy średniej lub niższej robotniczej, względnie z marginesu społecznego.

Może się więc wydawać, że nie sposób odróżnić samochodu osoby z klasy wyższej i z marginesu. Jeśli chodzi o stopień zaniedbania, to prawda, ale tutaj trzeba też wziąć pod uwagę markę pojazdu. Na najwyższym szczeblu drabiny społecznej brudne auto prawdopodobnie będzie produkcji europejskiej (a jeśli brytyjskiej, to albo „terenowy” samochód z napędem na cztery koła, mini albo coś okazałego, jak stary jaguar, bentley lub daimler); na najniższym szczeblu niechlujny pojazd najpewniej będzie brytyjski, amerykański lub japoński.

Podobna zasada dotyczy stanu wnętrza samochodu. Nieskazitelnie schludne wskazuje na właściciela od wyższej warstwy klasy robotniczej do średniejsredniej, a masa śmieci, ogryzków, okruchów, zgniecionych papierków, i ogólny bałagan, sugeruje, że właścicielem jest ktoś ze szczytu lub samego dołu hierarchii. A i tu jeszcze mamy do dyspozycji bardziej subtelne wskazówki i niuanse w różnicach. Jeśli nie tylko masz czyściutki samochód, ale jeszcze starannie wieszasz marynarkę od garnituru na małym haczyku specjalnie zaprojektowanym do tego celu przez producenta, jesteś z niższej warstwy klasy średniej lub może z niższego końca średniejsredniej. (Wszystkie pozostałe klasy po prostu rzucają marynarkę na tylne siedzenie). Jeżeli dodatkowo wieszasz marynarkę na wieszaku przyczepionym do tego haczyka, jesteś zdecydowanie z niższej warstwy klasy średniej. Jeśli do tego jeszcze umieszczasz na tym wieszaku idealnie wyprasowaną koszulę, żeby się w nią przebrać przed „ważnym spotkaniem”, jesteś z niższej warstwy klasy średniej o korzeniach robotniczych i zależy ci na tym, żeby podkreślić swój status pracownika umysłowego.

Istnieją subtelne warianty zasad klasowych dotyczących dbałości o wnętrze samochodu, głównie związane z różnicą płci. Kobiety z wszystkich klas społecznych zwykle mają nieco większy bałagan w samochodzie niż mężczyźni - są bardziej skłonne do rozrzucania papierków po słodyczach i papierowych chusteczek i zostawiania na siedzeniach rękawiczek, szalików, map, notatek oraz innych przedmiotów. Mężczyźni zazwyczaj są bardziej dumni ze swych aut i często przesadnie pedantyczni, jeśli chodzi o trzymanie tego typu rzeczy w schowkach i bocznych kieszeniach; ogólnie gorzej tolerują bałagan w samochodzie. A z drugiej strony, przedstawiciele klasy wyższej i wyższej warstwy klasy

średniej obu płci mają wysoki próg tolerancji brudu i bałaganu robionego przez psy (cecha, którą znowu dzielą z niższą warstwą klasy robotniczej i z marginesem). Wnętrza ich samochodów są często pokryte psią sierścią, a tapicerka podrapana pazurami. Członkowie średniej i niższej warstwy klasy średniej każą swoim psom siedzieć kamieniem z tyłu. Ci ostatni mogą nawet powiesić na lusterku wstecznym płaskie perfumowane drzewko, żeby zneutralizować zapach psa czy w ogóle wszelkie nieprzyjemne zapachy. Także ich domy zazwyczaj pełne są odświeżaczy powietrza, odświeżaczy toalet, odświeżaczy dywanów i innych dezodorantów - tak samo jak u średniej warstwy klasy średniej, która jednak ma świadomość, że wieszanie perfumowanych drzewek i innych dyndających przedmiotów na lusterku wstecznym jest w stylu pospółstwa. W samochodach należących do średniej warstwy klasy średniej i wyższych nie zobaczy się żadnych ozdóbek. Kiwające głową pieski na tylnej półce, nalepki z kotem Garfieldem oraz inne kiczowate motywy zwierzęce to wskaźniki niższej warstwy klasy średniej oraz klasy robotniczej, tak samo nalepki na tylnych zderzakach i na przedniej szybie, informujące nas, jak pasażerowie tego auta lubią spędzać wakacje i jakie mają hobby. Istnieją tylko dwa wyjątki od zasady „na samochód nic nie przylepiamy”: nalepki w słusznej sprawie, jak obrona praw zwierząt, oraz napisy świadczące o tym, że właściciele dbają o bezpieczeństwo: „Jedź z nami dziecko”, które można zobaczyć na tylnej szybie samochodów zarówno niższej, jak i średniej warstwy klasy średniej - choć na naklejkach tych drugich rzadko widnieje logo producenta pieluch. (Niektóre osoby z wyższej warstwy klasy średniej bliżej granicy ze średniąśrednią też czasem naklejają „Jedź z nami dziecko”, są wtedy jednak wyśmiewane przez większość członków swojej sfery, zwłaszcza przez kręgi inteligencji).

Twierdza na kółkach

Wspomniałam na początku tego rozdziału, że ważnym elementem naszej relacji z samochodem jest czynnik „terytorium osobistego”. Ford, opisując swój model z 1949 roku jako „salon na kółkach”, sprytnie nawiązał do głęboko zakorzenionej ludzkiej potrzeby bezpieczeństwa i posiadania własnego terytorium. Ten aspekt psychologii samochodowej jest cechą uniwersalną we wszystkich kulturach, ale dla Anglików ma znaczenie szczególne, z powodu naszej obsesji na punkcie domu, która z kolei jest związana z naszą patologiczną troską o prywatność.

Dom Anglika to jego twierdza, a gdy Anglik wyjeżdża na drogę swoim samochodem, część twierdzy zabiera ze sobą. Widzieliśmy już, jak w środkach transportu publicznego Anglicy robią, co mogą, aby podtrzymać iluzję prywatności: starają się udawać, że otaczający ich nieznajomi po prostu nie istnieją, i wytrwale unikają wszelkiego kontaktu. W naszych

ruchomych twierdzach to samooszukiwanie się staje się o wiele łatwiejsze: nie jesteśmy już otoczeni niewidzialną „bańką” nieprzystępności, tylko realnym, solidnym pancierzem z metalu i szkła. Możemy udawać nie tylko, że jesteśmy sami, ale też, że jesteśmy w domu.

Strusie

Z tej iluzji prywatności często wynika dość dziwne i zdecydowanie nieangielskie zachowanie. Jak strusie z głowami w piasku, Anglicy w swoich samochodach wydają się uważać, że są niewidzialni. Widzi się kierowców dłubiących w nosie, drapiących się w intymne miejsca, śpiewających i podrygujących w takt muzyki z radia, urządzających swoim współmałżonkom karczemne awantury z wrzaskami, całujących się i obściskujących - wszystko to normalnie robiliby tylko w zaciszu własnych domów, a tu folgują sobie na oczach dziesiątek innych kierowców i pieszych, nierzadko znajdujących się tylko kilka stóp dalej.

Poczucie „domowego” bezpieczeństwa i nietykalności, zapewniane przez nasze ruchome twierdze, również zachęca do bardziej obraźliwych przejawów braku zahamowań. Nawet zazwyczaj całkiem uprzejmi Anglicy w zaciszu własnych samochodów nagle zaczynają wykonywać obsceniczne gesty, wypowiadać bezgłośnie przekleństwa i groźby pod adresem innych użytkowników dróg - w wielu wypadkach mówiąc rzeczy, których nigdy nie mieliby śmiałości wypowiedzieć poza tym ochronnym pancierzem.

Agresja na drogach. „Nostalgia już nie jest tym, czym była kiedyś”

Mimo tych uchybień większość cudzoziemców przyznaje, że ogólnie Anglicy są wyjątkowo uprzejmymi kierowcami. Turystów zaskakują, a jeszcze częściej bawią tradycyjne diatryby w brytyjskich gazetach o tym, że jesteśmy świadkami „epidemii agresji na drogach”. „Czy ci ludzie nigdy nie byli za granicą? - zapytał z niedowierzaniem jeden bywały w świecie turysta. - Czy nie mają pojęcia, jak uprzejmi i dobrze wychowani są angielscy kierowcy w porównaniu z praktycznie każdym innym miejscem na ziemi?”. „Wy to nazywacie «agresją na drogach»? - zapytał inny. - Chcecie zobaczyć agresję na drogach, jedźcie do Ameryki, Francji, Grecji - kurczę, jedźcie wszędzie, tylko nie do Anglii! To, co wy nazywacie «agresją na drogach», to po prostu normalna jazda”.

„To takie typowo angielskie - powiedział mi spostrzegawczy znajomy imigrant anglofil. - Zdarza się kilka incydentów, gdzie kilku kierowców traci cierpliwość i wymienia parę ciosów, i od razu robi się z tego sprawa narodowa, zaczyna się mówić o nowej groźnej chorobie ogarniającej cały kraj, lepiej nie wychodzić na ulicę, bo drogi są pełne agresywnych maniaków... Śmiać mi się chce. Anglicy to najporządniejsi i najgrzeczniejsi kierowcy na świecie, ale wy zawsze tak strasznie chcecie wierzyć, że ten kraj schodzi na psy”.

Ma rację. Anglicy rzeczywiście cierpią na syndrom hasła z graffiti: „Nostalgia już nie jest tym, czym była kiedyś”. Przekonanie, że nasz kraj zmierza ku klęsce, że wszystko kiedyś było lepsze, że kolejny chroniony bastion czy symbol angielskości (jak pub, kolejki, sportowe zachowanie, monarchia, uprzejmość) upadł lub upada, wydaje się rozpowszechnione.

Prawda o „agresji drogowej” jest taka, że ludzie to zwierzęta zaborcze, jeśli chodzi o własne terytorium, a samochód, jako „dom na kółkach”, to specjalny rodzaj terytorium, toteż nasze reakcje defensywne przybierają na sile, gdy widzimy, że jest zagrożone. Tak zwana agresja drogowa jest więc, co zrozumiałe, zjawiskiem ogólnoświatowym, a mimo wszystkich tych sensacji gazetowych angielskie sposoby demonstracji tej uniwersalnej ludzkiej cechy są zwykle mniej powszechne i raczej mniej brutalne niż w większości innych krajów.

Zawsze jestem trochę ostrożna, jeśli chodzi o wyrażanie takich pozytywnych opinii o Anglikach, i zwykle robię wszystko, by nie brzmiały zbyt stanowczo, ponieważ wiem z doświadczenia, że chwalenie Anglików - czy to w książce, czy w zwyczajnej rozmowie - nieodmiennie prowokuje o wiele więcej sporów i kontrowersji niż krytykowanie tej nacji. Gdy robię jakąś krytyczną lub nawet potępiającą uwagę na temat jakiegoś aspektu angielskiej kultury, wszyscy ponuro kiwają głowami, przytakując, czasem nawet przytaczając przykłady z własnego doświadczenia. Za to pochwała, nawet umiarkowana i asekuracyjnie obwarowana zastrzeżeniami, zawsze zostaje podana w wątpliwość; oskarża się mnie o patrzenie na świat przez różowe okulary i zasypuje przykładami przeciwnymi - każdy ma w zanadrzu jakąś anegdotę lub dane statystyczne, które przeczą moim obserwacjom i udowadniają, że Anglicy to tak naprawdę ludek dość paskudny¹⁴.

Dzieje się tak po trosze dlatego, że od badaczy nauk społecznych oczekuje się, że będą zgłębiać problemy (dewiacje, dysfunkcje, zaburzenia, przestępczość), a ja tu łamię niepisane zasady swojej własnej profesji, upierając się przy badaniu spraw przyjemnych. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego to tylko konsekwentnie niepatriotyczni Anglicy buntują się przeciw moim bardziej pozytywnym wnioskom na ich temat. Gdy przeprowadzają ze mną wywiady zagraniczni dziennikarze lub gdy po prostu gawędzę z turystami i imigrantami, oni zawsze chętnie przyznają, że Anglicy mają pewne miłe, a nawet godne podziwu cechy. Wygląda na to, że sami Anglicy nie potrafią tego zaakceptować - na najmniejszą aluzję do komplementu robią się sceptyczni, drażliwi i biorą się do sprzeczki. No cóż, przykro mi, ale nie będę zmieniać swoich odkryć tylko po to, żeby zadowolić wszystkich tych „Kłapouchych”, wieszczących naszą rychłą zgubę. Będą jakoś musieli tu i ówdzie przelknąć zasłużoną pochwałę.

Uprzejmość

Wiem, że się narażam, ale powiem, że oprócz okazjonalnych wykroczeń (gdy bronią własnego terytorium), angielscy kierowcy całkiem słusznie słyną ze swego zdyscyplinowanego, rozsądnego, grzecznego zachowania. Moi zagraniczni informatorzy wymieniają miłe zwyczaje i dobre maniery, których większość z nas, Anglików, nawet nie zauważa: że nigdy nie trzeba długo czekać, aż ktoś pozwoli nam wyjechać z bocznej drogi czy z podjazdu, że jeśli kogoś puścimy, to on zawsze nam podziękuje, że prawie wszyscy kierowcy zachowują pełną szacunku odległość i nie „siedzą nikomu na ogonie”, ani nie trąbią z całych sił, gdy chcą wyprzedzić. Że na drodze jednopasmowej, względnie ulicy, gdzie auta zaparkowane są po obu stronach, tak że w efekcie powstaje jeden pas, ludzie bardzo dbają o to, żeby zjechać na bok i wzajemnie pozwolić sobie przejechać, i prawie zawsze unoszą dłoń w geście podziękowania; że wszyscy kierowcy zatrzymują się przed pieszymi na przejściu, nawet gdy piesi stoją na chodniku i nie postawili jeszcze stopy na jezdni. (Spotkałam pewnego turystę, dla którego było to tak zdumiewające, że powtarzał ten eksperyment bez końca, zachwycony faktem, że potrafi sam doprowadzić do tego, że sznury aut zatrzymują się z szacunkiem, bez pomocy czerwonych świateł czy znaków stopu); że trąbienie jest uważane za niegrzeczne i używane w wyjątkowych wypadkach jako ostrzeżenie, nie jako uniwersalny sposób komunikacji czy dawania upustu emocjom, jak wszędzie indziej w Europie i poza nią. Nawet jeśli nie zauważymy, że światło zmieniło się na zielone, angielscy kierowcy za nami zwykle wahają się dobrą chwilę, mając nadzieję, że ruszymy z miejsca sami, dopiero potem można usłyszeć ciche, niemal przepaszające „pip”, które ma zwrócić uwagę na zielone światło.

Nie twierdzę, że angielscy kierowcy są wzorem cnót automobilowych albo że są w jakiś cudowny sposób bardziej obdarzeni świętą cierpliwością niż inne narody, tylko że mamy zasady i zwyczaje, które nakazują pewną powściągliwość. Angielscy kierowcy, gdy są sfrustrowani lub rozzłoszczeni, wykrzykują obelgi jak wszyscy inni, a język, którego wówczas używają, wcale nie jest mniej soczysty, ale raczej robią to zza zamkniętych szyb, nie otwierając okien ani nie wysiadając, żeby „zrobić scenę”. Jeśli ktoś już wyjdzie z siebie tak, że zacznie wrzeszczeć lub nawet grozić innym fizycznie, jest to niesłychany incydent, nad którym jeszcze długo później ubolewa się i cmoka, kręcąc z oburzeniem głową. Jest on cytowany jako dowód na „epidemię agresji na drogach”, upadek obyczajów itd. Na pewno nie traktuje się go, jak prawie wszędzie indziej, jako wydarzenie irytujące, lecz raczej przeciętne.

Fair play

Zachowanie Anglików na drodze można postrzegać jako analogię zachowania w kolejkach w tym sensie, że mają tu zastosowanie te same zasady gry fair oraz dobre maniery.

Tak samo jak w wypadku kolejek, ludzie oczywiście czasem „oszukują”, ale łamanie zasad fair play na szosie wywołuje takie samo święte oburzenie jak wpychanie się do ogonka. Podobnie jak kolejkowicze, kierowcy są w pełni świadomi „potencjalnych” oszustów i na przykład podjeżdżają demonstracyjnie ciut do przodu, rzucając podejrzliwe spojrzenia z ukosa, i zamykają powstałe luki, aby popsuć szyki innemu kierowcy, który zdaje się rozważać jakiś oportunistyczny manewr, przy czym starannie unikają kontaktu wzrokowego.

Gdy ruch na pasie prowadzącym do zjazdu z autostrady czy innej drogi głównej jest bardzo powolny, niektórzy bezwzględni kierowcy mogą uciec się do „oszustwa”, czyli śmignąć którymś z zewnętrznych pasów, po którym auta jadą szybciej, aby później w pewnej chwili próbować wcisnąć się z powrotem na pas prowadzący do zjazdu z autostrady. To jest równoznaczne z wpychaniem się do kolejki, ale jedyna kara, jaka spotyka tu winowajców, to mniej więcej taki sam grad chmurnych spojrzeń, piorunowanie wzrokiem i mamrotane obelgi, jakie spadają na winowajców w sytuacji pozadrogowej - może z dodatkiem kilku gniewnych czy obscenicznych gestów, prawie zawsze demonstrowanych zza bezpiecznej osłony zamkniętego okna. Klaksonu rzadko się w takich wypadkach używa, ponieważ istnieje niepisana zasada, że „rozzłoszczone” trąbienie powinno być zarezerwowane dla takiego zachowania kierowcy, które jest potencjalnie niebezpieczne, a nie po prostu głęboko niemoralne.

Taka taktyka wydaje się nieco mniej skuteczna, jeśli chodzi o przestrzeganie fair play wśród kierowców niż wśród pieszych, ponieważ trudniej jest tu kogoś zawstydzić. Bezpieczni w swoich ruchomych twierdzach, z możliwością szybkiej ucieczki od pełnych dezaprobaty spojrzeń i gniewnych gestów, Anglicy są mniej wrażliwi na te dość subtelne czynniki odstrasżające i sankcje, a więc bardziej skłonni złamać zasady fair play. Warto jednak zauważyć, że choć wpychanie się do kolejek i inne zachowania oportunistyczne są bardziej powszechne wśród kierowców niż wśród pieszych, tylko niewielki procent kierowców łamie te zasady; większość angielskich kierowców przeważnie „gra fair”.

Kodeks drogowy a angielskość

Co te zasady mówią nam o angielskości? Zasada zaprzeczania dostarcza nam kolejnego znamiennego dowodu na angielskie zahamowanie i skrępowanie towarzyskie i dalszych przykładów naszej ciasnoty poglądów i obsesji na punkcie prywatności. W ostatnim rozdziale zasugerowałam, że te dwie tendencje mają ze sobą coś wspólnego, że nasza nadmierna potrzeba prywatności przynajmniej częściowo wynika z naszej niezręczności towarzyskiej, że „dom to jest to, co Anglikom zastępuje umiejętności towarzyskie”. Może to dość śmiało stwierdzenie, żadne jednak dane w rozdziale o zachowaniu na drodze, dotyczące

tego, co się dzieje, gdy odważymy się wyjść poza prywatność i bezpieczeństwo naszych domów, nie skłoniły mnie do rewizji tej opinii. Zarówno zasada zaprzeczenia, jak i zasada twierdzy na kółkach potwierdzają naszą niezdolność do radzenia sobie z nieuchronnością kontaktów towarzyskich; udaje nam się przetrwać tylko dlatego, że sięgamy po różne formy samooszukiwania się, udajemy albo że inni nie istnieją, albo że my sami nie wyszliśmy z domu.

Zasady uprzejmości, zarówno w środkach transportu publicznego, jak i w wypadku kierowców na szosie, również przypominają nam o znaczeniu uprzejmości w kulturze angielskiej, ale sądzę, że teraz zbliżamy się do lepszego zrozumienia jej niuansów. Wniosek, że Anglia to w przeważającej mierze kraj „uprzejmości negatywnej” - skupionej głównie na tym, by nie być intruzem i się nie narzucać - wydaje mi się całkiem użyteczny. Tu warto podkreślić, że grzeczność i uprzejmość w takim kształcie, w jakim okazują je Anglicy, mają bardzo mało wspólnego z autentyczną życzliwością czy dobroduszością.

Wygląda na to, że w miarę jak zgłębiany różne aspekty angielskiego życia i kultury, wyłania się jakiś schemat, powracający motyw, który jak sądzę, może być kluczowy dla zrozumienia natury Anglików. Zauważam, że jeśli chodzi o kontakty międzyludzkie, u Anglików rzadko coś jest jasne i bezpośrednie. Zdaje się, że mamy wrodzoną cechę: niezdolność do bycia szczerym, zdecydowanym czy asertywnym. Zawsze kręcimy, zawsze gramy w jakąś zagmatwaną grę. Jeśli nie robimy czegoś wspaniałego (mówienie czegoś odwrotnego do tego, co myślimy, przedstawianie się dopiero pod koniec spotkania, przeproszenie, gdy ktoś na nas wpadnie, i inne praktyki rodem z *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustro*), robimy to na ukos (adresując oburzone mamrotanie na temat wpychających się do kolejki do pozostałych kolejkowiczów, a narzekania na opóźnienie pociągu do innych pasażerów, zamiast stawić czoło winnym). Każda sytuacja towarzyska przesycona jest dwuznacznością, tonie po kolana w komplikacjach, ukrytych znaczeniach, zawoalowanych próbach sił, biernej agresji i paranoicznej dezorientacji. Można odnieść wrażenie, że kieruje nami jakaś perwersyjna determinacja, by jak najbardziej sobie wszystko utrudnić. Dlaczego, jak zapytała mnie tęsknie pewna amerykańska turystka, Anglicy nie mogą być „trochę bardziej bezpośredni, no wiesz, trochę bardziej otwarci”? Zauważyła, że zaoszczędzilibyśmy sobie i wszystkim innym całej masy problemów.

Chodzi o to - tak sądzę - że gdy robimy się „bezpośredni i otwarci”, zaczynamy przesadzać, stajemy się hałaśliwi, agresywni, chamscy i ogólnie nieznośni. Ile razy rozmawiam z Anglikami o moich badaniach nad angielskością i wspominam, że zwykle jesteśmy zahamowani i mamy masę zasad dotyczących uprzejmości, oni mówią: „Ależ nie

jesteśmy zahamowani i uprzejmi - spójrz na naszych chuliganów futbolowych i pijanych prostaków, którzy są wszędzie - jesteśmy hałaśliwi, okropni i w ogóle, pełna kompromitacja”. Abstrahując od tego, co sama ta odpowiedź ujawnia, jeśli chodzi o nasze narodowe zamiłowanie do umniejszania samych siebie, powiedziałabym, że nasza skrępowana uprzejmość i hałaśliwa okropność to dwie strony tego samego medalu. Obie tendencje odzwierciedlają fundamentalną i wyraźnie angielską formę ułomności towarzyskiej, chronicznej i najwyraźniej nieuleczalnej niezdolności do normalnego porozumiewania się wprost z innymi istotami ludzkimi. Wypracowaliśmy sobie wiele pomysłowych sposobów maskowania i pokonywania tej niefortunnej ułomności („protezy”, takie jak pogoda, pub i wsteczne lusterko w taksówce), ale nigdy nie uda nam się jej całkowicie pozbyć.

Upośledzeni pod względem towarzyskim, mamy jednak pewne zalety. Na przykład wiele zasad badanych w tym rozdziale podkreśla ogromne znaczenie „bycia fair” w kulturze angielskiej. To nie znaczy, że inne nacje nie mają takiego konceptu - to, co jest w nim typowo angielskie, to nasza przemożna narodowa obsesja na punkcie fair play.

Większość pozostałych zasad w tym rozdziale wydaje się dotyczyć tej drugiej wielkiej angielskiej obsesji: hierarchii klasowej. Zasady dbania o samochód związane z brudem, porządkiem i psami wskazują na osobliwy, ale wyraźnie konsekwentny schemat: odkrywamy, że najwyższe i najniższe końce drabiny społecznej mają więcej ze sobą wspólnego niż którykolwiek z nich z warstwami środkowymi. Ten czynnik wspólny przeważnie dotyczy lekceważenia społecznych niuansów lub braku zainteresowania tym, „co ludzie powiedzą”. Przychodzi mi do głowy, że to może dlatego większość wybitnych i wyrazistych angielskich ekscentryków zawsze pochodziła z najwyższych lub najniższych warstw społecznych. Jakoś nie ma wielu przykładów wyraźnej, barwnej ekscentryczności w średniej lub niższej warstwie klasy średniej.

Wreszcie kwestia „agresji na drogach” rzuca nowe światło na problem angielskiego patriotyzmu, lub raczej jego wyraźny brak. Czy może istnieć jakakolwiek inna nacja tak zdecydowanie niepatriotyczna, tak skłonna do samobiczowania, tak niechętna i przeczulona na punkcie przyjmowania komplementów? Ten niedostatek poczucia własnej wartości, to niezachwiane przekonanie, że w naszym kraju nie ma czego chwalić, i w ogóle przecież on pędem schodzi na psy, musi zapewne być jedną z cech definiujących angielskość. Choć z drugiej strony, podejrzewam, że ta cecha jest tak naprawdę podkategorią, symptomem lub skutkiem ubocznym naszych zasad skromności, narzekania i humoru (zwłaszcza zasady autoironii i zasady „byle nie zbyt serio”), a nie cechą definiującą samą w sobie. Tak czy inaczej, mogę z całą pewnością przepowiedzieć, że mimo wszystkich moich uwag

krytycznych na temat Anglików w tej książce dostanie mi się, gdy już zostanie ona wydana, za to, że wyrażam się zbyt pozytywnie, że maluję zbyt pochlebny portret, że ignoruję lub tuszuję nasze ciemniejsze strony - i tak dalej, i w podobnie ponurym tonie. Jeśli mówię to w tej chwili trochę cynicznie, opryskliwie i pesymistycznie, to pewnie dlatego, że jestem Angielką.

W pracy

Ustalenie i analiza zaszyfrowanych zachowań Anglików w miejscu pracy to zadanie wielkie, złożone i trudne - tak zniechęcające, że większość ostatnio wydanych książek o Anglikach albo po prostu całkiem ignoruje temat pracy, albo prześlizguje się po nim za pomocą kilku krótkich wzmianek. Zakładam, że ten aspekt angielskiego życia i kultury jest zaniechany jako zbyt trudny, no bo przecież nie nudny czy błahy. Może to, że ja w ogóle próbuję mierzyć się z tym tematem, świadczy o mojej arogancji? Moje osobiste bezpośrednie doświadczenie, jeśli chodzi o angielski świat pracy i biznesu, jest dość niekonwencjonalne, ponieważ prawie całe życie pracuję w maleńkiej, borykającej się z trudnościami, niezależnej placówce badawczej SIRC (Ośrodku Badania Problemów Społecznych), prowadzonej przez dwie ani trochę nieprzypominające biznesmenów osoby (czyli mnie i drugiego dyrektora placówki, doktora Petera Marsha, psychologa społecznego). A jednak mimo że sam SIRC nie jest typowym miejscem pracy, to, czym się zajmujemy, umożliwiło nam wgląd w zróżnicowaną i w miarę reprezentatywną grupę środowisk pracowniczych w całym kraju (a także w innych krajach, co dało też pewną podstawę do porównań międzykulturowych).

Prawie wszyscy cudzoziemcy, z którymi rozmawiałam w trakcie badań do tej książki, byli lekko zakłopotani postawą Anglików wobec pracy i ich zachowaniem w miejscu pracy; wszyscy jakby wyczuwali, że „jest problem”, ale trudno im było dokładnie go określić. W pewnym sensie te różne opinie, które usłyszałam, były odbiciem tła kulturowego moich informatorów - ci z krajów śródziemnomorskich, Ameryki Łacińskiej, Karaibów i niektórych krajów afrykańskich najczęściej postrzegali Anglików jako dość sztywnych wyznawców protestanckiej etyki zawodowej, natomiast wielu Hindusów, Pakistańczyków, Japończyków i mieszkańców Europy Północnej uważało nas za leniwych, niezaradnych i nieodpowiedzialnych (Azjaci zwykle starali się ująć to uprzejmie, choć było całkiem jasne, co mają na myśli; Niemcy, Szwedzi i Szwajcarzy byli bardziej bezceremonialni).

Ale niektóre z tych sprzeczności wydawały się typowo angielskie; ci sami ludzie często wyrażali podziw dla naszej pomysłowości i innowacyjności, krytykując nasz nudny, głupio uparty tradycjonalizm. Amerykanie, rzekomo nasi najbliżsi kulturowo krewni, zdawali się być najbardziej zdumieni (nie mówiąc już o irytacji) osobliwościami angielskiej etyki zawodowej. Może to dlatego, że są bardziej nastawieni na dostosowanie się i wzajemne zrozumienie, więc tym bardziej wytrąca ich z równowagi współpraca z „obcą” kulturą, ale nawet obserwatorzy angielscy uważają podejście Anglików do pracy za niekonsekwentne. W podręczniku zatytułowanym *British Cultural Identities* autorzy twierdzą w pewnym miejscu, że „wśród Anglików przeważa opinia, że praca to kierat, z którego ludzie marzą, by uciec”, a

na następnej stronie, że „etyka zawodowa w Wielkiej Brytanii jest bardzo silna”. Już abstrahując od tego, że najwidoczniej nie są pewni, o którym kraju, czy krajach, mówią, ta sprzeczność świadczy o tym, że w angielskiej kulturze pracy jest wiele nieuchwytnych zawiłych rozbieżności, które występują naturalnie i całkiem niezależnie od kulturowej perspektywy, w jakiej są postrzegane. Teraz spróbuję je ustalić i rozwikłać.

Mętnik

Francuski autor Philippe Daudy zauważył: „Ludzi z Kontynentu nieodmiennie zbija z tropu stosunek Anglików do pracy. Wygląda na to, że ani nie traktują jej jako ciężkiego brzemienia nałożonego im przez los, ani nie przyjmują skwapliwie jako święty obowiązek”. Inaczej mówiąc, nasz stosunek do pracy nie podporządkowuje się ani modelowi katolickofatalistycznemu ani protestanckiej etyce zawodowej, podczas gdy w większości krajów Europy obowiązuje jeden lub drugi. Nasza pozycja jest gdzieś pośrodku między tymi dwoma skrajnościami - typowo angielska próba kompromisu i umiaru. Lub też typowo angielski mętnik, zależnie od punktu widzenia. Ale nie jest to mętnik nie do ogarnięcia; regulowany jest on zasadami, a jego główne wytyczne są następujące:

Traktujemy pracę serio, ale nie zbyt serio.

Uważamy, że praca to obowiązek, ale nie posunęlibyśmy się aż tak daleko, żeby nazwać ją „świętym obowiązkiem”. Uważamy ją też trochę za utrapienie i zawracanie głowy, wymuszone bardziej przez praktyczną konieczność niż jakiś mistyczny „los”.

Bezustannie narzekamy na pracę, ale także czerpiemy pewnego rodzaju stoicką dumę z tego, że „staramy się, jak możemy” i że „jakoś leci”.

Z oburzeniem i dezaprobatą patrzymy na tych, którzy unikają pracy - od pomniejszych członków rodziny królewskiej na szczycie drabiny społecznej do domniemanych „pasożytów na zasiłku” na samym dole - ale wynika to bardziej z naszej surowej, niemal religijnej wiary w „bycie fair” niż z wiary w samą świętość pracy (takich ludzi postrzega się jako tych, którym „na sucho uchodzi” próżniactwo, podczas gdy my wszyscy pozostali, którzy też chcielibyśmy sobie popróżnować, musimy iść do pracy, a to po prostu nie jest „fair”).

Często stwierdzamy, że wolelibyśmy nie pracować, jednak nasza prywatna i społeczna tożsamość jest w gruncie rzeczy w dużym stopniu ściśle związana z pracą (chodzi albo o sam fakt, że ma się pracę i przynosi się do domu pensję, albo, w przypadku wykonujących bardziej z natury ciekawe lub prestiżowe zawody - o satysfakcję i status z nimi związane).

Temat pieniędzy uważamy za niesmaczny. Nadal mocno trzymają się resztki uprzedzeń do świata „handlu” czy świata „kupieckiego”, co może uczynić „robienie interesów” sprawą dość niezręczną.

Pokutują wciąż u nas pozostałości mitu „kultury amatorów”, co pociąga za sobą instynktowną nieufność do „profesjonalizmu” i biznesowej skuteczności. Może to być przeszkodą w prowadzeniu profesjonalnego, skutecznego biznesu.

Wreszcie, przynosimy ze sobą do naszego miejsca pracy wszystkie dobrze nam już znane angielskie zasady humoru, skrępowania, zahamowań, prywatności, skromności, narzekania, uprzejmości, fair play itd. - z których większość także koliduje z produktywną i wydajną pracą.

Mimo to jednak jakoś sobie radzimy i w sumie nawet często praca wychodzi nam całkiem nieźle.

To właśnie z tych wytycznych wywodzi się wiele szczegółowych zasad normujących zachowanie w miejscu pracy.

Humor w pracy

Jeśli ktoś spędzi jeden dzień w jakimkolwiek angielskim miejscu pracy, czy to na targu ulicznym, czy w banku handlowym, zauważy, że jedną z najbardziej uderzających jego cech jest ukryta nuta humoru. Nie twierdzę, że wszyscy pracujący Anglicy przez cały czas strzelają dowcipami, ani że jesteśmy bezustannie weseli i uśmiechnięci; mówię o bardziej subtelnych formach humoru: ironii, inteligentnym dowcipie, niedomówieniu, przekomarzaniu, droczeniu się, przekłuwaniu balonów sztuczności - które są integralną częścią niemal wszystkich angielskich kontaktów społecznych.

Właściwie to w pierwszym zdaniu skłamałam: jeśli ten „ktoś” jest Anglikiem, łatwo może spędzić cały dzień wśród innych Anglików w pracy, w ogóle nie zauważając tego wszechobecnego humoru - tak naprawdę, pewnie sam praktykuje go codziennie. Nawet jeśli zwróciłam wam tu na to uwagę, prawdopodobnie humor u was w pracy jest tak swojski, tak naturalny, tak głęboko zakorzeniony, że może wam być ciężko spojrzeć na tę sprawę z boku. Natomiast cudzoziemcy zauważają to od razu - albo raczej zauważają *coś*, co nie zawsze daje się od razu zidentyfikować jako humor, a to trochę zbija ich z tropu. W moich rozmowach z imigrantami i innymi informatorami z zagranicy odkryłam, że angielskie poczucie humoru, w różnych postaciach, jest jedną z najczęstszych przyczyn nieporozumień w ich kontaktach zawodowych z Anglikami. Do ich zdezorientowania przyczyniają się w jakimś stopniu wszystkie niepisane zasady angielskiego humoru, najboleśniej jednak można się potknąć o zasadę ironii i zasadę „byle nie zbyt serio”.

„Byle nie zbyt serio” w pracy

Nasze szczególne uwrażliwienie na różnicę między powagą a nadęciem, między szczerością a żarliwością, nie zawsze w pełni rozumieją czy doceniają cudzoziemcy z krajów,

w których granice między tymi cechami są bardziej płynne. W większości innych kultur branie siebie samego zbyt serio może być błędem, ale nie jest grzechem - trochę napażenia czy gorliwości toleruje się, może nawet oczekuje, w dyskusjach na temat poważnej pracy czy spraw zawodowych. Jednakże w angielskim miejscu pracy przesadna wylewność i nadęte wymądrzanie się są bezlitośnie wyśmiewane - jeśli nie w twarz, to za plecami delikwenta. Oczywiście, że tacy ludzie się zdarzają, a im wyższy jest ich status, tym mniej prawdopodobne, że ktoś zwróci im na to uwagę, ogólnie jednak rzecz biorąc, Anglicy zwykle są podświadomie wyczuleni na owe tabu i unikają przekraczania niewidzialnych granic.

Zasada „byle nie zbyt serio” przenika całą naszą postawę wobec pracy. Pierwsza „zasada przewodnia”, o której wspominałam, jest taka, że traktujemy pracę serio, ale nie *zbyt* serio. Jeśli nasza praca jest interesująca, wolno nam się nią pasjonować - a nawet być „trochę pracoholikiem”; ale jeśli wykazujemy zbyt pracoholizm albo zbyt gorliwie podniecamy się nieciekawą w istocie pracą, uznają nas za „żałosnych” i zasugerują, żebyśmy „przestali nudzić”. Nie wypada za bardzo się przejmować.

Ćwiczenie się w zasadzie „byle nie zbyt serio” zaczyna się wcześniej; wśród angielskich uczniów istnieje niepisana zasada zabraniająca wykazywania zbyt dużego entuzjazmu do nauki. W niektórych szkołach dopuszczalne jest pilne uczenie się do egzaminów, ale trzeba wtedy dużo jęczeć i narzekać, a już na pewno nigdy nie przyznawać się, że nauka sprawia ci przyjemność. Nawet w szkołach najbardziej nastawionych na sukcesy naukowe zbyt gorliwy „kujon” czy pupilek nauczyciela (aktualnie używane angielskie słowa to *geek*, *nerd*, *suck* i *boffin*) - są niepopularni i stają się obiektem kpin. Dzieci, które lubią się uczyć, pasjonują się jakimś konkretnym przedmiotem albo są dumne ze swoich zdolności, przeważnie starannie ukrywają zapał pod maską udawanego znudzenia i cynicznej obojętności.

Anglików często oskarża się o antyintelektualizm, i choć może w tym być ziarenko prawdy, jestem skłonna uważać, że jest to cokolwiek błędna interpretacja; to, co wygląda na antyintelektualizm, to często kombinacja antygorliwości i antychełpliwości. Nie mamy nic przeciw ludziom, którzy są zdolni czy błyskotliwi, pod warunkiem, że nie robią z tego ceregieli, nie prawią nam kazań, nie wymądrzają się, nie popisują i nie biorą siebie zbyt poważnie! Jeśli ktoś wykazuje oznaki którejs z tych tendencji (niestety, wszystkie są dość powszechne wśród intelektualistów), Anglicy odpowiadają swoim cynicznym narodowym sloganem: „Daj spokój!”.

Z naszego instynktownego unikania nadmiernej powagi wynika styl prowadzenia interesów lub rozmów biznesowych, który dla niewtajemniczonego cudzoziemca jest dość

niepokojący: jakby bezceremonialny, beznamiętny, obojętny - zawsze sprawiający wrażenie, jak ujął to jeden z moich spostrzegawczych informatorów, „że właściwie to są rozczarowani całą tą sytuacją, w tym samymi sobą i produktem, który chcą mi sprzedać”. Ta beznamiętna, powściągliwa postawa wydaje się być normalną praktyką we wszystkich zawodach i na wszystkich stanowiskach, od pracujących dorywczo budowlańców do wysoko opłacanych adwokatów. Nie wypada się zbyt ekscytować własnymi produktami czy usługami - nie można pokazać po sobie, że nam zależy, bez względu na to, jak rozpaczliwie pragniemy dobić targu; to byłby brak godności. To obojętne podejście świetnie się sprawdza w wypadku klientów angielskich, bo nic nie budzi większej pogardy w Angliku niż nadgorliwy sprzedawca, a nadmierny zapał powoduje tylko, że się kulimy i wycofujemy. Jednakże nasz chłodny styl może stanowić problem w kontaktach biznesowych z cudzoziemcami, którzy oczekują, że wykazemy choć odrobinę entuzjazmu dla naszej pracy, zwłaszcza gdy staramy się przekonać innych o jej walorach czy korzyściach.

Ironia i niedomówienie w biznesie

Angielska słabość do ironii, zwłaszcza nasze użycie niedomówienia, dodatkowo pogarsza sprawę. Nie tylko nie udaje nam się wykazać spodziewanego entuzjazmu dla naszej pracy czy produktów, ale brniemy dalej, robiąc takie uwagi jak: „No, w sumie nieźle” albo „Mogło być o wiele gorzej”, próbując przekonać kogoś, że nasze adaptacje strychów, przedsiębiorczość czy cokolwiek innego są naprawdę najlepsze na rynku. Potem lubimy rzucić: „No cóż, myślę, że jakoś sobie poradzę”, co ma znaczyć: „Tak, oczywiście, nie ma najmniejszego problemu”, oraz „Przydałoby się to dzisiaj zrobić”, czyli „Na litość boską, miałeś to skończyć wczoraj!”, i „Zdaje się, że mamy mały problem”, gdy wydarzył się jakiś totalny i nieodwracalny kataklizm. (Inna typowo angielska reakcja na, dajmy na to, katastrofalne spotkanie biznesowe, na którym przepadł kontrakt wart milion funtów, to: „Nawet dość nieźle poszło, nie uważasz?”).

Zagranicznym klientom i partnerom zajmuje trochę czasu, zanim zrozumieją, że jeśli Anglik mówi: „Och, *naprawdę?* To ciekawe”, może równie dobrze mieć na myśli: „Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, ty kłamco”. Ale nie zawsze. To może też po prostu znaczyć: „Jestem znudzony i właściwie nie słucham, ale staram się być uprzejmy”. Ale może też być autentycznie zaskoczony i zainteresowany! Tego się nigdy nie dowiemy. Nie ma sposobu, żeby się o tym przekonać; nawet sami Angolicy, którzy mają całkiem niezły „szósty zmysł”, pomagający w wykrywaniu ironii, nie zawsze są w stu procentach pewni. I to jest problem z angielskim nawykiem ironizowania: czasem mówimy to, co myślimy, ale nasze nieustanne użycie ironii jest trochę jak igranie z fałszywym alarmem - gdy naprawdę jest powód do

alarmu, czyli gdy naprawdę mamy akurat na myśli dokładnie to, co mówimy, nasi rozmówcy robią się, co całkiem zrozumiałe, nieco sceptyczni, a w wypadku cudzoziemców - całkiem skonsternowani. Anglicy są przyzwyczajeni do tej nieustannej niepewności, a ta, jak mówi Priestley, mglista atmosfera, w której „bardzo rzadko coś jest wyraźne”, z całą pewnością sprzyja humorowi. Mimo to nawet jeden z moich najbardziej lojalnych angielskich informatorów przyznał, że w świecie pracy i biznesu „nie zaszkodziłoby ciut więcej jasności”, choć, dodał, „wygląda na to, że jakoś sobie radzimy”.

Imigrant z Indii, który od wielu lat dzielnie stara się prowadzić interesy z Anglikami, powiedział mi, że nie od razu poradził sobie z angielską ironią, bo choć ironia jest uniwersalna, „Anglicy nie używają jej tak jak Hindusi. My robimy to w bardzo toporny sposób, puszcza oczka, unosimy brwi, mówimy przesadnym tonem, żeby rozmówca wiedział, że to ironia. Gdy komuś nie wierzymy, możemy powiedzieć: «Ach tak, tak uważasz?»», ale zrobimy to z towarzyszeniem tych wszystkich jawnych sygnałów. Właściwie z doświadczenia wiem, że robi tak większość ludzi innych narodowości - to znaczy, dają ci sporo wskazówek. Tylko Anglicy używają ironii z kamienną twarzą. Zdaję sobie sprawę, że tak się to powinno robić, Kate, i owszem, jest to o wiele bardziej zabawne - tak naprawdę hinduska ironia w ogóle nie jest śmieszna, gdy towarzyszą jej te wszystkie migające neony z napisem «ironia» - ale wiesz, Anglicy potrafią też być, cholera, trochę zbyt subtelni”.

Jednak większość pracujących Anglików nie tylko nie martwi się, że cudzoziemiec może mieć z tym problem, ale wręcz jest ogromnie dumna ze swego poczucia humoru. W ankiecie przeprowadzonej przez znajomego psychologa społecznego, Petera Colletta, doświadczeni brytyjscy biznesmeni robiący interesy w Europie uznali klimat biznesowy w naszym kraju za łżejszy i bardziej zabawny niż w jakimkolwiek innym kraju w Europie, oprócz Irlandii (tylko nie jest całkiem jasne, czy uważamy, że Irlandczycy mają większe poczucie humoru, czy tylko uważamy ich za śmieszniejszych). Jedynie Hiszpanie zbliżyli się nieco do nas w tej konkurencji, a nieszczęśni Niemcy dostali najniższe wyniki ze wszystkich, co odzwierciedla popularny w Anglii stereotyp, że Niemcy kompletnie nie mają poczucia humoru - albo może my nie potrafimy znaleźć zbyt wiele powodów, żeby się z nich śmiać - a to jednak nie całkiem to samo.

Skromność i styl reklamy „Bumpex”

Kolejną potencjalną przeszkodą w osiągnięciu powodzenia w biznesie jest angielska zasada skromności. Choć Anglicy nie są wcale bardziej skromni z *natury* niż przedstawiciele innych kultur - mamy nawet skłonność do lekkiej arogancji - bardzo sobie cenimy tę cechę, i mamy wiele niepisanych zasad, które nakazują przynajmniej zachowanie *pozorów*

skromności. Może zasada skromności działa jako przeciwwaga dla naszej naturalnej arogancji, tak jak zasady uprzejmości bronią nas przed naszą tendencją do agresji? Nieważne, jakie jest źródło angielskich zasad zabraniających chełpliwości i nakazujących zachowanie skromne i bezpretensjonalne; ważne, że często mogą się one kłócić z praktykami współczesnego biznesu.

W czasie moich badań nad światem wyścigów konnych raz poproszono mnie, jako oficjalnego antropologa z „plemienia” miłośników wyścigów, żebym wygłosiła odczyt dla grupy właścicieli i dyrektorów torów wyścigowych o tym, jak mogliby zwiększyć swoje osiągnięcia w tym biznesie. Zasugerowałam, że może powinni postarać się bardziej zareklamować unikalne atrakcje towarzyskie wyścigów - pogodny „mikroklimat społeczny” torów wyścigowych. Jeden z kierowników zaprotestował ze zgrozą: „Musielibyśmy się chwalić!”. Usiłując zachować powagę, powiedziałam: „Moim zdaniem, w dzisiejszych czasach to się nazywa marketing” - jednak zasada skromności okazała się silniejsza niż którykolwiek z moich argumentów, toteż ów kierownik i wielu jego kolegów do końca nie dało się przekonać.

To jest przykład ekstremalny i większość angielskich biznesmenów teraz śmiałyby się z tej staroświeckiej postawy, mimo to w wielu angielskich firmach wciąż znajdziemy ślady tej mentalności. Choć większość z nas nie posunęłaby się do takiej skrajności, żeby odrzucać każdy rodzaj marketingu jako typowe „przechwałki”, niemal uniwersalny jest niesmak odczuwany w stosunku do nachalnej reklamy, natarczywości, do tego rodzaju obcesowego, drapieżnego podejścia do marketingu, które Anglicy zawsze opisują tonem pogardy jako „amerykańskie”. Jak zwykle ten stereotyp ujawnia więcej o Anglikach niż o szkalowanych przez nas Amerykanach; lubimy myśleć, że nasze podejście do sprzedaży produktów jest bardziej subtelne, powściągliwe, ironiczne - i na pewno mniej otwarcie chełpliwe.

I tak jest. Jak już mówiłam, nie mamy monopolu na te cechy, ale z reguły są one bardziej rozpowszechnione tutaj niż w innych krajach, a poza tym doprowadzamy je do ekstremum, zwłaszcza jeśli chodzi o nasz stosunek do reklamy. Ostatnio na przykład w telewizji pojawiła się seria reklam Marmite¹⁵, w których pokazywano ludzi reagujących z obrzydzeniem, wręcz odruchem wymiotnym, na najmniejszy ślad smaku lub zapachu Marmite. Ogólnie wiadomo, że Marmite albo się kocha, albo nienawidzi, jednak kampania reklamowa skupiająca się wyłącznie na wstręcie, jaki niektórzy ludzie czują do naszego produktu, zaskakuje wielu cudzoziemców jako swoista perwersja. „Coś takiego nie udałoby wam się nigdzie indziej na świecie - powiedział pewien Amerykanin. - To znaczy, owszem, łapię, o co chodzi. Ludzie albo uwielbiają Marmite, albo go nie znoszą, i ponieważ tych,

którzy go nie cierpią, i tak nie da się przekonać, równie dobrze można zrobić z tego żart. Jednakże reklama z przesłaniem «niektórzy to jedzą, ale wielu nie znosi nawet samego zapachu»? Tylko w Anglii!”.

Humorysta George Mikes twierdził w roku 1960, że „wszystkie reklamy - zwłaszcza telewizyjne - są absolutnie i beznadziejnie nieangielskie. Przegadane, zbyt definitywne, za bardzo zachwalające”. Sugerował, żeby zamiast „niewolniczo naśladować amerykański styl zatykających dech superlatywów”, Anglicy wynaleźli swój własny skromny styl reklamowania produktów, polecając np. „Spróbuj szczęścia z Sokiem Owocowym «Bumpex». Większość ludzi nie znosi go. Ty możesz być wyjątkiem”.

Intencją jego była niewątpliwie komiczna przesada, karykatura stereotypu, a jednak teraz, czterdzieści lat później, unikanie „zatykających dech” superlatywów jest w angielskiej reklamie normą i producenci Marmite zaproponowali bardzo skuteczną reklamę o dokładnie takim samym przesłaniu jak fikcyjny Bumpex Mikesa. Podobieństwo jest niesamowite: wygląda, jakby ta agencja reklamowa korzystała wprost z instrukcji w jego książce. A więc główna argumentacja Mikesa, że samo zjawisko reklamy jest zasadniczo nieangielskie i aby odpowiadało angielskim zasadom skromności i powściągliwości, należałoby je radykalnie zmienić, jest czymś o wiele więcej niż zabawną przesadą. Miał świętą rację, a jego słowa okazały się niewiarygodnie prorocze. Reklama, a tym samym wszystkie formy marketingu i sprzedaży produktu są niemal z definicji chełpliwe - a jako takie, fundamentalnie różnią się od zasad przewodnich kultury angielskiej.

Choć raz nasze dobrowolnie narzucone ograniczenia odniosły skutek pozytywny: reklama nie mieści się w naszym systemie wartości, zamiast więc porzucać nasze niepisane zasady, nagięliśmy i zmieniliśmy zasady reklamy i wymyśliliśmy taką jej formę, która pozwala nam przestrzegać zasady skromności. Dowcipna, nowatorska reklama, z której, jak mówią mi ludzie z tej branży, Anglicy są znani na całym świecie i bardzo są za nią podziwiani, właściwie jest po prostu naszym sposobem na zachowanie skromności.

My, Anglicy, potrafimy się chwalić, jeśli trzeba; potrafimy ostentacyjnie okazywać wylewny entuzjizm dla naszych produktów czy usług, jednak zasady antychełpliwości i antypompacyjności oznaczają, że wielu z nas uważa takie działanie za niestosowne i ogromnie żenujące, i w związku z tym najczęściej jesteśmy w nim nieprzekonujący. A nie jest to tylko problem wyższego kierownictwa - odkryłam, że pracownicy z dołu drabiny społecznej wcale nie są mniej przewrażliwieni czy cyniczni na punkcie przechwałek niż wykształcona klasa średnia i wyższa warstwa klasy średniej.

Uprzejme odwołanie

Choć podczas pierwszego spotkania biznesowego wolno nam ominąć rafa zasady „tylko bez nazwisk” i dylematu ściskania ręki, tu kończy się bezpieczna oficjalność, a zaczynają sytuacje potencjalnie krępujące.

Przede wszystkim, gdy tylko dopełnimy wstępnych przedstawień, zawsze następuje niezręczna faza spotkania - która zwykle trwa pięćdziesiąt minut, ale może zabrać i dwadzieścia - kiedy to wszystkie lub niektóre strony uważają, że niegrzecznie byłoby tak od razu przejść do interesów, i każdy udaje, że właściwie jest to tylko zwykłe spotkanie towarzyskie. Odwlekamy przejście do sedna sprawy za pomocą standardowych rozmów o pogodzie, pytań, jak minęła podróż, obowiązkowych kpiącożartobliwych utyskiwań na ruch uliczny, uprzejmych uwag na temat klarownych wskazówek, jakich udzielił nam gospodarz, żartów na temat własnej beznadziejnej orientacji w terenie, a także niekończącego się zamieszania z herbatą i kawą (w tym tradycyjnie dziesiątki „proszę” i „dziękuję”, pełne uznania pomruki ze strony gości i żartobliwe samokrytyczne przeprosiny ze strony gospodarza, itd.).

Zawsze trudno mi utrzymać powagę podczas tego rytuału „uprzejmego odwlekania”, bo przypomina mi on obrazki z filmów przyrodniczych, w których widzimy ptaki i inne stworzenia zajęte „czynnościami przemieszczenia” - odwracają się, zaczynają iskać lub nerwowo dziobać ziemię, w samym środku walki o terytorium, w trakcie godów itp. W sytuacjach pełnych napięcia lub wrogości zwierzęta często wykonują te bezsensowne procedury „przemieszczenia”, będące swego rodzaju mechanizmem obronnym. Całkiem podobnie jest z Anglikami podczas spotkań biznesowych: cały proces robienia interesów krępuje nas i zawstydzają, toteż odwracamy od niego uwagę i próbujemy odwrócić sprawę, wykonując wiele drobnych, nieważnych rytuałów.

I biada temu, kto śmie nam przeszkodzić w terapeutycznym dziobaniu i wierceniu się. Kanadyjski biznesmen skarżył się: „Szkoda, że nikt mnie wcześniej o tym nie uprzedził. Parę dni temu byłem na spotkaniu; wszyscy grali na zwłokę, gawędzili o pogodzie i żartowali na temat obwodnicy M25 chyba z pół godziny, więc zaproponowałem, żeby zacząć rozmawiać o kontrakcie, a oni wszyscy popatrzyli na mnie, jakbym puścił baka czy coś takiego! Że niby jak mogłem się zachować tak grubiańsko?”. Inny powiedział mi, że gdy pracował w Japonii, zapraszano go do udziału w ceremonii picia herbaty, „ale u nich chodzi *albo* o herbatę, *albo* o biznes, nie próbują udawać, że spotkanie w interesach to niewinne przyjęcie przy herbatce, jak wy tutaj”.

Pieniądze - temat tabu

„Ale *dla*czego?” - zapytał inny zdeorientowany cudzoziemiec, irański imigrant, z

którym rozmawiałam o rytuałach „uprzejmego odwlekania”. „Masz rację, dokładnie tak się zachowują. To trwa całe wieki. Doprowadza mnie do szału. Ale *dlaczego* to robią? Co jest z nimi *nie tak*? Co ich tak powstrzymuje przed przejściem do interesów?”.

Dobre pytanie - na które, obawiam się, nie ma racjonalnej odpowiedzi. Anglicy uważają „robienie interesów” za niezręczne i kłopotliwe częściowo na pewno z powodu głęboko zakorzenionej, acz kompletnie nieracjonalnej niechęci do rozmów o pieniądzach. Na pewnym etapie rozmowa biznesowa nieuchronnie zmierza w stronę finansów. We wszystkich innych aspektach dyskusji biznesowych czujemy się bezpiecznie, oczywiście na tyle, na ile pozwalają nam nasze zahamowania towarzyskie. Jeśli tylko nie trzeba się chwalić czy być nadmiernie poważnym, rozprawiamy względnie swobodnie o szczegółach produktu czy projektu i o kwestiach pragmatycznych, takich jak cele, co ma być zrobione, jak, gdzie, przez kogo i tak dalej. Ale gdy przychodzi do tego, co nazywamy „brudnym tematem pieniędzy”, zapominamy języka w gębie i tracimy wszelką pewność siebie. Niektórzy pokrywają zmieszanie żartami albo przyjmują postawę awanturniczą, nawet agresywną; niektórzy są nerwowi i rozgorączkowani, inni mogą być skruszeni i zbyt grzeczni lub drażliwi i defensywni. Rzadko można zobaczyć całkiem swobodnego Anglika, który ma zacząć rozmowę o pieniądzach. Czasem sprawia on wrażenie obcesowego i hałaśliwego, ale to często jest tak samo objaw ułomności towarzyskiej jak nerwowe żarty czy ugrzecznienie.

Sfrustrowana imigrantka amerykańska powiedziała mi, że w końcu odkryła, że najlepiej jest odbywać wszelkie finansowe negocjacje pocztą lub emailem. „Anglicy po prostu nie potrafią rozmawiać o pieniądzach twarzą w twarz, trzeba to robić na piśmie. Na piśmie jest bezpiecznie, bo nie muszą ci patrzeć w oczy i wypowiadać na głos wszystkich tych «brudnych» słów”. Gdy tylko to powiedziała, zdałam sobie sprawę, że sama właśnie tak radzę sobie z tym problemem. Na punkcie pieniędzy jestem przeczulona w typowo angielski sposób, i gdy przychodzi do negocjowania stawek za doradztwo lub zdobywanie funduszy na badania naukowe, zawsze staram się te wszystkie brudne słowa - pieniądze, koszty, cena, stawki, płatności itd. ująć na piśmie, zamiast wypowiadać je komuś prosto w twarz czy nawet przez telefon. (Szczерze mówiąc, to nawet pisać o nich nie lubię i zwykle próbuję nakłonić mojego kolegę dyrektora, człowieka o anielskiej cierpliwości, żeby przeprowadzał wszystkie negocjacje za mnie. Używam kiepskiej wymówki, że jestem nogą z matematyki).

Ponieważ jestem Angielką, zawsze było dla mnie dość oczywiste, że to unikanie rozmów o pieniądzach jest normalne, że wszyscy wolą omawiać ten temat tabu na piśmie, ale moi bywali w świecie informatorzy stanowczo twierdzili, że to jest problem charakterystyczny dla Anglików. „Tego nie ma nigdzie indziej w Europie - powiedział jeden.

- Wszędzie można o pieniądzach rozmawiać szczerze. Nikogo to nie zawstydza ani nie krępuje; po prostu się o tym rozmawia, nie próbuje się okrażać tematu i nie ma się poczucia, że trzeba przeproszać albo żartować - a jeśli chodzi o Anglików, zawsze usłyszysz ten nerwowy śmieszek, ktoś zawsze będzie się starał obrócić to w żart”.

Dowcipkowanie to oczywiście kolejny mechanizm przystosowawczy, nasz ulubiony sposób radzenia sobie ze wszystkim, co nas przeraża lub wprawia w zakłopotanie. Nawet wpływowi finansisci i maklerzy z londyńskiego City - ludzie, którzy muszą przez cały dzień rozmawiać o pieniądzach - skażeni są tym tabu. Pewien bankowiec powiedział mi, że z niektórymi rozmowami i negocjacjami nie ma problemu, bo to „nie są prawdziwe pieniądze”, ale gdy on sam musi negocjować własne stawki, cierpi z powodu tego przeczulonego skrępowania jak wszyscy inni. Inni finansisci z City twierdzili to samo i wyjaśnili, że jak wszyscy inni ludzie obracający pieniędzmi, radzą sobie z zakłopotaniem, żartując. Na przykład gdy psują się stosunki między firmami, pytają: „Ale nie przestaniecie nam wysyłać kartek na święta?”.

Szczerze mówiąc, trochę mnie dziwi tabu dotyczące rozmów o pieniądzach, mimo że sama go instynktownie przestrzegam. Introspekcja nie pomaga mi zrozumieć, skąd się bierze angielskie przeczulenie, jeśli chodzi o pieniądze w kontekście zawodowym. Nasza niechęć do takich rozmów w sytuacjach towarzyskich jest powszechnie znana: nigdy nie pyta się kogoś, ile zarabia, ani nie ujawnia się własnych dochodów; nigdy nie pyta się, ile ktoś za coś zapłacił, ani nie oznajmia, ile kosztowało coś, co kupiliśmy. W kontekście towarzyskim istnieje pewna wewnętrzna logika dotycząca tego tabu: w pewnym stopniu tłumaczą je odniesienia do innych podstawowych zasad angielskości, związanych ze skromnością, prywatnością, uprzejmym egalitaryzmem i innymi formami hipokryzji. Ale rozciągać tabu rozmów o pieniądzach na pracę, świat biznesu - wydaje się co najmniej perwersją. Przecież to powinien być wyjątek od reguły - jedyny kontekst, w którym, z oczywistych względów praktycznych, odkładamy na bok lub zawieszamy pruderyjną niechęć i rozmawiamy o interesach poważnie, jak wszyscy inni normalni ludzie. Ale to znaczyłoby oczekiwać od Anglików, żeby zachowywali się racjonalnie.

Choć jestem tu bezwzględnie szczerą, muszę przyznać, że stwierdzenie, że w tabu rozmów o pieniądzach jest „wewnętrzna logika”, to trochę wykręt. Tak, to tabu jest wyraźnie związane, w „gramatyczny” sposób, z zasadami prywatności, skromności i uprzejmego egalitaryzmu, ale, z drugiej strony, w ten sposób antropologowie zawsze usiłują wyjaśnić co bardziej dziwaczne i nieracjonalne przekonania oraz groteskowe praktyki badanych przez siebie plemion i społeczności. Jakiś pogląd czy zwyczaj może wydawać się irracjonalny (a

czasem wręcz głupi lub okrutny), ale, dowodzimy, ma on sens w odniesieniu do innych elementów kulturowego systemu poglądów, zwyczajów i wartości danej grupy. Używając tej sprytnej sztuczki, potrafimy znaleźć „wewnętrzną logikę” dla wszelkiego rodzaju głupich i całkiem niezrozumiałych wierzeń i obyczajów, od czarów i zaklęcia deszczu po obrzezanie dziewcząt. Owszem, rzeczywiście pomaga nam to je zrozumieć, i ważne jest, by rozumieć, dlaczego ludzie robią te rzeczy. Jednakże nie stają się one przez to ani trochę mądrzejsze.

Nie porównuję tu oczywiście angielskiego tabu rozmów o pieniądzach z obrzezaniem dziewcząt; mówię tylko, że czasem antropologowie powinni przyznać, że dane miejscowe wierzenie czy rytuał są dziwaczne jak cholera i być może wcale nie służą interesom tubylców. Przynajmniej w tym wypadku nie można mnie oskarżyć o etnocentryzm, kolonializm czy protekcjonalność (antropologiczne odpowiedniki bluźnierstwa, którymi można sobie zasłużyć na ekskomunikę), ponieważ głupie tabu, które właśnie ośmieszam, jest niepisaną zasadą mojej własnej tubylczej kultury, i to taką, której ślepo i niewolniczo sama przestrzegam.

Odmiany i inwersja z Yorkshire

Tabu rozmów o pieniądzach jest kodem zachowania typowo angielskim, ale nie uniwersalnym dla całego kraju. Istnieją ważne odmiany: Anglicy z południa są zwykle bardziej skrupowani, rozmawiając o pieniądzach, niż ci z północy, a klasy średnia i wyższa są bardziej przeczulone na tym punkcie niż klasa robotnicza. Dzieci z klasy średniej i wyższej często uczą się uważać rozmowy o pieniądzach za „wulgarne” czy „pospolite”.

W świecie biznesu przestrzeganie tego tabu jest wprost proporcjonalne do starszeństwa. Bez względu na klasę czy pochodzenie geograficzne, ludzie wyżsi rangą w angielskich firmach są zazwyczaj bardziej przewrażliwieni, jeśli chodzi o rozmowy na temat pieniędzy. Ci, którzy wywodzą się z klasy robotniczej i/lub z północy, mogą zaczynać karierę, nie wykazując skrupowania (lub wykazując niewielkie) w rozmowach o finansach, gdy jednak awansują, uczą się niezręczności i skrupowania, przepraszających żartów, odwlekania i unikania problemu.

Istnieją jednak enklawy silnego oporu w stosunku do tego tabu, zwłaszcza w Yorkshire, hrabstwie, które szczyci się swoją bezceremonialnością i szczerością, zwłaszcza w kwestiach, które zmanierowani ludzie z południa Anglii uważają za krępujące, na przykład pieniężnych. Aby zilustrować tę trzeźwą postawę, ludzie z Yorkshire przytaczają typowy dialog między lokalnym komiwojażerem a lokalnym sklepikarzem:

KOMIWOJAŻER (*wchodząc do sklepu*): Owt?

SKLEPIKARZ: Nowt¹⁶.

Komiwojażer wychodzi.

To oczywiście karykatura - mieszkańcy Yorkshire pewnie w większości wcale nie są bardziej obcesowi niż inni Anglicy z północy - ale karykatura, z którą utożsamia się wielu ludzi z tego regionu. A niektórzy bardzo się starają, żeby utrzymać tę reputację. Daleki od owijania w bawełnę i typowego dla Anglików wymyślania eufemizmów na słowo „pieniądze”, dumny z siebie biznesmen z Yorkshire czerpie perwersyjną przyjemność z lekceważenia tabu rozmów o pieniądzach - mówiąc, wprost i bez żartów czy niepotrzebnych wstępów: „Dobra, to ile mnie to wszystko będzie kosztować?”.

Jednak nie jest to wyjątek, który obala czy nawet kwestionuje regułę. Jest to celowe, dramatyczne, *odwrócenie* reguły, jej inwersja - coś, co może się zdarzyć tylko wówczas, gdy reguła jest powszechnie znana i rozumiana. Jest to druga strona tego samego medalu, nie osobny medal. Obcesowi mieszkańcy Yorkshire *wiedzą*, że odwracają zasady do góry nogami; robią to świadomie, żartują z tego, są dumni ze swego indywidualistycznego, obrazoburczego statusu w kulturze angielskiej. W większości innych krajów ich bezpośredniość w sprawach finansowych przeszłaby bez echa jako zachowanie całkiem normalne. W Anglii się ją komentuje, kpi z niej, uznaje za odchylenie.

Klasa i szczątkowa zasada uprzedzeń do handlu

Nie staram się bronić czy usprawiedliwiać tabu rozmów o pieniądzach, widzę jednak, że poza dość mętными wyjaśnieniami „gramatycznymi” można takie zachowanie uzasadnić historycznie. Wcześniej wspomniałam, że wciąż pokutują resztki uprzedzeń związanych z „handlem”, pozostałe z czasów, gdy arystokracja i ziemiaństwo, a właściwie każdy, kto chciał się mienić dżentelmenem, żył z dochodu z majątków ziemskich i nie angażował się w nic tak wulgarnego jak wytwórstwo i sprzedaż towarów. Handel był zajęciem dla niższych klas społecznych, a ci, którzy dorabiali się w ten sposób fortun, zawsze szybko kupowali majątek ziemski i próbowali ukryć wszelkie dowody na swoje dawne niestosowne „koneksje”. Innymi słowy, uprzedzenie klas wyższych w stosunku do handlu w istocie podzielały też niższe klasy społeczne, łącznie z tymi ich przedstawicielami, którzy sami go uprawiali.

W każdym szkolnym wypracowaniu na temat Jane Austen wspomina się, że mimo iż autorka lekko drwi ze snobistycznych uprzedzeń swojej epoki wobec handlu, właściwie nie kwestionuje ich na serio - jednak uczniom nie mówi się, że szczątkowe, podświadome ślady tego samego snobizmu wciąż kryją się w postawach Anglików wobec pracy i zachowania w miejscu pracy. Uprzedzenia te najsilniejsze są wśród klasy wyższej, wyższej warstwy klasy średniej „na stanowiskach” (w dawnym znaczeniu tego słowa, tzn. ludzi wykonujących jeden z tradycyjnie poważanych zawodów, jak prawnik, lekarz, duchowny czy wojskowy), inteligencji oraz „klasy paplającej”.

Niechęć do „burżuazji” szczególnie głęboko zakorzeniona jest w tych właśnie klasach, ale naznaczanie piętnem wszelkiego „kupiectwa” jest powszechne. Nawet marki samochodów kojarzonych z bogatymi biznesmenami (mercedes) albo przedstawicielami handlowymi (mondeo) są wyszydzane przez niepewnych swej społecznej pozycji ludzi we wszystkich klasach - a nie zapominajmy też o niemal powszechnej pogardzie dla jeszcze jednej rasy sprzedawców: pośredników w obrocie nieruchomościami.

Te przykłady dowodzą, że angielskie uprzedzenie wobec handlu, mimo że osłabło (choć nie zniknęło), uległo od czasów Austen lekkiemu przemieszczeniu, w tym sensie, że wytwórstwo towarów stało się znacznie bardziej dopuszczalne niż ich sprzedaż. Naturalnie obie te rzeczy są nierozdzielnie ze sobą związane, ale wydaje się, że za najbardziej niesmaczną i podejrzaną uważamy natrętną sprzedaż bez godności, skupioną na pieniądzu. Istnieje niepisana zasada - a nawet „prawda powszechnie znana”^h - że każdy, kto coś sprzedaje, jest podejrzany. Nieufność wobec kupców nie jest oczywiście cechą wyłącznie Anglików, ale nasze podejrzania i sceptycyzm, a nade wszystko pogardliwa niechęć, wydają się być głębsze i mocniejsze niż w innych krajach. Anglicy są mniej niż Amerykanie skłonni do pieniactwa, gdy dojdą do wniosku, że ktoś ich oszukał, lub gdy są niezadowoleni z jakiegoś zakupu (wtedy narzekamy między sobą, zamiast zaatakować źródło naszego niezadowolenia), ale nasza wyraźniejsza nieufność i niechęć do ludzi handlu oznacza, że przede wszystkim jesteśmy o wiele mniej łatwowierni.

W innych krajach handlowcom może się nie ufa, ale w jakiś sposób się ich społecznie akceptuje, inaczej niż w Anglii. W innych częściach świata sprzedawanie towarów uważa się za uczciwy sposób zarabiania na życie, a biznesmeni, którzy w tym odnieśli sukces i zbili na tym majątek, są jednak darzeni pewnym respektem. W Anglii za pieniądze kupi się wiele rzeczy, w tym dostęp do władzy i wpływów, ale na pewno nie respekt - wprost przeciwnie; zarabianie pieniędzy obciążone jest prawie takim samym tabu jak rozmowy o nich. Gdy Anglik określa kogoś jako „bogatego” czy „zamożnego”, robi to prawie zawsze z lekką drwiną, a ci, których można w ten sposób określić, rzadko powiedzą tak o sobie samych; mogą najwyżej przyznać niechętnie, że „dość nieźle im się powodzi”. Może i jesteśmy, jak powiedział Orwell, najbardziej opanowanym przez klasę krajem pod słońcem, ale sądzę, że można śmiało powiedzieć, że nie ma innego takiego kraju, w którym klasa społeczna kompletnie nie zależy od poziomu zamożności. A akceptacja społeczna w szerszym sensie jest odwrotnie proporcjonalna do powodzenia finansowego. Zauważa się czasem objawy służalczości, jednak „grube ryby” są obiektem pogardy i szyderstw, jeśli nie rzuconych w twarz, to na pewno za plecami. Jeśli już mamy to nieszczęście, że powodzi się nam

finansowo, w złym guście jest zwracać na ten fakt czyjąś uwagę. Musimy bagatelizować swój sukces i sprawiać wrażenie zawstydzonych własnym bogactwem.

Wspominałam już, że główna różnica między angielskim systemem statusu społecznego opartego na klasie (tj. urodzeniu) a amerykańską „merytokracją” jest taka, że w Ameryce ludzie bogaci i wpływowi, ponieważ uważają, że zasługują na swoje bogactwo i władzę, są bardziej zadowoleni z siebie, natomiast w Anglii nierzadko mają większe poczucie odpowiedzialności społecznej, więcej współczucia dla biedniejszych od siebie. Bardzo tutaj upraszczam - napisano na ten temat całe książki - możliwe jednak, że angielskie skrępowanie kwestiami pieniężnymi i brak szacunku dla świata kupieckiego mają coś wspólnego z tą tradycją.

Z drugiej strony jasne jest, że angielskie przeczulenie na punkcie pieniędzy to w dużym stopniu hipokryzja. Anglicy wcale nie są z natury mniej ambitni, chciwi, samolubni czy skąpi niż inne narody - mamy tylko więcej sztywniejszych zasad, które każą nam te tendencje ukrywać, wypierać i tłumić. Nasze zasady skromności i uprzejmego egalitaryzmu - które moim zdaniem są „regułkami gramatycznymi” lub „kulturowym DNA” u podłoża tabu rozmów o pieniądzach oraz uprzedzeń wobec sukcesu w biznesie - są fasadą, próbą zbiorowego samooszukiwania się. Nasza skromność jest ogólnie fałszywa, a pozorna niechęć do podkreślania różnic w statusie skrywa bolesną świadomość tych różnic. Ale przynajmniej doceniamy te zalety i przestrzegamy zasad mimo ich zgubnego wpływu na nasze biznesowe transakcje.

Umiar

Zwrot „pracuj ciężko, baw się ostro” stał się popularny w Anglii w latach 80. ubiegłego wieku i wciąż można dość często usłyszeć, jak ludzie opisują w ten sposób swój ekscytujący styl życia i dynamiczne podejście do pracy i rozrywki. Prawie zawsze kłamią. Anglicy nie pracują ciężko i nie bawią się ostro; obie rzeczy robimy, jak większość innych, z umiarem. Oczywiście, „pracuj z umiarem i baw się z umiarem” nie brzmi już tak dobrze, ale obawiam się, że jest to o wiele bardziej trafny opis typowych obyczajów związanych z pracą i rozrywką Anglików. Pracujemy dość pilnie, a w czasie wolnym dość dobrze się bawimy.

Nikt mi raczej nie będzie wdzięczny za ten nasz nudnawy portret, powinnam więc chyba wyjaśnić, że nie jest to wyłącznie wrażenie czy ocena subiektywna; to wyniki dogłębnych badań nie tylko mojego instytutu na temat obyczajów i podejścia do pracy, ale także wszystkich innych badań, jakie udało mi się znaleźć na ten temat. Stateczne, konwencjonalne, konserwatywne obyczaje nie są też wcale domeną ludzi w średnim wieku czy z klasy średniej. Wbrew obiegu opinii „dzisiejsza młodzież” to nie szukający

mocnych wrażeń nieodpowiedzialni hedoniści. Przeciwnie, zarówno nasze własne badania, jak i inne ankiety i testy ujawniły, że młodzież ze wszystkich klas społecznych jest *bardziej* rozsądna, pracowita, powściągliwa i ostrożna niż pokolenie ich rodziców. Trochę mnie to martwi, bo jeśli nasze młode pokolenie, dorastając, nie pozbędzie się postaw typowych dla wieku średniego (a nic na to nie wskazuje), jest ryzyko, że naród angielski zrobi się jeszcze nudniejszy i bardziej umiarkowany.

Jeśli ktoś sądzi, że przesadzam z tym zrównoważeniem u angielskiej młodzieży, może przekona go kilka przykładów badań SIRC:

Bezpieczne, rozsądne, drobnomieszczańskie aspiracje

Na pytanie w naszej ankiecie, jak młodzi ludzie widzą siebie za dziesięć lat, niemal trzy czwarte (72 procent) wybrało bezpieczne, rozsądne opcje: „jako ustatkowanych” lub „odnoszących sukcesy w pracy”, w porównaniu z zaledwie 38 procentami starszego pokolenia. Tylko 20 procent młodzieży między 16 a 24 rokiem życia wybrało bardziej śmiałą opcję „jako podróżujących po świecie/mieszkających za granicą”, w porównaniu z 28 procentami 45-54-latków. Starsza grupa wiekowa także *dwa razy częściej* wybierała odpowiedź „wolny od zobowiązań”. Podczas rozmów nieformalnych, gdy pytaliśmy o aspiracje życiowe, prawie wszyscy pracujący chcieli być „finansowo zabezpieczeni i stabilni”. Celem długofalowym było posiadanie domu.

Stabilna przyszłość ważniejsza niż zabawa

Rany, co za nudne towarzystwo, pomyślałam, gdy dostałam te wyniki. Z nadzieją, że znajdę bardziej oryginalne i buntownicze postawy, przejrzałam pytania o „rozrywkę”. Z rozczarowaniem stwierdziłam, że jeśli chodzi o poglądy w kwestii „bieżąca rozrywka kontra myślenie o przyszłości”, gdzie można by oczekiwać, że młodsze pokolenie będzie choć trochę mniej dojrzałe i odpowiedzialne, poglądy młodych i starszych były prawie identyczne. Tylko 14 procent 16-24-latków uważało: „w moim wieku ważniejsze jest, żeby się dobrze bawić niż za dużo myśleć o przyszłości”. Beztrosko zabawowych okazało się mniej więcej tyle samo 45-54-latków.

Z naszych odkryć wynika, że jedyną ekstrawagancją rozrywkową, na jaką pozwalają sobie młodzi pracujący ludzie, jest chodzenie do pubów i klubów w piątkowe i sobotnie wieczory albo czasem szaleństwo kupowania ciuchów. Wielu naszych badanych starało się, żeby te odpowiedzi wyglądały na jak najbardziej „szalone”; jeden z dumą ogłosił: „większość pieniędzy wydaję tak naprawdę na maltretowanie swojego ciała - chodzę do pubów i klubów, palę”, ale zasadniczo wszystko sprowadzało się do dość nudnej procedury weekendowego picia, tańczenia i zakupów.

Pracowici, pilni, oszczędni

Nie podniosła mnie też specjalnie na duchu kolejna garść odpowiedzi, z których wynikało, że młodzi ludzie zdają się być bardziej pracowici niż pokolenie ich rodziców: 70 procent 16-24-latków uważa, że „sukces życiowy zależy od ciężkiej pracy i poświęcenia”. Tylko 53 procent starszego pokolenia podziela ten pogląd, a 41 procent wybiera bardziej swobodną opinię, że sukces to kwestia szczęścia, kontaktów lub „odpowiednich okazji”.

Odkryliśmy również, że młodzież tak samo jak starsi skłania się ku oszczędności i rozsądnemu gospodarowaniu pieniędzmi; nawiasem mówiąc, 16-24-latkowie przeznaczają większy procent swoich zarobków na oszczędności niż 45-54-latkowie. Nasza ankieta pokazała, że młodzi ludzie są znacznie mniej skłonni popadać w długi niż grupa starszych: tylko 44 procent miało debety na kartach kredytowych, w porównaniu z 66 procentami generacji ich rodziców.

Ryzyko nadmiernego umiaru

Miałam ochotę powiedzieć: „Na litość boską, odprężcie się! Zaczynicie żyć! Zbuntujcie się trochę! Co się stało z powiedzeniem: «Włącz się, dostrój i odleć?»”. No dobrze, zdaję sobie sprawę, że dla wielu osób wyniki tych badań są krzepiące. Nawet niektórzy moi koledzy stwierdzili, że niepotrzebnie się czepiam. „To chyba dobrze, że większość młodzieży jest pilna, rozsądna i odpowiedzialna? - pytali. - Dlaczego cię to przygnębia?”.

Mnie chodzi o to, że te w dużej mierze chwalebne tendencje są jednocześnie symptomami trendu szerszego i bardziej niepokojącego. Otóż nasze badania wykazały, że młodzież coraz bardziej ulega kulturze strachu, coraz bardziej kieruje się awersją do ryzyka i obsesją na punkcie bezpieczeństwa, które stały się cechami definiującymi dzisiejsze społeczeństwo. Ten trend, nazwany przez jednego z socjologów „kulturowym klimatem wszechogarniającego lęku”, kojarzy się z uwiadem aspiracji, ostrożnością, konformizmem i brakiem żyłki awanturniczej, co udowodniło wielu młodych ludzi w naszej ankiecie i rozmowach nieformalnych.

Oczywiście, w standardowych lamentach na temat „dzisiejszej młodzieży”, jej nieodpowiedzialności i niezaradności, zawsze było sporo przesady, a nawet wymysłów. Więc może nasze badania dowiodły po prostu tego, co zawsze było prawdą: że młodzież jest bardziej konwencjonalna i odpowiedzialna, niż się wydaje. No tak. A wykazując przywiązanie do zasady umiaru, nasi młodzi respondenci udowodnili, że są do pewnego stopnia po prostu Anglikami. Czy mi się to podoba, czy nie, jesteśmy głęboko konserwatywni. Zaniepokoił mnie jednak fakt, że ci młodzi ludzie w ankietach jawią się jako

bardziej konserwatywni, umiarkowani i konformistyczni niż pokolenie ich rodziców, że z badań wynika, iż trend zmierza w kierunku jeszcze *większych* nadmiarów umiaru (jeśli tak w ogóle można powiedzieć). I choć pod wieloma względami jestem bardzo angielska, są granice umiaru, jakie mogę zaakceptować. W umiarze nie ma nic złego, byle z umiarem.

Fair play

Ale żeby oddać sprawiedliwość, nasze badania nad Anglikami w pracy ujawniły także wiele pozytywów, zwłaszcza związanych z uczciwością. Choć często używam tych terminów wymiennie, na tytuł tego podrozdziału wybrałam „fair play” zamiast „uczciwość”, ponieważ uważam, że fair play to koncept szerszy i nie tak sztywno egalitarny, dokładniej obrazujący angielskie wartości, które staram się opisać. Fair play, ze swoim sportowym podtekstem, sugeruje, że każdemu należy dać równe szanse, że nikt nie powinien mieć nieuczciwej przewagi ani forów i że ludzie powinni postępować honorowo, przestrzegać zasad i nie oszukiwać ani nie wykręcać się od obowiązków. Jednocześnie fair play dopuszcza różnice w sprawności „zawodników” i akceptuje, że będą wygrani i przegrani - równocześnie utrzymując, że dobra i uczciwa gra jest ważniejsza niż wygrana. Niektórzy powiedzą, że ten ostatni element to zapomniany archaizm, a jednak moje badania przekonały mnie, że wciąż jest to zasada (w znaczeniu: najwyższy standard), do której Anglicy aspirują, nawet jeśli ideał nieczęsto jest osiągany.

Pod pewnym względem zasada fair play służy nam dobrze w świecie pracy i biznesu. Mimo że bez wątpienia, jak wszędzie, są u nas łobuzy i oszuści, a i reszta z nas wcale nie jest święta, Anglicy wciąż są uważani, nie bez pewnych podstaw, za względnie uczciwych i fair w interesach - a już na pewno jest w nas mniej wyrażna *tolerancja* dla łapówek, korupcji i oszustw niż w większości innych krajów. Gdy słyszymy o takich incydentach, większość z nas nie wzrusza porozumiewawczo ramionami, jakby chciała powiedzieć: „No tak, życia nie znasz?”. Jesteśmy zaszokowani, słusznie oburzeni, zbulwersowani. Może po części dlatego, że Anglikom szok i zbulwersowanie sprawiają wielką przyjemność, a święte oburzenie to jedna z naszych ulubionych narodowych rozrywek. Niemniej wyrażane uczucia są autentyczne.

Wszyscy moi zagraniczni informatorzy, proszeni o porównanie angielskich praktyk zawodowych i biznesowych z zagranicznymi, mówili o angielskim poczuciu fair play, a zwłaszcza naszym poszanowaniu prawa i stosunkowej wolności od korupcji, która, ich zdaniem, jest powszechna i milcząco akceptowana (choć w różnym stopniu) gdzie indziej. Wielu uważa, że my nie jesteśmy wystarczająco świadomi tej swojej cechy i że jej nie doceniamy. „Po prostu uważacie to za oczywiste - narzekał polski imigrant. Zakładacie, że

ludzie będą grać fair, i jesteście zaszokowani i zdenerwowani, gdy tego nie robią. W innych krajach nikt tak do tego nie podchodzi”.

A więc może jesteśmy trochę nudni i zbyt umiarkowani, ale chyba (choć nie chcę się tu roznamiętniać patriotycznie) ten ideał fair play to jest coś, z czego wciąż możemy być trochę dumni.

Narzekanie

Trochę mniej godny podziwu angielski zwyczaj ciągłego narzekania to kolejna cecha wyróżniająca nasze zachowanie w miejscu pracy i nasz stosunek do pracy. Główną zasadą w tym kontekście jest to, że praca jest, niemal z definicji, czymś, na co należy narzekać. Widać tu związek z zasadą „byle nie zbyt serio” w tym sensie, że jeśli nie oddamy się tradycyjnemu gremialnemu narzekaniu na pracę, istnieje ryzyko, że uznają nas za zbyt gorliwych i zbyt serio i dostaniemy etykietkę „smętnego głupka”, służalczego „lizusa” lub zarozumiałego „nadętego palanta”.

Poniedziałek rano

Angielskie narzekanie na pracę to rytuał przewidywalny, systematyczny, zsynchronizowany. Na przykład w poniedziałek rano w każdym miejscu pracy w Anglii, od fabryk przez sklepy do biur i sal konferencyjnych, ktoś na pewno poprowadzi narzekanie poranne. Mogę się założyć o wszystko. Powszechnie wiadomo, że wszyscy nienawidzą poniedziałku; że wszyscy mieliśmy problem ze zwłечeniem się z łóżka; że właściwie przydałby nam się jeszcze jeden dzień, żeby dojść do siebie po weekendzie; że ruch uliczny/metro/pociągi/autobusy są coraz gorsze; że w tym tygodniu mamy o wiele za dużo do roboty, jak zwykle, cholera; że już jesteśmy zmęczeni i bolą nas plecy/głowa/nogi, a tydzień, na litość boską, dopiero się zaczął, i proszę, kserokopiarka znowu nawaliła, tak żeby nie było nudno, no, typowe!

Istnieją niezliczone odmiany wczesnoniebieskiego narzekania, i nie ma dwóch identycznych - jednak, jak ten płatek śniegu o niezliczonych odmianach¹⁷, są niezwykle podobne. Większość z nich zaczyna się, a czasami i kończy, wtrętem na temat pogody. „Cholernie zimno” albo „Znowu leje” - utyskujemy na wejście, zdejmując płaszcze i szaliki, co nadaje ton konwersacji i prowokuje kolejną skargę, na pogodę albo ruch uliczny, pociągi itd. Pod koniec wstępnego rytuału porannego narzekania ktoś zwykle zamyka temat, mówiąc: „A do tego ciągle pada” lub „No, ale - tu stoickie westchnienie - przynajmniej przestało padać”. To sygnał dla pozostałych, żeby przestawić się z tradycyjnego trybu narzekania i zacząć niechętnie to, co ma się do wykonania w danym dniu, mrużąc: „No właśnie, chyba trzeba zacząć” albo „Z powrotem do kieratu”, albo jeśli mówi się z pozycji władzy: „No

dobra, bierzmy się do roboty”.

Potem wszyscy pracujemy, umiarkowanie ciężko, aż do następnej sposobności do narzekania, zwykle pierwszej przerwy na kawę czy herbatę, kiedy to poniedziałkowa litania narzekań ożywa wraz z kolejną serią skarg: „Boże, to dopiero jedenasta? Jestem taka zmęczona”. „No cóż, to był długi tydzień”. „Już jedenasta? Tyle mam roboty, a ledwo ruszyłem”. „Ten cholerny automat do kawy znowu mi połknął pięćdziesiąt pensów! Typowe!”. I tak dalej. A potem jeszcze jedno narzekanko przy lunchu, podczas kolejnych przerw i pod koniec dnia, przy wyjściu z pracy albo przy popołudniowych drinkach w lokalnym pubie czy barze.

Narzekanie na czas i zebrania

Miejsce pracy dostarcza wielu powodów do narzekań, w większości jednak przewidywalnych. Na przykład wszyscy narzekają na czas, ale pracownicy młodszy wiekiem i niżej usytuowani w hierarchii bardziej skłonni są narzekać, że mija on zbyt wolno, że znowu muszą przebrnąć przez pieprzone siedem godzin tej zmiany, że są znudzeni, mają dość i nie mogą się doczekać, kiedy pójdą do domu, natomiast ludzie na wyższych stanowiskach zwykle jęczą, że czas pędzi, że nigdy nie mają go tyle, żeby przebrnąć przez swoją absurdalną pracę, a teraz jeszcze znowu muszą iść na jakieś cholerne zebranie.

Wszyscy pracownicy umysłowi - członkowie kierownictwa aż do poziomu najwyższych członków zarządu - *zawsze* narzekają na zebrania. Przyznać, że lubi się zebrania albo uważa, że są one pożyteczne, byłoby świeckim ekwiwalentem bluźnierstwa. Zebrania z definicji są bez sensu, nudne i okropne. Bestsellerowy kurs wideo, jak przeprowadzać spotkania w pracy (lub przynajmniej, co zrobić, by były ciut mniej okropne) miał tytuł „Zebrania, te cholerne zebrania” - bo tak się o nich zawsze mówi. Angielscy pracownicy walczą, by dostać się na wystarczająco wysoki szczebel drabiny firmowej, żeby zaczęto ich zapraszać na zebrania, a potem resztę swojego życia zawodowego spędzają, narzekając na wszystkie zebrania, na które muszą chodzić.

Wszyscy nie cierpimy zebrań albo przynajmniej tak głośno mówimy. Ale musimy zwoływać ich dużo, ponieważ połączenie zasad fair play, umiaru, kompromisu i uprzejmego egalitaryzmu uczy nas, że jednostka nie powinna podejmować decyzji na własną rękę; trzeba zawsze skonsultować się z całym zastępem innych, i należy osiągnąć konsensus. Więc organizujemy niekończące się zebrania, każdy uczestnik jest pytany o opinię, omawiamy wszystko i wreszcie dochodzimy do porozumienia. Czasem nawet uda nam się podjąć jakąś decyzję.

A potem idziemy sobie na to wszystko ponarzekać.

Udawane narzekanie. „Typowe!”

Tyle tu piszę o narzekaniu, że Anglicy mogą wydawać się smętni i skwaszeni, ale tak nie jest. Ciekawe w tych wszystkich sesjach gderania jest to, że ton mają one właściwie całkiem pogodny, dobroniosny, a przede wszystkim żartobliwy. To chyba jest jedna z najważniejszych „zasad narzekania”: narzekać trzeba we względnie pogodny, lekki sposób. Nieważne, jak bardzo naprawdę jesteś skwaszony, należy to ukryć za skwaszeniem *udawanym*. Różnica jest subtelna i może nie od razu oczywista dla niewprawnego ucha lub dla kogoś z zewnątrz, ale Anglicy mają szósty zmysł, pomocny w jej wykrywaniu, i z daleka potrafią odróżnić dopuszczalne narzekanie pozorowane od prawdziwej, poważnej skargi.

Dla narzekania poważnego jest miejsce w innych sytuacjach, jak na przykład szczere rozmowy najbliższych przyjaciół, ale podczas zbiorowych sesji narzekania w miejscu pracy uważane jest ono za niestosowne i niewłaściwe. Tutaj jeśli widać, że twoje żale i gorycz są autentyczne, dostaniesz etykietkę „marudy”, a takich nikt nie lubi - nie ma dla nich miejsca w rytualnych sesjach narzekaniowych. Rytualne narzekanie w miejscu pracy to forma zacieśniania więzi towarzyskich, okazja do ustalenia i wzmocnienia wspólnych wartości na drodze wymiany paru bólczek i skarg na temat tego, co nas wszystkich irytuje. Wszyscy przy tym świetnie wiemy, że jeśli chodzi o problemy, na które psioczymy, nic nie można poradzić. Gderamy między sobą, zamiast zmierzyć się z prawdziwym źródłem naszego niezadowolenia, i ani nie spodziewamy się znaleźć rozwiązania problemów, ani tego nie chcemy - potrzebujemy tylko trochę tej radości, że możemy sobie na nie wspólnie ponarzekać. Nasz rytuał narzekania jest czysto terapeutyczny, nie strategiczny czy celowy: narzekanie jest celem samym w sobie.

Podczas tych sesji porusza się czasem autentyczne bólczki, jak zarobki, warunki pracy, szef tyran lub inne, ale nawet w tym wypadku należy robić zabawne miny, wzruszać ramionami, wznosić oczy do góry, unosić brwi z udawaną rozpaczą i wydawać przesadne westchnienia. Absolutnie zakazane są: drżenie warg, łzy wzbierające w oczach czy autentyczne grymasy gniewu. To ma być lekki show, nie dramat obyczajowy. Prawidłowy ton znajduje idealne podsumowanie w haśle angielskiego rytuału narzekania: „Typowe!”. Słyszymy go wiele razy dziennie w każdym miejscu pracy w całym kraju. Słowa „Typowe!” używa się w wielu innych kontekstach, na przykład przy spóźnionych pociągach czy autobusach, w korkach ulicznych, właściwie wszędzie, gdzie coś idzie nie tak. Obok słowa *nice, typical* jest jednym z najbardziej przydatnych i uniwersalnych słów w angielskim słowniku - jest to ogólne, wielofunkcyjne określenie dezaprobaty, które można zastosować do każdego problemu, niefortunnego zbiegu okoliczności czy katastrofy, od najdrobniejszej

irytacji do niekorzystnych wydarzeń o randze krajowej lub nawet międzynarodowej. Podsluchując ludzi w pubie w burzliwym okresie politycznym 2003 roku, usłyszałam końcówkę czyjejs wypowiedzi: „A jeszcze do tego wszystkiego groźby terrorystów i wojna z Irakiem. Typowe!”.

W słowie „Typowe!” jest coś kwintesencjonalnie angielskiego. Przekazuje ono równocześnie urażone oburzenie i poczucie biernej, naznaczonej rezygnacją akceptacji, przyznanie, że sprawy zawsze idą źle, a życie pełne jest małych frustracji i trudności (oraz wojen i terrorystów), i fakt, że trzeba po prostu jakoś sobie z tym radzić. W pewnym sensie „Typowe!” to demonstracja tego, co kiedyś nazywano „sztywną górną wargą”: jest to skarga, ale taka, która zarazem wyraża bardzo angielski rodzaj niechętniej wyrozumiałości i rozwagi - pewien cyniczny, zgryźliwy stoicyzm.

Drinki po pracy

Ostatnio rozmawiałam z moją siostrą, która jest badaczką z dziedziny nauk społecznych, na temat drinków po pracy. Zaczęła mi opowiadać, że widziała ostatnie angielskie badania na temat stresu w miejscu pracy. „Wiem - przerwałam jej - wykazano, że pracownicy, którzy idą po pracy do pubu na drinka z kolegami, mniej cierpią z powodu stresu niż ci, którzy tego nie robią, prawda?”. „Oczywiście, że tak - odpowiedziała. - Jakbyśmy o tym nie wiedziały!” - i praktycznie każdy pracujący Anglik, znający rytuał drinków po pracy, mógłby wam powiedzieć to samo. Na pewno dodałby przy tym, że naukowcy zawsze odkrywają coś cholernie oczywistego. Sądzę jednak, że miło jest, gdy naszą instynktowną wiedzę o tych sprawach odpowiednio zmierzy i potwierdzi obiektywne badanie. Bycie naukowcem od spraw społecznych to jednak dość niewdzięczne zajęcie, zwłaszcza wśród wiecznie cynicznych Anglików, którzy zawsze zbywają nasze odkrycia jako oczywistość (gdy zgadzają się one z tym, co „wszyscy wiedzą”), bzdury (gdy podważają jakąś popularną „mądrość ludową”) lub bełkot (gdy nie jest jasne, jaki popełniliśmy grzech, bo wyniki są ujęte w niezrozumiały akademicki żargon). Podejmując ryzyko znalezienia wyników moich badań w jednej lub we wszystkich z tych kategorii, spróbuję wyjaśnić, w jaki sposób ukryte zasady rytuału drinków po pracy sprawiają, że jest to tak skuteczne antidotum na stres zawodowy.

Po pierwsze, istnieją pewne uniwersalne zasady co do alkoholu i co do miejsc, w których się go pija. We wszystkich kulturach alkohol służy jako symboliczny znak przestankowy - aby określić, ułatwić i wzmocnić przejście z jednego stanu lub sytuacji towarzyskiej do innej. Rytuały przejścia, w których alkohol odgrywa ważną rolę, rozciągają się od obrzędów inicjacyjnych głównego cyklu życiowego (jak narodziny, osiągnięcie dojrzałości, małżeństwo i śmierć) do „przejść” o wiele mniej doniosłych (jak np. codzienne

przejścia z trybu pracy do trybu rozrywki lub zacisza domowego). W naszej kulturze, tak jak w wielu innych, alkohol jest odpowiednim symbolicznym medium dla przejścia z pracy do rozrywki, bo kojarzy się wyłącznie z zabawą - rekreacją, humorem, atmosferą świąteczną, spontanicznością i luzem - i uważany jest za coś przeciwstawnego pracy¹⁸.

Są także uniwersalne „prawa” dotyczące społecznej i symbolicznej funkcji miejsc, w których pija się alkohol. Wymieniałam je na początku rozdziału o rozmowach w pubie, ale warto przypomnieć sobie tutaj, że wszystkie takie miejsca, we wszystkich kulturach, mają swój własny społeczny „mikroklimat”. Są to „strefy progowe”, charakteryzujące się „kulturową remisją” - czasowym zawieszeniem lub rozluźnieniem tradycyjnych społecznych ograniczeń. Są to także środowiska egalitarne, a przynajmniej takie, gdzie różnice w statusie opierają się na innych kryteriach niż te obowiązujące w świecie zewnętrznym. I, co może najważniejsze, zarówno picie, jak i miejsca, w których się pija, powszechnie kojarzone są z umacnianiem więzi towarzyskich.

A więc, angielski rytuał drinków po pracy funkcjonuje jako skuteczne narzędzie od stresowujące częściowo dlatego, że, na mocy tych uniwersalnych „praw”, w alkoholu, zwłaszcza konsumowanym w towarzyskim, egalitarnym otoczeniu pubu, rozpuszczają się hierarchie i presje miejsca pracy. Zabawne jest to, że rytuał drinków po pracy w lokalnym pubie ma w dużym stopniu ten sam efekt redukcji stresu, nawet gdy pije się tylko colę lub sok owocowy. Symboliczna moc samego miejsca często wystarcza, by wywołać natychmiastowe poczucie odprężenia i serdecznej atmosfery, nawet bez ułatwiającego kontakty towarzyskie alkoholu.

Specyficzne, dobrowolne zasady angielskiego rytuału drinków po pracy są głównie obliczone na wzmocnienie tego efektu. Na przykład dozwolona jest dyskusja na tematy zawodowe - nawet często podczas takich sesji podejmuje się ważne decyzje - ale zarówno zasada „byle nie zbyt serio”, jak i zasada uprzejmego egalitaryzmu są tu przestrzegane o wiele bardziej rygorystycznie niż w miejscu pracy.

Zasada „byle nie zbyt serio” stanowi, że wolno rozmawiać z kolegami o ważnym projekcie czy problemie, ale niedopuszczalne są pompatyczne, zarozumiałe lub nudne przemowy. Jeśli jesteś na wystarczająco wysokim stanowisku, mogą ci one ująć płazem na zebraniach w miejscu pracy (choć nie przysporzą ci popularności), ale w pubie, jeśli zaczniesz mówić rozwlekle, zbyt poważnie lub z afektacją, zostaniesz bezzwłocznie wezwany, żeby „dać spokój”.

Zasada uprzejmego egalitaryzmu nakazuje może nie całkowite zapomnienie o hierarchii z miejsca pracy, ale o wiele bardziej żartobliwe, pozbawione respektu podejście do

różnic w randze zawodowej. W sesjach drinków po pracy często uczestniczą grupy kolegów o mniej więcej tym samym statusie, ale jeśli zdarzy się inaczej, wszelki szacunek okazywany w miejscu pracy, w pubie zostaje zastąpiony ironicznym szacunkiem *udawanym*. Menedżerowie, którzy idą ze swoim „zespołem” na drinka po pracy, mogą usłyszeć skierowane do siebie słowo: „szefie”, ale wypowiedziane w żartobliwy, często lekko bezczelny sposób, na przykład: „Hej, szefie, twoja kolej!”. Nie stajemy się nagle w pubie wszyscy równi, ale mamy przyzwolenie na kpinki z hierarchii miejsca pracy, aby pokazać, że nie bierzemy jej zbyt serio.

Zasady drinków po pracy i ogólne zasady rozmów w pubie są głęboko zakorzenione w angielskiej psychice. Jeśli kiedykolwiek uznasz, że jakaś dyskusja biznesowa lub rozmowa, jaką prowadzisz z Anglikiem, jest nieco sztywna, zbyt oficjalna lub idzie jakoś ciężko, poproś rozmówcę, żeby „mówił tak, jakbyśmy byli w pubie”. Wszyscy będą dokładnie wiedzieli, co masz na myśli: rozmowa w pubie jest luźną, nieoficjalną, przyjacielską rozmową, kiedy to nie staramy się zrobić wrażenia i nie bierzemy rzeczy zbyt serio. Oczywiście, najlepiej byłoby naprawdę zabrać tę osobę do najbliższego pubu, ale odkryłam, że nawet samo „przywołanie” towarzyskiego mikroklimatu pubu może w ten sposób zredukować napięcie i zahamowania.

Impreza w pracy

Te same zasady dotyczą, w zintensyfikowanej formie, imprez w pracy (mam tu na myśli wszelkie przyjęcia wydawane przez firmę dla pracowników, umysłowych czy fizycznych) - zwłaszcza dorocznego przyjęcia gwiazdkowego, dawnego rytuału, teraz niezmiennie kojarzonego z „pijacką orgią” i różnymi innymi formami złego zachowania. Badałam trochę ten temat, w ramach większego badania SIRC na temat społecznych i kulturowych aspektów picia, i zawsze wiem, że właśnie zaczęła się przygrywka do Bożego Narodzenia, bo to wtedy zaczynam odbierać telefony od dziennikarzy z pytaniem: „Dlaczego ludzie zawsze źle się zachowują na przyjęciach gwiazdkowych?”. Odpowiedź brzmi: ponieważ o to właśnie chodzi w przyjęciach gwiazdkowych; złe zachowanie jest wpisane w zasady tych imprez, złego zachowania się oczekuje, to tradycja.

Jednak mówiąc o „złym zachowaniu”, nie mam na myśli szczególnej deprawacji czy łajdactwa - po prostu większy brak zahamowań, niż to zwykle jest przyjęte wśród Anglików. W moich SIRCowskich ankietach 90 procent respondentów przyznało się do jakiegoś rodzaju „złego zachowania” podczas gwiazdkowych przyjęć w pracy, ale najpowszechniejszym grzechem było obżarstwo i pijaństwo; wyznało go prawie 70 procent. Odkryliśmy także, że standardowe elementy biurowych przyjęć gwiazdkowych to flirty, całowanie się, opowiadanie sprośnych dowcipów i „robienie z siebie durnia”.

Wśród osób poniżej trzydziestki połowa postrzega biurowe przyjęcie gwiazdkowe jako główną okazję do flirtów i całowania, a 60 procent przyznaje się do wygłupów. Trzydziesto - i czterdziestolatkowie byli tylko trochę bardziej powściągliwi, 40 procent „wydurniało się” na przyjęciach gwiazdkowych, często „mówiąc rzeczy, których nigdy normalnie by nie powiedzieli”. Choć taki świąteczny „bełkot” może powodować zakłopotanie, może mieć także efekty pozytywne; na gwiazdkowym przyjęciu 37 procent osób zaprzyjaźniło się z dawnym wrogiem czy rywalem lub pogodziło po jakiejś kłótni, a 13 procent zebrało się na odwagę, żeby powiedzieć komuś, że ten ktoś im się podoba.

Jednakże nawet najdziwaczniejsze wygłupy podczas przyjęć biurowych są z reguły bardziej głupie niż naganne. Podczas moich luźniejszych rozmów z angielskimi pracownikami, gdy zadawałam pytania ogólne o to, „do czego posuwają się ludzie w czasie przyjęcia gwiazdkowego w pracy”, moi informatorzy często przywoływali zwyczaj kserowania własnych pośladków (czasem biustu) na biurowej kopiarce. Nie jestem pewna, jak często się to zdarza, faktem jest, że zwyczaj ten stał się tematem dyżurnym żartów na temat imprez w pracy i pozwala się zorientować, jak traktowane są te przyjęcia, jakie wchodzą tu w grę oczekiwania i niepisane zasady - i jak zachowują się Anglicy w warunkach „kulturowej remisji”.

Będę miała o wiele więcej do powiedzenia o różnych rodzajach „kulturowej remisji”, „usankcjonowanej dewiacji” oraz „efektu przerwy w grze” w dalszych rozdziałach, ale powinniśmy sobie tu przypomnieć, że nie są to tylko fantazyjne naukowe wersje zwrotu „zrelaksować się”. Nie oznaczają pójścia na żywioł i robienia wszystkiego, co nam się podoba, lecz całkiem konkretnie dotyczą okresowych, *skonwencjonalizowanych* odstępstw od konwencji, gdy można złamać tylko niektóre zasady, i to tylko stosując pewne, regulowane zasadami, sposoby.

Anglicy lubią w swoich rozmowach sprawiać wrażenie, że ich doroczne imprezy biurowe to szalone rzymskie orgie, ale trzeba to traktować jako próbę poprawienia sobie nastroju lub pobożne życzenia. Rzeczywistość w większości wypadków jest taka, że nasza orgia to zasadniczo nadmierne jedzenie i picie, śpiewanie i tańczenie w bardziej ekstrawagancki sposób niż zwykle, wkładanie za krótkich spódnic i zbyt wydekoltowanych bluzek, pozwolenie sobie na odrobinę flirtu, i może na zakazany całus czy małe obściskiwanko, rozmowy z kolegami bardziej swobodne niż zwykle, a z szefem prowadzone z mniejszym niż zazwyczaj szacunkiem - no i może, jeśli wprawimy się w nastrój naprawdę rozpustny i rozwiązły, skserowanie własnego tyłka.

Istnieją wyjątki i drobne wariacje, ale to, co opisałam wyżej, to dopuszczalna norma w

większości angielskich firm. Niektórzy młodzi angielscy pracownicy uczą się tych zasad na błędach, przekraczając niewidzialne granice, idąc ten jeden krok za daleko i odkrywając, że ich wybryki spotykają się z dezaprobatą; w rezultacie cierpi na tym ich kariera. Ale większość z nas instynktownie przestrzega wyżej wymienionych zasad, łącznie z tą, która pozwala znacznie wyolbrzymiać relacje z biurowej imprezy.

Praca a angielskość

Gdy patrzę na zasady przewodnie podane na początku tego rozdziału i staram się ustalić, co mówią nam one o angielskości, natychmiast uderzają mnie ambiwalencja i sprzeczności w angielskiej postawie wobec pracy. Zasady „mętliku” wydają się być pełne różnych „ale”. Jesteśmy poważni, ale bez powagi, sumienni, ale bez entuzjazmu, jesteśmy pomysłowi, ale i mało elastyczni, narzekamy, ale ze stoicyzmem. Na pewno nie zaryzykowałabym twierdzenia, że mamy do pracy stosunek typu „miłość i nienawiść w jednym”. To by było zbyt żarliwe, ekstremalne i takie nieangielskie. Już prędzej „powściągliwe upodobanie/umiarkowana niechęć w jednym” - trochę niechętny kompromis bardziej niż podszyty lękiem konflikt.

Mam wrażenie, że w tym całym mętliku, umiarze i niezajmowaniu konkretnego stanowiska jest coś typowo angielskiego. Angielska etyka zawodowa jest chaosem pełnym sprzeczności, naszym sprzecznościom jednak brakuje dramatyzmu, napięcia, które to słowo zwykle sugeruje. Sprawy załatwia się połowicznie, na drodze osobliwie angielskiego mętnego, niesatysfakcjonującego kompromisu. Nie potrafimy ani podchodzić do pracy z entuzjastycznym protestanckim zapałem, ani traktować jej z latynoskośroziemnomorskim beztróskim fatalizmem. Siedzimy więc niezgrabnie na płocie pośrodku, gdzieś na wspólnym gruncie, i utyskujemy na to wszystko - po cichu.

Koncept kompromisu wydaje się głęboko utrwalony w angielskiej psychice. Nawet w tych rzadkich wypadkach, gdy ktoś nas sprowokuje do żarliwej dyskusji, zazwyczaj kończy się na kompromisie. Angielska wojna domowa toczyła się między zwolennikami monarchii a zwolennikami parlamentu - i na czym stało? Że mamy i to, i to. Kompromis. Nie lubimy dramatycznych zmian, rewolucji, nagłych powstań i wstrząsów politycznych. Prawdziwie angielski marsz protestacyjny wyglądałby tak, że szlibyśmy i skandowali: „Czego żądamy? STOPNIOWYCH ZMIAN! Kiedy? W ODPOWIEDNIM CZASIE!”.

Gdy nie jesteśmy pewni, co robić (czyli przeważnie), uciekamy się do naszego ulubionego, wielofunkcyjnego mechanizmu przystosowawczego: humoru. Sądzę, że zasady humoru w miejscu pracy nadały nowy wymiar naszemu rozumieniu angielskiego humoru i jego roli w naszych kodach kulturowych. Wiedzieliśmy już, że dla Anglików humor jest

bardzo ważny, ale widzieliśmy go „w akcji” w sytuacjach czysto towarzyskich, gdzie potrzeba jasnych sytuacji jest chyba mniejsza niż w miejscu pracy. Wartość humoru możemy ocenić dopiero teraz, gdy zobaczyliśmy, co Anglicy gotowi są dla niego poświęcić - na przykład klarowność, pewność i skuteczność.

Humor w miejscu pracy i zasady skromności pomogły nam także wejść w głąb innego stereotypu, czyli angielskiego antyintelektualizmu, który wsadziliśmy pod mikroskop i rozbiliśmy na części składowe, czyli na zakazy bycia serio i przechwalania się. Mając już antyintelektualizm w mojej szalce Petriego, poszturchałam ją trochę ze wszystkich stron i wyciągnęłam pincetką inny komponent, który wygląda, niestety, jak „empiryzm”, zwłaszcza antyteoretyczne, antydogmatyczne, antyabstrakcyjne elementy tradycji empiryzmu angielskiego, nasza flegmatyczna sympatia dla faktów, konkretów i zdrowego rozsądku, a także głęboka niechęć do obskuranckiego, „kontynentalnego” teoretyzowania i retoryki. W angielskim zwrocie „Daj spokój!” jest coś zasadniczo empirycznego. Właściwie to w większości aspektów angielskiego poczucia humoru jest coś zasadniczo empirycznego. Mam wrażenie, że jeszcze do tego wrócimy.

Zasada skromności wygląda na kolejny uparcie powracający motyw - i, tak jak w wypadku humoru, w miejscu pracy udało nam się praktycznie i odkrywco „przetestować” moc tej zasady. Odkryliśmy, że gdy wymogi reklamy i marketingu nie zgadzają się z angielską zasadą skromności, wygrywa zasada, więc reklamę trzeba zmodyfikować, żeby być w zgodzie z zakazem chwalenia się.

Zasada uprzejmego odwlekania podkreśla kolejną znaną nam już cechę, tę, którą przywykłam w skrócie nazywać angielską ułomnością towarzyską, mając na myśli notoryczne zahamowania, perwersyjną niejasność wypowiedzi, wrodzoną niezdolność do bezpośrednich kontaktów z innymi istotami ludzkimi. Tabu rozmów o pieniądzach, objaw tejże choroby, wprowadza nas znowu w odwieczne tematy świadomości klasowej, skromności i hipokryzji - a wszystkie one to silne kandydatki do statusu cech definiujących, razem z naszą słabością do nadmiernego umiaru.

Coś czuję, że fair play także okaże się fundamentalnym prawidłem angielskości. Podobnie jak humor i ułomność towarzyska, ideał fair play zdaje się przenikać nasze zachowania i wpływać na wiele z nich. Nie zapominajmy też, że często przejawia się jako uprzejmy egalitaryzm, co sugeruje, że równie ważną dla nas cechą jest hipokryzja.

W zasadach narzekania w pracy pojawia się więcej znajomych motywów, choć z pewnym urozmaiceniem. Odkrywamy, że nawet nasze ustawiczne Kłapousze narzekanie podlega wszechobecnym zasadom humoru, zwłaszcza oficjalnemu zakazowi bycia serio. A

zasada „Typowe!” ujawnia to, co może być współczesnym wariantem „sztywnej górnej wargi” - cechą typowo angielską, którą na razie nazywam „zgryźliwym stoicyzmem”.

Wreszcie, zasady drinków po pracy i imprez biurowych prowadzą nas znowu do tematu angielskiej ułomności towarzyskiej, a zwłaszcza przypominają, jak nieodzowne są „protezy” i „podpórki” (na przykład alkohol i specjalne miejsca o specjalnych zasadach) dla pokonania naszych licznych towarzyskich zahamowań. Więcej na ten temat w następnym rozdziale.

Rozrywka

Używam tu słowa „rozrywka” w bardzo szerokim sensie, dla oznaczenia wszystkiego, co się odbywa w czasie wolnym: hobby, zabawa, urlop, sport - wszystkiego, co nie jest pracą, co dzieje się w czasie przeznaczonym na wypoczynek (z wyjątkiem konkretnych rzeczy opisywanych w dalszych rozdziałach o jedzeniu, seksie i obrzędach przejścia).

Anglicy prezentują trzy różne postawy wobec czasu wolnego, które wiążą się z naszymi trzema głównymi metodami radzenia sobie z ułomnością towarzyską, naszą niekompetencją na tym polu (minowym, można by dodać) kontaktów towarzyskich:

Po pierwsze, zajęcia prywatne i domowe, na przykład majsterkowanie, praca w ogródku i hobby (metoda: „iść do domu, zamknąć drzwi, podnieść most zwodzony”).

Po drugie, czynności publiczne, towarzyskie, jak sport, gry, kluby i puby (metoda: „pomysłowe wykorzystanie rekwizytów i «protez»,”).

Po trzecie, zajęcia i rozrywki antyspołeczne, jak upijanie się i burdy (metoda: „stań się głośny, agresywny i wstrętny”).

Prywatność - zajęcia prywatne i domowe

Podobnie jak w wypadku humoru, ten tytuł [w oryginale *Privacy rules*] można odczytać jako „zasady prywatności”, ale także w poetyce graffiti: „prywatność rządzi!” - pamiętając, jak bardzo angielska obsesja na punkcie prywatności dominuje nad naszym myśleniem i rządzi naszym zachowaniem. Anglik najlepiej radzi sobie z ułomnością towarzyską, unikając w ogóle sytuacji towarzyskich, wybierając albo czynności, które można wykonywać w zaciszu domowym, albo pozadomowe, które nie wymagają większego kontaktu z nikim poza najbliższą rodziną, na przykład pójście na spacer, do kina, na zakupy - tam, gdzie rządzi „zasada zaprzeczenia”, obowiązująca w prawie wszystkich miejscach publicznych.

W ostatnich ankietach ponad połowa rozrywek wymienianych przez respondentów miała właśnie taki charakter domowy, a z dziesięciu ulubionych tylko dwie (zapraszanie znajomych na kolację lub drinka i chodzenie do pubu) można jednoznacznie opisać jako „towarzystkie”. Najbardziej domowe rozrywki to te najbardziej popularne: oglądanie telewizji, słuchanie radia, czytanie, majsterkowanie i uprawianie ogródka. Wyniki ankiety pokazują, że nawet gdy Anglicy są w nastroju towarzyskim, większość woli zabawiać kilku najbliższych przyjaciół lub krewnych w zaciszu własnego domu niż ryzykować wyjście między nieznanymi.

Domy i ogrody

Omawiałam już dość szczegółowo (w rozdziale *Dom*) angielską obsesję na punkcie

domu i prywatności, ale warto tu powtórzyć moją teorię, że „dom to to, co mają Anglicy zamiast umiejętności towarzyskich”. Nasz romans z własnym domem i ogrodem wiąże się w moim przekonaniu bezpośrednio z obsesją na punkcie prywatności, która z kolei wynika z naszej ułomności towarzyskiej.

Oglądanie telewizji jest rozrywką uniwersalną - nie ma w niej nic typowo angielskiego. Podobnie jak nie ma nic osobliwie angielskiego w innych wymienionych tu głównych domowych rozrywkach, jak czytanie, praca w ogródku czy majsterkowanie, a przynajmniej nie *per se*. Jednak jest coś wyrazistego w fenomenalnym *stopniu* ich popularności, zwłaszcza w wypadku majsterkowania i pracy w ogródku. Weźmy jakikolwiek wieczór lub weekend: w co najmniej połowie angielskich domostw zawsze ktoś „ulepsza” dom, za pomocą kawałków drewna czy puszek z farbą, albo ogród, kopiąc lub tylko się po nim „krzątając”. W badaniach moich kolegów z SIRC na temat angielskiego majsterkowania tylko 12 procent kobiet i 2 procent mężczyzn przyznało, że nigdy się nim nie zajmowali. Podczas ostatniego spisu powszechnego ponad połowa całej dorosłej męskiej populacji stwierdziła, że majsterkowała w ciągu miesiąca poprzedzającego spis. Prawie jedna trzecia kobiet także zajmowała się „ulepszaniem” gospodarstwa domowego; równie ewidentna była nasza obsesja na punkcie ogródków: krótko przed spisem przycinało i pielilo 52 procent wszystkich Anglików i 45 procent Angielek.

Porównajcie sobie te liczby z danymi na temat chodzenia do kościoła, a zrozumiecie, co jest prawdziwą religią narodową. Nawet wśród ludzi, którzy twierdzą, że są wyznawcami konkretnej religii, tylko 12 procent bierze udział w nabożeństwach co tydzień. Resztę populacji można spotkać co niedzielę w lokalnym centrum ogrodniczym lub hipermarkecie dla majsterkowiczów. A gdy chcemy zrobić sobie przerwę w obsesji na punkcie własnych domów i ogrodów, udajemy się na minipielgrzymki, żeby gapić się na większe i lepsze ich wersje, jak wiejskie rezydencje i ogrody otwarte dla publiczności przez National Trust i Królewskie Towarzystwo Ogrodnicze. Zwiedzanie majątków ziemskich niezmiennie zajmuje miejsca w rankingach jako jedna z najulubieńszych narodowych rozrywek. To wcale nie jest zaskakujące, ponieważ w tych miejscach jest wszystko, czego mógłby sobie życzyć Anglik na niedzielnej wycieczce: nie tylko inspiracja do ulepszeń własnego domu i ogrodu („Ooo, popatrz, to właśnie ten różowobeżowy odcień, o jakim myślałam do naszego salonu!”) i folgowanie obsesji na punkcie klasy i ogólnej wścibskości, ale także swojskie kolejki, pokrzepiające filizanki herbaty i duże samozadowolenie, bo przecież cały ten wypad jest bardzo edukacyjny - a przynajmniej o wiele bardziej niż wizyta w hipermarkecie czy centrum ogrodniczym - w końcu, jakkolwiek by patrzeć, miejsce jest „zabytkowe”¹⁹. Te drobne

purytańskie ciągoty, ta potrzeba udowodnienia, że nasze rozrywki to coś więcej niż bezmyślny konsumpcyjny hedonizm, są najbardziej widoczne wśród klasy średniej; klasa robotnicza i klasa wyższa są zwykle bardziej otwarte i szczerze w swojej konsumpcji przyjemności, bo nie zależy im specjalnie, co inni o nich pomyślą.

Telewizja

Jeśli ktoś się martwi tego typu rzeczami, może pocieszą go wyniki badań, z których wynika, że w rzeczywistości wcale nie jesteśmy narodem telemaniaków. Na pierwszy rzut oka liczby z tej ankiety mogą sprawiać wrażenie mylące: gdy widzi się, że 99 procent ludności regularnie oddaje się oglądaniu telewizji, wydaje się ono być zdecydowanie w czołówce domowych rozrywek. Gdy jednak zauważamy, jak sformułowane są pytania ankietowe - „Którą z tych rzeczy robiłeś/łaś w ciągu ostatniego miesiąca?” - obraz się zmienia. W końcu trudno by było w ciągu całego miesiąca nie włączyć przynajmniej raz na jakiś czas wiadomości. Zaznaczenie odpowiedzi „tak” przy telewizji niekoniecznie od razu znaczy, że ankietowany co wieczór był przyklejony do ekranu.

Naprawdę oglądamy dużo telewizji - średnia krajowa wynosi jakieś 3-3,5 godziny dziennie - ale nie można powiedzieć, że telewizja zabija sztukę konwersacji. Według tej samej ankiety 97 procent respondentów również w ciągu ostatniego miesiąca gościło u znajomych lub ich podejmowało. Jestem nieco sceptyczna, jeśli chodzi o statystyki dotyczące oglądania telewizji, od kiedy wzięłam udział w badaniu, w którym zespół psychologów zainstalował kamery wideo w salonach zwykłych ludzi, żeby zbadać, jak często oglądają telewizję i jak się zachowują podczas oglądania. Byłam w tym eksperymencie tylko skromną asystentką; moim zadaniem było oglądanie taśm ze stoperem i mierzenie, przez ile dokładnie czasu nasze nieszczęsne obiekty faktycznie patrzyły na ekran, oraz robienie notatek na temat wszystkich innych czynności, jakie oglądający mogli poza tym wykonywać, na przykład uprawiać seks lub dłubać w nosie. Wszyscy badani wypełniali codziennie formularze, podając, jakie programy widzieli, i oceniając, ile z danego programu w istocie obejrżeli.

Różnica między ich oceną a rzeczywistością, mierzona moim stoperem, wykazała, że gdy ludzie mówią ankieterowi, że spędzili cały wieczór, albo godzinę, „oglądając telewizję”, najpewniej nie mówią prawdy. Najczęściej mają na myśli, że telewizor był włączony, gdy oni gawędzili z rodziną lub znajomymi, bawili się z psem, czytali gazetę, kłócili się o pilota, plotkowali przez telefon, obcinali sobie paznokcie u nóg, strofowali współmałżonka, przygotowywali i jedli kolację, zasypiali, prasowali, odkurzali, wrzeszczeli na dzieci i tak dalej, być może od czasu do czasu zerkając na ekran telewizora.

Oczywiście, są ludzie, którzy bardzo zaniżają ilość czasu poświęcanego telewizji, ale

oni zwykle kłamią, w odróżnieniu od naszych respondentów, którzy przynajmniej próbują być dokładni. Ludzie tego pokroju, którzy twierdzą, że „nigdy nie oglądają telewizji”, zwykle chcą nas przekonać, że są w jakiś sposób moralnie i/lub intelektualnie lepsi niż całe to pospólstwo, które nie ma nic lepszego do roboty niż co wieczór „godzinami wytrzeszczać gały na bezmyślne bzdury”. Najprędzej znaleźć można tę postawę wśród mężczyzn z klasy średniej, w średnim wieku, którzy wykazują taki sam poziom kompleksów na punkcie pochodzenia społecznego jak ci, którzy szydzą z właścicieli mercedesów. Ta antytelewizyjna poza zawsze wydaje mi się irracjonalną afektacją w Anglii, gdzie mamy telewizję uznawaną ogólnie za najlepszą na świecie, w której naprawdę prawie codziennie jest coś wartego oglądania, nawet dla osób o wyniośle przeintelektualizowanych gustach.

Dla reszty z nas, zwykłych śmiertelników, telewizja jest narzędziem wspierającym sztukę konwersacji, dostarczając upośledzonym towarzysko Anglikom kolejnego jakże upragnionego „rekwizytu”. W jednym z ostatnich badań programy telewizyjne okazały się najpopularniejszym tematem rozmów wśród znajomych i krewnych, nawet bardziej popularnym niż narzekanie na koszty utrzymania. Telewizję jako „proteżę” kontaktów towarzyskich Anglików wyprzedza tylko pogoda. To jest coś, co wszyscy znamy. W razie wątpliwości, albo gdy wyczerpaliśmy wszystkie pogodowe zagajenia i wypełniacze, zawsze możemy zapytać: „A oglądał pan...?”. Przy zaledwie pięciu kanałach naziemnych, istnieje prawdopodobieństwo, że wielu z nas oglądało przynajmniej kilka tych samych ostatnich programów. I mimo stosunkowo wysokiej jakości angielskiej telewizji prawie zawsze znajdziemy coś, na co można sobie wspólnie ponarzekać.

Opery mydlane

Nasze zahamowania towarzyskie i obsesja na punkcie prywatności znajdują też odbicie w rodzaju programów telewizyjnych, jakie robimy i jakie oglądamy, zwłaszcza jeśli chodzi o opery mydlane. Najpopularniejsze angielskie „telenowele” są zupełnie wyjątkowe i bardzo różnią się od swoich odpowiedników w innych krajach. Chociaż wątki, motywy i tematyka są bardzo podobne (jak wszędzie, jest to mieszanka zdrad małżeńskich, przemocy, śmierci, kazirodztwa, niechcianych ciąż, sporów rodzinnych i innych nieprawdopodobnych wypadków i przypadków), tylko w Anglii wszystko to odbywa się wyłącznie z udziałem zwykłych, pospolicie wyglądających ludzi z klasy robotniczej, często w średnim wieku lub starszych, którzy wykonują nudną lub niewymagającą kwalifikacji pracę, noszą tanie ubrania, jedzą fasolę z frytkami, piją w niechlujnych pubach i mieszkają w realistycznie małych, ciasnawych, zupełnie nieośniewających domkach.

Amerykańskie opery mydlane skierowane są do tej samej widowni z klasy niższej, co

nasze *EastEnders* i *Coronation Street*²⁰ (można to stwierdzić po rodzaju produktów reklamowanych w przerwach), ale dotyczą klasy średniej, ich bohaterowie są bogaci i młodzi, wnętrza pełne przepychu, styl życia atrakcyjny. To sami prawnicy, lekarze i biznesmeni, którzy odnieśli sukces, są zadbani i pięknie uczesani, prowadzą swoje zaburzone życie rodzinne w nieskazitelnych drogich domach, a z kochankami spotykają się potajemnie w eleganckich restauracjach i luksusowych hotelach. Prawie wszystkie telenowele na świecie opierają się na tym „aspiracyjnym” modelu amerykańskim. Tylko Anglicy wolą nieupiększony realizm życia klasy robotniczej. Nawet seriale australijskie, najbardziej zbliżone do naszych, wydają się olśniewające, w porównaniu z ponurymi i niechlujnymi produkcjami brytyjskiej. Dlaczego? Dlaczego miliony zwykłych Anglików chcą oglądać telenowele o zwykłych Anglikach takich jak oni sami, o ludziach, którzy mogliby być sąsiadami zza ściany?

Odpowiedź tkwi, jak sądzę, częściowo w empiryzmie i realizmie²¹, które są tak głęboko zakorzenione w angielskiej psychice, i w związanych z nimi naszych cechach, takich jak przyziemność, rzeczowość, upór przy wszystkim, co realne, konkretne i oparte na faktach, oraz odraza do sztuczności i pretensjonalności. Gdyby Pevsnerowi przyszło napisać dzisiaj o „Angielskości angielskiej opery mydlanej”, sądzę, że odkryłby w *EastEnders* i w *Coronation Street* te same wybitnie angielskie cechy: „preferencję namacalnych faktów i doświadczenia osobistego”, „baczną obserwację otoczenia” i „prawdę oraz jej codzienne akcesoria”, które znalazł u Hogartha, Constable’a i Reynolds’a.

Jest to jednak wyjaśnienie niewystarczające. Szwajcarski malarz Fuseli może i miał rację w swoim komentarzu, że u nas „wszystkie gusta i uczucia idą w stronę realiów”, ale Anglicy świetnie potrafią docenić o wiele mniej realistyczne formy sztuki i dramatu; tylko w kwestii telenoweli różnimy się tak bardzo od świata i koniecznie chcemy dostać lustro, które będzie odbijać naszą przeciętność. Mam wrażenie, że ten osobliwy gust jest w jakiś sposób ściśle powiązany z naszą obsesją na punkcie prywatności, z naszą tendencją, żeby z nikim się nie zadawać, pójść do domu, zamknąć drzwi i podnieść most zwodzony. Omawiałam już tę fiksję w poprzednich rozdziałach i sugerowałam, że naturalną jej konsekwencją jest nasza skrajna wścibskość, którą tylko częściowo zaspokajają bezustanne plotkowanie. Działa tu syndrom zakazanego owocu: z powodu angielskich zasad prywatności zwykle wiemy bardzo niewiele o życiu osobistym i poczynaniach ludzi spoza naszego najbliższego kręgu przyjaciół i rodziny. Nie wypada „prać brudów publicznie”, nie wolno też zadawać takich pytań osobistych, które wydobłyby tego rodzaju brudy.

Nie wiemy więc, jakich występów dopuszczają się nasi sąsiedzi za swoimi

zamkniętymi drzwiami (chyba że są tak hałaśliwi, że już zdążyliśmy złożyć na nich skargę na policji i do samorządu lokalnego). Gdy na przeciętej angielskiej ulicy zostanie popełnione morderstwo, reakcje sąsiadów przepytanych przez policję czy dziennikarzy są zawsze jednakowe: „No, właściwie to ich nie znaleźliśmy...”, „Oni się z nikim nie zadawali...”, „Wydawali się mili...”, „My tutaj pilnujemy swoich interesów...”, „Trochę dziwni, ale człowiek nie chce się wtrącać, wie pan...”. Tak naprawdę, to człowiek z radością by się wtrącił; jesteśmy narodem nienasyconych ciekawskich podglądaczy zza firanki, sfrustrowanych drakońskim charakterem naszych niepisanych zasad prywatności. Kluczem do zrozumienia popularności realistycznych telenowel jest uwaga, że ich bohaterowie to „ludzie, którzy mogliby być naszymi sąsiadami zza ściany”. Oglądanie seriali takich jak *EastEnders* czy *Coronation Street* przypomina otrzymanie zezwolenia na zerkanie przez judasz w drzwiach na ukryte, zakazane, prywatne życie naszych sąsiadów, równych nam statusem społecznym - ludzi takich jak my, ale o których życiu możemy na co dzień tylko snuć domysły i spekulować. Powodujący uzależnienie urok tych seriali tkwi w tym, że pozwala nam zastępczo zaspokajać tę niezdrową ciekawość: telenowełe są formą podglądactwa. I oczywiście potwierdzają wszystkie nasze najgorsze podejrzenia dotyczące tego, co się dzieje za szczelnie zamkniętymi drzwiami i nieprzeniknionymi firankami naszych sąsiadów; chodzi o zdrady, alkoholizm, bicie żon, kradzieże sklepowe, handel narkotykami, AIDS, ciężę nastolatek, morderstwa... Rodziny z oper mydlanych są „ludźmi takimi jak my”, ale robią jeszcze gorszy, a przy tym o wiele barwniejszy bałagan w swoim dysfunkcyjnym życiu, niż my sami.

Wymieniłam tylko najpopularniejsze angielskie telenowełe - które jednoznacznie traktują o klasie robotniczej: *EastEnders* i *Coronation Street*. Ale nasi producenci telewizyjni to ekipa sprytna i życzliwa, zrobią wszystko, żeby zaspokoić wszystkie warstwy angielskiego społeczeństwa klasowego, a nawet różne grupy demograficzne w obrębie tych warstw. *EastEnders* i *Coronation Street* reprezentują, odpowiednio, miejską klasę robotniczą z południa i z północy. *Emmerdale* plasuje się o jedendwa szczeble drabiny społecznej wyżej, ma dużą liczbę głównych bohaterów z klasy średniej i niższejśredniej, i jest bardziej wiejska niż miejska. *Hollyoaks* to w zasadzie podmiejska wersja *EastEnders* dla nastolatków; różniąc się nieco od nieupiększonego standardu tym, że niektórzy bohaterowie są wręcz atrakcyjni fizycznie, acz ubrani realistycznie w tanią produkcję masową. Nawet klasa średnia aż do wyższejśredniej dostają czasem coś dla siebie; przez jakiś czas gościł na naszych ekranach serial *This Life*, pokazujący grupę ładnie się wysławiających, choć neurotycznych prawników po trzydziestce. Byli dość atrakcyjni i elegancko ubrani, ale w przeciwieństwie do

bohaterów telenowel amerykańskich nie budzili się rano z pełnym makijażem i nieskazitelną fryzurą; ich (częste) pijaństwo było przekonująco wymiotne; ich kłótnie i awantury zawierały wiarygodną ilość przekleństw, a w zlewie mieli stosy brudnych naczyń.

Sitcomy

Prawie takie same zasady bezlitosnego realizmu odnoszą się do angielskich komedii sytuacyjnych. Niemal wszystkie opowiadają o życiowych nieudacznikach - ludziach, którym się nie powiodło, którzy wykonują nieatrakcyjne zawody, trwają w niesatysfakcjonujących związkach, mieszkają, w najlepszym razie, w ponurych podmiejskich domach. To przeważnie klasa robotnicza lub niższa warstwa klasy średniej, ale nawet najlepiej sytuowani bohaterowie nigdy nie są orłami. Wszyscy bohaterowie - lub raczej antybohaterowie, ci, z których się śmiejemy - są ofiarami losu.

To powoduje problemy z eksportem; gdy popularne angielskie sitcomy, takie jak *Men Behaving Badly*, są „tłumaczone” na rynek amerykański, oryginalni angielscy bohaterowie często okazują się zbyt niskiej jakości, zbyt nieudaczeni, za mało atrakcyjni, zbyt prymitywni - i generalnie, trochę za bardzo realistyczni, żeby widzieć się z tym dobrze czuć. W wersjach amerykańskich dostają oni awans, bardziej regularne rysy twarzy, lepsze włosy, elegantsze ciuchy, atrakcyjniejsze kobiety, bardziej ekskluzywne domy i styl życia. Ich obrzydliwe nawyki są tonowane, a język odkażany razem z łazienką i kuchnią²².

Nie znaczy to, że w amerykańskich sitcomach nie ma nieudaczników; są, ale to nieudacznicy lepszej klasy: nie aż tak beznadziejni, mniej obrzydliwi, niechlujni i nieapetyczni niż ich wersja angielska. Na przykład kilku bohaterów *Przyjaciół* nie ma może olśniewających karier, ale za to nie sterczy im ani jeden włoszek; może zostają wyrzuceni z pracy, ale na pewno idealne rysy i opalenizna stanowią jakąś pociechę. Jest tylko jeden od dawna nadawany popularny sitcom amerykański, *Roseanne*, który zbliża się do tej skali realistycznego zapuszczenia, jakie jest normą w telewizji angielskiej i jakiego domaga się empiryczna, przyziemna, cyniczna angielska widowia, czyli ci podglądacze zza firanki, o niezdrowych zainteresowaniach, którzy chcą widzieć Pevsnerowską „prawdę i jej codzienne akcesoria” nie tylko w swoich telenowelach, ale i w sitcomach.

Angielskie komedie wcale niekoniecznie są lepsze, bardziej subtelne czy bardziej wyrafinowane niż amerykańskie czy jakiegokolwiek inne. Przeciwnie, humor większości angielskich sitcomów jest raczej *mniej* subtelny i wyrafinowany niż amerykański, i zazwyczaj uważany za bardziej dziecinny, prymitywny i głupi. Powiedziałabym, że w życiu codziennym i rozmowach Anglicy wykazują nawet bardziej wyostrome i subtelne poczucie humoru niż większość innych nacji, toteż owo biegle opanowanie inteligentnego dowcipu, ironii i

niedomówienia jest także widoczne w niejednej naszej komediowej produkcji telewizyjnej - istnieje też jednak wielka liczba takich, w których puszczenie bąków, mówienie co chwilę „dupa” czy w ogóle wszystko, co wiąże się z tą częścią ciała, uważane jest za szczyt komizmu.

Możemy słusznie być dumni z błyskotliwego dowcipu programów takich jak *Tak jest, panie ministrze*, i jesteśmy bezsprzecznie świetni w parodiach i satyrze (nic dziwnego, to zamiast wściekania się i urządzania rewolucji), ale nie zapominajmy, że spłodziliśmy także *Benny Hilla* i filmy z cyklu *Do dzieła!*, które różnią się od przeciętnego seksualnego eurosłapsticku (jak również jego amerykańskich, australijskich i japońskich odpowiedników) wyłącznie nadmiarem kiepskich kalamburów, aluzji i dwuznaczności - co świadczy o angielskim zamiłowaniu do słów, jak przypuszczam, ale poza tym niespecjalnie przynosi nam chlubę. *Monty Python* mieści się w innej kategorii, zarówno ze społecznego, jak i językowego punktu widzenia, wciąż jednak jest to humor dość dziecinny, sztubacki.

Wydaje mi się, że ważnym pytaniem jest nie to, czy nasze komedie są lepsze, czy gorsze niż zagraniczne, mądrzejsze czy bardziej prymitywne, ale czy mają jakiś wyraźny wspólny motyw lub cechę charakterystyczną, która mogłaby nam coś powiedzieć na temat angielskości. Pracowałam nad tą kwestią długo i ciężko, konsultowałam się z kilkoma autorami komedii i innymi ekspertami, posłusznie obejrzałam dziesiątki sitcomów, satyr, parodii i występów „na stojaka” - przy czym niezmiernie wkurzałam całą moją rodzinę i znajomych, uparcie nazywając to „badaniami naukowymi”. Wreszcie jednak znalazłam odpowiedź: wydaje mi się, że wszystkie prymitywne angielskie komedie telewizyjne oraz całkiem sporo wyrafinowanych opierają się zasadniczo na tym odwiecznym frasunku Anglików: skrępowaniu.

Skrępowanie pełni również ważką rolę w komediach zagranicznych - i być może w ogóle w komedii jako takiej - Anglicy jednak wydają się być bardziej narażeni na skrępowanie niż cudzoziemcy, robią wrażenie, jakby doświadczali go częściej i w większym stopniu nieustannie martwili się i przeżywali obawy z jego powodu. Zwykle żartujemy z rzeczy, których się boimy (to znaczy my ludzie, nie tylko my Anglicy), a Anglicy szczególnie boją się krępujących sytuacji, nie dziwi więc specjalnie, że tak wiele naszych komedii obraca się wokół tego tematu. Dla upośledzonych pod tym względem Anglików prawie każda sytuacja towarzyska jest potencjalnie kłopotliwa, dlatego też dysponujemy wyjątkowo bogatym źródłem materiału komicznego. Na polu komedii sytuacyjnej nawet nie musimy wymyślać dziwnych czy nieprawdopodobnych „sytuacji”, żeby osiągnąć pożądany efekt skrępowania; wiele z naszych komedii nie ma też żadnej wyraźnie zarysowanej „sytuacji”,

chyba że uwzględnimy „przeciętną rodzinę z przedmieścia żyjącą swoim bezbarwnym życiem” (*My Family*, *2.4 Children*, *Butterflies* itp.) czy „zwyczajne nudne dni z życia zwyczajnego nudnego biura” (*The Office*), czy nawet „przeciętną rodzinę z klasy robotniczej bez przerwy tkwiącą przed telewizorem” (*The Royle Family*), a jednak wydaje się, że generują one dość sporo zabawnie kłopotliwych momentów. Mogę się mylić, ale podejrzewam, że bardzo trudno byłoby je zareklamować jako świetne pomysły na sitcom w jakimkolwiek innym kraju²³.

Reality TV

Tak zwana reality TV dostarcza jeszcze więcej dowodów (gdyby ktoś ich potrzebował) na angielskie zahamowania towarzyskie i na to, co psychoterapeuta prawdopodobnie nazwałby naszymi „problemami z prywatnością”. Tego, co widać w reality TV, nikt przy zdrowych zmysłach raczej nie nazwałby „realizmem”, jako że zwykle konfrontuje się tam ludzi z dziwacznymi, wielce nieprawdopodobnymi sytuacjami i zmusza ich do rywalizacji przy wykonywaniu groteskowych zadań. Ci ludzie jednak są „realni”, w tym sensie, że nie są to zawodowi aktorzy, tylko zwyczajni śmiertelnicy nieudacznicy, wyróżniający się jedynie desperackim pragnieniem pojawienia się w telewizji. Reality TV nie jest bynajmniej wynalazkiem angielskim czy brytyjskim. Najślynniejszy i najbardziej popularny z tych programów, *Big Brother*, został wymyślony w Holandii, a teraz wiele innych krajów ma własną jego wersję, co jest idealną okazją do porównań międzykulturowych. Format jest całkiem prosty. Spośród wielu tysięcy chętnych wybiera się dwunastu uczestników i umieszcza w specjalnie wybudowanym domu, gdzie mieszkają przez dziewięć tygodni. Ukryte kamery rejestrują każdy ich ruch dwadzieścia cztery godziny na dobę, a najciekawsze momenty pokazywane są co wieczór w telewizji. Ich życie jest całkowicie kontrolowane przez producentów show, znanych jako zbiorowy „Wielki Brat”, który stawia przed nimi zadania, nagradza i karze. Co tydzień wszyscy lokatorzy muszą nominować dwóch współuczestników do usunięcia ich z domu, potem widzowie przed telewizorami głosują na tego, którego chcą wyrzucić z domu Wielkiego Brata, i jeden z nich ten dom opuszcza. Na końcu zwycięzca - uczestnik, który się ostał - wygrywa całkiem sporą nagrodę w gotówce. Każdy z nich ma swoje piętnaście minut sławy, a niektórzy zostają „gwiazdami” kategorii D.

Wielka Brytania i Ameryka to jedyne kraje, w których ani razu nie zobaczono żadnego mieszkańca domu Wielkiego Brata uprawiającego seks (myślę, że powody są różne: my jesteśmy zahamowani, a Amerykanie pruderyjni). W Holandii, zdaje się, musiano im mówić, żeby przestali bez przerwy uprawiać seks, bo widzów zaczynało już nużyć nieustanne

bzykanie. W Wielkiej Brytanii gazety podniecały się strasznie, gdy dwoje uczestników choćby się pocałowało. Gdy w trzeciej serii dwoje młodych ludzi posunęło się trochę dalej, zadbali o to, by szczelnie otulała ich kołdra, i nie sposób było stwierdzić, co tam się dzieje. Nawet gdy producenci naszego *Big Brothera*, rozpaczliwie próbując urozmaicić show, zafundowali mieszkańcom niewielkie gniazdko miłości, pozwalając parom baraszkować z dala od wścibskich oczu współlokatorów (choć wciąż pod obstrzałem ukrytych kamer), nie skusiło to żadnego z zahamowanych uczestników. Zaczęli używać tego pokoiku do „prywatnych” sesji plotkowania. W 2003 roku jeden z tabloidów zaofiarował nagrodę wysokości 50 tysięcy funtów (prawie tyle, ile wynosiła nagroda za wygranie *Big Brothera*) za skłonienie kogoś z nich do seksu, ale i tak nic nie zaszło.

W innych krajach mieszkańcy domu Wielkiego Brata regularnie urządzą awantury, a nawet walki i burdy, w których łamią się krzesła i fruwią naczynia. W brytyjskiej wersji nawet podniesiony głos czy średnio sarkastyczna uwaga urasta do rangi poważnego incydentu, który jest omawiany i roztrząsany przez wiele dni, zarówno w samym domu, jak i wśród wielu oddanych fanów programu. Język naszych uczestników jest często wulgarny, ale to raczej z powodu ich ograniczonego słownictwa niż silnych emocji. Ich zachowanie jest wyjątkowo powściągliwe i uprzejme. Rzadko wyrażają wprost złość na współlokatora; częściej, w prawdziwie angielski sposób, nieustannie skarżą się na tę osobę i obmawiają ją za jej plecami.

Choć program ten opiera się na rywalizacji, wszelkie przejawy rzeczywistej rywalizacji są przez uczestników naszego *Big Brothera* odbierane bardzo źle. „Oszukiwanie” to najgorszy grzech - naruszenie bardzo ważnego etosu fair play - ale nawet przyznanie się, że ma się jakiś plan, że „gra się, by wygrać”, jest tematem tabu, jak przekonał się na własnej skórze jeden z uczestników, którego chełpliwe uwagi o tym, jaką ma sprytną strategię, skończyły się na bojkocie przez resztę grupy i prędkim wyrzuceniu. Gdyby nie przyznawał się do swojej motywacji, gdyby udawał, że jest tam „dla zabawy”, jak wszyscy inni, miałby takie same szanse jak pozostali. Hipokryzja rządzi.

Powściągliwość, zahamowanie, rezerwa, nieśmiałość, skrupowanie, brak otwartości, hipokryzja, uprzejmość przez zaciśnięte zęby - wszystko to cechy bardzo angielskie, powiecie, niespecjalnie zaskakujące. Ale pomyślcie przez chwilę, kim są ci uczestnicy *Big Brothera*. Ci, którzy zgłaszają się na przesłuchania, żeby wziąć udział w tym programie, *sami chcą* być wystawieni na widok publiczny, dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez dziewięć tygodni, bez żadnej prywatności, nawet w toalecie czy pod prysznicem - nie mówiąc już o przymusie wykonywania idiotycznych i żenujących zadań. To nie są normalni, zwykli

ludzie; to najwięksi ekshibicjoniści w kraju, najbardziej bezwstydni, najbardziej bezczelni, najbardziej żądni popularności, najmniej zahamowani ludzie w całej Anglii. A jednak ich zachowanie w domu Wielkiego Brata przeważnie charakteryzuje się typowo angielską rezerwą, zahamowaniem, przewrażliwieniem i niezręcznością. Łamią zasady tylko wtedy, gdy są bardzo pijani - lub raczej, upijają się, żeby usankcjonować swoje odejście od zasad²⁴ - a nawet wtedy pewnych granic nie przekraczają.

Postrzegam *Big Brothera* jako pożyteczny eksperyment, testujący siłę „zasad angielskości”. Jeśli nawet jaskrawi ekshibicjoniści w *Big Brotherze* stosują się do tych zasad, muszą one być bardzo głęboko zakorzenione w angielskiej psychice.

Czytanie

Angielskie uwielbienie dla słów występuje w takiej czy innej formie w wielu spisach naszych „cech narodowych”, na które się natknęłam, robiąc badania do tej książki. A fakt, że tych spisów sporządza się tak wiele, jedynie potwierdza tę kwestię: z lękami związanymi z naszą tożsamością narodową radzimy sobie, robiąc adekwatne spisy - załatwiamy problem słowami. To zdaje się Orwell zapoczątkował trend sporządzania list, ale teraz już chyba robią to wszyscy.

Jeremy Paxman, którego własna orwellowska lista typowo angielskich rzeczy zawiera „kwizy i krzyżówki”, nazywa Anglików „narodem opętanym słowami” i na dowód przytacza fenomenalną produktywność naszego przemysłu wydawniczego (100 tysięcy nowych książek rocznie), więcej gazet na osobę niż w jakimkolwiek innym kraju, nasz „nieprzerwany strumień listów do gazet”, nasz „nienasycony apetyt” na wszelkie gry słowne i łamigłówki, nasze świetnie prosperujące teatry i księgarnie.

Dodam, że w ankietach na temat sposobów spędzania wolnego czasu czytanie książek zajmuje pozycję wyższą niż majsterkowanie i ogrodnictwo, a ponad 80 procent z nas regularnie czyta którąś z gazet codziennych. Nasza namiętność do gier słownych jest świetnie znana, ale warto także zauważyć, że każdemu z niewerbalnych hobby i rozrywek - jak wędkarstwo, filatelistyka, obserwowanie pociągów, obserwowanie ptaków, piesze wędrówki, sporty, zwierzęta domowe, układanie kwiatów, robótki na drutach i hodowla gołębi - poświęcony jest przynajmniej jeden, jeśli nie o wiele więcej, specjalistyczny magazyn. Każde bardziej popularne hobby ma przynajmniej kilka publikacji cotygodniowych lub miesięcznych oraz niezliczone strony internetowe; często spędzamy o wiele więcej czasu na czytaniu o naszej ulubionej rozrywce niż na jej wykonywaniu.

Lektura kibelkowa

Czytamy nałogowo, zawsze, wszędzie. W wielu angielskich domach znajdziecie coś,

co nazywam „lekturą kibelkową”: sterty książek i magazynów obok toalety, lub nawet ułożonych porządnie w specjalnym stojaku lub na półeczce, do czytania w trakcie posiedzeń na sedesie. Parę razy widziałam jakąś książkę czy magazyn w toaletach w innych krajach, ale na pewno nigdzie nie jest to tak powszechny zwyczaj jak w Anglii. Wielu Anglików - zwłaszcza mężczyzn - w ogóle nie potrafi się wypróżnić, jeśli nie mają nic do czytania. Gdy pod ręką nie ma odpowiedniej lektury, zaczynają czytać instrukcje na dozowniku z mydłem lub listę składników na pojemniku z odświeżaczem powietrza.

Pewien mój cyniczny znajomy zauważył, że to może mieć więcej wspólnego z naszą skłonnością do zatwardzeń niż z uwielbieniem słów, ale ja nie jestem przekonana. Często się mówi, że Anglicy mają obsesję na punkcie swoich jelit, a sądząc z zawartości szafek łazienkowych (tak, zawsze po nich myszkuję - wy nie?) i z zaopatrzenia półek aptecznych, istotnie wydaje się, że używamy więcej niż inni środków na zaparcia i biegunki, co świadczy o nieustannej walce o utrzymanie jakiegoś nieosiągalnego stanu regularności i solidności. Ale czy mamy większą obsesję niż Niemcy? Nie konstruujemy, tak jak oni, naszych muszli klozetowych z małą półeczką, by z niepokojem dokonywać inspekcji własnych odchodów lub je z zadowoleniem kontemplować (zakładam, że to po to są te półeczki, bo nie wydają się mieć żadnego innego logicznego celu). W rzeczywistości nasz zwyczaj lektury kibelkowej wskazuje na pewne zakłopotanie całym tym procesem: wolimy rozrywać się słowami niż skupiać (!) ze zbytnim przejęciem na produktach naszych jelit. Ale może to po prostu kolejny przejaw angielskiej hipokryzji.

Niepisane zasady czytania w kibelku mówią, że odnośne książki i magazyny powinny być stosunkowo lekkie - humor, antologie cytatów, zbiory listów czy pamiętników, dziwne lub niezrozumiałe wydawnictwa encyklopedyczne, stare magazyny; wszystko, co można przeglądać od niechcenia; byle nie ciężkie tomiska wymagające wyęźzonej koncentracji.

Lektura kibelkowa, jak prawie wszystko inne w domu Anglika, jest użytecznym wskaźnikiem klasy społecznej:

lektura klasy robotniczej to przeważnie humorystyczna, lekka lektura, często związana ze sportem - książki z kawałami, dowcipami rysunkowymi, od czasu do czasu łamigłówek czy kwizy, może kilka kolorowych magazynów plotkarskich lub sportowych. Czasem także znajdziemy magazyny na temat hobby i zainteresowań, jak motocykle, muzyka czy jazda na deskorolce;

przedstawiciele klas niższejśredniej i średniejśredniej nie przepadają za czytaniem w kibelku; mogą czasem zabrać ze sobą do toalety książkę czy gazetę, ale nie lubią robić wystawek z lekturą, bo uważają, że może to wyglądać wulgarnie. Kobiety z tej grupy często

w ogóle nie przyznają się do czytania na sedesie;

wyższa warstwa klasy średniej jest ogólnie o wiele mniej pruderyjna, jeśli chodzi o te rzeczy, i często ma w swoich toaletach minibiblioteczki. Czasem ich kolekcje lektury kibelkowej są nieco pretensjonalne, zawierają książki i magazyny, które wyglądają na wybrane, by zrobić wrażenie, a nie dostarczyć rozrywki²⁵, ale wiele jest prawdziwie eklektycznych i tak zabawnych, że czasem goście, czytając, zapominają o całym świecie i trzeba ich wołać z powrotem do stołu;

lektura klasy wyższej jest zwykle zbliżona do gustów klasy robotniczej, składa się głównie ze sportu i humoru, choć magazyny sportowe poświęcone są tu raczej polowaniu/strzelectwu/wędkowaniu niż, powiedzmy, piłce nożnej. Niektóre kibelkowe biblioteczki członków klasy wyższej zawierają fascynujące stare książki dla dzieci i bardzo stare, rozlatujące się egzemplarze magazynów „Horse and Hound” czy „Country Life”, w których można natrafić na portret zaręczynowy pani domu z lat pięćdziesiątych.

Gazety

Gdy na dowód angielskiego uwielbienia dla słów piszę, że ponad 80 procent z nas czyta jakiś ogólnokrajowy dziennik²⁶, ktoś nieobeznany z kulturą angielską może błędnie wyobrażać sobie naród superwykształconych intelektualistów, pochłoniętych analizą wydarzeń bieżących i polityki na łamach „Timesa”, „Guardiana” czy innej dużej, poważnie wyglądającej gazety. Tak naprawdę, choć mamy ich aż cztery, tylko około 16 procent z nas czyta tak zwane poważne dzienniki.

Często mówi się o nich *broadsheets* (wielkoformatowe) z powodu ich dużych rozmiarów. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego gazety te są tak nieporęczne, aż zaczęłam obserwować, jak dojeżdżający do pracy Anglicy czytają je w pociągach, i uświadomiłam sobie, że nie ma znaczenia, czy łatwo się je czyta i bez trudu przewraca strony; chodzi najwyraźniej o to, by mieć na tyle dużą gazetę, żeby móc się za nią schować. Angielska gazeta wielkoformatowa to przykład bariery, jaką ludzie wznoszą wokół siebie, choć w tym wypadku może bardziej „fortecy”. Nie tylko można się całkiem schować za jej ponadrozmiarowymi, rozpostartymi stronicami, które skutecznie uniemożliwiają jakąkolwiek formę interakcji z innymi istotami ludzkimi i z powodzeniem podtrzymują pokrzepiającą iluzję, że inni nie istnieją - ale jeszcze człowiek jest otoczony, osnuty jak kokonem, solidnym murem *słów*. Jakie to angielskie.

Dzienniki poważne spełniają też do pewnego stopnia rolę sygnałów przynależności politycznej. „Times” i „Daily Telegraph” są raczej prawicowe - chociaż uważa się, że „Telegraph”, znany także jako „Torygraph”ⁱ, jest bardziej „na prawo” niż „Times”.

Równowagę zapewniają „Independent” i „Guardian”, które są nieco „na lewo” - i znów jeden z nich, „Guardian”, jest postrzegany jako nieco bardziej lewicowy niż ten drugi. Termin „czytelnik «Guardiana»”, to często skrót myślowy oznaczający lewicującego liberała, poprawnego politycznie, świadomego ekologicznie. Ponieważ jednak jest to Anglia, żadne z tych usytuowań politycznych nie jest bynajmniej ekstremalne; różnice te mogą być wręcz trudno dostrzegalne, chyba że jest się Anglikiem, który zna się na wszystkich tych subtelnych niuansach. Anglicy nie lubią skrajności, ani w polityce, ani w żadnej innej sferze życia; abstrahując już od innych rzeczy, polityczni ekstremiści i fanatycy, czy to z lewa, czy z prawa, niezmiennie łamią najważniejsze zasady angielskiego humoru, a zwłaszcza zasadę „byle nie zbyt serio”. Hitler, Stalin, Mussolini i Franco do wielu swoich innych grzechów mogą dodać nieużywanie niedomówienia. Żaden z przywódców totalitarnych nie miałby żadnych szans w Anglii - nawet gdyby przymknąć oko na ich wątpliwą moralność, zostaliby natychmiast odrzuceni za branie siebie samych zbyt serio. George Orwell w tej kwestii się mylił: *Rok 1984* raczej nie mógłby mieć miejsca w Anglii; my Wielkiemu Bratu (temu prawdziwemu, nie chodzi o program telewizyjny) poradzilibyśmy: „Daj spokój!”.

Tabloidy, znane także jako „prasa popularna”, są mniejsze (choć i tak na tyle duże, żeby schować za nimi głowę i ramiona) i nieco mniej ambitne, zarówno pod względem intelektualnym, jak i z racji wyglądu. Ludzie czytający dzienniki poważne czasem opuszczają swe drukowane bariery, żeby spojrzeć z góry na tych, którzy czytają tabloidy. Gdy czytelnicy dzienników poważnych narzekają na okropną jakość „prasy”, a robią to bez przerwy, zwykle mają na myśli tabloidy.

Badania MORF¹ dowiodły, że więcej jest ludzi „niezadowolonych” niż „zadowolonych” z naszej prasy krajowej, ale margines był dość mały i, jak zauważyli badacze, „ironiczny”. Szalę wagi na niekorzyść prasy przechylili czytelnicy dzienników poważnych (mniejszość), którzy o wiele częściej narzekają na prasę krajową niż czytelnicy tabloidów (większość). Czytelnicy dzienników poważnych raczej nie wyrażają niezadowolenia z gazet, które sami kupują, więc prawdopodobnie nie podobają im się te, których nie czytają. Badacze stwierdzają więc, że prasa jako całość jest potępiana przez „ludzi, którzy nie czytają tego, przeciw czemu protestują!”. Trafny argument. Anglicy uwielbiają narzekać, a angielskie klasy wykształcone mają tendencję do głośnego narzekania na rzeczy, o których mają małe pojęcie lub żadnego. Ale zaryzykowałabym stwierdzenie, że czytelnicy gazet poważnych są skłonni do niezadowolenia zarówno z gazet, które czytają, jak i z tych, których nie czytają. To, że Anglicy coś kupują, to jeszcze nie znaczy, że naprawdę im się to *podoba*, czy nawet że są z tego „zadowoleni”, a już na pewno nie znaczy to, że

obędzie się bez jęczenia i narzekania. Jeśli tylko jest okazja do bezprzedmiotowego biadolenia - na przykład okazja w postaci ankietera MORI, który wykazuje zainteresowanie naszymi opiniami - chętnie sobie ponarzekamy, praktycznie na wszystko.

Jako że należę do klasy z entuzjazmem czytającej wielkoformatowe poważne dzienniki, pewnie zostaną uznana za zdrajczynię, jeśli powiem cokolwiek dobrego o tabloidach, ale uważam, że pod pewnymi względami są one skalowane niesprawiedliwie. Jasne, że czasem sama mam dość ich węszenia sensacji i siania paniki, ale tak zwana poważna prasa też często nie jest wolna od tych grzechów. Mamy aż osiem głównych ogólnokrajowych dzienników - cztery tabloidy, cztery poważne - bezwzględnie ze sobą rywalizujących na stosunkowo niewielkim rynku; wszystkie starają się przyciągnąć naszą uwagę, czasem więc czują się zobligowane, żeby przesadzić czy zasugerować nieprawdę. Ale zostawiając na boku kwestie moralne, jakość pisania zarówno w dziennikach poważnych, jak i tabloidach jest zazwyczaj bez zarzutu. Między prasą „popularną” a „poważną” istnieje różnica w stylu, ale umiejętności autorów są jednakowo świetne. Nie jest to zaskakujące, jako że często są to ci sami autorzy; dziennikarze poruszają się między tabloidami i gazetami poważnymi lub nawet piszą regularnie do jednych i drugich.

Wydaje mi się, że angielskie uwielbienie słów - a zwłaszcza uniwersalny charakter owej pasji, która przekracza wszelkie bariery klasowe - najlepiej widać nie w pełnym erudycji i inteligencji dowcipie felietonistów poważnych dzienników (mimo że są genialni), ale w twórczości dziennikarzy i niższych rangą redaktorów, którzy układają nagłówki w tabloidach. Wybierzcie i przejrzyjcie kilka pierwszych z brzegu angielskich tabloidów. Prędko zauważycie, że niemal co drugi nagłówek zawiera jakąś grę słów - kalambur, aluzję, celowy żartobliwy błąd w pisowni, odniesienie do literatury czy historii, inteligentny neologizm, ironiczny docinek, pomysłową rymowanekę, zabawną aliterację itp.

Owszem, wiele z tych dowcipów jest okropnych; często humor jest naciągany, wulgarny lub infantylny; przesadza się z aluzjami do seksu, a nieustanne gry słowne mogą po jakimś czasie zmęczyć. Możemy wtedy stwierdzić, że tęsknimy do nagłówka, który po prostu treści nam tekst, nie siląc się na dowcip. Nie można jednak nie doceniać czystej pomysłowości i żartu; całe to obsesyjne bawienie się słowami, rymowanie i dowcipkowanie jest unikalnie i wspaniale angielskie. Inne kraje może mają „poważne” gazety co najmniej tak mądre i dobrze pisane jak nasze, ale nigdzie indziej prasa nie doścignie manii gier słownych w nagłówkach angielskich tabloidów. Mamy więc z czego być dumni.

Cyberprzeźren

Ostatnimi czasy Anglicy odkryli nowy idealny pretekst, żeby zostawać w domu,

podnosić wymaginowany most zwodzony i unikać traumy spotkań towarzyskich twarzą w twarz: internet. Email, chatroomy, surfowanie, komunikatory - być może, że to wszystko zostało wynalezione dla wycofanych, upośledzonych towarzysko, kochających słowa Anglików.

W cyberprzestrzeni jesteśmy w swoim żywiole: to świat słów niezwiązanych z konkretnymi ludźmi. Nie musimy się martwić, w co się ubrać, czy utrzymywać kontakt wzrokowy, czy ścisnąć dłonie, całować w policzki czy tylko się uśmiechać. Nie ma niezręcznych pauz ani kłopotliwych falstartów; nie trzeba wypełniać niezręcznej ciszy uwagami na temat pogody; żadnego uprzejmego odwlekania, robienia herbatki czy innych czynności zastępczych; żadnych przedłużonych pożegnań. Bez fizyczności, bez realnych cielesnych istot, z którymi trzeba się zadawać. Tylko słowo pisane. To, co lubimy najbardziej.

A przede wszystkim, cyberprzestrzeń uwalnia od zahamowań. Ten jej atrybut jest zjawiskiem uniwersalnym, charakterystycznym nie tylko dla Anglików. W wielu krajach ludzie odkrywają, że „online” są bardziej otwarci, swobodni, mniej powściągliwi niż w relacjach twarzą w twarz czy nawet przez telefon. Jednakże dla Anglików ta zaleta internetu ma szczególne znaczenie, mają oni bowiem większą potrzebę posiadania takich społecznych „podpórek” niż przedstawiciele innych kultur.

W moich wywiadach z angielskimi internautami powracającym motywem jest to, że komunikacja przez internet pozbawia zahamowań. Wszyscy bez wyjątku uczestnicy rozmów twierdzą, że swobodnie i z mniejszą rezerwą wypowiadają się w cyberprzestrzeni niż podczas spotkań w, jak to niezmiennie określają, „prawdziwym życiu”. „W emailach piszę rzeczy, których nie śmiałbym komuś powiedzieć w «realu»,” „Tak jest, w internecie pozbywasz się zahamowań - to prawie tak, jakby się było lekko pijanym”.

Szczególnie ważne wydaje mi się, że tyłu moich rozmówców podkreśla kontrast między swoim stylem komunikacji w Sieci a tym, co powiedzieliby (lub nie) w „prawdziwym życiu”. To interesujące rozróżnienie jest dla nas wskazówką co do natury pozbawiającego oporów działania komunikacji internetowej. Wydaje się, że William Gibson, który ukuł termin „cyberprzestrzeń”, miał rację, mówiąc: „To nie jest naprawdę miejsce, to nie jest naprawdę przestrzeń”. Uważamy cyberprzestrzeń za coś w pewien sposób odrębnego od prawdziwego świata; nasze zachowanie tam jest inne niż nasze zachowanie w „świecie realnym”.

W tym sensie cyberprzestrzeń może być postrzegana jako coś, co antropologowie nazwaliby „strefą progową” - stanem na krawędzi, oddzielonym od codziennej egzystencji, w którym tradycyjne zasady i konstrukcje społeczne są zawieszane, pozwalającym na krótką

eksplorację alternatywnych sposobów istnienia. Tak jak w naszych emailach i innych rodzajach cybermowy porzucamy konwencjonalne zasady ortografii i gramatyki, tak samo ignorujemy zahamowania towarzyskie i ograniczenia, które normalnie rządzą naszym zachowaniem. Anglicy zachowują się w sposób niezwykle nieangielski. W chatroomach, na przykład, inaczej niż w większości miejsc publicznych w „prawdziwym życiu” w Anglii, zaczynanie rozmowy z nieznanymi jest zachowaniem normalnym, a nawet pożądanym. Później, w komunikatorach i emailach, przechodzimy do ujawniania osobistych szczegółów, których nigdy nie odkrylibyśmy w „prawdziwym życiu”. To może tłumaczyć, dlaczego według ostatnich badań przyjaźnie w cyberprzestrzeni zawiązują się łatwiej i rozwijają się szybciej niż tradycyjne związki w „realu”.

W dużym stopniu ten brak zahamowań opiera się na iluzji. Z powodu „efektu progowego” email *wydaje się* bardziej efemeryczny i mniej zobowiązujący niż „sformułowanie czegoś na piśmie” na papierze, choć tak naprawdę jest on właśnie bardziej trwały i znacznie mniej dyskretny. Więc mimo że wielu Anglików uważa alternatywną rzeczywistość komunikacji online za doświadczenie wyzwalające, może ono mieć konsekwencje niepożądane. Podobnie jak czasem żałujemy powiedzenia czy zrobienia czegoś pod wpływem alkoholu, możemy też czasem żałować naszego zbyt swobodnego zachowania w Sieci. Problem w tym, że cyberprzestrzeń nie jest oddzielona od „prawdziwego życia”, podobnie jak impreza gwiazdkowa w biurze nie odbywa się w żadnym wszechświecie równoległym. Nadmiernie szczere emaile, podobnie jak grzeszki podczas imprezy biurowej, mogą powrócić, żeby nas prześladować. A jednak mimo wszystko uważam, że plusy „efektu progowego” cyberprzestrzeni, jeśli chodzi o pokonywanie angielskiej ułomności towarzyskiej, daleko przeważają nad minusami.

Zakupy

Może się wydawać dziwne, że zakupy wkładam do sekcji o zajęciach „prywatnych i domowych”, jako że zdecydowanie nie odbywają się one w domu, tylko w sklepach, które są miejscami publicznymi. Mówimy tu jednak o Anglikach, co oznacza, że czynności „publiczne” mogą być tak samo „prywatne” jak domowe. Zakupy to dla większości ludzi nie jest towarzyska rozrywka. Dla większości przeważnie w ogóle nie jest to żadna rozrywka, tylko domowy obowiązek - właściwie powinny one zostać omówione w rozdziale o pracy.

Wszak za dziwaczne uznalibyście pewnie zamieszczenie tekstu o zakupach pod nagłówkiem „praca”. Zakupy ogólnie nie są uważane za „pracę”. Istnieje ciekawy rozdzwięk między zakupami jako pojęciem i zakupami jako wykonywaną czynnością - między sposobem, w jaki mówimy o zakupach abstrakcyjnie, a realnością naszego prawdziwego

doświadczenia²⁷. Dyskusje na temat zakupów - w mediach, między naukowcami i komentatorami społecznymi, a często i w zwykłych rozmowach - skupiają się zwykle na hedonistycznym, materialistycznym, indywidualistycznym postrzeganiu tematu; mówimy o zakupoholikach, o „terapii zakupowej”, o potędze reklamy, o ludziach wydających masę pieniędzy, których nie mają, na masę rzeczy, których nie potrzebują, o powieściach typu „seks i zakupy”, o zakupach jako dogadaniu sobie, przyjemności, sposobie spędzania wolnego czasu.

Zakupy rzeczywiście czasem są tym wszystkim. Dla kogoś jednak, kto nie jest bardzo bogaty lub bardzo młody, codzienne doświadczenie zakupowe zwykle bardzo mało przypomina bezmyślny hedonizm. Przeważnie robimy zakupy „zaopatrzeniowe” - kupujemy prozaiczne artykuły pierwszej potrzeby, jak żywność, napoje, proszek do prania, papier toaletowy, pasta do zębów, żarówki itd. O wiele bardziej niż materialistyczne dogadanie sobie przypomina to szukanie i gromadzenie żywności przez naszych przodków, którzy prowadzili zbieraczołowiecki tryb życia. Zakupy to nie praca w sensie „produkcji” - to forma „konsumpcji”, i ludzie, którzy je robią, są „konsumentami” - ale dla wielu kupujących jest to praca w sensie „wykonywania usługi”, aczkolwiek bezpłatnej.

Z drugiej strony, zakupy *mogą* stanowić przyjemną rozrywkę, nawet dla tych, którzy głównie traktują je jako nudny obowiązek. (W jednym z ostatnich badań 72 procent Anglików powiedziało, że w ciągu ostatniego miesiąca robili „zakupy dla przyjemności”). Podczas moich nieoficjalnych rozmów z ludźmi robiącymi zakupy większość czyniła rozróżnienie między zakupami „rutynowymi” i zakupami „dla przyjemności”, robieniem zapasów a zabawą, pracą a rozrywką. Gdy pytałam o zakupy ogólnie, często proszono mnie, by uściślić, o jaki rodzaj zakupów mi chodzi (jedna kobieta zapytała: „Masz na myśli zakupy typu fasolka w puszcze i pieluchy czy babskie wyjście na zakupy?”). Kiedy indziej z odpowiedzi wynikało, że ludzie zakładają, że mam na myśli konkretnie jeden lub drugi typ zakupów. Często zależało to od miejsca, w którym odbywała się nasza rozmowa; ludzie w supermarketach częściej sądzili, że mam na myśli zakupy „zaopatrzeniowe”, natomiast pytani w sklepach z odzieżą, z antykami i centrach ogrodniczych, zazwyczaj myśleli, że chodzi mi o zakupy „dla przyjemności”. Wiek też miał znaczenie: nastolatki, studenci i dwudziestoparolatki przeważnie zakładali, że słowo „zakupy” odnosi się do wersji rozrywka/zabawa/czas wolny, starsi natomiast częściej skupiali się na aspektach obowiązek/zaopatrzenie/rutyna.

Płeć a zakupy

Widać też było znaczące różnice, jeśli chodzi o płeć: mężczyźni o wiele rzadziej niż kobiety rozróżniali między różnymi typami zakupów i byli o wiele mniej skłonni

przyznać, że jakikolwiek rodzaj zakupów, nawet „dla zabawy”, sprawia im przyjemność. Odniosłam wrażenie, że zwłaszcza angielscy mężczyźni mają niepisaną zasadę zakazującą czerpania jakiegokolwiek radości z zakupów, a przynajmniej zakazującą przyznawania się do tej radości. Czerpanie radości z zakupów jest uważane za zniewieściale. Mężczyzna powinien określać wszelkie zakupy, w tym kupowanie towarów luksusowych i przedmiotów nieużytecznych, jako zadanie do wykonania, środek do celu, nigdy przyjemność samą w sobie. Dla kontrastu, większość kobiet chętnie przyznaje, że „zakupy dla zabawy” sprawiają im przyjemność, niektóre mówią nawet, że całkiem lubią zakupy „zaopatrzeniowe”, a przynajmniej czerpią dumę i przyjemność z wykonywania ich jak należy. Istnieją kobiety i mężczyźni, którzy nie stosują się do tych reguł, ale są oni postrzegani jako odszczepieńcy i sami wiedzą, że ich zachowanie jest oryginalne.

Zasady dotyczące stosunku do zakupów widać też w tym, jakiego stylu robienia zakupów oczekuje się od kobiet, a jakiego od mężczyzn. Ja nazywam je „zasadami łowców i zbieraczy”: mężczyźni, jeśli uda się ich w ogóle namówić na zakupy, powinni je robić jak łowcy, kobiety jak zbieracze. Zakupy męskie nastawione są na cel: wybiera się ofiarę, a potem, skupiwszy się na niej, z determinacją się na nią poluje. Zakupy kobiece są bardziej elastyczne, bardziej oportunistyczne: przeszukuje się, patrzy, co jest dostępne; wie się mniej więcej, czego się szuka, ale może znajdzie się jeszcze coś lepszego albo jakąś okazję, i zmieni się zdanie.

Jest jednak spora liczba angielskich mężczyzn, którzy chcą udowodnić swoją męskość, podkreślając, jak są beznadziejni, gdy chodzi o zakupy. Robienie zakupów jest uważane za umiejętność kobiecą; jeśli jesteś mężczyzną i jesteś w tym zbyt dobry, nawet w sposób aprobowany, czyli jako „łowca”, może to rzucić cień na twoje kwalifikacje jako macho, a nawet wywołać wątpliwości co do twojej orientacji seksualnej. Niepewni siebie mężczyźni heteroseksualni uważają skrycie, że tylko geje - i kilka męskich typów ultrapoprawnych politycznie, jak „mężczyzna nowoczesny” czy feminista - są dumni ze swych umiejętności robienia zakupów. „Prawdziwym mężczyznom” wypada zakupów unikać, deklarować, że ich nienawidzą, i być w tej sprawie kompletnie do niczego.

Może jest to częściowo po prostu kwestia lenistwa, użycie sposobu, który Amerykanie nazywają „na ofermę” - czyli celowe wykonywanie domowego obowiązku tak źle, żeby nikt ich już więcej o to nie poprosił. Jednakże dla angielskich mężczyzn bycie beznadziejnym w robieniu zakupów jest także znaczącym powodem do dumy. Ich partnerki często grają w tę samą grę, pomagając im udowodnić ich męskość. Wykonują skomplikowaną pantomimę, okazując pozorną złość na nieudolność swoich mężczyzn, jeśli chodzi o orientację w

supermarkecie, drocą się z nimi bezustannie i opowiadają wszystkim o ich głupich pomyłkach. „Och, on jest beznadziejny, nie ma pojęcia o zakupach, prawda, kochanie?”. Kobieta, z którą rozmawiałam w kawiarni w supermarkecie, uśmiechnęła się z czułością do swego męża, który zrobił minę biednego misia. „Posłałam go po pomidory, a on wraca z butelką keczupu i mówi: «No przecież to jest z pomidorów, nie?». A ja na to: «Tak, ale jak, kurczę, zrobisz z tego sałatkę?». Mężczyźni! Typowe!». Jej mąż wręcz pękał z dumy i śmiał się, zachwycony tym potwierdzeniem jego męskości.

Oszczędne zakupy

Dla wielu angielskich kobiet, które wciąż jednak robią większość zakupów „rutynowego”, „zaopatrzeniowego” rodzaju, kupowanie jest umiejętnością, i tradycyjnie, nawet te stosunkowo zamożne, czerpią dumę z robienia zakupów jak należy, czyli troszcząc się o oszczędność. Niekoniecznie chodzi o to, by kupować wszystko jak najtaniej, ale tak, żeby się opłacało, nie być rozrzutnym czy marnotrawnym. Anglicy uważają, że zakupy to nie akt wydawania pieniędzy, tylko oszczędzania²⁸. Nie opowiada się o „wydaniu” jakiejś sumy na jakąś rzecz, ale o „zaoszczędzeniu” jakiejś sumy na jakiejś rzeczy. Na pewno nie wypada się chwalić wyrzuceniem na coś nadmiernej sumy, ale za to wolno być dumnym ze znalezienia prawdziwej okazji.

Ta zasada dotyczy wszystkich klas społecznych: górne warstwy uznają chęlnie się rozrzutnymi wydatkami za wulgarność, a klasy niższe za zadzieranie nosa. Jedynie nietaktowni, prymitywni Amerykanie obnoszą się ze swoim bogactwem, przechwalając się, jak dużo ich coś kosztowało. Jednakże bycie dumnym ze złapania okazji czy zaoszczędzenia pieniędzy - chwalenie się tym, jak *mało* coś nas kosztowało - jest powszechnie akceptowane wśród robiących zakupy Anglików z wszystkich klas. Jest to jeden z bardzo niewielu wyjątków od reguły „pieniądze to temat tabu”. Pojęcie „okazji”, to, czy coś jest tanie, czy warte swojej ceny, może się różnić w zależności od klasy i poziomu dochodów, ale zasada jest jedna: nieważne, ile wydałeś; jeśli to możliwe, powinieneś twierdzić, że w jakiś sposób na tym oszczędziłeś.

Opcje przeprosin i narzekania

Gdy nie można się pochwalić oszczędnością - gdy nie da się ukryć, że zapłaciliśmy pełną cenę za coś niezaprzecalnie kosztownego - najlepiej po prostu siedźmy cicho. Bo jeśli nie, mamy dwie opcje, obie bardzo angielskie: przeprosić albo narzekać. Możemy przeprosić za swoją wprawiającą w zakłopotanie rozrzutność („Ach, wiem, nie powinnam była, to było strasznie drogie, po prostu nie mogłam się powstrzymać, jestem okropna...”) albo możemy trochę pojęć i ponarzekać na horrendalne ceny („To absurd, nie wiem, jak im coś takiego

uchodzi na sucho, ceny z sufitu, zdzierstwo...”).

Obu tych opcji czasem używa się, żeby się pochwalić, choć nie wprost, subtelnie zmanifestować, na ile nas stać, unikając czegoś tak wulgarnego jak otwarty pokaz bogactwa. I obie mogą także stanowić formę „uprzejmego egalitaryzmu”; nawet bardzo bogaci ludzie często udają zakłopotaną skruchę lub oburzenie na cenę drogich rzeczy, które kupili (choć tak naprawdę mogą sobie swobodnie na nie pozwolić), żeby nie zwracać czyjejs uwagi na różnice w dochodach. Zakupy, jak każdy inny aspekt życia Anglików, pełne są drobnych przejawów kurtuazyjnej hipokryzji.

Wyjątek *blingbling*

Istnieje jeden ważny wyjątek od zasady „oszczędne zakupy” i związanych z nią opcji przeprosin i narzekania. Młodzi ludzie, pozostający pod wpływem kultury hip-hopu/*gangsta*/rapu, stworzonych przez czarnych Amerykanów (obecnie spora subkultura młodzieżowa w naszym kraju), przyjęli styl, który wymaga świadomej ostentacyjnej demonstracji bogactwa. Polega to na tym, że nosi się drogie markowe ubrania i krzykliwą złotą biżuterię (wizerunek znany jako *blingbling*), pije drogiego szampana (Cristal) i koniak, jeździ drogimi autami - i bynajmniej nie okazuje żadnego zakłopotania całą tą ekstrawagancją; a nawet się nią szczyci.

Nawet ci, których nie stać na szampana i samochody (czyli większość, bo ten styl jest szczególnie popularny wśród niezbyt zamożnych nastolatków), zrobią wszystko, żeby zdobyć przynajmniej kilka sztuk stosownych markowych ubrań, i będą się chwalić każdemu, kto zechce słuchać, ile kosztowały. Kultura *blingbling* nie tyle jest wyjątkiem, co świadomym wyzwaniem dla zasad angielskości głównego nurtu; jest wystawieniem dwóch mocno upierścienionych palców w kierunku wszystkich niepisanych kodów skromności, powściągliwości, rezerwy, uprzejmego egalitaryzmu i ogólnej hipokryzji. Na swój własny sposób jest dowodem trwającej ważności tych kodów - potwierdzeniem przez zaprzeczenie, można by rzec.

Subkultury młodzieżowe pojawiają się i znikają, dlatego też ten konkretny ich przykład może już być *passé* w chwili, gdy będziecie to czytać. Następnym razem młodzież może czepić się jakiegoś innego aspektu angielskości głównego nurtu, żeby się przeciw niemu zbuntować.

Klasa społeczna a zakupy

Zasada „oszczędne zakupy” dotyczy wszystkich klas społecznych i nawet wyjątek *blingbling* nie jest przypisany do konkretnej klasy; styl ten trafia do młodych ludzi ze wszystkich środowisk społecznych, w tym niektórych chłopców z klasy wyższej z

ekskluzywnych szkół prywatnych, którzy nie mają chyba pojęcia, jak głupio wyglądają, starając się ubierać jak sutenerzy i chodzić i mówić jak twardzi czarni *gangstas* z amerykańskiego getta w ubogiej dzielnicy śródmieścia.

Jednakże pozostałe aspekty robienia zakupów są głęboko uwikłane w meandry angielskiego systemu klasowego. Jak można się spodziewać, głównym wskaźnikiem klasy jest miejsce, w którym się kupuje. Nie jest to jednak takie oczywiste, że klasy wyższe kupują w sklepach droższych, a niższe w tańszych. Na przykład wyższa warstwa klasy średniej poluje na okazje w sklepach z rzeczami używanymi, w których członkowie niższej warstwy klasy średniej i klasy robotniczej pokazałyby się tylko „po swoim trupie”. Średnia i wyższa warstwa klasy średniej niechętnie kupowałyby natomiast żywność w ulubionych przez klasę robotniczą tanich supermarketach, których same nazwy sugerują troskę o ceny. Oni robią swoje zakupy w marketach klasy średniej, jak Sainsbury's i Tesco, lub wyższej warstwy klasy średniej, jak Waitrose.

Oczywiście, nikt się nie przyzna, że wybiera jakiś supermarket dla jego statusu klasowego. Nie; kupujemy w supermarketach klasy średniej z powodu lepszej jakości jedzenia i większego wyboru warzyw ekologicznych i egzotycznych, nawet jeśli do koszyka wrzucamy produkty dokładnie tych samych wszechobecnych firm, co klienci z klasy robotniczej w tańszym supermarkecie. Możemy nie mieć pojęcia, co się robi z *pak choi* lub jak jeść ekologiczny seler, ale lubimy mieć świadomość, że coś takiego jest na półce, gdy my przechodzimy obok z opakowaniem płatków kukurydzianych Kellog's i szamponem Head & Shoulders.

Test sklepu Marks & Spencer

Jeśli ktoś chce się zorientować w zawiłościach wskaźników klasowych w kwestii zakupów, niech spędzi trochę czasu na obserwacji i rozmowach z klientami sklepów sieci Marks & Spencer. W tym bardzo angielskim, jednym z najbardziej uczęszczanych sklepów, w każdej alejce potykamy się o niewidzialne bariery klasowe. M&S jest to dom towarowy sprzedający odzież, obuwie, meble, pościel, kosmetyki upiększające, mydło, itd. - jak również artykuły spożywcze - a wszystko pod swoim własnym znakiem handlowym.

Wyższa warstwa klasy średniej kupuje jedzenie w bardzo drogich, ale wysokiej jakości działach spożywczych M&S, chętnie kupi też firmowaną przez M&S bieliznę, a może i od czasu do czasu jakiś prosty, podstawowy artykuł jak np. Tshirt, ale przeważnie nie kupuje tam żadnych innych ubrań (najwyżej dla dzieci - choć na pewno nic ze wzorkiem, bo to by był dowód, że rzecz pochodzi z M&S). Członkowie tej klasy nigdy nie kupiliby w M&S na przykład sukienki wizytowej, i są bardzo wrażliwi na punkcie kupowania tam butów,

niezależnie od ich świetnej jakości. Kupują ręczniki i bieliznę pościelową ze znakiem M&S, ale nie sofę, zasłony czy poduszki.

Średnia warstwa klasy średniej także kupuje w M&S jedzenie, choć ci, którzy muszą bardziej ścisnąć portfele, nie zrobią tam całych swoich tygodniowych zakupów. Będą narzekać (między sobą, nie przed personelem M&S) na wysokie ceny jedzenia, ale powiedzą sobie, że warto, bo jest dobrej jakości, a płatki kukurydziane i papier toaletowy kupią w Sainsbury's. Kupują o wiele więcej ubrań w M&S niż wyższa warstwa klasy średniej, w tym rzeczy we wzorki i desenie, i nie mają nic przeciw nabyciu sofy, poduszki czy zasłon ze znakiem M&S. Jednak ich nastoletnie dzieci zwykle patrzą z góry na ubrania z tą metką, nie z przyczyn klasowych, ale ponieważ wolą bardziej młodzieżowe, modne sklepy.

Niższa warstwa klasy średniej i niektórzy członkowie wyższej warstwy klasy robotniczej z ciągłymi do awansu społecznego kupują żywność w M&S, ale tylko przy specjalnej okazji - dla niektórych, zwłaszcza tych z małymi dziećmi, gotowe danie z M&S jest czymś w rodzaju wyjścia do restauracji, czymś, co mogą potraktować jako ekstrawagancję, może raz na tydzień. Nie stać ich, żeby kupować tam jedzenie stale, i wszystkich, którzy to robią, uważają za rozrzutnych, całkiem też możliwe, że za zarozumiałych. „Moja bratowa kupuje wszystkie warzywa, płyn do mycia naczyń i w ogóle, u Marksa, głupia krowa - zwierzyła mi się kobieta w średnim wieku, z pogardliwym, pełnym dezaprobaty prychnięciem. - Popisuje się po prostu - myśli, że jest lepsza od nas”. Z drugiej strony, przyzwyczajeni, oszczędni obywatele z niższej warstwy klasy średniej uważają, że ubrania z M&S są „warte swojej ceny”: „Jasne, że nie są tanie, ale dobrej jakości”. Niektórzy członkowie tej grupy to samo sądzą w odniesieniu do poduszek, kołder i ręczników, podczas gdy inni postrzegają je jako „bardzo ładne, ale trochę zbyt drogie”.

Jeśli chcesz szybko ocenić klasę społeczną Angielki na zakupach, nie pytaj o pochodzenie jej rodziny, dochód, zawód czy cenę domu (wszystko to tak czy inaczej byłoby nieuprzejme); zapytaj ją, co kupuje, a czego nie, u Marksa i Spencera. Mówię „ją”, ponieważ ten test wyjdzie wiarygodnie tylko w wypadku kobiet; mężczyźni często są błogo nieświadomi tej zionącej społecznej przepaści między majtkami z M&S a wzorzystą sukienką tej samej marki.

Zwierzęta domowe i związana z nimi etykieta

Trzymanie w domu zwierząt jest dla Anglików nie tyle zajęciem rozrywkowym, co sposobem na życie. Nawiasem mówiąc, „trzymanie zwierząt” jest wyrażeniem niedokładnym i nieadekwatnym - nawet w przybliżeniu nie oddaje wywindowanego statusu naszych zwierząt. Być może dom Anglika to jego twierdza, ale to jego pies jest w niej prawdziwym

władcą. Ludzie w innych krajach kupują swoim ulubieńcom luksusowe pięciogwiazdkowe budy i wyłożone jedwabiem koszyki; Anglicy pozwalają im objąć w posiadanie cały dom. Niepisane zasady dopuszczają, aby nasze psy i koty rozwalają się na wszystkich sofach i fotelach i zawsze zagarniały najlepsze miejsca przed kominkiem czy telewizorem. Otrzymują o wiele więcej uwagi, uczucia, uznania i naszego cennego czasu niż dzieci (a często i lepsze jedzenie). Wyobraźcie sobie straszliwie rozpuszczone, uwielbiane przez rodzinę włoskie *bambino*, a zorientujecie się mniej więcej w statusie przeciętnego angielskiego domowego zwierzątka. RSPCA (Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt) założono na długo przed powstaniem NSPCC (Krajowego Stowarzyszenia Przeciwdziałania Okrucieństwu wobec Dzieci), które powstało najwyraźniej jako coś drugorzędne i wtórne.

Dlaczego tak jest? O co chodzi z tymi zwierzątkami? Owszem, w wielu innych krajach ludzie mają zwierzęta domowe i niektórzy, zwłaszcza nasi kolonialni potomkowie, mają podobnego bzika na ich punkcie jak my, ale jednak zwariowana miłość Anglików do zwierząt jest jedną z głównych cech, z których jesteśmy znani, i cecha ta dla wielu cudzoziemców jest niezrozumiała. Może tylko Amerykanie prześcigają nas w wylewnym sentymentalizmie i rozrzutnych wydatkach na swoich pupili - weźmy te wszystkie tandetne filmy wyciskacze łez, wyszukane cmentarze dla zwierząt, luksusowe zabawki i pieski ubrane w groteskowe markowe ubranka. Ale Amerykanie zawsze nas biją na głowę w sentymentalizmie i rozrzutności na pokaz.

Stosunek Anglików do zwierząt jest inny. Nasze zwierzątka są czymś więcej niż probierzem statusu (choć temu także służą) i nasza sympatia do nich wykracza daleko poza sentymentalizm. Często mówi się, że traktujemy je jak ludzi, ale to nieprawda. Czy ten, kto tak mówi, *widział*, jak traktujemy ludzi? Nie moglibyśmy być tak zimni i nieżyczliwi w stosunku do zwierzęcia. No dobrze, przesadzam - troszeczkę. Ale faktem jest, że zazwyczaj jesteśmy o wiele bardziej otwarci, swobodni, komunikatywni i wylewni w naszych stosunkach ze zwierzętami niż ze sobą nawzajem.

Przeciętny Anglik gorliwie unika stosunków towarzyskich z innymi ludźmi, a gdy musi się z nimi kontaktować, na ogół staje się albo niezręczny, albo agresywny, chyba że ma pod ręką pewne rekwizyty i „protezy”, które to ułatwiają. Nie będzie jednak miał żadnego problemu z nawiązaniem żywej przyjacielskiej konwersacji z psem. Nawet psem nieznanym, któremu nie został przedstawiony. Jego powitanie będzie wylewne, bez śladu tradycyjnie sztywnego skrępowania: „Cześć, piesku! - wykrzyknie. - Jak się nazywasz? Skąd się tu wzięłeś? Chcesz kawałek kanapki? Mmm, dobra, nie? Chodź, wskakuj i usiądź sobie tu

koło mnie, jest mnóstwo miejsca!”.

Bo widzicie, Anglicy naprawdę są zdolni do latynoskośródziemnomorskiego ciepła, entuzjazmu i gościnności; potrafimy być tak samo bezpośredni, przystępni, emocjonalni i otwarci na bodźce zmysłowe jak każda inna z tak zwanych kultur kontaktowych. Tylko że te cechy uwidoczniają się konsekwentnie tylko w naszych kontaktach ze zwierzętami. I w odróżnieniu od naszych rodaków, zwierzęta nie są skrępowane czy speszzone tą nieangielską demonstracją emocji. Nic dziwnego, że są dla Anglików tak ważne: bez nich wielu z nas nie wiedziałoby, co to otwarty, emocjonalny kontakt z inną istotą rozumną.

Pewna spotkana przeze mnie Amerykanka wycierpiała tydzień jako gość w typowym angielskim domu, w którym rządziły dwa wielkie, niesforne i chronicznie nieposłuszne psy. Ich nieudolni właściciele gadali do nich non stop, był to niemal strumień świadomości, spełniali wszystkie ich zachcianki i z czułością śmiali się z ich przewinień. Amerykanka skarżyła mi się, że stosunek tych właścicieli do ich psów był „nienormalny”, „niezdrowy” i „dysfunkcyjny”. „Nie, to nie tak - wyjaśniłam. - To jest prawdopodobnie ich jedyna normalna, zdrowa, niezaburzona relacja”. Ta Amerykanka wyczuła ważną zasadę angielskiej etykiety odnoszącej się do zwierząt - tę, która absolutnie zabrania krytyki czyichś pupili. Bez względu na to, jak okropnie zachowuje się koszmarny, zjadający ci but, kopulujący z twoją nogą pies gospodarzy, nie wolno ci powiedzieć na bydlę złego słowa. To by była gafa gorsza niż krytykowanie ich dzieci.

Wolno nam się skarżyć na nasze własne zwierzaki, ale należy to robić tonem czułym i pobłażliwym: „On jest taki niegrzeczny - już trzecią parę butów zniszczył w tym miesiącu, a niech mnie!”. W tych narzekaniach pod hasłem „czyż to nie mała paskuda?” jest niemalże nuta dumy, jakbyśmy byli skrycie, przewrotnie wręcz oczarowani wadami naszych pupili. A często nawet zaczynamy się licytować co do występków naszych zwierzaków. Niedawno na jakimś przyjęciu słuchałam, jak dwaj właściciele labradorów usiłowali się nawzajem zakasować historyjkami o tym, co ich psy zjadły lub zniszczyły. „Nie tylko buty i zwykłe rzeczy, mój zjadał telefony komórkowe”. „A mój pogryzł na drobne kawałeczki cały zestaw hifi!”. „Mój mi zeżarł volvo!” (Jak przebić coś takiego, zastanawiałam się: Mój zjadł helikopter? A mój statek „Queen Elizabeth II”?).

Jestem przekonana, że Anglicy czerpią wielką przyjemność „zastępczą” z nieposkromionego zachowania naszych pupili. Dajemy im całą swobodę, na którą nie pozwalamy sobie samym: najbardziej powściągliwi i zahamowani ludzie na ziemi mają najbardziej niesforne, niedyscyplinowane i źle wychowane zwierzaki. Są one naszymi alter ego, a może nawet symbolicznym wcieleniem, jakby to ujęli psychoterapeuci, naszego

„wewnętrznego dziecka” (ale nie takiego, jakie oni zwykle mają na myśli, o wielkich smutnych oczach, które pragnie, by je przytulić - tylko zarozumiałego, umorusanego, paskudnego wewnętrznego bachora, który aż się prosi o porządnego klapsa). Nasze zwierzęta uosabiają naszą dziką stronę; przez nie możemy wyrazić nasze najbardziej nieangielskie skłonności, możemy łamać zasady, nawet jeśli tylko per procura.

Niepisane prawo stwierdza, że nasze zwierzęce alter ego/wewnętrzne bachory to swoiste święte krowy. Jeśli angielski pies cię ugryzie, to na pewno musiałeś go sprowokować; a nawet jeśli wyraźnie nie było powodu do ataku, jeśli zwierzę powzięło po prostu do ciebie nagłą irracjonalną antypatię, właściciele nie będą mieli wątpliwości, że to w tobie musi być coś podejrzanego. Anglicy głęboko wierzą, że ich psy (a także koty, świnki morskie, papugi, kucyki itd.) potrafią świetnie ocenić charakter człowieka. Gdy nasz ulubieniec uprzedzi się do kogoś, nawet jeśli my nie mamy żadnego powodu, żeby nie lubić tej osoby, wierzymy nieprzeciętnemu instynktowi zwierzaka i stajemy się nieufni i podejrzliwi. Jeśli ktoś nie życzy sobie, żeby skakały po nim, wspinały się na niego, drapały i ogólnie tarnosiły go angielskie zwierzaki, które „chcą się tylko pobawić”, najwyraźniej jest z nim coś nie tak.

Choć nasze zwierzęta spełniają ważną rolę terapeutyczną jako substytut relacji emocjonalnych z istotami ludzkimi, to, że lepiej dogadujemy się z nimi niż z innymi ludźmi, czasem korzystnie przenosi się na nasze relacje z tymi ostatnimi. Może się nawet zdarzyć, że nawiążemy rozmowę z nieznanym, jeśli on albo my jesteśmy w towarzystwie psa, choć trzeba przyznać, że obie strony są bardziej skłonne mówić do psiej przyzwoitki niż zwracać się wprost do siebie nawzajem. Sygnały niewerbalne jak i werbalne są wymieniane za pośrednictwem niczego nieświadomego psa, który z zadowoleniem przyjmuje na siebie cały kontakt wzrokowy i życzliwy dotyk, które byłyby uważane za zbyt aroganckie i natrętne przez ludzi, którzy dopiero się poznali. Zwierzaki mogą także działać jako mediatorzy i pośrednicy nawet w starych związkach. Angielskie pary małżeńskie, które mają problemy z wzajemnym wyrażaniem uczuć, często komunikują się przez swoje zwierzaki. „Mamuśka wygląda na wkurzoną, prawda, Patch? Wygląda, wygląda. Myślisz, że jest na nas zła?”. „Patchuniu, Mamusia jest bajdzio, bajdzio zmęczona i wolałaby, żeby twój leniwy stary Tatuś ruszył się i trochę jej pomógł, zamiast siedzieć na tyłku i cały dzień czytać gazetę”.

Większość powyższych zasad tyczy się wszystkich klas społecznych, istnieją jednak pewne odmiany. Członkowie średniej i niższej warstwy klasy średniej, choć równie stuknięci na punkcie swoich zwierzątek jak pozostałe klasy, zwykle są nieco mniej tolerancyjni wobec brudu i bardziej przeczuleni na punkcie „niegrzecznego” zachowania niż ci na szczycie i dole drabiny społecznej. Ich pupile wcale niekoniecznie są lepiej wychowani, ale właściciele

bardziej gorliwie po nich sprzątają i są bardziej zakłopotani, gdy ich ulubieńcy pchają komuś nos w krocze lub próbują uprawiać seks z ich łydką.

Jednakże bardziej miarodajnym, niż stosunek do zwierząt, wskaźnikiem pochodzenia społecznego jest rodzaj i rasa zwierzęcia, które ma się w domu. Psy, na przykład, trzymają wszyscy, z tym, że wyższe warstwy społeczne preferują labradory, golden retrievery, spaniele King Charles i springer spaniele, warstwy niższe natomiast wybiorą raczej rottweilera, owczarka alzackiego, pudła, charta afgańskiego, chihuahua czy cockerspaniela.

Wśród klasy wyższej koty są mniej popularne, choć ci, którzy mieszkają w okazałych wiejskich rezydencjach, uważają je za przydatne w tępieniu myszy i szczurów. Dla kontrastu, przedstawiciele niższych warstw społecznych często trzymają myszy i szczury jako zwierzątka domowe, tak samo jak świnki morskie, chomiki i złote rybki. Niektórzy ze średniej warstwy klasy średniej i niższej warstwy klasy średniej z aspiracjami z wielką dumą hodują w ogrodowym stawie drogie egzotyczne ryby jak karp koi. Wyższa warstwa klasy średniej i klasa wyższa uważa to za *naff*. Konie ogólnie uważane są za zwierzęta *posh*; snobi często obierają sobie jazdę konną za hobby lub kupują swoim dzieciom kucyki, aby wkraść się w łaski „końskich” kręgów, do których aspirują. Jeśli do tego nie uda im się opanować odpowiedniego akcentu, stosownego słownictwa, manier i sposobu ubierania, nikogo nie nabiorą.

To, co się robi ze swoim zwierzątkiem, też może świadczyć o pochodzeniu społecznym. Ogólnie rzecz biorąc, tylko ludzie ze średniej warstwy klasy średniej i niższych chodzą na wystawy psów, wystawy kotów i na szkolenia, i tylko oni nalepią sobie naklejkę na tylnej szybie samochodu, deklarując swoją namiętność do konkretnej rasy psa lub ostrzegając innych kierowców, że ich auto może „przewozić kota medalistę”. Klasy wyższe uważają wystawianie psów i kotów za dość prostackie, ale już wystawianie koni i kuców jest w porządku. Nie ma w tym wszystkim żadnej logiki.

Średnia warstwa klasy średniej i warstwy niższe są też bardziej skłonne do ubierania swoich psów i kotów w kolorowe obróżki, kokardki i inne bzdurki - a jeśli zobaczycie psa z imieniem w cudzysłowie na obroży, jego właściciele prawie na pewno nie plasują się wyżej niż średnia warstwa klasy średniej. Psy wyższej warstwy klasy średniej i klasy wyższej zazwyczaj po prostu mają na sobie zwykłe obroże z brązowej skóry. Tylko pewien typ mężczyzny z kompleksami z klasy robotniczej pokazuje się z dużym, groźnym psem obronnym o agresywnym wyglądzie, w szerokiej, nabitej ćwiekami czarnej obroży.

Próżno oczekiwać, by angielscy właściciele psów przyznali, że ich zwierzę jest symbolem ich statusu społecznego albo że ich wybór psa ma jakikolwiek związek z klasą.

Będą się upierać, że lubią labradory (czy springer spaniele, czy inne) z powodu spokojnego usposobienia tej rasy. Jeśli chcecie ich zmusić, żeby ujawnili swoje ukryte lęki klasowe, albo po prostu lubicie komuś podokuczać, możecie przeprowadzić psi odpowiednik testu forda mondeo lub mercedesa; przybierzcie bardzo niewinną minę i powiedzcie właścicielowi labradora: „Och, wyobrażałam sobie pana raczej jako kogoś, kto lubi owczarki alzackie” (względnie pudle czy chihuahua).

Jeśli macie usposobienie bardziej życzliwe i przyjazne, zwróćcie uwagę, że najszybsza droga do serca Anglika, bez względu na jego przynależność klasową, wiedzie przez jego ulubione zwierzę. Zawsze chwalcie zwierzątka innych ludzi, a gdy zwracacie się bezpośrednio do naszych ulubieńców (co powinniście robić jak najczęściej), pamiętajcie, że zwracacie się do naszego wewnętrznego dziecka. Jeśli jako turyści chcecie zaprzyjaźnić się z tubylcami, spróbujcie nabyć lub wypożyczyć psa, który będzie działał jako klucz do konwersacji i przyzwoitka.

Protezy i podpórki - działania publiczne, towarzyskie

Jeśli nie ma się psa, trzeba znaleźć inny rodzaj przepustki do kontaktów towarzyskich. Tu wchodzimy w inny aspekt spędzania przez Anglików czasu wolnego, wspomniany na początku tego rozdziału: chodzi o publiczne/towarzyskie zajęcia i rozrywki - sporty, gry, puby, kluby i tak dalej. Wszystkie one wiążą się bezpośrednio z naszą drugą główną metodą radzenia sobie z ułomnością towarzyską. Jest to metoda pod tytułem „pomysłowe użycie protez i podpórek”.

Zasady gry

To nie przypadek, że prawie wszystkie najpopularniejsze sporty i gry znane dziś na całym świecie zrodziły się w Anglii. Stąd bierze początek piłka nożna, baseball, rugby i tenis, a nawet jeśli to nie my wynaleźliśmy jakiś sport czy grę, zazwyczaj pierwsi sporządzaliśmy dla niej oficjalny zestaw zasad (hokej, wyścigi konne, polo, pływanie, wiosłowanie, boks - a nawet narciarstwo!). A nie wspomniałam tu jeszcze o tych wszystkich trochę mniej typowo sportowych grach i rozrywkach, jak rzutki, bilard, karty, cribbage i kręgle. Nie zapominajmy też o polowaniu, strzelectwie i wędkarstwie. Nie stworzyliśmy i nie skodyfikowaliśmy oczywiście ich wszystkich, ale sporty i gry są powszechnie uznawane za zasadniczy element naszej kultury, naszego dziedzictwa, spuścizny - nie można mówić o angielskości, nie wspominając o grach i sportach.

Testosteron

Wielu badaczy angielskości próbowało wyjaśnić angielską obsesję na punkcie gier. Większość komentatorów stara się znaleźć uzasadnienie historyczne. Jeremy Paxman

zastanawia się, czy rozwój tej obsesji może mieć coś wspólnego z „poczuciem bezpieczeństwa, dobrobytem i dostępnością czasu wolnego”, a może „ponieważ wcześniej niż gdzie indziej w Europie odrzuciliśmy pojedynki, zaistniała potrzeba znalezienia wyzwań alternatywnych”. Hm, no cóż, być może. Bardziej zbliża się on do sedna, zauważając, że nasze wspańnięte szkoły męskie z internatem musiały „znaleźć sposoby na ćwiczenie mięczaków”. Ale to nazwałabym „cechą międzykulturową”, uzasadnionym powodem, dla którego we wszystkich społecznościach ludzkich rozwinęły się gry i sport, i wręcz jednym z powodów, dla których w każdej społeczności ludzkiej one funkcjonują. Wszędzie są młodzi mężczyźni, w których buzuje testosteron, i wszędzie tak sobie z nimi radzimy, że próbujemy skanalizować ich potencjalnie destrukcyjną agresję i inne groźne tendencje w stosunkowo nieszkodliwe sporty i gry.

A jednak uniwersalny problem z testosteronem sam w sobie nie wyjaśnia, dlaczego właśnie w Anglii rozkwitło tyle tych rozrywek, choć argumentowałabym, że młody Anglik płci męskiej, będąc zarówno skrupowany towarzysko, jak i „upośledzony hormonalnie”, być może o wiele bardziej potrzebuje takiego skanalizowania. A my, pozostali, też przecież potrzebujemy jakichś sposobów na przewyciężanie naszych towarzyskich zahamowań i ułomności. Prawdziwe przyczyny angielskiej miłości do gier najlepiej chyba wyjaśnia przykład z moich badań.

Metoda „protez i podpórek”

Znaczenie gier zaczęłam rozumieć podczas moich badań nad etykietą pubów. Podczas rozmów z turystami odkryłam, że w oczach cudzoziemców wiele angielskich pubów sprawia wrażenie bardziej placów zabaw dla dzieci niż miejsc, gdzie dorośli piją alkohol. Jeden Amerykanin wyraził zdumienie liczbą i różnorodnością gier w lokalnym pubie: „Popatrz tylko! Masz tu tarczę do rzutek, stół bilardowy, cztery różne gry planszowe, karty, domino i jakąś dziwną rzecz z pudełkiem i garścią patyczków - i jeszcze mi mówisz, że ten pub ma własną drużynę futbolową, drużynę krykieta i wieczory kwizów... To ma być bar? U nas coś takiego nazywa się przedszkolem!”. Na szczęście dla mnie, ten pogardliwy turysta zauważył tylko około tuzina typowych gier pubowych, a nie słyszał o mniej znanych regionalnych dziwactwach, jak Aunt Sally (celowanie w kukłę), rzucanie kaloszczami, trafianie monetami w rozrysowane na planszy pola, wymachiwanie uwiązany na linie węgorzem w celu strącenia zawodników stojących na odwróconych doniczkach, wymachiwanie uwiązany na linie kabaczkami w celu strącenia zawodników jak wyżej, którzy to zawodnicy mają przy tym na głowach plastikowe wiadra, czy też zapasy stóp. Inny równie zdumiony, choć trochę grzeczniejszy turysta zapytał: „Co jest z tymi Anglikami? Czemu musicie grać w te wszystkie

głupie gry? Czemu nie możecie po prostu pójść do baru, żeby się napić i porozmawiać jak cała reszta świata?”.

W książeczce na temat etykiety pubów wyjaśniłam, nieco defensywnie, że reszta świata nie jest aż tak towarzysko zahamowana i upośledzona jak Anglicy. Nie jest nam łatwo inicjować przyjazną rozmowę z nieznajomymi czy nawiązywać bliższe znajomości ze znajomymi z pubu. Potrzebujemy pomocy. Potrzebujemy *rekwizytów*. Potrzebujemy pretekstu, żeby nawiązać kontakt. Potrzebujemy zabawek, sportów i gier, za pomocą których możemy się do siebie zbliżyć.

To, co działa w mikrokosmosie pubu, działa również w całym angielskim społeczeństwie. A nawet bardziej. Skoro potrzeba nam gier i sportów, nawet w specyficznym mikroklimacie pubu, gdzie tradycyjne ograniczenia są niejako rozluźnione i gdzie wolno zacząć rozmowę z nieznajomym, jasne jest, że jeszcze większą potrzebę takich protez i podpórek odczuwamy poza tym towarzyskim kręgiem.

Samooszukiwanie się

Ale sporty i gry nie tylko dostarczają rekwizytów, których potrzebujemy, żeby zainicjować i podtrzymać kontakt towarzyski, one także narzucają charakter tych kontaktów. Nie jest to towarzyskość „chaotyczna”, ale zbrojna w zasady, rytuały, regulamin i etykietę, zarówno oficjalne, jak i nieoficjalne. Anglicy są w stanie wejść w kontakt towarzyski, potrzebują jednak jasnych i precyzyjnych wskazówek: co robić i co mówić, oraz kiedy i jak. Gry rytualizują nasze kontakty towarzyskie, porządkując je i nadając im krzepiącą strukturę. Skupiając się na szczegółach i rytuałach zasad gry, *możemy udawać, że chodzi o samą grę, a kontakt towarzyski jest tylko jej przypadkowym skutkiem ubocznym.*

Naprawdę jest odwrotnie: gry są środkiem do celu, a celem jest ten rodzaj kontaktów towarzyskich i tworzenia więzi, które w innych krajach ludzie wydają się osiągać bez całego tego zamieszania, forteli i iluzji. Anglicy *są* ludźmi; jesteśmy istotami społecznymi tak jak wszyscy inni, ale musimy podstępem zmuszać samych siebie do kontaktów towarzyskich, kamuflując je i nadając im formę, na przykład gier, takich jak piłka nożna, krykiet, tenis, rugby, rzutki, bilard, domino, karty, scrabble, szarady, rzucanie kaloszami czy zapasy stóp.

Etykieta gier

Każda z tych gier ma swoje zasady - nie tylko oficjalne zasady samej gry (które zgodnie z gustem Anglików powinny być jak najbardziej skomplikowane), ale również zawiły zestaw nieoficjalnych, niepisanych zasad regulujących zachowanie i kontakty towarzyskie graczy i widzów. I znowu, dobrym przykładem są tu gry w pubach. Nawet w tym towarzyskim mikroklimacie, z powodu naszej naturalnej nieśmiałości i niechęci do wtrącania

się w sprawy innych, czujemy się swobodniej, gdy istnieją ustalone „zasady pierwszego kontaktu”, których można przestrzegać. Znajomość etykiety, właściwych form grzecznościowych, daje nam odwagę do działania. Nawet jeśli odczuwamy brak towarzystwa, raczej nie podejmiemy do nieznanego, który siedzi przy stoliku nad piwem, sam czy z kolegami, ale jeśli grają oni w bilard czy rzutki, nie tylko mamy dobry pretekst, żeby podejść, ale dodatkowo musimy trzymać się ustalonej formuły, co dodaje nam pewności siebie.

W wypadku różnych odmian bilardu formuła jest prosta. Podchodzi się do gracza i pyta: „Zwycięzca zostaje w grze?”. Ten tradycyjny wstęp jest zarówno pytaniem o lokalne zasady co do kolejności (które mogą być różne w różnych regionach, a nawet w różnych pubach), jak i zaproszeniem do gry ze zwycięzcą ostatniej partii. Odpowiedź może brzmieć: „Tak, monety na stół” albo „Zgadza się, nazwisko na tablicy”. Jest to zarówno przyjęcie twojego zaproszenia, jak i pouczenie o systemie danego pubu, jak zaklepać sobie miejsce przy stole i co można zrobić albo przez położenie monet na kancie stołu, albo napisanie swojego nazwiska kredą na specjalnej tablicy. Tak czy inaczej, rozumie się, że zapłacisz za grę, więc nie ma potrzeby kłopotliwego łamania tabu rozmów o pieniądzu. Jeśli odpowiedź na twoje pierwsze pytanie brzmi po prostu: „Tak”, możesz zapytać: „Monety na stół?” lub „Nazwisko na tablicy?”.

Dopełniwszy stosownych wstępów, możesz teraz stanąć z boku i obserwować bieżącą grę, stopniowo włączając się w przekomarzanki podczas oczekiwania na swoją kolej. Najwłaściwszym sposobem inicjowania rozmowy są dalsze pytania o zasady. Zwykle zaczynamy równie bezosobowo, na przykład: „Dwa strzały na czarną?” lub „Konkretna kieszeń czy dowolna?”, nie używając czegoś tak poufalego jak zaimki osobowe. Gdy już zaakceptują cię jako zawodnika, niepisana etykieta pozwoli ci także robić odpowiednie uwagi na temat gry. A właściwie istnieje tylko jeden całkowicie bezpieczny i stosowny komentarz, jaki możesz zrobić, zwłaszcza wśród graczy mężczyźni, czyli słowo *shot* [dosłownie „uderzenie”] - gdy gracz uderzy wyjątkowo dobrze. Być może tytułem rekompensaty to jedno słowo wymawiane jest w przewlekły sposób, jakby miało przynajmniej dwie sylaby, *shoot*. Inni gracze mogą sobie dokuczać i drwić z siebie wzajemnie po złych uderzeniach, ale nowo przybyli mądrze odwołują uwagi krytyczne, aż poznają się bliżej.

Różnica płci i „zasada trzech emocji”

Istnieją pewne różnice, jeśli chodzi o płęć, w kodeksach normujących zachowanie podczas gier w pubie, ale i podczas wielu innych sportów i gier rozgrywanych w innych miejscach i sytuacjach. Z grubsza rzecz biorąc, od mężczyźni oczekuje się, że (zarówno zawodnicy, jak i widzowie) przyjmą silne, nieemocjonalne, męskie podejście do gry. Nie

wypada podskakiwać i wykrzykiwać, komentując szczęście lub umiejętności własne lub innego gracza. Na przykład w wypadku rzutek dozwolone jest przeklinanie przy własnym błędzie i robienie sarkastycznych komentarzy na temat błędów innych graczy, ale klaskanie w dłonie z radości po zdobyciu podwójnej dwudziestki czy przesadny śmiech po nietrafieniu w tarczę są uważane za „dziewczęce” i niewłaściwe.

Ma tu zastosowanie tradycyjna zasada „trzech emocji”. Angielskim mężczyznom wolno wyrażać trzy emocje: zaskoczenie, ale tylko krzykiem lub przekleństwami, gniew, też jakąś stosowną wiązką, i radość/triumf - w ten sam sposób. Dla niewprawnego oka i ucha rozróżnienie między tymi trzema dozwolonymi emocjami może być trudne, ale Anglicy nie mają problemów z chwytniem tych niuansów. Kobietom kibicującym i biorącym udział w grze pozwala się na o wiele szersze spektrum emocji i o wiele bardziej rozbudowane słownictwo, którym mogą je wyrażać. To chyba częste zjawisko - w pewnych sytuacjach od jednej płci oczekuje się, że będzie „bardziej angielska” niż druga. Tutaj mężczyźni podlegają większej liczbie restrykcji niż kobiety, ale w innych kontekstach - jak na przykład prawienie i przyjmowanie komplementów - niepisane zasady bardziej ograniczają zachowanie kobiet. Być może bilans wychodzi na zero, mam jednak podejrzenie, że ogólnie rzecz biorąc, zasady angielskości są ciut bardziej surowe dla mężczyzn niż dla kobiet.

Fair play

Jak widzimy, troska Anglików o fair play leży u podstaw prawie wszystkich przejawów naszego życia i kultury, a w kontekście sportu i gier, fair play jest wciąż - mimo krakania tych, którzy wieszczą nam zagładę - ideałem, którego kurczowo się trzymamy, nawet jeśli nie zawsze udaje nam się mu sprostać.

Na wyżynach krajowych i międzynarodowych sport stał się dla Anglików, jak i dla wszystkich innych narodów, biznesem dość bezwzględny i wygląda na to, że w centrum zainteresowania są bardziej wygrane i wyczyny poszczególnych supergwiazd, „osobowości” (to słowo to naprawdę nieporozumienie), niż wzniosłe pojęcia, jak duch współpracy w drużynie i sportowe zachowanie. To znaczy, tak jest do chwili, gdy pojawia się jakieś oskarżenie o oszustwo, niesprawiedliwość, chamstwo lub zachowanie niesportowe, na co wszyscy gotujemy się z oburzenia lub skręcamy ze wstydu i zażenowania, i mówimy do siebie, że ten kraj schodzi na psy. Reakcje te sugerują, że etyka sportowa, której wynalezienie często przypisuje się Anglikom, jest dla nas wciąż bardzo ważna.

W książce *Anyone for England*, jednym z wielu przedwczesnych nekrologów angielskiej tożsamości, Clive Aslet lamentuje nad zanikiem wszystkich tych dżentelmeńskich ideałów, twierdząc, że nawet krykiet, „gra będąca synonimem ideału sportowego, zmieniła się

nie do poznania, jeśli chodzi o ducha, w jakim jest rozgrywana”. Ale poza dość niestosowną kłótnią między Ianem Bothamem i Imranem Khanem w 1996 roku, najgorszym grzechem, o jaki Aslet oskarża angielską drużynę, jest ten, że gracze „nie wysilają się specjalnie, by kultywować dżentelmeński image przez swój strój”. Protestuje przeciw baseballowym czapkom, kilkudniowemu zarostowi, Tshirtom i szortom, które mają na sobie krykieści, w danej chwili niebiorący udziału w grze. Mówi o „niedżentelmeńskiej taktyce” graczy reprezentacji narodowej, nie dając żadnych przykładów, a potem jest „zaszokowany, dowiadując się od grających w krykieta znajomych”, że owa taktyka przyjęła się już nawet na poziomie rozgrywek krykieta wiejskiego. Podczas międzynarodowych meczów w telewizji czasem widać groźne „barwy wojenne” i hełmy; wybijający piłkę zawodnicy przeciwnej drużyny już *nie zawsze* dostają brawa, jeśli jest to ich ostatni mecz; a w roku 1996 drużyna Woodmancote z Hampshire została usunięta z krajowego turnieju pucharowego wiejskich rozgrywek krykieta za „zbyt ni profesjonalizm”. Pierwsze dwa przykłady nie wydają mi się szczególnie szokujące, a trzeci wydaje się wskazywać na to, że wręcz przeciwnie, stare zasady amatorstwa i fair play są bardzo żywe i mają się dobrze w krykiecie wiejskim.

Sam Aslet przyznaje, że ludzie opłakują śmierć etyki sportowej od co najmniej stu lat - szczerze mówiąc, nekrologi zaczęły się pojawiać prawie natychmiast, gdy ludzie epoki wiktoriańskiej wynaleźli dżentelmeński „ideał sportowy”. Anglicy mają to do siebie, że wynajdują „tradycje” znikąd, żeby dopasować się do ducha czasu, po czym niemal od razu zaczynają się nad nimi smętnie rozrzewniać, jakby były fundamentalną, a teraz tragicznie wymierającą częścią naszego dziedzictwa kulturowego.

To naprowadza mnie na temat futbolu oraz, oczywiście, zgubnych skutków współczesnego futbolowego chuligaństwa. Przemoc pseudokibiców zawsze wyciągają jako główny dowód rzeczowy ci, którzy narzekają, że kraj schodzi na psy, że jesteśmy narodem chamów, że sport już nie jest taki jak kiedyś i tak dalej. Co prawda, ci narzekający stanowią całkiem spory procent społeczeństwa, ale jest to dowód na naszą Kłapowską słabość do malkontenctwa i narodowego samobiczowania się, a nie na zasadność naszych narzekań.

Ci, co lamentują i zrzędzą, nie rozumieją, że przemoc w futbolu nie jest niczym nowym. Znacie ten stary dowcip, „Poszedłem na bójkę, a wybuchł mecz”? Mniej więcej właśnie w ten sposób zaczął się futbol. Gra w piłkę nożną kojarzy się z agresją od samych swoich początków w trzynastowiecznej Anglii. Średniowieczne mecze były zasadniczo zażartymi bojami między młodzieńcami z rywalizujących miast i wiosek. Brały w nich udział setki „zawodników” i często były one wykorzystywane jako okazje do załatwiania starych kłótni, osobistych sprzeczek i sporów o ziemię. Niektóre formy „ludowego futbolu” istniały

też w innych krajach (jak na przykład niemieckie *Knappen* i florenckie *calcio in costume*), ale korzenie współczesnego futbolu tkwią w tych agresywnych rytuałach angielskich.

Wiktoriańskie prezentowały już o wiele bardziej powściągliwą, zdyscyplinowaną formę gry, jaką znamy obecnie, ale agresja i rywalizacja utrzymywały się, zwłaszcza wśród widzów, na trybunach i w miastach. Jedynie dwa krótkie okresy w historii Anglii - lata międzywojenne oraz około dziesięciu lat po drugiej wojnie światowej - były stosunkowo wolne od przemocy w piłce nożnej. Z historycznego punktu widzenia okresy te są raczej wyjątkiem niż regułą. Przykro mi więc, ale nie mogę się zgodzić, że współczesne chuligaństwo futbolowe jest dowodem na upadek sportowych manier i wartości w ostatnich latach.

W każdym razie nie chcę się tu zajmować całym zestawem zasad dżentelmeńskich epoki wiktoriańskiej, tylko podstawowym pojęciem fair play, które niekoniecznie jest niekompatybilne z chęcią wygrania, nieeleganckim strojem, zyskiem finansowym i komercyjnym sponsoringiem - czy, jeśli już o tym mówimy, z przemocą. Mój kolega Peter Marsh (między innymi) wykazał, że agresja ludzka - w tym specyficznie angielska agresja pseudokibiców - nie jest chaotyczną wolnoamerykanką, ale sprawą regulowaną zasadami, gdzie często istotny może być wzgląd na fair play. Agresja futbolowa nie jest ani tak powszechna, ani nawet tak brutalna, za jaką uchodzi. Jest tam wiele agresywnego skandowania i szyderstw, trochę zastraszających demonstracji, gróźb i szamotaniny, ale poważna przemoc fizyczna zdarza się właściwie stosunkowo rzadko. Celem chuliganów jest na tyle zastraszyć kibiców drużyny przeciwnej, żeby zaczęli uciekać, a wtedy chodzi o to, by wyszydzić ich tchórzostwo, a nie sprać ich na kwaśne jabłko. Typowa futbolowa piosenka (na melodię popularnej piosenki *Seasons in the Sun*) streszcza credo chuligana:

*Wszyscy bardzo się cieszyli, gdyśmy Swindon pogonili,
Ale krótko radość trwała, bo za szybko banda zwiła!*

Nie próbuję tu wybielać czy bronić „kiboli”. Są hałaśliwi, wstrętnei, bez wychowania i często są rasistami. Mówię tylko, że mają swoje kodeksy zachowań i że fair play jest ważną częścią etykiety regulującej ich agresywne i brutalne spotkania.

Po stronie przegranych

W roku 1990 poseł Partii Konserwatywnej Norman Tebbit wywołał wielkie oburzenie w kraju, narzekając, że zbyt wielu brytyjskich imigrantów z Azji oblało coś, co nazwał „testem krykietowym” - nie kibicując Anglii, tylko Indiom czy Pakistanowi, gdy te kraje grały przeciwko Anglii w krykieta. Jego uwagi były wymierzone głównie w drugie pokolenie imigrantów z Azji lub Karaibów, których oskarżył o podwójną lojalność. Jego zdaniem powinni oni demonstrować swoją przynależność do narodu brytyjskiego, kibicując angielskiej

drużynie krykieta. „Gdy ludzie przyjeżdżają do nowego kraju, winni być przygotowani na kompletne i całkowite zanurzenie się w tym kraju” - oświadczył.

Rasizm, ignorancja i arogancja „testu Tebbita”, jak od tej pory się go nazywa, są porażające. Czy Tebbit sugerował, że azjatyccy imigranci w Wielkiej Brytanii powinni iść za świetlanym przykładem, którego dostarczyliśmy im, kolonizując ich kraje? I komu mieliby, jego zdaniem, kibicować angielscy osadnicy w Australii, gdy w ich przybranej ojczyźnie Anglia gra z Australią? A co z mieszkającymi w Anglii Szkotami i Walijczykami - kogo oni powinni dopingować? Czy Tebbit zdawał sobie sprawę, że Szkoci zawsze, z zasady, kibicują wszystkim krajom, które grają *przeciwko* Anglii? Tak samo zresztą, jak członkowie cynicznej angielskiej inteligencji, dla której każdy przejaw patriotyzmu, zwłaszcza w sporcie, jest głęboko prymitywny. Nie mówiąc już o wszystkich innych Anglikach, którzy po prostu uważają patriotyczny zapal za nieco żenujący i czuliby się głupio i niezręcznie, gdyby się ich zmuszało do kibicowania Anglii. Czy im wszystkim powinno się w takim razie odmówić pełnego obywatelstwa?

Ale nawet abstrahując od tych kwestii, „test Tebbita” i tak nie zdałby egzaminu jako sprawdzian angielskości. Ci, którzy są prawdziwie, kulturowo „angielscy” - niezależnie od swojej rasy czy kraju pochodzenia - charakteryzują się automatyczną, instynktowną skłonnością do kibicowania słabszemu. Wcale nie jestem pierwszą osobą, która to zauważyła; angielska tendencja, aby stanąć po stronie przegrywającego, jest jednym z tych stereotypów narodowych, do których postanowiłam dotrzeć w trakcie moich badań terenowych. Widziałam wiele przykładów, ale raz, podczas finału turnieju mężczyzn Wimbledon 2002, wydarzyło się coś, co utkwilo mi w pamięci i naprawdę pomogło zrozumieć głębię i złożoność zasady stosunku do słabszego zawodnika.

Entuzjaści tenisa podobno uznali ten mecz za dość nudny, jak na finał Wimbledonu, ale ja poszłam tam, aby obserwować widzów, nie zawodników, i okazało się to fascynujące. Mecz rozgrywał się między światowej sławy pierwszoligowym tenisistą z Australii Lleytonem Hewittem a praktycznie nieznanym Argentyńczykiem Davidem Nalbandianem, który nawet nigdy wcześniej nie grał w Wimbledonie. W rezultacie, jak można było łatwo przewidzieć, zwyciężył czempion australijski, który pokonał Nalbandiana 6:1, 6:3, 6:2.

Gdy mecz się zaczął, wszyscy angielscy widzowie dopingowali Nalbandiana, klaszcząc i krzycząc: „Dalej, David!” za każdym razem, gdy zdobył punkt czy nawet wykonał dobre uderzenie (czy jak to się tam nazywa w tenisie), Hewitt natomiast dostał tylko kilka symbolicznych, uprzejmych oklasków. Gdy zapytałam sąsiadów, dlaczego kibicują Argentyńczykowi - szczególnie, że Anglia i Argentyna specjalnie się nie kochają, a nawet nie

tak dawno byliśmy w stanie wojny - wyjaśnili, że nie jest ważna narodowość, że Nalbandian jest słabszy, raczej bez szans na wygraną, i dlatego w sposób oczywisty zasługuje na ich wsparcie. Wyglądało na to, że są zaskoczeni, że w ogóle zadają takie pytanie, a kilka osób nawet wytłumaczyło mi wyraźnie zasadę: „Zawsze kibicuje się słabszemu”; „Trzeba być po stronie tego, który przegrywa”. Ich ton sugerował, że powinnam to wiedzieć, że to fundamentalne prawo natury.

Dobra, pomyślałam, świetnie, kolejna „zasada angielskości” do mojego koszyczka. Przez chwilę jeszcze, zadowolona z siebie, obserwowałam kort i już zaczynałam się nudzić i myśleć, żeby się ulotnić w poszukiwaniu lodów, gdy stało się coś dziwnego. Hewitt zrobił coś wyjątkowo dobrego (nie pytajcie mnie co, nie znam się na tenisie) i ludzie dookoła mnie zaczęli krzyczeć i go oklaskiwać. „Co? - zapytałam. - Zaraz, zaraz. Myślałam, że kibicujecie Nalbandianowi, temu, który przegrywa? Czemu teraz nagle oklaskujecie Hewitta?”. Wyjaśnienia, jakie otrzymałam, były trochę mniej klarowne, ale w skrócie chodziło o to, że Hewitt jednak gra wyjątkowo dobrze i że przed chwilą wszyscy kibicowali Nalbandianowi, bo przegrywał, ale tym samym biedny Hewitt, mimo że grał wspaniale, nie dostawał żadnej zachęty ze strony tłumu, co było raczej nie fair, więc zrobiło im się go żal, był osamotniony, wszyscy dopingowali jego rywala, więc zaczęli kibicować jemu, żeby trochę przywrócić równowagę. Innymi słowy, Hewitt, ten silniejszy, w jakiś sposób stał się słabszym, tym, który zasługiwał na ich wsparcie.

Ale tylko na chwilę. Teraz już byłam czujna, wytrącona z mojego stanu samozadowolenia, i zwracałam baczną uwagę na zachowanie widzów, gdy więc doping dla Hewitta zmalał i widzowie zaczęli znowu z całej siły kibicować Nalbandianowi, miałam gotowe pytania: „A o co *teraz* chodzi? Dlaczego już nie kibicujecie Hewittowi? Czy już nie gra tak dobrze?”. Nie, okazało się, że grał nawet lepiej. I o to chodziło. Hewitt zmierzał teraz do łatwej wygranej. Nalbandian walczył, ale wiadomo było, że klęska będzie sromotna, że nie ma żadnych szans - więc oczywiście jedynym sprawiedliwym wyjściem było zaadresować do niego całą głośną zachętę i pochwały, a zwyciężającemu Hewittowi tylko uprzejmie poklaskać.

Tak więc, według logiki angielskiego fair play, zawsze trzeba popierać słabszego, ale zbyt wiele wsparcia dla słabszego może być nie fair w stosunku do lepszego, którego wówczas chwilowo traktuje się jak słabszego, wymagającego wsparcia, póki nie zostanie przywrócona równowaga albo póki prawdziwy słabszy nie zacznie wyraźnie zmierzać ku klęsce, kiedy to trzeba zacząć dopingować prawdziwego słabszego. Naprawdę proste. Gdy zna się reguły. Przynajmniej wtedy podczas Wimbledonu było to stosunkowo proste,

ponieważ nie było wątpliwości, kto przegrywa. Gdy nie rzuca się to w oczy, może być trudniej, bo Anglicy nie mogą się zdecydować, kto bardziej zasługuje na doping; mogą też pojawić się dalsze problemy, gdy przypadkiem wygrywa Anglik (lub ich drużyna), jako że fair play wymaga, by chociaż trochę wesprzeć przegrywających rywali.

Kibicom piłkarskim, największym patriotom wśród widzów sportowych, obce są obawy o fair play podczas rozgrywek międzynarodowych lub gdy gra lokalna drużyna, której kibicują, nawet jednak oni mogą czuć się w obowiązku, by dopingować słabszego, gdy nie mają wcześniejszych związków emocjonalnych z żadną z drużyn biorących udział w meczu, zwłaszcza jeśli drużyna silniejsza za bardzo przechwalała się swoimi sukcesami lub była zbyt pewna siebie co do wyniku meczu. Wielu Anglików uparcie kibicuje beznadziejnej, pozbawionej talentu, trzecioligowej drużynie podczas całej jej kariery, ani na chwilę nie przestając być jej wiernym, bez względu na to, jak źle ta drużyna wypada. Jest niepisana zasada, która mówi, że drużynę, której będzie się kibicować, wybiera się w bardzo młodym wieku, i raz na zawsze; nigdy nie przenosi się swojej sympatii na inną. Można doceniać czy nawet podziwiać umiejętności i talent giganta, jak Manchester United, ale drużyną, której się *kibicuje*, jest mimo wszystko Swindon lub Stockport, czy jakaś inna - w każdym razie ta, którą popiera się od dzieciństwa. Nie ma obowiązku bycia kibicem drużyny lokalnej; wielu młodych ludzi w całym kraju kibicuje Manchesterowi United, Chelsea czy Arsenalowi. Zasada jest taka, że jak już raz dokonano się wyboru, trzeba pozostać lojalnym; nie przenosimy sympatii z Manchesteru United na Arsenal tylko dlatego, że ci ostatni przypadkiem grają lepiej, czy z jakiegokolwiek innego powodu.

Inną angielską subkulturą, którą badałam przez trzy lata i o której napisałam książkę, są miłośnicy wyścigów konnych. Wyścigi właściwie bardziej niż piłka nożna zasługują na miano naszego „sportu narodowego”, nie w kategoriach liczby widzów, ale dlatego, że przyciągają o wiele bardziej reprezentatywną grupę społeczeństwa. Na wyścigach można zaobserwować jeszcze bardziej skrajne przykłady przestrzegania przez Anglików zasad fair play i wspierania słabszych - i właściwie angielskości w ogóle. Zachowanie Anglików na wyścigach jest odpowiednikiem pełnego stroju narodowego. Unikalny „mikroklimat społeczny” toru wyścigowego, charakteryzujący się połączeniem rozluźnionych (względnie) zahamowań i wyjątkowo dobrych manier, również wydaje się prowokować ujawnianie naszych najlepszych cech.

Odkryłam, że wyścigi dostarczają też dowodu na to, że, wbrew pozorom, jest całkowicie możliwe, by całe stada młodych mężczyzn zbierały się, piły wielkie ilości alkoholu i uprawiały hazard, z ekscytującą imprezą sportową w tle, bez wdawania się w bójki

i innych tego typu problemów. Ci sami młodzi mężczyźni, których agresja, wandalizm i ogólne złe zachowanie podczas meczów piłki nożnej i w centrach miast w sobotnie wieczory stały się już legendarne, na wyścigach nie tylko nie wykazują żadnej z tych paskudnych cech, ale wręcz przepraszają, gdy kogoś potrąca (a nawet, w prawdziwie angielskim stylu, gdy ktoś potrąci ich), i grzecznie otwierają drzwi kobietom.

W klubie

Istnieje pozorna sprzeczność, która zdumiewa wielu komentatorów, między silnym indywidualizmem Anglików oraz zamiłowaniem do tworzenia klubów i wstępowania do nich, między naszą obsesją na punkcie prywatności a naszą „klubowością”. Jeremy Paxman zauważa, że rzekomo wycofani, izolujący się, zakręcenii na punkcie prywatności Anglicy mają kluby poświęcone niemal wszystkim dziedzinom: „Są kluby wędkarskie, piłkarskie, karciane, układania kwiatów, hodowli gołębi, robienia dżemów, kolarskie, ornitologiczne, nawet wakacyjnowczasowe”. Nie będę nawet próbować sporządzać bardziej wyczerpującej listy, bo zajęłaby ona pół książki; podobnie jak każda angielska forma rozrywki ma poświęcony sobie co najmniej jeden periodyk, każda ma również klub, jeśli nie Narodowe Stowarzyszenie, z całą siecią Grup Regionalnych i filii. Zazwyczaj zresztą istnieją dwa rywalizujące ze sobą Narodowe Stowarzyszenia Czegoś, których poglądy na daną aktywność różnią się nieznacznie i które większość czasu z przyjemnością poświęcają na spory ideologiczne.

Cytując de Tocqueville’a, Paxman zastanawia się, jak „Anglikom udaje się być takimi indywidualistami, a jednocześnie tworzyć kluby i stowarzyszenia: jakim cudem duch zrzeszania się i duch izolacji może być tak wysoko rozwinięty w tym samym narodzie?”. Wygląda na to, że przyjmuje on pragmatyczne, ekonomiczne wyjaśnienie de Tocqueville’a, że z historycznego punktu widzenia Anglicy zawsze tworzyli stowarzyszenia, w celu zwarcia szyków, gdy nie mogli dostać, czego chcieli, wysiłkiem indywidualnym - i podkreśla także, że wstępowanie do klubów jest w dużym stopniu kwestią indywidualnego wyboru.

Powiedziałabym mu na to, że w klubach bardziej chodzi o potrzeby towarzyskie niż praktyczne czy ekonomiczne, ale zgadzam się, że sprawa wyboru jest ważna. Anglicy nie lubią towarzyskości chaotycznej, bezładnej, spontanicznej, „ulicznej”; nie jesteśmy w tym dobrzy i to nas krępuje. Wolimy spotykać się w sposób zorganizowany, uporządkowany, o określonych porach i w miejscu przez nas wybranym, na zasadach, o które możemy się spierać, z porządkiem dziennym, protokołem i comiesięcznym biuletynem. Przede wszystkim, jak w wypadku gier i sportów, mamy potrzebę udawać, że właściwym powodem spotkania jest działalność klubu czy stowarzyszenia (układanie kwiatów, teatr amatorski, działalność

charytatywna, hodowla królików, wszystko jedno co), a kontakty towarzyskie to tylko dodatek, skutek uboczny.

Znowu to samooszukiwanie się. Anglicy bez przerwy tworzą kluby i stowarzyszenia dokładnie z tego samego powodu, dla którego mają tyle gier i dyscyplin sportowych: potrzebujemy rekwizytów i podpórek, które pomogą nam wejść w kontakt towarzyski z innymi ludźmi, przezwyciężyć ułomność towarzyską, potrzebujemy też złudzenia, że tak naprawdę robimy coś innego, że zgromadziła nas jakaś praktyczna przyczyna, że działamy w konkretnym wspólnym interesie i chcemy połączyć środki w celu osiągnięcia czegoś, czego nie dalibyśmy rady zrobić sami. Pragmatyczne wyjaśnienie de Tocqueville'a i Paxmana jest bardzo angielskie: idealnie opisuje tę iluzję, ale nie dostrzega, że to iluzja, że faktycznym celem wszystkich tych klubów jest kontakt towarzyski i pielęgnacja więzi, których desperacko łakniemy, nie potrafimy jednak przyznać się do tej potrzeby, nawet przed sobą.

Jeśli jesteś „bardzo angielski”, możliwe, że odrzucisz moje wyjaśnienie. Sama nie jestem nim zachwycona. O wiele bardziej wolałabym wierzyć, że wstąpiłam do, na przykład, Stowarzyszenia Hodowców Koni Arabskich i chodziłam na zebrania jego grupy regionalnej w Chiltern dlatego, że mam arabskiego ogiera i interesuje mnie hodowla i ujeżdżanie arabsów oraz uczestnictwo w pokazach, wystawach i dyskusjach z innymi entuzjastami. Chciałabym wierzyć, że na studiach wstąpiłam do iluś tam lewicowych ugrupowań i chodziłam na niezliczone manifestacje, protesty i wiece Ruchu na rzecz Rozbrojenia Atomowego z powodu swoich niezłomnych zasad i przekonań²⁹. I rzeczywiście, takie były moje powody świadome. Nie twierdzę, że Anglicy celowo planują wejście podstępem w kontakty towarzyskie. Ale jeśli mam być okrutnie szczerą sama przed sobą, muszę przyznać, że mnie też podoba się to poczucie przynależności, swoboda towarzyskiego spotykania się z ludźmi, z którymi łączy mnie wspólna sprawa lub interes - w porównaniu z niezręcznością wysiłków nawiązywania konwersacji z nieznanymi w miejscach publicznych lub na zebraniach, których jedynym celem jest zbieranie się i bycie razem, bez żadnych wspólnych hobby czy koników, które mogłyby pomóc rozwojowi sytuacji.

Jeśli jesteś członkiem jakiegoś angielskiego klubu lub stowarzyszenia, możesz mieć do mnie pretensje, że wrzucam je tak wszystkie do jednego worka, jakby nie było większej różnicy między Stowarzyszeniem Hodowców Koni Arabskich a Ruchem na rzecz Rozbrojenia Atomowego albo, powiedzmy, między spotkaniem koła gospodyń a zebraniem klubu motocyklistów. Cóż, przykro mi, ale muszę donieść, że w istocie różnica jest niewielka. Należałam do wielu angielskich klubów i stowarzyszeń i odwiedziłam kilka innych w trakcie swoich badań - wszystkie są takie same. Zebrania regionalnych lub lokalnych filii

Stowarzyszenia Hodowców Koni Arabskich, Ruchu na rzecz Rozbrojenia Atomowego, Koła Gospodyń czy Związku Motocyklistów - wszystkie odbywają się mniej więcej według tego samego schematu. Zaczynają się od typowych angielskich niezręcznych powitań, żartów i jakiejś wstępnej rozmowy o pogodzie. Jest herbata, są kanapki lub ciasteczka (albo i to, i to, jeśli ma się szczęście), sporo plotek, dużo rytualnego narzekania, wiele dowcipów zrozumiałych tylko dla wtajemniczonych. Potem następuje chrząkanie i próby rozpoczęcia zebrania tak, by nie wydać się pompatycznym czy zbyt gorliwym. Niepisane zasady nakazują użycie nieco autoironicznego tonu przy wymienianiu oficjalnych terminów żargonu zebraniowego, jak „porządek dzienny”, „protokół” i „przewodniczący”, aby pokazać, że nie bierze się rzeczy zbyt poważnie, oraz przewracanie oczami przy rozwlekłych przemówieniach klubowego nudziarza (zawsze się taki znajdzie), który... bierze wszystko zbyt poważnie.

Potem dyskusja o ważnych sprawach, okraszona dowcipami, plotkowaniem o wrogach (lub konkurencyjnych klubach z tej samej dziedziny - na przykład członkowie Związku Motocyklistów obmawiają Brytyjską Federację Motocyklistów) oraz grzecznościowe sprzeczki między członkami, zwykle w sprawie drobiazgów bez znaczenia. Od czasu do czasu podejmuje się jakąś decyzję czy uchwałę, lub przynajmniej dochodzi się do jakiegoś porozumienia, a samą decyzję odkłada do następnego spotkania. Potem jeszcze trochę herbaty, żartów, plotek i narzekania - zwłaszcza narzekania (spróbujcie znaleźć angielski klub czy stowarzyszenie, którego członkowie nie czują się w jakiś sposób niezrozumiani lub oszukiwani przez innych), i kończy się typowym wydłużonym angielskim pożegnaniem. Czasem zaprasza się jakiegoś prelegenta, którego należy fetować, robić wokół niego dużo hałasu i uprzejmie oklaskiwać, bez względu na to, jak nudne i mało oryginalne jest jego wystąpienie. Ale główny schemat jest zawsze taki sam. Jeśli ktoś widział jedno zebranie angielskiego klubu czy stowarzyszenia, może uznać, że widział je wszystkie. Nawet pewne zebranie anarchistów, na które trafiłam, odbywało się według tego samego porządku (choć było o wiele lepiej zorganizowane niż większość z nich), a na manifestacji następnego dnia wszyscy członkowie byli umundurowani na czarno, nieśli profesjonalnie wyglądające transparenty, skandowali jednogłośnie i maszerowali równym krokiem.

W pubie

Pewnie już można było się zorientować do tej pory, że uważam, iż puby są dość ważną częścią angielskiej kultury. Ze wszystkich „podpórek towarzyskich”, które pomagają zahamowanym Anglikom łączyć się i umacniać więzi, pub jest najbardziej popularny. W Anglii jest jakieś pięćdziesiąt tysięcy pubów, do których regularnie chodzi trzy czwarte dorosłej populacji. Wśród nich jest wielu stałych klientów, którzy traktują swój lokalny pub

niemal jako drugi dom. Ten ogólnoangielski romans z pubem nie słabnie; około jednej trzeciej dorosłej populacji to stali klienci, odwiedzający pub co najmniej raz w tygodniu - wśród młodszych grup wiekowych ta proporcja wzrasta do 64 procent.

Mówię „pub”, jakby one wszystkie były takie same, choć w dzisiejszych czasach istnieje zdumiewająca różnorodność typów: puby studenckie, puby młodzieżowe, puby tematyczne, puby rodzinne, puby sportowe, gastropuby, cyberpuby - plus wiele innych miejsc, w których pije się alkohol, na przykład kawiarnie czy winiarnie. Wokół tych innowacji było, oczywiście, wiele zamieszania, narzekań, złych przeczuć i złowieszczych ostrzeżeń. Nie ma już takich pubów, jak kiedyś. Wszędzie te modne bary, nie uświadczysz prawdziwego tradycyjnego pubu. Ten kraj schodzi na psy. Koniec świata jest blisko, a już na pewno bliżej.

Typowe nostalgiczne narzekanie. Typowe przedwczesne nekrologi (Dosłownie! Około dwudziestu lat temu wyszła książka zatytułowana *The Death of the English Pub*, czyli *Śmierć angielskiego pubu*. Zastanawiam się, jak czuje się teraz autor, gdy przechodzi obok pubu Pod Różą i Koroną czy Pod Czerwonym Lwem i widzi ludzi z zadowoleniem pijących piwo i grających w rzutki). Wiele jednak z tych pochopnych lamentów to po prostu typowy angielski styl Kłapouchego, a reszta jest rezultatem syndromu podobnego do „etnograficznego oślepienia”: ci, którzy wieszczą zagładę, są tak oślepieni powierzchownymi różnicami między pubem tradycyjnym a pubem nowego typu, że nie widzą fundamentalnych, trwałych podobieństw - zwyczajów i kodeksów zachowania, dzięki którym pub jest tym, czym jest. Nawet gdyby jeden czy drugi Kłapouchy miał rację, nowe puby, do których oni wszyscy mają zastrzeżenia, są mimo wszystko tylko niewielką mniejszością, skupioną głównie w centrach miast, a przecież wciąż istnieją dziesiątki tysięcy bardziej tradycyjnych pubów „lokalnych”.

To prawda, że wiele wiejskich pubów cienko przędzie, a w bardzo małych wioskach niektóre trzeba było zamknąć, co jest smutne, ponieważ wioska bez pubu nie jest prawdziwą wioską. Zawsze gdy tak się dzieje, lokalna prasa podnosi wrzask protestu i zamieszcza fotografię ponurej grupki mieszkańców wsi z ręcznie zrobionym transparentem „Nie zabierajcie nam pubu”. Oczywiście, ich pub utrzymałby się, gdyby więcej z nich wydawało w nim pieniądze, pijąc w nim i jedząc, ale im jakoś ta zależność nigdy nie przychodzi do głowy. Ten sam problem mamy ze Śmiercią Wiejskiego Sklepika: wszyscy chcą uratować sklepik w swojej wsi, tylko niespecjalnie chcą robić w nim zakupy. Typowa angielska hipokryzja.

Ale pub angielski, jako instytucja, jako społeczeństwo w mikroskali, wciąż żyje i ma się dobrze. I wciąż rządzi się stałym, trwałym zestawem niepisanych zasad. Omówiłam już

większość z nich w rozdziale o języku pubów - pub to instytucja przeznaczona do kontaktów towarzyskich, które nawet od Anglików wymagają komunikacji, nie dziwi więc, że większość z jego zasad dotyczy języka oraz mowy ciała. Więcej zasad pubowych opisałam w sekcji o grach, ale wciąż zostało nam kilka dość ważnych, na przykład zasady konsumpcji alkoholu. Nie mam na myśli oficjalnego prawodawstwa, ale o wiele ważniejsze niepisane kodeksy towarzyskiego picia.

Picie alkoholu

Sporo się można nauczyć o jakiejś kulturze, badając jej zasady picia alkoholu. No i w każdej kulturze istnieją zasady dotyczące alkoholu; nie ma czegoś takiego jak picie przypadkowe. W każdym kraju, gdzie spożywa się alkohol, picie jest czynnością regulowaną zasadami, obwarowaną nakazami, które dotyczą tego, kto może pić ile czego, kiedy, gdzie, z kim, w jaki sposób i z jakim skutkiem. Nie jest to specjalnie zaskakujące. Już tu zauważyłam, że jedną z cech charakterystycznych homo sapiens jest nasza namiętność do przepisów - nasza tendencja do ograniczania nawet najbardziej podstawowych, zasadniczych czynności, jak jedzenie czy łączenie się w pary, wieloma skomplikowanymi zasadami i rytuałami. Jednakże konkretne niepisane zasady dotyczące spożywania alkoholu w różnych kulturach odzwierciedlają charakterystyczne wartości, poglądy i postawy tych kultur w nawet większym stopniu niż zasady seksu czy jedzenia. Antropolog Dwight Heath ujął to jeszcze dobitniej, pisząc, że „podobnie jak picie i jego skutki są zakorzenione w innych aspektach kultury, wiele innych aspektów kultury jest zakorzenionych w akcie picia”. A więc, jeśli chcemy zrozumieć angielskość, musimy przyjrzeć się uważniej angielskości angielskiego picia.

Kupowanie kolejek

Kupowanie kolejek jest angielską wersją uniwersalnego obyczaju wspólnego picia lub wzajemnej wymiany drinków. Konsumpcja alkoholu we wszystkich krajach jest czynnością typowo towarzyską, której rytualne praktyki i etykieta mają za zadanie promować przyjazne kontakty towarzyskie. Z pewnością we wzajemnym oferowaniu drinków nie ma nic unikalnie angielskiego. Wyraziście angielskie, często zdumiewające lub nawet odstrasające dla turystów, jest ogromne, niemal religijne znaczenie przywiązywane do tej praktyki przez angielskich bywalców pubów. Przestrzeganie zasad kupowania kolejek to nie tylko dobre manieri, to święty obowiązek. Niewywiązanie się z niego to nie złamanie etykiety picia, to herezja.

Gdy rozmawiałam o tym z cudzoziemcami w trakcie zbierania materiału do książeczki o etykiecie pubów, uważali to trochę za ekstremizm. Dlaczego, pytali, kupowanie kolejek jest tak strasznie ważne dla angielskich bywalców pubów? W owej książeczce wyjaśniam, że

dlatego, że zapobiega rozlewowi krwi. Mając świadomość, że to może brzmieć równie ekstremalnie, przynajmniej dla nieantropologów, wyjaśniłam problem trochę dogłębniej. Wymiana darów zawsze była najskuteczniejszym sposobem zapobiegania agresji między grupami (rodami, klanami, plemionami, narodami) oraz osobami indywidualnymi. Jeśli chodzi o osoby pijące alkohol, a zwłaszcza pijących alkohol Anglików (mężczyzn), ów pokojowy system ma znaczenie zasadnicze. To dlatego, że „upośledzony towarzyszko” Anglik ma skłonność do agresji. Męskie rozmowy w pubie, jak widzieliśmy, często przeradzają się w kłótnie, istnieje więc potrzeba zastosowania antidotum na te werbalne walki, środka zapewniającego, że sprzeczki nie weźmie się na poważnie i nie nastąpi jej eskalacja w agresję fizyczną. Kupienie „opponentowi” drinka jest rodzajem symbolicznego uścisku dłoni, dowodzi, że wciąż jesteście kumplami. Pewna wyjątkowo bystra właścicielka pubu powiedziała mi: „Gdyby mężczyźni nie kupowali sobie nawzajem drinków, rzucaliby się sobie do gardeł. Niech sobie krzyczą i przeklinają; póki wciąż kupują sobie nawzajem drinki, wiem, że będzie spokój”. Sama wiele razy osobiście byłam świadkiem pozornie zajadłego obrzucania się błotem, które pokojowo kończył zwrot: „Tak czy owak, teraz ty stawiasz!” albo „Cholera, chyba znowu moja kolejka, co?”, czy też „A, zamknij się już i przynieś piwko”.

Poza zapobieganiem masakrze i chaosowi, kupowanie kolejek jest także bardzo ważne dlatego, że jest to dla Anglika substytut wyrażania emocji. Przeciętny angielski mężczyzna panicznie boi się bliskości, ale jest także człowiekiem, ma więc potrzebę tworzenia więzi z innymi ludźmi, zwłaszcza innymi mężczyznami. A to oznacza, że musi szukać sposobów, aby powiedzieć „lubię cię” innym mężczyznom bez, oczywiście, konieczności wykrztuszenia czegoś tak ckliwego. Na szczęście pozytywne uczucia można wyrażać, bez utraty męskiej godności, poprzez wzajemne kupowanie sobie kolejek.

Znaczenie, jakie przywiązujemy do kupowania sobie nawzajem alkoholu, jest też kolejnym wskaźnikiem naszej obsesji na punkcie fair play - kupowanie kolejek, jak stanie w kolejce, polega na robieniu czegoś w określonym porządku. Ale, jak w wypadku każdego aspektu angielskiej etykiety, niepisane zasady kupowania kolejek są skomplikowane, z tymi wszystkimi tradycyjnymi klauzulami i wyjątkami, a fair play to concept nieco śliski - nie jest to tylko prosta kwestia dopilnowania, by wydatki na drinki były mniej więcej równe. Zasady kupowania kolejek są następujące:

W każdej grupie dwóch lub więcej osób jedna musi kupić „kolejkę” drinków dla całej grupy. To nie jest gest altruizmu; oczekuje się, że każdy z pozostałych członków grupy w swoim czasie też kupi kolejkę drinków. Gdy wszyscy już to zrobią, procedura rozpoczyna się

znowu od pierwszej osoby.

Jeśli grupa nie pije przy ladzie barowej, osoba, która kupuje kolejkę, musi także spełnić rolę kelnera. „Kupienie kolejki” oznacza nie tylko zapłacenie za drinki, ale też podejście do baru, zamówienie ich i przyniesienie ich wszystkich do stolika. Jeśli drinków jest dużo, zazwyczaj któryś z pozostałych członków grupy oferuje swoją pomoc, ale nie jest to obowiązkowe, i stawiający kolejkę może kursować nawet kilka razy. Wysilek w to włożony jest tak samo ważny jak poniesiony wydatek - jest to część „podarunku”.

„Sprawiedliwość” w kupowaniu kolejki nie jest kwestią sprawiedliwości sensu stricto. Może się skończyć na tym, że jedna osoba podczas jednej „sesji” kupi dwie kolejki, a inni członkowie grupy tylko po jednej. Jeśli „sesji” jest kilka, przeważnie osiąga się przybliżoną równowagę, jednak okazywać, że nam na tym zależy, jest w bardzo złym guście.

Właściwie każdy przejaw skąpstwa, kalkulacji czy niechęci do szczerego brania udziału w rytuale jest bardzo źle widziany. Jeśli o Angliku mówi się: „on nie stawia kolejek”, jest to wielka obelga. Ważne więc, by starać się zawsze być jednym z tych, którzy jak najwcześniej stwierdzają: „Teraz ja stawiam”, zamiast czekać, aż wszyscy członkowie grupy dopełnią rytuału i *wyraźnie* jest już nasza kolej.

Odkryłam, co może zaskakujące, że przeważnie ci, którzy „inicjują” kupowanie kolejek (ci, którzy regularnie kupują pierwszą kolejkę), na dłuższą metę wcale nie wydają więcej niż „zwlekający” (ci, którzy proponują rundkę na późniejszym etapie sesji). Tak naprawdę „inicjatorzy” są dalecy od bankructwa, a nawet wychodzą na swojej zapobiegliwości lepiej niż ci, którzy zwlekają, ponieważ ich popularność i reputacja człowieka hojnego oznacza, że pozostali są skłonni wykazać hojność w stosunku do nich.

Nigdy nie należy czekać z ofertą postawienia kolejnej rundki, aż szklanki wszystkich naszych towarzyszy będą puste. Odpowiedni czas na hasło „Moja kolej” nadchodzi wtedy, gdy większość szklanek jest pusta w około trzech czwartych. W tej zasadzie chodzi nie tyle o hojność, co o dopilnowanie, by alkohol łał się strumieniem nieprzerwanym, by nikogo nie zostawić nawet na pięć minut bez drinka.

Od czasu do czasu wolno nam odmówić drinka podczas procedury kupowania kolejek (pod warunkiem, że nie próbujemy ze swego umiarkowanego spożycia robić kwestii czy cnoty moralnej), ale to nie zwalnia nas od obowiązku kupowania kolejek. Nawet jeśli pijemy mniej niż inni, i tak powinniśmy pilnować „swojej kolejki”. Byłoby jednak bardzo nieuprzejmym odmówić drinka, który ktoś oferuje nam jako gest „na zgodę” lub który jest wyraźnie sygnałem osobistej życzliwości.

Zazwyczaj nie ma usprawiedliwienia dla kogoś, kto nie dopełni uświęconego rytuału,

istnieje jednak kilka wyjątków od zasad kupowania kolejek; są one związane z wielkością pijącej grupy i demografią jej członków.

LICZEBNOŚĆ W bardzo dużej grupie tradycyjne kupowanie kolejek może okazać się niezwykle kosztowne. A jednak nie jest to wystarczający powód, aby całkiem porzucić rytuał. Duża grupa dzieli się wtedy na podgrupy (nikt tego nie proponuje ani nie organizuje, to się dzieje naturalnie), z których każda kontynuuje zwykłą procedurę kupowania kolejek. Ewentualnie zasadę obdarowywania podtrzymuje „zrzutka” - zebranie drobnych kwot od wszystkich i utworzenie „wspólnej kasy”, z której następnie kupuje się kolejkę drinków dla całej grupy. Tylko w ostateczności, może wśród studentów lub innych osób o bardzo małych dochodach, członkowie dużej grupy godzą się kupować sobie drinki indywidualnie.

PARA W niektórych grupach towarzyskich przy kupowaniu kolejek pary traktowane są jako jedna osoba, tak że tylko od mężczyzny z tej pary oczekuje się, że „postawi kolejkę”. Tę odmianę rzadko obserwuje się wśród młodszych, chyba że celowo przyjmą oni wytworne staroświeckie maniere z jakiejś specjalnej okazji. W prozaicznych okolicznościach możemy być świadkami takiej praktyki tylko wtedy, gdy mężczyźni w grupie mają ponad czterdziestkę. Dla niektórych starszych mężczyzn nie do pomyślenia jest, żeby kobieta kupiła im drinka, więc rozciągają wyjątek pary na wszystkie kobiety w grupie, bez względu na to, czy tym ostatnim towarzyszy jakiś mężczyzna, czy nie. Wychodząc do pubu z kobietą, ci starsi mężczyźni o staroświeckich manierach także nalegają na kupowanie wszystkich drinków, młodszy natomiast oczekują zwykle od swoich towarzyszek, że wezmą one udział w tradycyjnym kupowaniu kolejek.

KOBIETA Kobiety na ogół okazują znacznie mniej szacunku wobec zasad kupowania kolejek niż mężczyźni. W grupach mieszanych dostosowują się, dla świętego spokoju przestrzegając zalecanej etykiety, ale podczas spotkań czysto damskich widać wszelkiego rodzaju dziwne odmiany, a nawet całkowite lekceważenie zasad. Kupują sobie nawzajem drinki, ale właściwy porządek nie jest dla nich ważny - nie zapamiętują specjalnie, czyja teraz kolejka, nie prowadzą niekończących się przyjacielskich dyskusji o tym, kto kupił, a kto jeszcze nie, i zwykle uważają męską obsesję na tym punkcie za nieco nudną i irytującą.

To głównie dlatego, że Angielki mają o wiele mniejszą potrzebę stosowania „płynnego uścisku dłoni” niż Angliki. Ich środkiem komunikacji nie są sprzeczki, więc nie potrzebują gestów „na zgodę”; potrafią świetnie przekazać sobie nawzajem, że się lubią, i pielęgnować relacje za pomocą innych środków, jak np. komplementy, plotki i wzajemne odślanianie się. Angielki wprawdzie nie odślaniają się aż tak swobodnie jak kobiety z innych, mniej zahamowanych kultur; nie mają skłonności, żeby w ciągu pięciu minut od poznania

opowiadać komuś o swoim rozwodzie, histerektonii czy co powiedział im ich psychoterapeuta. Ale gdy Angielki już się ze sobą zaprzyjaźnią, takie dyskusje są na porządku dziennym, natomiast większość Anglików nigdy nie osiąga tego stadium, nawet z najlepszymi i najbliższymi przyjaciółmi.

Nawet słowo „przyjaciół” jest trochę kontrowersyjne, trochę zbyt cliche dla niektórych angielskich mężczyzn; wolą oni słowo „kumpel”. Można się z kimś „kumplować”, niekoniecznie wiedząc cokolwiek o jego życiu osobistym, nie mówiąc już o jego uczuciach, nadziejach czy obawach - chyba że chodzi o występ jego drużyny futbolowej czy sprawowanie się samochodu. Używa się terminów „kumpel”, „dobry kumpel” i „najlepszy kumpel”, rzekomo, aby przekazać różne stopnie zażyłości, ale nawet twój „najlepszy kumpel” może wiedzieć bardzo mało lub zgoła nic o twoich problemach małżeńskich - lub tylko tyle, ile potrafisz przekazać w sposób żartobliwy, pozornie kpiący, co on może skomentować tak: „Kobiety! Ha! Typowe!”. Jasna rzecz, zaryzykowałbyś dla niego życie, a on dla ciebie. Twój „najlepszy kumpel” może lepiej wiedzieć, jaki jest twój handicap w golfie niż jak mają na imię twoje dzieci, ale naprawdę bardzo wam na sobie zależy. To się jednak wie samo przez się, prawda, więc nie ma potrzeby robić zamieszania, mówiąc o tym głośno. A poza tym, teraz ty stawiasz, stary.

Jesteś tym, co pijesz

Ważna jest jeszcze jedna „ludzka cecha uniwersalna”: we wszystkich krajach, gdzie jest dostępny więcej niż jeden rodzaj napoju alkoholowego, napoje te klasyfikuje się ze względu na ich znaczenie społeczne, i ta klasyfikacja pomaga zdefiniować społeczny świat. Żaden napój alkoholowy nigdy nie jest „społecznie neutralny”. W Anglii, tak jak wszędzie indziej, pytanie „Co pijesz?” jest podchwytliwe pod względem społecznym; na podstawie odpowiedzi oceniamy i klasyfikujemy ludzi. Wybór napoju rzadko jest jedynie kwestią osobistego smaku.

Wśród innych funkcji symbolicznych drinki można uznać za wskaźniki statusu społecznego i za czynniki różnicujące pod względem płci. Są to dwie najważniejsze symboliczne funkcje napojów alkoholowych wśród Anglików; nasz wybór drinka (a w każdym razie wybór publiczny) jest zdeterminowany głównie naszą płcią i klasą społeczną, z pewnymi odmianami dotyczącymi wieku. Zasady są następujące:

Kobiety z klasy robotniczej i niższej warstwy klasy średniej mają największy wybór drinków. Prawie wszystko jest społecznie akceptowane - koktajle, słodkie lub kremowe likiery, wszelkie napoje bezalkoholowe, piwa i tak zwane markowe drinki (gotowe drinki w butelkach). Właściwie jest tylko jedno ograniczenie: rozmiar szklanki, z jakiej kobiety z klasy

niższej mogą pić piwo. Picie „dużego piwa” w wielu kręgach robotniczych i niższychśrednich jest uważane za mało kobiece i niegodne damy, toteż większość kobiet z tej grupy społecznej pija „małe piwo”. Zamawiając duże piwo, kobieta ryzykuje, że uzna się ją za taką, która naśladuje nieokrzesane, hałaśliwe zachowanie mocno pijących facetów. Niektórym kobietom odpowiada taki wizerunek, ciągle jednak są one w mniejszości.

Następne na skali wolności wyboru są kobiety od średniej do wyższej warstwy klasy średniej. Te mają wybór bardziej ograniczony; słodkomdłe drinki, likiery kremowe i koktajle uważane są za nieco wulgarne - zamówienie bailey's czy babycham na pewno spowodowałoby uniesienie kilku brwi i wymianę spojrzeń - ale mogą pić praktycznie wszystkie rodzaje wina, wódek, sherry, jabłeczniaka, piwa oraz napoje bezalkoholowe. W tej kategorii społecznej bardziej dopuszczalne jest też zamawianie dużego piwa przez kobiety, a przynajmniej wśród młodszych kobiet, zwłaszcza studentek. Zauważyłam, że studentki z wyższej warstwy klasy średniej czuły potrzebę usprawiedliwienia się, jeśli zamówiły „dziewczęce” małe piwo zamiast dużego.

Wybór mężczyzn z klasy średniej i wyższej jest o wiele bardziej ograniczony niż kobiet z tych samych grup. Im wolno pić tylko piwo, wódkę (może być z dodatkami), wino (musi być wytrawne, nie słodkie) oraz napoje bezalkoholowe. Wszystko, co słodkie i kremowe, uważane jest za podejrzenie „babskie”, a koktajle dopuszczalne są tylko na przyjęciach typu koktajl lub w koktajlbarze. Nigdy się zamawia się ich w pubie czy zwykłym barze. - Mężczyźni z klasy robotniczej praktycznie nie mają wyboru. Mogą pić tylko piwo lub wódkę - wszystko inne jest dla bab. Wśród starszych przedstawicieli klasy robotniczej nawet drinki z wódką mogą być zabronione; gin z tonikiem jest od biedy akceptowany w niektórych kręgach, ale mniej znane kombinacje są źle widziane. Młodszy mężczyźni z klasy robotniczej mają ciut więcej swobody: wolno im na przykład pić wódkę z colą, podobnie jak ostatnie nowości i „markowe” drinki butelkowe, pod warunkiem że mają wystarczająco wysoką zawartość alkoholu.

Upijanie się. Metoda: „głośni, agresywni, okropni”

Kolejna „prawda uniwersalna”: wpływ alkoholu na zachowanie zależy nie od działania chemicznego etanolu, tylko od zasad i norm społecznych i kulturalnych. Jeśli chodzi o zachowanie pijących alkohol, istnieją ogromne różnice kulturowe. W niektórych krajach (na przykład w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Australii i częściowo w Skandynawii) picie kojarzone jest z agresją, przemocą i zachowaniem antyspołecznym, w innych natomiast (na przykład w kulturach latynoskiej i śródziemnomorskiej) zachowanie po alkoholu jest przeważnie spokojne i harmonijne. Owej różnicy nie można przypisywać różnym poziomom

konsumpcji czy różnicom genetycznym; jest ona wyraźnie związana z różnymi kulturowymi poglądami na temat alkoholu, różnymi oczekiwaniami co do skutków picia oraz różnymi normami społecznymi regulującymi zachowanie po wypiciu.

Ten podstawowy fakt udowodniano już często, nie tylko w jakościowych badaniach międzykulturowych, ale i w starannie kontrolowanych eksperymentach naukowych z prawdziwego zdarzenia - na przykład z użyciem placebo, czy takich, w których ani badani, ani badający nie wiedzą, która z grup jest faktycznie testowana, i w wielu innych. Ujmując rzecz prosto, eksperymenty dowodzą, że gdy ludzie myślą, że piją alkohol, zachowują się zgodnie z normami swojej kultury co do tego, jak wygląda zachowanie po alkoholu. Anglicy uważają, że alkohol jest czynnikiem usuwającym zahamowania, a zwłaszcza że czyni ludzi agresywnymi lub skłonny do zalotów, gdy więc podaje im się coś, co jak myślą, jest napojem alkoholowym (a tak naprawdę jest bezalkoholowym placebo), pozbywają się zahamowań: zaczynają flirtować, a mężczyźni (zwłaszcza młodzi) często stają się agresywni.

To łączy się z trzecią metodą, której używają Anglicy, by radzić sobie ze swoją chroniczną, nieuleczalną ułomnością: chodzi o metodę „głośni, agresywni, okropni”. Na pewno nie jestem pierwszą osobą, która zauważyła tę ciemną i niemiłą stronę charakteru Anglików. Cudzoziemcy komentują ją od wieków, a że jako naród uwielbiamy samobiczowanie, nie ma tygodnia, żeby ktoś o tym nie wspomniał w naszych gazetach. „Kibole”, agresja na drogach, pijane wyrostki, piekielni sąsiedzi, pijackie burdy, przestępstwa, rozruchy i jawna bezczelność. Te wypadki niezmiennie przypisuje się albo jakiemuś mglistemu samoistnemu „upadkowi obyczajów”, albo wpływowi alkoholu, względnie obu tym rzeczom naraz. Żadne jednak z tych wyjaśnień nie wystarczy. Nawet najbardziej pobieżny przegląd angielskiej historii społecznej potwierdza, że nasze obecne wybuchy okropnego pijackiego zachowania nie są niczym nowym i, nawet abstrahując od eksperymentów z placebo, jasne jest, że wielu ludziom w innych krajach udaje się spożywać o wiele większe ilości alkoholu niż nam, a nie robią się chamscy, agresywni i ogólnie obrzydliwi.

Same nasze *poglądy* na wpływ alkoholu na zachowanie są tu z pewnością przynajmniej częściowo winne, ponieważ działają jak samospełniające się przepowiednie. Jeśli mocno wierzymy i oczekujemy, że po alkoholu zrobimy się agresywni, tak będzie. Wciąż jednak pozostaje pytanie, dlaczego wyznajemy takie dziwne poglądy. Opinia, że alkohol ryzykownie rozluźnia obyczaje, nie jest typowa tylko dla Anglików - jest podzielana przez wiele innych kultur, znanych antropologom badającym te sprawy jako kultury „ambiwalentne”, „suche”, „nordyckie” lub „abstynenckie” - kultury o ambiwalentnym,

nacechowanym moralnie stosunku do alkoholu, typu „miłość - nienawiść”, które traktują go jak zakazany owoc, co często wynika z wcześniejszej historii ruchów abstynenckich. Kontrastem dla nich są kultury „zintegrowane”, „mokre”, „śródziemnomorskie” lub „nieabstynenckie” - te, dla których alkohol jest normalną, integralną, oczywistą, moralnie neutralną częścią codziennego życia; słowem, kultury, którym udało się ująć przed zakusami uczestników kampanii na rzecz abstynencji. „Zintegrowane” kultury pijące alkohol, mimo że zwykle mają o wiele wyższy poziom konsumpcji alkoholu *per capita*, doświadczają niewielu związanych z alkoholem społecznych i psychiatrycznych problemów, które dotyczą kultury „ambiwalentne”.

Te podstawowe fakty są, wśród moich kolegów - badaczy kultur i innych obiektywnych „alkohologów” - tak oczywiste i dobrze znane, że aż nudne. Naprawdę jesteśmy już znużeni powtarzaniem ich, bez końca, angielskim słuchaczom, którzy albo nie potrafią, albo nie chcą zaakceptować ich słuszności. W swoim życiu zawodowym wiele czasu spędziłam, badając różne kwestie związane z alkoholem. Od ponad dziesięciu lat powtarzamy z kolegami w kółko te same niezbite dowody z eksperymentów i badań międzykulturowych, a dzieje się tak za każdym razem, gdy z naszej wiedzy fachowej korzystają ministerstwa, organizatorzy konferencji policyjnych, zatroskani piwowarzy i inne zainteresowane instytucje.

Wszyscy zawsze są strasznie zdziwieni („Naprawdę? To znaczy, że są kraje, gdzie ludzie nie uważają, że alkohol powoduje agresję? Jakże to dziwne!”) oraz uprzejmie zdecydowani nie pozwolić sobie, aby cokolwiek zachwiało ich wiarą w złe moce demonicznego napoju. To tak, jakby próbować wyjaśnić, dlaczego pada deszcz, członkom jakiegoś mieszkającego w lepiankach plemienia, zniewolonego przez znachorów i zaklinaczy deszczu. Tak, tak, mówią, ale oczywiście *prawdziwym* powodem, że nie pada, jest to, że przodkowie się gniewają, ponieważ szaman nie dopełnił rytuału deszczowego tańca czy ofiary z kozła w odpowiednim czasie i ktoś pozwolił nieobrzezonym chłopcom lub miesiącującym kobietom dotknąć świętych czaszek. Każdy to wie. Tak jak każdy wie, że picie alkoholu powoduje, iż ludzie pozbywają się oporów i zaczynają rozwalać sobie nawzajem głowy.

Albo też, według naszych niedowiarków na konferencjach na temat „Alkohol a zakłócanie porządku publicznego”, alkohol powoduje, że *inni ludzie* to robią. Oni sami są dziwnie odporni: mogą sobie nieźle podchmielić podczas przyjęcia gwiazdkowego w pracy albo wysączyć kilka butelek dobrego cabernet sauvignon z przyjaciółmi, czy ginów z tonikiem w pubie, i nigdy nikogo nie uderzą ani nawet nie będą przeklinać. Wygląda na to, że

alkohol ma specyficzną moc czynienia agresywnymi i napastliwymi ludzi z *klasy robotniczej*. Gdy się tak nad tym zastanowić, to zakrawa na cud - jest to o wiele bardziej magiczna sztuczka niż sprowadzanie deszczu. Wierzmy w te dziwne opinie na temat siły alkoholu, ponieważ jak inne nieracjonalne religijne doktryny, pomagają nam one wytłumaczyć niewytłumaczalne - i, w tym przypadku, uniknąć problemu. Obwiniając alkohol, omijamy niewygodną kwestię: dlaczego Anglicy, tak powszechnie podziwiani za swoją uprzejmość, rezerwę i powściągliwość, słyną także z chamstwa, wulgarności i agresji.

Ja uważam, że nasza uprzejma rezerwa i okropna agresja są dwiema stronami tego samego medalu, a konkretnie, obie są symptomami tej samej ułomności towarzyskiej. Cierpimy na wrodzone zaburzenie towarzyskości, zespół głęboko zakorzenionych zahamowań, które utrudniają nam wyrażanie emocji i wchodzenie w ten rodzaj swobodnych, przyjaznych kontaktów towarzyskich, jakie najwyraźniej przychodzą bez oporów większości innych nacji. Jak to się stało, że tacy jesteśmy, dlaczego nęka nas ta ułomność, jest tajemnicą, którą może uda mi się rozwiązać do końca tej książki, a może nie, ale przecież da się zdiagnozować chorobę czy zaburzenie, niekoniecznie znając ich przyczynę. W wypadku takich zaburzeń psychologicznych jak to, czy to na poziomie indywidualnym, czy ogólnokrajowym, przyczyna jest często trudna lub nawet niemożliwa do określenia, ale nie przeszkadza nam to ogłosić, że pacjent jest autystykiem czy agorafobikiem. Miały to być przykłady pierwsze z brzegu, ale gdy się zastanowić głębiej, angielska ułomność towarzyska ma pewne objawy wspólne zarówno z autyzmem, jak i agorafobią. Bądźmy jednak pobłażliwi i poprawni politycznie i powiedzmy tylko, że jesteśmy „społecznie upośledzeni”.

Jakkolwiek nazwiemy problem, symptomy angielskiej ułomności towarzyskiej zawierają skrajne przeciwieństwa; gdy czujemy się niezręcznie w sytuacjach towarzyskich (czyli prawie cały czas), stajemy się albo nadmiernie grzeczni, uprzejmi, spięci i niezgrabnie powściągliwi, albo też hałaśliwi, chamscy, agresywni i ogólnie nieznośni. Wygląda na to, że nie ma stanów pośrednich, a już na pewno nie ma złotego środka. Obie skrajności przejawiają regularnie Anglicy ze wszystkich klas społecznych, z pomocą alkoholu lub bez.

Najgorsza część skrajności „hałaśliwi i wstrętni” na szczęście zazwyczaj ogranicza się do konkretnego, ściśle określonego czasu „remisji kulturowej”, jak piątkowe i sobotnie wieczory w centrach miast czy urlopy w kraju i za granicą, gdy gromady młodzieży tradycyjnie zbierają się w pubach, barach i nocnych lokalach, żeby się upić. Upijanie się nie jest przypadkowym skutkiem ubocznym wieczornej rozrywki, jest celem głównym - młodzi angielscy imprezowicze i urlopowicze (obu płci) całkiem świadomie planują osiągnąć ten cel i przeważnie im się udaje (pamiętajcie, że jesteśmy Anglikami, potrafimy się upić do

nieprzytomności bezalkoholowym placebo). Aby udowodnić towarzyszom, że osiągnęli pożądany towarzysko poziom pijaństwa, zwykle czują się w obowiązku zrobić coś „szalonego” - odstawić coś szokująco pozbawionego zahamowań. Repertuar przedstawień jest, szczerze mówiąc, dość ograniczony i bynajmniej nie skandaliczny; waha się od stosunkowo nudnego wrzeszczenia i przeklinania do ambitniejszej, bardziej obraźliwej błazenady, jak ściąganie spodni i wypinanie gołego tyłka (tyłek jest wśród młodych Anglików uważany za nieodparcie śmieszny) oraz, rzadziej, do bójek.

Dla bardzo nielicznej mniejszości sobotnia wieczorna hulanka nie jest ważna bez jakiejś bijatyki. Owe incydenty to zwykle wydarzenia normowane zasadami, przewidywalne, można by rzec, ze staranną choreografią, oparte głównie na brawurze i przybieraniu póz macho, czasem eskalujące do niezgrabnej pijackiej wymiany ciosów. Do wywołania takiego starcia wystarczy często o ułamek sekundy za długi kontakt wzrokowy. Z przeciętnym nietrzeźwym angielskim młodzieńcem niesłychanie łatwo zacząć bójkę: wystarczy nawiązać kontakt wzrokowy, wytrzymać go odrobinę zbyt długo (choćby ciut dłużej niż sekundę - Anglicy nie przepadają za kontaktem wzrokowym), a potem rzucić: „Co się gapisz?”. Odpowiedzią często jest powtórzenie tego samego pytania: „A ty co się gapisz?”, całkiem w stylu tradycyjnego dialogu angielskiego *How do you do?* (nasze zachowania okropne są mniej więcej tak samo niezręczne, irracjonalne i nieeleganckie jak nasze zachowania uprzejme).

Trzeba przyznać, że problemy te o wiele mniej rzucają się w oczy wśród tych młodych ludzi, którzy jako towarzyskich „protez” używają zamiast alkoholu branych okazjonalnie nielegalnych narkotyków, takich jak marihuana czy ecstasy. Wierzymy, że marihuana przyjemnie rozluźnia (daje *chillout*, jak się teraz mówi), a ecstasy powoduje, że stajesz się ożywiony, wpadasz w euforię, jesteś pełen dobrej woli w stosunku do współimpresowiczów i świetnie tańczysz. Abstrahując od jakości tego tańca, opinie te są w dużej mierze samospełniającymi się przepowiedniami, ale wszyscy dobrze się bawią.

Rozrywka a angielskość

Zasady rozrywki znowu potwierdziły nam wszystkie „kwintesencjonalne cechy angielskości” ustalone do tej pory, wszystkie znane już jak zły szeląg: humor, hipokryzję, niepokój na tle klasy, fair play, skromność i tak dalej. Teraz także empiryzm zdaje się wyrastać na silnego kandydata do włączenia w kulturowy genom Anglików. Jednakże większość zasad w tym rozdziale dotyczyła jednej szczególnej cechy definiującej angielskość - tej, którą nazwałam sobie ułomnością towarzyską, naszego wynikającego z zahamowań wycofania, naszej chronicznej towarzyskiej niezręczności, graniczącej z parakliniczną kombinacją autyzmu i agorafobii. Prawie wszystkie nasze rozrywki są, w taki czy inny

sposób, reakcją na tę niefortunną dolegliwość. I niemal wszystkie nasze reakcje są formą zaprzeczania i samooszukiwania się. Nawiasem mówiąc, nasza fenomenalna zdolność do zbiorowego oszukiwania samych siebie zaczyna wyglądać jak cecha definiująca sama w sobie.

Szczególnie interesujące jest zbiorowe samooszukiwanie się, obecne w angielskim użyciu sportów, gier i klubów jako towarzyskich protez - fakt, że musimy wchodzić w kontakty towarzyskie i tworzyć więzi pod pozorem, że robimy coś innego. Nasza wiara w magiczną, pozbawiającą zahamowań siłę alkoholu jest elementem tego samego syndromu złudzeń. Mamy desperacką potrzebę kontaktów towarzyskich i więzi emocjonalnych, ale nie potrafimy tak po prostu się do niej przyznać i dążyć do ludzkiego ciepła i bliskości w sposób naturalny i wprost. Musimy tworzyć zawile struktury, mity i rytuały, aby ukryć nasze pragnienie kontaktu towarzyskiego pod maską gorliwej chęci rzucania w siebie piłkami, dojścia do maestrii w układaniu kwiatów, naprawianiu motocykla, ratowaniu wielorybów, całego świata czy czegokolwiek innego - a potem idziemy do pubu, gdzie możemy udawać, że przyszliśmy tam tylko na piwo, i przypisywać wszelkie żenujące, naturalnie ludzkie reakcje jego cudownym właściwościom.

Naprawdę nie rozumiem, czemu antropolodzy uważają, że muszą jechać w najdalsze zakątki świata, dostawać dyzenterii i malarii w celu studiowania osobliwych kultur plemiennych o dziwnych wierzeniach i tajemniczych obyczajach, skoro najdziwniejsze, najbardziej zagadkowe plemię ze wszystkich mamy tużtuż, za drzwiami.

Ubiór

Zanim w ogóle zaczniemy badać zasady angielskiego ubioru, musimy wyjaśnić kilka cech uniwersalnych, obowiązujących we wszystkich kulturach. Poza oczywistym zapewnieniem ciepła w zimnym klimacie oraz ochrony przed żywiołami, ubranie służy zasadniczo trzem rzeczom: pozwala rozróżnić płęć, sygnalizuje status i oznacza przynależność. Zazwyczaj najbardziej oczywistą funkcją jest rozróżnienie płci: nawet jeśli społeczeństwo wykazuje bardzo niewielkie zróżnicowanie w ubiorze czy osobistych ozdobach, zawsze znajdują się jakieś, choćby nawet bardzo nieznaczące, różnice między strojem kobiecym a męskim - różnice, które często się podkreśla, aby obie płcie były dla siebie nawzajem atrakcyjniejsze. Przez „status” rozumiem status lub pozycję społeczną w ich szerokim sensie, włączam też do tej kategorii wiek. Przynależność - do plemienia, klanu, subkultury, grupy społecznej lub propagującej konkretny styl życia - obejmuje praktycznie całą resztę.

Przepraszam, jeśli ten podział obraża redaktorów działu mody czasopism ilustrowanych lub ich czytelników, którzy uważają, że w stroju chodzi o indywidualną „autoekspresję” czy temu podobne bzdury. To, co współczesne, zachodnie, postindustrialne kultury lubią uważać za „styl” lub „autoekspresję” - czy wreszcie samą modę - jest tak naprawdę upiękzoną kombinacją trzech wymienionych przeze mnie cech. Pewnie uraziłam także tych, którzy upierają się, że nie interesują się w ogóle modą, że ich ubrania nie są żadnymi deklaracjami społecznymi i że ubierają się, mając na względzie wyłącznie wygodę, oszczędność i praktyczność. Niektórzy ludzie istotnie nie są świadomie zainteresowani modą, ale nawet oni nie mogą uniknąć wyboru jednego taniego, wygodnego i praktycznego stroju z dwóch czy trzech, tym samym więc dokonują ubraniowych deklaracji społecznych, czy im się to podoba, czy nie. (A poza tym, samo twierdzenie, że jest się ponad takie banały jak ubiór, jest znaczącą deklaracją społeczną samą w sobie, zazwyczaj dość wyrazistą).

Anglicy nie mają „stroju narodowego” - to niedopatrzenie, które zauważają i nad którym ubolewają wszyscy ci, którzy obecnie załamują ręce nad kryzysem tożsamości narodowej. Niektórzy z tych komentatorów podejmują następnie próbę zrozumienia stroju angielskiego w sposób, moim zdaniem, bardzo osobliwy i irracjonalny, to znaczy usiłują odkryć, co strój angielski mówi o Anglikach, analizując szczegółowo specyficzne, stereotypowe, „teatralne” części angielskiego ubioru, jakby sekret angielskości w jakiś sposób mógł kryć się w kolorze, kroju, szwach czy rąbkach. Na przykład Clive Aslet mówi nam, że „kwintesencją stroju angielskiego musi być impregnowana kurtka Barbour w kolorze zaprawy cementowej”. Chyba nie powinno dziwić, że były naczelny magazynu „Country Life” wybrał

ten właśnie stereotyp, ale obsesja na punkcie banałów w angielskim stroju wydaje się uniwersalna. Aslet uzala się następnie nad spadkiem popularności tweedu Harrisa, co, jak twierdzi, świadczy o upadku tradycyjnych „wiejskich” wartości. Gdy ma jakieś wątpliwości, obwinia pogodę: „Brytyjczykom generalnie brakuje stylu, jeśli chodzi o ubrania letnie, głównie dlatego, że nigdy nie mieliśmy porządnego lata”. (To zabawne, ale niespecjalnie przydatne wyjaśnienie, bo jest wiele innych krajów, które nie mogą pochwalić się porządnym latem, a w których mimo to ludzie potrafią się ubierać bardziej stylowo niż my). Wreszcie narzeka, że zrobiliśmy się zbyt swobodni, że „poza kręgami ziemiańskimi, wojskowymi, rodziną królewską i pewnymi oficjalnymi okazjami” nie mamy już żadnych kodeksów, mówiących nam, jak się ubierać.

Inni porzucają próbę zrozumienia angielskiego stroju, zanim w ogóle zaczną mierzyć się z tym tematem. Jeremy Paxman w swojej wstępnej liście „cech angielskości” umieszcza styl punk i modę uliczną, ale potem unika problemu stroju, poza krótkim stwierdzeniem, że „nie ma już nawet zgody w kwestiach takich jak strój, a co dopiero jakichś nakazów”. To stwierdzenie, że „nie ma już żadnych zasad”, jest typowo angielską nostalgiczną skargą, a ze strony tych, którzy usiłują wyjaśniać angielskość, typową angielską wymówką. Jednakże te tęskne komentarze mają przynajmniej bardzo solidną podstawę: taką, że tożsamość narodowa opiera się na zasadach, a brak zasad świadczy o utracie tożsamości. Kryteria diagnostyczne są prawidłowe, ale zarówno Aslet, jak i Paxman błędnie rozpoznali symptom. Zasady i kodeksy dotyczące angielskiego stroju wciąż istnieją, choć nie są tak oficjalne ani tak wyraźne jak pięćdziesiąt lat temu. Niektóre z nieoficjalnych niepisanych zasad zawierają dziś nawet wyraźne nakazy. Najważniejsza jednak zasada jest opisowa - można by ją nawet nazwać „metazasadą”, zasadą na temat zasad.

Zasady rządzą

Anglicy mają niezręczny, trudny i w dużym stopniu dysfunkcyjny stosunek do ubrań, charakteryzujący się głównie desperacką potrzebą zasad oraz żalosną niezdolnością radzenia sobie bez nich. Owa metazasada pomaga wyjaśnić, dlaczego o Anglikach ogólnie mówi się, że ubierają się bardzo źle, ale są wybitni w specyficznych dziedzinach, jak wysokiej klasy krawiectwo dla dżentelmenów, ubrania sportowe i „wiejskie”, kostiumy ceremonialne i nowatorska moda uliczna. Inaczej mówiąc, my, Anglicy, jesteśmy najlepiej ubrani, gdy mamy surowe, oficjalne zasady i tradycje, które należy szanować - gdy jesteśmy albo dosłownie, albo w przenośni „umundurowani”. Zostawieni samym sobie, miotamy się i płączemy, mając bardzo mało, albo w ogóle nie mając, naturalnego poczucia stylu czy elegancji - cierpiąc na, jak to ujął George Orwell, „niemal całkowitą martwość zmysłu

estetycznego”.

Nasza potrzeba zasad w ubiorze realizuje się ostatnimi czasy w zwyczaju „piątek dniem bez krawata”, importowanym z Ameryki, który polega na tym, że w piątek firmy pozwalają swoim pracownikom nosić swobodne ubrania według własnego wyboru, zamiast tradycyjnych oficjalnych garniturów. Wiele angielskich firm przyjęło ten zwyczaj, ale sporo musiało z niego zrezygnować, ponieważ młodszy pracownicy zaczęli zjawiać się w pracy w strojach groteskowo niestosownych - ubraniach w złym guście, nadających się bardziej na plażę lub do nocnego klubu niż do normalnego biura. Inni natomiast wyglądali rażąco niechlujnie. Klientów to odstraszało, koledzy czuli się zażenowani, a większość kierownictwa i tak ignorowała zasadę „piątek dniem bez krawata”, decydując się, być może słusznie, zachować godność i pozostać przy normalnym biznesowym uniformie. Pogłębiło to tylko podziały hierarchiczne w firmie - czyli efekt był całkiem odwrotny do zamierzonej demokratycznej poufałości. Krótko mówiąc, ten eksperyment nie był wielkim sukcesem.

Inne narody też mają swoje wady i słabostki w dziedzinie ubioru, ale tylko u naszych kolonialnych potomków, Amerykanów i Australijczyków, ten żalony brak gustu jest tak widoczny i powszechny jak w Anglii. Paradoksalnie, biorąc pod uwagę naszą rzekomą obsesję na punkcie pogody i naszą dumę z jej zmiennego charakteru, nawet te ubraniowo przeciętne nacje są lepsze od nas w dobieraniu stroju do różnych warunków klimatycznych. My możemy poświęcać niewspółmiernie dużo czasu na dyskusje o prognozach pogody, ale jakimś cudem nigdy nie mamy na sobie odpowiedniego ubrania; spędziłam na przykład kilka deszczowych popołudni na ulicy, licząc parasole, i wyszło mi, że tylko około 25 procentom populacji (głównie ludziom w średnim wieku lub starszym) udaje się uzbroić w ten niby nieodłączny angielski przedmiot, nawet gdy ulewny deszcz był zapowiadany od wielu dni. Te przekorne zwyczaje dają nam dobry pretekst do narzekania, że jest za gorąco, za zimno lub mokro - i przy okazji potwierdzają moją opinię, że nasze wieczne dyskusje o pogodzie są bardziej „protezami” towarzyskimi niż dowodem autentycznej obsesji.

Ekscentryczna owieczka

Spostrzegawczy czytelnicy pewnie zauważyli, że „nowatorską modę uliczną” włączyłam do kategorii „uniform” - i być może kwestionują moją decyzję. Czy na pewno jest to sprzeczność? Bo czy na pewno te dziwaczne mody uliczne subkultur (punkci z kolorowymi grzebieniami na głowie, wiktoriańskowampiryczna moda gotycka, skinheadzi w przerażających butach), z których znani są Anglicy, to dowód na nasz ekscentryzm i oryginalność, a nie na konformistyczne, konserwatywne przestrzeganie zasad? Przekonanie, że angielska moda uliczna charakteryzuje się ekscentrycznością i pomysłową kreatywnością,

stało się uniwersalnie akceptowanym „faktem” wśród piszących o modzie - nie tylko w popularnych czasopismach, ale także w naukowych dziełach na temat angielskiego ubioru. Nawet cyniczny zazwyczaj Jeremy Paxman nie kwestionuje tego stereotypu, powtarzając po raz kolejny głoszony powszechnie pogląd, że wszystkie angielskie mody uliczne „wyrażają podstawową wiarę w wolność jednostki”. To jednak, co większość ludzi myśli o angielskiej ekscentryczności w ubiorze, jest w istocie czymś przeciwnym: to przynależność plemienna, konformizm, mundurek. Punky, goci i tak dalej mogą wyglądać dziwacznie, ale przecież w swojej ściśle określonej grupie każdy z nich jest dziwaczny *dokładnie w taki sam sposób*. W angielskich modach ulicznych nie ma nic indywidualnego ani ekscentrycznego - są to po prostu sygnały przynależności do subkultury.

Projektanci, tacy jak Vivienne Westwood i Alexander McQueen, podłapują te uliczne trendy, interpretują je po swojemu i gloryfikują na międzynarodowych wybiegach, a wtedy wszyscy mówią: „O, jakie to ekscentryczne, jakie angielskie!”, ale tak naprawdę w rozrzedzonej kopii uniformu nie ma nic specjalnie ekscentrycznego. Mody uliczne nie funkcjonują zresztą zbyt długo jako wiarygodne sygnały przynależności do subkultury, ponieważ te style zawsze, i to bardzo prędko, stają się częścią głównego nurtu; ledwo młodzieżowe subkultury wymyślą jakiś nowy zwariowany strój plemienny, a już awangardowi projektanci podchwytyją go, jego nieco stonowana wersja pojawia się w sieci popularnych sklepów i noszą go wszyscy, łącznie z naszymi matkami. Wścieka to młodych wynalazców tych ulicznych stylów. Angielskie plemiona młodzieżowe poświęcają mnóstwo czasu i energii, żeby uniknąć posądzenia o przynależność do głównego nurtu - „mainstream” to brzydkie słowo, właściwie obelga - ale to nie czyni ich jeszcze ekscentrycznymi, anarchistycznymi indywidualistami; pozostają konformistycznymi owieczkami, które wszystkie przebrane są za tego samego wilka.

Osobą, która w tym kraju ubiera się najbardziej ekscentrycznie, jest królowa; nie zwraca w ogóle uwagi na modę głównego czy jakiegokolwiek innego nurtu i niezmiennie hołduje temu samemu indywidualnemu stylowi w ubiorze (gdybyśmy musieli określić go w kategoriach mody, jest to coś w rodzaju zmodyfikowanego retro z lat pięćdziesiątych, plus w dużym stopniu jej własny gust), nie dbając o niczyją opinię. Ponieważ jest królową, ludzie nie nazywają jej stylu ekscentrycznym czy dziwacznym, tylko „klasycznym” i „ponadczasowym”, kurtuazyjnie przyzymkając oko na fakt, że absolutnie nikt inny nie ubiera się w ten osobliwy sposób. Zapomnijmy o stadach ulicznych owieczek i ich imitatorów spod znaku haute couture; najlepszym przykładem angielskiej ekscentryczności odzieżowej jest królowa.

Z drugiej strony, młode angielskie subkulturowe owieczki istotnie wynajdują style ubraniowe, które są znacznie bardziej wariackie i szokujące niż mody uliczne jakiegokolwiek innego narodu. Buntownicza młodzież wielu innych narodowości często wręcz imituje mody angielskie, zamiast wysilić się i wymyślić własne. Może (poza królową) nie jesteśmy indywidualnie ekscentryczni, ale nasze subkultury młodzieżowe prezentują coś w rodzaju zbiorowej ekscentryczności, jeśli to nie jest sprzeczność terminologiczna. Tak czy inaczej, my *doceniamy* oryginalność i napawa nas dumą, że jesteśmy znani z odzieżowego ekscentryzmu, jakkolwiek ta reputacja może być niezасłużona.

Pozorna obojętność

Bierze się to poniekąd z kolejnego zestawu niepisanych zasad dotyczących stroju, które częściowo wynikają z zasad humoru, tak głęboko zakorzenionych w angielskiej psychice. W szczególności nasza postawa wobec ubioru jest regulowana wszechobecną zasadą „byle nie zbyt serio”. Ubiór, jak praktycznie wszystko inne, nie powinien być traktowany zbyt poważnie. Nie wypada za bardzo troszczyć się o swój strój - lub raczej, nie wolno *pokazać*, że przywiązuje się zbyt duże znaczenie do bycia modnym czy dobrze ubranym. Podziwiamy ekscentryczność, ponieważ prawdziwy ekscentryk ma w nosie opinie innych. Owego stanu doskonałej obojętności właściwie chyba nikomu nie udaje się osiągnąć, może tylko szaleńcom i niektórym podstarzałym arystokratom, ale jest to ideał, do którego wszyscy aspirujemy. Zadowolamy się numerem dwa na liście ideałów: pozorną obojętnością - *udajemy*, że nie obchodzi nas za bardzo, co mamy na sobie ani jak wyglądamy.

Zasada pozornej obojętności dotyczy w największym stopniu angielskich mężczyzn, wśród których każdy przejaw zainteresowania modą czy wyglądem jest uważany za zniewieściałość. Nie muszą tego nawet wyrażać werbalnie - najmniejszy dowód zainteresowania ubiorem, czy nawet dyskretnej troski o swój wygląd, może rzucić cień na ich męskość. Wielu Anglików czuje wręcz przymus, żeby ubierać się źle tylko po to, aby udowodnić, że nie są gejami.

Młodszy mężczyźni tak naprawdę skrycie bardzo by chcieli nadążać za aktualną modą uliczną, obnosić obowiązujące symbole przynależności plemiennej, ale o tym, jak strasznie jest to dla nich ważne, wiedzą tylko ich matki, od których wypraszą pieniądze na zakup tych atrybutów. Jedynym prawdziwym wyjątkiem od zasady pozornej obojętności są nastoletnie dziewczynki; im wolno wyrażać gorliwe zainteresowanie ubiorem i troskę o swój wygląd - przynajmniej w swoim własnym gronie, bo w towarzystwie mężczyzn zwykle bagatelizują one te pragnienia i milczą o tym, ile godzin ślęczą nad żurnalami, debatując z zapałem nad zaletami niskich szpilek czy prostownic do włosów.

Zażenowanie

Miałam przeczucie, że reszta z nas, czy się do tego przyznajemy, czy nie, podziela taką postawę i że przestrzeganie zasady udawanej obojętności pomaga nam ukryć głębokie kompleksy co do ubioru, desperacką potrzebę, żeby „nie odstawać od innych”, oraz ostry lęk przed kompromitacją. Moją najbardziej pomocną informatorką w sprawach stroju była Annalisa Barbieri, redaktorka działu porad dotyczących mody, który pod tytułem „Droga Annie” znaleźć można w coniedzielnym wydaniu „Independenta” i do którego co tydzień przychodzą setki listów od przejętych, „odzieżowo upośledzonych” Anglików. Annalisa przeprowadziła ze mną wcześniej kilka wywiadów do artykułów na różne tematy, gdy więc odkryłam, że to ona jest „Drogą Annie”, ochoczo skorzystałam z szansy wypytania ekspertki od prawdziwych, zwykle ukrytych obaw i problemów Anglików związanych z ubraniem - zwłaszcza że jej nieangielskie pochodzenie pozwalało mieć nadzieję, że jest ona w stanie porównać je z podobnymi problemami w innych kulturach.

Potwierdziła, że Anglicy o wiele bardziej martwią się strojem i wyglądem, niż zasada pozornej obojętności pozwala im to przyznać. A jej skrzynka na listy świadczy o tym, że istotnie sen z powiek głównie spędzają nam pytania, jak „dopasować się do innych”, ubrać się stosownie, a przede wszystkim (ten odwieczny angielski lęk) jak uniknąć wstydu. Owszem, chcemy wyglądać atrakcyjnie, wykorzystać nasze atuty fizyczne i ukryć braki, ale nie chcemy, jak inne nacje, wyróżniać się ani popisywać - wręcz przeciwnie, większość z nas przeraża sama myśl o ostentacji i o tym, że moglibyśmy choćby sprawiać wrażenie, że za bardzo się staramy, że zbyt ewidentnie nam zależy. Chcemy tylko „pasować”. Przytłaczająca większość pytań adresowanych do „Drogiej Annie” nie dotyczy tego, czy jakiś element stroju jest piękny lub olśniewający, ale czy jest akceptowany społecznie, stosowny, odpowiedni. Annalisa powiedziała mi: „Bez przerwy pytają «Czy można X zestawić z Y?», «Czy mogę włożyć to na ślub?», «Czy to się nadaje do biura?», «Czy w tym nie będę wyglądać jak dziwka?»,. Aż do lat pięćdziesiątych mieliśmy wiele oficjalnych zasad dotyczących stroju - właściwie umundurowania - i Anglicy ubierali się dobrze. Od lat sześćdziesiątych liczba oficjalnych zasad zmniejszyła się, jest więc sporo konfuzji i Anglicy ubierają się bardzo źle, choć wciąż mają obsesję na punkcie etykiety. To, czego tak naprawdę pragną, to więcej zasad.

O ironio, owo rozpaczliwe pragnienie, aby „pasować” i „nie odstawać”, może często, zwłaszcza wśród najbardziej zainteresowanych modą, prowadzić do bardzo dramatycznych i zabawnych odzieżowych błędów. Karykaturą pewnego typu angielskich ofiar mody jest absurdalnie wysztafirowana Edina, postać z telewizyjnego sitcomu *Absolutnie fantastyczne*.

Łączy ona w sobie palącą potrzebę bycia modną z typowo angielskim brakiem jakiegokolwiek wrodzonego smaku i poczucia stylu; stroi się bezkrytycznie w najdziwniejsze kreacje z ostatnich kolekcji, i za każdym razem kończy się na tym, że wygląda jak przeladowana ozdobami choinka. Edina jest celowo komicznie przerysowana, ale ta karykatura jest oparta na cechach i wzorcach zachowań, które są aż nazbyt dobrze znane i rozpoznawalne przez Angielki. Wśród naszych gwiazd pop i innych sław jest wiele takich karykatur, natomiast tańsze wersje kiczowatej Ediny można spotkać na głównych ulicach wszystkich miast.

Kobiety z większości innych krajów oglądają *Absolutnie fantastyczne* i po prostu zaśmiewają się z odzieżowych absurdów Ediny. My, Angielki, może się i z Ediny śmiejemy, ale jednocześnie odczuwamy swego rodzaju solidarne zażenowanie, a naszemu rozbawieniu towarzyszy lekki dreszcz strachu, lęk ofiar mody, związany z naszymi własnymi błędnymi decyzjami. Błędy Ediny mogą być bardziej skrajne niż błędy większości, ale Angielki naprawdę wydają się szczególnie podatne na co bardziej absurdalne pomysły trawionych gorączką wyobraźni projektantów; prawie każda Angielka w latach osiemdziesiątych miała w szafie idiotyczną spódnicę-purchawkę; nosimy mikromini za każdym razem, gdy wraca na nią moda, obojętnie, czy mamy do niej nogi, czy nie; to samo z butami do połowy uda, getrami, krótkimi obcisłymi szortami oraz innymi wynalazkami, które służą tylko najszczuplejszym, a często wyglądają zdecydowanie głupio nawet i na nich.

Nie jesteśmy osamotnione w tych naszych niefortunnych obyczajach - nasze amerykańskie i australijskie kuzynki potrafią okazać się równie pozbawione gustu - ale moje koleżanki, znajome i informatorki z całego świata wykazują szczególną pogardę dla niezręczności i nieudolności Angielek w kwestiach odzieżowych. Raz, gdy protestowałam, że to trochę nie fair, pewna dostojna francuska dama odparła: „Absolutnie fair. Nie oczekuje się wiele od kolonii, ale wy, Anglicy, podobno jesteście cywilizowanymi Europejczykami. Naprawdę powinniście być mądrzejsi. Paryż macie przecież tuż pod nosem” - uniosła nieskazitelną brew, wzruszyła eleganckimi ramionami i skrzywiła się dyskretnie, sygnalizując zapewne, że jeśli nam nie chce się uczyć od sąsiadów i ludzi od nas mądrzejszych, nie jesteśmy warci, żeby zaszczycała nas swoją uwagą. Nawet bym się tym tak specjalnie nie przejęła, gdyby nie fakt, że owa zaimprovizowana rozmowa miała miejsce w Ascot, w sektorze dla ni mniej, ni więcej, tylko superspecjalnych gości, gdzie my, Angielki (łącznie z tajnymi antropolożkami), byłyśmy wszystkie w naszych najelegantszych sukienkach i kapeluszach. A ja byłam szczególnie dumna ze swojej różowej sukienki mini i różowych bucików z zabawnymi klamerkami w kształcie uzdy końskiej - które uznałam wcześniej za

czarująco dowcipne i idealne na ten dzień na wyścigach, ale które teraz, pod miażdżącym wzrokiem Madame z Policji Mody, wydały mi się niemądre i dziecinne - przykład typowo angielskiej próby zrobienia ze wszystkiego żartu.

Ubiór jest swego rodzaju formą komunikacji - można by go nawet nazwać umiejętnością towarzyską - nie powinno więc być w zasadzie zaskoczeniem, że towarzysko upośledzeni Anglicy nie są w tej dziedzinie specjalnie dobrzy. Mamy wszak trudności z większością innych aspektów komunikacji, zwłaszcza gdy nie istnieją jasne, oficjalne zasady. Być może utrata naszych sztywnych kodeksów ubraniowych z lat pięćdziesiątych miała ten sam efekt, co zanik *How do you do?* jako standardowego pozdrowienia. Nie mając do dyspozycji oficjalnego *How do you do?*, nigdy nie wiemy dokładnie, co powiedzieć, a nasze próby swobodnych pozdrowień są niezgrabne, nieeleganckie i żenujące. Podobnie, z powodu zaniku oficjalnych kodeksów ubraniowych - teraz uważanych przez wielu, jak rytuał *How do you do?*, za sztywne i staroświeckie - nigdy do końca nie jesteśmy pewni, jak się ubrać, a nasz strój nieformalny stał się tak żenująco niezręczny jak nasze pozdrowienia.

Nie lubimy oficjalności; protestujemy przeciw dyktowaniu nam czegoś przez drobiazgowo zasady i regulaminy - ale mamy zbyt mało naturalnego wdzięku i swobody towarzyskiej, aby poradzić sobie z brakiem oficjalności w sytuacjach nieoficjalnych. Jesteśmy jak zbuntowane nastolatki, których rodzice narzekają, nie bez powodu, że chcą być traktowane jak dorośli, chcą mieć wolność wyboru i podejmować własne decyzje, ale nie mają dość rozsądku ani dojrzałości, aby poradzić sobie z taką swobodą, a gdy im się ją da, robią tylko wielki bałagan i pakują się w kłopoty.

Główny nurt. Uniform plemienny

Co więc robimy? Tworzymy więcej zasad. Dawne sztywne kodeksy ubraniowe nie ustąpiły miejsca kompletnej odzieżowej anarchii. Choć czasopisma poświęcone modzie regularnie ogłaszają, że „teraz wolno wszystko”, najwyraźniej tak nie jest. To, co obecnie rozumie się jako strój z „głównego nurtu”, zdecydowanie nie spełnia wymogów tego samego rodzaju oficjalnych, uniwersalnych kodeksów ubraniowych epok sprzed lat sześćdziesiątych - gdy na przykład wszystkie kobiety musiały nosić kapelusze, rękawiczki, spódnice konkretnej długości i tak dalej, jedynie ze stosunkowo drobnymi i ściśle określonymi odmianami ze względu na klasę i subkulturę. Ale istnieją ogólne zasady i trendy w modzie, których większość z nas wciąż przestrzega: gdy ktoś nam pokaże fotografię ze sceną zbiorową z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, osiemdziesiątych lub dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, każdy natychmiast rozpozna, po samym stroju i fryzurach, dekadę, w której fotografia została zrobiona. To samo dotyczy na pewno i obecnej dekady, choć jak zwykle wyobrażamy

sobie, że ta obecna jest bardziej anarchistyczna i zmienia się w oszłamiającym tempie, szybciej od każdej poprzedniej. Nawet fotografia przedstawiająca modę „retro”, przetwarzającą styl, powiedzmy, lat siedemdziesiątych w latach pięćdziesiątych, czy lat sześćdziesiątych i osiemdziesiątych w roku 2003, nie oszuka nas, ponieważ owe style nigdy nie są powtarzane dosłownie, zawsze wyrywkowo, z wieloma subtelnymi zmianami, innymi fryzurami i makijażem. Popatrzcie na kilka zdjęć zbiorowych albo przejrzyjcie rodzinne albumy z fotografiami, a uświadomicie sobie nie tylko, że strój bardziej podlega zasadom, niż mogłoby się wydawać, ale także że jesteśmy o wiele bardziej świadomi niuansów obecnych kodeksów ubraniowych, niż sądziliśmy - nawet jeśli nam się zdaje, że nie interesujemy się modą. Przestrzegamy tych zasad nieświadomie, czy nam się to podoba, czy nie, i gdy przyszłe pokolenia zobaczą nas na zdjęciu, będziemy rozpoznawalni jako typowy przykład naszej dekady.

Nawet gdybym wam pokazała zdjęcie jakiejś konkretnej subkultury młodzieżowej, zamiast grupy ludzi reprezentującej główny nurt danej dekady, i tak łatwo rozpoznalibyście okres, w którym ta subkultura miała swoje znaczenie. To mi nasuwa myśl o „plemiennych” kodeksach ubraniowych. Angielskie subkultury ubierające się inaczej niż większość nie są niczym nowym. W połowie XIX wieku kontrkultura prerafaelitów wpłynęła na styl stroju „artystycznego” - było to coś w rodzaju średniowiecznego retro, ale ze współczesnymi naturalistycznymi akcentami - co z kolei ewoluowało w smętny „estetyczny” styl subkultury z końca XIX wieku, a potem luźne, ale żywsze style cyganerii początków XX wieku. W latach pięćdziesiątych swoje własne wyraziste style mieli studenci, typy artystyczne i rockandrollowe; potem byli szykowni modsi i twardzi rockersi, następnie łagodniejszy, artystycznocyganeryjny styl został odkryty na nowo przez hipisów (nieświadomych, że to wszystko już kiedyś było) w końcu lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych; po czym nastali surowsi: punki, skinheadzi i goci (ci ostatni wciąż popularni). Potem w latach pięćdziesiątych powróciliśmy znów do smętnego motywu cyganeryjnego, z grunge’em, New Age’owcami i wojującymi ekologami, który teraz, zgodnie z tradycyjnym ruchem wahadła, zastąpiony został bardziej napastliwym stylem nowych metalowców, *gangsta* i *blingbling*. I tak dalej. Jeśli ten schemat się utrzyma, możemy się spodziewać kolejnego wielkiego odrodzenia ekocyganeryjnohipisowskiego około roku 2010 lub wcześniej. *Plus ça change.*

To streszczenie w pigułce jest uproszczone i na pewno niewyczerpujące, ale chodzi mi w nim o to, że zawsze mieliśmy subkultury i że zawsze odróżniały się one od nurtu głównego oraz od siebie nawzajem dzięki swoim kodeksom ubraniowym - aż ich odrębny styl stawał się

nurtem głównym i trzeba było wymyślić nowy.

Jedyną znaczącą zmianą, jaką widzę ostatnimi czasy, jest wzrost samej liczby różnych stylów subkulturowych - wzrost „plemienności”. Być może to reakcja na „globalizację”, mającą wpływ na naszą kulturę głównego nurtu. W przeszłości angielska młodzież poszukująca tożsamości i sposobów na zirytowanie swoich rodziców miała wybór pomiędzy najwyżej trzema młodzieżowymi plemionami kontrkulturowymi; teraz jest ich co najmniej sześć, a każde ma własne podgrupy i frakcje. Od lat pięćdziesiątych wszystkie subkultury młodzieżowe są ściśle identyfikowane z różnymi rodzajami muzyki. Prawie wszystkie początkowo wywodziły się z czarnej muzyki amerykańskiej, którą przywłaszczali sobie i modyfikowali biali. Obecne towarzystwo w większości podporządkowuje się temu schematowi: entuzjaści garage, R & B, hiphopu, drum & bass, techno, trance i house’u, z których każdy paraduje w minimalnie różniących się ubraniach. Grupy techno/house /trance są przy tym bardziej swobodnie eleganckie, pozostali bardziej *gangsta* i na pokaz, z metkami znanych projektantów i o różnym stopniu „blingu”.

Niewielkie różnice w stylu między tymi grupami są subtelne i właściwie niewidoczne gołym okiem dla niewtajemniczonego obserwatora, tak samo jak większość tej muzyki może brzmieć podobnie dla niewprawnego ucha. Będąc jednak członkiem jednego z tych młodzieżowych plemion, nie tylko widzisz i słyszysz ważne różnice między, powiedzmy, house’em, techno i trance’em, ale także, wewnątrz tych kategorii, między podgatunkami, takimi jak acid house, deep house, tech house, progressive house, HiNRG, NuNRG, Old Skool, goa trance, psy trance, hardcore, happy hardcore itd³⁰. Wiesz na przykład, że hard house i HiNRG są szczególnie popularne wśród gejów i kojarzone z bardziej ekstrawaganckim, świadomym ciała stylem ubioru, ale łatwo potrafisz odróżnić ten typ przepychu od ostentacyjnej odmiany pod szyldem *blingbling*, kojarzonej z hiphopem. Możesz dyskutować na temat tych różnych podgatunków w żargonie kompletnie niezrozumiałym dla osób postronnych i czytać specjalistyczne czasopisma z recenzjami pisanymi wewnętrznym szyfrem, na przykład:

„Slam stawia na syntetyczny, gęsty mix techhouse, a Unkle zapodaje bardziej zakręconą wersję beatzową”.

„Wielowarstwowy, mocny bit pełen tekstur, który zadowoli zarówno parkietowców, jak i jajogłowych”.

„Mimo chwilowego romansu z acidem Massive Power ujawnia swoją inspirację Mr Springiem w wybijającym się, hipnotyzującym rytmie 290 bpm”³¹.

Zbiorowa odrębność

No więc zaczynasz się buntować przeciw kulturze głównego nurtu i ogłaszasz swoją nonkonformistyczną indywidualną tożsamość, tyle że w swojskim poczuciu bezpieczeństwa, wynikającym z przynależności do zorganizowanej, rządzącej się zasadami grupy społecznej o wspólnych gustach, wartościach i żargonie, oraz ściśle określonych granicach i kodeksach zachowania. I żadnego ryzyka związanego z odzieżowymi pomyłkami lub wstydem, ponieważ, w odróżnieniu od kultury nurtu głównego, gdzie wskazówki są dość niejasne, tu mamy wyraźne i precyzyjne instrukcje, co się nosi. Nic dziwnego, że tylu angielskich nastolatków wybiera tę formę buntu.

Kodeksy ubraniowe subkultur młodzieżowych są „kodeksami” zarówno w sensie „zbioru zasad”, jak i „zbioru kodów”. Deklaracje odzieżowe plemion, podobnie jak werbalne, przytoczone powyżej, są zakodowane, podawane wewnętrznym szyfrem, trudnym do złamania dla postronnych. Te zakodowane kodeksy ubraniowe zawierają masę nakazów; są surowe do takiego stopnia, że gdyby były zasadami narzuconymi przez rodziców czy szkołę, zostałyby uznane za ucisk. Odchylenie od uniformu nie jest tolerowane, jak wie każdy, kto próbował dostać się do klubu nocnego popularnej subkultury, mając na sobie niewłaściwy strój. I nie chodzi o to, co masz na sobie, tylko jak to nosisz. Jeśli czapki wełniane nosi się naciśnięte na czoło aż do brwi, całkiem zasłaniając uszy, to ty też tak nosisz swoją wełnianą czapkę. A to, że wyglądasz jak sześciolatek ubrany przez nadgorliwą mamę, nie ma tu nic do rzeczy. Jeśli bluzy dresowe z kapturem nosi się zapięte pod szyję, a kaptur na głowie, co znów nadaje ci dziwnie bezbronny i dziecinny wygląd - ty właśnie tak nosisz swoją bluzę. Jeśli jesteś gotem, nosisz czarne ubrania, używasz białego podkładu, grubej czarnej kredki do oczu i ciemnej szminki. I masz długie włosy. Nawet przy całym pogrzebowym kostiumie i makijażu, krótkie włosy będą cię wyróżniać jako nowicjusza lub „świeżego” gota. Szybko więc je zapuść, kup perukę lub zafunduj sobie przedłużenie.

To nie znaczy, że wewnątrz stylów subkulturowych nie ma różnorodności czy miejsca na indywidualną autoekspresję, tyle że taka różnorodność musi się mieścić w obrębie wyraźnych granic; można wybierać, ale z ograniczonego zestawu motywów głównych. Got musi być rozpoznawalny jako got, grunger jako grunger, w innym wypadku nie ma to sensu. Niektórzy członkowie subkultur młodzieżowych mają większą świadomość swego konformizmu niż inni. Paul Hodkinson w swoim znakomitym opracowaniu dotyczącym subkultury gotów cytuje jednego informatora, który na pytanie: „O co chodzi z tymi gotami?”, oświadczył: „O to, że ma się absolutną swobodę, żeby ubierać się i wyrażać siebie, jak się chce”. Hodkinson komentuje: „To, jak członkowie subkultur odpowiadają na wprost zadane pytania, może czasem prowadzić do spornych konkluzji” (czyli w naukowy sposób

stwierdza: „Taaa, jasne...”).

Inna informatorka była bardziej spostrzegawcza. Odpowiadając na pytanie o znaczenie bycia „innym”, powiedziała: „No, zawsze się tak mówi, że wszyscy jesteśmy indywidualistami, ale wszyscy nosimy takie same buty! Wie pan, o co mi chodzi? «Ach, jacy to z nas indywidualiści, wszyscy ubrani w podarte siatki i buty New Rocks»,,. A trzecia respondentka dostarczyła uroczo zwięzłego i ujmująco szczerego wyjaśnienia tej pozornej sprzeczności: „To nie tak, że jesteś gotem, bo chcesz się wyróżniać, tylko lubisz być trochę inny niż wszyscy, chociaż jak jesteś z innymi gotami, to się nie wyróżniasz, ale, rozumie pan, wszyscy razem jesteśmy inni niż pozostali”.

Ten komentarz potwierdzałby moją opinię o tym, że rzekoma angielska odzieżowa ekscentryczność jest w pewnym sensie wysiłkiem grupowym, bardziej kwestią odrębności zbiorowej niż oryginalności indywidualnej. Chcemy być kreatywni i inni, ale mierzi nas myśl o wyróżnianiu się, chcemy też pasować i przynależeć - przyłączmy się więc do jakiejś subkultury i bądźmy wszyscy ekscentryczni razem, jednakowo. W ten sposób mamy wszystko: podniecający bunt i komfort konformizmu. Rozkosznie angielski kompromis. I tylko troszkę zakłamaną.

Humor w ubiorze

Kodowany język deklaracji odzieżowych subkultur jest, jak cała angielska komunikacja, przepełniony humorem. Wspominałam już o roli zasady „byle nie zbyt serio” (Pierwszym Przykazaniu angielskiego humoru) w „mainstreamowym” angielskim podejściu do stroju, ale ze zdziwieniem przekonałam się, że ta zasada jest równie silna i tak samo surowo przestrzegana przez subkultury młodzieżowe.

W końcu wiadomo, że młodzi ludzie, zwłaszcza nadmiernie skoncentrowane na sobie nastolatki, mają skłonność do traktowania samych siebie trochę zbyt serio. A biorąc pod uwagę ogromne towarzyskie znaczenie stroju w plemionach młodzieżowych (styl ubierania się jest tam głównym środkiem odróżniania się od znienawidzonego „mainstreamu” i od siebie nawzajem, głównym sposobem wyrażania tożsamości i przynależności plemiennej), naprawdę można by im było wybaczyć, że biorą strój i wygląd bardzo poważnie. Byłam pewna, że te subkultury pozostaną wyjątkiem od reguły „byle nie zbyt serio” i zasady ironii. Zakładałam, że członkowie plemion młodzieżowych, co rozumiały, nie będą w stanie lub będą niechętni temu, by z dystansem śmiać się ze swoich odzieżowych sygnałów przynależności, nad którymi się tak trzęsą.

Ale myliłam się. Nie doceniłam potęgi i wszechobecności angielskich zasad humoru. Nawet wśród tych, których tożsamość subkulturowa jest najściślej związana z ich

plemiennym kostiumem, jak na przykład goci, odkryłam zdumiewająco duży ironiczny dystans. Goci w swoich makabrycznych czarnych kostiumach może *wyglądają*, jakby brali siebie samych bardzo poważnie, ale gdy zacznie się z nimi rozmawiać, wykazują sporo typowo angielskiej autoironii. W wielu wypadkach nawet ich ubranie jest celowo ironiczne. Gawędziłam na przystanku autobusowym z gotem w pełnym rynsztunku wampirycznym - kredowobiała twarz, ciemnofioletowa szminka, długie czarne włosy i tak dalej - gdy zauważyłam, że ma on też na sobie Tshirt z dużym napisem GOT na przodzie. „O co tu chodzi?” - zapytałam, wskazując na Tshirt. „To na wszelki wypadek, gdybyś nie załapała - odpowiedział, półserio. - No wiesz, nie zniósłbym, gdyby ludzie pomyśleli, że jestem jakimś nudnym, konwencjonalnym gościem, nie?”. Oboje popatrzyliśmy na jego bardzo rzucający się w oczy, niedwuznaczny kostium i wybuchnęliśmy śmiechem. Zwierzył mi się jeszcze, że miał inny Tshirt, z napisem STARY SMĘTNY GOT, i że takie koszulki były bardzo popularne wśród jego przyjaciół gotów, którzy nosili je, „żeby ludzie nie brali tego zbyt poważnie - no i żebyśmy sami siebie nie brali zbyt poważnie, bo jak tracimy czujność, mamy do tego ciągoty. Trzeba umieć robić sobie jaja z siebie samych”.

Gdy już się nauczymy rozszyfrowywać odzieżowy dialekt jakiejś subkultury, okazuje się, że wiele z ich tekstylnych deklaracji to autoironiczne dowcipy dla wtajemniczonych, które często wyśmiewają sztywne zasady ubraniowe danego plemienia. Niektórzy goci, na przykład, kpią sobie z ponurej, makabrycznej zasady „tylko czerń”, wkładając żywy, dziewczęcy róż - kolor, którym ta subkultura tradycyjnie pogardza. „To różowe to żart - wyjaśniła młoda gotka o różowych włosach i w różowych rękawiczkach - bo róż jest jakby kompletnie przeciw całej ideologii gotów”. Czyli goci o różowych włosach, czy obnoszący się z różowymi ciuchami, śmieją się z siebie, celowo kpiąc nie tylko ze swoich kodeksów ubraniowych, ale ze wszystkich gustów i wartości, które określają ich tożsamość plemienną. Chyba nie można się już bardziej ironicznie zdystansować. Humor rządzi - zdecydowanie!

Do tej pory w tym rozdziale byłam dość krytyczna wobec Anglików, ale owa umiejętność śmiania się z samych siebie jest z pewnością zaletą. Gdzież indziej znaleźlibyście gorliwych członków młodzieżowych plemion z obsesją na punkcie stroju, którzy potrafią spojrzeć na siebie w lustrze i powiedzieć: „Ach, daj spokój!”. Ja w każdym razie nigdy nie spotkałam tak daleko posuniętej autoironii wśród porównywalnych grup w żadnym innym kraju.

A więc. Wampiry w ironicznym różu. Kolejny powód do dumy. Mój ostatni mały wybuch dumy patriotycznej, o ile się nie mylę, dotyczył kiepskich kalamburów w nagłówkach gazetowych. Hmm. Być może zaczynacie się martwić o mój gust i osąd, ale

przynajmniej widać tu konsekwentny schemat: rzadkie momenty mojego bezwarunkowego podziwu dla Anglików zawsze wiążą się z naszym poczuciem humoru, to wyraźnie coś, co cenię bardziej od wielu innych, może bardziej wartościowych cech. Ach, jak bardzo jestem w tym angielska.

Poczucie humoru może usprawiedliwić dziwną skądinąd angielską manię urządzania balów przebierańców. Inne narody mają bale maskowe i festiwale krajowe lub regionalne, w których używa się kostiumów, ale nie urządzają balu przebierańców co weekend bez wyraźnego powodu lub pod najbliższym pretekstem, tak jak Anglicy. Angielscy mężczyźni mają najwyraźniej osobliwą skłonność do przebierania się w stroje kobiece. Korzystają z każdej okazji, aby przystroić się w gorsety, rajstopy kabaretki i buty na obcasach. I to zawsze ci najbardziej macho, ewidentnie heteroseksualni Anglicy (żołnierze, rugbiści itd.) uważają za świetną zabawę przebieranie się za prostytutki. Wydaje mi się to kolejnym przejawem „zbiorowej ekscentryczności”: uwielbiamy łamać zasady odzieżowe, pod warunkiem że możemy to robić wszyscy razem, w kontekście regulowanej zasadami kulturowej remisji, jak na przykład bal przebierańców, gdzie indywidualny wstyd nie istnieje.

Klasa a ubiór

Dziś o wiele trudniej jest rozpoznać czyjąś klasę społeczną po ubiorze, wciąż jednak mamy kilka stosunkowo niezawodnych wskazówek. Nic aż tak oczywistego, jak dawne różnice między robotniczym kaszkietem a sztuczkowym garniturem, ale jeśli się uważnie przyjrzeć, można rozpoznać niepisane zasady odzieżowe i subtelne sygnały statusu.

Młodzież i młodzież

Wskaźniki klasy najtrudniej rozpoznać wśród młodzieży, ponieważ młodzi ludzie ze wszystkich klas zazwyczaj hołdują albo plemiennym modom ulicznym, albo trendom głównego nurtu (które tak czy inaczej są zwykle rozrzedzonymi wersjami mód ulicznych). Może to irytować przejmujących się klasą społeczną rodziców, jak również obserwujących sygnały klasowe antropologów. Jedna z matek z wyższej warstwy klasy średniej narzekała: „Jamie i Saskia wyglądają całkiem jak ci chuligani z osiedla domów komunalnych. Naprawdę nie rozumiem, jaki w tym sens!”. To znaczy: co za sens wysilać się i nadawać dzieciom „eleganckie” imiona wyższej warstwy klasy średniej, i posyłać je do drogich szkół dla wyższej warstwy klasy średniej, skoro oni uparcie ubierają się jak Kevin i Tracey z byle jakiego lokalnego ogólniaka.

A jednak matka bardziej spostrzegawcza mogłaby zauważyć, że Jamie i Saskia tak naprawdę nie wyglądają *dokładnie* jak Kevin i Tracey. Jamie ma wprawdzie włosy obcięte bardzo krótko i często postawione na żel, ale Kevin zawsze pójdzie o krok dalej i zgoli swoje

prawie całkiem, zostawiając tylko kilka milimetrów meszku. Rodziców Saskii bulwersuje jej wielokrotnie przekłute ucho, a co bardziej zuchwałe Saskie mogą nawet mieć przekłuty pępek, ale większość Saskii nie będzie miała kółek i ćwieków w brwiach, nosie i języku, jak Tracey. Zara, córka księżniczki Anny, miała kolczyk w języku, ale było to na tyle szokujące złamanie zasad, że pisały o tym na pierwszej stronie wszystkie tabloidy. Klasa wyższa i arystokracja, podobnie jak ci na samym dole drabiny społecznej, mogą ignorować niepisane kodeksy ubraniowe, ponieważ nie dbają o opinię sąsiadów. Nie gnębią ich kompleksy typowe dla klasy średniej. Jeśli Saskia z klasy średniej przekłuje sobie język, ryzykuje, że nazwą ją „pospolitą”; jeśli zrobi to arystokratka Zara, jest to odważne i ekscentryczne.

Abstrahując od okazjonalnych wyjątków z klasy wyższej, różnice odzieżowe między młodzieżą z klasy średniej i klasy robotniczej są generalnie kwestią umiaru. Zarówno Jamie, jak i Kevin mogą nosić workowate spodnie z krokiem w kolanach (pod wpływem stylu czarnego amerykańskiego *gangsta*), ale spodnie Kevina będą miały krok niżej i będą szersze - w sumie okażą się o cztery rozmiary za duże, zamiast tylko dwóch. I Kevin z klasy robotniczej zacznie je nosić w młodszym wieku niż Jamie z klasy średniej. Podobnie ich siostry: zazwyczaj Tracey nosi bardziej ekstremalną niż Saskia³² wersję najnowszego stroju plemiennego i wcześniej zaczyna. Jej także na ogół wolno „dorosnąć” wcześniej i szybciej niż Saskii. Jeśli zobaczycie dziewczynkę jeszcze przed wejściem w wiek dojrzewania, odstawioną według sexy mody młodzieżowej i z takimż makijażem, raczej na pewno nie jest ona z klasy średniej.

Ubrania dzieci i nastolatków z klasy średniej są z reguły bardziej powściągliwe i wyglądają nieco naturalniej niż strój młodych ludzi z klasy robotniczej. Tracey i Saskia, owszem, noszą Tshirty i spodnie w takim samym stylu i o podobnym fasonie, ale rzeczy Saskii są bardziej matowe niż błyszczące, z większą domieszką włókien naturalnych, przynajmniej jeśli chodzi o strój dzienny. Wskaźniki klasowe są dość subtelne. Saskia i Tracey często robią zakupy w tych samych sieciach sklepów z konfekcją młodzieżową i często kupują takie same rzeczy, ale łączą je i noszą trochę inaczej. Obie mogą mieć krótką dzinsową kurtkę z TopShopu, ale Tracey będzie nosić swoją do obcisłych, trochę błyszczących czarnych spodni z domieszką lycry lub nylonu i ciężkich, czarnych butów na grubych podszewkach, Saskia natomiast włoży identyczną kurtkę do pary sztruksów, kozaczków i dużego miękkiego szala owiniętego kilka razy wokół szyi. Z jakiejś przyczyny młodzież z klasy średniej i wyższej ma większe skłonności do noszenia szalików niż warstwy niższe, i generalnie mniejsze opory przed opatulaniem się, gdy jest zimno. Kevin i Tracey często sprawiają wrażenie, że bardzo chcą zmarznąć, wychodząc w mroźne styczniowe

wieczory tylko w Tshircie pod skórzaną kurtką (Kevin) lub minispódniczce i cienkich błyszczących rajstopach (Tracey). Tak nieodpowiednio ubrani młodzi ludzie stanowią typowy widok zwłaszcza na północy kraju.

Nie jest to kwestia pieniędzy; cena ubrań nie jest miarodajną wskazówką, do jakiej klasy należy ten, kto je nosi. Ubrania Saskii i Jamiego nie są wcale droższe niż ubrania Tracey i Kevina. Prawdopodobnie Tracey i Kevin mają w swoich szafach sporo markowych ubrań. Ale znów różnice są znamienne. Gdy młodzież z klasy robotniczej, bez względu na płeć, nosi „markowe” ubrania, zwykle wybiera te z dużymi, widocznymi metkami. Argumentacja wydaje się być taka: jaki jest sens mieć bluzę od Calvina Kleina czy Tommy’ego Hilfigera, jeśli nikt o tym nie wie? Klasa średnia i wyższe uważają duże metki z logo znanych projektantów za raczej wulgarne.

Jeśli wciąż mamy wątpliwości, przyjrzyjmy się fryzutom. To dość niezawodny wskaźnik klasy. Fryzura Tracey prawdopodobnie będzie wyglądała na bardziej „zrobioną”, bardziej sztuczną i wymyślną niż włosy Saskii - i z pewnością w użyciu będzie więcej żelu, farby, lakieru. Prawie wszystkie uczennice szkół prywatnych z wyższej warstwy klasy średniej do klasy wyższej mają proste, błyszczące czystością, miękko opadające włosy, puszczone luźno, tak żeby mogły je bez przerwy odgarniać, przesypywać między palcami, przerzucać i odrzucać, zakładać za uszy, ściągać w luźny kucyk, a potem pozwolić im znów opaść, w serii pozornie niedbałych, nieświadomych gestów. Taki pokaz miękkich włosów uczennic ze szkół prywatnych jest rytuałem bardzo charakterystycznym, rzadko widywanym wśród kobiet z klasy robotniczej.

Ten bardziej powściągliwy i naturalny wygląd młodzieży z klasy średniej jest tylko częściowo wynikiem dyktatów przewrażliwionych na punkcie klasy rodziców. Angielskie dzieci i młodzież są nie mniej świadome klasowo niż starsi, i chociaż jedna czy druga Saskia lub Jamie z klasy średniej mogą używać „pospolitych” akcesoriów odzieży lub biżuterii jako wyrazu buntu, mają swoje własne odzieżowe snobizmy i swoje własne klasowe kompleksy. Rodzice mogą sobie tego nie uzmysławiać, ale dzieci tak naprawdę chcą się odróżnić od „chuliganów z osiedla domów komunalnych”. Mają nawet swoje określenia na tych, których strój i zachowanie umieszczają w kategorii klasy niższej - jak na przykład „Traceygirl”, „Gary”, „Kevin” (często skracane do „Kev”) lub „Grub”. Ci z kolei wyrażają się o dzieciach „z wyższych sfer”: „Camilla”, „Hooray Henry” i „Sloane”, i wcale nie chcą ich naśladować. Etykietyk nadaje się tylko innym; młodzi ludzie nigdy nie nazywają *siebie samych* Kev czy Camilla.

Bardziej wrażliwa młodzież angielska z klasy średniej trochę wstydy się swojego

snobizmu i w rozmowach ze mną niechętnie przyznawała się do używania przytoczonych wyżej terminów. Dyskusje podejmujące wątek klas społecznych zawsze przerywane były nerwowym śmiechem. Pewna nastolatka z wyższej warstwy klasy średniej wyznała, że strasznie chciała mieć jedną dość drogą rzecz z biżuterii, aż kiedyś zauważyła, że zrobiła się ona bardzo popularna wśród fryzjerek, co, jak się wyraziła, „zraziło ją trochę”. Dodała: „Wiem, że nie powinno, to naprawdę snobistyczne z mojej strony, ale nic na to nie poradzę - jeśli one wszystkie to noszą, mnie się to już tak bardzo nie podoba”. Jej przeczuloną na punkcie klasy matkę, z jej obawami, żeby nie wydać się „pospolitą”, niewątpliwie ucieszyłyby ten dowód wpływu na córkę.

Choć młodzi ludzie w Anglii są bardziej świadomi podziałów klasowych, niż chcieliby się do tego przyznać, większość z nich bardziej niż etykietkami klasowymi przejmują się tym, żeby nie zaliczono ich do głównego nurtu, czyli „mainstreamu”. Nazwanie czyjegoś gustu ubraniowego, muzycznego i wszelkiego innego „mainstreamowym” zawsze jest uwłaczające, a w niektórych kręgach to straszna obelga. „Mainstream” to przeciwieństwo „cool”, stosowanego obecnie, ogólnie przyjętego terminu aprobaty. Definicje słowa „mainstream” różnią się między sobą. Gdy młodzi wielbiciele muzyki pokazywali mi spisy klubów i innych lokali tanecznych w czasopiśmie „Time Out”, zdania wśród nich były podzielone co do tego, które kluby są „cool”, a które „mainstreamowe”. W skrajnych wypadkach „mainstream” oznaczał wszystko, co nie było bezspornie „undergroundowe”; dla niektórych młodych bywalców klubów, *każdy* klub czy lokal wspomniany w „Time Out” był automatycznie „mainstreamowy” - imprezy pod hasłem „cool” to były wyłącznie te, o których wiadomości przekazywano sobie ustnie.

Dla angielskiej młodzieży są to sprawy poważne, ale mimo wszystko z zadowoleniem zauważyłam w dyskusjach na temat, co jest „cool”, a co „mainstream”, ukrytą nutę humoru, czasem z elementem autoironii. Niektóre nastolatki żartują sobie nawet z własnej fobii na punkcie „mainstreamu”. Na przykład w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy jego uosobieniem były Spice Girls, pogardzane przez wszystkich ludzi z pretensjami do „cool” i „undergroundu”, niektórzy kontrkulturowi grungerzy zaczęli nosić Tshirty z wizerunkami Spice Girls - był to ironiczny żarcik, kpina z samych siebie, sprzeciw wobec traktowania ucieczki od „mainstreamu” zbyt poważnie. Takie żarty mogą oczywiście udać się tylko tym, którzy już są uznani za „cool”. W gruncie rzeczy stwierdzają oni: „Jestem tak «cool», że mogę włożyć ewidentnie «mainstreamową» koszulkę ze Spice Girls i nikt nie pomyśli, że naprawdę mógłbym je lubić”.

Klasa - dorośli

Semiotyka odzieżowa w wypadku dorosłych jest trochę mniej skomplikowana niż zasady i sygnały nastolatków, a wskaźniki klasy nieco bardziej wyraźne.

Aktualnie obowiązujący podręcznik *savoir-vivre*'u słynnego wydawnictwa Debrett's radzi nam „zapomnieć o starym brytyjskim powiedzeniu, że przesadne strojenie się jest w złym guście”. Autor twierdzi, że zasada ta pochodzi z czasów, gdy „akceptowaną normą było ubierać się ze zbytnią starannością do wszystkich zajęć stojących wyżej w hierarchii niż praca w ogródku”. Wówczas, jak twierdzi, „strojenie się oznaczało bycie ubranym w sposób krzykliwy, zbyt wymyślny lub żenujący, a tymczasem warto zwrócić uwagę na współczesną inwazję odzieży inspirowanej sportem, która całe tłumy narodu uczyniła niewolnikami dresów i adidasów”. W sumie ma rację, zwłaszcza jeśli chodzi o mężczyzn, jednakże u kobiet krzykliwy, zbyt wymyślny strój wciąż jest nieomylnym wskaźnikiem klasy niższej, natomiast wyższym warstwom nadal udaje się „stroić”, bez wyglądania przy tym wymyślnie i przesadnie.

Klasa - kobiety

Nadmiar biżuterii (zwłaszcza złotej, i wisiorków z imieniem lub inicjałami właścicielki), przesadny makijaż, zbytnio wymodelowane włosy, przeładowane, nazbyt strojne ubranie, błyszczące rajstopy i niewygodnie wąskie buty na bardzo wysokich obcasach - to cechy charakterystyczne klasy niższej, zwłaszcza jeśli wszystko to jest noszone przy stosunkowo niezobowiązujących okazjach. Głęboka, „spieczona” opalenizna też uważana jest przez klasy wyższe za wulgarną. Podobnie jak w wypadku mebli i wyposażenia wnętrz, cukierkowatość i dopasowanie ubrań lub akcesoriów „na siłę” także jest sygnałem klasy niższej, szczególnie jeśli włączony jest jaskrawy kolor - na przykład granatowa sukienka z czerwonym wykończeniem, czerwonym paskiem, czerwonymi butami, czerwoną torebką i czerwonym kapeluszem (odejmujemy jeszcze dwa punkty z klasy, jeśli którykolwiek z tych atrybutów jest dodatkowo błyszczący). Taki rodzaj „przestrojenia się” często widać na ślubach klasy robotniczej lub przy innych specjalnych okazjach. Podobne zbyt staranne dopasowanie, ale z użyciem bardziej umiarkowanego „akcentowego” koloru, jak np. kremowy, świadczy o niższej warstwie klasy średniej; zredukowanie liczby akcesoriów „pod kolor” do dwóch czy trzech może podnieść cały strój do rangi średniej warstwy klasy średniej - wciąż jednak będzie to „strój”, wciąż zbyt przeładowany i odświętny, wciąż zbyt wyraźnie strojny jak dla wyższej warstwy klasy średniej.

Aby uzmysłwić sobie zasadniczą różnicę między ubraniem niższej/średniej warstwy klasy średniej i wyższej warstwy klasy średniej, zestawmy Margaret Thatcher (staranne, sztywne, eleganckie jasnyniebieskie kostiumy; błyszczące bluzki; buty i torebki pod kolor;

wymodelowany hełm z włosów) z inną ikoną brytyjskiej polityki, Shirley Williams (znoszone, pomięte, połączone byle jak - ale dobrej jakości - tweedowe spódnice i kardigany; stonowane, maziste barwy; nic pod kolor; zmierzwiowane, niemodelowane włosy)³³. Nie chcę przez to powiedzieć, że każdy rodzaj niechlujstwa świadczy o wyższych sferach, czy że każda próba wystrojenia się automatycznie świadczy o klasie niższej. Kobieta z wyższej warstwy klasy średniej lub z klasy wyższej nie włoży legginsów w stylu Waynetty Slob^k i niechlujnej welurowej bluzy, jeśli idzie na lunch do eleganckiej restauracji - ale pojawi się w czymś raczej prostym i subtelnym, bez śladów topornego dobierania pod kolor i wymuszonego dopasowywania dodatków. Włosy może mieć niedbale „nieułożone”, ale nie będą one tłuste, ani nie będzie widać kilku centymetrów ciemnych odrostów bez trwałej we włosach ufarbowanych na krzykliwy blond.

U dorosłych Angielek wskaźnikiem klasy społecznej może być również powierzchnia odsłanianego ciała. Z reguły wielkość dekoltu jest odwrotnie proporcjonalna do pozycji na drabinie społecznej - im więcej biustu odsłania ubranie, tym niższa klasa społeczna jego właścicielki (chodzi o strój dzienny - suknie na przyjęcia i suknie balowe mogą odsłaniać więcej). W wypadku kobiet w średnim wieku i starszych ta sama zasada dotyczy ręki nad łokciem. Kuse, obcisłe ubrania, opinające się na wałkach tłuszczu, także są w stylu klasy niższej. Kobiety z warstw wyższych mają fałdy, owszem, ale skrywają je pod luźniejszym ubraniem lub większą liczbą jego warstw.

Zasady klasowe dotyczące nóg są mniej wyraźne, jako że dochodzą tu dwa dodatkowe czynniki komplikujące problem, a mianowicie moda i jakość nóg. Kobiety z niższej warstwy klasy robotniczej (i nuworyszki o robotniczym pochodzeniu) lubią nosić krótkie spódnice, gdy te są w modzie, a często i wtedy, gdy nie są, bez względu na to, czy mają dobre nogi, czy nie, podczas gdy „szanujące się” kobiety z wyższej warstwy klasy robotniczej, niższej warstwy klasy średniej i średniej warstwy klasy średniej nie eksponują zbyt nóg, nawet jeśli zezwalają na to zarówno ich wygląd, jak i moda. Wśród wyższych warstw społecznych, co bardziej młodzieńcze i modne kobiety noszą krótsze spódniczki, ale tylko jeśli mają bardzo dobre nogi. Wyższa warstwa klasy średniej i klasy wyższe uważają grube nogi - a zwłaszcza grube kostki - nie tylko za nieatrakcyjne, ale co gorsza, za oznakę pochodzenia robotniczego. Mit, że wszystkie kobiety z klas wyższych mają eleganckie nogi i szczupłe kostki, jest utrwalany przez fakt, że te, które mają nogi grube, zwykle dbają o to, by je ukrywać.

A więc, jeśli zobaczymy Angielkę o grubych nogach w krótkiej spódnicy, prawdopodobnie jest przedstawicielką klasy robotniczej; ale kobieta z dobrymi nogami w krótkiej spódnicy może być albo ze szczytu albo z dołu drabiny społecznej. Musimy wtedy

szukać innych wskazówek, wynikających ze szczegółów opisanych powyżej, takich jak rozmiar dekoltu, widoczne fałdy tłuszczu, makijaż, łączenie kolorów, połyskliwość, przeładowanie, biżuteria, fryzura i buty. Wszystkimi tymi wskaźnikami możemy się posługiwać w ocenie zarówno ubrania służbowego - kostiumu i tak dalej - jak i stroju nieoficjalnego. Angielskie kodeksy ubraniowe i odzieżowe jako wyznaczniki klasy są wprawdzie od lat pięćdziesiątych nieco mniej wyraźne i oficjalne, ale powiedzieć, że nie da się już stwierdzić czyjejs klasy po ubiorze, to po prostu nonsens. Na pewno jest trudniej, wciąż jednak mamy wiele wskazówek - zwłaszcza jeśli już raz opanowało się różnice w pojmowaniu elegancji przez klasę wyższą i niższą, a co być może ważniejsze, różnice w rozumieniu niechlujstwa.

W przypadkach skomplikowanych lub niejednoznacznych, gdy po to, aby określić pozycję społeczną Angielki, nie można po prostu odczytać deklaracji odzieżowych a vista, może zaistnieć potrzeba skupienia się na innych aspektach ubioru, takich jak zwyczaje zakupowe i rozmowy o ciuchach. Na przykład tylko wyższa warstwa klasy średniej i klasa wyższa chętnie i bez problemu przyznają się, że kupują ubrania w sklepach organizacji charytatywnych. Ta reguła zachowania dyskrecji nie jest tak surowo przestrzegana wśród nasto - i dwudziestolatków, ponieważ polowanie na okazje w takich sklepach stało się modną rozrywką, popieraną przez pisma ilustrowane i supermodelki z klasy robotniczej, toteż niektóre młode kobiety z klasy niższej idą za ich przykładem. Ale w wypadku starszych kobiet, tylko te na najwyższym lub najniższym końcu skali kupują ubrania w sklepach organizacji Oxfam, Cancer Research, Sue Ryder czy Age Concern - a tylko te z najwyższego szczebla nie będą miały oporów, żeby się do tego przyznać. Kobieta z wyższej warstwy klasy średniej z dumą określi się przed tobą w nowej spódnicy i radośnie oznajmi: „Tylko cztery i pół funta w Oxfamie!”, oczekując, że będziesz podziwiał jej spryt, oszczędność, czarującą ekscentryczność, cyganerię i brak snobizmu.

W niektórych przypadkach może ona być autentycznie bez pieniędzy, a wiedząc, że klasy w Anglii nie ocenia się na podstawie dochodów, nie będzie się wstydziła do tego przyznać. Ale kobiety z wyższej warstwy klasy średniej często z zasady kupują w sklepach organizacji charytatywnych i z odzieżą używaną (z jakiej dokładnie zasady, nie jest całkiem jasne), nawet jeśli bez problemu stać je na nowe ciuchy. I chwalą się swoimi zakupami. Ale okażmy odrobinę zrozumienia - to ich jedyna szansa, żeby za jednym razem złamać zarówno zasadę skromności, jak i tabu rozmów o pieniądzach - oczywiście, że można im wybaczyć tę odrobinę podniecenia. Ich zachwyty jest jednak niezrozumiałe dla kobiet z dołu skali społecznej i finansowej, które kupują w ciucholandach z palącej potrzeby i nie jest to dla nich

źródłem chwały ani poczucia dumy - wręcz przeciwnie: wiele z nich uważa to za głęboko wstydlive.

Bardziej przeczulone na punkcie klasy kobiety z wyższej warstwy klasy średniej, choć dumne z zakupów w sklepach organizacji charytatywnych, często niechętnie przyznają się do zakupów w niektórych domach towarowych wielkich sieci jak Marks & Spencer (poza bielizną i czasem gładkim Tshirtem lub męskim swetrem), British Home Stores i Littlewoods (oba - tereny tabu, gdzie się nie chodzi, nawet w celu kupienia majtek). Jeśli już kupią coś większego, na przykład żakiet, u Marksa i Spencera, nie krygują się, nie okręcają przed koleżankami i nie wykrzykują, jaki był tani, ale jeśli koleżanka podziwia ten ciuch i pyta, skąd go ma, powiedzą: „Wyobraź sobie, to M&S!”, zdumionym, wysokim tonem, jakby same nie mogły w to uwierzyć. Koleżanka odpowiada: „*Nie!* Naprawdę?”, takim samym tonem. (Ich nastoletnie córki mogą prowadzić podobne konwersacje na temat tańszych sieci sklepów, zorientowanych na ich grupę wiekową, jak na przykład New Look lub Claire's Accessories).

Klasa - mężczyźni

Raczej więc nietrudno ocenić klasę społeczną Angielki po tym, jak jest ubrana. Mężczyźni stanowią trochę większy problem dla obserwatora różnic klasowych. W stroju dorosłych mężczyzn istnieje o wiele mniej różnorodności (zwłaszcza w stroju do pracy), w efekcie mają oni mniejszy wybór, a co za tym idzie mniej okazji do świadomych lub mimowolnych tekstylnych deklaracji klasowych. Stare rozróżnienie na niebieskie i białe kołnierzyki, czyli pracowników fizycznych i umysłowych, nie jest już wiarygodne. Utrata znaczenia przez przemysł wytwórczy oraz swobodne kodeksy ubraniowe wielu nowych firm i gałęzi przemysłu oznaczają, że garnitur *per se* nie odróżnia już mężczyzny z niższej warstwy klasy średniej od tego z klasy robotniczej. Młody mężczyzna idący do pracy w dzinsach i Tshircie może być robotnikiem na budowie, ale równie dobrze dyrektorem naczelnym niezależnej firmy produkującej oprogramowanie komputerowe. Uniformy są bardziej pomocne, ale też nie niezawodne. Tak, fartuch sprzedawcy lub mundur kierowcy autobusu prawdopodobnie wskazują na klasę robotniczą, ale już strój barmana czy kelnera nie, jako że w barach i restauracjach często pracują studenci z klasy średniej. Ogólnie rzecz biorąc, zawód nie jest zbyt wiarygodną wskazówką co do klasy społecznej, zwłaszcza w zawodach „umysłowych”: księgowi, lekarze, prawnicy, biznesmeni, nauczyciele i agenci nieruchomości mogą pochodzić ze wszystkich środowisk społecznych. A więc, nawet jeśli można po stroju poznać czyjś zawód, niekoniecznie poznamy po nim klasę społeczną.

Choć w niektórych zawodach kodeksy ubraniowe są teraz nieco luźniejsze, większość pracowników „umysłowych” wciąż chodzi do pracy w garniturach - i na pierwszy rzut oka

wszyscy mężczyźni w garniturach, którzy rano dojeżdżają do pracy, wyglądają niemal identycznie. Szczerze mówiąc, na drugi i trzeci rzut oka też wyglądają niemal identycznie. Gdybym była znawczynią odzieży męskiej i potrafiła odróżnić garnitur od Armaniego od garnituru od Marksa i Spencera, nie łapiąc pasażera za kołnierz i nie zerkając na metkę, i tak zyskałabym tylko informacje na temat dochodów tego mężczyzny, nie jego klasy społecznej. W Anglii o klasie mniej świadczy poziom zamożności, a bardziej zawód. Wiem, że Anglik z klasy wyższej, jeśli ma dość pieniędzy, wybierze raczej szyty na miarę garnitur Jermyn Street niż garnitur od Armaniego - a jeśli nie ma pieniędzy, może woleć szyty u krawca garnitur ze sklepu organizacji charytatywnej niż nowy z sieci sklepów na głównej ulicy - jednakże wciąż mi to specjalnie nie pomaga, bo one wszystkie i tak wyglądają po prostu jak garnitury.

Lepszymi wskazówkami są biżuteria i dodatki. Liczy się rozmiar. Duże, masywne, ostentacyjne zegarki, zwłaszcza złote, świadczą o klasie niższej - nawet jeśli są to okropnie drogie roleksy (albo te naśladowujące gadżety Jamesa Bonda, które podają aktualny czas w sześciu krajach, nie przestaną chodzić na dnie oceanu i przetrzymają niewielki atak nuklearny). Członkowie wyższej warstwy klasy średniej i klasy wyższej zwykle noszą bardziej dyskretne zegarki, przeważnie z prostym skórzanym paskiem. Podobna praktyka dotyczy spinek do mankietów: duże, krzykliwe, ostentacyjne spinki to klasa niższa; małe, proste, dyskretne - wyższa. I znów - cena nie jest ważna.

Wszelka biżuteria poza prostą obrączką wskazuje, że ten, kto ją nosi, pochodzi co najwyżej ze średniej warstwy klasy średniej. Niektórzy mężczyźni z wyższej warstwy klasy średniej i klasy wyższej mogą na małym palcu lewej dłoni nosić sygnet z wygrawerowanym herbem rodowym, ale takie sygnety często też obnoszą pretensjonalni członkowie średniej warstwy klasy średniej, tak więc nie jest to przydatna wskazówka. Sygnet z inicjałami zamiast herbu, i to noszony na którymś innym palcu, to warstwa niższa klasy średniej. Trochę bardziej pomocne są krawaty. Demonstracyjnie jaskrawe barwy i krzykliwe wzory (zwłaszcza żartobliwe czy z motywami z kreskówek) to klasa niższa; krawaty w jednolitym kolorze (zwłaszcza jasne i/lub błyszczące) to nie wyżej niż średnia warstwa klasy średniej; członkowie wyższej warstwy klasy średniej i klasy wyższej noszą krawaty w raczej przygaszonych, zwykle ciemnych barwach, z niewielkim dyskretnym deseniem.

Ale przyznam się, że rzadko, jeśli w ogóle, udaje mi się zidentyfikować klasę społeczną mężczyzny w garniturze wyłącznie na podstawie jego stroju; muszę dodatkowo obserwować mowę ciała lub spojrzeć na gazetę. (Bez względu na to, co mężczyźni mają na sobie, tylko ci z klasy robotniczej siedzą w pociągu lub autobusie z szeroko rozstawionymi nogami; i większość mężczyzn z wyższej warstwy klasy średniej nie czyta tabloidów -

przynajmniej nie publicznie).

Ubrania swobodne pokazują trochę więcej - zarówno w sensie fizycznym, jak i pod względem wskaźnika klasy - niż garnitury, ponieważ jest tu większa różnorodność i mężczyźni muszą dokonać jakiegoś wyboru. Problem w tym, że gdy daje im się wolną rękę w wyborze ubrania - bez zasad i ograniczeń jak w wypadku garnituru - dorośli angielscy mężczyźni ze wszystkich klas mają tendencję, by ubierać się raczej źle. Ogromna większość nie ma wrodzonego poczucia stylu, ale i nie ma ochoty być elegancko ubrana - wręcz przeciwnie: powiedziec, że jakiś mężczyzna jest elegancki, czy nawet tylko, że dobrze się ubiera, to rzucić podejrzenie na jego męskość. Mężczyzna zbyt dobrze ubrany automatycznie jest podejrzewany o gejostwo. Anglikom zależy, by być ubranymi *stosownie* lub *odpowiednio*, ale to dlatego, że nie chcą się wyróżniać z tłumu ani zwracać na siebie uwagi. Chcą „pasować”, mieszać się z tłumem, wyglądać w dużym stopniu tak, jak każdy inny niewątpliwie heteroseksualny mężczyzna. W rezultacie wszyscy wyglądają podobnie. Gdy nie mają na sobie służbowego uniformu w postaci garnituru i krawata, noszą mniej więcej taki sam byle jaki uniform złożony z dżinsów i Tshirtu/bluzy albo ze swobodnych spodni i koszuli/swetra.

Tak, zdaję sobie sprawę, że nie wszystkie Tshirty są takie same i że są spodnie i spodnie. Dlatego też zauważenie różnic klasowych między różnymi stylami, materiałami, markami i tak dalej, powinno być możliwe. I jest. Ale nie jest łatwe. (Wcale nie marudzę - no, może trochę: chcę, żebyście wiedzieli, że wszystko to wymagało dużo wysiłku, nie mówiąc już o wielu dziwnych spojrzeniach ze strony mężczyzn, którzy błędnie interpretowali moje próby analizy naszywek na tylnych kieszeniach swoich spodni).

Zasady klasowe swobodnego stroju męskiego oparte są mniej więcej na tych samych zasadach co kobiece zasady klasowe, z tym że przesadne wystrojenie się jest w tym wypadku uważane nie za cechę w stylu klasy niższej, tylko za zniewieściałość. Zasada „połyskliwy nylon kontra włókna naturalne” dotyczy dorosłych mężczyzn tak samo jak kobiet, ale jest o wiele mniej użyteczna jako wskaźnik klasy, bo mężczyźni ze wszystkich klas zwykle unikają ewidentnie błyszczących włókien sztucznych; są one zarówno zniewieściałe, jak i niewygodne. I choć koszula mężczyzny z klasy robotniczej może nie być z czystej bawełny, trudno jest to stwierdzić na pierwszy rzut oka, a nie można przecież chodzić i szarpać mężczyzn za rękawy, żeby sprawdzić jakość tkaniny.

Istnieje także taka sama odwrotnie proporcjonalna zależność między ilością pokazywanego ciała a pozycją na drabinie społecznej. Koszule rozpięte tak, że widać sporo klatki piersiowej, świadczą o klasie niższej - im więcej guzików rozpiętych, tym niższa klasa

właściciela koszuli (a jeśli dodatkowo widać łańcuszek lub wisior na szyi, odejmijmy jeszcze dziesięć punktów z klasy). Nawet stopień odsłonięcia ramienia może mieć znaczenie. Wśród starszych mężczyzn klasy wyższe z reguły przedkładają koszule nad Tshirty, i na pewno *nigdy* nie wyszliby z domu tylko w podkoszulku bez rękawów, bez względu na to, jaki byłby upał - to bezapelacyjnie element stroju klasy robotniczej; goła pierś gdziekolwiek indziej niż na plaży lub basenie to niższa warstwa klasy robotniczej.

W wypadku koszuli podział klasowy zdaje się przebiegać na granicy łokcia: w ciepły dzień mężczyźni z klasy niższej zawijają rękawy trochę powyżej łokcia, klasy wyższe natomiast do wysokości tuż poniżej - chyba że wykonują jakąś ważną czynność fizyczną, jak na przykład praca w ogródku. Zasada odsłaniania ciała dotyczy także nóg. Dorośli mężczyźni z klasy wyższej i wyższej warstwy klasy średniej rzadko pokazują się w krótkich spodenkach, chyba że uprawiają sport, wędrują po górach lub może pracują w przydomowym ogródku; ci ze średniej i niższej warstwy klasy średniej mogą nosić szorty na wakacjach za granicą; ale tylko mężczyźni z klasy robotniczej pokazują nogi publicznie w swoim rodzinnym mieście.

Jeśli chodzi o zasadę ogólną, czy to w zimie, czy w lecie, mężczyźni wyżej stojący w hierarchii społecznej po prostu mają na sobie *więcej ubrania*. Więcej warstw, więcej płaszczy, szalików, czapek i rękawiczek. Jest nieco bardziej prawdopodobne, że noszą ze sobą także parasol, ale tylko w miastach - istnieje stare niepisane tabu zabraniające dżentelmenom noszenia parasola na wsi, chyba że na wyścigach czy przy innej okazji, gdzie rycerskość może od nich wymagać, aby ochronili wystrojone panie przed deszczem. Czyli parasol w mieście może czasem być sygnałem klasy wyższej, ale parasol podczas spaceru na wsi to klasa niższa. No, chyba że jest się pastorem; więcej duchowni z jakiejś przyczyny zwolnieni są z zasady „bez parasola”.

Angielscy mężczyźni z klasy wyższej doprowadzają zasadę „nie odróżniać się” do skrajności, ubierając się tak, jakby chcieli stopić się nie tylko z innymi mężczyznami, ale i z otoczeniem: zielonobrazowe tweedy na wsi, ciemne szarości i granatowe garnitury w prążki w mieście - coś w rodzaju ekskluzywnego kamuflażu. Noszenie niestosownych „miejskich” ubrań na wsi, zarówno w wypadku kobiet, jak i mężczyzn, jest poważną gafą. W niektórych bardzo starych i dostojnych kręgach wiejskich owo tabu rozciąga się na noszenie czegokolwiek w najmniejszym choćby stopniu modnego: im bardziej byle jak jesteś ubrany, tym wyższy twój status społeczny.

Zasady ubioru a angielskość

O rany. Wygląda na to, że strój jest kolejną rzeczą, w której Anglicy nie są zbyt dobrzy, jeszcze jedną ważną „umiejętnością życiową”, której jakoś nie udało nam się

opanować. Jeśli nie mamy konkretnych zasad do przestrzegania, oficjalnych uniformów lub plemiennych kostiumów subkulturowych, nasze deklaracje odzieżowe zazwyczaj są w najlepszym razie niejasne, a w najgorszym jawnie niegramatyczne.

Oczywiście, jest kilka wyjątków, paru Anglików, którzy mówią językiem stroju płynnie i swobodnie. Ale ogólnie rzecz biorąc, jako naród, ten język mamy opanowany słabo. Czyli kolejny dowód (jakby nie było ich dosyć) na tę ułomność towarzyską, która wydaje się najwyraźniejszą z naszych charakterystycznych cech narodowych.

Moje próby rozłożenia na czynniki pierwsze angielskich kodeksów ubraniowych pomogły mi także „dostać się do środka” stereotypu angielskiej ekscentryczności. Pod mikroskopem nasza sławetna ekscentryczność nie jest wcale aż tak chwalebnie indywidualna, oryginalna i kreatywna, jak byśmy sobie życzyli. Większość z tego, co uchodzi za angielską ekscentryczność w ubiorze, okazuje się, przy bacznej inspekcji, raczej konformizmem owieczek. Ale przynajmniej doceniamy i cenimy oryginalność i potrafimy być dumni ze zbiorowej ekscentryczności naszych mód ulicznych.

Najlepiej czujemy się „w uniformie”, co prawda lekko się przeciw niemu buntując, nie chcąc brać siebie zbyt serio i pozwalając sobie na ten osobliwie angielski talent do autoironicznego humoru. Może brakuje nam odzieżowego talentu innych nacji, a nasz gust jest może żaloszny, ale na szczęście mamy poczucie humoru, więc zawsze możemy się z siebie śmiać.

Jedzenie

W roku 1949 Węgier George Mikes napisał słynne już dzisiaj słowa: „Na Kontynencie ludzie mają dobre jedzenie, a w Anglii mają dobre maniery przy stole”. Później, w 1977 roku, zauważył, że nasze jedzenie nieco się poprawiło, a maniery pogorszyły. Nadal jednak nie był pod wrażeniem angielskiego jedzenia, i przyznawał, że nasze maniery przy stole są wciąż „dość przyzwoite”.

Prawie trzydzieści lat później uwagi Mikesa wciąż odzwierciedlają ogólną międzynarodową opinię o angielskiej kuchni, o czym przekonał się pisarzpodróżnik Paul Richardson, gdy powiedział swoim zagranicznym znajomym, że ma zamiar spędzić półtora roku na badaniach do książki na temat brytyjskiej gastronomii. Powiedział, że jego hiszpańscy, francuscy i włoscy znajomi orzekli, że coś takiego jak brytyjska gastronomia nie istnieje, ponieważ do tego potrzebna byłaby namiętna miłość do jedzenia, której my najwyraźniej nie mamy. Sugerowali, że „nasz stosunek do jedzenia to w mniejszym lub większym stopniu małżeństwo bez miłości”.

Wśród litanii narzekań, którą słyszałam także od moich własnych zagranicznych znajomych i informatorów, znalazł się argument, że my uważamy dobre jedzenie za przywilej, nie prawo. Nie mamy także regionalnej kuchni z prawdziwego zdarzenia; rodziny nie jadają razem, tylko konsumują śmieciowe jedzenie przed telewizorem; nasza dieta składa się głównie z solonych lub słodkich przekąsek - frytek, chipsów, batoników czekoladowych, gotowych dań, pizzy z mikrofalówki i innego paskudztwa. Nawet ci, którzy interesują się dobrym jedzeniem i których na nie stać, z reguły nie mają czasu ani energii, żeby kupować i gotować świeże składniki w sposób, jaki inne nacje uważają za normalny lub stosowny.

Krytyka ta jest w dużym stopniu zasadna. Ale to tylko część prawdy. Podobnie jest z przeciwną skrajnością - obecną modą pod hasłem „Cool Britannia”, która głosi, że angielska kuchnia w ostatnich latach zmieniła się nie do poznania, że Londyn jest teraz gastronomiczną stolicą świata, że jedzenie jest nowym rock and rollem, że staliśmy się narodem smakoszy i tak dalej.

Nie mam zamiaru się tu rozwodzić nad jakością angielskiej kuchni. Myślę, że nie jest ona ani tak paskudna, jak twierdzą jej niesprawiedliwi krytycy, ani tak niezwykła, jak ostatnio głoszą jej obrońcy. Jest mniej więcej pośrodku. Niektóre rzeczy są bardzo dobre, niektóre całkiem niejadalne. Ogólnie rzecz biorąc, umieściłabym ją na skali od przyzwoitej do takiej sobie. Jakość angielskiego jedzenia interesuje mnie o tyle, o ile odzwierciedla ona nasz do niego stosunek, niepisane zasady społeczne regulujące nasze zachowanie dotyczące tego tematu i to, co mówią nam one o naszej tożsamości narodowej. Każda kultura ma swoje

odrębne zasady związane z jedzeniem - zarówno ogólne, dotyczące stosunku do jedzenia i gotowania, jak i konkretne: kto może jeść co, ile, kiedy, gdzie, z kim i w jaki sposób. Wiele można się nauczyć na temat danej kultury, zgłębiając zasady obowiązujące w tej dziedzinie. A więc nie interesuje mnie angielskie jedzenie *per se*, ale angielskość angielskich zasad żywieniowych.

Ambiwalencja

„Małżeństwo bez miłości” to nie jest całkiem niesprawiedliwy opis angielskiego stosunku do jedzenia, choć małżeństwo jest tu może zbyt mocnym słowem; nasz związek z jedzeniem i gotowaniem jest czymś w rodzaju krępującego, niestabilnego konkubinatu. Jest ambiwalentny, często dysharmonijny i bardzo kapryśny. Są chwile uczucia, nawet namiętności, ale na dobrą sprawę trzeba uczciwie powiedzieć, że nie ma w nas tego głęboko zakorzonego, trwałego, wrodzonego uwielbienia, jakie można znaleźć u naszych europejskich sąsiadów i właściwie wśród większości innych narodów. Jedzeniu po prostu nie nadaje się tu równie wysokiego priorytetu jak gdzie indziej. Nawet Amerykanom, których „narodowe” (w odróżnieniu od etnicznego) jedzenie nie jest lepsze niż nasze, mimo wszystko chyba bardziej zależy, bo na przykład domagają się setek różnych smaków i kombinacji w każdej kategorii śmieciowego jedzenia, podczas gdy nas zadowolają dwatrzyni.

W większości innych krajów ludzie, którym zależy na jedzeniu i którym przyjemność sprawia gotowanie i rozmawianie o nim, nie są wyróżniani, czy to kpiąco, czy z podziwem, jako *foodies* (jadłomaniacy, jadłoświry). Żywe zainteresowanie tym, co się je, jest normą, nie wyjątkiem; ten, kogo Anglicy tak nazywają, jest tam po prostu zwyczajną osobą, przejawiającą zdrowe zainteresowanie jedzeniem. To, co my uważamy za obsesję, w innych krajach jest wartością standardową, a nie czymś niezwykłym czy nawet dostrzegalnym.

U nas tak intensywne zainteresowanie jedzeniem uważane jest przez większość ludzi w najlepszym razie za dość dziwne, a w najgorszym za nieco podejrzanę moralnie - nie całkiem stosowne, nie całkiem w porządku. U mężczyzny taka tendencja może być postrzegana jako niemęska, zniewieściała, może nawet podająca w wątpliwość jego orientację seksualną. W tym kontekście smakoszostwo mieści się mniej więcej w tej samej kategorii co entuzjastyczne zainteresowanie modą czy tkaninami dekoracyjnymi. Znani angielscy kucharze, którzy pokazują się w telewizji, zwykle wychodzą z siebie, żeby zmanifestować swoją męskość i heteroseksualność: używają „męskiego” języka i przyjmują postawę twardziela, macho; afiszują się ze swoją namiętnością do piłki nożnej, mówią o swoich żonach, dziewczynach lub dzieciach i ubierają się tak niechlujnie, jak tylko to możliwe. Jamie Oliver, młody szef kuchni znany z telewizji, który tak bardzo przyczynił się do tego, że

gotowanie w oczach angielskich chłopców stało się atrakcyjną drogą kariery, jest świetnym przykładem tego stylu pod hasłem „spójrzcie tylko, jaki ze mnie heteryk”, ze swoim supermodnym skuterem, głośną muzyką, seksowną żoną modelką, cockneyowskim tupetem i „kumpelskim” podejściem do sztuki kulinarnej („Wrzucasz, stary, trochę tego i owego i jest okay”).

Smakoszostwo jest nieco bardziej dopuszczalne u kobiet, ale i tak bywa zauważane, komentowane - a w niektórych kręgach uważane jest za pretensjonalne. Nikt nie chce być postrzegany jako osoba zbyt zafascynowana jedzeniem lub żywiąca do niego namiętność. Większość z nas dumnie oznajmia, że „jemy po to, żeby żyć, a nie żyjemy po to, by jeść” - w odróżnieniu od niektórych naszych sąsiadów, zwłaszcza Francuzów, których doskonałą kuchnię lubimy i podziwiamy, ale których bezwstydnym oddaniem tematowi raczej pogardzamy, nie zdając sobie sprawy, że te dwie kwestie mogą się łączyć.

Antypowaga i obscena

Nasze ambiwalentne uczucia wobec jedzenia mogą brać się częściowo z wpływu zasady „byle nie zbyt serio”. Nadmierna gorliwość w jakiejkolwiek dziedzinie jest żenująca, a emocjonowanie się na poważnie czymś tak banalnym jak jedzenie, jest, no cóż, szczerze mówiąc, dość niemądre.

Wydaje mi się jednak, że w naszym skrępowaniu jedzeniem i smakoszostwem kryje się coś więcej. Jest tu ślad bardziej ogólnego dyskomfortu związanego z przyjemnościami zmysłowymi. Obnoszenie się ze swoją pasją do dobrego jedzenia i otwarte mówienie o przyjemności, jaką daje jedzenie, jest żenujące nie tylko dlatego, że jest zbyt serio, ale też dlatego, że jest w jakiś sposób trochę obsceniczne.

Mówi się, że Anglicy mają ciągoty purytańskie, ale nie jestem pewna, czy rzeczywiście tak jest. Seks, na przykład, nie jest uważany za coś grzesznego, a jedynie za sprawę prywatną i osobistą, a więc tym samym lekko krępującą. Żarty na temat seksu, nawet całkiem śmiałe, są dopuszczalne; poważna lub żarliwa dyskusja na temat tych samych intymnych fizycznych szczegółów jest nieprzyzwoita. Wydaje mi się, że zmysłowa przyjemność związana z jedzeniem mieści się w tej samej kategorii - nie do końca jest to temat tabu, ale też taki, o którym można mówić wyłącznie w sposób lekki, niepoważny, żartobliwy.

„Jadłomaniacy” (albo cudzoziemcy), którzy rozwodzą się zbyt lirycznie, zbyt erotycznie na temat rozkoszy idealnego, upojnie kremowego *sauce bearnaise*, powodują, że skręcamy się z zakłopotania, rumienimy i uciekamy wzrokiem. A wystarczy, żeby lekko złagodzili ton, pośmiali się trochę z siebie, nie brali tego wszystkiego tak strasznie serio, i

mogą uniknąć wywołania niezręcznej sytuacji. Bez ironicznego dystansu rozmowa smakoszy staje się formą „gastroporno” (ten termin zwykle odnosi się do bogato ilustrowanych magazynów i książek kucharskich, ze szczegółowymi, smakowitymi opisami każdego apetycznego dania - ale może równie dobrze być zastosowany do zbyt sugestywnych dialogów „gastroentuzjastów”).

Kolacja w telewizji

Choć obawiam się, że hasło: stajemy się nacją wyrobionych smakoszy, jest hurraoptymistyczną propagandą - no, a w każdym razie bardzo na wyrost - zainteresowanie jedzeniem i gotowaniem w ostatnich latach niewątpliwie wzrosło. Codziennie na każdym kanale telewizyjnym nadawany jest co najmniej jeden program poświęcony gotowaniu. Co prawda, niektóre z teleturniejowych programów, w których szefowie kuchni prześcigają się, by z pięciu składników ugotować trzydaniowy obiad w dwadzieścia minut, to bardziej rozrywka niż gotowanie - i moi zagraniczni informatorzy uznali takie podejście do jedzenia za zabawnie głupie lub szokująco lekceważące. Ale jest także wiele autentycznie pouczających programów kulinarnych.

Czy istotnie Anglicy pod ich wpływem zaczynają więcej gotować, jest kwestią dyskusyjną. Prawdopodobnie wielu z nas chłonie widok telewizyjnych szefów kuchni, przygotowujących skomplikowane dania ze świeżych egzotycznych składników, podczas gdy w naszej własnej mikrofalówce krążą zapocone, opakowane w plastik, gotowe dania z supermarketu. (Sama tak nieraz robiłam).

Ale są wyjątki - ludzie, których te programy rzeczywiście inspirują, którzy biegną kupować książki kucharskie telewizyjnych sław i wypróbować ich przepisy. I nie mówię tu tylko o podążającej za modą elicie „jadłomaniaków” z klasy średniej. Książki kucharskie Delii Smith są zawsze na szczycie list bestsellerów, a sklepikarze mogą opowiedzieć o „efekcie Delii”, zgodnie z którym każdy produkt, polecany przez nią w wieczornym programie - od zwykłego jajka po jakąś konkretną markę rondla - zostaje wyprzedany w sklepach w całym kraju następnego dnia. Kilku moich znajomych i informatorów z klasy robotniczej stało się o wiele bardziej entuzjastycznymi i odważnymi kucharzami na skutek oglądania programów kulinarnych. Kierowca autobusu powiedział mi, że jest „wielkim fanem” Gary’ego Rhodesa. „Uwielbiam jego przepisy - powiedział. - Przedtem nigdy nawet nie próbowałem przyrządzać ryby - to znaczy prawdziwej, świeżej ryby. Teraz idę do sklepu rybnego, kupuję, na przykład lucjana, i robię superdanie. W zeszły weekend zrobiłem piezonego okonia. Drogi jest, ale się opłaca. Był super”.

Jednak tak jak większość innych kulinarnych neofitów, wykonuje on to „porządne

gotowanie” raz w tygodniu, w sobotni wieczór. W Anglii wciąż w bardzo niewielu domach sporządza się codziennie posiłki ze świeżych składników. Półki bardziej ekskluzywnych supermarketów są wprawdzie pełne egzotycznych warzyw, ziół i przypraw, ale większość klientów i tak nie ma pojęcia, co to jest i jak się tego używa. Spędziłam trochę czasu, kręcąc się przy działach z owocami i warzywami w supermarketach, gapiąc się na takie rzeczy jak *pak choi*, dzikie grzyby czy trawa cytrynowa i pytając przypadkowo wybranych innych klientów, co się z tym robi. Większość nie wiedziała. Nie wiedział też personel supermarketu.

Nowinki

Ale, ale: zaczynam tu wpadać w bardzo angielską pułapkę - zrównuję „dobre” jedzenie i „autentyczne” zainteresowanie gotowaniem z nowatorskimi zagranicznymi składnikami i nowymi sposobami ich przyrządzania. Moi cudzoziemscy znajomi i informatorzy uważają szaleńcze poszukiwanie nowości przez angielskich „jadłomaniaków” za cokolwiek dziwaczne i śmieją się z naszych bez przerwy zmieniających się mód i przelotnych kaprysów - od *nouvelle cuisine*, poprzez kuchnię Cajun, Fusion, tokańską, krajów basenu Oceanu Spokojnego, do nowoczesnej brytyjskiej. W jednym tygodniu do wszystkiego dodajemy suszone na słońcu pomidory, w następnym pomidory są już *passé*, a krzykiem mody jest ocet malinowy, *purée* czosnkowe lub polenta, albo, sama już nie wiem, konfitura z kaszanki i ziemniaczanego *rösti*, ułożona warstwowo w chwiejną wieżę na środku wielkiego białego półmiska, z kieszonkami z greckiego ciasta filo z kozim serem i sosem balsamicznym lub rozmarynowym *jus*, albo chrzanowym *sabayon*, czy coś w tym rodzaju.

Obecna obsesja na punkcie nowości nie jest typowo angielska; ten sam trend można zaobserwować u naszych kolonialnych potomków w Ameryce i Australii, ale to są nacje o wiele młodsze, złożone z imigrantów pochodzących z różnych kultur, bez tradycyjnej kuchni, można ich więc usprawiedliwić. A my rzekomo jesteśmy starą europejską kulturą o ustalonej reputacji, o wielowiekowej tradycji i poczuciu historii. Gdy jednak przychodzi do jedzenia, zachowujemy się jak nastoletnie ofiary mody. Być może dlatego, że w wypadku jedzenia, mimo naszego starszeństwa, jesteśmy praktycznie w takiej samej sytuacji jak te „nastolatki” - były kolonie, czyli bez wielkich tradycji kulinarnych. Niektórzy zainteresowani historią amatorzy jedzenia twierdzą, że angielska kuchnia nie zawsze była taka nieciekawa, i przypominają dawne wielkie bankiety, z dziczyzną zapiekaną w cieście, egzotycznymi przyprawami i tak dalej. Tylko że te rzeczy były domeną niewielkiej, bogatej mniejszości - a cudzoziemcy od stuleci narzekają na marną jakość większości angielskiego jedzenia. Teraz zdumiewają się naszym niewybrednym mieszanym wpływów zagranicznych.

„Wydawało mi się, że Anglicy uchodzą za opornych na zmiany? - stwierdził jeden z

moich zdezorientowanych zagranicznych informatorów. - A nie widać tego w waszych restauracjach. We Włoszech jesteśmy o wiele bardziej tradycyjni, o wiele mniej otwarci, jeśli chodzi o jedzenie. A Francuzi są jeszcze bardziej...”. Zrobił gest oznaczający klapki na oczach lub ciasnotę poglądów. Pomyślałam, że ma rację. Anglicy mają reputację konserwatystów, ale nasza postawa wobec jedzenia sugeruje, że potrafimy być niesamowicie elastyczni, chętni do wypróbowywania nowych rzeczy i przyswajania różnych praktyk kulinarnych. Co bardziej szalone ekstrema i nowatorskie trendy są głównie dla młodych i podążających za modą, ale przecież jedzenie greckie, włoskie, hinduskie i chińskie jest częścią angielskiej diety od kilkudziesięciu lat, znaną i swojską jak kotlet z surówką. Zwłaszcza hinduskie jedzenie jest teraz integralną częścią kultury angielskiej. Wokół niego koncentrują się nasze obyczaje. Żadna wędrownica po pubach w sobotni wieczór nie mogłaby się obyć bez wizyty w lokalnej restauracji Tandoori czy Balti. A gdy Anglicy jadą na wakacje za granicę, danie, którego im najbardziej brakuje, według ostatnich ankiet, to nie ryba z frytkami czy wołowina i cynaderki zapiekane w cieście, ale „porządne angielskie curry”.

Narzekanie i marudzenie

W restauracjach, tak jak wszędzie indziej, Anglicy narzekają i zrzędzą między sobą na kiepską obsługę lub marne jedzenie, ale nasze zahamowania, nasza ułomność towarzyska, utrudniają nam skierowanie skargi bezpośrednio do personelu. Mamy trzy bardzo różne sposoby radzenia sobie z takimi sytuacjami. Wszystkie są mniej lub bardziej nieskuteczne i niesatysfakcjonujące.

Skarga cicha

Większość Anglików, gdy się im poda niesmaczne lub nawet niejadalne danie, jest zbyt skrępowana, żeby w ogóle się poskarżyć. Skarga to byłoby „robienie sceny”, „robienie zamieszania” lub „zwracanie na siebie uwagi” publicznie - a tego wszystkiego zabraniają niepisane zasady. W grę musiałyby wejść konfrontacja, kontakt emocjonalny z inną istotą ludzką, co jest nieprzyjemne i krępujące i czego należy unikać, jeśli to tylko możliwe. Angielscy klienci narzekają z oburzeniem wobec swoich towarzyszy, spychają niechciane jedzenie na bok talerza i robią zde gustowane miny do siebie nawzajem, ale gdy kelner zapyta, czy wszystko w porządku, uśmiechają się grzecznie, nie patrząc mu w oczy, i mruczą: „Tak, dziękuję”. Stojąc w wolno przesuwałającej się kolejce przy ladzie w pubie lub kawiarni, ciężko wzdychają, zakładają ręce na piersi, stukają stopą w podłogę i wymownie spoglądają na zegarek, ale nigdy tak naprawdę się nie skarżą. Drugi raz już nie pójda do tego lokalu i opowiedzą wszystkim znajomym, jak tam jest okropnie, ale biedny właściciel nigdy się nawet nie dowie, że cokolwiek było nie w porządku.

Skarga przeproszająca

Niektórzy, nieco odważniejsi, użyją metody numer dwa: skargi przeproszającej (specjalność angielska). „Przepraszam, strasznie mi przykro, ale, ee, zdaje mi się, że ta zupa jest dość, no, niezbyt gorąca - właściwie trochę zimna...”. „Przepraszam, że robię zamieszanie, ale, mm, zamawiałem stek, a to wygląda jak, no cóż, ryba...”. „Przepraszam, ale czy nie sądzi pan, że moglibyśmy już zamówić? - to po dwudziestominutowym oczekiwaniu, bez znaku zainteresowania ze strony obsługi. - Chodzi o to, że trochę nam się śpieszy, przepraszamy”. Czasem te skargi są tak niepewne i nieśmiałe, tak pokrętne i tak starannie ukryte pod maską przeprosin, że nie można się dziwić obsłudze, iż umyka jej uwadze fakt, że klienci są niezadowoleni. „Patrzą w podłogę i coś mamroczą, jakby to *oni* byli nie w porządku!” - zwierzył mi się doświadczony kelner.

Poza przeprosinami za narzekanie, jesteśmy też skłonni przeproszać za całkiem uzasadnione prośby: „Och, przepraszam, czy moglibyśmy dostać sól?”, „Przepraszam bardzo, możemy prosić o rachunek?”, i nawet za wydawanie naszych pieniędzy: „Przepraszam, czy możemy prosić o jeszcze jedną butelkę?”. Ja sama przyznaję się do winy za te wszystkie grzeszki. Zawsze też czuję, że muszę przeprosić, jeśli nie zjadłam całego dania: „Przepraszam, było bardzo dobre, naprawdę, tylko po prostu nie jestem zbyt głodna”.

Skarga głośna, agresywna i okropna

Wreszcie jest, jak zwykle, ta druga strona medalu ułomności towarzyskiej - angielska technika skarżenia się numer trzy: skarga głośna, agresywna i okropna. Czerwony na twarzy, wrzeszczący, chamski klient, który doprowadził się do stanu wściekłości z powodu jakiegoś niewielkiego uchybienia - lub, rzadziej, klient cierpliwy, który w końcu wybucha powodowany autentyczną frustracją, ponieważ kazano mu czekać całe wieki na wstrętne jedzenie.

Często się mówi, że angielscy kelnerzy i inne osoby z obsługi są opryskliwi, leniwi i nieudolni. Choć w tych oskarżeniach może być trochę racji - brak nam profesjonalizmu i służalczości niektórych kultur, nie możemy też zdobyć się na to, by przyswoić sobie wylewną poufałość innych - zanim rzucimy kamieniem, powinniśmy zastanowić się, jakie nonsensy angielscy kelnerzy muszą znosić. Same nasze niezręczne skargi wystawiłyby na próbę cierpliwość świętego, a skargi ciche wymagają dodatkowo rozumienia zachowania niewerbalnego, które byłoby wyzwaniem dla wielu psychologów, zwłaszcza gdyby musieli jednocześnie smażyć frytki i nosić talerze.

Skarga cicha lub przeproszająca oraz skarga agresywna i chamska mogą wydawać się bardzo różne, ale są ściśle ze sobą powiązane. Symptomy angielskiej ułomności towarzyskiej

zawierają w sobie skrajności: gdy czujemy się niezręcznie, stajemy się albo nadmiernie uprzejmi i niezręcznie powściągliwi, albo hałaśliwi, gburowaci, agresywni i nieznośni.

„Typowe!” *na bis*

Nasza niechęć do narzekania w restauracjach tylko jednak częściowo wynika z wrodzonej ułomności towarzyskiej. Jest także szerszy problem skromnych oczekiwań. Na początku tego rozdziału przywołałam komentarz Paula Richardsona, że Anglicy uważają dobre jedzenie za przywilej, a nie za prawo. W odróżnieniu od innych krajów, w których kultywuje się jedzenie i posiada umiejętności kulinarne, Anglicy na ogół nie mają zbyt wysokich oczekiwań, gdy idą do restauracji, ani nawet gdy gotują w domu. Z wyjątkiem garstki fanów jedzenia, nie oczekujemy, że dania, które nam zaserwują, będą szczególnie dobre; jesteśmy zadowoleni, gdy jedzenie jest smaczne, ale nie czujemy się tak głęboko dotknięci czy oburzeni jak inne nacje, gdy jest miernej jakości. Możemy czuć się lekko zirytowani z powodu przesmażonego steku lub sflaczałych frytek, ale nie uważamy, że zostały naruszone fundamentalne prawa człowieka. Przeciętne jedzenie to norma.

I nie chodzi tylko o jedzenie. Wielu z moich zagranicznych informatorów, zwłaszcza Amerykanów, komentowało fakt, że nie potrafimy skarżyć się na niedoskonałości lub wady większości produktów czy usług. „Odnoszę wrażenie - powiedział pewien sfrustrowany Amerykanin - że na jakimś głębokim podstawowym poziomie Anglicy po prostu naprawdę *nie spodziewają* się, że rzeczy będą działać jak należy - wiesz, co mam na myśli?”. - „Tak - odparłam - zwłaszcza w porównaniu z Ameryką. Amerykanie oczekują dobrych usług, tego, że coś będzie warte swojej ceny, produktów, które spełniają swoją rolę - a jeśli ich wymagania nie zostają zaspokojone, wściekają się i pozywają kogoś do sądu. Anglicy przeważnie nie oczekują szczególnie dobrych usług czy produktów, a gdy ich pesymistyczne przewidywania się sprawdzają, mówią: «Ha! Typowe!»,,.

„No właśnie! - potwierdził mój informator. - Moja żona jest Angielką i ona *zawsze* tak mówi. Zatrzymujemy się w hotelu, jedzenie jest do kitu, ja chcę złożyć skargę, a ona mówi: «Ale czego ty się spodziewałaś, przecież jedzenie w hotelu zawsze jest do kitu». Kupujemy nową zmywarkę, nie przywożą jej wtedy, kiedy obiecali, a ona na to: «Typowe!». Pociąg jest dwie godziny spóźniony, a ona mówi: «No popatrz, czy to nie typowe?». A ja jej na to: «Owszem, typowe, i zawsze takie będzie, bo wy tu nigdy nic z tym nie robicie, tylko siedzicie i powtarzacie sobie nawzajem: «Typowe!»,,.

Ma rację. Traktujemy takie niedociągnięcia, jakby były siłą wyższą, a nie przykładami ludzkiej niekompetencji. Opóźniony pociąg czy niedostarczona na czas zmywarka są „typowe” w ten sam sposób, w jaki „typowy” jest deszcz podczas pikniku w dzień wolny od

pracy. Te uciążliwości mogą być frustrujące, ale są normalne, dobrze znane, z rodzaju „należało się tego spodziewać”. A siła wyższa nie wymaga od nas, żeby wchodzić w krępujący kontakt z innymi istotami ludzkimi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Wcześniej pisałam, że typowo angielski zwrot „Typowe!” łączy w sobie oburzenie i urazę z poczuciem biernego, pełnego rezygnacji przyzwolenia, ze zgodą na to, że rzeczy muszą iść źle, że życie pełne jest drobnych irytacji i przeszkód i trzeba po prostu jakoś to znosić. W stwierdzeniu „Typowe!” jest coś z niechętniej wyrozumiałości, rodzaj bardzo angielskiego zgryźliwego stoicyzmu. Ale teraz widzę, że jest w nim także niemal perwersyjne poczucie *satysfakcji*. Gdy mówimy: „Typowe!”, wyrażamy zirygowanie i gniew, ale jesteśmy również, w jakiś dziwny sposób, *zadowoleni*, że nasze ponure prognozy i cyniczne poglądy na temat urządzenia tego świata okazały się słuszne. Może i coś pokrzyżowało nam szyki, naraziło na niewygody, ale przynajmniej nie zostaliśmy zaskoczeni. Spodziewaliśmy się tego, „od razu wiedzieliśmy”, że jedzenie w hotelu będzie do niczego, że nie przywiozą zmywarki na czas, że pociąg się spóźni, ponieważ w naszej nieskończonej mądrości wiemy, że taka już jest natura hoteli, zmywarek i pociągów. To co, że jesteśmy beznadziejni w składaniu skarg, niezdolni do elementarnej asertywności, zdani na łaskę niekompetentnych dostawców niskiej jakości towarów. Za to jesteśmy wszechwiedzący.

Tak to już jest. Samochody są „kapryśne”, bojlerzy „trochę nieprzewidywalne”, pralki „czasem robią sobie wolne”, tostery, czajniki i klamki u drzwi „mają tendencję do rozrabiania”, spluczki „działają tylko, jeśli naciśniesz dwa razy i za drugim razem przytrzymasz - trzeba mieć wprawę”, komputery na sto procent „nawalą” w nieodpowiednim momencie i skasują ci pliki, ty zawsze wybierasz najwolniej posuwającą się kolejkę, przesyłki zawsze przychodzą z opóźnieniem, budowlańcy nigdy nie kończą roboty jak należy, na autobus zawsze czekasz całe wieki, a potem przyjeżdżają trzy naraz, nic nigdy nie działa jak należy, zawsze coś idzie nie tak, a poza tym na pewno będzie padać. Dla Anglików są to dobrze znane, bezsporne fakty - na równi z prawami fizyki, jak i z tym, że dwa i dwa to cztery. Zaczynamy się uczyć tej mantry już w kołysce, a zanim dorośniemy, widzenie świata z perspektywy Kłapouchego stanie się częścią naszej natury.

Jeśli nie docenisz w pełni tej osobliwej mentalności i jej implikacji, nigdy nie zrozumiesz Anglików. Spróbuj powtarzać sobie powyższe mantry codziennie przez jakieś dwadzieścia lat, a złapiesz, o co chodzi. Recytuj je tonem pogodnej rezygnacji, dodając co jakiś czas: „nie można narzekać”, „nic to” czy „trzeba sobie jakoś z tym radzić”, a znajdziesz się na dobrej drodze do zostania Anglikiem. Naucz się kwitować każdy problem, czy to spaloną grzanekę, czy trzecią wojnę światową, stwierdzeniem „Typowe!”, sprawiając wrażenie

osoby jednocześnie wkurzonej, pełnej stoicyzmu i protekcyjnie wszechwiedzącej, a zaczniesz uchodzić za w pełni zasymilowanego Anglika.

Kulinarne kody klasowe

Poza listą składników i informacją o wartości kalorycznej, prawie każdy angielski produkt spożywczy ma niewidzialną etykietkę dotyczącą klasy. (Uwaga: ten produkt może zawierać śladowe ilości niższej warstwy klasy średniej. Uwaga: ten produkt niesie skojarzenia z drobnomieszczaństwem i może nie nadawać się na przyjęcia wyższej warstwy klasy średniej). Pod względem społecznym jesteś tym, co jesz - a także kiedy, gdzie i w jaki sposób to jesz, jak to nazywasz i jak o tym mówisz.

Popularna powieściopisarka Jilly Cooper, która wykazuje o wiele lepsze zrozumienie angielskiego systemu klasowego niż jakikolwiek socjolog, cytuje pewną sklepikarkę: „Gdy kobieta prosi o bekon, zwracam się do niej «proszę pani»; gdy o boczek, mówię do niej «kochana»,». W dzisiejszych czasach trzeba jeszcze wziąć pod uwagę semiotykę klasową: bekon ekstrachudy i organiczny, *lardons*, *prosciutto*, *speck* i szynka Serrano (wszystkie preferuje klasa „pań”, nie „kochanych”, a konkretniej, wykształcona wyższa część średniego odgałęzienia klasy „pań”) oraz „okrawki bekonu”, skwarki wieprzowe i chipsy bekonowe (wszystko to zdecydowanie produkty klasy „kochana”, rzadko jadane przez „panie”).

Anglicy ze wszystkich klas uwielbiają kanapki z bekonem, choć niektórzy członkowie niższej i średniej warstwy klasy średniej z większymi pretensjami udają, że mają bardziej delikatne, wyrafinowane gusta. Również niektórzy członkowie wyższej warstwy klasy średniej, przejęci na pokaz względami zdrowotnymi, kręcą nosem na tłuszcz, sól, cholesterol i straszą chorobami serca.

Inne produkty, które mają przyklejone niewidoczne etykiety ostrzegające przed skojarzeniami z klasą niższą, to między innymi:

koktajl z krewetek (same krewetki są w porządku, ale różowy sos „koktajlowy” to niższa warstwa klasy średniej - i, uwaga, wcale nie robi się bardziej elegancki, jeśli się go nazwie sosem „Marie Rose”);

jajka z frytkami (osobno oba składniki są stosunkowo bezklasowe, ale jedzone razem - klasa robotnicza);

sałatka makaronowa (nie ma nic złego w makaronie *per se*, ale serwowany na zimno i wymieszany z majonezem, jest „pospolity”);

sałatka ryżowa (klasa niższa w każdej formie, ale zwłaszcza z kukurydzą);

owoce z puszek (w syropie to klasa robotnicza, w soku owocowym jeszcze ujdą za niższą warstwę klasy średniej);

pokrojone jajka na twardo i/lub pokrojony pomidor z zieloną sałatą (całe pomidorki koktajlowe są raczej w porządku, ale przeczulonym na punkcie klasy radziłabym trzymać pomidory, jajka i sałatę z dala od siebie);

ryba z puszki (okay jako składnik w czymś innym, na przykład kotlecie rybnym, ale bardzo w stylu klasy robotniczej, gdy podawana osobno);

kanapka z frytkami (tradycja głównie z północy Anglii; właściwie nie może istnieć nic bardziej w stylu klasy robotniczej).

Wyjątkowo pewni swojej pozycji członkowie klasy wyższej i wyższej warstwy klasy średniej, ci z odpowiednim akcentem i innymi akcesoriami, mogą bezkarnie przyznać się, że uwielbiają któreś z tych dań, a nawet wszystkie; zostaną najwyżej uznani za czarujących ekscentryków. Osoby z kompleksami na punkcie swojej pozycji społecznej, żeby uniknąć nieporozumień, powinny dobrać sobie dziwactwa z samego dołu drabiny społecznej (kanapki z frytkami), a nie z klasy sąsiadującej z ich własną (owoce z puszki w soku).

Wskaźnik poprawności zdrowotnej

Mniej więcej od połowy lat osiemdziesiątych głównym czynnikiem dzielącym klasy pod względem gastronomicznym jest poprawność zdrowotna. Ogólnie można przyjąć, że klasa średnia jest bardzo podatna na nowinki i przelotne mody, klasy najwyższe i najniższe natomiast są bardziej stabilne w poglądach, zastałe w preferencjach żywieniowych i najwyraźniej w dużym stopniu odporne na propagandę „policji zdrowia”, rodem z klasy średniej.

Wmawia się nam, że jedzenie to nowy seks. Na pewno jest prawdą, że jedzenie przejęło rolę seksu jako główny temat zainteresowania przedstawicieli tych grup, które nazywam „klasami wścibskimi” - ciekawskich, w stylu opiekunek do dzieci z klasy średniej, którzy obwołali się stróżami moralności kulinarnej narodu, a obecnie nie ustają w wysiłkach zmuszenia klasy robotniczej, by jadła warzywa. Nie ma już pruderyjnej Mary Whitehouse, która narzekałaby na seks i wulgarny język w telewizji; zamiast niej mamy całe zastępy dietetyków amatorów, narzekających na wszystkie te kuszące reklamy śmieciowego jedzenia, które rzekomo demoralizują naszą młodzież. Młodzież, ma się rozumieć, z *klasy robotniczej*; wszyscy wiedzą, że to Kevin i Tracey napychają się tłustymi i słodkimi przekąskami, a nie Jamie i Saskia.

A już na pewno nie Saskia z wyższej warstwy klasy średniej. Wiele takich Saskii to nawrócone na wegetarianizm anemiczki na granicy anoreksji czy bulimii, które czasem cierpią też na wyimaginowane „nietolerancje” glutenu i laktozy. To wszystko jakoś nie martwi kaznodziejów poprawności zdrowotnej, którym zależy tylko na tym, by na siłę karmić

Kevina i Tracey pięcioma porcjami owoców i warzyw dziennie i konfiskować im chipsy.

Najbardziej chłonnymi i podatnymi wyznawcami kultu zdrowej żywności są członkowie wyższej warstwy klasy średniej. Zwłaszcza dla kobiet z tej grupy różne tabu dietetyczne stały się głównymi środkami definiującymi tożsamość społeczną. Jesteś tym, czego *nie jesz*. Żadna kolacja u kogoś z tej grupy nie może odbyć się bez uprzedniego starannego wywiadu w sprawie panujących wśród gości modnych alergii pokarmowych, nietolerancji żywieniowych i postaw ideologicznych. „Przestałam wydawać przyjęcia - powiedziała mi pewna dziennikarka z wyższej warstwy klasy średniej. - To się stało po prostu niemożliwe. Przygotowanie czegoś dla jednego czy dwóch wegetarian nie było problemem, ale teraz wszyscy mają alergię na pszenicę albo nabiał, są weganami, na diecie makrobiotycznej lub Atkinsa, nie mogą jeść jajek albo mają «problem» z jedzeniem soli, albo paranoją na punkcie dodatków z E, albo jedzą tylko żywność organiczną, albo przechodzą kurację odtruwającą...”.

Choć szczerze współczuję każdemu, kto ma prawdziwą alergię pokarmową, faktem jest, że tylko niewielki procent społeczeństwa rzeczywiście cierpi na tak zdiagnozowaną medyczną dolegliwość - o wiele mniejszy niż liczba tych, którzy wierzą, że coś takiego mają. Owe Angielki z wykształconej klasy średniej wydają się mieć nadzieję, że jak w bajce o księżniczce na ziarnku grochu, przez swoją niesłychaną wrażliwość na produkty spożywcze udowodnią innym, że są szalenie wyrafinowanymi, subtelnymi istotami, nie jak ta wulgarna hołota, która może jeść wszystko. W elitarnych kręgach patrzą na nas z góry, jeśli nie mamy kłopotu z trawieniem tak proletariackich produktów jak chleb i mleko.

Jeśli już naprawdę nie zdołasz wynaleźć sobie żadnych zgodnych z najnowszym trendem problemów pokarmowych, dobrze byłoby, żeby jakieś problemy miały twoje dzieci, a w każdym razie, zamartwiaj się głośno, że *mogą* one być na coś uczulone: „Ach, nie! Nie dawaj Tamarze moreli! Nie miała jeszcze testów na morele. Wyszła jej lekka reakcja na truskawki, więc musimy bardzo uważać”. „Katie nie może jeść jedzenia dla niemowląt ze słoiczków - za dużo sodu, więc kupuję warzywa z upraw ekologicznych i sama jej przecieram...”. Nawet jeśli twoje dzieci są niemodnie krzepkie i zdrowe, musisz dołożyć starań, by nadążyć za ostatnimi tendencjami w zagrożeniach żywnościowych: powinnaś wiedzieć, że węglowodany to nowy tłuszcz (tak jak brąz to nowa czerń), a homocysteina to nowy cholesterol; że dieta FPlan jest już *passé*, a najnowszym krzykiem mody jest dieta Atkinsa; natomiast w sprawie debaty o modyfikacji genetycznej oficjalne stanowisko grupy wykształconej klasy średniej jest następujące: „dwa geny dobre, cztery złe”. Ogólnie musisz założyć, że nie ma czegoś takiego jak „bezpieczne” jedzenie, może poza ekologiczną

marchewką wyhodowaną własnoręcznie przez księcia Karola.

Członkowie niższej i średniej warstwy klasy średniej, biorąc przykład z warstwy wyższej (i z „Daily Mail”, który obowiązkowo codziennie regularnie prezentuje zagrożenia zdrowotne), bardzo szybko ulegają całemu szeregowi obaw „z wyższych sfer”. Zazwyczaj z krótkim opóźnieniem satelitarnym, po niewielkiej przerwie w transmisji, najnowsze mody i tabu trafiają pod strzechy domów w stylu pseudoTudor i neogeorgiańskich, a potem, z kolejnym opóźnieniem, do bliźniaków z lat trzydziestych. Niektórzy mieszkańcy bliźniaków na przedmieściach dopiero niedawno zorientowali się, że fobia na punkcie tłuszczu i kult błonnika są *passé*, że już dawno zastąpiły je węglowodanofobia i białkomania. Gdy wiedzę o wszystkich aktualnych czynnikach rakotwórczych i inne modne obawy żywieniowe przejmie już niższa warstwa klasy średniej, warstwa wyższa oczywiście musi wymyślić nowe. Nie ma sensu cierpieć na nietolerancję pszenicy, jeśli ma ją też plebs, który mówi *pardon* i *serviette*.

Klasa robotnicza na ogół nie zajmuje się takimi bzdurami. Ci ludzie mają prawdziwe problemy i nie muszą wymyślać fantazyjnych alergii pokarmowych, żeby ubarwić sobie życie. Na drugim krańcu skali społecznej klasy wyższe są równie praktyczne i sceptyczne w tych sprawach. Choć mają czas i pieniądze, które mogliby poświęcić wymyślnym tabu żywieniowym, nie cierpią na te same kompleksy na punkcie własnej tożsamości, co niespokojne klasy średnie, a więc nie muszą się określać przez manifestacyjne niejedzenie chleba i masła. Jest kilka wyjątków, jak na przykład nieżyjąca księżna Walii, ale one raczej potwierdzają regułę - to osoby bardziej niepewne siebie i skrupowane niż przeciętni arystokraci.

Pory i nazewnictwo posiłków

Dinner/Tea/Supper

Jak nazywasz posiłek wieczorny? I o której godzinie go jadasz?

Jeśli mówisz na niego *tea* i spożywasz go około wpół do siódmej, prawie na pewno jesteś z klasy robotniczej lub masz robotnicze korzenie.

Jeśli wieczorny posiłek nazywasz *dinner* i jesz go około siódmej, należysz zapewne do niższej lub średniej warstwy klasy średniej.

Jeżeli zwykle używasz terminu *dinner* na bardziej oficjalne okazje wieczorne, a swój nieformalny rodzinny wieczorny posiłek nazywasz *supper*, najpewniej jesteś z wyższej warstwy klasy średniej lub z klasy wyższej. Czas jądania tych posiłków z reguły jest bardziej elastyczny, ale *supper* w gronie rodzinnym jada się zazwyczaj około wpół do ósmej, podczas gdy *dinner* przeważnie później, od wpół do dziewiątej.

Dla każdego, poza klasą robotniczą, *tea* jest lekkim posiłkiem jadanym około czwartej

po południu, złożonym z herbaty, ciastek, babeczek, dżemu, biszkoptów i czasem kanapeczek (tradycyjnie z ogórkiem) z odciętą skórką. Klasa robotnicza nazywa ten posiłek *afternoon tea* (popołudniowa herbatka, podwieczorek), dla odróżnienia od wieczornej *tea*, którą pozostali nazywają *supper* lub *dinner*.

Lunch/Dinner

Pora lunchu nie jest wskaźnikiem klasy, jako że niemal wszyscy jedzą go około pierwszej. Jedynym probierzem jest to, jak ktoś nazywa ten posiłek: jeśli mówi na niego *dinner*, jest z klasy robotniczej; wszyscy inni, od niższej warstwy klasy średniej w górę, nazywają go *lunch*. Ludzie, którzy mówią *d'lunch* - czemu, jak zauważa Jilly Cooper, towarzyszy lekki akcent zachodnioindyjski - próbują ukryć swoje pochodzenie robotnicze, przypominając sobie w ostatniej chwili, żeby nie powiedzieć *dinner*. (Mogą także powiedzieć *t'dinner* - co, myśląc, brzmi trochę jak akcent z Yorkshire - kiedy nazywając wieczorny posiłek, powstrzymują się przed nazwaniem go *tea*). Obojętnie, z jakiej klasy pochodzą Anglicy i jak nazywają posiłek w środku dnia, nie biorą go ani trochę serio; większość zadowala się kanapką albo jakimś innym szybkim, łatwym, jednodaniowym posiłkiem.

Długi, obfity, zakrapiany alkoholem bizneslunch jest obecnie czymś źle widzianym (kolejny przejaw owej inspirowanej Ameryką purytańskiej poprawności zdrowotnej), a szkoda, bo był on oparty na bardzo solidnych podstawach antropologicznych i psychologicznych. Wspólne posiłki, jak powszechnie wiadomo, należą do najbardziej skutecznych form zacieśniania więzi towarzyskich wśród ludzi. Antropolodzy mają nawet na to specjalne słowo w swoim żargonie: komensalizm. We wszystkich kulturach wystąpienie z taką propozycją kulinarną i przyjęcie jej stanowi co najmniej pakt o nieagresji między stronami (nie „łamie się chleba” z wrogiem), a w najlepszym razie znaczący krok w stronę scementowania przyjaźni i sojuszków. A jest on jeszcze skuteczniejszy, gdy w grę wchodzi ułatwiający nawiązywanie kontaktów towarzyskich alkohol.

Można by pomyśleć, że Anglicy, ze swą desperacką potrzebą towarzyskich „rekwizytów i protez”, nie mówiąc już o sposobach odwracania uwagi od nieuniknionej niezręczności mówienia o pieniądzu, skwapliwie skorzystają z tej wypróbowanej tradycji. I rzeczywiście, jestem przekonana, że obecna nierozsądna pogarda dla bizneslunchu jest, pożyczając termin od ekologów, szkodliwa dla środowiska i że okaże się jedynie chwilowym odstępstwem. Dostarcza ona jednak dalszych dowodów na potwierdzenie mojego argumentu, że Anglicy generalnie nie traktują jedzenia poważnie, a zwłaszcza że w dużym stopniu nie doceniają społecznego znaczenia dzielenia się jedzeniem, wspólnych posiłków - czegoś, co większość innych kultur wydaje się rozumieć instynktownie.

Pod tym względem „jadłomaniacy” z klasy średniej często wcale nie są bardziej oświeceni niż reszta z nas. Ich obsesyjne skupianie się na samym jedzeniu - na wartościach odżywczych oliwy z pierwszego tłoczenia na zimno, dojrzałej lepkości niepasteryzowanego brie de Meaux - często jest dziwnie pozbawione ludzkiego ciepła i intymności, które powinny kojarzyć się z konsumpcją. Twierdzą, że rozumieją ten wymiar społeczny, rozrzucając się na temat serdecznej atmosfery posiłków w Prowansji i Toskanii, ale mają niefortunną tendencję do oceniania przyjęć wydawanych przez swych angielskich przyjaciół i lunchów w restauracji z partnerami biznesowymi na podstawie jakości jedzenia, a nie biesiadnego nastroju. „No cóż, Jonesowie są bardzo mili i w ogóle, ale *naprawdę* nie mają *pojęcia* o gotowaniu - za miękkie makaron, rozgotowane jarzyny, i Bóg jeden wie, *czym* miało być to coś z kurczaka...”. Ich protekcyjny ton i szyderstwa powodują niekiedy, że człowiek tęskni za dawnymi czasami sprzed wybuchu jadłomanii, kiedy to klasy wyższe uważały robienie jakichkolwiek uwag na temat podanego jedzenia za wulgarne, a klasy niższe określały dobry posiłek jako syty.

Śniadanie i opinie na temat herbaty

Tradycyjne angielskie śniadanie - herbata, grzanki, marmolada, jajka, bekon, kiełbaski, pomidory, pieczarki itd. - jest zarówno smaczne, jak i sycące. Śniadanie jest jedynym aspektem angielskiej kuchni często i entuzjastycznie chwalonym przez cudzoziemców. Niewielu z nas jada jednak takie „pełne angielskie śniadanie” regularnie; turyści z zagranicy zatrzymujący się w hotelach dostają śniadania o wiele bardziej tradycyjne od tych przyrządzanych przez nas, tubylców, w domu.

Tradycję podtrzymuje się bardziej na górnych i dolnych szczeblach drabiny społecznej niż pośrodku. Niektórzy członkowie klasy wyższej i arystokracji wciąż jadają porządne angielskie śniadanie w swoich rezydencjach, również niektórzy przedstawiciele klasy robotniczej (przeważnie mężczyźni) wciąż wierzą w zaczynanie dnia od „gorącego” śniadania, złożonego z bekonu, jajek, kiełbasek, fasolki w sosie pomidorowym, smażonego chleba, grzanek itd.

Ta uczta częściej spożywana jest w *caff* (kafejce) niż we własnym domu, a popija się ją mocną, słodką herbatą ceglanej barwy z mlekiem, pochłanianą w ilościach przemysłowych. Członkowie niższej i średniej warstwy klasy średniej piją jaśniejszą, bardziej „elegancką” wersję, na przykład Twining’s English Breakfast, a nie PG Tips. Wyższa warstwa klasy średniej i klasy wyższe piją słabego, niesłodzonego earl greya o barwie pomyj. Słodzenie herbaty jest uważane przez wielu za niezawodny wskaźnik klasy niższej; nawet jedna łyżeczka jest trochę podejrzana (chyba że urodziłeś się przed rokiem 1955); więcej niż jedna,

a plasujesz się w najlepszym razie w niższej warstwie klasy średniej; więcej niż dwie, a korzenie masz z całą pewnością robotnicze. Wlewanie mleka do filiżanki przed herbatą też jest zwyczajem z niższych kręgów społecznych, podobnie jak zbyt energiczne, hałaśliwe mieszanie. Niektórzy pretensjonalni członkowie średniej i wyższej warstwy klasy średniej ostentacyjnie piją herbatę Lapsang Souchong bez mleka i cukru, ponieważ nie ma nic bardziej oddalonego od gustu klasy robotniczej. Bardziej szczerzy (lub z mniejszą liczbą kompleksów na punkcie klasy) członkowie wyższej warstwy klasy średniej i klasy wyższej często przyznają się do potajemnej słabości do mocnej „herbaty budowlanców” o rdzawej barwie. Dobrym testem klasowych kompleksów jest sprawdzenie, jak bardzo ktoś pogardza „herbatą budowlanców” i jak bardzo stara się jej unikać.

Anglicy ze wszystkich klas uważają, że herbata ma cudowne właściwości. Jej filiżanka potrafi wyleczyć, lub przynajmniej znacznie złagodzić, prawie wszystkie drobniejsze dolegliwości fizyczne i niedyspozycje, od bólu głowy po otarte kolano. Herbata jest także zasadniczym remedium na wszystkie bolączki społeczne i psychologiczne, od zranionego ego do traumy rozvodu czy żałoby. Ów magiczny napój może być stosowany równie skutecznie jako środek uspokajający jak i pobudzający. Nieważne, w jakim jesteśmy stanie fizycznym czy psychicznym, na pewno „filiżanka dobrej herbaty” jest tym, czego nam potrzeba.

Kto wie, czy nie najważniejszy jest fakt, że robienie herbaty jest idealną czynnością zastępczą; za każdym razem gdy Anglik czuje się skrępowany w jakiejś sytuacji towarzyskiej (czyli prawie zawsze), idzie zrobić herbatę. To zasada uniwersalna: jeśli nie wiesz, co robić, nastaw czajnik. Przychodzą goście, czyli natychmiast pojawiają się tradycyjne problemy z protokołem powitania. Mówimy wtedy: „Zaraz, tylko nastawię wodę na herbatę”. W trakcie rozmowy zapada chwila niezręcznej ciszy, a my już wyczerpaliśmy tematy pogodowe. Rzucamy: „Komu herbatki? Pójdę nastawić czajnik”. Podczas spotkania w interesach może się zdarzyć, że będzie trzeba porozmawiać o pieniądzach. Odwlekamy ten kłopotliwy moment, sprawdzając, czy wszyscy mają herbatę. Zdarzył się wypadek - są ranni i osoby w szoku - potrzebna jest herbata. „Nastawię czajnik”. Wybuchoła trzecia wojna światowa - nadciąga atak nuklearny. „Nastawię czajnik”.

Jak już się pewnie zorientowaliście, lubimy herbatę.

Mamy także dużą słabość do grzanek. Grzanki są głównym składnikiem śniadania, produktem wielofunkcyjnym, zawsze pokrzepiającym. Czego nie uleczy sama herbata, na pewno dokona tego herbata z grzanką. „Stojak na grzanki” jest przedmiotem typowo angielskim. Mój ojciec, który mieszka w Ameryce i nabrał amerykańskich obyczajów,

nazywa go „chłodziarką do grzanek” i twierdzi, że służy on jedynie do tego, żeby jak najszybciej wystudzić grzanekę na lód. Angielscy zwolennicy stojaka na pewno argumentowaliby, że dzięki niemu grzanki są suche i chrupiące, że oddzielenie kromek i postawienie ich pionowo powstrzymuje je przed zwilgotnieniem, co spotyka grzanki amerykańskie, które podaje się w bezładnej wilgotnej, spoconej stercie na talerzu, czasem nawet zawinięte w serwetkę, żeby zachowały jeszcze większą wilgotność. Anglicy wolą grzanki zimne i suche niż ciepłe i wilgotne. Amerykańskiej grzance brakuje godności i rezerwy; jest zbyt spocona, nietaktowna i emocjonalna.

Ale grzanka nie przyda nam się jako wskaźnik klasy, bo grzanki lubią wszyscy. Warstwy wyższe mają lekkie uprzedzenie wobec krojonego zafoliowanego chleba, ale tylko osoby bardzo przeczulone na punkcie klasy starają się go jakoś szczególnie unikać. Jednak już to, czym smarujemy grzanekę, może dostarczyć wskazówek co do naszej pozycji społecznej. Margaryna jest uważana za zdecydowanie „pospolitą” przez klasy średnią i wyższą, które używają masła (chyba że są na diecie lub mają nietolerancję nabiału). Marmolada jest popularna we wszystkich grupach społecznych, ale ciemną, grubo krojoną marmoladę Oxford lub Dundee lubią warstwy wyższe, podczas gdy niższe preferują na ogół jaśniejszą i cienie krojoną Golden Shred.

Niepisane zasady klasowe dotyczące dżemu są bardzo podobne: im ciemniejszy kolor i większe kawałki owoców, tym wyższa pozycja społeczna dżemu. Niektórzy, pełni obaw klasowych, członkowie średniej i wyższej warstwy klasy średniej potajemnie preferują marmolady i dżemy jaśniejsze, gładsze, w stylu klasy niższej (może dlatego, że pochodzą z klasy niższej i karmiono ich Golden Shred w dzieciństwie), ale czują się w obowiązku kupować wyższe społecznie, te w kawałkach. Tylko klasy niższe - zwłaszcza niższa warstwa klasy średniej - starają się naśladować wyższe sfery, nazywając dżem konfiturami (*preserves*).

Zachowanie się przy stole. „Kultura materialna”

Zachowanie się przy stole

Angielskie maniery stołowe we wszystkich klasach nieco się pogorszyły, ale wciąż są, jak przyznał Mikes, dość przyzwoite. Naprawdę ważne aspekty etykiety - troska o współbiesiadników, nieokazywanie samolubstwa i łapczywości, ogólna sprawiedliwość, uprzejmość i towarzyskość - są znane (nawet jeśli nie zawsze surowo przestrzegane) większości Anglików ze wszystkich klas społecznych. Żadna z nich nie ma monopolu na dobre ani złe zachowanie przy stole.

Choć porządne „posiłki rodzinne” w dzisiejszych czasach odbywają się przeciętnie tylko raz w tygodniu, większość angielskich dzieci ze wszystkich klas społecznych wciąż jest

pouczana, że powinno się mówić proszę i dziękuję, gdy się o jedzenie prosi i je dostaje, a i dorośli w większości są dość uprzejmi. Wszyscy wiemy, że należy prosić o różne rzeczy, a nie rzucać się na nie; nie nakładać sobie ogromnych porcji, zostawiając za mało dla innych; poczekać, aż wszyscy zostaną obsłużeni, zanim zacznie się jeść, chyba że gospodyni nas zachęca: proszę, zaczynajcie, bo wystygnie; nie brać ostatniego kawałka bez pytania, czy na pewno nikt go nie chce; nie mówić z pełnymi ustami; nie wpychać wielkiej, nieapetycznej ilości jedzenia do ust i nie mlaskać; brać udział w rozmowie przy stole, nie monopolizując jej ani nie dominując innych; i tak dalej.

Jedząc w restauracji, wiemy, że oprócz wyżej wymienionych rzeczy powinniśmy być uprzejmi dla kelnerów, a zwłaszcza nigdy, przenigdy nie przywoływać kelnera, pstrykając palcami albo wrzeszcząc przez całą salę. Należy odchylić się w krześle z wyczekującym wyrazem twarzy, próbować nawiązać kontakt wzrokowy, potem wykonać szybki gest z uniesieniem brwi lub podbródka. Dopuszczalne jest podniesienie ręki oraz ciche „Przepraszam?”, jeśli kelner jest w pobliżu i nie zauważył nas, ale nie powinno się tego robić w sposób władczy. Wiemy, że zamówienia powinny być wyrażane jak prośby, z towarzyszeniem tradycyjnych proszę i dziękuję. Wiemy, że nie wypada robić zamieszania czy scen, ani w jakikolwiek sposób zwracać na siebie uwagi, gdy jemy w miejscu publicznym. Szczególnie paskudne jest robienie jakiegokolwiek zamieszania, jeśli chodzi o pieniądze, a ostentacyjna manifestacja bogactwa jest tak samo okropna jak ewidentne skąpstwo. Ludzie, którzy gdy przychodzi do płacenia rachunku, nalegają na drobiazgowe obliczanie, kto co dokładnie jadł, są traktowani z pogardą, nie tylko z powodu skąpstwa, ale ponieważ takie dyskusje wymagają łamania tabu rozmów o pieniądzu.

Być może nie zawsze stosujemy się do wszystkich tych zasad, ale je znamy. Jeśli zagadnie się Anglików o „zachowanie się przy stole”, prawdopodobnie pomyślą, że ma się na myśli bezsensowne drobiazgowo przepisy o tym, którego użyć widelca, ale jeśli zacznie się konwersację na temat, co jest, a co nie jest dopuszczalne podczas biesiadowania w towarzystwie, czego ich nauczono i czego oni uczą swoje dzieci, zaczną na pewno mówić o tych uniwersalnych, ponadklasowych grzecznościach. Jeśli się dobrze przyjrzeć, w wielu z nich zasadniczo chodzi o przedmiot odwiecznej troski Anglików: bycie fair.

Matki z klas niższych - zwłaszcza „szanujące się matki z klasy robotniczej” i z niższej warstwy klasy średniej - zazwyczaj są bardziej surowe, jeśli chodzi o przestrzeganie elementarnych zasad, niż niektórzy rodzice ze średniej i wyższej warstwy klasy średniej, wciąż pozostający pod przemożnym wpływem rzekomo „postępowych” metod wychowania dzieci z lat siedemdziesiątych, które z dezaprobatą traktowały zasady i zachęcały do

nieskrępowanej autoekspresji. W tym wypadku mówię „rodzice”, nie tylko „matki”, ponieważ u członków warstw średniej i wyższej klasy średniej z reguły obserwuje się odwrócenie ról; tam ojcowie są bardziej zaangażowani w społeczną edukację swoich dzieci.

Ci ze szczytu drabiny społecznej, jak to się często zdarza, mają więcej wspólnego z klasą robotniczą niż z kręgami średnimi; matki z klasy wyższej dość surowo traktują podstawowe maniery przy stole, choć mężczyźni z tej grupy niekoniecznie praktykują to, co ich żony i nianie nakazują dzieciom. Niektórzy mężczyźni z arystokracji słyną wręcz z koszmarnych manier, przypominając w tym niektórych mężczyzn z niższej warstwy klasy robotniczej albo nawet z marginesu społecznego, którzy również nie dbają o opinie innych na swój temat.

Ale to są tylko pomniejsze i wyrwykowe odmiany; ogólnie, zasady podstawowej grzeczności są ponadklasowe. Dopiero gdy wyjdzie się poza te podstawowe grzeczności, zaczyna się dostrzegać znaczące podziały klasowe. Bardziej zawile, niezrozumiałe zasady etykiety stołowej - drobne szczegóły spod znaku „groszku na grzbiecie widelca”, z których Anglicy są znani i powszechnie przez to wyśmiewani - z reguły są domeną wyższych klas społecznych. Trudno się dziwić podejrzeniom, że jedyną funkcją tych zasad jest odróżnienie klas wyższych od niższych, bo w większości wypadków trudno zrozumieć, jakiemu innemu celowi mogłyby one służyć.

„Kultura materialna”

Wiele z zasad świadczących o pochodzeniu społecznym dotyczy użycia przedmiotów i przyborów - noży, widelców, łyżek, kieliszków, misek, talerzy itd. Tu zaczynamy mówić o „kulturze materialnej”. Pamiętam rozmowę podczas mojego pierwszego tygodnia na uniwersytecie w Cambridge z dość nadętym i zarozumiałym absolwentem w kawiarence biblioteki wydziału archeologii i antropologii. Zwierzył mi się, że pisze pracę na temat „kultury materialnej” czegoś tam. „Co rozumiesz przez «kulturę materialną?»” - zapytałam. „Zaraz ci wyjaśnię”. - Wziął głęboki oddech i rozpoczął długą, zawilą i naszpikowaną żargonem rozprawę. Słuchałam uważnie przez jakieś dwadzieścia minut. Gdy skończył wykład, powiedziałam: „A, już rozumiem. Masz na myśli «rzeczy». Rondle, noże, ubrania i tak dalej. Rzeczy”. Był bardzo urażony, choć z obrażoną miną zgodził się, że tak, mogę tak to ująć, jeśli chcę nadmiernie upraszczać. Od tamtego dnia miałam wielką ochotę użyć gdzieś cudownie pompatycznego terminu „kultura materialna”, ale tak naprawdę chodzi mi po prostu o „rzeczy”.

Trzymanie noża

Apodyktyczny podręcznik *savoirvivre*’u Debretta bardzo się stara udawać, że w

drobnych szczegółach angielskiej etykiety stołowej dotyczącej kultury materialnej jest racjonalny sens, że chodzi w niej o wzgląd na innych, ale ja jakoś nie potrafię dostrzec, jak precyzyjne ułożenie palców na nożu - to, czy rączkę masz pod dłonią (dobrze) czy, jak ołówek, spoczywa ona między poduszką kciuka i palcem wskazującym (źle), mogłoby w jakikolwiek sposób wpłynąć na czerpanie przez współbiedników przyjemności z posiłku. A jednak *Debrett's* upiera się, że „pod żadnym pozorem” nie wolno trzymać noża jak ołówek. Jedyne, co może wynikać z twojej metody „na ołówek”, to to, że towarzyszące nam osoby uruchomią swój radar klasowy i zorientują się, że pochodzimy z niższych kręgów społecznych. Zakładamy więc, że dla wrażliwych na punkcie pochodzenia Anglików samo to jest wystarczającym powodem, żeby tego nie robić.

Widelec i jedzenie groszku

Podobnie jest z zębami widelca. Gdy widelec trzyma się w lewej ręce i używa razem z nożem lub łyżką, jego zęby powinny zawsze być skierowane do dołu, nie do góry. Jedząc więc groszek, „dobrze wychowani” Anglicy muszą nabić dwa lub trzy groszki skierowanymi w dół zębami widelca - używając noża, by przytrzymać groszki jeszcze w trakcie nabijania - potem popchnąć nożem jeszcze kilka groszków na wypukły grzbiet widelca, traktując nabite już groszki jako rodzaj półeczki, żeby te lekko rozgniecione, wepchnięte na grzbiet widelca, się nie zsunęły. Jest to o wiele mniej skomplikowane niż ten opis, a cała procedura nieco mniej idiotyczna, niż sugerują wszystkie dowcipy na temat jedzących groszek Anglików. Choć trzeba powiedzieć, że metody jedzenia groszku stosowane przez klasy niższe - obracanie widelca i wpychanie większej liczby groszków na wklęsłą jego stronę przy użyciu noża, czy nawet odłożenie noża, przełożenie widelca do prawej ręki i transportowanie nim groszku, jak łyżką - są zdecydowanie bardziej sensowne, a przynajmniej bardziej praktyczne, bo więcej groszku przenosi się jednorazowo na widelcu z talerza do ust. Bardziej wyrafinowany system, ten z nabijaniem i rozgniataniem, powoduje przeniesienie nie więcej niż ośmiu groszków na raz, podczas gdy technika z zębami do góry, z nabieraniem od dołu jak szuflą, może, jak wynika z moich obliczeń, pomóc przenieść do około trzynastu - zależy to, oczywiście, od rozmiaru widelca i samych groszków. (Wiem, wiem, że powinnam zająć się wreszcie czymś normalnym).

Rzecz jasna więc, nie ma żadnego praktycznego powodu, żeby *Debrett's* i inne podręczniki dobrych manier upierały się przy jedzeniu groszku metodą „zęby w dół”. I znowu, trudno stwierdzić, dlaczego przyjęcie praktyki klasy niższej, „zęby w górę”, miałyby mieć niekorzystny wpływ na współbiedników, toteż argument o liczeniu się z innymi i tym razem nie ma specjalnie sensu. Jesteśmy zmuszeni wyciągnąć wniosek, że, tak jak zasada

trzymania noża, zasada jedzenia groszku jest tylko wskaźnikiem klasy i niczym więcej.

W ostatnich latach „nieokrzęsany” styl jedzenia groszku (zęby widelca w górę) rozpowszechnił się w nieco wyższych rejonach skali społecznej, zwłaszcza wśród ludzi młodszych, być może pod wpływem Amerykanów; można więc teraz zobaczyć coraz więcej Anglików z niższej i średniej warstwy klasy średniej, jedzących groszek w ten sposób (kiedyś jadali tak tylko ci o pochodzeniu robotniczym, niechętnie odkrywając swoje korzenie). Jednakże większość członków wyższej warstwy klasy średniej i klas wyższych stanowczo nie przestaje nabijać i rozgniatać.

Mało i powoli

I nie chodzi tylko o groszek. Wybrałam go jako przykład, ponieważ ludzie dworują sobie z tego, jak Anglicy go jedzą - i dlatego jeszcze, że groszek jest jakoś śmieszniejszy z natury niż inne produkty spożywcze - ale nasze kodeksy etykiety stołowej wskazującej na klasę zalecają używanie metody „zęby w dół, nabijać i rozgniatać” dla *wszelkiego* pożywienia jedzonego za pomocą noża i widelca. A ponieważ prawie wszystko powinno się jeść obojętnie tych sztuczków, prawie wszystko, co mamy na talerzu, należy nabijać i/lub rozgniatać na grzbiecie widelca. Jedyne ograniczoną liczbę określonych dań - na przykład pierwsze dania i sałatki, czy spaghetti lub zapiekankę pasterską - można jeść tylko widelcem, trzymanym w prawej ręce, z zębami skierowanymi w górę.

Gdy używa się zarówno noża, jak i widelca, tylko klasy niższe przyjmują system amerykański, czyli najpierw kroją większość tego, co na talerzu, a potem odkładają nóż i nabierają jedzenie samym widelcem. „Prawidłowe” podejście - czy raczej, na wyższym poziomie społecznym - to kroić i jeść mięso i inne rzeczy po kawałeczku, za każdym razem nabijając niewielką porcję jedzenia na zęby widelca i rozgniatając ją na jego grzbiecie.

Te same zasady pod hasłem „mało i powoli” leżą u podstaw wielu zasad klasowych, a w każdym razie sporo z nich zostało chyba wymyślonych w celu spowolnienia procesu jedzenia (tylko małe ilości przenosi się jednorazowo z talerza do ust, między kęsami mamy wyraźne przerwy na krojenie, nabijanie i tak dalej). System „odkroićnabićrozgnieść” dla groszku, mięsa i praktycznie wszystkiego innego na talerzu to przykład główny, ale zasady te rozciągają się też na inne produkty.

Weźmy na przykład chleb. Prawidłowy (z wyższych sfer) sposób jedzenia wszystkiego, czego podstawą jest chleb (jak bułka z masłem, grzanka z pasztetem, grzanka z marmoladą na śniadanie), to odłamać (nie odkroić) kawałek pieczywa wielkości kęsa, rozsmarować tylko na tym niewielkim kawałku masło/pasztet/marmoladę, zjeść go, po czym powtórzyć procedurę z kolejnym małym kawałkiem. Smarowanie masłem czy czymś innym

całej kromki grzanki czy połowy bułki, jakby robiło się kanapki na piknik, a potem wgrzyzanie się w nią uważa się za wulgarne. Herbatniki czy krakersy podawane z serem należy jeść w taki sam sposób jak chleb czy grzankę, odłamując i smarując jeden kawałek wielkości kęsa na raz.

W wypadku ryby z ościami nasza zasada wymaga, abyśmy filetowali ją po kawałeczku, oddzielając każdy kęs od ości, zjadając go, a następnie oddzielając następny. Winogrona należy odrywać małymi kistkami i jeść po jednym, nie garściami. Przy stole jabłka i inne owoce obiera się, kroi na ćwiartki i je po jednej cząstce - nie wgrzamy się w cały owoc. Bananów nie je się sposobem małpy; powinny być obrane i pokrojone w krążki, jedzone następnie po jednym. I tak dalej.

Czy widzicie tutaj powracający schemat „mało i powoli”? Zasady klasowe nie mówią, co robić, żeby jeść łatwiej, szybciej czy praktyczniej. Wręcz przeciwnie: mają za zadanie zmusić nas, byśmy zwolnili, celowo utrudnić procedurę, dopilnować, byśmy jedli jak najmniejsze kęsy w jak najbardziej czasochłonny, żmudny sposób. Teraz, gdy już zidentyfikowaliśmy schemat i zasadę u jego podstaw, cel staje się jasny. Wszystko sprowadza się do tego, by nie wydawać się żarłocznym, a dokładniej mówiąc, nie sprawiać wrażenia, że dajemy jedzeniu zbyt wysoki priorytet. Łapczywość wszelkiego rodzaju jest łamaniem najważniejszej zasady fair play. Pozwalanie, by łakomstwo wzięło górę nad przyjemnością rozmowy, oznacza nadanie przyjemności i zaspokojeniu fizycznemu większej wartości niż słowom. W uprzejmym towarzystwie jest to źle widziane, jako nieangielskie i wielce żenujące. Nadmierny zapał zawsze jest pozbawiony godności; nadgorliwość w jedzeniu jest obrzydliwa, a nawet z lekka obsceniczna. Jedzenie małych kęsów, z wieloma przerwami pomiędzy jednym a drugim, demonstruje bardziej powściągliwy, pozbawiony emocji, angielski stosunek do jedzenia.

Kółka na serwetki i inne horrory

Serwetki to przedmioty przydatne i uniwersalne - to znaczy, jako wskaźniki klasy. Już wiemy, że nazwanie ich *serviette* jest sporą towarzyską gafą - jednym z „siedmiu grzechów głównych”, niezawodnie sygnalizujących pochodzenie z klasy niższej. Ale serwetki mogą uruchomić radary klasowe na wiele innych sposobów; oto one w porządku chronologicznym, od początku do końca posiłku:

nakrywanie stołu serwetkami poskładanymi w zbyt misterne kształty, podobne do origami (w kręgach „eleganckich” po prostu składa się je zwyczajnie);

stawianie złożonych serwetek pionowo w szklankach (powinno się je kłaść na talerzach lub obok nich);

zakładanie serwetki za pasek lub pod brodę (powinna leżeć luźno na kolanach);
używanie serwetki do tarcia lub energicznego wycierania ust (prawidłowe jest delikatne przykładanie jej do ust);

staranne składanie serwetki przy końcu posiłku (powinno się ją zostawić niedbale zmiętą na stole);

albo, jeszcze gorzej, wkładanie zrolowanych serwetek do specjalnych kółek (tylko ludzie, którzy mówią *serviette*, używają kółek).

Dwa pierwsze z tych grzechów serwetkowych opierają się na zasadzie, że zbyt wyszukana „wytworność” jest cechą niższej warstwy klasy średniej. Nieeleganckie użycie serwetki - wkładanie za ubranie i wycieranie - jest w stylu klasy robotniczej. Dwa ostatnie grzechy są odrażające, ponieważ sugerują, że serwetka nie zostanie wyprana, tylko użyta ponownie. Elegancyjny człowiek woleliby dostać papierową serwetkę niż używaną bawełnianą czy lnianą. Warstwa wyższa klasy średniej kpi z „osób, które używają kółek do serwetek” - mając na myśli ludzi z niższej i średniej warstwy klasy średniej, którzy sądzą, że są elegancyjni i wyrafinowani, ale w rzeczywistości są raczej niechlujni.

Choć w tych zasadach serwetkowych jest jakiś sens (przynajmniej zastrzeżenie dotyczące ponownego użycia serwetek wydaje mi się całkiem rozsądne), uprzedzenie wobec noża do ryby trudniej uzasadnić. Był czas, że całkiem spora liczba Anglików z klasy średniej i nawet wyższej używała do jedzenia ryby specjalnych noży (i widelców). Niektórzy mogli uważać tę praktykę za trochę zbyt wyrafinowaną i pretensjonalną, ale historycznie tabu wydaje się datować od publikacji Johna Betjemana *How to Get On in Society*, w której ośmiesza on afektację i pretensje gospodyni domowej z niższej warstwy klasy średniej, przygotowującej się do proszonego obiadu. Poemat zaczyna się tak:

*Zadzwoń po noże do ryby, Normanie,
Kucharka spięta jest potwornie,
Dzieci pognoły serwetki, kochanie,
A moje party musi być wytworne.*

Noże do ryby, być może zawsze trochę podejrzane, od tej chwili były nieodwołalnie już kojarzone z ludźmi, którzy mówią *pardon*, *serviette* i *toilet* - i używają kółek do serwetek. Poza tym teraz noże do ryby uważa się też za beznadziejnie staroświeckie i prawdopodobnie używają ich starsze pokolenia niższej i średniej warstwy klasy średniej. Za równie zaściankowe uchodzą noże do steków, podobnie ozdobne serwetki, widelczyki do ciast, wszystko, co złote, stojaki na flaszeczki z przyprawami, podkładki pod szklanki i wózki kelnerskie (płyta grzejna na czymś w rodzaju stolika na kółkach, używana po to, by dania w

jadalni nie wystygły).

Można by pomyśleć, że miseczki do płukania rąk - małe miski z letnią wodą, podawane przy daniach jedzonych palcami - należą do tej samej kategorii wyszukanej, afektowanej, zaściankowej wytworności, one jednak, nie wiedzieć czemu, są akceptowane i wciąż widać je przy kolacjach wyższej warstwy klasy średniej i klasy wyższej. Nie ma w tym wszystkim logiki. Często opowiada się legendy o gościach ignorantach z klasy niższej, którzy pili wodę z tych misek - i o ultrauprzejmych gospodarzach, którzy robili to samo, żeby nie wprawiać gości w zakłopotanie zwróceniem uwagi na ich gafę. Tak więc należy na krótko umoczyć palce w misce, następnie osuszyć je delikatnie serwetką - nie myć, nie szorować i nie trzeć, jak w łazienkowej umywalce, chyba że chce się uruchomić radarowe systemy klasowe swoich gospodarzy.

Serwowanie porto

Inną metodą uruchomienia radarów może być podanie porto w nieodpowiedni sposób. Porto serwuje się pod koniec kolacji - czasem, w kręgach wyższych, tylko mężczyznom; kobiety w tym czasie zgodnie ze staroświecką praktyką „wycofują się” do innego pomieszczenia na kawę i damskie pogaduszki, zostawiając mężczyzn, żeby zacieśniali swoje męskie więzi. Porto zawsze musi okrążyć stół zgodnie z ruchem wskazówek zegara (gdyby odbyło się to w drugą stronę, byłby to koniec świata), zawsze więc trzeba podawać butelkę lub karafkę w swoją lewą stronę.

Nawet jeśli w jakiś sposób przegapimy swoją kolejkę, nie wolno nam *nigdy* prosić, żeby porto do nas wróciło, bo wtedy powędrowałoby w złą stronę, co byłoby katastrofą. Czekamy, aż po raz kolejny okrąży stół i wróci do nas, albo podajemy w lewo kieliszek do napełnienia, aby jeszcze je dogonić. Wtedy bezpiecznie mogą nam podać kieliszek z powrotem, ponieważ porto może wędrować w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara, jeśli jest w kieliszku; tabu dotyczące podawania w prawo odnosi się tylko do porto w butelkach i karafkach.

Nikt nie ma bladego pojęcia, dlaczego podawanie porto w wyżej opisany sposób jest tak ważne. Zasada ta nie służy żadnemu wyraźnemu celowi, chyba że wywołaniu zakłopotania tych, którzy nie są jej świadomi i, zapewne, typowo angielskiego poczucia samozadowolenia u tych, którzy tę świadomość mają.

Frytka jest bardzo ważna

Raport z badań SIRC zatytułowany *Znaczenie frytek* zajął się kwestią o wielkim znaczeniu narodowym. Dziewięćdziesiąt procent z nas jada frytki, większość pozwala sobie na to co najmniej raz w tygodniu, frytka jest zasadniczą częścią angielskiego dziedzictwa,

lecz przed badaniami SIRC niewiele było wiadomo o naszym związku z frytką, jej roli w naszych stosunkach towarzyskich i jej miejscu w kulturowym *Zeitgeist*.

Frytki, patriotyzm i angielski empiryzm

Choć frytki zostały wynalezione przez Belgów i są popularne w wielu innych stronach świata, odkryliśmy, że Anglicy zazwyczaj uważają je za brytyjskie, a konkretniej, angielskie. „Ryba z frytkami” jest wciąż uważana za angielskie danie narodowe. Anglicy zwykle nie wykazują patriotyzmu ani namiętności związanych z jedzeniem, ale okazało się, że potrafią być zaskakująco patriotyczni i entuzjastyczni wobec skromnej frytki.

„Frytka jest taka praktyczna - wyjaśnił jeden z przepytywanych na tę okoliczność. - Jest skromna i prosta, w dobrym tego słowa znaczeniu, dlatego ją lubimy. My też tacy jesteśmy i to są dobre cechy... Tacy są Anglicy - nie robimy z niczego ceregieli”. - Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że kawałek smażonego ziemniaka może tak trafnie wyrazić pragmatyczny empiryzm i praktyczny realizm, które wstępnie uznałam za cechy definiujące angielskość, byłam mu więc wdzięczna za to spostrzeżenie.

Wspólne jedzenie frytek

Frytki są także ważną „protezą” towarzyską. Jest to jedyny rodzaj angielskiego jedzenia, który rzeczywiście można jeść wspólnie i którym niepisane zasady pozwalają się dzielić. Gdy Anglicy jedzą frytki, często można zauważyć, że zachowują się w bardzo towarzyski, poufały, nieangielski sposób: wszyscy niechłujnie jedzą palcami z tego samego talerza lub z tej samej torebki, podkradając sobie frytki, a nawet karmiąc się nimi nawzajem. Zwykle nawet dania, które z założenia mają być jedzone wspólnie, na przykład chińskie czy hinduskie, Anglicy uparcie zamawiają osobno. Ale frytki wydają się zachęcać do towarzyskości, co dla wielu Anglików jest częścią ich uroku - może dlatego, że mamy większą niż inne narody potrzebę rekwizytów i podpórek, sprzyjających wspólnemu biesiadowaniu.

Jedzenie a angielskość

Zasady dotyczące jedzenia odsłoniły przed nami kolejne symptomy angielskiej ułomności towarzyskiej. Wygląda na to, że za strasznie dużo nieracjonalnych i pozornie niewytłumaczalnych aspektów angielskiego zachowania - jak nasze ciche, przeprasające i agresywne skargi - można winić tę niefortunną przypadłość.

Baczna obserwacja zachowań związanych z jedzeniem pomogła nam również udoskonalić naszą analizę zasady „Typowe!” i tego, co mówi nam ona o angielskości. Ta zasada to coś więcej niż „zgryźliwy stoicyzm”, jest ona odbiciem naszych cynicznie niskich oczekiwań wobec świata, naszego chronicznego pesymizmu, zakładania przez nas, że rzeczy

z natury swojej muszą iść nie tak, jak trzeba, że muszą nam krzyżować szyki i generalnie nas zawodzić. Możliwe nawet, że jeszcze ważniejsze jest moje odkrycie, iż odczuwamy perwersyjną satysfakcję, wręcz przyjemność, widząc, jak nasze ponure przewidywania się spełniają. Myślę, że zrozumienie tej osobliwej, Kłapouszej mentalności okaże się kluczowe dla naszego zrozumienia angielskości. Warto zauważyć, że powrócił też motyw angielskiego empiryzmu, w dość niezwykłym kontekście naszego związku z frytką.

Zasady klasowe w tym rozdziale obnażają, może nawet bardziej niż poprzednie, naprawdę niezwykłą głupotę angielskiego systemu klasowego. Serio. Ile groszków może podrygiwać na grzbiecie widelca? Wstydę się nawet o tym pisać. Wstydę się, że to *wiem*, choć taką mam pracę, żeby obserwować, opisywać i próbować to rozumieć. Tak, wiem, że każda ludzka społeczność ma swoją „hierarchię, jeśli chodzi o status społeczny i sposoby jego sygnalizowania”, ale Anglicy chyba doprowadzają ten system do najbardziej groteskowych skrajności.

Zasada „mało i powoli” nie jest taka głupia jak inne zasady klasowe. Choć służy jako wskaźnik klasy, odzwierciedla także ważne angielskie ideały, takie jak uprzejmość i fair play, i podkreśla naszą aprobatę dla powściągliwości oraz niechęć do samolubnej łapczywości. W przedkładaniu miłej rozmowy nad napychanie brzucha z całą pewnością jest coś słusznego.

Zasada „frytka jest bardzo ważna” świadczy o tym, że nasz pozorny brak namiętności wobec jedzenia i może też nasza apatia w innych dziedzinach, jak na przykład patriotyzm, może być bardziej kwestią przestrzegania zasady „byle nie zbyt serio” niż naturalną obojętnością, której często są przypisywane. My *potrafimy* się emocjonować różnymi rzeczami, i to nawet bardzo. No, a w każdym razie frytkami. Tylko że zwykle tłumimy te impulsy, starając się nie łamać tabu zbytnej powagi. Czy nasz wyśmiewany brak pasji w seksie jest częścią tego samego syndromu? Czy angielskie zasady humoru są silniejsze niż nasz popęd płciowy? Spróbuję się o tym przekonać w następnym rozdziale.

Seks

- Jak tam książka o angielskości? Nad jakim rozdziałem teraz pracujesz?

- O seksie.

- A, to będzie dwadzieścia pustych stron?

Humor odruchowy

Już nie zliczę, ile razy słyszałam taki komentarz - albo podobne, na przykład: „O, to będzie krótki rozdział!”, „No, to się nie napracujesz!”, „Ach, to łatwe: żadnego seksu, jesteśmy Brytyjczykami!”, „Ale my przecież nie mamy seksu, mamy termofory!”, „To znaczy: leż i myśl o Anglii?”, „A wyjaśnisz tajemnicę, w jaki sposób Anglikom udaje się rozmnażać?”. I to wszystko usłyszałam od *angielskich* znajomych i informatorów. Cudzoziemcy też czasem żartowali w podobny sposób, ale Anglicy niemal bez wyjątku. Najwyraźniej opinia, że Anglicy rzadko uprawiają seks lub że mają żałośnie niski popęd płciowy, jest powszechnie akceptowana jako fakt - i to wśród samych Anglików, a nawet szczególnie wśród nich.

Ale czy na pewno? Czy naprawdę wierzymy w popularny międzynarodowy stereotyp o beznamiętnych, zahamowanych, naiwnych seksualnie, erotycznie upośledzonych Anglikach? O facecie, który „zamiast” wolałby pooglądać futbol, i jego żonie, która chętniej napiłaby się dobrej herbatki? A na wyżynach społecznych - kolejny stereotyp niezręcznej postaci w stylu nieśmiałego, zapominającego języka w gębie ucznia szkoły prywatnej i jego równie głupawej partnerki o końskiej twarzy, która nie może przestać chichotać?

W kategoriach czysto praktycznych, ilościowych, nasz mało seksowny wizerunek jest nieścisty. Anglicy są ludźmi i seks jest dla nas tak samo ważny jak dla każdego innego członka tego gatunku. Naszej reputacji niekompetentnych seksualnie osobników nie potwierdzają fakty i liczby, które świadczą o tym, że jesteśmy w stanie kopulować i rozmnażać się dokładnie tak samo jak cała reszta świata. A nawet zaczynamy wcześniej: w Anglii mamy najwyższy odsetek aktywności seksualnej nastolatków w krajach uprzemysłowionych; 86 procent niezamężnych dziewcząt zaczyna współżycie przed ukończeniem dziewiętnastego roku życia (w Stanach nędzna namiastka: 75 procent). Jest też wiele innych nacji, które są o wiele bardziej pruderyjne i surowe, jeśli chodzi o seks, niż Anglicy i przez które Anglicy uważani są za niebezpiecznie liberalnych. Nasze ustawy cenzorskie są surowsze niż w wielu innych krajach europejskich, a nasi politycy bardziej skłonni do ustąpienia ze stanowiska z powodu czegoś, co na przykład Francuzi uznaliby za drobne seksualne grzeszki - ale ogólnie rzecz biorąc, na tle standardów międzynarodowych jesteśmy dość liberalni.

Jednakże stereotypy nie biorą się znikąd, a stereotyp tak rozpowszechniony i szeroko uznawany jak „nieseksowni Anglicy” musi z pewnością mieć jakieś podłoże w rzeczywistości. Bo przecież seks jest naturalną, instynktowną, uniwersalną czynnością ludzką, którą Anglicy muszą wykonywać jak wszyscy inni - ale jest to także czynność społeczna, polegająca na kontakcie z innymi ludźmi, emocjonalnym zaangażowaniu, zażyłości i tak dalej, które jak już ustaliliśmy, nie są naszymi mocnymi stronami. A jednak nasza wyraźna gotowość, by zaakceptować ten zdecydowanie niepochlebny stereotyp (jesteśmy o wiele bardziej patriotycznie nastawieni, jeśli chodzi o obronę naszej pogody niż sprawności seksualnej), może być postrzegana jako nieco dziwaczna, dlatego też wymaga wyjaśnienia.

Przeglądając moje notatki z badań, odkrywam, że bez przerwy uderzała mnie trudność w przeprowadzeniu z angielskimi informatorami jakiegokolwiek sensownej rozmowy o seksie. „Anglicy nie potrafią po prostu rozmawiać o seksie, nie robiąc sobie z tego żartów - poskarżyłam się w swoim notatniku - zwykle jest to ten sam żart: jeśli jeszcze jedna osoba zaproponuje, że «pomocze mi w moich badaniach» koniecznych do napisania rozdziału o seksie, zacznę wrzeszczeć”. Samo brzmienie słowa „seks” wydaje się automatycznie prowokować dowcipne uwagi, a w wypadku mniej elokwentnych osób, prymitywny, aluzyjny komentarz albo głupie miny - coś w guście filmów z serii *Do dzieła!*, albo przynajmniej chichot. To coś więcej niż zasada: to mimowolny, bezmyślny odruch - reakcja automatyczna. Wspomnij o seksie, a natychmiast uruchomisz odruch angielskiego humoru. A wszyscy wiemy, że autoironiczne dowcipy są najbardziej skuteczną, najszerzej docenianą formą humoru. Dowcipne uwagi o „czystych kartkach” w moim rozdziale o seksie były więc niekoniecznie znakiem, że akceptujemy bez reszty stereotyp o seksualnie upośledzonych Anglikach, ale po prostu typową angielską reakcją na słowo „seks”.

Dlaczego seks tak nas bawi? Nie bawi, tak naprawdę; tylko że humor jest naszym standardowym sposobem na radzenie sobie ze wszystkim, co wywołuje u nas zakłopotanie. Oto z całą pewnością jest jedno z dziesięciu przykazań angielskości: gdy masz jakiegokolwiek wątpliwości, na wszelki wypadek zażartuj. Owszem, inne narody żartują sobie z seksu, ale żaden, o ile się orientuję, nie robi tego z taką nużącą automatyczną przewidywalnością jak Anglicy. W innych częściach świata seks może być uważany za grzech, formę sztuki, zdrową rozrywkę, towar, kwestię polityczną i/lub problem wymagający wieloletniej terapii oraz setek poradników. W Anglii - jest żartem.

Flirt

W stereotypach narodowych prawie zawsze jest ziarno prawdy, toteż opinia, że Anglicy są seksualnie zahamowani, jest, obawiam się, dość prawdziwa. Gdy już trafimy do

łóżka, jesteśmy równie kompetentni, czy wręcz namiętni, jak wszyscy inni, ale proces trafiania tam jest często niezręczny i nieudolny.

Przekonanie, że nasza rezerwa i zahamowania biorą się z braku zainteresowania seksem, jest jednak błędne. Anglicy może i uważają temat za kłopotliwy, ale żywo się seksem interesują. Zwłaszcza dzięki efektowi owocu zakazanego naszych zasad prywatności odczuwamy niezdrową, nienasyconą fascynację życiem erotycznym innych ludzi, którą tylko częściowo zaspokajają tabloidy z pasmem nieustających skandali seksualnych i historyjek ujawniających intymne szczegóły związków sławnych ludzi.

Nasze własne życie erotyczne interesuje nas tak bardzo, że robimy, co możemy, by pokonać zahamowania; jeśli flirtowanie nam nie wychodzi, to na pewno nie z braku praktyki. Przeprowadziłam dwa duże badania na temat flirtu wśród Anglików i w tym ostatnim tylko jeden procent respondentów (w wieku 18-40 lat) udzielił odpowiedzi: „nigdy nie flirtowałam/łam”, a ponad jedna trzecia flirtowała z kimś „dzisiaj” lub „w ciągu ostatniego tygodnia”. Oczywiście, podobne wyniki otrzymalibyśmy w każdym innym kraju, ponieważ flirtowanie jest uniwersalną cechą ludzką, instynktem pierwotnym, bez którego nasz gatunek wymarłby dawno temu. Jeśli wierzyć niektórym psychologom ewolucyjnym, flirt może nawet być podstawą naszej cywilizacji. Twierdzą oni, że duży mózg ludzki - nasz złożony język, wyższa inteligencja, kultura, wszystko, co odróżnia nas od zwierząt - jest ekwiwalentem pawiego ogona: narzędziem zachowań godowych, które ewoluowało w celu przyciągnięcia i zatrzymania partnerów seksualnych. Jeśli ta teoria, żartobliwie zwana „podrywową teorią ewolucji”, jest słuszną, wszelkie ludzkie osiągnięcia, od sztuki, przez literaturę, do wiedzy o kosmosie, są być może jedynie skutkiem ubocznym podstawowej umiejętności czarowania.

Teoria, że NASA, *Hamlet* i *Mona Liza* są przypadkowymi produktami ubocznymi zalotów pierwotnych, może wydawać się nieco naciągana, jasne jest jednak, że flirt sprzyja ewolucji. Najzdolniejsi czarusie pośród naszych dalekich przodków mieli największe szanse, by przyciągnąć partnerkę i przekazać dalej swoje czarujące geny. Wywodzi się z długiej linii udanych flirtów i instynkt flirtowania jest wbudowany w nasze mózgi. Nawet gdy ludzie żyjący współcześnie nie są zaangażowani w wybór partnera, i tak flirtują - wszyscy praktykujemy dwa rodzaje flirtu, które w skrócie nazwę „flirtem zadaniowym” (flirtowanie, które ma doprowadzić do połączenia się w parę i w miarę możliwości do stworzenia związku) oraz „flirtem rekreacyjnym” (flirtowanie dla rozrywki, z innych powodów towarzyskich albo po prostu dla wprawy). Homo sapiens jest z natury flirciarzem nałogowym.

A więc, Anglicy są genetycznie zaprogramowani do flirtu, podobnie jak wszyscy inni ludzie, i prawdopodobnie flirtujemy tyle samo, co inni. Tyle że nie robimy tego tak samo

zręcznie, swobodnie i pewnie. Albo inaczej, mniej więcej połowa z nas wykazuje tu wyraźne braki. Jeśli lepiej przyjrzymy się stereotypowi seksualnie upośledzonych Anglików, to jako obiekt krytyki i szyderstwa występuje tu najczęściej angielski *mężczyzna*. Kilka standardowych żartów i dowcipnych uwag pije do rzekomej oziębłości lub ignorancji Angielek, ale ogromna większość traktuje o domniemanej impotencji, obojętności lub nieudolności Anglików. Często uważa się, że nieudolność mężczyzn jest przyczyną wszelkich seksualnych frustracji kobiet. Na początku XVIII wieku szwajcarski komentator³⁴ opisał Angielki jako „nierozpieszczane przez względy mężczyzn, którzy poświęcają im znikomą część swego czasu. Zaiste, większość mężczyzn przedkłada wino i hazard nad kobiety, co jest nagannym, jako że kobiety w Anglii są przedniejsze niż wino”. Wielu moich zagranicznych informatorów twierdziło to samo, choć zamiast o winie mówili o angielskim piwie, na którego jakość się nie skarżyli.

Dwa pierwsze oskarżenia pod adresem angielskich mężczyzn - impotencja i obojętność - są bezpodstawne i niesprawiedliwe; nie opierają się na faktach czy bezpośredniej obserwacji, ale głównie na wrażeniu tworzonym przez trzecią ułomność, o którą oskarża się Anglików: nieudolność w sztuce uwodzenia. „Anglicy nie wydają się stworzeni do galanterii - zauważył nasz szwajcarski krytyk - nie znają oni stanu pośredniego pomiędzy całkowitą poufałością a pełnym szacunku milczeniem”. Przeciętny Anglik może mieć duży popęd płciowy, ale nie jest on, trzeba to szczerze powiedzieć, zdolnym flirciarzem. Nie jest w swoim żywiole, gdy staje przed, jak to nazwał jeden z moich informatorów (mężczyzn), „reprezentantką przeciwnego gatunku”. Albo robi się małomówny, niezaradny i zapomina języka w gębie, albo, w najgorszym razie, jest gburowaty i prostacki³⁵. W przekonaniu, że pomoże mu to pozbyć się zahamowań, konsumuje zwykle wielkie ilości alkoholu; a skutkiem tego jest jedynie zamiana małomównej powściągliwości na szorstkie grubiaństwo. Z perspektywy nieszczęsnej angielskiej kobiety to niewielki postęp - chyba że jej własny osąd jest już poważnie upośledzony, jak to się często dzieje, przez podobną ilość alkoholu, w którym to wypadku zalotne kwestie typu: „Ee... chcesz się bzyknąć?”, mogą się wydawać szczytem dowcipu i elokwencji.

I to, w pigułce, a może raczej w kropelce, jest klucz do tajemnicy, w jaki sposób Anglikom udaje się rozmnażać. No dobrze, przesadzam - ale tylko trochę. Roli alkoholu w przekazywaniu angielskiego DNA nie da się przecenić.

Test PAC

Są oczywiście także inne czynniki. W trosce o dobro publiczne, chcąc pomóc Anglikom ulepszyć techniki uwodzenia, wymyśliłam kiedyś test, oparty na szczegółowych

badaniach terenowych, służący zlokalizowaniu najlepszych „stref flirtu” - scenerii towarzyskich najbardziej sprzyjających przyjemnemu i udanemu flirtowi; nazwałam go „testem PAC”. To skrót od: Przystępność (przez co rozumiem głównie dopuszczalność i swobodę inicjowania konwersacji z nieznanymi), Alkohol (niezbędną pomoc przy flirtie zahamowanych Anglików) i Cel wspólny (chodzi o miejsca, w których ludzie mają takie same zainteresowania lub wspólny cel - takie, w których prawdopodobnie znajdą się towarzyskie „protezy” i rekwizyty, pomagające Anglikom pokonać ich ułomność towarzyską). Wyniki testu dostarczają nam wiedzy o angielskich zwyczajach flirtowania i niepisanych zasadach szukania partnera w angielskiej kulturze.

Przyjęcia i puby

Przyjęcia i uroczystości są oczywistymi strefami flirtu, choć nie zdobyłyby wielu punktów w kategorii Cel wspólny. Puby, bary i nocne kluby, na pierwszy rzut oka świetne kandydaty, właściwie załapują się tylko w elementach Przystępność i Alkohol - ale odpadają, jeśli chodzi o Cel wspólny. W angielskich pubach i barach niepisane zasady dopuszczają nawiązanie rozmowy z atrakcyjną nieznaną osobą (aczkolwiek z pewnymi ograniczeniami), ale wobec braku wyraźnych wspólnych zainteresowań trzeba się nieźle natrudzić, żeby wymyślić jakiś temat. Tradycyjna angielska etykieta dostarcza powszechnie dopuszczalnego tematu w postaci pogody, ale bez wspólnego Celu ten wstępny proces mimo wszystko wymaga znacznego wysiłku.

Z drugiej strony, według pewnej ankiety, 27 procent z nas poznało swojego aktualnego partnera w pubie, najwyraźniej więc jest to wysiłek, który jesteśmy gotowi ponieść. Moje własne badania obserwacyjne i wywiady z angielskimi bywalcami pubów sugerują jednak, że w większości wypadków znalezienie pary nie było rezultatem podejścia z marszu do kogoś całkiem nieznanego przy ladzie barowej, ale raczej nieoficjalnego przedstawienia przez znajomych; a spotkanie przypadkiem miało miejsce w pubie, bo to tam Anglicy spędzają sporo czasu i tam w znacznej mierze realizują się w życiu towarzyskim.

Bywalczy klubów. „Żadnego seksu; jesteśmy zbyt cool”

Kluby nocne trochę lepiej wypadają pod względem czynnika Cel wspólny niż puby i bary, ponieważ bywalczy z reguły mają wspólne zainteresowanie - muzykę. W każdym razie problem z nawiązywaniem rozmowy jest tu mniejszy, z powodu hałasu, który ogranicza komunikację słowną do kilku wykrzykiwanych monosylab, co pozwala klubowiczom na flirtowanie głównie sposobami niewerbalnymi. Z bardzo wysokimi wynikami w kategorii Przystępność i Alkohol, nocne kluby powinny teoretycznie zbliżać się do szczytu mojej tabeli ligowej angielskich stref flirtu, ale wśród wielu młodych angielskich klubowiczów istnieje

nowa dziwna i przewrotna niepisana zasada, zgodnie z którą taniec - i tym samym clubbing w ogóle - uważany jest za czynność aseksualną. Skupiają się oni na więzi grupowej i euforycznym, niemal transcendentalnym doświadczeniu stapiania się w jedno z muzyką i tłumem (brzmi to jak wersja tego, co antropolog Victor Turner nazwał *communitas*: jest to intensywny, intymny, dający wyzwolenie rodzaj grupowej więzi uczuciowej, doświadczany tylko w stanach „progowych”). Bywalcy klubów czują się urażeni najmniejszą sugestią, że mogliby tam być z wulgarnego, prymitywnego powodu, żeby kogoś „wyrwać”.

W ogólnokrajowej ankiecie, na przykład, tylko sześć procent klubowiczów przyznało, że ważnym elementem tych „potańcówek” było dla nich „poznanie potencjalnych partnerów seksualnych”. Ten wynik wydaje mi się przykładem tego, co my, naukowcy, nazywamy Social Desirability Bias (obciążenie akceptacji towarzyskiej). Może pamiętacie, że oznacza to „standardowy błąd ankiet spowodowany tym, że respondenci usiłują przedstawić siebie w społecznie korzystnym świetle” - inaczej mówiąc - kłamią. W ankiecie bywalców klubów widać, że respondenci nieco rozmijali się z prawdą, bo odpowiedzi na inne pytania ujawniły, że ponad połowa z nich kiedyś uprawiała seks z „kimś, kogo spotkali na imprezie tanecznej”, co sugeruje, że poznanie potencjalnych partnerów seksualnych mogło być ważniejszym elementem clubbingu, niż chcieliby przyznać.

SDB może być jednak całkiem przydatne, ponieważ konsekwentny schemat takich „korzystnych społecznie” odpowiedzi może wskazywać na niepisaną społeczną zasadę lub normę w ramach jakiejś grupy lub subkultury. W tym wypadku wydaje mi się całkiem jasne, że wśród młodych angielskich klubowiczów, zwłaszcza tych, którzy uważają siebie i swoje gusta muzyczne za dalekie od głównego nurtu, istnieje niepisana zasada „żadnego seksu, jesteśmy na to zbyt cool”. Wędrówka po klubach w celu poznania potencjalnych partnerów jest uznawana za bardzo „niecool”, naturalnie więc klubowicze niechętnie przyznają się do takiej motywacji. Gdy zdarzy im się wylądować w łóżku z kimś, kogo spotkali w klubie, jest to przypadkowy efekt uboczny wieczornej rozrywki, nie coś, co planowali osiągnąć. Wygląda na to, że zasada „bez seksu” przestrzegana jest bardziej w mowie niż w czynach. Udajemy, że nie jesteśmy zbyt zainteresowani seksem, ale jednak udaje nam się, niby to przez przypadek, całkiem często go uprawiać. Kolejny przykład wspaniałej angielskiej hipokryzji.

Odkryłam, że jeśli chodzi o zainteresowanie seksem, klubowicze geje są zwykle bardziej otwarci i szczerzy niż „heterycy”; choć niektórzy podpisują się pod zasadą tytułową, „żadnego seksu, jesteśmy zbyt cool”, większość uczciwie przyznaje się, że flirt, wybór partnera i seks są dla nich ważnymi elementami clubbingu.

W miejscu pracy

Zarówno „flirt zadaniowy”, jak i „flirt rekreacyjny” kwitną w większości angielskich biur i innych miejsc pracy. Badania wykazały, że aż do 40 procent z nas poznaje obecnie swoich współmałżonków lub partnerów seksualnych w miejscu pracy, a niektóre z ostatnich badań dowodzą, że flirt jest korzystny dla rozładowania napięć i stresów związanych z pracą; żartobliwa atmosfera stworzona przez kokieteryjne przekomarzanie redukuje konflikty, a wymiana komplementów dobrze wszystkim robi, jeśli chodzi o poczucie własnej wartości.

Oczywiście, wiedzieliśmy o tym i wcześniej, ale trzeba o tym mówić głośno, w sytuacji gdy flirt w miejscu pracy może być zagrożony przez purytańskie wpływy *made in USA*, gdzie w wielu biurach i innych miejscach pracy flirtowanie zostało oficjalnie zakazane (ruch nierozważny ze strony politycznie poprawnego lobby, jako że próby zakazu zachowań, które są tak głęboko zakorzenione w ludzkiej psychice jak flirt, są z góry skazane na klęskę). W tej chwili w Anglii miejsca pracy wciąż należą do lepszych stref flirtu. Formalnie rzecz biorąc, przechodzą one pomyślnie tylko dwa elementy testu PAC, ponieważ w biurach czy fabrykach alkohol nie jest powszechnie dostępny - choć w praktyce koledzy z pracy znajdują okazje do wspólnego picia. Biura itp. dostają natomiast wysoką punktację pod względem Przystępności i Celów wspólnych. Szkolenia, kursy, konferencje i inne podobne wycieczki i zebrania związane z pracą były wymieniane przez moich rozmówców jako szczególnie sprzyjające flirtowi, bo łączą w sobie wszystkie dobre strony wspólnych zainteresowań i swobody towarzyskich kontaktów z dodatkową „podpórką” - okazjami do picia alkoholu przy różnych okazjach.

W samym angielskim miejscu pracy flirtowanie jest jednak dozwolone tylko w konkretnych strefach, z konkretnymi ludźmi i o określonych porach lub przy określonych okazjach. Każde miejsce pracy ma swoją własną niepisaną etykietę, normującą zachowanie podczas flirtu. Odkryłam, że w pewnych firmach nieoficjalnymi „wyznaczonymi strefami flirtu” były: automat do kawy, kserokopiarka lub bufet. W jednej był to balkon używany głównie przez palaczy, którzy często są bardziej towarzyscy niż niepalący, lub przynajmniej łączy ich poczucie buntowniczej solidarności (jedna kobieta powiedziała mi, że nie pali, ale udaje, że pali, bo palacze to „bardziej rozrywkowe towarzystwo”).

Szkoły, uczelnie

Prawie wszystkie placówki edukacyjne są siedliskami flirtu. Dzieje się tak głównie dlatego, że pełno w nich samotnych młodych ludzi, dokonujących pierwszych prób wyboru partnera, ale poza tym śpiewająco zdają nasz test PAC; szkoły, college'e i uniwersytety dostają wysoką punktację, jeśli chodzi o czynniki Przystępność i Cel wspólny, a choć alkoholu zwykle nie serwuje się w salach wykładowych, uczniowie i studenci mają wiele

okazji do towarzyskiego picia.

Dla angielskich nastolatków niezwykle ważny jest czynnik wspólnoty tematów. Nastolatki wszystkich narodowości z reguły są wstydliwe, ale angielskie mają tendencje do szczególnej niezręczności, brakuje im ogłady towarzyskiej, niezbędnej do nawiązania rozmowy bez wyraźnego punktu stycznego. Ten sam styl życia i te same problemy uczniów plus nieformalna atmosfera ułatwiają im nawiązywanie konwersacji. Z tego prostego powodu, że chodzą razem do szkoły, uczniowie i studenci, jako potencjalni partnerzy, automatycznie mają bardzo dużo ze sobą wspólnego, nie muszą się więc wysilać, żeby znaleźć wspólne tematy.

Sport zespołowy, kluby i hobby. Niekompetencja

Prawie wszystkie sporty grupowe i hobby wypadają korzystnie w moim teście PAC, jeśli chodzi o czynniki Przystępność i Cel wspólny, Alkohol natomiast wymaga niejakich starań, nie jest bowiem integralną częścią zajęć.

Odkryłam, że poziom zalotnego zachowania wśród członków amatorskich angielskich drużyn sportowych lub klubów tematycznych jest na ogół odwrotnie proporcjonalny do poziomu prezentowanego przez uczestników oraz ich entuzjazmu dla danej czynności. Z pewnymi wyjątkami, z reguły spotyka się wysokie stężenie flirtu wśród nieudolnych tenisistów, piechurów bez kondycji, niezdolnych malarzy i tancerzy, którym się płaczą stopy, a nieco niższy wśród bardziej biegłych, poważnych, rywalizujących ze sobą uczestników tych samych zajęć. Nawet szczególnie rażąco niekompetentni zazwyczaj *udają*, że naprawdę chodzi im o sport czy zajęcia, którym klub jest rzekomo poświęcony. Czasem nawet autentycznie w to wierzą - Anglicy są mistrzami samooszukiwania się - ale prawda jest taka, że rakiety tenisowe, mapy i pędzle są zasadniczo towarzyskimi rekwizytami i „proteżami”, i często przydają się jako narzędzia flirtu.

Imprezy widowiskowe

Mimo że imprezy widowiskowe mają ten plus, że dostarczają tematu do rozmów, i niektórym z nich dalibyśmy sporo punktów w kategorii Przystępność, większość imprez sportowych i innych rozrywek widowiskowych, jak teatr czy kino, nie sprzyja specjalnie flirtowaniu czy wyborowi partnera, jako że kontakt towarzyski jest na ogół ograniczony do krótkiej przerwy lub wymaga przegapienia akcji.

Najbardziej uderzający wyjątek od tej reguły to wyścigi konne, gdzie cała „akcja” sprowadza się do kilku zaledwie minut, półgodzinna przerwa między wyścigami jest poświęcona kontaktom towarzyskim, a etykieta wyścigów zachęca do życzliwej interakcji między nieznajomymi. Spotkania na wyścigach przechodzą pomyślnie wszystkie trzy

elementy testu PAC, z dodatkową korzyścią w postaci gotowego początku rozmowy: Jak obstawiasz w tej gonitwie?

Imprezy dla singli, biura matrymonialne. Żadnych randek!

Przyjęcia dla singli, także kluby i randki organizowane przez biura przechodzą test PAC ledwo ledwo. Nie dostają zbyt wielu punktów w kategorii Cel wspólny. Możliwe, że to brzmi głupio, bo przecież uczestnicy mają ewidentny cel wspólny: chcą znaleźć partnera, ten cel jednak jest zbyt kłopotliwy, żeby otwarcie się do niego przyznać, i dlatego nie za bardzo nadaje się na początek rozmowy. Nawet w sytuacjach nieseksualnych Anglicy muszą udawać, że spotykają się z jakiegoś innego powodu niż samo spotkanie się, a potrzeba pozorów jest jeszcze większa, gdy prawdziwym celem imprezy jest coś tak osobistego i intymnego jak szukanie partnera. Anglik, nawet gdy idzie na randkę, nie lubi używać tego słowa; angielscy mężczyźni są szczególnie przewrażliwieni na punkcie idei „chodzenia na randki” - dla nich jest ona zbyt krępująco otwarta i oficjalna. I zbyt serio. Nie lubimy być zmuszani do traktowania całego tego procesu zalotów zbyt poważnie; samo słowo „randka” wydaje się zaprzeczać duchowi zasad angielskiego humoru.

Z tym „zorganizowanym swataniem” wciąż jeszcze wiąże się też element piętna. Imprezy dla singli i biura matrymonialne są uważane za w jakiś sposób nienaturalne, zanadto sztuczne, pozbawione elementu przypadku i spontaniczności, które powinny charakteryzować romantyczne spotkania. Wielu ludzi wstydzi się przyznać, że „uciekają się” do biur matrymonialnych czy zorganizowanych imprez dla singli; uważają, że to pozbawia godności, świadczy o porażce. Prawda jest oczywiście taka, że w zorganizowanych swatach nie ma nic nienaturalnego czy upokarzającego. To praktyka, która od wieków była normą, i wciąż jest tradycją w większości kultur na całym świecie. Ale angielska obsesja na punkcie prywatności powoduje, że z jeszcze większą niechęcią niż inne współczesne zachodnie nacje akceptujemy potrzebę takich praktyk.

Cyberprzestrzeń i efekt progowości

Cyberprzestrzeń oblewa test PAC w kategorii Alkohol (choć wirtualni flirciarze mogą oczywiście radzić sobie z tym na własną rękę), ale dostaje wiele punktów w kategorii Przystępność i całkiem sporo, jeśli chodzi o Cel wspólny. W cyberprzestrzeni, w odróżnieniu od większości miejsc publicznych w „realu” w Anglii, nawiązanie rozmowy z kimś całkiem nieznanym jest zachowaniem normalnym, a nawet pożądanym. Wspólnotę zainteresowań gwarantuje wybór odpowiedniego chatroomu lub potencjalnego partnera o takich samych zainteresowaniach z portfolio internetowego biura matrymonialnego. „Efekt progowości” cyberprzestrzeni, czyli jej moc pozbawiania zahamowań, czyni ją idealną strefą dla

towarzystwo upośledzonych flirtujących Anglików.

Flirt kurtuazyjny

Jeden z moich angielskich informatorów zauważył: „Można flirtować platonicznie z mężatkami lub żonatymi, czy z kimś, kto nie jest wolny. W niektórych sytuacjach niemal się tego oczekuje - nawet trzeba flirtować, żeby okazać uprzejmość”.

Ta uwaga odnosi się do niepisanej zasady zalecającej specjalną formę „bezpiecznego”, „rekreacyjnego” flirtu, który nazywam „flirtem kurtuazyjnym”. Praktykują go głównie mężczyźni, którzy flirtują dyskretnie z kobietami z uprzejmości. (Kobiety także robią to do pewnego stopnia, ale zwykle są bardziej ostrożne, wiedząc, że mężczyźni mają skłonność do błędnego odczytywania sygnałów z ich strony). Flirt kurtuazyjny jest powszechny nie tylko w Anglii, ale i w całej Europie kontynentalnej, ale są pewne subtelne różnice: mężczyźni w Anglii mają tendencję do żartobliwego droczenia się, Europejczycy z Kontynentu wybierają wytworne komplementy. Obie formy mogą być mylące dla Amerykanów, którzy często błędnie biorą flirt kurtuazyjny na serio.

Niepewność

Nawet gdy Anglik *jest* autentycznie zainteresowany kobietą, często nie chce okazać swego zainteresowania wprost. Ustaliliśmy już, że Anglik a) nie jest zręcznym flirciarzem, przeważnie jest niezgrabny, zapomina języka w gębie lub jest szorstki i prostacki i b) nie czuje się wygodnie z konceptem „randkowania”. Określanie spotkania z kobietą jako „randki” jest nieco zbyt dobitne, zbyt oficjalne, zbyt jednoznaczne - to taka krępująca deklaracja pod hasłem „karty na stół”, której z natury ostrożni, nie lubiący bezpośredniości Anglicy wolą unikać.

Nawet w przypiływie odwagi pod wpływem alkoholu Anglik raczej nie użyje słowa „randka” w swoich pijackich umizgach, zazwyczaj wybierając „bzykanko” lub jakiś synonim tego słowa. Może się to wydawać dziwne, jako że „bzykanie” można uważać przecież za jeszcze bardziej jednoznaczne niż „randka”, ale ma sens w kontekście pijanej logiki angielskiego samca, według której zaproponowanie kobiecie seksu jest w jakiś sposób mniej osobiste, intymne i krępujące niż zaproszenie jej na kolację.

Gdyby to było możliwe, Anglik wolałby nie artykułować żadnych konkretnych zaproszeń, czy to seksualnych, czy towarzyskich, wólc osiągnąć swój cel serią subtelnych aluzji i okrężnych manewrów, często tak niedopowiedzianych, że trudno je dostrzec. Ta „zasada niepewności” ma wiele zalet: nie wymaga się od Anglika okazywania żadnych emocji; unika on wplątywania się zbyt szybko w coś, co mogłoby być opisane jako „związek” (termin, którego nie cierpi jeszcze bardziej niż „randka”); nie musi robić ani mówić nic

„ckliwego”, utrzymuje więc swoją sztywną godność; a przede wszystkim, nigdy nie wyrażając żadnej jednoznacznej prośby, unika poniżenia związanego z jednoznacznym odrzuceniem.

Angielki są przyzwyczajone do tej dość mętnej, ambiwalentnej formy zalotów - chociaż nawet nam jest czasem trudno prawidłowo odczytywać te sygnały, i poświęcamy masę czasu na omawianie z koleżankami potencjalnego znaczenia jakiejś niejasnej aluzji lub dwuznacznego gestu. Zasada niepewności ma także dla Angielek swoje zalety; choć jesteśmy mniej emocjonalnie ostrożne niż nasi mężczyźni, równie łatwo się peszymy i wolimy unikać pochopnych deklaracji o miłosnym przyciąganiu. Zasada niepewności daje nam czas, by ocenić potencjalnego partnera przed wyrażeniem zainteresowania, i szansę na „odrzucenie” niechcianych konkurentów bez mówienia im w twarz, że nic z tego nie będzie.

Cudzoziemki jednak są zwykle zdezorientowane lub nawet poważnie zirytowane niejasnym charakterem angielskich obyczajów godowych. Moje nieangielskie znajome i informatorki bez przerwy narzekają na angielskich mężczyzn, których zmienne zachowanie przypisują nieśmiałości, arogancji lub skrywanemu homoseksualizmowi, w zależności od poziomu swego rozdrażnienia. Nie pojmują jednej rzeczy, że angielskie zaloty to zasadniczo pozwalająca zachować twarz gra, w której głównym celem jest nie tyle znalezienie partnera seksualnego, co uniknięcie obrazy i zakłopotania.

Ten element owej gry, w którym chodzi o uniknięcie upokorzenia, jest jeszcze jednym przykładem angielskiej „negatywnej uprzejmości” - w której zawiera się poszanowanie potrzeby innych ludzi, żeby nikt im się nie narzucił i nie naruszał ich prywatności, w odróżnieniu od „uprzejmości pozytywnej”, w której chodzi o ich potrzebę wspólnoty i aprobaty. Wiele pozornie dziwacznych cech angielskich mężczyzn - ostrożność, rezerwa i rzekoma nieprzystępność, na którą narzekają cudzoziemki - to cechy charakterystyczne „uprzejmości negatywnej”. Unikanie zażenowania podczas zalotów może wydawać się egoizmem, ale jest to pewnego rodzaju kurtuazja. Zasada niepewności, zgodnie z którą ani przyciąganie, ani odrzucenie nigdy nie są wyrażane wyraźnie, a zaloty i uniki są raczej kwestią subtelnych aluzji niż propozycji i odmowy wprost, pozwala *obu* stronom na zachowanie twarzy. Zabawa w zaloty rządzi się zasadą fair play dokładnie tak jak inne dyscypliny sportowe.

Przekomarzanie

W większości innych krajów do flirtu i zalotów należy wymiana komplementów; wśród Anglików prędzej usłyszymy wymianę obelg. No, żartobliwych inwektyw, gwołi ścisłości. Nazywamy to przekomarzaniem się i jest to jedna z naszych najpopularniejszych

form kontaktów słownych w ogóle (na równi z narzekaniem), jak również nasza główna metoda flirtowania. Wszystkie kluczowe składniki kokieteryjnych przekomarzanek są bardzo angielskie: humor, zwłaszcza ironia; gra słów; sprzeczki; cynizm; udawana agresja; droczenie się; rezerwa - wszystko, co uwielbiamy. Poza tym przekomarzanie wyraźnie wyklucza wszystkie rzeczy, których nie lubimy i które wprawiają nas w zakłopotanie: emocje, sentymentalizm, bycie serio i jasność deklaracji.

Zasady zalotnego przekomarzania się pozwalają zalecającym się do siebie parom na przekazywanie wzajemnych uczuć bez mówienia, co naprawdę mają na myśli, które byłoby krępujące. W istocie zasady przekomarzanek wymagają od nich, żeby mówili rzeczy przeciwne do tych, które mają na myśli - a w tym Anglicy celują. Oto dosłowny fragment typowego podrywu, zapisany w autobusie. Dialog dwojga nastolatków został przeprowadzony na oczach (i uszach) grupy ich kolegów.

- Masz pozwolenie, żeby nosić taką koszulę? A może się z kimś założyłeś?

- Ha! I kto to mówi - majtki ci widać, ty dziwko!

- To są stringi, głupku - ale ty takich rzeczy oczywiście nie wiesz. I nie masz szans się dowiedzieć.

- Skąd wiesz, że bym chciał? Myślisz, że mi się podobasz? Ale z ciebie dziwka!

- Lepsze to, niż być takim nędznym przygłupem!

- Szmata!

- Palant!

- Dziw... - o, to mój przystanek - przyjdiesz później?

- No, gdzieś koło ósmej.

- Dobra.

- Cześć.

Z późniejszej rozmowy ich kolegów wynikało, że ta para miała się ku sobie już od jakiegoś czasu, właśnie zaczęli „jakby chodzić ze sobą” (w ten dość niejasny, nierandkowy sposób, w jaki robią to Anglicy) i spodziewano się, że w najbliższej przyszłości zostaną parą. Nawet gdybym nie słyszała tego komentarza, rozpoznałabym tę wymianę inwektyw jako typowy flirt - może nie było to najdowcipniejsze ani najbardziej elokwentne przekomarzanie się, z jakim się w życiu zetknęłam, ale to właśnie zwyczajny, przeciętny, codzienny dialog angielskich zalotów. Zapisałam go sobie w notatniku tylko dlatego, że w tym czasie badałam flirt i zbierałam przykłady autentycznych procedur podrywu.

Zauważyłam też, że angielskie nastolatki czasami przeprowadzają specjalną formę „zalotów grupowych”, w której mała grupka chłopców licytuje się z grupką dziewcząt,

drocząc się z nimi przy użyciu głównie inwektyw zawierających aluzje do seksu. Te grupowe przekomarzanki są najbardziej rozpowszechnione wśród młodzieży robotniczej, zwłaszcza w północnej części kraju. Widziałam tam nawet grupki chłopców i dziewcząt, obrzucające się nawzajem kokieteryjnymi obelgami z dwóch przeciwnych stron ulicy. Angielskich nastolatków i dwudziestoparolatków można zobaczyć też, jak oddają się tej osobliwej formie zbiorowych zalotów w miejscowościach wakacyjnych za granicą, gdzie skonsternowani tubylcy na pewno się zastanawiają, jakim cudem takie głośne szyderstwa i krzyki mogą być preludium do miłości i ślubu. (Choć mogę potwierdzić, że tak jest, czuję też skryty podziw dla sprytnych tubylców w kurortach hiszpańskich i greckich, którzy słusznie podejrzewają, że młode Angielki mogą być podatne na bardziej konwencjonalne podejście do sprawy, i często udaje im się odbić je ich nieokrzesanym angielskim adoratorom).

Jeśli chodzi o dorosłych, odkryłam, że ich zalotne przekomarzanki są mniej otwarcie obelżywe niż u nastolatków, ale że i tak mają tu zastosowanie te same zasady ironii, dokuczania, pozornych inwektyw i tak dalej. Angielki w każdym wieku pewnie wołałyby bardziej rycerską, mniej okrężną formę zalotów - jednak zasady przekomarzania się, tak jak zasada niepewności, są bardziej nastawione na uczucia zahamowanego emocjonalnie i upośledzonego towarzysko angielskiego mężczyzny niż na uczucia jego nieco mniej zahamowanej i bardziej towarzysko wyrobionej partnerki. Jednakże my, kobiety, jesteśmy przyzwyczajone do stosowania się do tych zasad, i zazwyczaj robimy to podświadomie. Wiemy, że sprzeczki to główny sposób angielskiego mężczyzny na zacieśnianie więzi z innymi mężczyznami, toteż przekomarzanie jest formą zażyłości, którą on zna i z którą jest mu wygodnie. Wiemy, że gdy mężczyzna wytrwale nam dokucza i droczy się z nami, to na ogół znaczy, że nas lubi, i że jeśli uczucie jest odwzajemnione, najlepiej to wyrazimy, zachowując się tak samo.

Podobnie jak w wypadku zasady niepewności, cudzoziemki nie mają tego instynktownego, wrodzonego zrozumienia dla cech charakterystycznych angielskich mężczyzn i dlatego zazwyczaj są zbite z tropu, a czasem urażone, zasadami przekomarzania. Często zdarza mi się im tłumaczyć, że „głupia krowa” naprawdę może być określeniem miłym, a „po prostu nie jesteś w moim typie”, wypowiedziane odpowiednim tonem i w kontekście przekomarzanki, może być równoznaczne z propozycją małżeństwa. Nie twierdzę, że Anglicy nigdy nie prawią komplementów wprost i nie zapraszają kobiet oficjalnie na randki. Często robią obie te rzeczy, aczkolwiek dość niezręcznie, a nawet proponują małżeństwo; tylko po prostu, jeśli mogą znaleźć sposób bardziej okrężny, zrobią to.

Męska przyjaźń. Rytuał obserwowania kobiet

Anglik może nie jest zdolnym flirciarzem czy mistrzem bardziej wyrafinowanych aspektów partnerskich więzi uczuciowych, gdy jednak przychodzi do stworzenia więzi z innymi mężczyznami, jest w swoim żywiole. Nie mówię tu o homoseksualności, wypieranej czy nie, ale o uniwersalnej praktyce ludzkiej pielęgnowania relacji między mężczyznami, tworzenia bliskich męskich przyjaźni i sojuszy. Każde znane społeczeństwo ma jakąś formę praktyk męskich więzi, zazwyczaj znajdujących wyraz w klubach, organizacjach lub instytucjach (jak na przykład londyńskie „kluby dżentelmenów”, z których słyną Anglicy), lub przynajmniej specjalnych rytuałów, z których kobiety są wyłączone.

Powiedzieliśmy już, że męska potrzeba tych więzi jest tak mocna, jak potrzeba seksu z kobietami. W wypadku przeciętnego Anglika może być nawet silniejsza. Z popędem płciowym heteroseksualnego angielskiego mężczyzny jest wszystko w porządku, a jednak wyraźnie preferuje on towarzystwo innych mężczyzn. Nie chodzi tu o skrytą orientację homoseksualną; przeciwnie, angielscy geje są na ogół bardziej swobodni w towarzystwie kobiet i bardziej je lubią. Ale trzeba powiedzieć, że wiele angielskich rytuałów umacniających męskie więzi poświęconych jest udowadnianiu męskości i heteroseksualności.

Najważniejszym z nich jest rytuał „obserwowania dziewcząt”, angielska wersja uświęconej tradycją i prawdopodobnie uniwersalnej męskiej rozrywki - wymiany uwag na temat atrybutów fizycznych przechodzących kobiet. Wszędzie na świecie można zobaczyć różne odmiany tego rytuału w prawie każdym pubie, barze, kawiarni, nocnym lokalu czy na rogu ulicy. Wariant angielski, jak można się spodziewać, jest kodowany. Bardzo niewiele z tych utartych zwrotów jest zrozumiałych bez pewnej interpretacji. Kod nie jest jednak trudny do złamania, a większość z tych oklepanych zwrotów mieści się w jednej lub dwóch prostych kategoriach: aprobaty (ta kobieta jest atrakcyjna) i dezaprobaty (ta kobieta nie jest atrakcyjna).

Najbardziej typowym i dziwnym angielskim komentarzem z tej grupy jest mój ulubiony: „Twoja mnie nie bierze!”. To standardowa uwaga na temat jakiegokolwiek pary kobiet, z których jedna, zdaniem komentatora, jest bardziej atrakcyjna od drugiej. Poza udowodnieniem, że potrafi między nimi rozróżnić (i wykazuje zdrowe, męskie zainteresowanie atrakcyjnymi kobietami), mówiący „rości sobie prawo” do tej bardziej atrakcyjnej, oznaczając tę mniej ładną jako „twoją”. Choć formalnie rzecz biorąc, zwrot ten jest zarezerwowany dla uwag na temat pary kobiet, używa się go często, aby zwrócić uwagę kumpla na nieatrakcyjność jakiegokolwiek przechodzącej kobiety, czy idzie ona w towarzystwie miłszej dla oka alternatywy, czy też nie. Kiedyś w pubie w Birmingham zanotowałam następujący dialog:

Mężczyzna 1 (*zerkając na grupkę czterech kobiet, wchodzących do pubu*): Twoja mnie nie bierze!

Mężczyzna 2 (*odwracając się, by spojrzeć na kobiety, a następnie marszcząc brwi ze zdziwieniem*): Ale która?

Mężczyzna 1 (*śmiejąc się*): Nieważne, stary - sam se wybierz: wszystkie są twoje!

Mężczyzna 2 (*śmieje się, ale niechętnie, wygląda na trochę urażonego, bo tamten zyskał punkt jego kosztem*).

Inny nieco zagadkowy angielski zwrot związany z obserwacją dziewcząt, tym razem z grupy „aprobujących”, to: „Mało jej brakuje do funta!”. Ta uwaga odnosi się do rozmiaru biustu obserwowanej kobiety i sugeruje, że są większe niż przeciętne. „Funt” oznacza tu funt wagi, nie walutę - a więc zwrot oznacza dosłownie, że nie dostałbyś wielu takich piersi położonych na wadze w spożywczym w stosunku do funtowego odważnika. Właściwie jest to niedomówienie, ponieważ duże piersi prawdopodobnie ważą więcej niż funt (ok. pół kilograma) każda, ale nie wchodźmy w szczegóły techniczne. Tak czy inaczej, jest to opinia przychylna; duże piersi są oficjalnie Rzeczą Pożądaną wśród angielskich mężczyzn; nawet ci, którzy sekretnie preferują małe, zwykle czują się zobligowani do wyrażania aprobaty. Wspomnianej uwadze często towarzyszy gest sugerujący ważenie ciężkich przedmiotów w dłoniach: dłonie trzyma się tuż przed klatką piersiową, otwarte, z lekko zgiętymi palcami, a następnie podrzuca lekko w górę i w dół. A oto inny podsłuchany dialog, tym razem w londyńskim pubie. Brzmi jak skecz komediowy, ale przysięgam, że jest autentyczny:

Mężczyzna 1 (*komentując bardzo szczerze obdarzoną przez naturę kobietę siedzącą nieopodal*): Kurczę! Mało jej brakuje do funta, co?

Mężczyzna 2: *Ćśś!* Już się tak nie mówi. Teraz już nie wolno.

Mężczyzna 1: Co? Nie wciskaj mi tego feministycznego kitu o poprawności politycznej! Nikt mi nie zabroni mówić o cyckach, jak mam ochotę!

Mężczyzna 2: Nie... to nie feministki cię dorwą, tylko ci od miar i wag. Już się nie używa funtów, teraz jest system metryczny. Trzeba mówić „kilogram”!

Z zadowolonej siebie miny Mężczyzny 2 widać było, że uważa się za bardzo dowcipnego i że czekał na okazję, by użyć tego gagu, który trochę zepsuł, zaśmiewając się z własnego dowcipu i zupełnie niepotrzebnie dodając: „He, he - nowe zarządzenie z Brukseli! Teraz trzeba mówić «Mało jej brakuje do *kilograma!*» Kumaszc? *Kilograma!*”.

„Ja owszem!” jest dość oczywistym ogólnym wyrazem aprobaty; przekazuje się w ten sposób komunikat, że mówiący byłby chętny uprawiać seks z obserwowaną kobietą. „Dopiero po dziesiątce!” jest komentarzem uwłaczającym, oznaczającym, że mówiący musiałby wypić

dziesięć dużych piw - czyli nieźle się zalać - żeby w ogóle brać pod uwagę seks z daną kobietą. Gdy usłyszymy parę czy grupkę Anglików mówiących „sześć”, „cztery”, „dwa”, „siedem” i tak dalej, gdy ukradkiem przyglądają się siedzącym w pobliżu lub przechodzącym kobietom, być może wcale nie dają im „ocen w skali dziesięciopunktowej”, tylko robią aluzje do liczby piw, które musieliby wypić, żeby myśleć o seksie z nimi. To, że żadnej z tych kobiet nie przyszłoby do głowy, żeby zaszczyścić tych samozwańczych jurorów drugim spojrzeniem, jest nieistotne. Rytuał obserwowania dziewczyn jest manifestacją męskiej brawury, wyłącznie na użytek męskich towarzyszy. Recytując te oklepane formułki, uczestnicy rytuału potwierdzają swój status macho, praktykujących heteroseksualistów. Przy milczącej zgodzie, założenie, że mogą przebierać między obserwowanymi kobietami, nigdy nie jest kwestionowane - a spisek umacniający to zbiorowe złudzenie zacieśnia więzi społeczne między obserwatorami dziewcząt.

Klasa

Endogamia klasowa

Podobnie jak każdy inny aspekt naszego życia, seks Anglików podporządkowany jest zasadom klasowym. Przede wszystkim istnieje nieoficjalna zasada endogamii klasowej, zgodnie z którą wprawdzie nie zabrania się małżeństw mieszanych (z różnych klas społecznych), ale się ich zwykle nie pochwała i w praktyce nie zdarzają się one zbyt często. Istnieją oczywiście wyjątki i takie międzyklasowe małżeństwa są na pewno bardziej popularne niż kiedyś, ale wciąż pobieranie się ludzi z przeciwnych końców społecznego spektrum należy do rzadkości.

Tylko na kartach książek Barbary Cartland i P.G. Wodehouse'a synowie książąt i hrabiów sprzeciwiają się swoim rodzinom i upierają się poślubić skromne kelnerki. Mężczyznom z klasy wyższej zdarzają się przygody czy nawet zauroczenia kobietami z klasy robotniczej, generalnie jednak kończy się na tym, że żenią się oni z dziewczynami o imionach Arabella czy Lucinda, które dorastały w ogromnych rezydencjach w Gloucestershire, wśród labradorów i kucyków. Z kolei Arabelle i Lucindy mogą przeżyć jakiś buntowniczy romansik z Kevinem czy Dave'em, ale zazwyczaj opamiętują się (jak ujęłyby to ich zaniepokojone matki) i wychodzą za kogoś „z podobnego środowiska”.

Z drugiej jednak strony, dwa główne czynniki mające wpływ na awans społeczny w Anglii to wciąż wykształcenie i małżeństwo. Te dwa czynniki mogą często być połączone ze sobą, jako że uniwersytety należą do tych niewielu miejsc, gdzie młodzi poszukiwacze partnerów z różnych klas społecznych mają szansę się spotkać „jak równi sobie”. Nawet tutaj wszystko świadczy przeciw związkom egzogamicznym klasowo, bo badania regularnie

wykazują, że gdy Anglicy idą na studia, ujawniają niezwykły talent do nawiązywania przyjaźni niemal wyłącznie ze studentami z identycznych środowisk społecznych.

Jednak mimo tych instynktów stadnych ludzie z różnych klas są spędzani razem na seminaria, wykłady czy zajęcia sportowe lub nadobowiązkowe kursy, jak muzyka czy kółko teatralne. A są nawet studenci, którzy podejmują świadomy wysiłek, by unikać zadawania się „wyłącznie z ludźmi z tego samego rodzaju rodzin i szkół jak moja”, jak wyjaśniła pewna dzielna dziewczyna z wyższej warstwy klasy średniej.

Awans przez małżeństwo

Mężczyzn inteligentów z klasy robotniczej często pociąga właśnie ten typ nieco zbuntowanych kobiet z wyższej sfery. Może to się skończyć ślubem. Choć oczywiście istnieje wiele wyjątków, takie małżeństwa zwykle są trochę mniej udane niż te, w których to kobieta poślubia kogoś z klasy wyższej od swojej. To dlatego, że niepisana zasada wymaga, aby partner z niższej klasy przyjął gust i maniery klasy, w którą się „wżeniał”, lub przynajmniej godził się na więcej kompromisów i bardziej się dopasował niż partner z klasy wyższej, a awansujące społecznie kobiety na ogół łatwiej na to przystają niż awansujący społecznie mężczyźni.

Gdy mężczyźni z klasy robotniczej wżeniał się w klasę wyższą, zachodzi konflikt między snobizmem a seksizmem - między zasadą poślubiania kogoś stojącego „wyżej” a tradycyjnymi zasadami męskiej dominacji, zgodnie z którymi od kobiet bardziej oczekuje się przystosowania i kompromisów. Inteligentni mężczyźni z klasy robotniczej, którzy „stają się klasą średnią” dzięki wykształceniu, a zwłaszcza ci, którzy skaczą o kilka klas, żeniąc się z poznanymi na studiach kobietami z wyższej warstwy klasy średniej, mogą czasem trochę się buntować, źli na to, że muszą zmieniać swoje nawyki. Mogą na przykład uparcie nazywać wieczorny posiłek *tea*, sadzić w ogrodzie trawę pampasową i nagietki, odmawiać rozgniatania groszku na grzbiecie widelca oraz celowo wprowadzać w zakłopotanie snobistyczną teściową, wciąż mówiąc *toilet* i *settee* podczas jej przyjęcia gwiazdkowego. Ci awansujący społecznie mężczyźni, którzy adaptują się chętnie do swojej nowej klasy, zazwyczaj mają problem z własnymi rodzicami, którzy mogą ich drażnić i których mogą się trochę wstydząć. Nie ma rozwiązań idealnych.

Choć znów zastrzegam się, że istnieją wyjątki, na ogół kobiety, które awansują społecznie przez małżeństwo, są bardziej uległe i bardziej starają się dopasować. Czasem wręcz zbyt gorliwie starają się przyjąć akcent, słownictwo, gust, zwyczaje i maniery klasy męża, i w tym pełnym obaw entuzjazmie może im umknąć parę ważnych niuansów. Mogą na przykład nosić odpowiednie ubrania, ale źle dobrane, używać odpowiednich słów, ale w

błędnym kontekście, albo hodować odpowiednie kwiatki, ale nie w takich jak trzeba doniczkach - i kończy się na czymś w rodzaju anagramu stylu życia warstwy wyższej klasy średniej. Nikogo na to nie nabiorą; teściowie są zażenowani, a rodzice się alienują. Zbyt gorliwe starania mogą być gorsze niż brak starań. A poza tym, robiąc to, łamią zasadę „byle nie zbyt serio”.

Partnerzy nie muszą pochodzić z przeciwnych krańców społecznego spektrum, żeby zasada awansu przez małżeństwo powodowała napięcia i konflikty. Anglicy zazwyczaj pogardzają klasą ościenną o wiele bardziej niż klasami, które stoją niżej. Na przykład członkowie wyższej warstwy klasy średniej często wykazują o wiele większy snobizm i pogardę w stosunku do gustów i zwyczajów średniej warstwy klasy średniej niż w stosunku do klasy robotniczej. Granica między średnią a wyższą warstwą klasy średniej jest pełna min pułapek i może być najcięższa do przejścia.

Mit o potencji klasy robotniczej

Niektóre kobiety z wyższej warstwy klasy średniej są zafascynowane mężczyznami z klasy robotniczej przynajmniej częściowo z powodu dość powszechnej opinii, że są oni bardziej męscy i są lepszymi kochankami niż mężczyźni ze średniej i wyższej warstwy klasy średniej. Nie ma na to żadnych empirycznych dowodów. Mężczyźni z klasy robotniczej pewnie zaczynają współżycie seksualne nieco wcześniej niż warstwy wyższe, ale ogólnie rzecz biorąc, wcale nie uprawiają seksu częściej, nie ma też żadnego powodu, by uważać, że potrafią lepiej zadowolić swoje partnerki. Opinia, że mężczyźni z plebsu mają większą potencję seksualną i mniej oporów, jest mitem utrwalonym wśród wykształconej klasy średniej przez autorów takich jak D.H. Lawrence i John Osborne, a gdzie indziej przez przemysł soft porno, gdzie każą nam wierzyć, że wszystkie kobiety z klasy średniej spędzają czas na fantazjowaniu o dobrze zbudowanych strażakach, budowlańcach lub czyścicielach okien. Mit o potencji klasy robotniczej promuje się ostatnio jeszcze bardziej - dzięki powstaniu „kultury kumpelskiej”, która wysławia tradycyjne i zasadniczo robotnicze męskie wartości i zainteresowania (futbol, samochody, laski, piwo itd.).

Utrzymywanie się tego mitu opiera się, jak sądzę, głównie na błędnym założeniu, że szorstkie i prostackie podejście do zalotów, które uważa się za bardziej typowe dla mężczyzn z klas niższych, w pewnym sensie sugeruje większą energię seksualną niż powściągliwa i niezręczna postawa, uznawana za domenę mężczyzny z klasy średniej i wyższej. Prawda jest taka, że *obie* te postawy są objawami ułomności towarzyskiej i zahamowania seksualnego i *żadna* z nich nie jest wiarygodnym wskaźnikiem męskości ani seksualnej kompetencji. A w każdym razie postawa, jaką przyjmuje Anglik, mniej zależy od jego klasy społecznej, a

bardziej od ilości spożytego przez niego alkoholu; wszyscy angielscy mężczyźni wierzą w magiczną, pozbawiającą zahamowań moc alkoholu; zwłaszcza ci z klas wyższych wierzą, że dzięki niemu staną się tak zniewalająco nieokrzesani i prostacy jak proletariacy bogowie seksu.

A więc, do łóżka...

Ale co z samym *sekssem*? Niektórzy czytelnicy może czują się trochę oszukani, że nazwałam ten rozdział *Seks*, a do tej pory tyle gadałam o humorze, flircie, endogamii klasowej i tak dalej, ale (prócz obalenia mitu potencji klasy robotniczej) w sumie niewiele o tym, jacy Anglicy naprawdę są w łóżku. A już na pewno niewiele o tym, jak wypadamy na tle innych narodów.

Są po temu dwa główne powody. Po pierwsze, będąc Angielką, uważam całą sprawę za trochę osobistą i krępującą, dlatego też zwlekałam. (Gdybyście byli tu ze mną w moim mieszkaniu, paplałabym nerwowo o pogodzie i mówiła, że pójdę tylko nastawić wodę na herbatę...). Po drugie, hm, no, ee, jak to ująć? Problem danych. Metoda obserwacji uczestniczącej jest rzeczą wspaniałą, ale nie obejmuje bezpośredniej obserwacji życia erotycznego badanych, a uczestniczenie nie oznacza przecież uprawiania seksu z całą reprezentatywną grupą tubylców (czy cudzoziemców, dla celów porównawczych). No cóż, zdarzało się, że antropologowie angażowali się w intymny kontakt z ludźmi, których badali (ojciec mówił mi, że takie związki nazywano żartobliwie „penetracją kulturową”), ale to zawsze spotykało się raczej z dezaprobatą. Przypuszczam, że jest to dopuszczalne, gdy bada się rodzimą kulturę, tak jak ja - i owszem, naturalnie, miałam angielskich chłopaków i chodziłam z kilkoma cudzoziemcami, ale ich liczba na pewno nie może stanowić naukowo reprezentatywnej próby. A w kategoriach doświadczenia bezpośredniego nie jestem kompetentna, żeby robić komentarze w imieniu żeńskiej połowy populacji.

Jednakże są to dość kiepskie wykręty. Wielu badaczy z dziedziny nauk społecznych rozpisuje się na temat kwestii seksu, w których nie mają żadnego osobistego doświadczenia. I choć nie uprawiałam seksu z dostatecznie przekrojową grupą Anglików, w moich badaniach na pewno znalazło się wystarczająco wiele *dyskusji* na ten temat (z przyzwoicie dużą i zróżnicowaną grupą zarówno tubylców, jak i cudzoziemców), żeby zdobyć jaką taką wiedzę o naszym zachowaniu seksualnym i jego niepisanych zasadach.

Rozmowy o seksie

Rozmowa z Anglikami na temat seksu nie jest łatwa; choć nie jesteśmy specjalnie pruderyjni, uważamy temat za krępujący, a ponieważ nasze sposoby na pokrycie tego skrepowania, jak odruchowy humor i uprzejme odwołanie, są takie, jakie są, sporo mego

cennego czasu marnuje się na żarty, dowcipy, zastępcze rozmowy o pogodzie i robienie herbatki. Poza tym zasada „byle nie zbyt serio” oznacza, że zmuszenie Anglików do bezpośrednich, poważnych, nieironicznych odpowiedzi na pytania o seks może być niezwykle trudne.

Jakby nie dość było trudności, istnieje jeszcze niepisana zasada, zgodnie z którą angielscy mężczyźni najczęściej zakładają, że kobieta, która w ogóle mówi o seksie, nawet i nie wprost, co najmniej sygnalizuje swoją dostępność seksualną, jeśli nie wręcz ich podrywa. Pewna moja znajoma Amerykanka narobiła sobie przez tę zasadę kłopotów; nie mogła zrozumieć, dlaczego tylu Anglików się do niej „przystawia” i obraża, gdy ona odrzuca ich niewczesne awanse, skoro przecież „nie dała im żadnego powodu”. Chcąc jej pomóc (i zauważając okazję do eksperymentu), kręciłam się koło niej i podsłuchiwałam niektóre jej rozmowy z mężczyznami w lokalnym pubie. Okazało się, że mówi ona rzeczy typu: „ale to było zaraz po tym, jak odkryłam, że mój pierwszy mąż jest gejem, więc czułam się trochę dezorientowana co do własnej seksualności...”, w jakieś dziesięć minut od poznania swego rozmówcy. Wy tłumaczyłam jej, że ten rodzaj intymnych wyznań, choć niewątpliwie rzecz na porządku dziennym w kraju Oprah Winfrey, przez wielu Anglików będzie interpretowany jako niemal równoznaczny z pisemnym zaproszeniem. Gdy (niechętnie) powściągnęła swą naturalną szczerość, stwierdziła, że niechciane podrywy ustały.

Świetnie, pomyślałam. Kolejny udany eksperyment z testowaniem zasad - i to ktoś inny odegrał dla mnie nieświadomie rolę królika doświadczalnego i złamał zasady. Mój ulubiony rodzaj badań terenowych. Ale choć ten test potwierdził, że prawidłowo rozpoznałam niepisaną zasadę, wiedziałam, że ta sama zasada może okazać się utrudnieniem w moich próbach zbadania zwyczajów sypialnianych Anglików. Obeszłam ten problem w tradycyjny sposób - manipulując i oszukując. Rozmawiałam głównie z kobietami i z mężczyznami, których znałam na tyle dobrze, że byłam pewna, iż nie zinterpretują moich pytań błędnie. Kobiety - nawet kobiety angielskie - potrafią być całkiem otwarte i szczerze w prywatnych rozmowach na temat dziwactw i cech charakterystycznych swoich kochanków, i gwoli sprawiedliwości, własnych też, nauczyłam się więc od nich samych sporo na temat obu płci. I żeby oddać sprawiedliwość, zgromadziłam, acz z trudem, sporo użytecznych informacji podczas dyskusji ze znajomymi i informatorami płci męskiej, w tym jednego, któremu w jakiś sposób udało się połączyć encyklopedyczną znajomość seksualnych zachowań Angielek (dzięki doświadczeniom osobistym z grupą o proporcjach godnych badań MORI) z rozbrajająco autoironiczną szczerością na własny temat.

Strefa wolna od zasad

A więc, po mniej więcej dziesięciu latach żmudnego, taktownego zbierania informacji, co takiego odkryłam o prywatnym życiu erotycznym Anglików? Wieści są całkiem dobre. Łóżko to jedyne miejsce, gdzie pozbywamy się prawie wszystkich naszych paraliżujących zahamowań, gdzie wydajemy się, aczkolwiek chwilowo, magicznie wyleczeni z naszej ułomności towarzyskiej. Zaciągnij zasłony, przygaś światło, zdejmij ubranie, a okaże się, że nagle stajesz się całkiem ludzki. Więc jednak potrafimy zaangażować się emocjonalnie w kontakt z innymi. Potrafimy być namiętni, otwarci, ciepłi, czuli, pobudliwi, impulsywni - zachowywać się tak, jak zazwyczaj tylko podczas zabaw z psem czy kotem.

Pozbywamy się zahamowań autentycznie - nie pozornie, jak podczas sobotniego pijaństwa czy na wakacjach, gdzie i tak wszystko jest regulowane zasadami, gdy jedynie odgrywamy zalecaną społecznie rolę, szmirowatą karykaturę tego, jak sobie wyobrażamy swobodne zachowanie. Nasze seksualne wyzwolenie od zahamowań to autentyk.

Jasna rzecz, niektórzy z nas są bardziej swobodni czy rozpasani w łóżku niż inni. W łóżku jesteśmy sobą, prezentujemy w związku z tym cały przekrój różnych stylów seksualnych - bywamy nieśmiali i pewni siebie; rozgadani i milczący; niezręczni i doświadczeni; kreatywni, perwersyjni i konwencjonalni; niektórzy popisują się wirtuozerią. Wszystko zależy od wielu różnych czynników, jak wiek, doświadczenie, osobowość, nastroj, to, co czujemy do danego partnera, i tak dalej. Rzecz w tym, że czynniki wpływające na nasze różnorodne style seksualne są osobiste - nie mają nic wspólnego z „zasadami angielskości”, które rządzą naszym zachowaniem społecznym.

Zasady pilnują każdego kroku, który prowadzi do aktu seksualnego: to, gdzie poznajemy naszego partnera, jak flirtujemy, co jemy na kolację i w jaki sposób, jak rozmawiamy, jak żartujemy, co pijemy i jak alkohol wpływa na nasze zachowanie, jakim samochodem jedziemy do domu i jak go prowadzimy (względnie jak zachowujemy się w autobusie czy w taksówce), jaki mamy dom, do którego zabieramy naszego partnera, jak o nim mówimy i jaki mamy do niego stosunek, jaki pies nas w nim wita, jaką muzykę puszcza, jaki alkohol proponujemy, jak mamy urządzone sypialnię, jakie zasłony, które zaciągamy, jakie ubranie zdejmujemy... Wszystko, aż do tego momentu, czy nam się to podoba, czy nie, jest przynajmniej częściowo zdeterminowane którąś z ukrytych zasad angielskości. Podczas aktu seksualnego nie przestajemy wprawdzie być Anglikami, ale przez ten stosunkowo krótki czas naszymi działaniami nie powoduje żaden konkretny, typowo angielski zestaw zasad. Posiadamy te same pierwotne instynkty, co inne istoty ludzkie, i wykazujemy tę samą intensywność i różnorodność osobistych stylów seksualnych, co ludzie w każdej innej kulturze. Łóżko, przynajmniej podczas uprawiania seksu, jest strefą wolną od

zasad.

Wiedza podręcznikowa

Z drugiej jednak strony, można pozwolić sobie na kilka uogólnień dotyczących angielskiego seksu. Na przykład angielscy mężczyźni, w odróżnieniu od swoich amerykańskich kolegów, zwykle nie czytają tych straszliwie poważnych poradników i podręczników technik seksualnych. Angielki, nawet jeśli nie korzystają z tych książek, czerpią sporo tego typu informacji z pism kobiecych. Aż do niedawna wynikał z tego pewien brak równowagi w „podręcznikowej” wiedzy fachowej w dziedzinie seksu.

Jednak teraz najbardziej „samcze” męskie magazyny angielskie zamieszczają artykuły „jak doprowadzić kobietę do szaleństwa”, „trzy łatwe kroki do wielokrotnego orgazmu” i tym podobne - poza tym nawet analfabeci mogą oglądać nocne programy edukacyjne o seksie na Kanale 4 czy paradokumentalne soft porno na 5 (serwuje się je, uczynnie, o takiej porze, żeby zaczynały się niedługo po zamknięciu pubów), toteż nasi mężczyźni szybko nadrabiają zaległości. Wielu młodszych mężczyzn - a nawet niektórzy starsi, co bardziej „trendy” - zrozumieli już chyba na przykład, że trochę symbolicznego seksu oralnego jest *de rigueur*, choćby po to, by udowodnić, że nie jest się kompletnym neandertalczykiem. Niektórzy nawet już przestali oczekiwać, że dostaną za to medal.

Angielskość post coitum

Po seksie, albo (jeśli zasnęliśmy) następnego ranka, powracamy do tradycyjnej niezręczności. Mówimy:

„Strasznie przepraszam, ale nie dosłyszałem, jak masz na imię...?”

„Czy nie masz nic przeciwko temu, że pożyczę twój ręcznik?”

„Nastawię wodę na herbatę...”

„Nie! Monty! Zostaw to! Nie wolno zjadać biustonosza tej miłej pani! Co ona sobie o nas pomyśli? Puść to! Niedobry piesek!”

„Przepraszam, że trochę przypalone; obawiam się, że toster jest trochę kapryśny - może nie lubi poniedziałków...”

„Ach, nie, są bardzo dobre. Ooo, tak - herbatka! Wspaniale, dziękuję!” (to z przynajmniej takim samym entuzjazmem jak *cris de joie* poprzedniej nocy).

No dobrze, trochę przesadzam - ale nie bardzo; to wszystko są autentyczne, dosłowne cytaty „ranka następnego”.

Le vice Anglais i śmieszne tyłki

W książce *The English* Jeremy Paxman poświęca pierwsze cztery strony rozdziału o seksie temu, co Francuzi nazywają *le vice Anglais* („angielską słabostką”), czyli biczowaniu

(klapsom, chłostaniu i innym sposobom atakowania pośladek). Pod koniec zabawnego, pełnego anegdot przeglądu, Paxman przyznaje: „Byłoby niemądrym twierdzić, że «angielska słabostka» jest rozpowszechniona wśród Anglików. Nie jest. Nie jest także, mimo swej nazwy, unikalna dla Anglików”. Właśnie. (Mógł jeszcze dodać, że nawet ta nazwa praktycznie nic nie znaczy, jako że Francuzi czasem określają jako *Anglais* rzeczy, których nie akceptują lub z których chcą zakpić - a które my z kolei nazywamy „francuskimi”; mówią „wyjść po angielsku” (a my - „po francusku”), „angielski kapturek” (czyli prezerwatywa), a my „francuski liścik”.

Jeśli jednak akurat ta konkretna perwersja nie jest powszechna wśród Anglików, ani dla nas unikalna, po co poświęcać jej tyle miejsca i znaczenia? Paxman mówi, że „zasadnicza dwuznaczność” tej praktyki, „że kara jest nagrodą, a ból przyjemnością - rozbrzmiewa angielską hipokryzją”. No, może. Ale ja uważam, że istnieje prostsze wyjaśnienie, dlaczego zaczyna on swój rozdział o seksie od tej nieszczególnie angielskiej słabostki, a jest to zasada humoru odruchowego. Gdy stajemy przed wizją jakiegokolwiek dyskusji na temat seksu, odzywa się nasz odruch humoru i robimy z tego żart. A poza tym uważamy, że tyłek jest śmieszny z natury. Więc, jeśli musisz rozmawiać o seksie, zacznij od żartu na temat tyłka³⁶.

Strona trzecia i nieerotyczny biust

A potem, jeśli to możliwe, przejdź do biustu, który też uważamy za bardzo zabawny. Paxman twierdzi, że „Anglicy mają obsesję na punkcie piersi”, jako dowód owej fiksacji podając codzienną paradę biustów na trzeciej stronie tabloidów. Nie byłabym taka pewna. Piersi to drugorzędowa cecha płciowa, i mężczyźni na całym świecie lubią na nie patrzeć - w czasopiśmie i na żywo. Nie jestem przekonana, czy Anglicy mają większą obsesję na punkcie piersi niż, powiedzmy, Amerykanie, Australijczycy, Skandynawowie, Japończycy czy Niemcy. Codzienny pokaz biustów na trzeciej stronie „The Sun” i innych tabloidów jest jednak interesującym angielskim zjawiskiem, i warto mu się przyjrzeć bliżej.

W ogólnokrajowej ankiecie MORI tylko 21 procent z nas wyraziło moralną dezaprobatę wobec rewii biustów ze strony trzeciej. Ze wszystkich medialnych sposobów przedstawienia seksu, dziewczyny topless ze strony trzeciej wzbudziły najmniej potępienia. Nawet wśród kobiet tylko 24 procent miało moralne zastrzeżenia co do strony trzeciej, podczas gdy niemal dwa razy więcej, 46 procent, protestowało przeciw magazynom soft porno w kioskach z gazetami (takim jak „Playboy”, z podobnymi zdjęciami), a 54 procent było zdania, że pornografia w kinie jest niemoralna. Oczywiście, nie znaczy to, że pozostałe 76 procent kobiet czerpie przyjemność z oglądania tej strony, sugeruje jednak, że wiele z nich nie uważa jej za „pornografię” - może postrzegają ją jako coś bardziej nieszkodliwego, mimo

że te zdjęcia są mniej więcej takie same, jak we wspomnianych magazynach.

Te statystyki zaintrygowały mnie, zaczęłam więc zadawać moje własne pytania, próbując odkryć, dlaczego zarówno kobiety, jak i mężczyźni uważają, że strona trzecia w jakiś sposób różni się od innych zdjęć soft porno. W kategoriach liczbowych, choć moja „próba” była o wiele mniejsza, otrzymałam mniej więcej takie same wyniki, co w ankiecie MORI - tylko około jednej piątej moich informatorów było przeciwnych stronie trzeciej. Byłam zaskoczona, że nawet niektóre z moich informaterek o orientacji feministycznej nie potrafiły wzbudzić w sobie zbyt wielkiego na nią oburzenia. Dlaczego? „Bo te dziewczyny ze strony trzeciej to taki żart - wyjaśniła jedna kobieta. - Nie można ich tak naprawdę brać na serio”. „Ach, przypuszczam, że po prostu już się do nich przyzwyczaiłyśmy” - stwierdziła inna. „Strona trzecia jest jak te pikantne karteczki znad morza - powiedziała jedna szczególnie bystra informatorka. - Jest po prostu głupia, z tymi głupimi podpisami pełnymi okropnych kalamburów. Nie jest w stanie nas obrazić”. Pewna nastolatka wyraziła się równie lekceważąco: „W porównaniu z tym, co ludzie ściągają z internetu, czy nawet z tym, co jest w telewizji - strona trzecia jest taka *niewinna*, jakby oryginalna i staroświecka”.

Zauważyłam, że prawie wszyscy ludzie, których pytałam o stronę trzecią (nawet kilkoro z tych, którzy wyrazili dezaprobatę), z reguły śmiali się lub przynajmniej uśmiechali przy odpowiedzi. Przewracali oczami, potrząsali głową, ale w tolerancyjny, zrezygnowany sposób, tak jak robią ludzie mówiący o drobnych występkach niegrzecznego dziecka lub zwierzaka. Strona trzecia to tradycja, instytucja, w jakiś sposób pokrzepiająco swojska, jak słuchowisko *The Archers* czy deszcz w święto państwowe. George Orwell opisał angielską klasę robotniczą jako „oddaną sprośnym dowcipom” i mówił o „przemóżnej wulgarności” nieprzyzwoitych humorystycznych pocztówek. Nedorzeczne kalambury, gra słów i dwuznaczne aluzje w podpisach pod zdjęciami ze strony trzeciej są w takim samym stopniu częścią tej tradycji, co nagie piersi, przypominając nam, że seks jest trochę żartem, że nie należy go brać zbyt poważnie. Trudno jest traktować „cyce i wice” ze strony trzeciej jako pornografię, tak samo jak pornografią nie są tyłki i żarty słowne na żartobliwej pocztówce znad morza albo filmy z serii *Do dzieła!* Nie są one nawet tak naprawdę sexy. Strona trzecia jest w pewnym sensie zbyt głupia, zbyt karykaturalnie groteskowa, zbyt *angielska*, żeby być sexy.

„Anglia może jest krajem kopulującym, ale nie jest krajem erotycznym” - napisał George Mikes w 1977 roku. Tym samym udoskonalił swoje oryginalne stwierdzenie z roku 1946, że „Ludzie z Kontynentu mają życie seksualne. Anglicy mają termofory z gorącą wodą”, choć wciąż nie do końca jest ono pochlebne. Trochę racji jednak ma, co potwierdzają

moje badania na temat strony trzeciej: tylko Anglikom mogło się udać przerobić zdjęcia zmysłowych, półnagich kobiet w coś tak całkiem pozbawionego erotyzmu jak strona trzecia.

Seks a angielskość

Co to wszystko mówi nam o angielskości? Większości ujawnionych tu cech charakterystycznych można się już było spodziewać: humor, ułomność towarzyska, hipokryzja, fair play, przeczulenie na punkcie klasy, uprzejmość, skromność i tak dalej. Ale coraz wyraźniej widać, że tych charakterystycznych cech definiujących nie można traktować (*pace* Orwell, Priestley, Betjeman, Bryson, Paxman i wszyscy inni, którzy sporządzali spisy) wyłącznie jako listy oddzielnych, niepołączonych cech czy zasad; muszą one być rozumiane jako pewien rodzaj *systemu*.

Przyglądając się baczniej zasadom i schematom zachowań w tym rozdziale, widzę, że większość z nich to produkty połączenia lub interakcji co najmniej dwóch „cech definiujących”. Zasada humoru odruchowego jest przykładem użycia humoru (cecha definiująca sama w sobie) w celu złagodzenia symptomów naszej ułomności towarzyskiej (kolejna cecha definiująca).

Wiele stref flirtu rozpoznanych przez test PAC również ujawnia interakcje między cechami definiującymi. Nasze problemy z imprezami dla singli i biurami matrymonialnymi - nasza potrzeba udawania, że gromadzimy się w jakimś nietowarzystkim celu, i nasze przewrażliwienie na punkcie konceptu „randkowania” - zawierają połączenie ułomności towarzyskiej (znowu), hipokryzji i antypowagi (podzbiór humoru).

Zasada klubowiczów: „żadnego seksu, jesteśmy zbyt cool”, dotyczy głównie hipokryzji, ale warto tu o niej wspomnieć, ponieważ zdaje się ona potwierdzać coś, co podejrzewałam od jakiegoś czasu, a mianowicie że angielska hipokryzja jest naprawdę szczególnym *rodzajem* hipokryzji, polegającej na zмовie, jakby niepisanym porozumieniem, że mamy oszukiwać siebie samych, a nie żadnym celowym oszukiwaniem innych.

Zasada flirtu kurtuazyjnego łączy hipokryzję z kolejną cechą definiującą, uprzejmością. Wydają się one iść bardzo w parze; uprzejmy egalitaryzm jest jeszcze jednym produktem hipokryzji i uprzejmości, połączonym z przeczuleniem na punkcie klasy.

Zasada niepewności nie jest znakiem tłumionej orientacji homoseksualnej, ale interakcją trzech cech definiujących angielskość: ułomności towarzyskiej + uprzejmości + fair play. Zasady przekomarzania się są produktem ułomności towarzyskiej + humoru; zasady obserwowania kobiet zawierają je obie, z dodatkiem naszego specjalnego rodzaju hipokryzji polegającej na zbiorowym oszukiwaniu się. Zasada awansu przez małżeństwo łączy świadomość klasową i hipokryzję; zasady rozmów o seksie są symptomami ułomności

towarzyskiej, traktowanej znowu z humorem, tak samo jak zasada śmiesznych tyłków.

Wnioski są jeszcze dość surowe - jestem pewna, że odnośne równania są bardziej skomplikowane niż to moje dodawanie - ale przynajmniej zmierzamy w kierunku czegoś, co wygląda bardziej jak diagram niż lista. Jeszcze tego wszystkiego nie rozwiązałam, ale wciąż mam nadzieję, że zanim skończę tę książkę, znajdę jakiś graficzny sposób zilustrowania powiązań i interakcji między elementami, które tworzą nasz charakter narodowy.

Wreszcie „kalamburografia” strony trzeciej, gdzie niemądra gra słów w jakimś sensie neutralizuje erotykę obrazków, jest kolejnym przykładem angielskiego użycia humoru, żeby zrównoważyć potencjalne zakłopotanie lub obrazę (kombinacja ułomności towarzyskiej + humoru + uprzejmości). Niektóre kultury celebrować seks i erotykę; inne (głównie religijne) neutralizują seks cenzurą; inne (USA, pewne rejony Skandynawii) oswajają go sztywną, nadętą poprawnością polityczną. Anglicy robią to za pomocą humoru.

Obrzędy przejścia

Nazwałam ten rozdział *Obrzędy przejścia*, zamiast *Religia*, ponieważ religia jako taka w dzisiejszych czasach pozostaje bez szczególnego wpływu na życie większości Anglików, ale rytuały, do których pastory Kościoła anglikańskiego lekceważąco odnoszą się jako „przyjście (na świat), wyjście (za mąż), zejście”, jak również inne, mniej doniosłe, są wciąż ważne. Większość uczciwych anglikańskich duchownych przyzna bez wahania, że *rites de passage* małżeństwa, śmierci, i w mniejszym stopniu urodzin, są teraz ich jedynym kontaktem z większością parafian. Niektórzy z nas chodzą wprawdzie do kościoła na Boże Narodzenie, a czasem nawet na Wielkanoc, lecz dla większości „praktykowanie” ogranicza się do ślubów, pogrzebów i czasem chrztów.

Wszyscy tak piszą

Dworzanin królowej Elżbiety I John Lyly twierdził, że Anglicy to „naród wybrany przez Boga i szczególny”. No cóż, jeśli tak, musiał to być istotnie dość szczególny wybór ze strony Wszechmogącego, ponieważ jesteśmy chyba najmniej religijnym narodem na Ziemi. Aż do 88 procent Anglików twierdzi w ankietach, że „wyznaje” tę czy inną chrześcijańską religię - zazwyczaj protestantyzm Kościoła anglikańskiego - ale w praktyce tylko około 15 procent tych „chrześcijan” naprawdę chodzi regularnie do kościoła. Większość uczęszcza jedynie na ceremonie wyżej wspomnianych „obrzędów przejścia”, a wielu z nas jedyny kontakt z religią ma podczas ostatniego rytuału - pogrzebu. Dziś w większości nie jesteśmy ochrzczeni i tylko około połowy z nas bierze ślub w kościele, ale prawie wszyscy mamy jakiś rodzaj chrześcijańskiego pochówku. To nie dlatego, że śmierć nagle skłania Anglików do religijności, ale dlatego, że jest to opcja automatyczna, „domyślna”: *niewybranie* chrześcijańskiego pogrzebu wymaga konkretnego wysiłku, dokładnego określenia, czego pragnie się w zamian, i w ogóle zamieszania i zawracania głowy.

Tak czy inaczej, Kościół anglikański to najmniej religijny Kościół na ziemi. Powszechnie wiadomo, że jest pobłażliwy aż do przesady i wygodnie pozbawiony nakazów i zakazów. Określenie się jako „C of E” (jest to skrót od wyrażenia Church of England, Kościół anglikański, którego wolimy używać, gdy tylko się da, tak w mowie, jak i w formularzach, ponieważ słowo „kościół” brzmi trochę religijnie, a „England” może wydawać się zbyt patriotyczne) w powszechnym spisie ludności czy na jakimś podaniu, zgodnie z przyjętym zwyczajem, absolutnie nie sugeruje głębokiej wiary czy religijności, nawet nie wiary w istnienie Boga. Alan Bennett zauważył kiedyś, przemawiając do Prayer Book Society, że w Kościele anglikańskim „kwestia, czy ktoś wierzy w Boga, czy nie, jest omijana szerokim łukiem. Nie jest w dobrym guście. Ktoś powiedział, że Kościół anglikański jest tak

ustanowiony, że jego członkowie mogą sobie wierzyć, w co im się tylko żywnie podoba, ale oczywiście prawie nikt tego nie robi”.

Raz podsłuchałam rozmowę w poczekalni mojego lekarza rodzinnego. Mniej więcej trzynastoletnia dziewczynka wypełniała jakiś medyczny formularz, w czym od czasu do czasu pomagała jej matka. Córka zapytała: „Wyznanie? Jakiego ja jestem wyznania? My przecież nie mamy żadnego wyznania?”. „Nie - odpowiedziała matka. - Wpisz po prostu «C of E», „Co to jest «C of E»?” - zapytała córka. „Kościół anglikański”. „To jest wyznanie?”. „Coś w tym rodzaju. Właściwie to nie, po prostu wszyscy tak piszą”. Podobnie jak automatyczny pochówek chrześcijański, „C of E” jest czymś w rodzaju opcji standardowej. Trochę jak kratka w kwestionariuszach „ani tak, ani nie” - rodzaj apatycznego, neutralnego wyznania dla duchowo obojętnych.

Trudno znaleźć kogoś, kto traktuje Kościół anglikański poważnie - nawet w jego własnych szeregach. W 1991 roku ówczesny arcybiskup Canterbury, dr George Carey, powiedział: „Widzę nasz Kościół jako staruszkę, która coś tam mamrocze do siebie w kącie i którą większość ludzi ignoruje”. I ten komentarz w stylu Kłapouchego nastąpił zaraz po powołaniu Careya na najwyższą pozycję w tym Kościele. Jeśli sam arcybiskup Canterbury porównuje swój Kościół do mało znaczącej zniechęconej staruszki, trudno się dziwić, że reszta z nas nie ma oporów, żeby go ignorować. Jak można było oczekiwać, w homilii prawie dziesięć lat później lamentował, że „dominuje milczący ateizm”. No, naprawdę - a czego się spodziewał?

Łagodna obojętność

A kluczowym słowem w jego lamencie jest „milczący”. Nie jesteśmy nacją otwartych, zdeklarowanych ateistów. Nie jesteśmy również agnostykami. Wybrać któryś z tych terminów oznaczałoby okazać pewne zainteresowanie tym, czy istnieje jakieś bóstwo - a w rezultacie trzeba byłoby ten fakt odrzucić lub zakwestionować. Tymczasem większości Anglików po prostu niespecjalnie to obchodzi.

W badaniach opinii publicznej około 60 procent ludzi na pytanie, czy wierzą w Boga, odpowiada „tak”³⁷, ale doktor Carey ma rację, nie biorąc tej odpowiedzi za dobrą monetę. Gdy zapytałam o to ludzi, okazało się, że wielu z nich odpowiedziało „tak”, ponieważ:

„nie są szczególnie religijni, ale w Coś jakby wierzą”;

są skłonni zaakceptować, że *może* istnieć jakiś Bóg, a więc „nie” byłoby zbyt kategoryczne;

chcieliby wierzyć, że Bóg istnieje, mimo że ogólnie wydaje się to mało prawdopodobne;

nie są pewni, ale właściwie równie dobrze mogą dać Mu kredyt zaufania;
szczerze mówiąc, nie myśleli o tym, ale tak, jasne, czemu nie.

Pewna kobieta powiedziała mi: „Zaznaczyłam na pierwszej stronie «wyznanie chrześcijańskie», bo przecież jestem jakby chrześcijanką w odróżnieniu od muzułmanów, hinduistów czy innych, więc później stwierdziłam, że powinnam zaznaczyć też, że wierzę w Boga - inaczej wyszłabym na niekonsekwentną”.

Sprytni badacze z MORI zaczęli ostatnio zadawać swoje pytania o religię w sposób lepiej dostosowany do niejednoznacznych opinii i niezdecydowanych postaw Anglików. Teraz oferują opcje następujące:

„*Jestem praktykującym członkiem zorganizowanej religii*”; tylko 18 procent z nas zaznacza tę możliwość, w tym wszyscy wyznawcy islamu, hinduizmu, sikhizmu i tak dalej, którzy rzeczywiście praktykują.

„*Jestem niepraktykującym członkiem zorganizowanej religii*”; to jakby zaznaczyć kratkę „C of E”. Tę niewymagającą opcję wybiera 25 procent z nas.

„*Skłaniam się ku życiu duchowemu, ale tak naprawdę nie «należę» do żadnej zorganizowanej religii*”: zdanie na tyle niejasne, że przemawia do 24 procent z nas - w tym zapewne niektórych z 31 procent wierzących w astrologię, 38 procent wierzących w duchy, 42 procent w telepatię, 40 procent w anioła stróża itd., itp.

„*Jestem agnostykiem (nie jestem pewny, czy Bóg istnieje)*”; za dużo tu trzeba myśleć, tylko 14 procent.

„*Jestem ateistą (jestem przekonany, że Boga nie ma)*”; jak wyżej, i zbyt stanowczo, tylko 12 procent.

„*Żadne z powyższych*”; no cóż, powyższe wyczerpały praktycznie wszystkie możliwości, tylko 7 procent.

„*Nie wiem*”; przy tylu ambiwalentnych, wymijających opcjach w ofercie, niegrzecznie byłoby któreś nie wybrać, tylko 1 procent.

A więc mimo że ostatecznie tylko 12 procent przyznaje się do ateizmu, myślę, że opinia byłego arcybiskupa o dominującym „milczącym ateizmie” wśród Anglików jest dość trafna. Gdybyśmy byli prawdziwymi ateistami, on i jego Kościół mieliby materiał, nad którym mogliby pracować. A nam po prostu aż tak nie zależy.

Jesteśmy nie tylko obojętni, ale gorzej (z punktu widzenia Kościoła) - jesteśmy *uprzejmie* obojętni, *tolerancyjnie* obojętni, *łagodnie* obojętni. Właściwie nie mamy nic przeciwko Bogu. Jeśli nas ktoś przyciśnie, nawet przyznamy, że On może istnieć - albo że może istnieć Coś, co możemy równie dobrze nazwać Bogiem, choćby tylko dla świętego

spokoju. Bóg jest w porządku tam, gdzie Jego miejsce, czyli w kościele. Gdy jesteśmy w Jego domu - podczas ślubów i pogrzebów - wypowiadamy wszystkie te stosowne formułki, tak jak się robi, goszcząc w domach innych ludzi, choć ta powaga zdaje nam się nieco absurdalna i trochę krępująca. Poza tym On w bardzo małym stopniu oddziałuje na nasze życie czy myśli. Inni mogą sobie Go czcić, jeśli chcą - to wolny kraj - ale to sprawa prywatna i powinni zachowywać to dla siebie i nie zanudzać innych, czy wprawiać ich w zakłopotanie, robiąc wokół tego niepotrzebne *zamieszanie*. (Anglicy niczego bardziej nie nienawidzą niż *zamieszania*).

W wielu innych krajach - na przykład w Ameryce - politycy i inne znaczące postacie życia publicznego czują się zobligowane do manifestowania swojej pobożności i wzywania swojego bóstwa przy każdej okazji. Tutaj muszą postępować dokładnie odwrotnie. Nawet *wzmianka* o tym, że się wierzy, byłaby w bardzo złym guście. Wiadomo, że Tony Blair jest pobożnym chrześcijaninem (to przypadłość, którą tolerujemy w nasz tradycyjny niechętnie uprzejmy sposób, ale tylko dlatego, że ma on na tyle zdrowego rozsądku, że się z tym nie afiszuje), lecz najwyraźniej słucha swoich speców od propagandy i nigdy nie używa słowa na „B”. Mimo tych środków ostrożności, w magazynie „Private Eye” został skarykaturowany jako pompatyczny i zadufany w sobie wiejski pastor, a jego przemówienia i oświadczenia są cenzurowane pod względem wszelkich znaków niestosownej pobożności, której najmniejszy nawet ślad staje się natychmiast celem ataku i kpin. (Tu warto przypomnieć sobie jeszcze raz, że satyra to jest to, co Anglicy mają zamiast rewolucji i powstań).

Nasza łagodna obojętność pozostaje łagodna tylko dopóty, dopóki ludzie religijni, jakiegokolwiek wyznania, zachowują je dla siebie i powstrzymują się od wprawiania w zakłopotanie niepraktykującej, duchowo neutralnej większości krępującymi lub nużącymi pokazami religijnego zapału. A każde użycie słowa na „B”, chyba że w sensie ironicznym lub po prostu jako środka stylistycznego (broń Boże, Bóg jeden wie, zapomniane przez Boga itd.), liczy się jako taka niestosowna demonstracja. Wszelka nadmierna powaga powoduje, że skręcamy się z zażenowania; religijne namaszczenie wywołuje u nas głęboką podejrzliwość i zdecydowany niepokój.

Przyjście, wyjście, zejście

Tyle jeśli chodzi o religię. Ale co z tymi obrzędami przejścia, które wciąż odbywają się w kościołach lub polegają na jakichś niejasno religijnych ceremoniach, choćby tylko z braku innych lub dla wygody? Termin *rites de passage* został ukuty w 1908 roku przez antropologa Arnolda van Gennepa, który określił je jako „obrzędy, które towarzyszą każdej zmianie miejsca, stanu, pozycji społecznej i wieku”. Van Gennep zauważył, że wprawdzie

wszystkie stworzenia rodzą się, osiągają dojrzałość, rozmnażają się i umierają, ale tylko ludzie czują potrzebę, żeby z powodu każdej zmiany w cyklu życiowym (jak również z przemian kalendarzowych) robić straszne ceregiele³⁸ - otaczając je skomplikowanymi rytuałami i nadając zmianom biologicznym i sezonowym głębokie społeczne znaczenie. Inne stworzenia walczą o dominację i status w swoim stadzie czy innych grupach społecznych, i tworzą specjalne więzi i sojusze z wybranymi osobnikami. W tym wypadku ludzie także robią wielkie zamieszanie, oznaczając każdy awans dotyczący rangi i przynależności do podgrupy jeszcze większą liczbą rytuałów, obrządków i ceremonii.

Czyli w obrzędach przejścia nie ma nic szczególnie angielskiego. Każde społeczeństwo posiada te rytuały, i chociaż szczegóły i akcenty różnią się w różnych kulturach, van Gennep wykazał także, że rytuały te zawsze mają mniej więcej taką samą podstawową strukturę, obejmującą trzy fazy: fazę separacji (preprogową), marginalizacji (progową) i fazę inkorporacji (postprogową).

Nawet jeśli chodzi o szczegóły i rozłożenie akcentów, większość angielskich obrzędów przejścia jest ogólnie podobna do rytuałów wielu innych kultur zachodnich: nasze dzieci chrzczone są w bieli i mają rodziców chrzestnych; nasze panny młode też noszą biel, mają druhny i miesiąc miodowy; na pogrzeby wkładamy czerń; na Boże Narodzenie dajemy sobie prezenty - i tak dalej. Niewiele jest elementów w zasadniczej formule i kolejności wydarzeń na, powiedzmy, typowym angielskim ślubie czy pogrzebie, które wydawałyby się jakoś szczególnie dziwne lub nieznanne turyście amerykańskiemu, australijskiemu czy z Europy Zachodniej.

Ambiwalencja

A więc co (jeśli w ogóle coś) jest typowo angielskiego w angielskich obrzędach przejścia? Co (jeśli w ogóle coś) *może* wydawać się dziwne czy inne turyście czy imigrantowi z nawet pokrewnej współczesnej kultury zachodniej? Zaczęłam od dość oczywistego kroku i zapytałam kilku z nich. „To nie zwyczaje czy tradycje - powiedziała spostrzegawcza amerykańska informatorka, która sama brała udział w ślubach (w jednym jako panna młoda, w jednym jako matka panny młodej) po obu stronach Atlantyku. - Masz rację, one są właściwie takie same. Bardziej chodzi o postawę ludzi, coś w ich zachowaniu. Trudno to opisać, ale Anglicy po prostu jakby nie *uczestniczą* w pełni w ślubie w taki sposób jak my - zawsze wydają się trochę, nie wiem, zdystansowani, jakby cyniczni, ale jednocześnie niezręczni - w jakimś sensie nie *przejęci* naprawdę”. Inna informatorka zza oceanu powiedziała mi: „Zawsze sądziłam, że Anglicy są dobrzy w rytuałach - wiesz, pompa, ceremonia i tak dalej. No i jesteście: nie ma nikogo lepszego, jak przychodzi do naprawdę

dużej imprezy publicznej - śluby królewskie, pogrzeby państwowe... ale gdy idzie się na przykład na zwyczajny prywatny ślub, wszyscy wydają się tacy... skrępowani, sztuczni i sztywni. Albo zalewają się w pestkę i wydurniają. Stanów pośrednich raczej nie ma”.

Problem w tym, że obrzędy przejścia są z definicji okazjami towarzyskimi, wymagającymi długotrwałego przymusowego kontaktu z innymi ludźmi - a co gorsza, wiele z nich to okazje towarzyskie, na których „prywatne” sprawy rodzinne (łączenie się w pary, żałoba, wejście w dorosłość) stają się „publiczne”. Poza tym oczekuje się od człowieka, że wyrazi jakieś emocje. Co prawda, bez przesady; Anglicy nie uznają ekstrawaganckich szlochów na pogrzebach, szalonej radości na ślubach czy nadmiernego sentymentalizmu podczas chrztów, ale nawet minimalna, symboliczna manifestacja uczuć, typowa dla angielskich obrzędów przejścia, może być gehenną dla większości z nas. (Większość nie może nawet strawić „znaku pokoju” - rytuału wprowadzonego do zwykłego nabożeństwa kościelnego przez kierujących się najlepszymi intencjami pastorów, który wymaga od nas uściśnięcia ręki osoby stojącej obok i wymamrotania „Pokój z tobą”. „Wszyscy ludzie, których znam, *nie cierpią* «znaku pokoju» - powiedział jeden z informatorów. - Dreszcz mi przechodzi po krzyżu na samą myśl”).

Obrzędy przejścia związane z cyklem życiowym mogą być oczywiście źródłem stresu także w innych krajach. Wydarzenia zaznaczone przez obrzędy przejścia wynikają często z ważnych przemian, które mogą być źródłem sporego lęku i niepokoju. Nawet wydarzenia uznawane za przejścia pozytywne, okazje do świętowania, takie jak chrzty, ceremonie z okazji osiągnięcia pełnoletności lub ukończenia szkoły, przyjęcia zaręczynowe i śluby - mogą być bardzo stresujące. Przejście od jednego stanu społecznego do innego to trudna sprawa, nieprzypadkowo więc takim wydarzeniom w większości kultur prawie zawsze towarzyszą spore ilości alkoholu.

Anglicy jednak traktują obrzędy przejścia jako szczególne wyzwania, i myślę, że nasze skrępowanie odzwierciedla dziwną ambiwalencję naszej postawy wobec rytuału. Czujemy intensywną potrzebę zasad i formalności, ale równocześnie ceremonie są dla nas boleśnie krępujące i niewygodne. Najlepiej czujemy się „w uniformie”, także w przenośni, na przykład podczas tych królewskich i państwowych obrzędów na wielką skalę, gdzie każdy krok i każde słowo są dokładnie zaplanowane, co nie zostawia miejsca na niepewność czy nieudolną improwizację. Uczestnicy może nie czerpią radości z tych okazji, ale przynajmniej wiedzą, co robić i mówić. W rozdziale *Ubiór* zwróciłam uwagę, że choć Anglicy nie *lubią* oficjalności i nie znoszą, żeby im coś dyktowały jakieś sztywne regułki, brakuje im naturalnego wdzięku i swobody towarzyskiej, żeby radzić sobie z brakiem oficjalności.

Rytuały prywatnych ślubów, pogrzebów i innych „przeżyć” są na tyle formalne, żeby nas usztywnić i wprawić w rozdrażnienie, ale także na tyle nieformalne, by zdemaskować naszą towarzyską ułomność. Oficjalna pobożność i frazesy są zbyt pretensjonalnie poważne, zbyt wymuszone i w wielu wypadkach zbyt krępująco *religijne*, powodują, że skręcamy się, szarpiemy za kołnierzyki i przestępujemy z nogi na nogę. Ale części nieoficjalne, kiedy to jesteśmy pozostawieni sami sobie, są jeszcze gorsze. Nasze problemy podczas ślubów i innych rytuałów transformacyjnych są zasadniczo takie same jak podczas każdego innego angielskiego spotkania towarzyskiego - choćby te wszystkie nieudolne przedstawiania i powitania, gdzie nikt nie wie tak naprawdę, co powiedzieć i co zrobić z rękami - tylko że tutaj nasze problemy są wyolbrzymione przez ważność okazji. Czujemy, że powinniśmy powiedzieć coś stosownie głębokiego pannie młodej, dumnym rodzicom, wdowie czy absolwentowi, nie wpadając w ton podniosły czy sentymentalny i nie uciekając się do wytartych frazesów, i że powinniśmy przybrać odpowiednio zadowolony lub przygnębiony wyraz twarzy, znowu nie przesadzając z radością czy smutkiem. I wciąż nie wiemy, co zrobić z rękami, czy ścisnąć i całować, czy nie, znów więc następują tradycyjne niezgrabne, niepewne uściski dłoni, sztywne obejmowanie się i niezręczne zderzanie policzkami (na ślubach i chrzcinach - rondami kapeluszy).

„Przyjście” i rytuały inicjacji

Tylko około jednej czwartej Anglików chrzci swoje dzieci. To nam chyba mówi więcej o angielskiej obojętności religijnej niż o stosunku do dzieci, a przecież połowa z nas bierze jednak ślub w kościele i większość ma ostatecznie chrześcijański pogrzeb, więc dosyć znacząca niepopularność chrztu może być także odbiciem pewnej kulturowej apatii, gdy chodzi o dzieci. I nie jest tak, że ci, którzy nie decydują się na chrzest, rekompensują to sobie jakimś innym rodzajem doniosłej celebracji w celu powitania nowo narodzonego. Narodziny dziecka są oczywiście pozytywnym wydarzeniem, ale w Anglii nie robi się z tego powodu tyle zamieszania, co w innych krajach. Dumny świeżo upieczony tata może postawić kilka kolejek kolegom w pubie (zwyczaj, co ciekawe, znany jako „moczenie głowy dziecka”, choć dziecko, całe szczęście, nie jest przy tym obecne), ale przecież Anglicy z entuzjazmem rzucają się na każdą okazję do wypitki. Dziecko nawet nie jest długo przedmiotem konwersacji; gdy już ojca podda się serii zyczliwych docinków i zostanie odprawiony krótki rytuał narzekania na ograniczenie wolności, nieprzespane noce, utratę libido i ogólny hałas i chaos związany z dziećmi, temat uważa się praktycznie za wyczerpany i uczestnicy powracają do zwykłych „rozmów piwnych”.

Dziadkowie, inni bliscy krewni i koleżanki matki bardziej interesują się

niemowlęciem, ale jest to raczej kwestia nieformalnych prywatnych wizyt niż dużych towarzyskich spędów. Czasem stosuje się amerykański zwyczaj *baby shower* (obdarowywanie rodziców prezentami i pieniędzmi dla dziecka), jednak tak naprawdę całkiem się on nie przyjął, a poza tym i tak zazwyczaj ma miejsce *przed* porodem, gdy dziecka nie ma jeszcze na świecie. Chrzest jest zwykle imprezą stosunkowo skromną i cichą; i nawet podczas chrztu dziecko pozostaje w centrum zainteresowania krótko - Anglicy z reguły nie przepadają za czułym gruchaniem nad niemowlętami. W niektórych wypadkach (wystarczająco wielu, aby *Debrett's* skomentował ten zwyczaj z dezaprobatą) chrzest jest jedynie pretekstem dla snobistycznych rodziców, aby zapewnić dziecku rodziców chrzestnych zamożnych, wpływowych lub z wyższych sfer - „chrzestnych na pokaz”.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. *Nie* sugeruję, że angielscy rodzice nie kochają swoich dzieci i nie troszczą się o nie. Oczywiście, że to robią i że mają takie same naturalne instynkty rodzicielskie jak wszystkie inne istoty ludzkie. Chodzi o to, że *jako naród* raczej nie cenimy dzieci tak wysoko jak inni. Kochamy je jako indywidualni ludzie, ale nie witamy ich rytualnie na świecie z równym entuzjazmem. Często się mówi, że Anglicy bardziej dbają o swoje zwierzęta niż o swoje dzieci. To niesprawiedliwa przesada, ale fakt, że nasze Krajowe Stowarzyszenie Przeciwdziałania Okrucieństwu wobec Dzieci zostało założone dopiero jakieś sześćdziesiąt lat *po* Królewskim Towarzystwie Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt, mówi jednak coś o kulturowej hierarchii wartości.

Jak mówić o swoich dzieciach

Angielscy rodzice są tak samo dumni ze swoich dzieci, jak rodzice w każdym innym kraju, ale nigdy byście tego nie poznali po sposobie, w jaki o nich mówią. Zasady skromności nie tylko zabraniają chwaleń się swoim potomstwem, ale wręcz nakazują udawanie, że się je krytykuje. Nawet najdumniejsi i najbardziej kochający angielscy rodzice muszą przewracać oczami, ciężko wzdychać i narzekać między sobą, jak hałaśliwe, męczące, leniwe i beznadziejne są ich dzieci. Na jakimś przyjęciu słyszałam, jak jedna matka próbuje powiedzieć drugiej komplement: „Słyszałam, że twój Peter zdaje dziesięć przedmiotów na maturze - musi być strasznie zdolny...”. Spotkała się z prychnięciem i lekceważącą skargą: „No, dobrze by było, bo w ogóle nic nie robi - gra tylko w te głupie gry komputerowe i słucha tej okropnej muzyki...”. Na co pierwsza matka odpowiedziała: „Ach, nawet mi nie mów - mój Sam na pewno obleje swoje - jedyna rzecz, w jakiej jest dobry, to jazda na deskorolce, a tego się, niestety, nie zdaje na maturze, cały czas mu to powtarzam, ale on oczywiście kompletnie mnie nie słucha...”. Bardzo możliwe, że wspomniane dzieci były ideałami pod względem nauki, a obie matki doskonale o tym wiedziały - istotnie, brak jakichkolwiek obaw w ich

głosie sugerował, że, pewne siebie, oczekiwały dobrych wyników - ale przyznać się do tego byłoby w złym stylu.

Odpowiedni ton, jaki należy przybrać, mówiąc o swoich dzieciach, to coś w rodzaju obojętnej, cynicznej, żartobliwej rezygnacji - jakby się je *umiarkowanie* lubiło, przy tym jednak uważało za trochę nudne i kłopotliwe. Istnieją rodzice, którzy łamią te niepisane zasady, którzy popisują się i przechwalają zaletami i sukcesami swojego potomstwa, lub rozplývają się nad nim z czułością, ale takie zachowanie spotyka się z dezaprobatą jako afektowane i pretensjonalne; przeważnie kończy się na tym, że takich rodziców dyskretnie się unika. Na łonie rodziny i wśród bliskich przyjaciół angielscy rodzice mogą wyrażać prawdziwe uczucia wobec swoich dzieci - czy to pękają z dumy, czy też się zamartwiają - ale między znajomymi przy bramie szkoły, czy w innych niezobowiązujących towarzyskich sytuacjach, prawie wszyscy przyjmują tę samą postawę łagodnie rozbawionej, krytycznej obojętności i licytują się w krytyce swego nieszczęsnego potomstwa.

Jednakże to typowo angielskie umniejszanie własnej (i własnych dzieci) wartości nie całkiem jest tym, czym wydaje się być. Anglicy, jak już mówiłam, nie są z natury bardziej skromni niż inne nacje, i choć przestrzegają litery niepisanego prawa o skromności, z duchem jest inna sprawa. Wiele z ich uwłaczających własnym dzieciom komentarzy to zakamuflowane przechwałki, albo przynajmniej skargi wielce nieszczerze. Narzekanie na lenistwo dziecka i jego niechęć do odrabiania lekcji sugeruje, że dziecko jest tak zdolne, że daje sobie radę bez szczególnych starań. Narzekanie, że nasze „niemożliwe” dzieci spędzają cały czas przy telefonie lub poza domem, robiąc „Bóg wie co” z kolegami, to inaczej dumne obwieszczanie, jacy są popularni wśród rówieśników. Matka przewracająca oczami z udawaną rozpaczą z powodu obsesji swojej córki na punkcie mody i makijażu przypomina nam, że jej dziecko jest wyjątkowo ładne. My odpowiadamy, wyrażając irytację z powodu nużącej obsesji naszego własnego dziecka na punkcie sportu (w rzeczywistości ukryta przechwałka dotycząca jego fizycznej sprawności).

Nawet jeśli naprawdę denerwujesz się obyczajami czy zachowaniem swoich dzieci, mimo wszystko niezmiernie ważne jest, by przyjąć odpowiedni ton *udawanej* rozpacz. *Prawdziwą* rozpacz można wyrażać tylko wśród bardzo bliskich przyjaciół; przy bramie szkoły czy na przyjęciach, nawet gdy istotnie czujesz się zrozpaczony, musisz udawać, że tylko udajesz zrozpaczonego. Gdy słuchałam tych rozmów, od czasu do czasu wyczuwałam ton autentycznej beznadziei wkradający się do głosu matki, opisującej wykroczenia jej „beznadziejnych” dzieci. Wtedy rodzice biorący udział we wspólnym narzekaniu zaczynali wyglądać na nieco skrupowanych, unikać kontaktu wzrokowego i wiercić się niespokojnie -

ich stopy odwracały się w inną stronę, podświadomie sygnalizując chęć ucieczki. Zazwyczaj mówiąca wyczuwała ich zażenowanie, brała się w garść i ponownie podejmowała stosowny ton lekkiej, żartobliwej, udawanej udręki. Nieznośna lekkość bytu Anglika.

Zasady zabawy w umniejszanie zawierają także surowy zakaz wszelkiej krytyki cudzego dziecka. Swoje własne można odsądzać od czci i wiary, ale nie wolno powiedzieć złego słowa o potomstwie innego narzekającego rodzica (a przynajmniej nie prosto w oczy). Wyrazy współczucia są dozwolone, w odpowiedzi na skargi rodziców na temat niedociągnięć ich dzieci, ale muszą być ostrożnie sformułowane, żeby nikogo nie urazić. Świadomie wieloznaczne „Ach, *wiem*” czy cmokania ze współczuciem i dezaprobatą, i potrząsanie głową ze smutkiem to jedyne naprawdę bezpieczne reakcje. Po nich bierzemy się do krytykowania słabostek naszych własnych dzieci.

Nic tu nie jest aż tak wykalkulowane czy celowo nieszczerze, jak może się wydawać. Większość angielskich rodziców przestrzega zasad umniejszania automatycznie, nie myśląc o tym. Instynktownie przyjmują cyniczny, udający desperację ton i stosowny wyraz twarzy. Oni jakoś po prostu wiedzą, bez świadomego przypominania sobie, że nie wypada się chwalić ani okazywać emocji. Nawet subtelne, zawoalowane przechwałki - popisywanie się zakamuflowane jako zaniżanie wartości - nie jest rezultatem starannych przemyśleń. Angielscy rodzice nie mówią sobie: „Hmm, nie wolno mi się chwalić, więc zastanówmy się, jak mogę skrytykować moje dziecko, jednocześnie w jakiś sposób dając do zrozumienia, że to geniusz?”. Ta okrężność po prostu przychodzi nam naturalnie. Przywykliśmy do niemówienia tego, co mamy na myśli: ironia, autoironia, niedomówienie, niejasność, dwuznaczność i uprzejme pozory są w nas głęboko zakorzenione, są częścią bycia Anglikiem. Ta osobliwa mentalność jest nam wpajana od dziecka, a nasze dzieci, już gdy idą do szkoły podstawowej, przeważnie mają opanowaną sztukę chwalenia się nie wprost i potrafią same produkować własne autokrytyczne przechwałki.

Niewidoczne dojrzewanie

No i dobrze, ponieważ nasza kultura uważa dzieci za coś w rodzaju irytującej zawady, a nastolatki za prawdziwe utrapienie. Nastolatki postrzegane są zarówno jako wrażliwe, jak i niebezpieczne, jako obiekt troski, ale także potencjalne zagrożenie; istoty potrzebujące ochrony, ale też dyscypliny - po prostu stworzenia generalnie *nieznośne*. Nie jest więc chyba zaskoczeniem, że tylko wyznawcy religii będących w mniejszości w znaczący sposób celebryją wejście w dojrzałość. Nadejście tego niezręcznego, kłopotliwego, „upośledzonego hormonalnie” etapu życia nie jest powszechnie uważane za powód do świętowania. Anglicy wolą chować głowę w piasek i udawać, że nic się nie dzieje. Kościół anglikański wprawdzie

przewiduje ceremonię bierzmowania w odpowiednim wieku (tradycyjnie między jedenastym a czternastym rokiem życia), ale jest ona jeszcze mniej popularna niż chrzest, a ponieważ nie ma odpowiednika świeckiego, ogromna większość angielskich dzieci pozbawiona jest oficjalnego rytuału wejścia w dojrzałość.

Pozbawione należnych praw, angielskie nastolatki wymyślają swoje własne nieoficjalne rytuały inicjacyjne - które zwykle polegają na wpadaniu w tarapaty z powodu nielegalnego picia alkoholu, eksperymentowania z nielegalnymi narkotykami, kradzieży w sklepach, malowania graffiti, przejażdżek skradzionymi samochodami itd. - lub znajdują inne sposoby zwracania uwagi otoczenia na ich nowy status seksualny: mamy na przykład najwyższy odsetek nastoletnich ciąż w Europie.

Ale oficjalnie zostają „przyjęci” przez społeczeństwo jako jego pełnoprawni członkowie dopiero *po* uporaniu się z okresem dojrzewania, kiedy to następny oficjalny obrzęd przejścia, uroczystość osiemnastych urodzin, wyznacza ich wkroczenie w dorosłość. Niektórzy przechodzą minirytuał w wieku siedemnastu lat, gdy dostają prawo jazdy, ale osiemnaście lat to wiek, w którym Anglicy dostają oficjalne prawo, by głosować w wyborach, brać ślub bez zgody rodziców, uprawiać seks homoseksualny, oglądać filmy „dla dorosłych” i, co dla wielu najważniejsze, kupować alkohol. Większość z nich w tym wieku na pewno nieoficjalnie pije, uprawia wszelkie rodzaje seksu i ogląda wspomniane filmy już od paru lat; wielu opuszcza szkołę w wieku lat szesnastu i pracuje na cały etat, być może nawet jest już po ślubie lub żyje w konkubinacie, w ciąży lub z dzieckiem. Jednak osiemnaste urodziny wciąż uważane są za ważny moment przełomowy i pretekst do wydania wielkiej hałaśliwej imprezy lub przynajmniej do upicia się jeszcze bardziej niż w przeciętny sobotni wieczór.

Próba „roku przerwy”

W kręgach ludzi wykształconych po rytuale osiemnastych urodzin często następuje *gap year*, rok przerwy, przejście między szkołą a studiami, przedłużony okres „progowy”, w którym młodzi ludzie tradycyjnie spędzają parę miesięcy za granicą, często biorąc udział w jakiejś działalności charytatywnej (pomaganie peruwiańskim wieśniakom w budowie szkoły, praca w rumuńskim sierocińcu, ratowanie lasu deszczowego, kopanie studni itp.) i ogólnie rzecz biorąc, zobaczenie Prawdziwego (czyli biednego) Świata i nabycie ważnych, kształtujących charakter Doświadczeń. Podróż w „roku przerwy” uważana jest za coś w rodzaju ciężkiej próby inicjacyjnej - trochę mniej surowej niż jej odpowiednik w pewnych społeczeństwach plemiennych, które wysyłają nastoletnich chłopców na jakiś czas do dżungli czy puszczy, żeby tam, cierpiąc niewygody, udowodnili, że zasługują na oficjalne włączenie do społeczności dorosłych.

W wypadku angielskiej klasy wyższej i wyższej warstwy klasy średniej na tym etapie często taki cel już jest osiągnięty dzięki wygnaniu potomstwa na cały okres dorastania do kształtujących charakter szkół z internatem. Klasa wyższa i arystokracja jeszcze całkiem niedawno były zdecydowanie antyintelektualne (tę cechę dzieliły, razem z zamiłowaniem do sportu i hazardu, z klasą robotniczą) i raczej lekceważąco patrzyły na nabożny szacunek klas średnich dla wyższego wykształcenia. Ich synowie mogli iść na uniwersytet, ale nie uważano tego za nieodzowne - jakiś czas spędzony w wojsku, w szkole rolniczej czy czymś podobnym też by wystarczył - a w wypadku córek osiągnięcia naukowe były jeszcze mniej ważne. Lady Diana Spencer nigdy nie była szczególnie zawstydzona swoim całkowitym brakiem kwalifikacji akademickich i wesoło żartowała w przemówieniach publicznych na temat fatalnych wyników swoich egzaminów i o tym, jaka jest „tępa”. Dziewczyna z klasy średniej czułaby się na jej miejscu potwornie zażenowana. Te postawy zmieniają się nieco, zwłaszcza wśród niżej usytuowanych lub mniej zamożnych członków klasy wyższej, których dzieci muszą teraz rywalizować z wykształconymi na uniwersytecie klasami średnimi o najlepsze posady. Starsze nastolatki z klasy wyższej, a nawet arystokracji czy rodziny królewskiej, jak książę William, podczas szlacheckich przygód „roku przerwy” uczą się tworzenia więzi, pracy w zespole i porównują z nastolatkami z klasy średniej ukąszenia moskitów.

Od młodych ludzi ze wszystkich klas przechodzących „inicjację” podczas „roku przerwy” oczekuje się, że doświadczenie to przemieni ich w dojrzałych, świadomych społecznie, rzetelnych dorosłych, gotowych podjąć ogromne wyzwanie i odpowiedzialność życia w akademiku, prania własnych rzeczy i od czasu do czasu otwarcia puszk fasolki, gdy wrócą z pubu i odkryją, że stołówka jest już zamknięta. Studenci pierwszego roku, którzy odbyli „rok przerwy”, uważają się za lepszych od tych, którzy przyszli „prosto ze szkoły” - bardziej dorosłych i światowych. Mają tendencję, by mówić z wyższością o tym, o ile *starsi* się czują w porównaniu z niedojrzałymi, niemądrymi nowicjuszami, których to doświadczenie ominęło.

W niektórych mniej uprzywilejowanych warstwach społeczeństwa angielskiego uważa się, że podobny wpływ na dojrzewanie, kształtowanie charakteru, ma pewien czas spędzony w więzieniu czy w poprawczaku mniej więcej w tym samym wieku - a ci, którzy przeszli tę próbę inicjacyjną, często wykazują takie samo poczucie wyższości nad swymi dziećmi, niewtajemniczonymi rówieśnikami. Gdy zignoruje się powierzchowne „oślepienie etnograficzne” akcentem i słownictwem, podobieństwa w języku i zachowaniu tych, którzy „siedzieli”, i tych, którzy zrobili sobie „rok przerwy”, są uderzające.

Rytuały studenckie

Tydzień adaptacyjny

Dla szczęśliwców, którzy dostali się na studia, po rytuale osiemnastych urodzin, matury i czasem próbie „roku przerwy” przychodzi kolejny ważny obrzęd przejścia, znany jako „tydzień nowicjusza” lub „tydzień adaptacyjny”. Ten rytuał odbywa się według klasycznego schematu inicjacji, przedstawionego przez van Gennepa - preprogowa separacja (wyłączenie), progowa marginalizacja (zawieszenie) i postprogowa inkorporacja (włączenie). Przechodzący inicjację najpierw odłączają się od swoich rodzin, znajomego otoczenia i społecznego statusu ucznia. Większość przyjeżdża na studia w towarzystwie jednego lub obojga rodziców, samochodem wyładowanym przedmiotami ze swojego dawnego życia (ubrania, książki, płyty, kołdra, ulubiona poduszka, plakaty, zdjęcia, miś) i rzeczami kupionymi specjalnie na nowe życie (lśniący nowiutki czajnik, kubek, miska, talerz, łyżka, ręcznik i tak dalej).

Rodzice pomagają to wszystko wyładować i w tym momencie stają się czymś w rodzaju kłopotliwej zawady, są więc odprawiani przez pierwszorocznego z bezceremonialnym pośpiechem i przy niecierpliwych zapewnieniach: „Tak, tak, będzie *okay*. Nie, *nie* pomagaj mi się wypakowywać, dam sobie radę. Nie rób *zamieszania*, dobra? Tak, jutro zadzwonię. Tak, *dobrze*. No to cześć. Cześć...” - świeżo upieczony student jest nierzadko przerażony i nawet może chce mu się płakać na myśl o rozstaniu, ale dobrze wie, że nie wypada - że jest to wręcz bardzo nie „cool” - okazywać te uczucia przed innymi nowicjuszami.

Nowo wtajemniczeni ledwo zdążą przyczepić parę plakatów do ściany, gdy zaczyna się etap „marginalny”, i wpadają w dezorientujący, hałaśliwy, wyczerpujący ciąg imprez, organizowanych przez oszałamiającą liczbę rozmaitych klubów i stowarzyszeń studenckich - sportowych, społecznych, teatralnych, artystycznych, politycznych - z których wszystkie biją się, żeby pierwszorocznicy zapisali się do nich na niewiarygodną liczbę zajęć dodatkowych. Te „oficjalne” imprezy są przeplatane wędrówkami po pubach, nocnymi wizytami w pizzerii oraz bezsennymi sesjami przy kawie o trzeciej nad ranem (jak również staniem w kolejkach, żeby zapisać się na kursy, otrzymać legitymację studencką lub podpisać niezrozumiałe formularze). Ten trwający tydzień etap progowy jest okresem kulturowej remisji i inwersji, kiedy to zmysły nowicjusza są przytępione alkoholem i brakiem snu, granice i kategorie społeczne przenikają się i zacierają, poprzednia tożsamość staje pod znakiem zapytania, a akceptacji w nowych warunkach społecznych szuka się, wstępując do studenckich klubów i stowarzyszeń. Zanim minie tydzień, nowicjusz zdobędzie nową tożsamość społeczną: zostanie włączony do „plemienia” studentów - i wreszcie pozwoli mu się trochę odetchnąć,

uspokoić się, zacząć uczęszczać na wykłady i brać udział w normalnym studenckim życiu.

Studenci lubią opisywać te dni jako okres szaleństwa i anarchii, jednak, jak większość epizodów remisji kulturowej, tak naprawdę rządzą się one swoimi zasadami, są przewidywalnym, skonwencjonalizowanym odejściem od konwencji. Niektóre tradycyjne zasady społeczne zostają zawieszane lub odwrócone na okres tych igraszek - na przykład rozmawianie z nieznanymi jest wówczas nie tylko dozwolone, ale wręcz zalecane: jeden z wielu przewodników po tygodniu adaptacyjnym opublikowanych przez zrzeszenie studentów przypomina nowicjuszom, że jest to „prawdopodobnie jedyny okres w życiu”, gdy wolno podejść i nawiązać rozmowę z całkiem nieznanymi osobami, i zachęca, żeby jak najlepiej wykorzystać tę szansę. Podtekst jest równie jasny: gdy tydzień się kończy, ponownie zaczynają obowiązywać normalne zasady angielskości i rozmawianie z nieznanymi bez uzasadnienia znów staje się nie do pomyślenia. Nowicjuszy zachęca się, aby nawiązywali znajomości z jak największą liczbą studentów - to eufemizm oznaczający ignorowanie barier społecznych - ale także dyskretnie uspokaja się ich, że znajomości zawarte podczas progowego okresu adaptacyjnego nie są „zobowiązujące”, że nie będą musieli później zadawać się z ludźmi z niekompatybilnych środowisk społecznych. „Poznasz mnóstwo nowych ludzi (z których wielu już nigdy więcej nie zobaczysz) i wypijesz mnóstwo litrów piwa (z których sporo zobaczysz ponownie następnego ranka)” - to instrukcje z jednej z typowych broszurek „jak przetrwać tydzień adaptacyjny”.

Upijanie się podczas tego tygodnia *jest* mniej lub bardziej obowiązkowe („wypijesz mnóstwo litrów piwa”), a angielska samospełniająca się wiara w magiczną, pozbawiającą zahamowań moc alkoholu jest fundamentalna - bez niej odwrócenie tradycyjnych zasad społecznych o rozmowach z nieznanymi nie miałyby sensu, ponieważ większość nowicjuszy nie śmiałyby do kogokolwiek podejść. Darmowy „ułatwiacz kontaktów społecznych” leje się szeroką strugą podczas wszystkich imprez tygodnia nowicjuszy, a od wtajemniczanych oczekuje się, że rozluźnią się i pozbędą zahamowań. Ma się rozumieć, w nakazany normami sposób. Istnieje dość ograniczona liczba dopuszczalnych pijackich zachowań: na przykład wolno wypinać gołe pośladki, ale obnażanie genitaliów spotkałoby się z dezaprobatą; wolno się sprzeczać, a nawet bić, ale nie wpychać do kolejki; można opowiadać sprośne dowcipy, ale rasistowskie są zakazane. W wypadku Anglików pijacka swoboda jest stanem uporządkowanym i uregulowanym - a tydzień adaptacyjny, mimo pozorów anarchii i rozpasania, jest tak naprawdę zaaranżowanym ciągiem tradycyjnych, konwencjonalnych rytuałów, gdzie każdego października studenci pierwszego roku w całym kraju pozbywają się tych samych określonych zahamowań w dokładnie ten sam uświęcony

tradycją sposób.

Egzaminy i ukończenie studiów

Kolejne ważne obrzędy przejścia dla studentów to egzaminy końcowe, uroczystości poegzaminacyjne i ceremonie ukończenia studiów: przejście od wieku studenckiego do dorosłości właściwej. Sam okres studiów może być postrzegany jako przedłużony etap „progowy” - coś w rodzaju stanu zawieszenia, gdy nie jest się ani nastolatkiem, ani pełnoprawnym dorosłym. Studia w praktyce odraczają prawdziwą dorosłość na dodatkowe kilka lat. Co do stanów zawieszenia, ten jest całkiem przyjemny: studenci mają prawie wszystkie przywileje dorosłego członka społeczeństwa, ale niewiele jego obowiązków. Angielscy studenci bez przerwy jęczą i narzekają między sobą na niemożliwe „obciążenie” nauką i zawsze przechodzą „kryzys wypracowania” (czyli muszą je napisać) - ale wymagania większości kierunków nie są zbyt uciążliwe w porównaniu z wymaganiami przeciętnej pracy na pełnym etacie.

Udręka egzaminów końcowych dostarcza pretekstu do kolejnych terapeutycznych rytuałów narzekania, z ich własnymi niepisаныmi zasadami. Ważna jest zasada skromności: nawet jeśli czujesz się w miarę spokojny i pewny siebie przed jakimś egzaminem, nie wypada ci tego mówić - musisz udawać, że jesteś niespokojny, nie wierzysz we własne siły, jesteś pewien, że oblejesz, bo rozumie się samo przez się (choć bez przerwy o tym trąbisz), że prawie wcale się nie uczyłeś. Tylko najbardziej aroganccy, nadęci i niewrażliwi społecznie studenci mogą się przyznać, że powtórzyli co trzeba do egzaminów; tacy ludzie trafiają się rzadko i zazwyczaj serdecznie się ich nie znosi.

Jeśli najwyraźniej kułeś jak szalony, możesz się do tego przyznać tylko w kontekście samokrytycznym: „Zakuwałem jak durny, ale dalej jestem noga z genetyki - po prostu wiem, że zawałę - a już na pewno będzie jakieś pytanie z tego, czego akurat nie powtórzyłem. Prawo Murphy’ego, nie?”. Każda wzmianka o pewności siebie musi zostać zrównoważona wyrazem niepewności: „Chyba poradzę sobie z socjologią, ale ze statystyki leżę...”.

Element przesądu lub ryzyko wygłupienia się mogą być ważne przed egzaminem, ale skromną postawę należy utrzymywać nawet *po* osiągnięciu pożądanego efektu. Ci, którym dobrze poszło, muszą zawsze wydawać się zaskoczeni swoim sukcesem, nawet jeśli po cichu uważają, że nań zasłużyli. Po otrzymaniu wyników w dobrym tonie jest wznosić okrzyki: „O Boże, nie wierzę!”, i choć oczekiwaną reakcją jest radość, sukces należy przypisać szczęściu („Ale miałem farta - same pytania, na które znałem odpowiedzi”), a nie talentowi czy pilnej nauce. Pewna studentka medycyny z Oksfordu, która dostała dyplom z najwyższą oceną i odbierała gratulacje od rodziny i znajomych podczas uroczystego lunchu z tej okazji, trzymała

schyloną głowę, wzruszała ramionami i powtarzała, że „to nic takiego - w przedmiotach ścisłych nie musisz być mądry czy coś, to tylko wiedza rzeczowa, po prostu uczysz się na pamięć i podajesz właściwe odpowiedzi. Uczysz się jak papuga”.

Podczas uroczystości poegzaminacyjnych wszyscy studenci tradycyjnie oddają się rytuałom narzekania na temat poczucia niespełnienia. Na każdej imprezie można usłyszeć, jak studenci skarżą się na wyczerpanie. „Wiem, że powinienem się czuć szczęśliwy i świętować - mówią - ale tak naprawdę to jestem trochę rozczarowany”. „Wszyscy czują taką euforię, ale mnie jest jakoś tak wszystko jedno...”. Chociaż każdy student sądzi, że doświadcza czegoś takiego jako pierwszy, lament tego typu jest tak powszechny, że studenci, którzy rzeczywiście czują euforię i odświętny nastrój, są w mniejszości.

Następna okazja do braku ekscytacji to ceremonia ukończenia studiów. Wszyscy studenci twierdzą, że ich ona nudzi i nie robi na nich żadnego wrażenia; żaden się nie przyzna do jakiegokolwiek poczucia dumy; to po prostu nudny rytuał, który trzeba przetrwać ze względu na kochających rodziców. Podobnie jak na początku rytuałów tygodnia adaptacyjnego, rodzice i tutaj są postrzegani jako pewien kłopot. Wielu studentów robi wszystko, żeby trzymać rodziców i innych krewnych z dala od kolegów i wykładowców, którzy mogą być obecni na ceremonii („*Nie*, Tato! *Nie* pytaj go, jakie mam «widoki». To nie wywiadówka, do cholery!...”, „Mamo, posłuchaj, tylko nie zrób nic *ckliwego*, okay?”; „Na litość boską, babciu, nie *placz!* Kurczę, dostałem tylko dyplom, nie Nobla!”). Studenci, którzy mają nadmiernie kochających rodziców, przyjmują znudzony, rozdrażniony wyraz twarzy - przewracają oczami, ciężko wzdychają, zwłaszcza gdy w zasięgu wzroku czy słuchu jest ktoś znajomy.

Na ostatnich kilku stronach skupiałam się nieproporcjonalnie na obrzędach przejścia wykształconej klasy średniej - roku przerwy, tygodnia adaptacyjnego, ceremonii ukończenia studiów. To dlatego, że nie ma równoważnych ogólnokrajowych oficjalnych rytuałów dla tych, którzy kończą naukę w wieku szesnastu lat - ani nawet dla tych, którzy uczą się dodatkowe dwa lata i opuszczają szkołę w wieku lat osiemnastu. Absolwenci zawsze jakoś tam świętują z kolegami i/lub rodziną, ale nie ma formalnego rytuału, który zaznaczałby ich przejście ze szkoły do etapu stażu, zatrudnienia bądź bezrobocia. Ważnym punktem przełomowym jest jednak pierwsza praca (lub zasiłek dla bezrobotnych), prawdopodobnie nawet o wiele bardziej doniosłym niż zwykle przejście ze szkoły na studia. Niektóre szkoły urządzą specjalne dni z przemówieniami, wręczaniem nagród i tak dalej, ale nie ma prawdziwej uroczystości wręczania dyplomów (a już na pewno nie takiej, jak amerykańska uroczystość ukończenia szkoły średniej, która jest wydarzeniem wielkim, bardziej

podniosłym i wyszukany niż większość angielskich uroczystości ukończenia studiów). Wyniki „małej” i „dużej” matury absolwenci dostają pocztą po kilku miesiącach, więc tak czy inaczej ci, co kończą szkołę, świętowałiby tylko koniec okresu nauki, nie sukces czy osiągnięcia naukowe sugerowane przez słowo „ukończenie szkoły”. A jednak szkoda, że ukończenie szkoły średniej i wejście w dorosłe życie zawodowe nie jest rytualnie zaznaczone w jakiś bardziej istotny sposób.

„Wyjście”

Na początku tego rozdziału zauważyłam, że w schemacie przeciętnego angielskiego ślubu niewiele jest rzeczy, które mogłyby wydać się dziwne czy nieznanne turyście z którejkolwiek innej współczesnej kultury zachodniej: mamy tradycyjne wieczory kawalerskie i panieńskie, mamy ceremonię kościelną lub cywilną, po której następuje przyjęcie, jest szampan, panna młoda w bieli, biały tort weselny, drużba, są drużby (niekoniecznie), toasty, specjalne menu, tańce (nie zawsze), rodzinne napięcia i waśnie (przeważnie) itd. Z punktu widzenia antropologa, angielskie wesele ma też wiele wspólnego nawet z rytuałami weselnymi plemion egzotycznych, które dopiero mogłyby wydać się dziwne większości współczesnych mieszkańców Zachodu. Mimo różnic powierzchownych, wszystkie one zgodne są z zasadniczą formułą obrzędów przejścia van Gennepa - wyłączenie, zawieszenie, włączenie - gdy ludzie zostają ceremonialnie przeniesieni z jednej kategorii socjokulturalnej/cyklu życiowego do następnej.

Anglicy przywiązują o wiele mniejszą wagę do ceremonii zaręczyn niż wiele innych kultur - w niektórych społecznościach ceremonia ta jest czasem wydarzeniem tak samo ważnym jak sam ślub. (Może dla równowagi przejmujemy się o wiele bardziej wieczorem kawalerskim i panieńskim, które często są znacznie dłuższe i na których lepiej się bawimy niż na samym ślubie).

Podręcznik *savoirvivre*'u wydawnictwa *Debrett's* przypomina nam, nieco pesymistycznie, że „ważną funkcją zaręczyn jest pozwolić rodzicom obu stron na przyzwyczajenie się do siebie, i w ten sposób wygładzić jak najwcześniej ewentualne różnice i trudności”. Mówi nam to sporo o angielskim podejściu do ślubów. Wiemy, że ślub jest w założeniu wydarzeniem wesołym, ale w nasz typowy dla Kłapouchego sposób naprawdę uważamy je za udrękę, okazję najeżoną trudnościami i niebezpieczeństwami (lub jak ujmuje to zawsze pogodny *Debrett's*, „pole minowe dla niepewnych swej pozycji społecznej i koszmar logistyczny dla organizatorów”, a na dokładkę, „źródło napięć między krewnymi”). Na pewno zawsze coś się okaże drastyczną klapą, na pewno ktoś się śmiertelnie obrazi - a z powodu naszej wiary w magiczną, pozbawiającą zahamowań moc alkoholu, wiemy, że fasada

serdecznej atmosfery może pęknąć, a z napięć mogą wynikać jakże niestosowne łzy i burzliwe kłótnie. Nawet jeśli w tym dniu ludzie „trzymają twarz”, później na pewno będą narzekać i wzajemnie się obwiniać, a tak czy inaczej, nawet w najlepszym razie, wszyscy spodziewają się, że cały ten rytuał będzie dość żenujący.

Tabu rozmów o pieniądzach

Jeśli przyczyną napięć są pieniądze, jak to się często zdarza - zwłaszcza że wesela same w sobie są zwykle imprezami kosztownymi - zażenowanie wzrasta w dwójnasób. W odróżnieniu od większości innych kultur, upieramy się przy opinii, że miłość i małżeństwo nie mają nic wspólnego z pieniędzmi - i że każda wzmianka o pieniądzach obniżyłaby standard uroczystości. Jest na przykład w zwyczaju, że pan młody wyklada na pierścionek zaręczynowy mniej więcej miesięczną pensję (w Ameryce może to być dwa razy tyle lub nawet więcej, jako że pierścionek zaręczynowy jest uważany za jawny symbol statusu mężczyzny jako żywiciela rodziny), jednakże pytać, ile kosztował pierścionek lub o tym rozmawiać, byłoby nieprzyzwoicie. Mimo to i tak wszyscy starają się zgadnąć lub, pytając o kamienie i oprawę, próbują oszacować wartość pierścionka, ale faktyczną cenę powinien znać tylko pan młody (i może jego bank). Tylko bardzo prymitywny, prostacki pan młody chwaliłby się ceną lub na nią narzekał.

Koszty samego wesela ponoszą tradycyjnie rodzice panny młodej, ale w dzisiejszych czasach, gdy za mąż wychodzi się coraz później, często dokłada się do nich lub wręcz sama je ponosi para młoda, czasem też dziadkowie lub inni krewni. Bez względu jednak na to, kto dołożył więcej, pan młody zazwyczaj w swym toaście uprzejmie dziękuje rodzicom panny młodej za „to wspaniałe przyjęcie” lub podobny eufemizm - słowa „pieniądze” ani „zapłacić” nie są używane. Jeśli rodzice, dziadkowie czy wujek pana młodego zafundowali, dajmy na to, szampana czy podróż poślubną, można im podziękować za „zapewnienie” lub „ofiarowanie” tych rzeczy - użycie słów „zapłacenie” sugerowałoby, że w grę wchodziły pieniądze. Wszyscy świetnie wiemy, że w grę wchodzi pieniądze, ale zwracać na to uwagę byłoby w złym guście. Typowa angielska hipokryzja. Pod uprzejmymi eufemizmami nierzadko skrywa się wiele sprzeczek o finanse, a w niektórych sytuacjach - uraza i gniew z powodu tego, kto za co zapłacił lub jak niepotrzebnie ekstrawagancka była cała impreza. Jeśli nie ma się pieniędzy, nie ma sensu bankrutować tylko po to, by urządzić kosztowne i obfite wesele dla córki: w innych krajach byłoby pod wrażeniem, ale Anglicy tylko uznają to za ostentację i będą się zastanawiać, czemu „po prostu nie zrobiłeś czegoś prostego i bezpretensjonalnego”.

Humor

Abstrahując od trudności finansowych czy tabu rozmów o pieniądzach, w dzisiejszych

czasach mnóstwo napięć bierze się ze skomplikowanych powiązań między członkami obu rodzin, biorących udział w rytuale: przynajmniej jeden zestaw rodziców jest rozwiedziony, posiada nowego współmałżonka lub konkubenta, być może też dzieci z drugiego czy trzeciego związku.

I nawet jeśli nikt nie zrobi z siebie widowiska po pijanemu i nikt nie poczuje się urażony sposobem usadzenia gości, transportem czy toastem drużby, ktoś na pewno zrobi czy powie coś, co wywoła zakłopotanie. Na pierwszym angielskim weselu, na jakim kiedykolwiek byłam, tym kimś byłam ja, choć miałam dopiero pięć lat. Moi rodzice postanowili, że ja i moje siostry powinnyśmy mieć jakąś świadomość tego ważnego obrzędu przejścia, którego miałyśmy być świadkami. Ojciec opowiedział nam więc o powstawaniu więzi uczuciowych między parą ludzi, opisał zwyczaje i praktyki weselne różnych kultur oraz wyjaśnił zawilosci małżeństw zawieranych między kuzynostwem. Mama wzięła na siebie „uświadomienie nas” - seks, skąd się biorą dzieci i tak dalej. Moje siostry, około trzech i czterech lat, były może trochę za małe, żeby się tym prawdziwie zainteresować, ale ja słuchałam z otwartą buzią. Następnego dnia w kościele uznałam ceremonię za równie fascynującą i podczas chwili ciszy (możliwe, że po słowach: „niech wyjawi je teraz lub zamilknie na wieki”) odwróciłam się do mamy i zapytałam głośnym, przenikliwym szeptem: „Czy on teraz zasieje w niej to ziarenko?”.

Po tym przez jakieś parę lat nie zabierano mnie na żadne śluby, co wydaje się trochę nie fair, ponieważ najwyraźniej zrozumiałam zasadnicze punkty i tylko trochę pomieszała mi się chronologia spraw. Kolejnym ślubem, który pamiętam, był drugi ślub mojego ojca, w Ameryce. Miałam osiem czy dziewięć lat - tym razem byłam wystarczająco duża na wykład dotyczący skomplikowanej terminologii pokrewieństw oraz schematów zamieszkiwania po ślubie (u rodziny żony lub męża), z wykresami. To nie powstrzymało mnie przed atakiem chichotu (na szczęście cichego) podczas najbardziej uroczystej części ceremonii. Wtedy było mi wstyd, że zachowałam się tak dziecinnie (ojciec zawsze powtarzał mi, że bym nie zachowywała się dziecinnie), ale teraz uzmysławiam sobie, że mój przymus śmiechu był reakcją bardzo angielską. Uroczysta powaga zawsze wprawia nas w zakłopotanie i uważamy ją za absurdalną; najpoważniejsze, najbardziej oficjalne fragmenty ceremonii często niefortunnie skłaniają nas do śmiechu. Jest to śmiech nerwowy, pełen zażenowania, bliski krewny naszego humoru odruchowego. Humor to nasz ulubiony mechanizm przystosowawczy, a śmiech jest naszym standardowym sposobem radzenia sobie z ułomnością towarzyską.

Angielskie przyjęcia weselne - jak większość pozostałych obrzędów przejścia -

rozbrzmiewają śmiechem; niemal każdy dialog zawiera jawne lub subtelne żarty. Nie oznacza to jednak, że wszyscy świetnie się bawią. Niektórym może być autentycznie wesoło, ale nawet oni przestrzegają po prostu niepisanych angielskich zasad humoru - zasad tak głęboko zakorzenionych, że stały się bezwiednym odruchem.

„Zeńście”

I między innymi dlatego mamy duży problem z pogrzebami. Niewiele obrzędów na świecie jest tak sztywnych, niewygodnych i nieznośnie niezręcznych jak typowy angielski pogrzeb³⁹.

Wiwisekcja humoru

Na pogrzebach pozbawieni jesteśmy naszego głównego społecznego mechanizmu przystosowawczego - nasz tradycyjny poziom humoru i śmiechu uznawany jest za niestosowny na taką oficjalnie smutną okazję. W innych sytuacjach bez przerwy żartujemy na temat śmierci, jak to robimy ze wszystkim, co nas przeraża czy niepokoi, ale pogrzeb jest tą jedyną okazją, gdy humor - a przynajmniej każdy przejaw humoru oprócz tego, który wywołuje gorzki, smutny uśmiech - byłby przejawem braku szacunku i nie na miejscu. Bez niego jesteśmy nadzy, bezbronni, a naszą ułomność towarzyską widać jak na dłoni.

Obserwacja jest fascynująca, ale bolesna, jak eksperyment jakiegoś okrutnego wiwisekjonisty na zwierzętach: Anglicy na pogrzebach są niczym żółwie pozbawione skorupy. Gdy wyłączą się nam odruch humoru, stajemy się strasznie bezbronni, jakby ktoś nam usunął jakiś ważny organ - i właściwie tak jest. Humor jest do tego stopnia zasadniczym, nieodłącznym elementem angielskiej natury, że zakaz (lub surowe ograniczenie) jego użycia jest psychologicznym odpowiednikiem amputowania nam palców u nóg - po prostu nie możemy funkcjonować społecznie bez humoru. Angielskie zasady humoru są „zasadami” głównie w czwartym znaczeniu tego terminu, podawanym przez *Oxford English Dictionary*: „normalny lub zwykły stan rzeczy”. Tak jak posiadanie palców u nóg. Albo oddychanie. Na pogrzebach czujemy się opuszczeni i bezradni. Żadnej ironii! Zero kpiny! Nici z dokuczania i przekomarzania! Żadnych żartobliwych niedomówień! Zero gier słownych czy dwuznacznych aluzji! Jak, do diabła, mamy się porozumiewać?

Zawieszenie tabu powagi. Kontyngent lez

Nie tylko nie wolno nam rozładowywać napięcia, przełamywać lodów i ogólnie na własną rękę leczyć naszej chronicznej ułomności towarzyskiej, robiąc sobie ze wszystkiego żarty, ale w dodatku oczekuje się od nas, że będziemy śmiertelnie *poważni*. Nie dość, że drastycznie ogranicza się humor, to jeszcze zaleca się powagę, normalnie traktowaną jako tabu. Mamy mówić uroczyście, szczerze, płynące z głębi serca rzeczy pogrążonym w żałobie

krewnym zmarłego lub reagować na te rzeczy w uroczysty, szczerzy, z głębi serca płynący sposób, jeśli to my jesteśmy tymi krewnymi.

Ale nie *zanadto* z serca. Ta sytuacja to jedynie częściowe zawieszenie tradycyjnego tabu powagi i sentymentalizmu. Nawet tym z rodziny i znajomych, którym jest autentycznie smutno, nie wolno pozwalać sobie na żadne katharsis łkania i zawodzenia. Łzy są dozwolone; dopuszcza się lekki dyskretny szloch i pociąganie nosem, jednak udręczone wycie z rodzaju tych uważanych za normalne, wręcz oczekiwane, na pogrzebach w wielu innych krajach, tu byłoby uznane za niestosowne i pozbawione godności.

Nawet te społecznie aprobowane ciche łzy i pociąganie nosem stają się żenujące i wprawiają ludzi w zakłopotanie, jeśli trwają za długo; Anglia jest chyba jedynym krajem na świecie, gdzie *kompletny brak łez* na pogrzebie jest całkowicie normalny i akceptowany. Większość dorosłych angielskich mężczyzn nie płacze publicznie na pogrzebach; jeśli wilgotnieją im oczy, zwykle strzepują łezkę niecierpliwym, gniewnym gestem i „biorą się w garść”. Kobiety z rodziny i znajome prędzej uronią kilka łez, jeśli jednak tego nie zrobią, nie będzie im to poczytane za oznakę bezduszości czy brak żalu, pod warunkiem że utrzymają odpowiednio posępny wyraz twarzy, na której tylko od czasu do czasu może się pojawić „mężny uśmiech”.

Szczerze mówiąc, wiele osób uznaje taką powściągliwość za godną podziwu. Wprawdzie niektórych członków rodziny królewskiej krytykowano za ich „nieczułą” reakcję na śmierć Diany, księżnej Walii, nikt jednak nie był zaskoczony, że jej synowie podczas pogrzebu uronili jedynie minimum dyskretnych łez i zachowali opanowanie podczas całego długiego marszu za jej trumną, i właściwie przez prawie całe nabożeństwo żałobne. Podkreślano ich dzielność i godność; ich uśmiechy i mamrotane podziękowania podczas przyjmowania kondolencji, gdy szli wzdłuż tłumu, spotkały się z powszechną aprobatą i w jakiś sposób były o wiele bardziej wzruszające niż nieskrępowany głośny płacz. Anglicy nie mierzą smutku ilością wylanych łez. Zbyt wiele łez uważa się za brak umiaru, trochę nawet za egoizm i postawę nie fair. Uważa się, że pogrążeni w żałobie krewni, którzy na pogrzebie nie płaczą lub płaczą krótko, okazują wielką uprzejmość i wzgląd na innych, nadrabiając miną, by dodać otuchy swoim gościom, i nie domagając się uwagi i pociechy dla siebie. Opiszę to bardziej konkretnie, choć ryzykuję wpadnięcie w tryb liczenia groszków. Z moich obliczeń wynika, że optymalny kontyngent łez na przeciętnym angielskim pogrzebie wygląda następująco:

Dorośli mężczyźni (bliscy krewni lub bardzo bliscy znajomi zmarłego): Kilka łez podczas ceremonii, szorstko otartych. Mężne uśmiechy.

Dorośli mężczyźni (pozostali): Nic. Ale utrzymywanie współczującego wyrazu twarzy. Smutne uśmiechy.

Dorośle kobiety (bliskie krewne lub bardzo bliskie znajome): Parę krótkich szlochów podczas ceremonii, ewentualnie pociąganie nosem; od czasu do czasu wilgotnienie oczu, do których należy przepraszać przykładać chusteczkę, w reakcji na kondolencje. Mężne uśmiechy.

Dorośle kobiety (pozostałe): Bez łez lub jeden raz podczas ceremonii. Utrzymywanie współczującego wyrazu twarzy. Smutne uśmiechy.

Dzieci płci męskiej (bliska rodzina/przyjaciele): Bez ograniczeń, jeśli bardzo małe (powiedzmy, do dziesięciu lat); starsi chłopcy jeden szloch na ceremonię. Mężne uśmiechy.

Dzieci płci męskiej (pozostałe): Patrz: Dorośli mężczyźni (pozostali).

Dzieci płci żeńskiej (bliska rodzina/przyjaciele): Bez ograniczeń, jeśli bardzo małe; starsze dziewczynki mniej więcej dwa razy tyle łez co dorosłe kobiety. Mężne uśmiechy.

Dzieci płci żeńskiej (pozostałe): Nie wymaga się, ale dopuszczalny krótki szloch/pociąganie nosem podczas ceremonii.

Pomijając już autentyczny smutek, jaki możemy odczuwać - zakaz humoru, zawieszenie tabu powagi oraz ograniczony przydział łez powodują, że angielskie pogrzeby to sprawa bardzo nieprzyjemna. Oczekuje się od nas, że wyłączymy odruch humoru, będziemy wyrażać emocje, których nie czujemy, i powstrzymamy większość z tych, które odczuwamy. Do tego wszystkiego Anglicy uważają śmierć za coś krępującego i niewłaściwego, coś, o czym wolimy nie myśleć ani nie rozmawiać. Naszą instynktowną reakcją na śmierć jest rodzaj zaprzeczenia - staramy się ją ignorować i udawać, że jej nie ma, ale na pogrzebie jest to dość trudne.

Nie dziwi więc, że milkniemy, robimy się sztywni i skrepowani. Nie mamy uniwersalnie akceptowanych gotowych zwrotów czy gestów na tę okazję (zwłaszcza w wypadku wyższych klas społecznych, które uważają oklepane słowa pocieszenia za „pospolite”), więc nie wiemy, co mówić i co zrobić z rękami, dlatego mamrocemy: „tak mi przykro”, „to takie smutne” i „cóż mogę powiedzieć” - za czym idą niezręczne uściski lub drewniane poklepywania. Choć większość pogrzebów jest w jakimś sensie „chrześcijańska”, nie jest to równoznaczne z posiadaniem przez uczestników przekonań religijnych, toteż wzmianki o Bogu czy życiu po śmierci są niestosowne, chyba że jesteśmy absolutnie pewni czyjejś wiary. Jeśli zmarły miał ponad osiemdziesiąt lat (no, powiedzmy siedemdziesiąt pięć), możemy wymamrotać coś o tym, że „dobrze przeżył życie” - i podczas stypy możemy sobie pozwolić na trochę subtelny humor - ale w innych wypadkach jesteśmy skazani na smutne

milczące potrząsanie głową i wymowne ciężkie wzdychanie.

Duchowni i inni ludzie wygłaszający oficjalne mowy na pogrzebach mają szczęście: oni mają do dyspozycji utarte zwroty, którymi mogą się posługiwać. Te, którymi opisuje się zmarłą osobę, są rodzajem szyfru. Nie wolno źle mówić o zmarłym, ale każdy wie na przykład, że „był zawsze duszą towarzystwa” to eufemizm sugerujący pijaństwo; „nie cierpiał głupoty” jest uprzejmym sposobem nazwania zmarłego złośliwym, opryskliwym starym draniem; „była niezwykle uczuciowa” może oznaczać, że dawała na lewo i prawo; a „zdeklarowany kawaler”, że był gejem.

„Niekontrolowany publiczny wybuch żalu”

Skoro już jesteśmy przy utartych zwrotach, nasza reakcja na śmierć i pogrzeb księżnej Diany została opisana przez wszystkich dziennikarzy gazet, czasopism, radia i telewizji jako „bezprecedensowy niekontrolowany publiczny wybuch żalu”. Naprawdę wszystkich - było to wręcz niesamowite, że wszyscy używali dokładnie tego samego zwrotu. Pisałam już, że ten rzekomo nieangielski „wybuch” polegał głównie na uporządkowanym, spokojnym i pełnym godności staniu w kolejce, ale „po Dianie” media bardzo się przywiązały do wyrażenia „publiczny wybuch żalu” i od tej pory wyciągają je przy każdej możliwej okazji.

Znacznie bardziej umiarkowana reakcja na śmierć Królowej Matki (również w dużym stopniu polegająca na staniu w kolejkach) została, jak można było przewidzieć, opisana jako „niekontrolowany publiczny wybuch żalu”. Podobnie jeszcze mniej emocjonalna reakcja na śmierć eksbeatlesa George’a Harrisona. Za każdym razem, gdy jakieś dziecko czy nastolatek zostanie zamordowany, czy umiera w jakiś inny wart wzmianki w mediach sposób, i kilkanaście znajomych czy życzliwych osób położy kwiaty przed jego domem, bramą szkoły czy lokalnym kościołem, teraz nazywa się to „publicznym wybuchem żalu”. Prawie każdy, kto zakończy życie publicznie, chyba że z jakiegoś powodu był powszechnie znienawidzony, może teraz oczekiwać co najmniej „publicznego wybuchu żalu”.

Rytuały kalendarzowe i inne przejścia

Rytuały kalendarzowe obejmują wielkie święta, jak Boże Narodzenie i sylwester oraz inne, które mają miejsce co roku o tej samej porze, takie jak Wielkanoc, 1 Maja, dożynki, Halloween i 5 listopada, jak również Dzień Matki, walentynki i różne święta państwowe. Umieszczam w tej kategorii doroczne wakacje letnie, ponieważ są sezonowe, a więc zasadniczo kalendarzowe, choć nie przypadają zawsze w ten sam dzień. (Czepialscy mogą się sprzeczać, że wakacje letnie nie są, ściśle rzecz biorąc, „rytuałem”, a przynajmniej nie w tym samym znaczeniu co Boże Narodzenie czy dożynki, ale uważam, że można je zaliczyć, i później wyjaśnię dlaczego). Także w tej kategorii umieściłabym cotygodniowy rytuał

przejścia z pracy do zabawy - drinki w pubie po pracy, ale już o nim pisałam szczegółowo w rozdziale o pracy.

W kategorii „pozostałe” umieszczam obrzędy przejścia związane z cyklem życiowym, inne niż te główne opisane powyżej: uroczystości związane z przejściem na emeryturę, „ważne” urodziny (wyznaczające dekady życia) i rocznice ślubu (srebrne, złote) oraz rytuały zaznaczające inne zmiany społeczne/miejsca/statusu/stylu życia, jak na przykład parapetówki i imprezy pożegnalne.

Wychodzi nam strasznie dużo rytuałów, z których wiele, jak główne zmiany w cyklu życiowym, są bardzo podobne do swoich odpowiedników w innych współczesnych kulturach zachodnich krajów uprzemysłowionych. Prezenty, przyjęcia, specjalne menu, piosenki i ozdoby na Boże Narodzenie, czekoladowe jajka na Wielkanoc, kartki i kwiaty na walentynki, alkohol przy praktycznie wszystkich uroczystych okazjach, jedzenie przy większości z nich itd. Zamiast próbować opisać każdy rytuał szczegółowo i wyczerpująco, skupię się na szerszych niepisanych zasadach społecznych, regulujących typowo angielskie schematy zachowań kojarzonych z tymi rytuałami.

Ludzie we wszystkich kulturach mają sezonowe i przejściowe rytuały jakiegoś rodzaju. Inne stworzenia po prostu automatycznie rejestrują rzeczy takie jak przemijanie pór roku i odpowiednio dostosowują do nich swoje zachowanie; ludzie muszą robić straszne zamieszanie wokół każdego najmniejszego kalendarzowego znaku przestankowego, że użyję terminologii interpunkcyjnej. Na szczęście dla antropologów ludzie są też dość przewidywalni i przeważnie robią mniej więcej takie same ceregiele z powodu tych samych rzeczy - a przynajmniej uroczystości w różnych kulturach mają zwykle wiele cech wspólnych, jak na przykład śpiewy i tańce. Większości ceremonii towarzyszy też jedzenie, a praktycznie wszystkie wiążą się z alkoholem.

Rola alkoholu

Rola alkoholu podczas uroczystości jest szczególnie ważna dla zrozumienia Anglików i wymaga pewnych wyjaśnień. We wszystkich kulturach, które piją alkohol, jest on centralnym elementem uroczystości. Są po temu dwa główne powody. Po pierwsze, karnawały i festiwale są czymś więcej niż tylko rozrywką; w większości kultur imprezy te zawierają pewien stopień „kulturowej remisji” - skonwencjonalizowanego rozluźnienia społecznej kontroli zachowania. Zachowanie, które normalnie spotkałoby się z dezaprobatą czy nawet było wyraźnie zabronione (np. rozwiązłe flirty, hałaśliwe śpiewy, przebieranie się w stroje przeciwnej płci, wskakiwanie do fontann, rozmawianie z nieznanymi itd.), może, na czas trwania uroczystości, być wręcz zalecane. To są okresy progowe - marginalne,

graniczne przedziały czasowe, oddzielone od codziennej egzystencji, pozwalające nam przez krótki czas zgłębiać alternatywne sposoby bycia. Między progowością a alkoholem istnieje naturalne powinowactwo, polegające na tym, że doświadczenie upojenia alkoholowego odzwierciedla doświadczenie rytualnie wywołanego stanu progowego. Efekt chemiczny alkoholu imituje kulturową chemię uroczystości.

Choć jednak ludzie wydają się mieć głęboko zakorzenioną potrzebę tych odmiennych stanów świadomości, ucieczki od ograniczeń przyziemnej egzystencji, progowość budzi też pewną grozę. Fakt, że dążymy do odmiennych stanów i alternatywnej rzeczywistości wyłącznie w konkretnych, ograniczonych kontekstach sugeruje, że nasze pragnienie wyzwolenia wcale nie jest jednoznaczne - że równowagę je równie silna potrzeba stabilizacji i bezpieczeństwa przyziemnej egzystencji. Fascynuje nas progowe doświadczenie „karnawału”, ale też się go boimy; lubimy odwiedzać alternatywne światy, ale nie chcielibyśmy w nich mieszkać. Alkohol odgrywa podwójną lub „równoważącą” rolę w kontekście uroczystych rytuałów: odmiennie stany świadomości przez niego wywołane pozwalają nam zgłębiać pożądane, acz potencjalnie groźne światy, natomiast społeczna otoczka picia - zasady biesiadnej atmosfery niezmiennie kojarzone z konsumpcją alkoholu - stanowią uspokajającą przeciwwagę. Pijąc, dopuszczamy do siebie i pogłębiajemy doświadczenie progowości, które jest zasadnicze dla uroczystych rytuałów, ale swojskie, codzienne, pokrzepiające, towarzyskie rytuały wspólnego picia, nalewania i kupowania kolejek, czyli zacieśnianie więzi towarzyskich, równoznaczne z piciem, w jakiś sposób pomagają nam ujarzmić lub nawet „udomowić” niepokojące aspekty tego progowego świata.

Czyli, istnieją zasady uniwersalne. Ale są też pewne kulturowe odmiany. Choć uroczystości i alkohol są nierozzerwalnie ze sobą związane we wszystkich społecznościach, które alkohol spożywają, ten związek jest chyba silniejszy w kulturach „ambiwalentnych” (tych, w których stosunek do alkoholu jest moralnie nacechowany, gdzie człowiek potrzebuje powodu do picia, jak w Anglii) niż w „zintegrowanych” kulturach, gdzie picie jest moralnie neutralnym elementem normalnego życia i nie wymaga usprawiedliwienia. Anglicy (razem z mieszkańcami USA, Australii, większości Skandynawii, Islandii itd.) uważają, że do picia muszą mieć *pretekst* - a najpopularniejszym pretekstem jest świętowanie. W „zintegrowanych” pod względem alkoholu krajach (jak Francja, Hiszpania i Włochy) dezaprobata wobec picia jest niewielka lub nie istnieje, i dlatego nie ma potrzeby wynajdowania pretekstów do picia. Świętowanie jest w tych krajach mocno związane z alkoholem, ale nie przywoływane jako uzasadnienie każdej okazji do picia: świętowanie z całą pewnością wymaga alkoholu, ale nie każdy drink wymaga świętowania.

Okazja do świętowania. Wierzenia magiczne

Poza przeprowadzeniem wraz z moimi kolegami z SIRC badań międzykulturowych na temat picia z różnych okazji, kilka lat temu sama dociekałam, jak Anglicy świętują i jaki mają do tego stosunek. Badanie to składało się jak zwykle z obserwacji w terenie, nieformalnych wywiadów oraz ankiety ogólnokrajowej.

Głównym odkryciem był fakt, że Anglicy najwyraźniej są nacją namiętnych imprezowiczów, którzy skorzystają z niemal każdej okazji do okolicznościowego picia. Oprócz ustalonych świąt kalendarzowych, niewiarygodne 87 procent respondentów wymieniało dziwaczne lub banalne wydarzenia, dostarczające pretekstu do imprez, w tym „urodziny mojego pluszowego misia”, „gdy mój kolega połknął ząb”, „jak wąż mojego sąsiada złożył jaja, a myśleliśmy, że to samiec”, „pierwszy piątek tygodnia” i „czternasta rocznica śmierci mojego chomika”.

Poza tymi bardziej dziwaczными pretekstami, ponad 60 procent przyznało, że często dobrego pretekstu do libacji dostarcza coś tak prozaicznego jak „to, że wpadł znajomy”. Więcej niż połowa populacji świętuje „sobotni wieczór”, nieco mniej niż połowa pije tylko dlatego, że „jest piątek”, a blisko 40 procent młodszych respondentów uważa, że słusznym powodem do pijackiej hulanki jest „koniec dnia pracy”.

Nazwanie alkoholowej sesji „świętowaniem” nie tylko usprawiedliwia nasz moralnie ambiwalentny stosunek do alkoholu i dostarcza uzasadnionego pretekstu do picia, ale też samo w sobie daje nam pewne oficjalne pozwolenie na pozbycie się kilku zahamowań. Uroczystości są z definicji epizodami „progowymi”, podczas których pewne tradycyjne ograniczenia społeczne mogą zostać czasowo zawieszane. Dlatego drink, któremu nadaje się etykietkę „z okazji...”, ma nawet większą moc pozbawiania zahamowań niż drink, który jest tylko drinkiem. „Okazja” to słowo magiczne; samo przywołanie tego konceptu przemienia zwykłą kolejkę drinków w „imprezę”, z całym rozluźnieniem społecznej kontroli, które się z tym wiąże. Abrakadabra! Progowość instant!

Ten rodzaj magii funkcjonuje też i w innych krajach - a „podyktować” charakter okazji może sam rodzaj użytego alkoholu, bez magicznych zaklęć. Na przykład niektóre rodzaje alkoholu tak silnie kojarzą się z pewnymi formami kontaktów towarzyskich, że samo ich serwowanie wywołuje pewne oczekiwania, a nawet jest instrukcją konkretnych zachowań. Na przykład w większości krajów zachodnich szampan jest do tego stopnia równoznaczny ze świętowaniem, że jeśli się go zamawia lub podaje przy skądinąd „zwykłej” okazji, ktoś zawsze pyta: „Co oblewamy?”. Szampan skłania do odświętnej, pogodnej beztroski, dlatego nie byłoby stosowne serwować go na pogrzebach. W Austrii przy oficjalnych okazjach pije

się *sekt*, a *schnapps* jest zarezerwowany na spotkania bardziej intymne, biesiadne; rodzaj serwowanego alkoholu określa zarówno charakter wydarzenia, jak i towarzyskie związki między pijącymi. Wybór napoju dyktuje zachowanie do tego stopnia, że samo pojawienie się butelki *schnapps*a na stole może czasem sprowokować przejście z oficjalnej formy zwracania się, *Sie*, do bardziej poufalej, *du*. W Anglii, mimo że nie mamy takich samych rozróżnień lingwistycznych, piwo jest uważane za alkohol bardziej nieoficjalny i swobodny niż wino, a podanie piwa do posiłku oznacza, że oczekujemy zachowania nieoficjalnego, luźnego - nawet mowa ciała gości będzie bardziej swobodna (lekkie przygarbienie zamiast sztywnego wyprostowania, przyjmowanie postaw bardziej otwartych i używanie bardziej wylewnych gestów).

Pod tym względem więc Anglicy nie różnią się zbytnio od innych ludzi, ale nasza wiara w rozluźniającą moc alkoholu i magicznych słów (a zwłaszcza ich potrzeba) jest chyba silniejsza niż w większości innych krajów, ponieważ nasze zahamowania towarzyskie są większe. Nasza ambiwalencja i magiczna wiara w alkohol to cechy definiujące wszystkich angielskich obrzędów przejścia, od najważniejszych zmian cyklu życiowego do najbanalniejszych, naciąganych okazji, jak urodziny pluszowego misia.

Gwiazdka i sylwester

Angielski rok pełen jest ogólnokrajowych świąt kalendarzowych: niektóre są zwykłymi przecinkami, inne ważniejszymi średnikami; Gwiazdka i sylwester to zdecydowane kropki. Większość rytuałów kalendarzowych to dawne święta religijne, często pogańskie, przywłaszczone sobie przez chrześcijaństwo, jednak chrześcijańskość wielu z nich jest w znacznej mierze ignorowana. Paradoksalnie można stwierdzić, że powróciły one do swoich pogańskich korzeni, i można chyba stwierdzić, że dobrze tak chrześcijanom, bo po co sięgali po cudze.

Gwiazdka, czyli Boże Narodzenie, i sylwester są zdecydowanie najważniejsze. Dzień Bożego Narodzenia (25 grudnia) ugruntował się jako rytuał „rodzinny”, sylwester natomiast to o wiele huczniejsze świętowanie z przyjaciółmi. Gdy jednak Anglicy mówią o tych świętach (na przykład: „Jakie masz plany na święta?” albo „Nie znoszę świąt!”), często mają na myśli cały okres świąteczny, od 23-24 grudnia aż do Nowego Roku, w czym tradycyjnie mieszczą się następujące elementy:

Wigilia Bożego Narodzenia (rodzina, zakupy w ostatniej chwili, panika i awantury, światełka na choinkę, alkohol, za dużo orzechów i czekolady, czasem kościół - wieczorny koncert kolęd lub pasterka);

Dzień Bożego Narodzenia (rodzina, choinka, wręczanie prezentów, maraton

gotowania i jedzenie obfitego świątecznego obiadu, orędzie królowej w telewizji lub radiu - lub celowe nieoglądanie/niesłuchanie królowej, drzemka - prawdopodobnie podczas oglądania *Dźwięków muzyki*, *Czarnoksiężnika z krainy Oz* czy czegoś podobnego, więcej jedzenia i picia, niespokojna noc);

Drugi dzień świąt (kac, jakieś „wyjście” rodzinne, choćby nawet do pobliskiego parku, długi spacer za miastem, odwiedzanie krewnych, ucieczka od rodziny do pubu); - 27-30 grudnia (dziwaczny okres „zawieszenia”; niektórzy wracają do pracy, ale są wtedy mało wydajni, inni robią zakupy, chodzą na spacer, próbują zająć czymś dzieci. Dalsze obżeranie się i picie, odwiedzanie rodziny i znajomych, telewizja, filmy na wideo, pub);

Sylwester (znajomi, duże alkoholowe imprezy lub wędrówki po pubach), przebieranki, głośna muzyka, tańce, szampan, walenie w rondle itd. o północy, fajerwerki, śpiewanie *Auld Lang Syne*, noworoczne postanowienia, polowanie na taksówkę lub długi spacer w zimną noc z powrotem do domu);

Nowy Rok (długie spanie, kac).

Okres świąteczny nie u wszystkich wygląda identycznie, ale u większości zawiera kilka z tych rytualnych elementów, i większość Anglików przynajmniej *rozpozna* ten orientacyjny zarys przeciętnej Gwiazdki.

Często termin „święta” nabiera szerszego znaczenia. Gdy ludzie mówią: „Nie cierpię świąt”, lub narzekają, że „święta” stają się z roku na rok większym koszmarem lub udręką, mają na myśli wszystkie przygotowania i okres poprzedzający święta, który zwykle zaczyna się co najmniej miesiąc wcześniej i obejmuje imprezy gwiazdkowe w miejscu pracy, świąteczne zakupy, bajki muzyczne dla dzieci wystawiane na scenie i często, w wypadku rodzin z dziećmi w wieku szkolnym, szkolne „jasełka” lub koncert świąteczny - nie mówiąc już o corocznym rytuale pisania i wysyłania ogromnych ilości kartek świątecznych. Przez słowo „święta” Anglicy rozumieją więc nie tylko obchody świątecznego tygodnia, ale także któreś (lub wszystkie) z wymienionych zwyczajów i uroczystości.

Szkolne jasełka to dla wielu ludzi jedyne wydarzenie o znaczeniu religijnym, w którym biorą udział w okresie Bożego Narodzenia, choć sens religijny często gubi się wśród rytuałów i towarzyskich dramatów tej okazji. Najczęściej chodzi o to, czyje dzieci miały szczęście dostać główne role (Maryja, Józef) i ważniejsze drugoplanowe (Trzej Królowie, Właściciel Gospody, przywódca pasterzy, Anioł Pański), a czyje muszą znieść upokorzenie grania pomniejszych pastuszków, aniołków, owieczek, krówek, osiołków itd. Czasem jakaś szkoła, którą ogarnia nagły atak poprawności politycznej, próbuje zastąpić tradycyjne jasełka czymś bardziej „wielokulturowym” („My tu wszyscy jesteśmy bardzo multikulti” -

powiedział mi azjatycki wychowawca z Yorkshire). Ponieważ jesteśmy w Anglii, sprzeczki i utarczki na temat castingu i innych spraw rzadko prowadzi się otwarcie, są one raczej kwestią zawołanych intryg, makiawelicznych manipulacji i pełnego oburzenia mamrotania pod nosem. W dany wieczór ojcowie zwykle spóźniają się i nagrywają drugą połowę jasełek chwiejną kamerą ciné-mavérité, niestety skupiając się na niewłaściwej owieczce.

Christmas Panto (bajka muzyczna dla dzieci) jest dziwacznym, typowo angielskim zwyczajem. Prawie każdy lokalny teatr w kraju wystawia na Gwiazdkę jakąś baśń lub legendę - na przykład Aladyna, Kopciuszka, Kota w butach, Dicka Whittingtona, Mother Goose itp. - zawsze z mężczyznami w kobiecym przebraniu (znanymi jako Pantomime Dames), grającymi główne role żeńskie, i kobietą grającą główną rolę męską. Tradycja wymaga, żeby widownia dziecięca głośno uczestniczyła w akcji, wydając okrzyki typu: „Stoi za tobą!”, „O, nie!”, „O, tak!” (rytuał, w który często z entuzjazmem włączają się towarzyszący dorośli). Tradycją jest też scenariusz pełen sprośnych aluzji dla dorosłych (z których dzieci zaśmiewają się serdecznie, a potem cierpliwie wyjaśniają je rodzicom).

Maraton narzekania. Postawa Scrooge'a

Świąteczne zakupy to ten element, który ma na myśli wielu Anglików, gdy mówi, że nie znoszą świąt, a zwykle oznacza to kupowanie prezentów gwiazdkowych, jedzenia, kartek, ozdób i innych świątecznych atrybutów. Jako że deklarowanie niechęci do zakupów wszelkiej maści jest uważane za męskie, to właśnie mężczyźni mają szczególne skłonności do narzekania, jak bardzo nie lubią świąt. Jednak narzekanie na Boże Narodzenie stało się czymś w rodzaju narodowego obyczaju i przedstawiciele obu płci zazwyczaj zaczynają narzekać na Gwiazdkę na początku listopada.

Właściwie to istnieje nawet niepisana zasada pod hasłem „Bzdury!” (powiedzenie nienawidzącego Gwiazdki Scrooge'a z *Opowieści wigilijnej* Dickensa), nakazująca antygwiazdkowe narzekanie o tej porze roku. Trudno jest spotkać kogoś, kto skończył osiemnaście lat i kto przyznawałby się do czystej sympatii dla tych świąt. Mimo to wszyscy, którzy nie lubią Gwiazdki, są w jakimś sensie z tego dumni, jakby byli pierwszymi ludźmi na świecie, którzy odkryli, „jak strasznie się to wszystko skomercjalizowało” albo że „co roku zaczynają wcześniej - niedługo, cholera, zacząć bombki sprzedawać w sierpniu”, albo że co roku jest drożej, lub jak niemożliwie zatłoczone są ulice i sklepy.

Narzekający na Boże Narodzenie rokrocznie wyliczają te same frazesy, naiwnie wyobrażając sobie, że są oryginalni i należą do udręczonej, wymagającej mniejszości, natomiast ci dziwacy, którzy *lubią* zakupy gwiazdkowe i wszystkie inne rytuały zazwyczaj milczą na temat swoich niekonwencjonalnych upodobań. Czasem nawet włączają się w

doroczny maraton narzekania, tylko po to, by wydać się uprzejmi i towarzyscy - tak jak ludzie, którzy lubią deszcz, często kurtuazyjnie przyznają, że taka pogoda jest paskudna. Cyniczna postawa Scrooge'a jest normą (zwłaszcza wśród mężczyzn, z których wielu uważa, że w dorosłym mężczyźnie, który przyznaje, że lubi święta, jest coś niemal podejrzanie zniewieściałego), poza tym wszyscy uwielbiają miłe gwiazdkowe narzekanie, po co więc psuć im zabawę? Ci z nas, którzy rzeczywiście lubią Gwiazdkę, nierzadko czują się w obowiązku niemal przeproszać za swoją perwersję: „No tak, mm, szczerze mówiąc, ja właściwie to nawet lubię te wszystkie kretyńskie ozdóbki i szukanie prezentów... Wiem, że to straszny obciach...”.

Nie wszyscy narzekający na Gwiazdkę są bezmyślni i powtarzają „Bzdury!” za całym stadem. Dwie kategorie ludzi nieznoszących świąt, którzy mają uzasadnione powody do narzekania i dla których mam autentyczne współczucie, to rodzice z trudem wiążący koniec z końcem, dla których prezenty dla dzieci są prawdziwym problemem, i pracujące matki, dla których, nawet jeśli nie są biedne, cała ta impreza może naprawdę być bardziej wysiłkiem niż przyjemnością.

Prezenty gwiazdkowe

Prezent, jak powie wam każdy student pierwszego roku antropologii, nigdy nie jest bezinteresowny. We wszystkich kulturach podarki zwykle niosą ze sobą pewne oczekiwanie rewanżu. Nie ma w tym nic złego; wzajemna wymiana prezentów to ważna forma umacniania więzi emocjonalnych. Nawet prezenty dla małych dzieci, od których nie można oczekiwać, że odwdzięczą się w naturze, nie są wyjątkiem od tej uniwersalnej zasady: dzieci otrzymujące prezenty gwiazdkowe mają w zamian okazać radość i być grzeczne. To, że często wcale tak nie robią, jest bez znaczenia - nie obala się zasady tylko dlatego, że ludzie ją łamią. Ciekawe jest, że bardzo małym dzieciom, co do których nie można spodziewać się, że rozumieją tę zasadę, nie dajemy prezentów gwiazdkowych „bezpośrednio”, ale wymyślamy magiczną istotę, Świętego Mikołaja, od którego rzekomo dostają one te prezenty. Traumatyczne odkrycie, że Święty Mikołaj nie istnieje, jest w istocie odkryciem praw wzajemności, faktu, że prezenty gwiazdkowe wiążą się z pewnymi zobowiązaniami.

Angielskie przeczulenie na punkcie pieniędzy może być w tym kontekście problemem, zwłaszcza dla klasy wyższej i wyższej warstwy klasy średniej, które są na tym punkcie bardzo drażliwe. Mówienie o tym, ile kosztował prezent gwiazdkowy, uważane jest za ogromnie prostackie; zdradzenie komuś ceny prezentu lub nawet tego, że był drogi, byłoby grubiaństwem ponad pojęcie. Choć dopuszcza się ogólne, niekonkretne skargi na koszt prezentów, nieustanne przynudzanie na temat finansowych aspektów wymiany podarunków

jest prostackie i nietaktowne, ponieważ wprawia odbiorcę w zakłopotanie.

To, ile się rzeczywiście wydaje na prezenty gwiazdkowe, jest zwykle odwrotnie proporcjonalne do dochodów: ubogie rodziny z klasy robotniczej zwykle obdarowują hojniej, zwłaszcza swoje dzieci, często przy okazji nieźle się zadłużając. Klasy średnie (szczególnie „klasy wścibskie”) świętoszkowato i z dezaprobatą cmokają nad taką rozrzutnością i gratulują sobie własnej gospodarności, wcinając przepłacone ekologiczne warzywka i podziwiając gustowne wiktoriańskie ozdoby na swoim drzewku.

Sylwester. Uporządkowany chaos

Więcej osób przyznaje się do lubienia sylwestra (choć niektórzy z brygady Scrooge'ów co roku narzekają na to samo - na nudę i powtarzalność rytuału). Jest to uroczystość bardziej zwyczajna - ze wszystkimi standardowymi elementami progowymi: remisją kulturową, usankcjonowaną dewiacją, uroczystą inwersją, odmiennymi stanami świadomości, *communitas* itd. - i w bardziej ewidentny sposób wywodzi się bezpośrednio od pogańskich świąt zimowych, nieskażonych chrześcijańską ingerencją w symbolikę czy ugrzecznieniem rytuałów.

Podobnie jak w wypadkach tygodnia adaptacyjnego, imprez gwiazdkowych w biurze i większości innych angielskich rytuałów świątecznych, skala faktycznego zepsucia i anarchii jest zazwyczaj bardzo zawyżana, zarówno przez psujących zabawę purytanów, którzy nie aprobują takich uroczystości, jak i przez tych uczestników, którzy chcieliby widzieć się jako szalonych, imprezowych buntowników. W rzeczywistości nasze pijackie sylwestrowe rozpasanie jest całkiem uporządkowanym chaosem, w którym łamie się tylko pewne specyficzne tabu i pozbywa się tylko tradycyjnie określonych zahamowań. Mamy tu do czynienia ze standardowymi zasadami angielskiej etykiety pijackiej, jak wypinanie gołego tyłka, lecz niepokazywanie genitaliów; bójki, ale nie wpychanie się do kolejki; dowcipy sprośne, ale nie rasistowskie; „zakazane” flirtowanie i, w niektórych kręgach, obściskiwanie, ale nie cudzołóstwo; swoboda erotyczna, ale nie przygody homoseksualne, jeśli jesteś „heterykiem”, ani chwile heteroseksualnego zapomnienia, jeśli jesteś gejem; wymiotowanie i (mężczyźni) sikanie na ulicy, ale nigdy wypróżnianie się; i tak dalej.

Pomniejsze punkty kalendarzowe - przecinki i średniki

A ponieważ za *najbardziej* rozpasany i pozbawiony zahamowań z naszych kalendarzowych rytuałów uważa się sylwestra, pozostałe (Halloween, Guy Fawkes' Night, Wielkanoc, 1 Maja, walentynki itd.) są zwykle całkiem spokojne - choć wszystkie wywodzą się z o wiele bardziej niesfornych obrzędów pogańskich.

Nasz 1 Maja, ze swymi statecznymi tancerzami *morris dance* (zwykle w średnim

wieku) i od czasu do czasu gaikiem dziecięcym, jest odrodzeniem dawnych pogańskich rytuałów staroceltyckiego festynu majowego. W niektórych regionach kraju grupy hulaków z kontrkultur lub New Age z dredami, koralikami i ciałem przekłutym w wielu miejscach świętują 1 Maja razem z tancerzami *morris dance* i przedstawicielami straży sąsiedzkiej i rady parafialnej - jest to zestaw osobliwy, acz ogólnie przyjazny. Halloween - przebieranki i słodycze - wywodzi się z wigilii Dnia Zadusznego, święta łączności ze zmarłymi, również pochodzenia pogańskiego, obchodzonego w różny sposób w wielu krajach na świecie.

Zwyczaj rozpalania ognisk i palenia kukieł na początku listopada jest kolejnym zwyczajem pogańskim - popularnym podczas „świąt ognia” witających zimę (kukły reprezentują stary rok) - zaadaptowanym w XVII wieku dla upamiętnienia wykrycia spisku Guya Fawkesa, który miał na celu wysadzenie w powietrze brytyjskiego parlamentu. Jest wciąż także znany jako Bonfire Night i Fireworks Night⁴⁰ i teraz świętuje się go, urządzając pokazy fajerwerków przez co najmniej dwa tygodnie, nie tylko 5 listopada. Dzień św. Walentego - kartki, kwiatki, czekoladki - to ugrzeczniona wersja chrześcijańska starożytnego rzymskiego święta Lupercalia, początkowo obchodzonego 15 lutego, które było o wiele bardziej nieprzyzwoitą celebracją „nadejścia wiosny” (innymi słowy, początku sezonu godowego), i miało zapewnić płodność ziemi, zwierzętom i ludziom.

Wielu ludzi sądzi, że Wielkanoc to jedno z nielicznych autentycznie chrześcijańskich świąt kalendarzowych, ale w języku angielskim nawet jego nazwa (Easter) nie jest chrześcijańska, bo pochodzi od Eostre, anglosaskiej bogini wiosny; wiele naszych wielkanocnych zwyczajów - jajka i tak dalej - opiera się na pogańskich obrzędach płodności. Niektórzy zwykle niepraktykujący chrześcijaństwo idą w niedzielę wielkanocną na nabożeństwo do kościoła, a nawet niektórzy kompletnie niereligijni ludzie „wyrzekają się” czegoś na okres tradycyjnego Wielkiego Postu (to popularny czas, żeby zacząć na nowo dietę, postanowienie noworoczne, które jakoś tak dziwnie traci impet około trzeciego tygodnia stycznia).

Jeśli chodzi o „interpunkcję” w kalendarzu, najwięcej jest tam przecinków. Wielkanoc może uchodzić za średnik, ponieważ jest dniem wolnym od pracy oraz używa się jej jako punktu odniesienia - mówi się o zrobieniu czegoś „przed Wielkanocą” lub „po Wielkanocy”, albo że coś się zdarzy/ło „około Wielkanocy”. Dzień św. Walentego także można uznać od biedy za średnik (choć nie jest wolny od pracy), ponieważ odgrywa znaczącą rolę w naszych zwyczajach związanych z zalotami i godami (na tyle znaczącą w każdym razie, że powoduje duży wzrost liczby samobójstw).

Oprócz tych ogólnokrajowych świąt kalendarzowych „głównego nurtu” każda angielska mniejszość etniczna i religijna ma swoje własne znaki interpunkcyjne:

hinduistyczne Divali i Janamashtami, sikhijskie Divali i Vaisakhi, muzułmański ramadan, EidUlFitr i AlHijra, żydowskie Chanuka, Jom Kippur i Rosz Haszana, by wymienić tylko kilka tych, które przychodzą na myśl od razu. Także każda angielska subkultura ma swoje własne święta kalendarzowe - swoje własne coroczne plemienne zgromadzenia i obchody. Wśród nich plasują się: „sezon” klasy wyższej, którego głównymi wydarzeniami są wyścigi w Ascot, regaty w Henley i turniej tenisowy Wimbledon (zawsze skracane do „Ascot, Henley, Wimbledon”). Bractwo wyścigowe oprócz Ascot ma gonitwę Grand National, festiwal w Cheltenham i derby; goci mają swój doroczny zjazd w Whitby w Yorkshire; wyznawcy New Age, inne grupy kontrkulturowe i młodzi miłośnicy muzyki - festiwal w Glastonbury; współcześni druidzi - uroczystość przesilenia letniego w Stonehenge; bibliofile - HayonWye; dla amatorów opery jest Glyndebourne i Garsington, dla miłośników psów - Crufts; dla rowerzystów - BMFShow w Peterborough, dla koniarzy - Badminton, Hickstead i pokaz Koń Roku; i tak dalej. Tych kalendarzowych imprez subkulturowych są tysiące, nie sposób wymienić wszystkich, ale dla ich zwolenników każda może być o wiele ważniejsza niż Boże Narodzenie. A i tak przecież wymieniałam tylko ich „Boże Narodzenia” - każda subkultura ma też swoje własne pomniejsze wydarzenia kalendarzowe, swoje własne średniki i przecinki.

Jednak nawet te drobne znaki przestankowe są konieczne: potrzebujemy tych specjalnych dni, tych miniświąt, żeby dały nam chwilę oddechu od codziennej rutyny i nadały strukturę naszemu rokowi - tak jak pory posiłków regulują nasz dzień. Chodzi mi o „nas, ludzi”, oczywiście, nie tylko „nas, Anglików”, ale my, Anglicy, mamy chyba szczególną potrzebę regularnego odrywania się od naszej sztywnej kontroli społecznej.

Wakacje...

To zagadnienie łączy się z tematem wakacji, a zwłaszcza wakacji letnich. Włączam je do „rytuałów kalendarzowych” (choć ktoś może argumentować, że z formalnego punktu widzenia nie podpadają one pod żaden z nich), ponieważ jest to corocznie powtarzające się wydarzenie o znaczeniu kulturowym, większym chyba niż Boże Narodzenie - dlatego w mojej książce jest wydarzeniem kalendarzowym - oraz rytuał „progowy”, zgodny pod ważnymi względami ze schematem ustalonym przez van Gennepa dla obrzędów przejścia, co w mojej książce czyni go „rytuałem”. (A ponieważ to *jest* moja książka, mogę sobie nazywać rzeczy kalendarzowymi, jeśli mi się tak podoba).

W kategorii znaków interpunkcyjnych (metafory także mogę naciągać, jak chcę) wakacje letnie są znakiem opuszczenia fragmentu tekstu (...), trzema kropkami oznaczającymi upływ czasu, coś niewypowiedzianego, znaczącą pauzę lub przerwę w toku narracji, często z sugestią tajemnicy. Zawsze miałam wrażenie, że w tym wielokropku jest coś zdecydowanie

progowego. Bo w wakacjach letnich - z całą pewnością: ta dwulub trzytygodniowa przerwa to czas poza systematyczną, przyziemną egzystencją, specjalny okres, gdy tradycyjne ograniczenia, rutynowe czynności i kontrola są zawieszane i mamy poczucie wyzwolenia od codziennego świata. Jesteśmy wolni od naglących wymogów pracy, szkoły, obowiązków domowych - to czas odpoczynku, czas „wolny”, czas, który należy do nas. Na urlopie, jak mówimy, jesteś panem swojego czasu.

Wakacje letnie to rzeczywistość alternatywna: jeśli możemy, jedziemy do innego kraju; ubieramy się inaczej; jemy inne rzeczy niż na co dzień i jemy ich więcej („Śmiało, zjedz jeszcze jednego loda, jesteś na wakacjach!”), i inaczej się zachowujemy. Anglicy na wakacjach są bardziej rozluźnieni, bardziej towarzyscy, spontaniczni, mniej skrupowani i spięci. (W badaniu ogólnokrajowym przeprowadzonym przez moich kolegów z SIRC „większa towarzyskość” była jedną z trzech najpopularniejszych odpowiedzi na pytanie, co się najbardziej kojarzy z latem, natomiast dwie pozostałe to „ogródki piwne” i „grille”, w których zasadniczo też chodzi o towarzyskość). Mówimy o wakacjach jako o czasie, gdy człowiek może się „zrelaksować”, „zabawić”, „rozładować”, „odprężyć”, „trochę poszaleć”. Możemy wtedy nawet rozmawiać z nieznanymi! A Anglicy rzadko kiedy przekraczają tę granicę.

Angielskie wakacje - zwłaszcza letnie - rządzą się tymi samymi zasadami kulturowej remisji co oficjalne święta i uroczystości. Podobnie jak „uroczystość”, „wakacje” to słowo magiczne. Jednak podobnie jak w wypadku świąt, kulturowa remisja nie oznacza nieokiełznanej, anarchicznej wolnoamerykanki, gdzie wszystkie chwytaki są dozwolone, ale raczej coś w rodzaju kontrolowanego rozpasania, selektywnej spontaniczności, w której określonych zahamowań pozbywamy się w nakazany, konwencjonalny sposób.

Anglicy na wakacjach nie przestają nagle czy całkowicie być Anglikami. Nie znikają nasze cechy definiujące; naszym zachowaniem wciąż sterują wrodzone zasady humoru, hipokryzji, skromności, świadomości klasowej, fair play, ułomności towarzyskiej itd. Trochę jednak zmniejszamy czujność. Kulturowa remisja zasad wakacyjnych nie leczy nas z ułomności towarzyskiej, tylko objawy są do pewnego stopnia „w remisji”.

Oczywiście nie stajemy się nagle w cudowny sposób bardziej towarzysko *sprawni*, ale robimy się bardziej towarzysko *usposobieni* - bardziej otwarci, mniej sztywni. To nie zawsze jest dobre, nie zawsze też stanowi miły dla oka widok, co mogą potwierdzić mieszkańcy niektórych z naszych ulubionych kurortów zagranicznych. Szczerze mówiąc, niektórzy z nas są o wiele miłsi, *nie* pozbywając się zahamowań razem ze spodniami, biustonoszami, zawartością żołądków oraz godnością. Jak bez przerwy przypominam, nasza słynna uprzejma

rezerwa i nasze niemal równie słynne paskudne chamskie zachowanie są dwoma stronami tego samego medalu: dla niektórych z nas magiczne słowo „wakacje” ma niefortunną tendencję do odwracania tego medalu.

Zasady progowe wakacji dotyczą także mniej ważnych świąt kalendarzowych, jak święta państwowe - a nawet zwykłych weekendów. (Na przykład niektórzy członkowie dalekich od głównego nurtu plemion subkulturowych mogą być w stanie przyjąć swój „alternatywny” strój, styl życia i osobowość tylko w tym progowym czasie wolnym. Bardziej oddani sprawie, lub po prostu mający więcej szczęścia, pełnoetatowi członkowie tych plemion mówią o „póletatowcach” z pewnym lekceważeniem, na przykład: „weekendowi goci” lub „weekendowi rowerzyści”). Wieczór i pora lunchu to także są miniremisje, a nawet przerwy na kawę czy herbatę mogą być... (co jest jeszcze mniejsze?) mikroremisjami, małymi oazami czasu wolnego, maleńkimi, nieledwie homeopatycznymi dawkami terapeutycznej progowości.

Po wakacjach mówimy o „powrocie do rzeczywistości” lub „do świata realnego”, a czas wolny służy między innymi temu, by ten „świat realny” ujrzeć wyraźniej. Wakacje i miniremisje nie podważają ani nie obalają norm i zasad, które na czas ich trwania bywają zawieszane; wprost przeciwnie, wakacje podkreślają i umacniają te zasady. Nazywając czas urlopu czymś „innym”, „specjalnym” i „nierealnym”, przypominamy sobie, co jest „normalne” i „realne”. Łamiąc zasady w świadomy, uregulowany sposób, rzucając ważne zasady na wyraziste tło i obiecujemy, że posłusznie wrócimy do nich w „realnym” czasie. Co roku angielscy wczasowicze, wzdychając ciężko na myśl o „powrocie do rzeczywistości”, pocieszają się nawzajem tymi mądrymi słowami: „Ale oczywiście, gdyby tak było zawsze, nie docenialibyśmy tego”. No właśnie. Prawdą jest jednak także coś odwrotnego: wakacje pomagają nam docenić strukturę i pewniki - a nawet ograniczenia - naszego „normalnego” życia i jego rutyny. Doza progowości, jaką potrafią przyjąć Anglicy, jest ograniczona. Pod koniec wakacji letnich mamy już dość pobłażania sobie i swego rodzaju „nadmiaru”. Tęsknimy za pewną dozą umiarkowania.

Inne przejścia - rytuały prywatne i czasowniki nieregularne

Urodziny i okrągłe rocznice ślubu, parapetówki, imprezy z okazji odejścia z pracy i przejścia na emeryturę to na ogół mniejsze i bardziej nieformalne wydarzenia niż wcześniej opisane wielkie przejścia cyklu życiowego, choć niektóre mogą być dla zainteresowanych nie mniej ważne.

Jako że owe przejścia zwykle są świętowane prywatnie, wśród najbliższej rodziny i przyjaciół, stanowią one, ogólnie rzecz biorąc, mniejsze wyzwanie towarzyskie, a więc są

mniej niezręczne i sztywne niż duże obrzędy cyklu życiowego, jak śluby i pogrzeby. Prywatnie, wśród ludzi, których znamy bardzo dobrze, jesteśmy całkiem zdolni do ciepła, otwartości, poufałości i całej gamy ludzkich emocji kojarzonych z przyjaźnią i więziami rodzinnymi. Niektórzy z nas są bardziej ciepli i otwarci niż inni, ale to kwestia indywidualnych różnic osobowościowych, i ma niewiele lub zgoła nic wspólnego z charakterem *narodowym*.

Uroczystości odchodzenia na emeryturę i imprezy z okazji odejścia z pracy są wyjątkiem, ponieważ często nie wszyscy uczestnicy są bliskimi znajomymi osoby, która odchodzi z pracy. Takie imprezy najczęściej więc charakteryzują się typowymi cechami angielskości, jak ułomność towarzyska, łagodzona humorem i alkoholem, uprzejmy egalitaryzm, maskujący obsesje na punkcie klasy, skromne, autoironiczne toasty, pełne zawołanych przechwałek, rytuały narzekania, żartobliwa prezentacja podarunków, pijacka swoboda, niezręczne potrząsanie dłoni, niezdarne poklepywanie po plecach i niezgrabne uściski.

Czysto prywatne obrzędy przejścia - urodziny, rocznice, parapetówki i emerytury, świętowane tylko z wybranymi przyjaciółmi i rodziną - są o wiele mniej przewidywalne. Na pewno zobaczymy tam zwyczaje typowe (tort, baloniki, śpiewanie, specjalne menu, drinki, toasty), ale ich interpretacja i zachowanie uczestników będą znacznie zróżnicowane, nie tylko zależnie od wieku i klasy, jak można się spodziewać, ale także od usposobienia poszczególnych osób, ich osobistych dziwactw i doświadczeń życiowych, unikalnych nastrojów i motywacji - tego rodzaju rzeczy, które tak naprawdę są bardziej domeną psychologów klinicznych i psychiatrów niż nas, badaczy z dziedziny nauk społecznych.

Wszystko to można także do pewnego stopnia odnieść do bardziej oficjalnych, mniej prywatnych obrzędów przejścia - wszyscy przy tych okazjach jesteśmy ludźmi, nie robotami zachowującymi się, jak nam nakazuje charakter narodowy. Nie chcąc odmawiać nikomu z nas indywidualności, upieram się jednak, że nasze zachowanie podczas tych większych, mniej intymnych spotkań jest, ogólnie biorąc, przewidywalne i odpowiada bardziej konsekwentnie głównym „gramatycznym” zasadom naszej kultury.

Nie chodzi o to, że nasze mniej przewidywalne zachowanie podczas uroczystości prywatnych jest w jakiś sposób „niegramatyczne”. Takie imprezy są trochę jak czasowniki nieregularne; mają swoje własne reguły, które pozwalają na ciepło, spontaniczność i otwartość w o wiele większym stopniu, niż zazwyczaj sobie na to pozwalamy. Podczas tych prywatnych obrzędów nie „łamamy reguł”. Prywatnie, wśród ludzi, których znamy i którym ufamy, zasady angielskości szczególnie pozwalają nam zachowywać się o wiele bardziej jak

normalne istoty ludzkie.

Klasa

Zamiast jednak skończyć tym wzruszającym, optymistycznym akcentem, napiszę teraz coś o klasie. Znowu. No chyba nie sądziliście, że przejdziemy przez cały rozdział, rzucając zaledwie kilka przelotnych uwag o systemie klasowym?

Teraz już sami potrafilibyście napisać ten podrozdział. No, śmiało: jakie są główne różnice między pogrzebem kogoś z klasy robotniczej a kogoś z klasy średniej? Albo wskaźniki ślubu średniej warstwy klasy średniej kontra wyższa warstwa klasy średniej? Omówić temat ze specjalnym uwzględnieniem wskaźników klasowych kultury materialnej, tekstylnej oraz sygnałów przeczulenia na punkcie klasy. No, dobrze, ja to zrobię - ale nie oczekujcie wielkich niespodzianek: widzicie z tego, co Jane Austen nazwała „zdradziecką szczupłością kartek”¹, że już prawie kończymy, i jeśli do tej pory nie uchwyciliśmy angielskich wskaźników klasowych i niepokojów, nigdy już nam się to nie uda.

Jak można się spodziewać, u Anglików nie ma czegoś takiego jak bezklasowy obrzęd przejścia. Każdy szczegół ślubu, Bożego Narodzenia, parapetówki czy pogrzebu, od słownictwa i stroju gości po liczbę groszków na ich widelcu, jest zdeterminowany, przynajmniej do pewnego stopnia, ich klasą społeczną.

Rytuały klasy robotniczej

Ogólna zasada jest taka, że klasa robotnicza świętuje z największym przepychem (jeśli chodzi o wydatki w stosunku do dochodów). Na przykład ślub osób z klasy robotniczej będzie niemal zawsze dużą imprezą, z daniami serwowanymi do stołu w restauracji, „salą reprezentacyjną” w pubie lub hotelu, wielkim fantazyjnym samochodem, wiozącym pannę młodą do kościoła, pełnym kompletem druhen w obcisłych, kusych sukienkach „pod kolor”, wielkim trzypiętrowym tortem, gośćmi w olśniewających, nowiuteńkich ubraniach i dobranych kolorystycznie dodatkach. Będzie specjalny fotograf od ślubów *plus* profesjonalna firma wideo specjalizująca się w weselach, wielkie, głośne przyjęcie wieczorne z tańcami i morzem alkoholu, podróż poślubna do ciepłych krajów. Bez liczenia się z kosztami. „Dla naszej księżniczki - wszystko co najlepsze”.

Pogrzeby klasy robotniczej (ogromne, kunsztowne wieńce, najdroższa trumna), ich Gwiazdki (drogie prezenty, obfitość jedzenia i picia), urodziny dzieci (najnowocześniejsze zabawki, kosztowne kostiumy drużyn piłkarskich, najlepsze markowe sportowe buty) i inne rytuały odbywają się mniej więcej według takich samych zasad. Nawet jeśli ma się kłopoty finansowe, ważne jest, by *sprawiać wrażenie*, że wydało się sporo pieniędzy i „nie poskaپیło grosza”. Ulubionym sposobem, by to osiągnąć, jest wycieczka na jeden dzień do Calais, żeby

kupić duże ilości taniego alkoholu (znana pod nazwą *booze cruise*).

Rytuały niższej i średniej warstwy klasy średniej

Mniejsza skala i więcej rozsądku. Wracając do ślubów: rodzice z niższej i średniej warstwy klasy średniej raczej pomogą młodej parze spłacić pierwszą ratę kredytu na dom, niż nieodpowiedzialnie „przepuszczą wszystko na duże wesele”. Ciągłe widać tu jednak troskę, żeby wszystko odbyło się „jak należy” i „gustownie” (to dla tych ludzi pisane są podręczniki *savoirvivre*'u) oraz spory stres i niepokój z powodu krewnych, którzy mogą zaniżyć poziom czy skompromitować nas, upijając się i „robiąc z siebie widowisko”.

Jeśli ideałem dla klasy robotniczej jest olśniewające wesele gwiazdorskie, jak np. Davida i Victorii Beckhamów, punktem odniesienia niższej i średniej warstwy klasy średniej jest ślub królewski - żadnych sztuczek, motywów przewodnich, wszystko „tradycyjne”, każdy detal wykwinny i wymuszenie elegancki. Owe drobnomieszczańskie (czy też naśladowujące mieszczańskie) śluby to bardzo wyszukane, starannie zaaranżowane imprezy. Serwetki (*serviettes*) pasują kolorem do kwiatów, które „harmonizują” z kartkami z nazwiskami gości przy stole, które z kolei „podejmują” kolor pastelowego kostiumu matki panny młodej. Ale nikt nie zauważa całej tej dbałości o szczegóły, póki nie zwróci mu się na to uwagi. Menu jest bezpieczne i bez wyrazu, a spis potraw przypomina styl hotelowy, gdzie tłuczone kartofle nazywa się „musem ziemniaczanym”. Porcje nie są aż tak obfite, jak te na weselu klasy robotniczej, choć ładniej się prezentują, przybrane zieloną pietruszką i rzodkiewkami powycinanymi w kwiatki. „Lepsze wina” wychodzą nazbyt szybko, bo zaniżono kalkulację liczby kieliszków na głowę, jednak drużbie i tak udaje się upić i złamać obietnicę, że jego toast będzie przyzwoity. Panna młoda czuje się strasznie zażenowana, jej matka jest wściekła. Żadna z nich nie robi jednak wstydu winowajcy, bo nie chcą psuć dnia niestosowną awanturą, ale syczą z oburzeniem do siebie nawzajem i do niektórych ciotek, zaciskają usta i przez resztę wieczoru traktują drużbę z zimną dezaprobatą.

Rytuały wyższej warstwy klasy średniej

Mniej zaangażowania i przesady - przynajmniej wśród tych, którzy czują się pewnie, jeśli chodzi o ich status klasowy. Nawet w przypadku osób, którym bardzo zależy, ślub wyższej warstwy klasy średniej ma na celu osiągnięcie atmosfery *niewymuszonej* elegancji, całkiem inaczej niż w wypadku średniej warstwy klasy średniej, która pragnie, byśmy *zauważyli*, ile starań i troski włożono w przygotowania. Podobnie jak makijaż „naturalny”, swobodna, prosta elegancja wyższej warstwy klasy średniej może wymagać sporo zaangażowania, wysiłku i kosztów.

Wyższa warstwa klasy średniej z kompleksami, zwłaszcza miejska i wykształcona,

troszczy się nie tyle o to, żeby robić wszystko „jak należy”, co o to, żeby było *inaczej*. Zdecydowani za wszelką cenę, żeby odróżnić się i zdystansować od średniej warstwy klasy średniej, ogromnie się starają, żeby nie tylko uniknąć pretensjonalnego przeładowania, ale żeby uciec od wszystkiego, co „tradycyjne”. Nie mogą mieć „tego samego konwencjonalnego marsza weselnego” czy „tych samych starych nudnych psalmów”, co średnia warstwa klasy średniej, hołdująca stylowi pseudoTudor, czy, Boże broń, mieszkańcy domkówbliźniaków z krainy Pardonii. Na wejście panny młodej wybierają mało znaną muzykę, której nikt nie rozpoznaje, gdy więc panna młoda zaczyna kroczyć wzdłuż kościoła, wszyscy ciągle jeszcze gadają - i mało znane, trudne psalmy, których nikt nie potrafi śpiewać. Ta sama zasada często obejmuje zestaw dań, „innych” i wymyślnych, które bywają niesmaczne i nie zawsze wiadomo, jak je jeść, i ubrania, często w najnowszym, awangardowym, dziwacznym stylu, które zarówno nosi się, jak i ogląda, bez przyjemności.

Starsze „pary młode” - a warstwa wyższa klasy średniej często pobiera się dość późno - nierzadko wybierają ślub w urzędzie (zazwyczaj w błędnym przekonaniu, że do ceremonii w kościele konieczna jest wiara w Boga) lub nawet „alternatywną” ceremonię świecką, podczas której składają sobie przysięgę, którą sami napisali. Co dziwne, zasadnicza treść tych przysięg jest nieraz taka sama jak tradycyjnych przysięg kościelnych, tylko bardziej rozwlekła i mniej zgrabna.

Rytuały klasy wyższej

Śluby klasy wyższej są z reguły bardziej tradycyjne, choć nie w ten wyuczony z podręczników tradycyjny sposób niższej i średniej warstwy klasy średniej. Klasy wyższe nawykłe są do wielkich przyjęć: bale charytatywne, bale po polowaniu, wielkie prywatne przyjęcia i duże wydarzenia sezonu są normalną częścią ich życia towarzyskiego - nie podniecają się więc ślubami i innymi obrzędami przejścia jak reszta z nas. Ślub klasy wyższej jest często sprawą umiarkowaną i prostą. Oni nie rzucają się, by kupować nowe stroje, bo mają dość stosownych ubrań. Każdy mężczyzna posiada własny strój oficjalny dzienny (frak, spodnie w prążki i cylinder), a jeśli chodzi o kobiety, Ascot może wymagać czegoś odrobinę specjalnego, ale „Chodzi się na tyle ślubów - nie można przecież oczekiwać, że bez przerwy będziemy się przebierać” - jak mi kiedyś powiedziała pewna bardzo wielka dama.

Kwaśne winogrona

Jeśli członkowie wyższej warstwy klasy średniej lub klasy wyższej nie mogą sobie pozwolić na wystawny ślub (względnie pogrzeb, Boże Narodzenie, urodziny czy rocznicę), często postępują w myśl zasady „kwaśnych winogron”, tłumacząc, że „nie chcą urządzać wielkiej, krzykliwej imprezy, tylko zwyczajne niewielkie przyjęcie rodzinne z kilkoma

bliskimi przyjaciółmi”, zamiast zadłużać się w banku jak klasa robotnicza czy uszczuplać niechętnie oszczędności, jak niższa i średnia warstwa klasy średniej. Na angielskiej zasadzie skromności i związanej z nią niechęci do manifestacji bogactwa wyższe warstwy społeczeństwa, które są bez grosza, wychodzą całkiem nieźle: wszystko, na co ich nie stać, mogą odrzucić jako „krzykliwe” lub „wulgarne”. Duże, olśniewające śluby są uważane za zdecydowanie *naff*, jak dobitnie przypomina nam Jane Austen, opisując ślub swojej heroiny z klasy wyższej, Emmy Woodhouse, jako niewielki i cichy, w którym „strony nie gustują w strojach i paradzie”^m, i obdarza okropną, pretensjonalną, nadętą panią Elton nędznym gustem, typowym dla klasy średniej, gdy narzeka ona, że w uroczystościach było „tak mało białego atlasu, tak mało koronkowych welonów, pożał się Boże!”ⁿ.

Niższa i średnia warstwa klasy średniej może z dobrym skutkiem wykorzystywać tę samą zasadę skromności, nazywając ekstrawaganckie uroczystości, których po cichu zazdroszczą, „marnotrawstwem” i „głupotą” i wyrażając się z pogardą o ludziach, którzy mają „więcej pieniędzy niż zdrowego rozsądku”. „Szacowna” wyższa warstwa klasy robotniczej też czasem wygłasza tę kwestię: podkreśla ona ich rozsądek i poczucie przyzwoitości i brzmi bardziej w stylu klasy średniej niż wypowiedzi pospolitej klasy robotniczej, wyrażające pogardliwe lekceważenie dla „nadętych”, „popisowych” przyjęć. „Ona oczywiście musiała mieć wielką elegancką imprezę w hotelu” - powiedziała jedna z moich informaterek, mając na myśli srebrne wesele swojej sąsiadki. „Pub (ich lokalny, gdzie odbywała się nasza rozmowa) nie był dla *niej* zbyt dobry. Nadęta krowa”.

Obrzędy przejścia a angielskość

Gdy zgłębiałam zasady w tym rozdziale, próbując odkryć, co każda z nich mówi nam o angielskości, i bazgrałam swoje uwagi na marginesach, uderzyło mnie, jak często łapałam się na pisaniu słowa „umiary”. Ta cecha przewija się w całej książce, ale w rozdziale skupiającym się szczególnie na naszych świętach i uroczystościach, obchodach, imprezach i przyjęciach, jej przewaga może być trochę zaskakująca. A może nie? Przecież rozmawiamy o Anglikach. Przez „umiary” rozumiem nie tylko angielskie unikanie ekstremów, nadmiaru i intensywności, ale także potrzebę poczucia równowagi. Nasza potrzeba umiaru jest ściśle związana z naszą troską o fair play. Nasza tendencja do kompromisu, na przykład, jest produktem zarówno fair play, jak i umiaru, tak samo jak wiele innych angielskich cech, jak apatia, brak konkretów i konserwatyzm.

Nasza łagodnie obojętna, neutralna i tolerancyjna postawa wobec religii jest produktem umiaru + fair play, ze szczyptą kurtuazji, kroplą humoru, może odrobiną empiryzmu. (Ojej, w połowie zdania zeszałam z równania na przepis. Nie wróży to najlepiej

finałowemu wykresowi).

Inne główne motywy wyłaniające się z tego rozdziału były w dużym stopniu do przewidzenia, ale teraz widzimy jeszcze wyraźniej, ile z tych niepisanych zasad rządzących naszym zachowaniem polega na połączeniu dwóch lub więcej cech definiujących. Na przykład zasady krytycznych rozmów o dzieciach są wyraźnie produktem skromności i hipokryzji (które wydają się iść często w parze - rzadko można spotkać skromność bez elementu hipokryzji) z dużym dodatkiem humoru.

Zasada niewidocznego dojrzewania płciowego jest bardziej bezpośrednim przykładem angielskiej ułomności towarzyskiej. Nastolatki w okresie dojrzewania są przeważnie w ostrej fazie tej choroby (wywołanej lub zaostrzonej szalejącymi hormonami). Nasza niechęć, jako społeczeństwa, by zareagować na początek okresu dojrzewania jest formą „zaprzeczania” - zachowaniem strusim, które samo w sobie odzwierciedla nasze własne towarzyskie kalectwo. Ułomność tę można do pewnego stopnia łagodzić rytuałami, ale naszym dojrzewającym nastolatkom odmawia się oficjalnych obrzędów przejścia, wymyślają więc własne. (Próba roku przerwy jest rytualnym remedium, w formie stosownych obrzędów inicjacyjnych, ale raczej późno i tylko dla uprzywilejowanej mniejszości).

Zasady tygodnia adaptacyjnego łączą ułomność towarzyską - łagodzoną zarówno rytuałem, jak i alkoholem - i ten typowo angielski rodzaj „uporządkowanego chaosu”, odzwierciedlenie naszej potrzeby umiaru. Zasady egzaminów i uroczystości zakończenia studiów łączą skromność z (jak zwykle) równą ilością hipokryzji, z dodatkiem dużej dozy malkontenctwa Kłapouchego, przyprawionego humorem i szczyptą umiaru.

Nasze rytuały godowe zdają się wywoływać serię objawów ułomności towarzyskiej. Tabu rozmów o pieniądzech to ułomność towarzyska + skromność + hipokryzja, w różnych odmianach klasowych. Na ślubach znowu okazuje się, że symptomy ułomności towarzyskiej można skutecznie łagodzić humorem, a bolesny „eksperyment naturalny” w postaci pogrzebów pokazuje nam, jak ostre mogą stać się objawy ułomności bez tych lekarstw, oraz podkreśla ponownie nasze zamiłowanie do umiaru. Kontyngent łez opiera się na kombinacji umiaru, uprzejmości i fair play.

Potrzeba „okazji” do świętowania i związane z nią magiczne wierzenia są kolejnym przykładem ułomności towarzyskiej, leczonej alkoholem i rytuałami. Gwiazdkowy maraton narzekania i postawa Scrooge’a łączą styl Kłapouchego z uprzejmością i hipokryzją. Zasady prezentów gwiazdkowych zawierają znów uprzejmość i hipokryzję. W zasadzie uporządkowanego chaosu sylwestra znowu chodzi o umiar i spokrewnione z nim fair play, podobnie jak znane nam już próby kontrolowania objawów ułomności towarzyskiej za

pomocą alkoholu i rytuałów, także widoczne w większości mniej ważnych świąt kalendarzowych. Wakacje - to te same cechy w jeszcze większym nasileniu oraz podkreślenie naszej potrzeby ograniczenia nadmiaru i ekstrawagancji, czyli potrzeby umiaru.

W zasadach klasowych rządzących obrzędami przejścia chodzi oczywiście o świadomość klasową, ale zawierają one też tradycyjną bliską krewną tej cechy, hipokryzję - a zwłaszcza tę specjalną angielską mieszankę skromności i hipokryzji, ujawniającą się we wszystkich klasach społecznych w równym stopniu.

Prywatne, intymne obrzędy przejścia reprezentują jedną z naszych bardzo niewielu autentycznych ucieczek od destrukcyjnej ułomności towarzyskiej. (Drugą główną ucieczką jest seks, także sprawa prywatna). Nasza fanatyczna obsesja na punkcie prywatności może być objawem ułomności towarzyskiej, ale prywatność cenimy też dlatego, że przynosi nam pewną ulgę w tej dolegliwości. W domu, wśród bliskiej rodziny, znajomych i kochanków, potrafimy być ciepłi i spontaniczni, i naprawdę całkiem ludzcy. To jest ta nasza strona, której wielu turystów odwiedzających nasz kraj nigdy nie widzi lub łapie jej rzadkie przejawy w przelocie. Żeby to zobaczyć, trzeba czekać jak na rozmnożenie pandy wielkiej - cierpliwie.

Tę obserwację potwierdzają ostatnie statystyki. We Francji, Włoszech i Niemczech ponad połowa domów zbudowanych w latach 90. to były bloki mieszkalne, w Anglii tylko 15%. Blisko 70% Anglików jest właścicielami domów, w których mieszkają (to o wiele więcej niż średnia europejska).[4]

Jeśli ktoś lubi liczby: rokrocznie na majsterkowanie wydajemy osiem i pół miliarda funtów.[4]

Jeśli mi nie wierzycie, następnym razem, gdy będziecie podróżować pociągiem przez Anglię, wyglądajcie pilnie przez okno: założę się, że prawie wszystkie ogródki na tyłach domów, które zobaczycie, będą wariacjami na temat tej „formuły”. Pewna znajoma Amerykanka anglofilka niechętnie przyznała rację mojej teorii, gdy próbowała przeprowadzić ten eksperyment.[4]

Chociaż angielska pasja ogrodowa teraz wydaje się przyjmować w innych krajach europejskich. W tej chwili jest popularna zwłaszcza w Niemczech, gdzie jak słyszałam, dobrze się sprzedają przekłady angielskich książek o ogrodnictwie.[4]

Dla uzależnionych od statystyk: w ostatnim spisie powszechnym ponad 60% populacji przyznało, że w ciągu ostatnich czterech tygodni przed datą spisu zajmowało się ogródkiem.[4]

Przywołuje tu (choć o tym nie wspomina) nastrój edwardiańskiej rymowanki: „Niemiec mieszka w Niemczech / Szwed jest ze Sztokholmu / Turek mieszka w Turcji /

Anglik mieszka w domu”.[4]

To nie jest tak nieprawdopodobne, jak może się wydawać: krowy na torach są dość częstym problemem w naszym kraju, i większość stałych pasażerów pociągów słyszała na pewno podobny komunikat przynajmniej raz w życiu.[4]

Jeśli jesteś kobietą, samotni mężczyźni mogą pomyśleć, że ich podrywasz. Są więc bardziej skłonni złamać zasadę zaprzeczania i porozmawiać z tobą, ale potem może być trudno wyplątać się z tej konwersacji. Nawet postawa „oficjalny wywiad” może zostać błędnie zinterpretowana, zwykle więc unikałam rozmawiania z samotnymi mężczyznami, chyba że a) byłam otoczona innymi pasażerami i b) wysiadałam na następnej stacji /przystanku.[4]

Jeśli chcielibyście spróbować sami, odkryłam, że najlepszą metodą było udawanie, że szukam czegoś w torbie na ramieniu; ze spuszczoną głową, gdy włosy spadały mi na oczy, mogłam obserwować swój „cel” i obliczyć trasę, żeby osiągnąć względnie delikatne zderzenie, stwarzając jednocześnie pozory, że jestem autentycznie pochłonięta grzebaniem w torbie.[4]

Potem opowiedziano mi o międzykulturowym badaniu pieszych, które wykazało, że Japończycy naprawdę o wiele zręczniejsi niż inne narody unikają wpadania na siebie w zatłoczonych miejscach publicznych - więc to nie była tylko moja imaginacja.[4]

Przykład z mondeo może już być nieaktualny w momencie, gdy będziecie to czytać, ale zawsze znajdzie się jakiś odpowiednik - samochód pracownika umysłowego niższego stopnia z przedmieścia, może ford czy vauxhall, więc podstawcie sobie tę nową markę.[4]

Albo nawet, wśród bardzo pewnych swojej pozycji społecznej - aprobata; znam jedną kobietę bezspornie z wyższej warstwy klasy średniej, która jeździ fordem mondeo. Mówi, że kupiła go właśnie z powodu skojarzeń z ludźmi handlu: „Jeśli wielkie firmy kupują go dla swoich agentów handlowych, musi to być wiarygodny samochód, który wiele zniesie” - mówi. Jednak taka pewność siebie i godna podziwu pogarda dla opinii innych, jest dość rzadka.[4]

Wyjątkiem są bardzo bogaci członkowie klasy wyższej, za których samochód odpowiedzialna jest służba, i których samochody w związku z tym są pucowane jak te wyższej warstwy klasy robotniczej.[4]

Zauważyłam, że polityczna lewica zwykle uważa, że zawsze byliśmy wstrętni i nieprzyjemni (podając za przykłady kolonializm, wiktoriańską hipokryzję itd., itp.), natomiast prawica popiera tendencję „schodzenia na psy”, nawiązując do wcześniejszych czasów (zwykle do lat 30., 40. czy 50. XX wieku), gdy jeszcze mieliśmy maniery, szacunek, godność,

paszporty w twardych niebieskich okładkach itd.[4]

Słone, ciemnobrązowe smarowidło, wytwarzane z drożdżowych produktów ubocznych, powstałych w procesie warzenia piwa.[4]

Dla tych, którzy nie znają dialektu yorkshirskiego: *Owt?* znaczy „Coś?” a *Nowt* - „Nic”. [4]

Chociaż właściwie zawsze się zastanawiałam: skąd wiadomo, że nie ma dwóch jednakowych płatków śniegu? Czy ktoś je wszystkie *sprawdził?*[4]

Nie jest to regułą; w wielu krajach, zwłaszcza tych o zdrowszym, „zintegrowanym” podejściu do picia, alkohol jest w równym stopniu używany po to, żeby zaznaczyć przejście od domu/zabawy do pracy. Na przykład we Francji i Hiszpanii pracujący mężczyźni często zatrzymują się w barze czy kawiarni po drodze do pracy na „wzmacniający” kieliszek wina, calvadosu czy brandy.[4]

Ale może jestem zbyt surowa. Jeremy Paxman uważa, że te miliony, które odwiedzają zabytkowe domy i ogrody, wyrażają, między innymi, „głębokie” poczucie historii. Nie jestem o tym przekonana; jesteśmy chronicznie nostalgiczni, owszem, ale to nie to samo. A jednak, trochę to niepokojące, że okazuję się bardziej cyniczna od Paxmana.[4]

Niektórzy Anglicy z klasy średniej, głównie nastolatki, są skrycie uzależnieni od *EastEnders*, ale bardzo niewielu ogląda *Coronation Street*. [4]

Zdaję sobie sprawę, że istnieje różnica między empiryzmem i realizmem jako doktrynami filozoficznymi (utrzymującymi, że wszelka wiedza wywodzi się z doświadczenia zmysłowego i że materia istnieje niezależnie od naszej percepcji) a szerszym, bardziej potocznym znaczeniem, jakie ja tutaj sugeruję, ale upierałabym się, że istnieje silne powiązanie między naszymi oficjalnymi tradycjami filozoficznymi a nieoficjalnymi codziennymi postawami i mentalnością, również tymi, które rządzą naszym gustem co do telenowel.[4]

Dziękuję Simonowi Nye, autorowi *Men Behaving Badly*, i Paulowi Dornanowi, który był zaangażowany w „tłumaczenie” serialu na rynek amerykański, za te obserwacje i inne przydatne uwagi na temat natury angielskiej komedii.[4]

Inne narody mogą oglądać i nawet mogą im się podobać niektóre z naszych sitcomów (o ile wiem, *Butterflies* ma zwolenników w Stanach), a i my na pewno oglądamy z przyjemnością wiele z ich sitcomów (np. *Przyjaciół*, *Frazier*, *Zdrowko*), ale interesuje mnie, co angielska komedia telewizyjna, komedia, którą my produkujemy, mówi nam o angielskości.[4]

Będę miała więcej do powiedzenia o angielskich poglądach na temat alkoholu i etykiety zachowania po pijanemu dalej w tym samym rozdziale.[↵]

Mały napad skrupulatności właśnie sprowokował mnie do zejścia do naszego własnego kibelka, żeby sprawdzić aktualny stan lektury. Znalazłam broszurowe wydanie listów Jane Austen i sponiewierany egzemplarz dodatku literackiego „Timesa”. O rany. Można to uznać za pretensjonalność. Pewnie nic to nie pomoże, jeśli powiem, że obie pozycje są wspaniale złośliwe i niesamowicie śmiesznie. Może nie powinnam tak pochopnie rzucać oszczerstw na kibelkowe biblioteczki innych ludzi. Może niektórzy rzeczywiście lubią czytać w kiblu Habermasa i Derridę. Odszczekuję.[↵]

Podobno czytamy więcej gazet niż jakikolwiek inny naród oprócz - niespodzianka - Japończyków. Co *jest* w tych małych, przeludnionych wysepkach?[↵]

Daniel Miller czyni tę uwagę w swoim doskonałym opracowaniu na temat ludzi robiących zakupy w północnym Londynie - zaintrygowała mnie ona i później „wypróbowałam” ją na wiele półnaukowych sposobów w mojej własnej pracy w terenie.[↵]

Kolejna obserwacja Daniela Millera, znów „przetestowana” i z powodzeniem powielona w mojej pracy w terenie.[↵]

Żeby nie być posądzoną o raczej nieangielski brak poczucia humoru i zbytnią powagę, powinnam dodać, że wstąpiłam także do żartobliwej organizacji pod nazwą SAVE, co oznaczało Students Against Virtually Everything (Studenci Przeciwko Praktycznie Wszystkiemu).[↵]

Prawie wszystkie będą już prawdopodobnie nieaktualne w chwili, gdy będziecie to czytać - niektóre są już, zgodnie z obecnym żargonem, „całkiem z zeszłego tygodnia” czy nawet „całkiem sprzed trzech minut” (same te wyrażenia świadczą o tym, jak szybko zmieniają się mody muzyczne).[↵]

Cytaty pochodzą z magazynów „Muzik” i „MixMag”. Obecne subkultury oparte na muzyce mają słabość do uroczo nieortograficznie pisanych słów, gdzie się da wstawiają literę „k”, np. w Kamaflage, Nukleuz, oldskool, Muzik, itp. „Oldskool” oznacza gatunek muzyki sprzed lat 1993/1994, przeważnie house. „Parkietowcy” to ludzie na parkiecie, tacy, którzy lubią tańczyć. „Jajogłowi” - tu: klubowicze niemodnie ubrani, wykazujący zainteresowanie wiedzą, którzy zamiast tańczyć w rytm muzyki, gromadzą encyklopedyczne informacje na temat każdego jej aspektu i potem przy różnych okazjach nas nią zanudzają. „Bpm” oznacza *beats per minute* (liczbę uderzeń na minutę). Reszta pozostaje nieco tajemnicza.[↵]

W każdym razie ta zasada dotyczy mody punk oraz aktualnej mody czarnoskórych Amerykanów, *gangsta* i hiphop, ale stosunkowo duża liczba gotów pochodzi z klasy średniej,

tak jak niegdyś większość grungersów, istnieją więc wyjątki.[4]

Przepraszam tych, którzy są zbyt młodzi, by pamiętać Shirley Williams w czasach jej świetności, ale nie mogłam znaleźć trafnego współczesnego odpowiednika, jako że wszystkie panie związane z polityką ubierają się teraz w stylu niższej lub średniej warstwy klasy średniej - w każdym razie ja nie widziałam jeszcze żadnej, która wykazywałaby równie wysokiej klasy rodzaj zaniedbania co Williams.[4]

B.L. de Muralt w *Lettres sur les Anglais*. [4]

Niektórzy komentatorzy nie mogą się nadziwić, że angielscy mężczyźni mimo to zdołali stworzyć niektóre z najwspanialszych wierszy miłosnych na świecie. Nie widzę sprzeczności: wspaniała poezja miłosna powstaje zwykle, gdy obiekt uczuć znajduje się w bezpiecznej odległości; poza tym świadczy bardziej o miłości do słów niż do kobiet, a miłości Anglików do słów nikt nigdy nie kwestionował.[4]

Mam nadzieję, że jest jasne, iż czyniąc te drobne zastrzeżenia, bynajmniej nie chcę okazać Jeremy'emu Paxmanowi braku szacunku. Wprost przeciwnie: to dlatego, że jego książka jest tak dobra, warto z nią polemizować.[4]

Nawiasem mówiąc, tylko 56% wierzy w ankiety.[4]

Victor Turner zdefiniował później „obrzędy przejścia” tak, że wyłączył z definicji rytuały kalendarzowe, skupiając się tylko na przejściach, w których jednostka ulega przemianie społecznej, ale ponieważ to van Gennep wymyślił ten termin, uważam, że powinien mieć prawo decydować, co on oznacza, stąd ja używam jego raczej szerszej definicji.[4]

Rozumiem przez to przeciętny anglikański pogrzeb - taki, jaki ma większość ludzi i na jakim choć raz była większość angielskich czytelników. Zdaję sobie sprawę, że jest wiele innych rodzajów pochówków, ale nie ma tu miejsca, żeby opisać wszystkie zwyczaje pogrzebowe mniejszości religijnych, które i tak nie mogłyby zostać opisane jako typowo angielskie.[4]

Mamy zwyczaj nazywania świąt ze względu na główne symbole z nimi związane, a nie ze względu na wydarzenie, które mają upamiętniać - na przykład Dzień Pamięci jest lepiej znany jako Dzień Maków, od czerwonych papierowych maków, które nosimy, aby uhonorować poległych. Organizatorzy akcji Comic Relief mieli na tyle zdrowego rozsądku, że uprzedzili nas i nazwali dzień, w którym odbywa się ogólnokrajowa akcja związana z kwestą na cele charytatywne, Dniem Czerwonego Nosa, od czerwonych plastikowych nosów, do kupna i noszenia których jesteśmy zachęceni - zamiast próbować go nazywać Comic

Relief Day.[↵]

Wnioski końcowe

Definiujemy angielskość

Początkowo planowałam odkryć „cechy definiujące angielskość” na podstawie bacznej obserwacji prawidłowości w angielskim zachowaniu. Doszukiwałam się konkretnych ukrytych zasad rządzących schematami zachowań, a potem próbowałam zrozumieć, co mówią te zasady na temat naszego charakteru narodowego. Zastosowałam, jak przypuszczam, coś w rodzaju półnaukowej procedury. No, przynajmniej systematycznej. Ale we *Wstępie* nadrabiałam miną, bo nie miałam pojęcia, czy to się sprawdzi, ponieważ takie podejście do zrozumienia narodowego charakteru nie było wypróbowane wcześniej.

Wygląda na to, że się sprawdziło. A może mówiąc to, wykazuję zbytnią arogancję. Chodzi mi o to, że podejście to na pewno *mi* dało lepsze zrozumienie „gramatyki” („mentalności”, „etosu”, „*gemeingeist*”, „genomu kulturowego”, czy jakkolwiek zechcecie to nazwać) angielskości. Teraz, gdy jestem świadkiem jakiegoś dziwaczego czy niedorzecznego angielskiego zachowania (w chwili gdy to piszę, jesteśmy w środku sezonu przyjęć gwiazdkowych), mogę sobie powiedzieć, na przykład: „Ach, tak: typowy przypadek ułomności towarzyskiej, leczonej alkoholem i uroczystą progowością + humor + umiar”. (Zazwyczaj nie mówię tego na głos, bo ludzie pomyśleliby, że zwariowałam).

Ale w moim projekcie na temat angielskości nie chodziło o to, żebym ja się skrycie poczuła wszechwiedząca i zadowolona z siebie. Chciałam, żeby wyniki mogły się przydać także i innym. Jak wiecie, starałam się rozwiązywać problemy po drodze, rozdział po rozdziale, dlatego moja książka jest trochę jak jeden z tych sprawdzianów z matematyki, gdzie nauczyciel każe nie tylko podać końcowy wynik, ale też udowodnić, jak się do niego doszło. Czyli jeśli uważacie, że mój wynik końcowy (odpowiedź na pytanie „co to jest angielskość?”) jest błędny, w każdym razie możecie dokładnie prześledzić proces rozumowania i stwierdzić, gdzie popełniłam błędy. Oznacza to również, że w tym momencie wiecie przynajmniej tyle co ja na temat cech definiujących angielskość, które staraliśmy się rozpoznać. Nie mam nic, co mogłabym wyciągnąć z rękawa na wielki finał. Gdybyście chcieli, sami moglibyście napisać ten rozdział końcowy.

Lista

Ale obiecałam dostarczyć w najgorszym razie pełną listę naszych cech definiujących, a w najlepszym - jakiś model, wykres czy przepis, pokazujący, jak są względem siebie ułożone. Zacznijmy zatem od Listy. Podczas „dochodzenia do wyniku końcowego” wyrobiłam sobie pewnego rodzaju skrótową metodę mówienia o tych cechach, używając

jednego dwóch słów dla każdej z nich („ułomność towarzyska”, „umiar”, „styl Kłapouchego” itd.), nie rozwijając za każdym razem szczegółowo całego znaczenia, a wręcz często poszerzając, poprawiając i doskonaląc moje definicje tych terminów w świetle nowych dowodów. Uwielbiam wymyślać nowe słowa i bawić się istniejącymi, zdaję sobie jednak sprawę, że istnieje ryzyko, że stworzymy tu sobie tyle wewnętrznego mętnego żargonu, że mogłaby powstać cała nowa bezsensowna dyscyplina (anglologia czy coś równie niedorzecznego), z własną niezrozumiałą gwarą. Aby tego uniknąć i aby oszczędzić wam kłopotu cofania się, żeby sprawdzić, co dokładnie rozumiem przez „empiryzm” czy „fair play”, tym razem spróbuję podać wyczerpujące definicje każdej z cech definiujących. Jest ich dziesięć: główny „rdzeń”, a potem trzy grupki „odrostów”, które nazwałam sobie następująco: odruchy, poglądy i wartości.

Rdzeń: ułomność towarzyska

Podstawa angielskości. Ułomność towarzyska to skrótowy termin dla wszystkich naszych chronicznych towarzyskich zahamowań i ułomności. Angielska ułomność towarzyska jest zaburzeniem wrodzonym, graniczącym z czymś w rodzaju podklinicznej kombinacji autyzmu i agorafobii (politycznie poprawnym terminem byłoby „upośledzenie społeczne”). To nasz brak swobody, dyskomfort i niekompetencja na polu (minowym) kontaktów towarzyskich; nasze skrupowanie, wycofanie, niezręczność, pokrętna niejasność, emocjonalne zatwardzenie, lęk przed intymnością i ogólna niemożność kontaktowania się w normalny i szczerzy sposób z innymi istotami ludzkimi. Gdy czujemy się niezręcznie w sytuacjach towarzyskich (czyli prawie zawsze), stajemy się albo uprzedzająco grzeczni, sztywni i niezgrabnie powściągliwi, albo też hałaśliwi, chamscy, prostacy, agresywni i ogólnie paskudni. Symptomami tej ułomności są zarówno nasza sławna „angielska rezerwa”, jak i niesławne „angielskie chuligaństwo”, podobnie jak obsesja na punkcie prywatności. Niektórzy z nas są dotknięci tą dolegliwością w większym stopniu niż inni. Ową ułomność można łagodzić (można osiągnąć okresową remisję przy użyciu protez i podpórek - gier, pubów, klubów, cyberprzestrzeni, zwierząt, rozmów o pogodzie itd. - i/lub rytuałów, alkoholu, magicznych słów i innych leków; okresy „naturalnej” remisji przeżywamy także prywatnie i wśród bliskich przyjaciół), ale nigdy nie da się jej całkiem wyleczyć. Większość osobliwości angielskiego zachowania można przypisać tej niefortunnej przypadłości. Jej hasła kluczowe to między innymi: „Dom Anglika jest jego twierdzą”; „Ładny dzień, prawda?”; „Ej, co się gapisz?”; „Pilnuj swego nosa”; „Nie chcę się wtrącać, ale...”; „Nie rób zamieszania/scen”; „Nie zwracać na siebie uwagi”; „Nie zadawać się z nikim”; „Anglia pany!”.

Odruchy

Nasze głęboko zakorzenione impulsy. Nasze automatyczne, podświadome sposoby postępowania. Nasze „odruchy kolanowe”. Nasze „ustawienia domyślne”. Kulturowe odpowiedniki prawa ciężenia.

Humor

Chyba najważniejszy z naszych trzech podstawowych odruchów. Humor jest naszym najskuteczniejszym nieodłącznym antidotum na ułomność towarzyską. Gdy Bóg (czy Coś Innego) pokarał nas Angielską Ułomnością Towarzyską, złagodził cios, obdarzając nas przy tym Angielskim Poczuciem Humoru. Anglicy nie mają globalnego monopolu na humor, ale charakterystyczna jest sama wszechobecność i nadzwyczajne znaczenie humoru w angielskim życiu codziennym i kulturze. W innych krajach na humor jest „czas i miejsce”; dla Anglików jest to pewnik, aksjomat - humorem podsyte jest *wszystko*. Wszelkie angielskie konwersacje i kontakty towarzyskie zawierają przynajmniej pewną dozę przekomarzania, droczenia się, ironii, inteligentnego dowcipu, kpiny, gry słów, satyry, niedomówienia, żartobliwej autoironii, sarkazmu czy po prostu wygłupów. Humor to nie specjalny, odrębny rodzaj rozmów - to nasz „standardowy tryb działania, ustawienie domyślne”, jest jak oddychanie, nie możemy bez niego funkcjonować. Angielski humor działa jak odruch kolanowy, zwłaszcza gdy czujemy się skrępowani: gdy nie wiesz, co robić, obróć to w żart. Tabu przesadnej powagi jest głęboko zakorzenione w angielskiej psychice. Naszą reakcją na nadmierną powagę jest typowo angielska mieszanka kanapowego cynizmu, ironicznego dystansu, niesmaku wobec sentymentalizmu, konsekwentne niedawanie się nabrać na wzniosłą retorykę i psotna rozkosz przy przekłuwaniu balonów pompatyczności i zarozumiałstwa. (Angielskiego humoru *nie należy* mylić z dobrym nastrojem czy pogodą ducha - często jest wprost przeciwnie; my mamy satyrę zamiast rewolucji i powstań). Kluczowe hasło to: „Daj spokój!” (nasz slogan narodowy, razem z „Typowe!”). Pozostałych nie sposób wyliczyć - angielski humor zawiera się w *kontekście*, np. niedomówieniach: „Nieźle” (czyli wyjątkowo świetnie); „Drobny kłopot” (coś okropnego, trauma); „To nie było zbyt miłe” (czytaj: było niesamowicie okrutne); „Może jeszcze chwilę tu zabawię” (znaczy - „Niedługo umrę” - choć, jak się tak zastanowić, to ostatnie chyba nie było w zamierzeniu śmieszne).

Umiar

Kolejny głęboko utrwalony, podświadomy odruch, czy też „tryb domyślny”. Używam terminu „umiary” jako skrótu oznaczającego zespół cech pokrewnych. Nasze unikanie wszelkich ekstremów, nadmiaru i intensywności. Obawa przed zmianami. Lęk przed *zamieszaniem*. Dezaprobata dla dogadzania sobie i potrzeba ograniczania go. Ostrożność i

skupienie się na domowym zaciszu i poczuciu bezpieczeństwa. Ambiwalencja, apatia, brak konkretów, przeciętność, nieangażowanie się i konserwatyzm - i do pewnego stopnia tolerancja, która zwykle jest przynajmniej częściowo kwestią łagodnej obojętności. Umiarkowana pracowitość i umiarkowany hedonizm (zasada „pracuj z umiarem, baw się z umiarem”, według której żyjemy, a nie „pracuj ciężko, baw się ostro”, którą lubimy cytować). Skłonność do porządku i szczególny rodzaj „uporządkowanego chaosu”. Tendencja do kompromisu. Najzwyklejsza zwyczajność. Z pewnymi godnymi uwagi wyjątkami, nawet nasze rzekome dziwactwa są przeważnie „zbiorowe” i konformistyczne. Wszystko robimy z umiarem oprócz samego umiaru, który doprowadzamy do groteskowych ekstremów. Angielska „dzisiejsza młodzież” nie tylko nie jest lekkomyślna i szalona, ale wręcz bardziej umiarkowana, ostrożna i konwencjonalna niż pokolenie jej rodziców. (Tylko około 14 procent Anglików nie cierpi na ten „nadmiar umiaru”; na tych rzadkich ryzykantach musimy polegać, jeśli chodzi o przyszłą innowację i postęp). Kluczowe hasła: „Nie rób zamieszania”; „Nie przeginaj”; „Tylko bez przesady”; „Dla świętego spokoju”; „Co mnie to obchodzi”; „Wszystko można, acz z ostrożnością”; „Zdrow i cały”; „Proszę o spokój!”; „Filiżanka pysznej herbatki”; „Gdyby tak było przez cały czas, nie docenialibyśmy tego”; „Byle nie przedobrzyć”; „Wystarczy tego dobrego”; „Złoty środek”; „Czego żądamy? STOPNIOWYCH ZMIAN! Kiedy? W ODPOWIEDNIM CZASIE!”.

Hipokryzja

Kolejny podświadomy „tryb domyślny”. Jeden ze stereotypów, który usiłowałam rozłożyć na części pierwsze. Anglicy słusznie słyną ze swojej hipokryzji. To wszechobecna cecha, podstępnie zarażająca prawie całe nasze zachowanie - a nawet „ideały”, które cenimy najbardziej, takie jak skromność, uprzejmość i fair play. Ale pod specjalnym mikroskopem, którego użyłam do tego projektu, angielska hipokryzja objawiła się jako coś trochę mniej odpychającego, niż kiedy się ją oglądało gołym okiem. Zależy, jak się na nią patrzy. Można by powiedzieć, że nasza uprzejmość jest najczęściej przepojona hipokryzją, ale też że nasza hipokryzja jest najczęściej rodzajem uprzejmości - skrywaniem prawdziwych opinii i uczuć, aby nikogo nie urazić ani nie wprowadzić w zakłopotanie. Angielska hipokryzja wydaje się bardziej kwestią nieświadomego zbiorowego samooszukiwania - cichego spisku, żeby oszukiwać samych siebie - niż celową, cyniczną, wyrachowaną próbą oszukiwania innych. (Najlepszym przykładem jest tu chyba nasz „uprzejmy egalitaryzm” - zawiała farsa kurtuazyjnej skromności i poczucia fair play, ciężki przypadek tego, co psychoterapeuta nazwałby „zaprzeczaniem” naszej dotkliwej świadomości klasowej). Hipokryzja przychodzi nam łatwo nie dlatego, że jesteśmy z natury nikiemni i perfidni (w każdym razie nie bardziej

niż inne nacje), ale ponieważ nasza ułomność towarzyska skłania nas w naturalny sposób do ostrożności, oględności, raczej uprzejmej pretensjonalności niż szczerzej asertywności, niemówienia tego, co myślimy, niemyślenia tego, co mówimy. Hipokryzja ujawnia także nasze zalety. Nie jesteśmy bardziej skromni, uprzejmi czy sprawiedliwi z *natury* niż jakaś inna nacja, ale mamy więcej niepisanych zasad, zalecających *okazywanie* tych cech, które najwyraźniej są dla nas bardzo ważne. Kluczowe hasła: zbyt wiele by wymieniać - angielskie rozmowy obfitują w uprzejme eufemizmy i inne maski, oszustwa i zaprzeczenia - przeciętnie przynajmniej co drugie „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam”, „miło”, „wspaniale” (plus uśmiechy, skinienia głową itd.) jest pełne hipokryzji.

Poglądy

Nasz światopogląd. Sposób postrzegania spraw, ich porządkowania i rozumienia. Nasza socjokulturalna „kosmologia”.

Empiryzm

Najważniejszy z tej grupki „poglądów”. Empiryzm to kolejny skrót myślowy, w który pakuję całą kolekcję angielskich postaw. Ściśle mówiąc, empiryzm jest doktryną filozoficzną, utrzymującą, że wszelka wiedza bierze się z doświadczenia zmysłowego, a pokrewnego jej terminu „realizm” należałoby z formalnego punktu widzenia używać tylko w znaczeniu doktryny, która głosi, że materia istnieje niezależnie od naszej jej percepcji. Ale ja używam tych terminów w o wiele szerszym, bardziej nieformalnym sensie, zawierając w nich zarówno elementy antyteorii, antyabstrakcji, antydogmy naszej tradycji filozoficznej (zwłaszcza naszą nieufność wobec obskuranckiego, wydumanego, „kontynentalnego” teoretyzowania i retoryki), jak i naszą bezduszną preferencję wszystkiego, co oparte na faktach, zdroworoządkowe i konkretne. „Empiryzm” to w skrócie nasza przyziemność, rzeczowość, nasz pragmatyzm, stanie obiem nogami na ziemi, nieupiększony realizm, niechęć do chytrności i pretensjonalności (tak, zdaję sobie sprawę, że ten ostatni fragment zaprzecza temu, co powiedziałam o naszej hipokryzji, uprzejmych eufemizmach itd., ale nigdy nie twierdziłam, że jesteśmy konsekwentni). Kluczowe hasła: „Daj spokój!” (zazębia się z Humorem - angielski humor jest bardzo empiryczny); „W ostatecznym rozrachunku”; „Gwoli ścisłości”; „Mówiąc normalnym językiem...”; „Uwierzę, jak zobaczę”; „Typowe!” (zazębia się z Postawą Kłapouchego, również bardzo empiryczną).

Postawa Kłapouchego

To coś więcej niż tylko ustawiczne narzekanie. Abstrahując już od samej jego niewiarygodnej ilości, w angielskim narzekaniu jest coś typowego w sensie jakościowym. Nasze narzekanie jest kompletnie nieefektywne; nigdy nie narzekamy w obecności źródła

naszego niezadowolenia ani w celu konfrontacji, tylko biadolimy bez końca między sobą, a zasady narzekania zabraniają znajdowania rozwiązań praktycznych. Ale ma ono działanie terapeutyczne - jest wielce skuteczne jako „ułatwić” kontaktów towarzyskich i umacniania więzi. Narzekanie jest ponadto niezwykle przyjemne (Anglicy niczego nie lubią bardziej, niż trochę sobie ponarzekać - a jaka to przyjemność ich przy tym obserwować!) i jest okazją, żeby wykazać się dowcipem. Prawie każde „towarzyskie” narzekanie jest żartobliwym *udawanym* narzekaniem. Prawdziwa, łzawa rozpacz jest niedopuszczalna, chyba że wśród bliskich przyjaciół/rodziny. Nawet gdy czujemy się autentycznie zdesperowani, musimy udawać, że tylko udajemy, że tak się czujemy (nieznośna lekkość bytu Anglika). Przez „postawę Kłapouchego” rozumiem mentalność, którą streszcza nasz narodowy slogan „Typowe!”: nasz chroniczny pesymizm, przekonanie, że wszystko z natury idzie nie tak i nas rozczarowuje, ale także perwersyjną satysfakcję, gdy widzimy, że nasze ponure przepowiednie się sprawdzają - jesteśmy jednocześnie wkurzeni, stoicko zrezygnowani i dumni z naszej wszechwiedzy. To nasz specjalny rodzaj fatalizmu - coś w rodzaju dziwnie pogodnego pesymizmu. Kluczowe hasła: „Ha! Typowe!”, „Ten kraj schodzi na psy”, „A czego się spodziewałeś?”, „A nie mówiłam?”, „Zawsze coś”, „Jakoś idzie”, „Trzeba sobie radzić”, „Trudno”, „Błogosławieni, którzy niczego nie oczekują, albowiem nie będą rozczarowani”.

Świadomość klasowa

Wszystkie społeczeństwa mają swoją hierarchię i sposoby oznaczania statusu społecznego. Oto, co jest typowe dla angielskiego systemu klasowego: (a) stopień, w jakim nasza klasa (i/lub kompleksy o podłożu klasowym) determinuje nasz gust, zachowanie, opinie i kontakty towarzyskie; (b) fakt, że klasy wcale nie rozpoznaje się dzięki kryterium zamożności czy profesji, ale wyłącznie na podstawie wskaźników nieekonomicznych, takich jak słownictwo, maniery, gust i styl życia; (c) ogromna wrażliwość naszych systemów radarowych wykrywających czyjeś pochodzenie; oraz (d) nasze zaprzeczenie tego wszystkiego i wstydlive przeczulenie na punkcie klasy: ukryta, niebezpośrednia, cicha, hipokrytyczna/samooszukująca się natura angielskiej świadomości klasowej (zwłaszcza wśród klas średnich). Nasz „uprzejmy egalitaryzm”. Nasze szczątkowe uprzedzenie wobec „handlu”. Drobiazgowość i istna głupota naszych wskaźników klasowych i kompleksów. Nasze poczucie humoru wobec tego wszystkiego. Kluczowe hasła: „Wystarczy, że jeden Anglik otworzy usta, aby drugi natychmiast go znieawdził lub zaczął nim pogardzać”, „Z takiego *środowiska*”, „Nie mów *serviette*, kochanie, my mówimy na to *napkin*; *Mondeo man*; „trochę obciachowe/pospolite/nowobogackie/krzykliwe/wulgarne /nieeleganc

kie/prymitywne/w stylu Sharon i Tracey /jak z bliźniaków z przedmieścia/drobnomieszczańskie /w stylu pseudoTudorów...”; „Nadęta arystokratyczna dziwka (Camilla/snob(-ka)/arystokratyczny głupek/bufon ze szkoły prywatnej/hrabia, co psy obrabia/księżę, co psy wiąże...), myśli, że jest lepszy/a od nas”; „A czego się można spodziewać po nadętej córce sklepikarza?”; „Ten miły człowieczek ze sklepu”.

Wartości

Nasze ideały. Nasze fundamentalne zasady przewodnie. Standardy moralne, do których aspirujemy, nawet jeśli nie zawsze ich przestrzegamy.

Fair play

Narodowa, niemal religijna, obsesja. Złamanie zasady fair play wywołuje więcej świętego oburzenia niż jakikolwiek inny grzech. Angielskie fair play nie jest konceptem sztywno czy nierealistycznie egalitarnym - akceptujemy, że są zwycięzcy i przegrani, ale uważamy, że każdy powinien dostać sprawiedliwą szansę, pod warunkiem że będzie przestrzegać zasad, a nie oszukiwać czy wykręcać się od obowiązków. Fair play jest ukrytym motywem większości aspektów naszej niepisanej etykiety, nie tylko gier i sportów, z którymi jest najbardziej kojarzone. Pod wpływem tej zasady pozostają: stanie w ogonku, kupowanie kolejek, zachowanie przy stole, „uporządkowany chaos”, etykieta jazdy samochodem, kody związane z flirtowaniem, etykieta biznesowa, uprzejmy egalitaryzm itd. (Uprzejmy egalitaryzm jest pełen hipokryzji, zależy mu na *pozorach* fair play, ukryciu kłopotliwych nierówności i niesprawiedliwości - no ale przynajmniej zależy na tyle, że odczuwamy zakłopotanie). Nasza skłonność do kompromisu, nasze bezustanne ważenie i ocenianie „z jednej strony” i „z drugiej strony” - często postrzegane jako niekonkretność, być może życzliwiej jako tolerancja - są produktem fair play + umiaru. Nasza skłonność do kibicowania słabszemu - i nieufność wobec zbyt wielkiego sukcesu - też bierze się z fair play. Nasze mocne poczucie sprawiedliwości jest często błędnie brane za inne rzeczy - w tym zarówno za socjalizm, jak i konserwatyzm, a nawet za chrześcijaństwo. Angielska moralność w wielkim stopniu opiera się na fair play. Kluczowe hasła: „Szczерze mówiąc...”; „Gwoli sprawiedliwości...”; „Każdemu należy dać szansę”; „Przecież sprawiedliwość wymaga, żeby...”; „Bądźmy sprawiedliwi”; „Niech tak będzie”; „Surowy, ale sprawiedliwy”; „Walczyć uczciwie/grać czysto”; „Czekaj na swoją kolejkę”; „Po kolei”; „Nie bądź niesprawiedliwy”; „Przyznaję się bez bicia”; „To nie fair/nie wypada/nie po kolei - nie tak!”; „Rywalizować jak równy z równym”; „Nie bądź zachłanny”; „Żyj i daj żyć innym”; „Z drugiej strony...”; „Medal ma zawsze dwie strony”; „Ogólnie rzecz biorąc”; „Niech każde z nas pozostanie przy swoim zdaniu, dobrze?”.

Uprzejmość

Bardzo ważna norma. Czasem nasza uprzejmość jest tak głęboko zakorzeniona, że niemal bezwiedna - na przykład odruch mówienia „przepraszam”, gdy ktoś nas potrąci, jest dla wielu z nas odruchem automatycznym - ale niejednokrotnie wymaga świadomego lub wręcz pełnego zakłopotania wysiłku. Anglicy często są podziwiani za swoją uprzejmość, ale też potępiani za „rezerwę”, odbieraną jako arogancja, chłód i niezyczliwość. Choć nasza rezerwa jest z pewnością symptomem naszej ułomności towarzyskiej, jest także, przynajmniej częściowo, *formą* uprzejmości - tym jej rodzajem, który socjolingwiści nazywają „uprzejmością negatywną”, w której chodzi o to, by nie narzucać się ani nie przeszkadzać innym (w odróżnieniu od „uprzejmości pozytywnej”, gdzie chodzi o potrzebę przynależności i aprobaty społecznej). Oceniamy innych według siebie samych i zakładamy, że wszyscy dzielają naszą obsesyjną potrzebę prywatności - pilnujemy więc swego nosa i uprzejmie ich ignorujemy. Ale nasze uprzejme „przepraszam”, „proszę” i „dziękuję” nie płyną z głębi serca, nie są szczerze - nie ma w nich nic specjalnie ciepłego czy zyczliwego. Uprzejmość z definicji zawiera pewną dozę chytrkości i hipokryzji, ale uprzejmość angielska wydaje się być prawie w całości kwestią formy, posłuszeństwa zestawowi zasad, a nie wyrazem autentycznej troski. Gdy więc już łamiemy nasze własne zasady uprzejmości, to zazwyczaj jesteśmy bardziej nieprzyjemni niż inne, mniej „uprzejme” nacje. Nie jesteśmy z natury uzdolnieni towarzysko; potrzebujemy wszystkich tych zasad, żeby bronić się przed sobą. Kluczowe hasła: „Przepraszam”; „Proszę”; „Dziękuję/dzięki” (te słowa są znane wszędzie, ale my używamy ich częściej); „Obawiam się, że...”; „Przepraszam, ale...”; „Czy nie będzie panu przeszkadzać, jeśli...”; „Czy mogłaby pani...”; „Najmocniej przepraszam, czy mógłbym...?”; „Jak się masz?”; „Ładny dzień, prawda?”; „Tak, prawda?”; „Przepraszam bardzo, czy mógłbyś mi podać marmoladę?”; „Strasznie przepraszam, ale chyba stoi mi pan na nodze”; „Z całym szacunkiem, pan poseł nieco mija się z prawdą”.

Skromność

Anglicy nie są wcale z natury bardziej skromni niż inne nacje, ale (podobnie jak w wypadku uprzejmości) mamy surowe zasady co do *pozorów* skromności, w tym zakaz chwalenia się i wszelkiego rodzaju zarozumiałstwa, i zasady nakazujące autoironię oraz umniejszanie własnej osoby. Do skromności przywiązujemy dużą wagę, do skromności *aspirujemy*. Skromność, którą tak naprawdę okazujemy, jest często fałszywa - lub, by ująć rzecz bardziej wyrozumiale, ironiczna. Nasze słynne umniejszanie siebie jest rodzajem ironii - mówienia czegoś odwrotnego do tego, co chcemy, żeby ludzie zrozumieli, lub używania celowego niedomówienia. To rodzaj kodu: wszyscy wiemy, że autoironiczne stwierdzenie

oznacza prawdopodobnie coś przeciwnego do tego, co się mówi, lub jest w dużym stopniu niedomówieniem, i jesteśmy pod należywym wrażeniem zarówno osiągnięć czy zdolności mówiącego, jak i jego niechęci, by o nich trąbić na prawo i lewo. Problemy pojawiają się, gdy Anglicy usiłują grać w tę dość niemądrą grę z cudzoziemcami, którzy nie rozumieją ironicznego kodu i zazwyczaj biorą nasze autoironiczne uwagi za dobrą monetę. Skromność wymaga także, abyśmy próbowali umniejszać lub zaprzeczać różnicom w pochodzeniu /w zamożności/w statusie - uprzejmy egalitaryzm to połączenie trzech „kluczowych zasad” (uprzejmość, skromność, fair play) z obfitą dozą hipokryzji. Angielska skromność jest często *oparta na rywalizacji* - tu przykładem jest licytowanie się, kto gorszy - choć gra ta może zawierać sporo przechwałek nie wprost. Angielskie popisy skromności (czy to oparte na rywalizacji, pełne hipokryzji, czy autentyczne) są charakterystyczne z powodu skali zawartego w nich *humoru*. Zasady skromności działają jako przeciwwaga dla naszej naturalnej arogancji, tak samo jak zasady uprzejmości chronią nas przed naszymi własnymi skłonnościami do agresji. Kluczowe hasła: „Nie chwal się”; „Przestań się popisywać”; „Przechwałki!”; „Nie bądź taki mądry”; „Nie bądź nachalny”; „Trochę zajmuję się sportem” (czyli: właśnie zdobyłem medal olimpijski); „No cóż, chyba trochę się na tym znam” (czytaj: jestem uznanym ekspertem w tej dziedzinie); „To nie takie trudne, jak wygląda/po prostu miałem szczęście” (standardowa reakcja na każdą pochwałę za jakieś osiągnięcie).

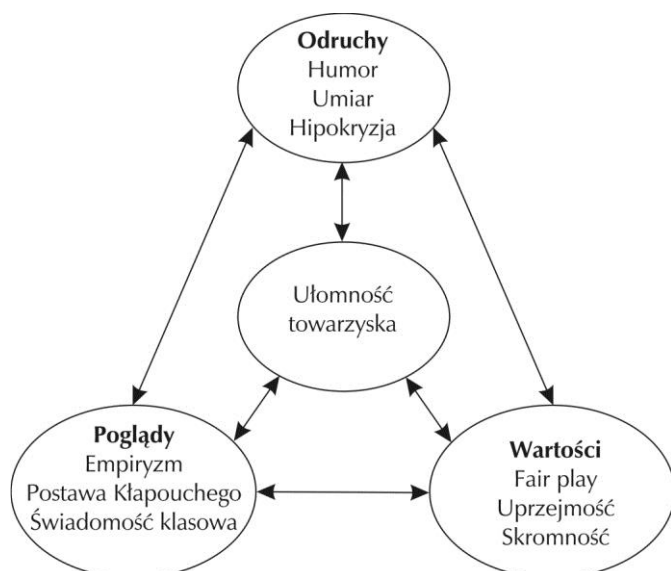
Wykres

No więc. Oto cechy definiujące angielskość. Już chyba ułożyły się w coś bardziej usystematyzowanego niż lista. Mamy „rdzeń” i zidentyfikowane trzy wyraźne kategorie - odruchy, poglądy i wartości - każda z grupką trzech cech charakterystycznych. Wykresy właściwie nie są moją mocną stroną (dla nieAnglików: to *duże* niedomówienie), ale wygląda na to, że uda mi się dotrzymać mojej nieco pochopnie danej obietnicy, że jakoś przedstawię to wszystko wizualnie¹.

Niemożliwe jest ukazanie wszystkich wzajemnych powiązań i połączeń między tymi cechami - próbowałam przez kilka dni, ale za każdym razem wychodziło mi jakieś spaghetti, w dodatku mało apetyczne. W każdym razie uświadomiłam sobie, że powiązania między cechami definiującymi są ważne czy nawet widoczne tylko w *relacji* z konkretnymi aspektami, cechami czy zasadami zachowania Anglików. Na przykład tabu rozmów o pieniądzu jest produktem ułomności towarzyskiej + skromności + hipokryzji + świadomości klasowej (czyli „rdzeń” plus jedna cecha z każdej grupki); zasada gwiazdkowego maratonu narzekania i postawy Scrooge’a to styl Kłapouchego + uprzejmość + hipokryzja (znowu jedna cecha z każdej grupki, a wszystkie pośrednio związane z

„rdzeniem”). Więc żeby ukazać wszystkie te związki, musiałabym zawrzeć w wykresie wszystkie najdrobniejsze szczegóły schematów naszego zachowania i kodów, czyli praktycznie wszystko, o czym piszę w tej książce.

Myszę, że będziemy musieli zadowolić się czymś o wiele prostszym. Rzucić w kąt mikroskop, cofnąć się i spojrzeć na większy obraz. Ten podstawowy wykres angielskości nie powie nam nic, czego już byśmy nie wiedzieli z opisowej listy powyżej. Pokazuje tylko, jakie mamy cechy definiujące, jak można je sklasyfikować, i że wszystkie „grupki” są powiązane ze sobą nawzajem i z centralnym „rdzeniem”. Ale ten wykres przynajmniej dowodzi, że angielskość jest systemem dynamicznym, a nie statyczną listą. Poza tym pozwala zmieścić całą rzecz na jednej wygodnej stronie. Dla... powiedzmy, łatwego odniesienia. Angielskość instant. No i wygląda dość symetrycznie i miło dla oka.



Obawiam się, że mój wykres angielskości nie wygląda za bardzo jak „gramatyka” czy „genom” i bez wątpienia będzie rozczarowaniem dla tych, którzy czekali na coś bardziej skomplikowanego i naukowego. Ale te genomy i tak dalej to były tylko metafory, i choć bardzo lubię naciągać, naginać i ogólnie rzecz biorąc, nadużywać metafor, angielskość po prostu nie da się wcisnąć w żaden z istniejących modeli naukowych, musiałam więc wymyślić swoją własną dość prymitywną i uproszczoną strukturę. Ale mimo to wygląda trochę *molekularnie*, nie sądzicie? - czyli, jeśli o mnie chodzi, wystarczająco naukowo. A poza tym nie chodziło o to, żeby wyrysować jakiś wspaniały, imponujący wykres, tylko coś, co pomoże nam połapać się w osobliwościach zwyczajnego zachowania Anglików.

Przyczyny

Usiłując zrozumieć angielskość, pozostajemy z jednym pytaniem. Jeśli nasza nieszczęsna ułomność towarzyska jest istotnie centralnym „rdzeniem” angielskości, to nie

możemy nie zapytać: co ją wywołuje?

Przez całą tę książkę w pewien sposób grałam rolę kogoś w rodzaju etnologicznego psychiatry, badającego pacjenta („Anglików”), który „wykazuje objawy” złożonego, pozornie niezbornego i niespójnego zestawu nietypowych zachowań, dziwacznych poglądów i osobliwych, natrętnych zwyczajów. Po długim okresie bacznej obserwacji i wielu kłopotliwych pytaniach widzę powracające motywy i schematy i w końcu dochodzę do diagnozy: przypadłości, którą nazywam Angielską Ułomnością Towarzystwą. Nie jest to zaburzenie wycieńczające organizm; pacjent dość skutecznie leczy się sam na różne sposoby, wytworzył wiele mechanizmów przystosowawczych, udaje mu się prowadzić stosunkowo normalne życie i uważa swoje zachowanie za całkiem rozsądne (często twierdząc, że to reszta świata jest dziwna i odstaje). Inni jednak znajdują tego pacjenta dziwaczny i często dość irytująco antyspołeczny, nawet jeśli czasem dość czarującym. Choć nie potrafię zapisać pacjentowi lekarstwa, moja diagnoza może sama w sobie okazać się pomocna, przynajmniej w zrozumieniu choroby i w terapii.

Jednakże etiologia tej ułomności wciąż pozostaje pewną tajemnicą. Jak w wypadku wielu zaburzeń psychologicznych nikt tak naprawdę nie wie, co jest przyczyną. Nie oznacza to, że do tej pory nie próbowano jej znaleźć. Choć mam wrażenie, że ta książka jest pierwszą, która prawidłowo zidentyfikowała tę chorobę - w sensie nadania nazwy tej dziwacznej kolekcji dokuczliwych symptomów, które ją charakteryzują - ja na pewno nie jestem pierwszą osobą która zauważyła i skomentowała same symptomy. Autor każdej próby opisanego charakteru narodowego przynajmniej wspomina „angielską rezerwę”, i wielu także głowi się nad jej pozornym przeciwieństwem, angielskim chamstwem, chuligaństwem i innymi zachowaniami antyspołecznymi. Moim jedynym wkładem jest sugestia, że owe pozornie sprzeczne tendencje w stylu Dr Jekyll - Mr Hyde należą do tego samego syndromu (trochę jak elementy manii i depresji w tym, co obecnie nazywa się dwubiegunową psychozą afektywną). Ta diagnoza może być pomocna w zrozumieniu Anglików, jednak zidentyfikowanie i nazwanie zaburzenia nie mówi nam nic o jego przyczynach.

Inni autorzy proponowali kilka możliwych przyczyn. Wielu skłonnych jest winić angielski klimat. Choć nasza pogoda istotnie może być jednym z czynników, podchodzę do tego wyjaśnienia dość sceptycznie, jako że nasz klimat nie różni się aż tak strasznie od klimatu wielu innych krajów północnoeuropejskich - nie mówiąc już o Szkocji, Irlandii i Walii - których mieszkańcy nie wykazują takich samych socjopatycznych tendencji. Nie wyklucza to pogody jako przyczyny (wielu palaczy nie dostaje raka płuc), ale też sugeruje, że muszą być tu zaangażowane inne czynniki.

Wielu autorów obwinia naszą „historię”, ale nie ma między nimi porozumienia co do tego, jakie okresy historii Anglii mogłyby ponosić odpowiedzialność za naszą obecną ułomność. Mieliśmy i utraciliśmy imperium - no to co, tak samo Rzymianie, Austriacy, Portugalczycy i wielu innych, a nie na wszystkich wpłynęło to tak jak na nas. Niektórzy sugerują, że tendencje, nad którymi się tu pochylam, są stosunkowo świeżego pochodzenia (autor *The English: Are They Human?* [Czy Anglicy to ludzie?] za groteskowy nadmiar angielskiej rezerwy wini ekskluzywne szkoły prywatne, a antropolog Geoffrey Gorer wywodzi pewne aspekty naszego narodowego charakteru, zwłaszcza powściągliwość i umiłowanie porządku, od ustanowienia policji). Niektórzy nawet zdają się uważać, że wszystkie nasze chamskie, antyspołeczne cechy datują się, razem z seksem, od 1963 roku, i że kiedyś było inaczej i ludzie wiedzieli, jak się zachowywać, gdy byli młodzi. Inni jednak przypominają, że pewne komentarze zarówno o angielskiej rezerwie, jak i angielskim chamstwie pochodzą jeszcze z XVII wieku, a i ja już przytaczałam raporty o średniowiecznej agresji futbolowej. Nie jestem historykiem, ale o ile się orientuję, czytając wyjaśnienia tych, którzy mają niezbędną wiedzę, wydaje się, że cierpimy z powodu tej ułomności towarzyskiej już od dłuższego czasu, być może w nieco zmieniających się formach, i jej początek lub pojawienie się nie może być przypisywane żadnemu konkretnemu wydarzeniu historycznemu czy procesowi.

A więc, jeśli ani klimat, ani historia nie są jedynymi winowajcami, to może geografia? Fakt, że jesteśmy „rasą wyspiarzy”, od czasu do czasu był wysuwany jako usprawiedliwienie niektórych aspektów naszego charakteru narodowego - na przykład naszego wycofania, izolacji. Choć może być w tym trochę prawdy, nie sądzę, żeby samo mieszkanie na wyspie wiele tłumaczyło - przecież jest wiele innych narodów wyspiarskich o bardzo odmiennych charakterach narodowych, choć może i mamy pewne cechy wspólne. Gdy jednak podejmiemy do sprawy konkretniej i weźmiemy pod uwagę wielkość naszej wyspy oraz gęstość zaludnienia, wtedy argument geograficzny zaczyna wyglądać trochę bardziej sensownie. To nie tylko wyspa, ale stosunkowo nieduża, bardzo przeludniona wyspa, i nietrudno jest zauważyć, że takie warunki miały prawo wytworzyć naród powściągliwy, z obsesją na punkcie prywatności, zaborczy, nieufny towarzysko, skrępowany, a czasem paskudnie antyspołeczny; kulturę uprzejmości negatywnej, której uprzejmość polega głównie na unikaniu bycia intruzem i narzucania się; kulturę dotkliwie świadomą klasowo, skupioną na statusie, granicach i podziałach; społeczeństwo charakteryzujące się skrępowaniem, zażenowaniem, brakiem konkretów, lękiem przed intymnością/emocjami/zamieszaniem - miotające się między sztywną uprzedzającą grzecznością a agresywną wojowniczością...

Choć jesteśmy różni pod wieloma względami, zauważyłam wiele ważnych podobieństw między Anglikami a Japończykami, i zastanawiałam się, na ile istotny jest czynnik niewielkiej przeludnionej wyspy.

Jednakże ten prymitywny determinizm geograficzny nie jest o wiele bardziej przekonujący niż argumenty klimatyczne czy historyczne. Jeśli geografia tak bardzo stanowi o charakterze narodowym, dlaczego Duńczycy są tak inni od innych narodów skandynawskich? Dlaczego Francuzi i Niemcy są tak typowo francuscy i niemieccy, choć mieszkają przecież po dwóch stronach tej samej arbitralnie ustalonej granicy. A alpejscy Szwajcarzy i alpejscy Włosi? I tak dalej. Nie - geografia może odgrywać jakąś rolę, ale na pewno nie może być ostateczną odpowiedzią. Może nasza ułomność bierze się z naszej szczególnej *kombinacji* klimatu, historii i geografii - tę przynajmniej można uznać za unikalną.

Wybaczenie, ale uważam, że nie ma prostej odpowiedzi. Szczerze mówiąc, tak naprawdę nie wiem, dlaczego Anglicy są tacy, jacy są - i każdy, kto jest szczerzy, powie wam to samo. Nie podważa to mojej teorii: mogę ogłosić, że Anglicy są trochę autystyczni lub agorafobiczni (czy nawet dwubiegunowo zaburzeni), lub po prostu towarzyszko upośledzeni, nie znając przyczyn tych zaburzeń. Psychiatrzy postępują tak cały czas, nie rozumiem więc, dlaczego samozwańczy narodowi etnopsychanalizy nie mieliby mieć tego samego przywileju. A jeśli się nie zgadzacie, możecie podważyć moją diagnozę lub zasięgnąć drugiej opinii.

Ale zanim skończę (lub zanim zamknę mnie w wariatkowie za nadużywanie metafor), powinnam wydać ostrzeżenie zdrowotne: angielskość potrafi być zaraźliwa. Niektórzy ludzie są bardziej podatni niż inni, ale jeśli przebywasz z nami wystarczająco długo, możesz nagle zacząć się łąpać na tym, że każde nieszczęście, od opóźnionego pociągu do katastrofy narodowej, witasz słowem: „Typowe!”, każdą nutę namaszczenia czy pompatyczności: „Daj spokój!”, a nowych znajomych zakłopotaną, sztywną niezręcznością. Może się okazać, że wierzysz, iż duże ilości alkoholu pomogą ci pozbyć się tych zahamowań i pozwolą ci zamiast tego rzucić: „Ej, co się gapisz?” lub: „Chcesz się pobzykać?”. Ale możesz też być jednym z tych wielu bardziej fortunnych turystów i imigrantów, których silne kulturowe systemy odpornościowe chronią przed naszą chorobą. Jeśli mimo wszystko chcesz się z nami zasymilować lub po prostu pośmiać się naszym kosztem, przypuszczam, że ta książka może ci pomóc udawać objawy.

Ważną rzeczą, która, jak mam nadzieję, jest już jasna, jest to, że angielskość nie jest kwestią urodzenia, rasy, koloru skóry czy wyznania: to mentalność, etos, „gramatyka”

zachowania - zestaw niepisanych kodów, które mogą wydawać się enigmatyczne, ale które każdy może złamać i stosować, teraz gdy już mamy klucz.

Jeśli wyczuwa się we mnie pewną niechęć do tej kwestii, to dlatego, że wiem, iż (a) ludzie zwykle oczekują wiele po wykresach i zerknąwszy na nie, mogą uznać, że nie chce im się już czytać samej książki (wiem, że tak jest, bo sama tak robię); i (b) jest o wiele łatwiej zauważyć wady i braki na prostym wykresie niż w kilkuset stronach tekstu, co czyni je łatwym celem dla krytyków i czepialskich. [4]

Epilog

Znowu jestem na stacji Paddington, trzy lata później. Tym razem bez brandy, bo nie muszę już potrącać ludzi czy wpychać się do kolejek. Tylko filiżanka dobrej herbaty i ciasteczko - co wydaje mi się stosownie umiarkowanym i powściągliwym sposobem, by oznaczyć ukończenie mego projektu na temat angielskości.

Mimo, że już jestem „po dyżurze” - po prostu czekam sobie na pociąg do Oksfordu, jak każdy normalny człowiek - zdaję sobie sprawę, że odruchowo wybrałam najlepszą pozycję do obserwacji w dworcowej kafejce, ze szczególnie dobrym widokiem na kolejkę do lady. Przypuszczam, że to przyzwyczajenie. Badania obserwacji uczestniczącej mają to do siebie, że zawłaszczają ci całe życie. Każda rutynowa podróż pociągiem, każdy drink w pubie, każde wyjście do sklepu, każdy dom, który mijasz, każdy przelotny kontakt jest okazją do zbierania danych lub testowania hipotez. Nie możesz nawet oglądać telewizji czy słuchać radia, nie robiąc stale notatek na temat tej cholernej angielskości.

Książka jest skończona; notatnik zostawiłam w domu (piszę to na serwetce). Ale oto chwilę wcześniej w taksówce nie mogłam się oprzeć skrobaniu na grzbiecie dłoni czegoś, co powiedział kierowca. Zerkam na trochę zamazane skrót. Coś, że „teraz leje, a na następne lato zapowiadają susze, czy to nie typowe?”. No, super, zapisywałam sobie takie narzekania na angielską pogodę siedemset tysięcy razy. Naprawdę przydatne informacje, Kate. Jesteś żalostną ćpunką uzależnioną od danych. Złamałaś kod; zrobiłaś swoje w sprawie rozwiązania angielskiego kryzysu tożsamości. Teraz już zostaw go w spokoju. Przestań obsesyjnie obserwować kolejki, liczyć groszek i zapisywać przypadkowe dialogi o pogodzie. Zajmij się własnym życiem.

Tak. Jasne. Absolutnie. Co za dużo, to niezdrowo.

Ooo, ale popatrzcie. Co to? Jakaś kobieta z dzieckiem w wózku podchodzi do lady od niewłaściwej strony, a w kolejce czekają na obsłużenie trzy osoby. Czy ona próbuje kupić bez kolejki, czy tylko patrzy na pączki i kanapki, żeby się zorientować, czy warto czekać? Nie wiadomo. Ale przecież taka próba wpełnienia się byłaby zbyt ewidentna, prawda? - sytuacja jest jednoznaczna. Te trzy osoby stojące w kolejce wykonują paranoiczną pantomimę - podejrzliwe spojrzenia z ukosa, znaczące chrząkanie, podsuwanie się do przodu... Aha! Dwoje z nich właśnie wymieniło spojrzenia, unosząc brwi (ale czy oni stoją w kolejce razem, czy się nie znają? Jak to się stało, że nie zauważyłam tego wcześniej?) - jedno z nich głośno wzdycha - czy kobieta z wózkiem zauważyła? - Tak! Zrozumiała - idzie na koniec kolejki - ale wygląda na lekko urażoną - przecież nie miała zamiaru się wpychać, patrzyła tylko na

kanapki. Kolejkowicze spuszczaają lub odwracają wzrok, unikają patrzenia na nią. Ha! Cały czas była niewinna - wiedziałam! Zastanawiam się tylko, czy te dwie osoby, które uniosły brwi, są znajomymi. To jest bardzo ważne - czy ta pozorna próba wepchnięcia się do kolejki spowodowała kontakt wzrokowy między nieznajomymi, czy nie? Zobaczmy, czy zamówią coś razem - cholera, właśnie zapowiadają mój pociąg! Ha! Właśnie dzisiaj, pierwszy raz w życiu, przyjechał o czasie, właśnie gdy rozgrywa się ten fascynujący dramat kolejkowy - *typowe!* Może poczekam na następny...

Podziękowania

Zrywając z tradycją, która nie wie, czemu każe umieszczać rodzinę autora na miejscu „ostatnim, acz nie najmniej ważnym”, chcę podziękować przede wszystkim mojemu narzeczonemu Henry’emu Marshowi i jego dzieciom: Williamowi, Sarah i Katherine. Musieli oni znieść trzy lata mojego stresu i obsesji na punkcie niniejszej książki i razem z moją mamą Liz i siostrą Anną czytali i komentowali każdy nowo powstały rozdział. Mojej siostrze Ellie wdzięczna jestem za dwa wspaniałe urlopy w Libanie, które bezwstydnie wykorzystałam jako okazję do badań międzykulturowych. Jeśli posiadam jakiegokolwiek umiejętności dotyczące obserwacji uczestniczącej, najwięcej zawdzięczam tu mojemu ojcu Robinowi Foksowi. Wszystkie wymienione osoby były dla mnie tolerancyjne, uczynne i życzliwe. Człowiek, który wraz ze mną kieruje SIRC (Ośrodkiem Badania Problemów Społecznych), Peter Marsh, powierzył mi pierwszą pracę badawczą w terenie, gdy miałam siedemnaście lat, i od tej pory jest moim mentorem i wielkim przyjacielem. Wśród wielu przysług, które mi wyświadczył, było udzielenie mi czegoś w rodzaju urlopu naukowego z SIRC, żebym mogła ukończyć tę książkę. Jestem także wdzięczna Desmondowi Morrisowi za pomoc, rady i uwagi.

Przejrzeć Anglików jest wynikiem ponad dziesięciu lat badań, niemożliwe jest więc podziękowanie wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki, jednak wśród tych, którzy pomogli mi w różny sposób w ostatnich trzech latach intensywnej pracy w terenie i w pisaniu i którym chciałabym podziękować szczególnie, są następujące osoby: Ranjit i Sara Banerji, Annalisa Barbieri, Don Barton, Krystyna Belinska, Simon i Prisca Bradley, Angela Burdick, Brian Cathcart, Roger Chapman, Peter Collett, Karol ColonnaCzosnowski, Joe Connaire, James Cumes, Paul Dornan, Alana Fawcett, Vernon i Anne Gibberd, William Glaser, Susan Greenfield, Janet Hodgson, Selwyn i Lisa Jones, JeanLouis i Voikitza Juery, Paull i Lorraine Khan, Eli Khater, Mathew Kneale, Sam Knowles, Slava i Masha Kopiev, Meg Kozera, Hester Lacey, Laurence Marsh, Tania Mathias, Roger Miles, Paula Milne, Tony Muller, Simon Nye, Geoffrey Smith, Lindsey Smith, Richard Stevens, Jamie Stevenson, Lionel Tiger, Patsy Toh i Roman Zoltowski. Dziękuję wszystkim w wydawnictwie Hodder & Stoughton, zwłaszcza Rupertowi Lancasterowi, najżyczliwszemu i najcierpliwyszemu wydawcy na świecie. Dziękuję też Hazel Orme, wspaniałej adiustatorce, Julianowi Alexandrowi, niesamowicie pracowitemu i troskliwemu agentowi - i jeszcze raz mamie, Liz Fox, za pełnienie funkcji niezmiernie dowcipnego indeksatora.

Bibliografia

- Aslet Clive, *Anyone for England? A Search for British Identity*, Little, Brown, London 1997
- Bennett Alan, *The Old Country*, Faber & Faber, London 1978
- Brown P. and Levinson S.C., *Politeness: Some Universals in Language Usage*, Cambridge University Press, Cambridge 2000
- Bryson Bill, *Zapiski z malej wyspy*, Zysk i Ska, Poznań 2002
- Collett P. and Furnham A. (eds), *Social Psychology at Work*, Routledge, London 1995
- Collyer Peter, *Rain Later, Good*, Thomas Reed, Bradford on Avon 2002
- Cooper Jilly, *Class: A View from Middle England*, Methuen, London 1979
- Daudy Philippe, *Les Anglais: Portrait of a People*, Headline, London 1992
- Dunbar Robin, *Grooming, Gossip and the Evolution of Language*, Faber & Faber, London 1996
- Fox Kate, *Passport to the Pub: The Tourist's Guide to Pub Etiquette*, DoNot Press, London 1996
- Fox Kate, *The Racing Tribe: Watching the Horsewatchers*, Metro, London 1999
- Fox Robin, *The Red Lamp of Incest*, Penguin, New York 1980
- Gennep Arnold van, *Obrzędy przejścia*, PIW, Warszawa 2006
- Gorer Geoffrey, *Exploring English Character*, Cresset Press, London 1955
- Hodkinson Paul, *Goth: Identity, Style and Subculture*, Berg, Oxford 2002
- Jacobs Eric and Worcester Robert, *We British*, Weidenfeld and Nicholson, London 1990
- Marsh Peter et al., *The Rules of Disorder*, Routledge, London 1978
- Marshall Thomas Elizabeth, *The Harmless People*, Secker & Warburg, London 1960
- Mikes George, *Jak być Brytyjczykiem*, GLOB, Szczecin 1991
- Miller Daniel, *A Theory of Shopping*, Polity Press, Blackwell, Cambridge 1998
- Miller Geoffrey, *Umysł w zalotach*, Rebis, Poznań 2004
- Mitford Nancy (ed), *Noblesse Oblige*, Hamish Hamilton, London 1956
- Morgan John, *Debrett's Guide to Etiquette & Modern Manners*, Headline, London 1996
- Muralt B.L. de, *Lettres sur les Anglais*, Zürich 1725
- Noon M. & Delbridge R., *News from behind my hand: Gossip in organizations*, „Organization Studies”, 14, 1993

- Orwell George, *Collected Essays, Journalism and Letters 2*, Penguin, London 1970
- Paxman Jeremy, *The English: A Portrait of a People*, Michael Joseph, London 1998
- Pevsner Nikolaus, *The Englishness of English Art*, Architectural Press, London 1956
- Priestley J.B., *English Humour*, William Heinemann, London 1976
- QuestRitson Charles, *The English Garden: A Social History*, Penguin, London 2001
- Renier G.J., *The English: Are They Human?*, Williams & Norgate, London 1931
- Richardson Paul, *Cornucopia: A Gastronomic Tour of Britain*, Abacus, London 2001
- Scruton Roger, *England: An Elegy*, Chatto & Windus, London 2000
- Storry Mike and Childs Peter (eds), *British Cultural Identities*, Routledge, London 1997
- Tocqueville Alexis de, *Journeys to England and Ireland*, Faber & Faber, London 1958

B. Bryson, *Zapiski z małej wyspy*, przeł. M. Dzierża, Zysk i Ska, Poznań 2002 (przypisy opatrzone literą pochodzą od tłumaczki). [↵]

Wszystkie cytaty z George'a Mikesa na podstawie książki *Jak być Brytyjczykiem*, przeł. H. Stępień, GLOB, Szczecin 1991.[↵]

J. Austen, *Duma i uprzedzenie*, przeł. A. PrzedpeńskaTrzeciakowska, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1992.[↵]

Nikolaus Pevsner (1902-1983) - niemiecki historyk sztuki działający w Wielkiej Brytanii, autor przewodników po architekturze tego kraju.[↵]

Gra słów, *social disease* - brak swobody towarzyskiej lub choroba (*disease*) społeczna.[↵]

B. Bryson, *Zapiski...* (wyd. cyt.).[↵]

Essex man - stereotyp prymitywnego, egoistycznego Anglika o poglądach konserwatywnych.[↵]

Z Dumy i uprzedzenia Jane Austen.[↵]

Aluzja do torysów, czyli brytyjskiej Partii Konserwatywnej.[↵]

MORI (Market and Opinion Research International) - organizacja brytyjskoamerykańska, zajmująca się przeprowadzaniem badań opinii publicznej.[↵]

Bohaterka serialu komediowego *Harry Enfield*. [↵]

J. Austen, *Opactwo Northanger*, przeł. A. PrzedpeńskaTrzeciakowska, Oficyna Wydawnicza „Rytm”, Warszawa 1995.[↵]

J. Austen, *Emma*, przeł. J. Dmochowska, Prószyński i Ska, Warszawa 1996.[↵]

Tamże.[↵]